

WOJNA DUSZ

TOM I

SMOKI UPADŁEGO SŁOŃCA

Margaret Weis, Tracy Hickman

Przełożył

Michał Jakuszewski

Tytuł oryginału

Dragons of a Fallen Sun

Dedykowane z wyrazami wdzięczności Peterowi Adkinsonowi, dzięki któremu magia wróciła do świata Smoczej Lancy.

Pieśń Miny

Dzień już się skończył i w naszej mocy

Nie leży powstrzymanie nocy.

Kwiaty śpią i my zamknijmy oczy,

To dnia ostatnie już tchnienie.

Czarna noc wszędzie zaległa

Tam, gdzie gwiazd dusze odległych

Od świata, którym władają

Smutek, strach, śmierć i zniszczenie.

Zaśnij, mój miły, zaśnij na wieki.

Zaciśnij mocno obie powieki.

Nie bój się nocy czarnej opieki.

Zaśnij, mój miły, zaśnij na wieki.

Nasze dusze mrok wkrótce pochłonie,

Skryjemy się w jego zimnej toni.

W pustce Pani, która w dłoniach

Trzyma nitki naszych losów.

*Wojownicy, śnijcie o ciemności,
Poczujcie dotyk słodkiej radości
Małzonki Nocy i jej miłości
do tych, którzy słuchają jej głosu.*

*Zaśnij, mój miły, zaśnij na wieki.
Zaciśnij mocno obie powieki.
Nie bój się nocy czarnej opieki.
Zaśnij, mój miły, zaśnij na wieki.*

*Zamknijmy oczy, oddech wstrzymajmy,
Wszyscy się woli jej dziś poddajmy
I swe słabości szybko wyznajmy,
Karku przed nią zginając.*

*Potęga ciszy niebo przesłania,
Nikt z nas nie zdoła pojąć otchłani,
Co wszystkie nasze dusze pochłania,
Kres strachom i smutkom dając.*

*Zaśnij, mój miły, zaśnij na wieki.
Zaciśnij mocno obie powieki.
Nie bój się nocy czarnej opieki.*

Zaśnij, mój miły, zaśnij na wieki.

KSIĘGA I

I

Pieśń Śmierci

Krasnoludowie zwali tę dolinę Gamashinoch - Pieśnią Śmierci. Nikt spośród żywych nie przychodził tu z własnej woli. Tymi, którzy to robili, kierowała desperacja lub gwałtowna potrzeba bądź też po prostu wykonywali rozkaz dowódcy.

Z każdą chwilą zbliżali się do opustoszałej doliny i słyszeli „pieśń” już od kilku godzin. Była straszliwa, niesamowita. Jej słowa, które nigdy nie były w pełni wyraźne, do końca rozróżnialne - przynajmniej nie dla zwykłego ucha - mówiły o śmierci i o jeszcze gorszym losie. Opiewały uwięzienie, gorzką frustrację, wieczne męczarnie. To był lament, pełen tęsknoty za miejscem zapamiętanym przez duszę - na zawsze utraconym pokojem i szczęściem.

Gdy rycerze po raz pierwszy usłyszeli owe żałobne tony, ściągnęli mocno wodze, sięgając jednocześnie po miecze, i rozejrzeli się wokół.

- Co to? - krzyknęli. - Kto idzie?

Nikt jednak tamtędy nie szedł. Nikt z żyjących. Rycerze zerknęli na dowódcę, który stanął w strzemiączkach, spoglądając na wznoszące się z obu stron wyniosłe urwiska.

- To nic - orzekł wreszcie. - Wiatr zawodzi wśród skał. Jedziemy.

Popędził konia krętym traktem, który wiódł przez góry znane jako Władcy Zagłady. Podkomendni jechali za nim gęsiego, gdyż jar był zbyt wąski, aby konny patrol mógł nim podążać ramię przy ramieniu.

- Nieraz już słyszałem, jak zawodzi wiatr, panie - mruknął jeden z rycerzy - i on nigdy nie przemawia jak człowiek. Ten głos mówi nam, żebyśmy się tu nie zapuszczali i lepiej go posłuchajmy.

- Nonsens! - Dowódca szponu, Ernst Magit, odwrócił się w siodle, aby spojrzeć ze złością na zwiadowcę. - Głupie przesady. Ale przecież wy, minotaurowie, słyniecie z tego, że uparcie trzymacie się niedzisiejszych zwyczajów i zacofanych poglądów. Pora już wkroczyć w nowoczesność. Bogowie odeszli. Moim zdaniem nie ma czego żałować. Teraz światem władamy my, ludzie.

Z początku Pieśń Śmierci śpiewał pojedynczy kobiecy głos. Teraz dołączył do niego pełen strachu chór mężczyzn, kobiet i dzieci, wykonujących przeraźliwy hymn rozpacz i smutku, który niósł się echem pośród gór.

Kilka koni spłoszyło się, słysząc ten smętny dźwięk i nie chciało iść dalej. Zresztą, jeźdźcy nie nakłaniali ich do tego zbyt usilnie.

Wierzchowiec Magita również się spłoszył i zaczął tańczyć. Rycerz zatopił ostrogi w jego bokach, zostawiając w nich głębokie, krwawe bruzdy. Rumak powlókł się niechętnie naprzód z opuszczonym łbem, strzygąc uszami. Dowódca szponu pokonał jakieś pół mili, nim przyszło mu do głowy, że nie słyszy za sobą tętentu kopyt. Obejrzał się i zobaczył, że został sam. Nikt z podkomendnych nie podążył za nim.

Zawrócił wściekły i pocwałował w ich stronę. Połowa patrolu zsiadła z koni, a reszta miała bardzo niewyraźne miny. Ich rumaki drżały.

- Głupie bydlaki mają więcej rozumu niż ich panowie - mruknął stojący na trakcie minotaur. Tylko nieliczne konie pozwalały się dotknąć minotaurowi, a jeszcze mniej było takich, które mogły dźwigać tak wielkie istoty. Galdar miał siedem stóp wzrostu, łącznie z rogami, i swobodnie dotrzymywał kroku patrolowi, biegnąc obok konia dowódcy.

Magit nie zsiadł z rumaka. Zacisnął dłonie na łęku siodła, spoglądając na rycerzy. Był wysokim, bardzo chudym mężczyzną, jednym z tych, których kości wydają się związane stalowym drutem - był znacznie silniejszy niż na to wyglądał. W jego załzawionych, niebieskich oczach nie widziało się inteligencji ani głębi. Słyszał z okrucieństwa, utrzymywania żelaznej - wielu powiedziałoby „bezmyślnej” - dyscypliny oraz całkowitego poświęcenia tylko jednej sprawie:

sprawie Ernsta Magita.

- Dosiądziecie koni i ruszycie za mną - oznajmił zimno dowódca szponu - albo złożę skargę do komendanta grupy na każdego z was z osobna. Oskarżę was o tchórzostwo, zdradę wizji i bunt. Jak dobrze wiecie, karą za każde z tych przewinień jest śmierć.

- Czy może to zrobić? - wyszeptał jakiś nowo pasowany rycerz, który pierwszy raz wyruszył na wyprawę.

- Może - mruknął posępnie jeden z weteranów - i zrobi. Rycerze dosiedli koni i podążyli naprzód, spinając rumaki ostrogami. Byli zmuszeni ominąć Galdara, który nadal stał pośrodku drogi.

- Odmawiasz wykonania rozkazu, minotaurze? - zapytał rozsierdzony Magit. - Lepiej się zastanów. Może i jesteś protegowanym Protektora Czaszki, ale wątpię, czy to ci pomoże, jeśli oskarżę cię przed Radą jako tchórze i wiarołomcę. A sądząc z tego, co słyszałem, Galdarze - ciągnął drwiącym, konfidencjonalnym szeptem, opierając się o szyję wierzchowca - twój pan może nie być już tak bardzo skory cię osłaniać. Jednoręki minotaur, na którego nawet pobratymcy spoglądają z litością i wzgardą. Minotaur zdegradowany do pozycji „zwiadowcy”. Wszyscy wiemy, że przyznali ci ją tylko dlatego, że musieli coś z tobą zrobić. Słyszałem zresztą sugestie, żeby popędzić cię na pastwisko razem z resztą krów.

Galdar zacisnął pięść, swą jedyną pięść, tak mocno, że ostre paznokcie wbiły mu się w ciało. Świetnie wiedział, że Magit chce go sprowokować do walki. Tutaj, gdzie nie było zbyt wielu świadków. Gdzie mógłby zabić kalekiego minotaura i po powrocie do domu twierdzić, że walka była uczciwa i chwalebna. Galdarowi nie zależało zbytnio na życiu, odkąd utrata prawej ręki przemieniła go ze straszliwego wojownika w pieszego zwiadowcę. Nie miał jednak zamiaru ginąć z rąk Ernsta Magita. Nie da mu tej satysfakcji.

Ominął dowódcę, który rozciągnął wąskie usta w szyderczym uśmiešku.

Patrol ponownie ruszył w drogę. Mieli nadzieję, że dotrą na miejsce przed zachodem słońca, nawet jeśli jego zimny, szary blask nie ogrzewał tu niczego. Żałobna Pieśń Śmierci nie milkła ani na chwilę. Po twarzy jednego z rekrutów spływały strumienie łez. Weterani jechali zgarbieni, jakby liczyli na to, że osłonią uszy ramionami. Nawet gdyby zatkali je sobie pakułami, nic by im to nie pomogło. Słyszeliby straszliwą pieśń, nawet gdyby przekłuli sobie bębenki.

Pieśń Śmierci słyszało się w sercu.

Patrol wjechał do doliny o nazwie Neraka.

Dawno temu, w niepamiętnych czasach bogini Takhisis, Królowa Ciemności zostawiła na jej południowym krańcu kamień węgielny uratowany ze zniszczonej świątyni króla kapłana Istar. Kamień zaczął rosnać, wchłaniając w siebie zło świata, aż wreszcie zmienił się w straszliwą, ogromną świątynię; świątynię wspianą, odrażającą Ciemności.

Miała ona stać się dla Takhisis wrotami, umożliwiającymi jej powrót do świata, z którego

wyгнаł ją Huma Smokobójca, ale powstrzymały ją miłość i poświęcenie. Mimo to Takhisis zachowała wielką moc i wypowiedziała światu wojnę, która omal nie doprowadziła do jego zniszczenia. Jej zawistni dowódcy zaczęli jednak walczyć między sobą niczym sfora dzikich psów, pojawiła się też grupa bohaterów - znaleźli oni w swych sercach moc, która pozwoliła im powstrzymać, pokonać i obalić boginię. Wściekłość Takhisis była tak wielka, że w szale zniszczyła świątynię w Nerace.

Owego strasznego dnia mury gmachu eksplodowały na zewnątrz i spadły z nieba deszczem wielkich, czarnych głazów, które obróciły w gruzy miasto Neraka. Oczyszczające pożary strawiły budynki przeklętego grodu, pochłonęły jego targowiska, zagrody dla niewolników oraz liczne wartownie, zasypując popiołem kręte, przypominające labirynt ulice.

Po z górą pięćdziesięciu latach po mieście nie pozostał żaden ślad. Południową część doliny zaściewały odłamki szkieletu świątyni, a popiół dawno już uniosły wiatry. Nie rosły tu żadne rośliny, a wszelkie ślady życia pokrył piasek.

Zostały tylko czarne głazy, gruzy świątyni. Wyglądały przerażająco i nawet Magit, ujrawszy je po raz pierwszy, zadał sobie w myślach pytanie, czy postąpił rozsądnie, przejeżdżając przez tę część doliny. Mógł wybrać okrężną drogę, ale to oznaczałoby dodatkowe dwa dni, a i tak już był spóźniony, gdyż spędził kilka nocy z nową dziewczyną, świeżo pozyskaną przez jego ulubiony zamtuż. Musiał teraz nadrobić to opóźnienie i zdecydował się pojechać na skróty, przez południową część doliny.

Czarna skała, z której zbudowano zewnętrzne mury świątyni, przybrała krystaliczną postać, być może z powodu siły wybuchu. Wystające z piasku głazy nie były szorstkie, lecz gładkie. Miały fasetkowane ściany i ostre krawędzie. Wyglądały jak czarne kryształy kwarcu, sterczące z szarego piasku. Niektóre z nich sięgały wysokości czterech mężczyzn. Ten, kto przyjrzał się im z bliska, mógł zobaczyć w nich własne odbicie, zniekształcone, ale łatwe do rozpoznania.

Wszyscy towarzyszący Magitowi ludzie dobrowolnie przyłączyli się do armii Rycerzy Takhisis, skuszeni obietnicą łupów i niewolników zdobytych na wojnie, upodobaniem do przemocy i zabijania bądź też nienawiścią do elfów, kenderów, krasnoludów czy wszystkich, którzy się od nich różnili. Tych ludzi, którzy dawno już zapomnieli o wszelkich wyższych uczuciach, przeraził wygląd twarzy odbitych w czarnych kryształach, widzieli bowiem, że usta odbić otwierają się, aby zaśpiewać strasliwą pieśń.

Większość zbrojnych zadrżała na ten widok i odwróciła pośpiesznie spojrzenia. Galdar starannie unikał patrzenia na wysokie, czarne kryształy. Gdy tylko je ujrzał, opuścił wzrok na znak szacunku i czci. Ernst Magit z pewnością powiedziałby, że to przesady. Sami bogowie nie przebywali w tej dolinie. Galdar wiedział, że to niemożliwe. Wygnano ich z Krynnu przed z górą trzydziestu laty. Minotaur był jednak przekonany, że przetrwały tu ich duchy.

Magit spojrzał na swe odbite w kamieniu oblicze. Tylko dlatego, że ów widok budził w nim lęk, zmusił się do patrzenia odbiciu prosto w oczy.

- Nie jestem krową, która boi się własnego cienia! oznajmił, spoglądając znacząco na Galdara.

Dopiero niedawno zaczął opowiadać te dowcipy o krowach. Uważał, że są bardzo zabawne i niesłychanie oryginalne. Dlatego powtarzał je przy każdej okazji. - Krową? Rozumiesz, minotaurze?

Ernst Magit wybuchnął śmiechem.

W jego rechoł przesączyły się dźwięki Pieśni Śmierci, która nadała mu melodię i tonację - mroczną i nieharmonijną, kłócaącą się z innymi głosami. Ten przerażający efekt wyraźnie wstrząsnął Magitem. Dowódca kaszlnął i ku wyraźnej uldze swych ludzi przestał się śmiać.

- Ty nas tu sprowadziłeś, dowódco szponu - zauważył Galdar. - Wiedzieliśmy, że ta część doliny nie jest zamieszkana, że nie ukrywają się tu oddziały rycerzy solamnijskich, gotowych na nas uderzyć. Możemy bezpiecznie zmierzać do celu, pewni, że nie ma tu nic, co mogłoby nam zagrozić. Lepiej szybko stąd odjedźmy, żeby złożyć raport.

Konie wjechały do południowej części doliny tak niechętnie, że niektórzy jeźdźcy byli zmuszeni ponownie zsunąć się z siodła, zasłonić oczy rumaków i prowadzić je za uzdę, jakby ratowali wierzchowce z płonącego budynku. Zarówno ludzie, jak i zwierzęta wyraźnie pragnęli jak najszybciej stąd zniknąć. Wierzchowce przesuwwały się ostrożnie w stronę traktu, którym tu przybyły.

Ernst Magit pragnął opuścić to miejsce równie gorąco, jak jego podkomendni, i z tego właśnie powodu zdecydował, że tu zostaną. W głębi duszy był tchórzem i zdawał sobie sprawę z tej słabości. Całe życie starał się udowodnić samemu sobie, że nie jest to prawdą, lecz nigdy nie dokonał niczego rzeczywiście bohaterskiego. Kiedy tylko było to możliwe, starał się unikać niebezpieczeństw. To właśnie dlatego dowodził patrolami, zamiast razem z innymi Rycerzami Neraki oblegać pozostające w rękach Solamnińczyków miasto Sanction. Często jednak dokonywał mało ważnych, niezbyt ryzykownych czynów, które nie wiązały się z niebezpieczeństwem, ale mogły jemu i jego ludziom udowodnić, że wcale się nie boi. Jednym z takich czynów mogło być spędzenie nocy w przeklętej dolinie.

Magit popatrzył ostentacyjnie na niebo, które miało kolor bladej, niezdrowej żółci. Bardzo osobliwy odcień, żaden z rycerzy nigdy jeszcze takiego nie widział.

- Zapada zmierzch - oznajmił sentencjonalnie. - Nie chciałbym, żeby noc zastała nas w górach. Rozbijemy tu obóz i wyruszymy w dalszą drogę rano.

Rycerze wlepili w swego dowódcę przerażone, pełne niedowierzania spojrzenia. Wiatr przestał wiać. W ich sercach nie rozbrzmiewała już pieśń. W dolinie zapanowała martwa cisza. W pierwszej chwili przywitali ją z radością, lecz z upływem czasu ją znienawidzili. Dławiła ich, przygniatała swym ciężarem. Nikt się nie odzywał. Czekali, aż Magit powie im, że był to tylko żart.

Dowódca szponu zsiadł z konia.

- Rozbijemy obóz w tym miejscu. Mój namiot dowodzenia ustawcie pod tym najwyższym monolitem. Galdarze, ty będziesz nadzorował rozbicie namiotu. Mam nadzieję, że poradzisz sobie z tak prostym zadaniem?

Jego słowa wydawały się nienaturalnie głośnie, a głos brzmiał ochryple i przenikliwie. Przez dolinę przemknął nagły podmuch, zimny i ostry. Wzbił w powietrze obłoki pyłu, które przemknęły nad jałową ziemią i znikły w oddali.

- Popelniasz błąd, dowódco - rzekł spokojnym tonem Galdar, starając się w jak najmniejszym stopniu zakłócić ciszę.

- Nie jesteśmy tu mile widziani.

- A przez kogóż to, Galdarze? - zadrwił dowódca szponu Magit. - Przez te głazy? - Walnął otwartą dłoń w czar - ny monolit. - Ha! Cóż za tępa, przesądna krowa! Zsiadajcie z koni i bierzcie się za rozbijanie namiotów - dodał twardszym głosem. - To rozkaz.

Ernst Magit rozprostował kończyny, demonstrując pełen spokój. Zgiął się wpół i wykonał kilka rozluźniających ćwiczeń. Ponurzy, niezadowoleni rycerze wykonali jego polecenie. Rozpakowali juki i zaczęli ustawiać małe, dwuosobowe namioty, które niosła połowa patrolu. Pozostali wydobyli z bagaży wodę i prowiant.

Namiotów nie udało się rozbić. Żelaznych kołków nie sposób było wbić w skaliste podłoże. Każde uderzenie młotka niosło się echem po górach, wracało do nich stokrotnie wzmacnione, aż wreszcie wydawało się, że to góry uderzają w nich.

Galdar odrzucił młotek, który ścisnął niezgrabnie w jedynej dłoni.

- O co chodzi, minotaurze? - zapytał Magit. - Jesteś taki słaby, że nie potrafisz wbić kołka namiotowego?

- Sam spróbuj to zrobić, dowódco.

Pozostali mężczyźni również odrzucili młotki. Spoglądali na Magita z posępnym wyzwaniem w oczach. Dowódca pobladał z gniewu.

- Jeśli jesteście za głupi, żeby rozbić zwykły namiot, to możecie sobie spać pod gołym niebem!

Nie próbował jednak wbić kołka w skaliste podłoże. Rozglądał się wokół, aż wreszcie wypatrzył cztery czarne monolity, tworzące nieregularny czworokąt.

- Przywiąż mój namiot do tych głazów - rozkazał. Przynajmniej ja wyśpię się dziś dobrze.

Galdar wykonał rozkaz. Obwiązał sznury wokół podstaw monolitów, cały czas mamrocząc minotaurze zakłęcie, mające przebłagać niespokojne duchy zmarłych.

Rycerze próbowali przywiązać swe wierzchowce do monolitów, ale zwierzęta wrywały się i wierzgały, porażone panicznym strachem. W końcu przeciągnęli sznur między dwoma głazami i przywiązali do niego konie. Niespokojne rumaki zbiły się w grupę, wybałuszając oczy. Trzymały się tak daleko od czarnych głazów, jak to tylko było możliwe.

Gdy rycerze zajęli się pracą, Magit wyjął z juków mapę, omiół jeszcze ludzi groźnym spojrzeniem, aby im przypomnieć o ich obowiązkach, rozłożył przed sobą płachtę papieru i zaczął się jej przyglądać ze spokojną, skupioną miną, która nikogo nie oszukała. Pocił się obficie, choć nic przecież nie robił.

Cienie w dolinie stawały się coraz dłuższe. Ziemia była teraz znacznie ciemniejsza od nieba, które rozjaśniała płomiennożółta poświata. Było tu gorąco, znacznie cieplej niż w chwili ich przybycia, lecz z zachodu docierały niekiedy zimne powiewy, przynoszące chłód przenikający do szpiku kości. Rycerze nie wzięli ze sobą drewna na opał. Zjedli zimne racje, czy może raczej spróbowali je zjeść. Każdy kęs był pełen piasku, wszystko smakowało jak doprawione popiołem, dlatego wyrzucili większą część posiłku. Siedzieli na twardej ziemi i nieustannie oglądali się za siebie, wpatrując w cienie. Wszyscy wydobyli miecze. Nie było potrzeby wyznaczać wart, gdyż nikt nie miał zamiaru spać.

- Ha! Tylko spójrzcie! - zawołał triumfalnie Ernst Magit. - Dokonałem ważnego odkrycia! Świetnie się złożyło, że spędziliśmy tu trochę czasu. - Wskazał na mapę, a potem na zachód. - Widzicie ten łańcuch górski? Nie jest zaznaczony na mapie. Z pewnością wypiętrzył się dopiero niedawno. Nie omieszkam zwrócić na to uwagi Protektora. Być może nadadzą mu nazwę na moją cześć.

Galdar popatrzył na góry. Wstał powoli i wbił wzrok w niebo na zachodzie. Na pierwszy rzut oka formacja barwy żelaza i posępnego błękitu faktycznie sprawiała wrażenie nowo powstałego pasma górskiego. Po chwili minotaur zwrócił jednak uwagę na coś, co dowódca szponu przeoczył w swym entuzjzmie. Zjawisko rosło w przerażającym tempie.

- Dowódco! - zawołał Galdar. - To nie jest góra! To chmury burzowe!

- Jak już jesteś krową, to nie bądź w dodatku osłem - odparł Magit. Wziął kawałek czarnego kamienia, aby posłużyć się nim jak kredą i dodać Góry Magita do listy cudów świata.

- Dowódco, spędziłem dziesięć lat na morzu, kiedy byłem młody - nie ustępował Galdar. - Wiem, jak wygląda sztorm. Ale czegoś takiego nigdy nie widziałem!

Ławica chmur rosła niewiarygodnie szybko. Jej serce było czarne jak najgłębsza noc, kipiało i kotłowało się niczym jakiś nienasycony, wielogłowy potwór. Najpierw pochłaniała wierzchołki gór, a potem - w miarę jak się zbliżała - całe turnie. Zimny wiatr przybrał na sile, zasypując im oczy i usta piaskiem. Namiot dowodzenia załopotał szaleńczo, próbując się zerwać z uwięzi.

I nagle wiatr zaśpiewał tę samą straszliwą pieśń. Wył i zawodził z rozpacz, krzyczał z bólu i udręki. Targani gwałtownym podmuchem ludzie podnieśli się z wysiłkiem.

- Dowódco! Musimy uciekać! - ryknął Galdar. - Natychmiast! Nim zaczniesz się burza!

- Tak - zgodził się pobladły, wstrząśnięty Magit. Obliznął wargi, wypluwając z ust piasek. - Tak, masz rację. Musimy stąd zwiewać! Mniejsza o namiot! Przyprawiajcie mi konia!

Z ciemności wypadła błyskawica, która uderzyła w ziemię nieopodal miejsca, gdzie stały konie. Zahuczał grom. Wstrząs zwałił z nóg kilku mężczyzn. Konie stanęły dęba, kwicząc i młócąc kopytami. Rycerze, którzy utrzymali się na nogach, próbowali uspokoić wierzchowce, te jednak na to nie pozwoliły. Zerwały się z uwięzi i pocwałowały w mrok, ogarnięte szaloną trwogą.

- Łapcie je! - wrzasnął Ernst, lecz wichura okazała się tak gwałtowna, że rycerze ledwie mogli utrzymać się na nogach. Jeden czy dwóch postąpiło kilka chwiejnych kroków w tamtym kierunku, było jednak jasne, że pościg nie ma szans powodzenia.

Chmury burzowe zakryły niebo, z łatwością wygrywając bój ze słonecznym blaskiem. Słońce zniknęło, pokonane przez ciemność.

Zapadła noc, pełna niesionego wichrem piasku. Galdar nie widział nawet własnej dłoni. Nagle mrok rozproszyła kolejna potężna błyskawica.

- Padnij! - ryknął, przywierając raptownie do ziemi. Leżeć płasko! Nie zbliżać się do monolitów!

Niesiony wiatrem deszcz siekł ich z siłą miliona strzał wypuszczonych z łuków. Grad uderzał niczym żelazne cepy, dotkliwie raniąc i siniacząc. Galdar miał grubą skórę i odczuwał to jak ukąszenia mrówek, ale pozostali krzyczeli z bólu i strachu. Gorejące włócznie błyskawic uderzały tuż obok i ziemię wstrząsały potężne gromy.

Galdar leżał na brzuchu, walcząc z impulsem, który kazał mu drzeć ziemię dłonią, aby skryć się w jej trzewiach. Gdy uderzyła następna błyskawica, ze zdumieniem zauważył, że Ernst Magit zamierza wstać.

- Dowódco, padnij! - krzyknął i spróbował go złapać. Magit zmełł w ustach przekleństwo, starając się kopnąć Galdara w dłoń. Dowódca szponu pochylił głowę pod wiatr i powłókł się ku jednemu z monolitów. Przykucnął za nim, tak że potężny gład osłaniał go przed deszczem i gradem. Usiadł na ziemi, śmiejąc się głośno z podkomendnych, oparł plecami o monolit i rozprostował nogi.

Galdara oślepiła kolejna błyskawica i ogłuszył huk gromu. Wstrząs wyrzucił go w górę i wbił z powrotem w ziemię. Piorun uderzył tak blisko, że minotaur słyszał skwierczenie, czuł woń fosforu i siarki. A także czegoś innego. Przypalonego mięsa. Potarł oczy, próbując cokolwiek zobaczyć. Kiedy odzyskał wzrok, spojrzał na dowódcę i zobaczył u stóp monolitu tylko bezkształtną masę.

Pod pokrywającą zwłoki czarną skorupą tlił się jeszcze ciemnoczerwony ogień. Magit zamienił się w kawał przypalonego miecha. Wiatr unosił bijący z niego dym, razem ze strzępkami zwęglonego ciała. Skóra na twarzy trupa spłonęła, odsłaniając wyszczerzone w ohydny uśmiech zęby.

- Cieszę się, że nadal się śmiejesz, dowódco szponu mruknął Galdar. - Ostrzegałem cię.

Minotaur przycisnął się jeszcze mocniej do ziemi, przeklinając przeszkadzające mu w tym zębra.

O ile to było możliwe, deszcz rozpadał się jeszcze bardziej. Galdar zastanawiał się, jak długo

potrwa burza. Wydawało się, że nie ma końca. Miał wrażenie, że urodził się podczas nawałnicy i zestarzeje się, a potem umrze, nim się zakończy. Czyjaś dłoń zacisnęła się na jego ramieniu i potrząsnęła nim mocno.

- Spójrz! - Jeden z rycerzy podczołgał się do niego. - Tam! - Mężczyzna przycisnął usta do ucha minotaura i wrzeszczał ochryple, aby przekrzyczeć szum deszczu, łoskot gradu, bijące bez ustanku gromy i jeszcze gorszą od tego wszystkiego pieśń śmierci. - Coś się tam poruszyło!

Galdar uniósł rękę i popatrzył w kierunku wskazanym przez rycerza, w samo serce doliny.

- Zaczekaj na następną błyskawicę! - krzyczał człowiek. - Tam! O, tam!

Następna błyskawica nie była snopem światła, lecz zasłoną płomienia, która zalała niebo, ziemię i góry fioletowobiałą światłością. Ujrzeni zmierzającą ku nim postać, która rysowała się na tle straszliwej łuny. Szła spokojnie pośród szalejącej burzy. Nie przeszkadzał jej huragan, nie bała się błyskawic, nie wzdrygała się, słysząc grzmoty.

- Czy to ktoś z naszych? - zapytał Galdar. W pierwszej chwili pomyślał, że jeden z ludzi oszalał i uciekł w panice, tak jak konie.

Gdy tylko jednak zadał to pytanie, zrozumiał, że się myli. Postać szła, nie biegła. Nie uciekała, a zbliżała się do nich.

Blask zgasł. Zapadła ciemność i postać znikła. Galdar czekał niecierpliwie na następny piorun, który pozwoliłby mu ujrzeć obłąkaną istotę, stawiającą czoło wściekłości burzy. Po chwili ziemię, góry i niebo oświetliła jeszcze jedna błyskawica. Nieznajomy nadal zmierzał w ich stronę. Galdar odnosił wrażenie, że pieśń śmierci przerodziła się w hymn pochwalny.

I znowu ciemność. Wiatr ustał. Ulewa przeszła w miarowy deszcz. Grad przestał padać. Gromy wybijały werbel, nadający rytm krokom niezwyklej, mrocznej postaci, która z każdą błyskawicą była coraz bliżej. Burza przeniosła się na drugą stronę gór, do innej części świata. Galdar wstał.

Przemoczeni do suchej nitki rycerze ocierali wodę i błoto z oczu, spoglądając z przygnębieniem na mokre koce. Wiatr był zimny i przenikliwy - wszyscy drżeli z chłodu, z wyjątkiem Galdara, któremu gruba skóra i futro pozwalały wytrzymać niemal każdy ziąb. Minotaur strząsnął krople deszczu z rogów i czekał, aż tajemnicza postać znajdzie się w zasięgu głosu.

Na zachodzie pojawiły się lśniące ostrym blaskiem gwiazdy. Wyglądało to tak, jakby tylna straż burzy odkrywała je po drodze. Zobaczyli też jeden z księżyców, który rzucał wyzwanie piorunom. Postać dzieliło od nich najwyżej dwadzieścia kroków. Galdar ujrzał wyraźnie przybysza w srebrzystym blasku księżyca.

To był człowiek - młodzieniec, sądząc po szczupłym, jędrnym ciele oraz gładkiej twarzy. Włosy ściał bardzo krótko, zostawiając na głowie tylko ciemnorudą szczecinę. Nieobecność owłosienia podkreślała rysy twarzy, wysoko ustawione kości policzkowe, ostro zarysowany

podbródek, łukowate usta. Miał na sobie koszulę i tunikę szeregowego pieszego rycerza oraz skórzane buty. Nie nosił miecza. Galdar nie zauważył też żadnej innej broni.

- Stój, kto idzie!?! - krzyknął ochryple. - Zatrzymaj się na skraju obozu.

Młodzieniec wykonał rozkaz. Uniósł dłonie, aby pokazać, że są puste.

Galdar wyciągnął miecz. To była niezwykła noc i nie zamierzał podejmować nawet najmniejszego ryzyka. Ścisnął niezgrabnie broń w lewej dłoni. Właściwie nie potrafił nią władać. W przeciwieństwie do innych wojowników, którzy stracili kończynę, nigdy nie nauczył się walczyć drugą ręką. Przedtem był biegłym szermierzem, a teraz wymachiwał tylko niezdarnie orężem, mogąc równie łatwo zrobić krzywdę sobie, co przeciwnikowi. Ernst Magit wielokrotnie przyglądał się nieudolnym ćwiczeniom Galdara i rechotał wniebogłosy.

Ale więcej już nie będzie się śmiał.

Minotaur ruszył naprzód, ściskając miecz. Rękojeść była mokra i śliska. Miał nadzieję, że broń nie wymknie mu się z ręki. Młodzieniec nie mógł wiedzieć, że Galdar jest już jedynie cieniem wojownika. Minotaur wyglądał groźnie i trochę się zdziwił, że nieznajomy się przed nim nie wzdrygnął - nawet nie wyglądał na zbytnio zaniepokojonego.

- Nie mam broni - oznajmił przybysz niskim głosem, który kłócił się z jego młodzieńczym wyglądem. Pobrzmiewał w nim jakiś dziwny tembr, słodki i melodyjny, w dziwny sposób przywodzący Galdarowi na myśl jeden z głosów, które słyszał w pieśni. Ta przeszła teraz w cichy szept, jakby na znak szacunku. To nie był głos mężczyzny.

Galdar przyjrzał się uważnie nieznajomemu, jego szczupłej szyi, która wyglądała jak długa łodyga lilii podtrzymująca czaszkę - doskonale gładką i pięknie uformowaną. Popatrzył na gibkie ciało. Ramiona nieznajomego były muskularne, podobnie jak ukryte pod wełnianymi pończochami nogi. Mokra koszula, stanowczo zbyt obszerna, zwisała luźno ze szczupłych barków. Galdar nic nie widział pod mokrą tkaniną i nie był pewien płci tego człowieka.

Pozostali rycerze zgromadzili się wokół minotaura. Wszyscy gapili się na zmokniętego młodzieńca, który lśnił niczym nowo narodzone dziecko. Mężczyźni marszczyli nieufnie brwi. Trudno było mieć do nich pretensje. Zadawali sobie to samo pytanie, co Galdar: co, w imię wielkiego, rogatego boga, który umarł i osierocił swój lud, robił ten nieznajomy w przeklętej dolinie podczas przeklętej nocy?

- Jak się nazywasz? - zapytał Galdar.

- Mina.

Dziewczyna. Młoda dziewczyna. Miała najwyżej siedemnaście lat... albo i mniej. Choć przedstawiła się popularnym wśród ludzi kobiecym imieniem, choć potrafił teraz wyczytać jej płęć z gładkiego zarysu szyi i pełnych gracji ruchów, nadal miał wątpliwości. Było w niej coś bardzo mało kobiecego.

Mina uśmiechnęła się lekko, jakby słyszała jego niewypowiedziane wątpliwości.

- Jestem kobietą - zapewniła, wzruszając ramionami. - Chociaż to nie ma większego znaczenia.

- Podejdź bliżej - rozkazał ostrym tonem Galdar. Posłuchała go i zbliżyła się o krok.

Spojrzał jej prosto w oczy i omal nie zaparło mu tchu w piersiach. Widywał w życiu ludzi wszelkich rozmiarów i postaci, nigdy jednak nie spotkał istoty, która miałaby takie oczy!

Nienaturalnie wielkie i głęboko osadzone, miały kolor bursztynu. Ich źrenice były czarne, a tęczówki otoczone obwódką cienia. Brak włosów sprawiało, że wydawały się jeszcze większe. Galdar miał wrażenie, że Mina składa się wyłącznie z oczu. Ich spojrzenie pochłonęło go, tak jak złoty bursztyn pochłania ciała małych owadów.

- Czy ty tutaj dowodzisz? - zapytała.

Galdar zerknął na zwęglone zwłoki leżące u stóp monolitu.

- Teraz tak - stwierdził.

Mina spojrzała w tym samym kierunku, zatrzymując na trupie chłodne, obojętne spojrzenie. Potem zwróciła złote oczy z powrotem na Galdara. Minotaur mógłby przysiąc, że widzi uwięzione w nich ciało Magita.

- Co tu robisz, dziewczyno? - zapytał ostrym tonem. - Zgubiłaś się podczas burzy?

- Nie, odnalazłam podczas niej drogę - odpowiedziała. Nie mrugała powiekami, a jej oczy lśniły bursztynowym blaskiem. - Znalazłam was. Wezwano mnie i odpowiedziałam na zew. Jesteście Rycerzami Takhisis, czyż nie tak?

- Kiedyś nimi byliśmy - odparł z przekąsem Galdar. - Długo czekaliśmy na jej powrót, ale teraz dowódcy przyznają to, co większość z nas wiedziała już od dawna. Bogini nie wróci. Dlatego nadaliśmy sobie nazwę Rycerzy Neraki.

Mina wysłuchiwała jego słów i zastanowiła się nad nimi. Najwyraźniej przypadły jej do gustu, gdyż skinęła z po wagą głową.

- Rozumiem. Przybywam tu po to, aby przyłączyć się do Rycerzy Neraki.

W innym czasie bądź miejscu rycerze mogliby zachichotać albo wygłosić nieuprzejme uwagi. Teraz jednak nie mieli głowy do żartów, Galdar również. Burza okazała się przerażająca, niepodobna do żadnej, jaką dotąd widział, mimo że przeżył na tym świecie już czterdzieści lat. Dowódca szponu nie żył. Czekala ich długa droga na piechotę, chyba że jakimś cudem zdołają odzyskać konie. Nie mieli nic do jedzenia, gdyż wierzchowce uniosły ze sobą wszystkie zapasy. Nie mieli wody poza tą, która uda się wyżyć z mokrych koców.

- Powiedz głupiej smarkuli, żeby uciekała do mamy - warknął niecierpliwie jeden z rycerzy. -

Co teraz zrobimy, poddowódco?

- Uważam, że powinniśmy stąd zwiewać - dodał następny. - Jeśli będzie trzeba, jestem gotowy iść całą noc.

Rozległ się chóralny pomruk zgody.

Galdar podniósł wzrok. Niebo pojaśniało. Słysząc jeszcze było gromy, lecz tylko w oddali. Gdzieś na zachodzie, na horyzoncie, rozjarzały się fioletowe błyskawice. Księżyc dawał wystarczająco wiele światła, aby można było iść. Galdar czuł się zmęczony, niezwykle zmęczony. Mężczyźni mieli zapadnięte policzki i wszyscy byli bliscy ostatecznego wyczerpania. Wiedział jednak, co czują.

- Ruszamy - oznajmił. - Ale najpierw musimy coś zrobić z tym.

Wskazał kciukiem na tłące się ciało Ernsta Magita.

- Zostawmy je - zasugerował jeden z rycerzy. Galdar przecząco potrząsnął rogatą głową. Cały czas zdawał sobie sprawę, że dziewczyna nie spuszcza z niego swych niezwykłych oczu.

- Chcecie, żeby do końca życia straszył was jego duch? - zapytał rycerzy.

Popatrzyli na siebie nawzajem, a potem zerknęli na ciało. Jeszcze wczoraj ryknęliby śmiechem na samą myśl, że mógłby ich straszyć duch Magita. Dzisiaj już nie.

- To co mamy z nim zrobić? - zapytał jeden płaczliwie.

- Nie damy rady pochować skurczybyka. Grunt jest za twardy. A na stos nie mamy drewna.

- Owińcie ciało w namiot - poradziła Mina. - Potem usypcie kopiec z tych kamieni. Nie on pierwszy zginął w tej dolinie... - dodała chłodnym tonem - i nie będzie też ostatni.

Galdar obejrzał się za siebie. Namiot, który przywiązali między monolitami, był nietknięty, choć ugiął się od ciężaru nagromadzonej na płótnie deszczówki.

- Dziewczyna ma rację - stwierdził. - Zdejmijcie ten namiot i zróbcie z niego całun. Tylko migiem. Im szybciej się z tym uporamy, tym prędzej będziemy mogli ruszyć w drogę. Zdejmijcie też z niego zbroję - dodał. - Musimy ją dostarczyć do kwatery głównej jako dowód jego śmierci.

- Jak mamy to zrobić? - zaprotestował jeden z żołnierzy, me kryjąc wstrętu. - Ciało przywarło do metalu, jak przypalony stek do rusztu.

- Trzeba będzie ciąć - stwierdził Galdar. - Wyczyśćcie zbroję najlepiej, jak się da. Nie lubiłem go aż tak bardzo, żebym chciał wlec ze sobą kawałki jego ciała.

Mężczyźni wzięli się do makabrycznej roboty, chcąc jak najszybciej z nią skończyć. Galdar odwrócił się i zobaczył, że wielkie, bursztynowe oczy Miny wciąż spoglądają na niego.

- Wracaj do domu, dziewczyno - powiedział szorstko. - Będziemy wędrować szybko. Nie mamy czasu chuchać na ciebie. Poza tym, jesteś kobietą, a ci żołnierze nie słyną z poszanowania dla czci niewieściej. Lepiej uciekaj do domu i rodziny.

- To jest mój dom - odparła Mina, rozglądając się po dolinie. W czarnych monolitach odbijał się blask gwiazd, jakby głązy przywoływały do siebie blade, zimne gwiazdy. A rodzinę właśnie sobie znalazłam. Zostanę rycerzem. To moje powołanie.

Poirytowany Galdar nie wiedział, co na to powiedzieć. Towarzystwo tej niesamowitej kobiety-dziecka było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. Wydawała się jednak tak spokojna, tak absolutnie panowała nad sobą i nad sytuacją, że nie przychodził mu do głowy żaden racjonalny argument.

Przemyślał sprawę i zaczął wsuwać miecz do pochwy. Była mokra i śliska, a on nie trzymał broni zbyt pewnie i w rezultacie omal jej nie wypuścił. Nie dawał jednak za wygraną. Podniósł wzrok i przeszył dziewczynę wściekłym spojrzeniem, ostrzegając ją, aby nie ważyła się choćby uśmiechnąć ze wzgardy czy litości.

Mina obserwowała bez słowa jego wysiłki. Jej twarz nic nie wyrażała.

Wreszcie Galdar zdołał wepchnąć miecz do pochwy.

- Jeśli chcesz wstąpić do rycerstwa, to najlepiej będzie, jak zgłosisz się do miejscowej kwatery głównej i podasz swoje imię.

Zaczął recytować zasady werbunku i wyliczać wymagane elementy szkolenia. Mówił, że potrzebne są lata trudu i poświęceń, lecz cały czas myślał o Magicie, który po prostu kupił sobie wstąpienie do rycerskiego stanu. Nagle zdał sobie sprawę, że dziewczyna nie słucha jego słów.

Miał wrażenie, że przemawia do niej jakiś inny głos, którego nie słyszał. Wpatrywała się w pustkę, a jej gładka twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu.

Przestał mówić.

- Czy nie jest ci trudno walczyć jedną ręką? - zapytała. Łypnął na nią ponuro.

- Może i nie jest mi łatwo - przyznał zjadliwym tonem - ale dam radę ściąć ci ten ostrzyżony łeb!

- Jak się nazywasz? - zapytała z uśmiechem. Odwrócił się. Rozmowa była skończona. Rycerze zdołali już oddzielić Magita od zbroi i zawijali w namiot wciąż tłące się ciało.

- Galdar, prawda? - ciągnęła Mina.

Odwrócił się zdumiony, zastanawiając się, skąd zna jego imię.

Z pewnością usłyszała je od któregoś z rycerzy, pomyślał. Nie przypominał sobie jednak, aby

ktoś zwrócił się do niego po imieniu.

- Podaj mi rękę, Galdarze - poprosiła. Przeszył ją wściekłym spojrzeniem.

- Uciekaj stąd, póki jeszcze możesz, dziewczyno! Nie mamy nastroju na głupie zabawy. Mój dowódca nie żyje. Teraz ja odpowiadam za tych żołnierzy. Nie mamy wierzchowców ani prowiantu.

- Podaj mi rękę, Galdarze - powtórzyła cicho Mina. Na dźwięk jej głosu, szorstkiego i słodkiego zarazem, między głazami ponownie zabrzmiała pieśń. Galdar poczuł, że jeżą mu się włosy na grzbiecie. Przeszył go dreszcz, biegnący wzdłuż kręgosłupa. Chciał się odwrócić od dziewczyny, lecz nagle uniósł lewą rękę.

- Nie, Galdarze - sprzeciwiła się Mina. - Prawą. Podaj mi prawą rękę.

- Nie mam prawej ręki! - krzyknął minotaur głosem pełnym wściekłości i bólu.

Głos uwiązał mu w gardle. Mężczyźni odwrócili się, wystraszeni tym urwanym krzykiem.

Galdar wytrzeszczył oczy z niedowierzania. Rękę ucięto mu w barku. Z kikuta wyrastała teraz widmowa podobizna jego prawej kończyny. Obraz migotał na wietrze, jakby ręka była zrobiona z dymu i popiołu, widział ją jednak wyraźnie i dostrzegał też jej odbicie w czarnym, gładkim monolicie. Czuł fantomową rękę, ale przecież czuł ją zawsze, nawet gdy jej nie było. Jego ręka, jego prawa ręka, uniosła się w górę. Palce jego dłoni, prawej dłoni, wyprostowały się z drzeniem.

Mina wyciągnęła rękę i dotknęła fantomowej dłoni minotaura.

- Prawa ręka została ci zwrócona - oznajmiła. Galdar gapił się na nią z bezbrzeżnym zdumieniem. Jego ręka. Jego prawa ręka...

Nie była to już fantomową kończyna z popiołu i dymu, kończyna ze snów, którą utraci w chwili przebudzenia. Galdar zamknął oczy, zaciskając mocno powieki, a potem znowu je otworzył.

Ręka nie zniknęła.

Rycerze zamarli w bezruchu, oniemiaли z wrażenia. Ich twarze w blasku księżyca były trupioblade. Gapili się na Galdara, na jego rękę i na Minę.

Minotaur rozkazał palcom rozprostować się i zacisnąć. Posłuchały go. Uniósł lewą rękę i dotknął drżącą dłonią prawego ramienia.

Skóra była ciepła, a futro miękkie. To była prawdziwa kończyna, z krwi i kości! Opuścił ją i wyciągnął miecz. Jego palce zacisnęły się miłośnie na rękojeści. Nagle oślepiły go łzy.

Osunął się na kolana, słaby i rozdygotany.

- Pani - rzekł głosem drżącym z zachwyty i bojaźni. - Nie wiem, w jaki sposób tego dokonałaś, ale jestem twoim dłużnikiem aż po kres mych dni. Proś, o co tylko zechcesz.

- Przysięgnij na swą prawą rękę, że spełnisz mój ą prośbę - zażądała Mina.

- Przysięgam! - zawołał ochrypłym głosem minotaur.

- Zrób mnie waszym dowódcą.

Galdarowi opadła szczeka. Otworzył i zamknął usta. Przełknął ślinę.

- Po... polecę cię przełożonym...

- Zrób mnie waszym dowódcą - powtórzyła, głosem twardym jak grunt, i mrocznym jak monolity. - Ja nie walczę dla zysku. Nie walczę dla zdobyczy. Nie walczę dla władzy. Walczę tylko dla jednej sprawy. Dla chwały. Nie własnej, lecz mojego boga.

- A co to za bóg? - zapytał Galdar głosem pełnym bojaźni.

Mina rozciągnęła usta w srogim uśmiechu, bladym i zimnym.

- Jego imienia nie wolno wypowiadać. Mój bóg jest Jedynym Bogiem. Tym, który mknie na skrzydłach burzy, tym, który włada nocą. Tylko Jedyny Bóg mógł uczynić cię znów w pełni sprawnym. Przysięgnij mi wierność, Galdarze. Podąż za mną do zwycięstwa.

Minotaur pomyślał o wszystkich dowódcach, pod których rozkazami służył. Dowódcach takich jak Emst Magit, którzy przewracali oczami, gdy tylko wspomniano o Wizji Neraki.

Wizja była oszustwem, mitem, wiedziała o tym większość rycerzy wyższego szczebla. O dowódcach takich jak Mistrz Lilii, patron Galdara, który otwarcie ziewał, gdy recytowano Przysięgę Krwi, który przyjął minotaura do rycerstwa dlatego, że uważał to za świetny żart. Dowódcach takich jak obecny Pan Nocy, Targonne, o którym wszyscy wiedzieli, że kradnie fundusze z kufrów rycerstwa.

Uniósł głowę i spojrzał w bursztynowe oczy dziewczyny.

- Jesteś moim dowódcą, Mino - oznajmił. - Przysięgam wierność tobie i nikomu innemu.

Ponownie dotknęła jego dłoni. Jej dotyk był bolesny, podgrzewał krew minotaura do temperatury wrzenia. Galdar radował się tym wrażeniem, cieszył się prawdziwym bólem. Zbyt długo już czuł imaginowany ból w kończynie, której nie miał.

- Będiesz moim zastępcą, Galdarze. - Skierowała bursztynowe oczy na pozostałych żołnierzy.
- Czy reszta też pójdzie za mną?

Niektórzy rycerze byli z Galdarem w chwili, gdy stracił rękę, widzieli tryskającą z kikuta krew. Czterech z nich trzymało go, gdy chirurg amputował zdruzgotaną kończynę. Słyszeli, jak błagał o śmierć, której nie chcieli mu ofiarować, śmierć, której nie mógł w myśl nakazów honoru zadać sobie sam. Ci ludzie patrzyli na jego nową kończynę, widzieli, że Galdar znowu trzyma miecz. Widzieli, że dziewczyna przeszła bez szkody przez śmiercionośną, nienaturalną burzę.

Niektórzy przekroczyli już trzydziestkę. Walczyli w brutalnych wojnach i trudnych kampaniach. Galdar mógł sobie przysięgać wierność tej dziwnej kobiecie-dziecku. Oddała mu rękę. Ale oni...

Mina nie naciskała na nich, nie prosiła ani nie przekonywała. Wydawało się, że uważa ich zgodę za oczywistą. Ruszyła ku leżącemu pod monolitem, częściowo owiniętemu w namiot, trupowi dowódcy szponu. Po drodze podniosła z ziemi napierśnik Magita, przyjrzała mu się uważnie, wsunęła ręce pod rzemienie i włożyła go na mokrą koszulę. Był dla niej za duży i zbyt ciężki. Galdar spodziewał się, że dziewczyna pochyli się pod ciężarem zbroi.

Rozdziawił usta z wrażenia, widząc, jak metal rozjarzył się czerwonym blaskiem, zmienił kształt i przywarł do smukłego ciała Myny, obejmując ją niczym kochanek.

Napierśnik przedtem był czarny, ozdobiony wizerunkiem czaszki. W zbroję uderzył piorun, lecz uszkodzenia okazały się bardzo niezwykle. Uderzenie rozszczepiło czaszkę na dwoje i przesywała ją obecnie stalowa błyskawica.

- To będzie moje godło - oznajmiła Mina, dotykając czaszki.

Włożyła resztę zbroi Magita, zakładając szelki na ramiona i wsuwając na nogi nagolenniki. Każdy fragment rynsztunku rozjarzał się pod jej dotykiem niby w kuźni i wszystkie po ostygnięciu pasowały na nią idealnie.

Podniosła hełm, nie włożyła go jednak na głowę, lecz wręczyła Galdarowi.

- Nieś go dla mnie, poddowódco - rozkazała.

Ujął hełm w dłonie z dumą i czcią, jakby był to magiczny przedmiot, którego poszukiwał przez całe życie.

Mina uklękła obok ciała Ernsta Magita, uniosła jego martwą, zwęgloną dłoń, pochyliła głowę i zaczęła się modlić.

Nikt nie słyszał wypowiedzianych przez nią słów, nikt nie wiedział, co i do kogo mówiła. Pośród głązów rozbrzmiały jęklive tony Pieśni Śmierci. Gwiazdy i księżyc zniknęły, spowiła je ciemność. Mina modliła się, a jej szept przynosił pociechę.

Kiedy wstała, zobaczyła, że wszyscy rycerze klęczą przed nią. W mroku nie mogli zobaczyć swych towarzyszy ani nawet własnych ciał. Widzieli tylko ją.

- Jesteś moim dowódcą, Mino - oznajmił jeden z nich, patrząc na nią jak umierający z głodu patrzy na chleb, a spragniony na chłodną wodę. - Ślubuję ci wierność na całe życie.

- Nie mnie - sprostowała. - Jedynemu Bogu.

- Jedynemu Bogu! - Ich głosy dołączyły do pieśni, która nie budziła już w nich strachu, lecz zachwyt. Była wezwaniem do broni. - Minie i Jedynemu Bogu!

W monolitach rozbłysły gwiazdy. W błyskawicy na napierśniku Miny zalśnił księżycowy blask. Znowu usłyszeli łoskot, lecz tym razem nie dobiegał on z nieba.

- Konie! - krzyknął jeden z rycerzy. - Konie wróciły! Na czele grupy biegł rumak, jakiego żaden z nich nigdy w swym życiu nie widział. Czerwony jak wino albo krew koń zostawił pozostałe wierzchowce daleko z tyłu. Podbiegł wprost do Miny, trącił ją nosem i położył głowę na jej ramieniu.

- Wysłałam Zimnego Ognia po wasze wierzchowce. Będą nam potrzebne - oznajmiła Mina, głaszcząc czerwonego deresza po czarnej grzywie. - Natychmiast ruszamy na południe. Za trzy dni musimy dotrzeć do Sanction.

- Do Sanction! - wydyszał Galdar. - Ale, dziewczyno... to znaczy, dowódczo szponu, nad tym miastem panują rycerze solamnijscy! Trwa oblężenie. Naszą placówką jest Khur, a nasze rozkazy...

- Natychmiast ruszamy do Sanction - powtórzyła Mina. Patrzyła na południe, ani na chwilę nie odwracając wzroku.

- Ale dlaczego, dowódczo szponu? - zapytał Galdar.

- Dlatego że otrzymaliśmy wezwanie - padła odpowiedź.

2

Silvanoshei

Nad całym Ansalonem szalała niezwykła, nienaturalna burza. Błyskawice uderzały w ziemię; chodzili po niej ogromni wojownicy ciskający snopami ognia. Pradawne drzewa - olbrzymie dęby, które przetrwały oba kataklizmy - stanęły w płomieniach i w jednej chwili obróciły się w pogorzelska. Za plecami wojowników szalały tornada, które niszczyły domy, porywając w powietrze ze śmiertonośnym zapamiętaniem deski i cegły, kamienie i zaprawę murarską. Oberwania chmury sprawiały, że rzeki występowały z brzegów, unosząc ze sobą młode, zielone kielki zbóż, które wygrzewały się w słońcu wczesnego lata.

W Sanction oblegający i oblegani porzucili walkę, aby skryć się przed straszliwą nawałnicą. Statki na morzu rozpaczliwie próbowaly ją przetrzymać, lecz część z nich zatoneła i nigdy już o nich nie słyszano. Inne dowlokły się jakoś do portu z prowizorycznie skleconymi masztami, przynosząc opowieści o marynarzach zmytych za burtę oraz pracujących dniem i nocą pompach.

W dachu Wielkiej Biblioteki w Palanthas pojawiły się niezliczone szczeliny. Strugi deszczu wlały się do środka, a Bertrem i mnisi zwijali się jak w ukropie, łątając dziury, wycierając podłogi i przenosząc cenne woluminy w bezpieczne miejsce. W Tarsis ulewa była tak potężna, że wróciło tam morze, które zniknęło podczas kataklizmu. Mieszkańcy byli zdumieni.

Po kilku dniach morze się cofnęło, zostawiając tylko śnięte ryby i piekielny smród.

Szczególnie niszczycielski cios zadała burza wyspie Schallsea. Wichura wybiła wszystkie szyby w Przytulnym Schronieniu. Stojące na kotwicy statki zostały rozbite o urwiska albo o nabrzeża. Potężny przyływ zmył wiele budynków stojących blisko brzegu. Liczba ofiar była niezmiernie duża, a równie wielu było tych, którzy stracili dach nad głową. Uchodźcy szturmowali Cytadelę Światła, błagając mistyków o pomoc.

Cytadela była dla Krynnu światłem nadziei pośród mroku nocy. Starając się wypełnić pustkę pozostałą po odejściu bogów, Goldmoon odkryła mistyczną moc serca i przywróciła światu moc uzdrawiania. Była żywym dowodem na to, że choć Paladine i Mishakal odeszli, ich moc czynienia dobra nadal żyła w sercach tych, którzy ich kochali.

Ale Goldmoon już się zestarzała. Wspomnienie o bogach zanikało. Wydawało się, że to samo dotyczy mocy serca. Mistycy czuli, że ich zdolności gdzieś odpływają, aby nigdy już nie powrócić. Mimo to / radością otworzyli drzwi i serca przed ofiarami burzy, oferując im pomoc i schronienie oraz starając się na miarę swych możliwości uzdrowić rannych.

Rycerze solamnijscy, którzy zbudowali fortecę na Schalisea, dzielnie stanęli do walki z burzą, jednym z najstraszliwszych wrogów, jakim stawiali czoło w całych dziejach zakonu. Z narażeniem życia ratowali mieszkańców z kipieli i z gruzów budynków. Nie zważając na wichę, ulewę i przeszywające ciemność błyskawice, bronili życia tych, których kazały im bronić Przysięga i Reguła.

Cytadela Światła oparła się wściekłości burzy, choć jej budynki ucierpiały od gwałtownego wiatru i straszliwej ulewy. Gdy sztorm już słabł, ostatkiem sił zaatakował jeszcze kryształowe mury Cytadeli gradem wielkości ludzkich głów. W murach pojawiły się małe rysy i woda wdzierała się przez nie do środka, spływając po ścianach niczym łzy.

Szczególnie głośny łoskot rozległ się w pobliżu komnat Goldmoon, założycielki i przełożonej Cytadeli. Mistycy usły - szeli odgłos wybijanych szyb i zbiegli się przerażeni, aby sprawdzić, czy staruszcze nic się nie stało. Ku ich zdumieniu, drzwi do jej pokojów zastali zamknięte. Walili w nie głośno, domagając się krzykiem wpuszczenia.

Cichy głos o straszliwym brzmieniu, który był umiłowanym głosem Goldmoon, a zarazem nim nie był, rozkazał im zostawić przełożoną w spokoju i wrócić do swych obowiązków. Powiedziała im, że inni potrzebują ich pomocy, a jej jest ona zbyt ciężka. Choć byli zakłopotani i zbici z tropu, większość wykonała polecenie. Ci, którzy zostali pod drzwiami, meldowali później, że słyszeli wewnątrz rozpaczliwe łkanie. - Ona również utraciła moc - powiedzieli sobie, sądząc, że rozumieją, i zostawili ją samą.

Gdy wreszcie nadszedł ranek i na niebie pojawiło się krwawoczerwone słońce, oszołomieni

mieszkańcy ujrzeli pozostałe po straszliwej nocy zniszczenia. Mistycy udali się do komnat Goldmoon, by prosić ją o radę, lecz nie otrzymali żadnej odpowiedzi. Drzwi nadal pozostawały zamknięte.

Nawałnica dotarła również do Qualinesti, królestwa elfów, które od ich pobratymców dzieliły zarówno setki mil, jak i zastarzała nienawiść i nieufność. Trąby powietrzne wyrwały tam z korzeniami olbrzymie drzewa i wywijały nimi w powietrzu, jakby były one cienkimi patykami używanymi w Quin Thalasi, popularnej elfiej zabawie. Burza wstrząsnęła fundamentami sławnej Wieży Mówcy Słońca, a odłamki pięknych witraży posypały się na podłogę. Woda zalała niżej położone komnaty nowo zbudowanej fortecy Czarnych Rycerzy w Newport, zmuszając ich do porzucenia posterunku, czego nie zdołała dokonać nieprzyjacielska armia.

Burza obudziła nawet wielkie smoki, które spały obżarte w swych wypełnionych daniną leżach. Wstrząsnęła Górą Malys, mieszkaniem Malystrixx, ogromnej czerwonej smoczy, która kazała się teraz zwać królową Ansalonu, a jeśli jej pragnienia się spełnią, miała wkrótce zostać jego boginią. Potężne rzeki wtargnęły do wulkanicznego domostwa smoczy. Deszczówka zalała jeziora lawy, a korytarze i komory wypełniły gęste obłoki cuchnącej pary. Mokra, na wpół oślepiąca, dławiąca się od oparów Malys ryczała głośno z wściekłości, latając od jednego leża do drugiego w poszukiwaniu suchego miejsca, w którym mogłaby znowu zasnąć.

W końcu musiała się skryć w niżej położonych pieczarach swego domostwa. Malys była bardzo starą smoczą, pełną złośliwej mądrości. Wyczuła, że w tej burzy jest coś nienaturalnego i to ją zaniepokoiło. Mamrocząc coś do siebie, poczłapała do Komnaty Totemu. Tutaj, na czarnej wyniosłości skalnej, składowała czaszki mniejszych smoków, które pożarła po przybyciu na ten świat. Czaszki srebrne i złote, czerwone i niebieskie leżały jedna na drugiej, tworząc pomnik ku czci wielkości Malys. Smoczą poczuła się lepiej na ich widok. Każda czaszka była wspomnieniem zwycięskiej walki, pokonanego i pożartego wroga. Tak głęboko pod ziemię deszcz nie przeniknie. Nie słyszała tu zawodzenia wichru. Błyskawice nie wytrącają jej ze snu.

Malys z przyjemnością patrzyła w puste oczodoły czaszek i być może na chwilę zasnęła, gdyż nagle wydało jej się, że dawno obrócone w proch oczy ożyły i przyglądają się jej. Prychnęła głośno, unosząc głowę. Przyjrzała się uważnie czaszkom i oczodołom. Kości lśniły jaskrawo w świetle kipiącej lawy, a w pustych otworach migotały cienie. Malys skarciła się w myśli za uleganie podszeptom wyobraźni, owinęła wygodnie wokół totemu i zapadła w sen.

Inna wielka smoczą, zielona, znana pod pompatycznym imieniem Beryllintranox, również nie mogła spać podczas burzy. Jej leże składało się z żywych drzew - żelaznych drzew i sekwoi - oraz ogromnych, krętych pnączy. Pnącza i gałęzie były splecione ze sobą tak gęsto, że nigdy nie przedostała się przez nie ani kropla deszczu. Tym razem jednak spadająca ze skłębionych czarnych chmur ulewa najwyraźniej postawiła sobie za cel przedarcie się przez barierę liści. Gdy tylko pierwsza kropla zrealizowała ów zamiar, otworzyła drogę tysiącom swych sióstr. Beryl obudziła się, zdumiona czując, że po jej nosie spływa woda. W jedną z potężnych sekwoi, które two - rzyły filary jej leża, uderzył piorun. Drzewo stanęło w płomieniach. Ogień szybko się rozszerzał, podsycany deszczówką, jakby była to nafta.

Beryl zaryczała przerażona, a jej słudzy zerwali się z miejsc, aby ugasić pożar. Smoki,

czerwone i niebieskie, które uznały zwierzchnictwo Beryl, chcąc uniknąć pożarcia, wyrwały płonące drzewa i ciskały je do morza. Smokowcy zrywali pnącza, gasili ogień piaskiem i błotem. Więźniom i zakładnikom również rozkazano gasić pożary. Wielu z nich zginęło, ale leże Beryl ocalało. Smoczyca przez wiele dni była w okropnym nastroju, przekonana, że burza została spowodowana magicznym atakiem jej kuzynki Malys. Beryl zamierzała pewnego dnia odebrać Malys władzę. Odbudowała leże za pomocą magii - jej moc ostatnio słabła, o co również winiła Malys - rozpamiętując krzywdy i planując zemstę.

Khellendros Niebieski (wyrzekł się imienia Skie na rzecz tego wspianego tytułu, który oznaczał Burza Nad Ansalonem) był jednym z nielicznych urodzonych na Krynnie smoków, które uszły z życiem ze smoczej czystki. Był obecnie władcą Solammii i otaczających ją terenów, a także nadzorcą Schallsea i Cytadeli Światła. Twierdził, że pozwala jej istnieć, gdyż bawi go widok małych ludzi walczących nadaremnie przeciw nadciągającej ciemności. Prawdziwym powodem, dla którego zostawiał ją w spokoju, był jednak strażnik Cytadeli, srebrny smok imieniem Zwierciadło. Zwierciadło i Skie dawniej byli wrogami, teraz jednak łączyła ich wspólna niechęć do olbrzymich smoków z daleka, które zabiły tak wielu ich pobratymców. Może i nie zostali przyjaciółmi, ale wrogami też już nie byli.

Burza zaniepokoiła Khellendrosa znacznie bardziej niż obie wielkie smoczyce, choć - co dziwne - jego leże zbyt nie ucierpiało. Smok spacerował nerwowo po ogromnej jaskini położonej wysoko w górach Yingaardu, obserwując wojowników burzy, którzy uderzali z wściekłością w szczyty Wieży Wielkiego Klerysta. Wydawało mu się, że słyszy w wietrze głos, który śpiewa o śmierci. Khellendros nie poszedł spać, lecz obserwował burzę do samego końca.

Nie straciła ona bynajmniej mocy, gdy dotarła do starożytnego elfiego królestwa Silvanesti. Elibwie otoczyli swój kraj magiczną tarczą, która jak dotąd uchroniła go przed podbiciem przez smoczyc rabusiów, nie wpuszczała też przedstawicieli żadnych innych ras. W końcu udało im się zrealizować swój historyczny cel, izolować się od kłopotów dręczących resztę świata. Tarcza nie zatrzymywała jednak piorunów i deszczu, wichru i błyskawic.

Drzewa płonęły, a huragan unosił całe domy. Thon-Thalas wystąpił z brzegów i ci, którzy mieszkali nad rzeką, musieli szukać schronienia wyżej. Woda przeniknęła do pałacowego ogrodu, Ogrodu Astarin, w którym rosło magiczne drzewo. Wielu wierzyło, że to ono podtrzymuje tarczę. Magia drzewa osłoniła je skutecznie - gdy burza się skończyła, gleba wokół niego była sucha jak pieprz, choć całą resztę ogrodu zalała woda. Elfi ogrodnicy i rzeźbiarze drzew, którzy kochali swe ozdobne drzewa, zioła i krzaki róż równie mocno, jak własne dzieci, byli zdruzgotani widokiem zniszczeń.

Gdy nawałnica się skończyła, przynieśli rośliny z własnych ogrodów, aby zastąpić nimi te, które zniszczyła burza, i odbudować cudowny ogród Ogród Astarin. Od chwili wzniesienia tarczy rośliny w nim nie wydawały się zbyt zdrowe, a teraz gniły w błotnistej glebie, która z jakiegoś powodu nie chciała wyschnąć.

W końcu niezwykła i przerażająca burza opuściła kontynent niczym zwycięska armia, która odchodzi z pola bitwy, zostawiając za sobą zgliszcza i ruiny. Rankiem oszołomieni mieszkańcy Ansalonu szacowali wielkość strat, pocieszali pogrążonych w żałobie i zadawali sobie pytanie, co

też mógł zwiastować ten złowrogi omen.

Był jednak ktoś, komu ta noc przyniosła radość. Nazywał się Silvanoshei, był młodym elfem i zachwycał się nawałnicą. Głośne ataki wojowników burzy, błyskawice tryskające niczym iskry z uderzających o siebie mieczy, wypełniały jego krew swym dzikim werblem. Silvanoshei nie szukał schronienia przed burzą, lecz wyszedł prosto w nią. Stał na leśnej pola - nie, unosząc twarz ku strugom deszczu, który przemoczył go, studząc ogień ledwie wyczuwalnych pragnień i pożądań. Obserwował zachwycające błyskawice, zdumiewał się wstrząsającymi ziemią gromami, śmiał się z nagłych powiewów wichru, które przyginały do ziemi wielkie drzewa, zmuszając je do pochylenia dumnych koron.

Ojcem Silvanosheia był Porthios, ongiś dumny władca Qualinesti, a obecnie wygnaniec przezwany „czarnym elfem” i zmuszony do życia poza kręgiem blasku elfiego społeczeństwa. Jego matką była Alhana Starbreeze, wygnana władczyni Silvanesti, którą również pozbawiono władzy, gdy wyszła za Porthiosa. Chcieli, aby ich małżeństwo w końcu zjednoczyło dwa elfie narody, uczyniło z nich jeden lud, który mógłby być wystarczająco silny, aby stanąć do walki z przeklętymi smokami i ocalić swą wolność.

Lecz to małżeństwo pogłębiło tylko wzajemną nienawiść i nieufność. Qualinesti było teraz okupowanym krajem, podbitym przez Rycerzy Neraki, i władała nim Beryl, natomiast Silvanesti zostało odcięte od świata, izolowane, a jego mieszkańcy kryli się za tarczą niczym dzieci, licząc na to, że osłoni ich przed czającymi się w mroku potworami.

Silvanoshei był jedynym dzieckiem Porthiosa i Alhany.

- Silvan urodził się w roku Wojny Chaosu - lubiła powtarzać Alhana. - Jego ojciec i ja byliśmy zbiegami, celami dla każdego elfiego skrytobójcy, który zechciałby wkupić się w łaski władców Qualinesti albo Silvanesti. Urodził się w dniu, w którym pochowano dwóch synów Caramona Majere. Jego mamką był chaos, a położną śmierć.

Silvan dorastał w zbrojnym obozie. Małżeństwo Alhany z Porthiosesem zawarto z powodów politycznych, ale zrodziła się w nim miłość, przyjaźń i głęboki szacunek. Alhana i jej mąż toczyli nieustanny, niewdzięczny bój, najpierw przeciw Czarnym Rycerzom, którzy władali teraz Qualinostem, a potem przeciw straszliwej dominacji Beryl, smoczycy, która zawładnęła ziemiami Cjalinesti i żądała od tamtejszych elfów trybutu w zamian za prawo do życia.

Gdy do Alhany i Porthiosa dotarły wieści, że elfom z Silvanesti udało się stworzyć magiczną tarczę, która otaczała ich królestwo, chroniąc je przed smokami, oboje uznali, że może to przynieść ocalenie również ich narodowi. Alhana wyruszyła ze swymi siłami na południe, zostawiając Porthiosa w Qualinesti, aby kontynuował walkę.

Próbowała wysłać emisariusza do elfów z Silvanesti, aby prosić o pozwolenie przejścia przez tarczę, lecz nie udało mu się sforsować bariery. Alhana atakowała ją stalą oraz magią, próbując wszelkich sposobów, by ją pokonać, ale i to nie przyniosło powodzenia. Im dłużej badała tarczę, tym bardziej przerażała ją myśl, że za nią żyją jej rodacy.

Wszystko, co dotykało bariery, ginęło. Lasy w jej pobliżu pełne były martwych i umierających drzew, a stopy szare i jałowe. Kwiaty wędły i obracały się w drobny, szary pył, który pokrywał martwe rośliny niczym całun.

To magia tarczy do tego doprowadziła! - pisała w liście do męża Alhana. Tarcza nie broni krainy. Zabija ją!

Sihanesti o to nie dbają - napisał w odpowiedzi Porthios. Zawładnął nimi strach. Strach przed ogrami, ludźmi, smokami i innymi niebezpieczeństwami, których nawet nie potrafią nazwać. Tarcza jest jedynie zewnętrzną oznaką tego strachu. Nic dziwnego, że wszystko, co się z nią zetknie, wędnie i umiera!

To były ostatnie słowa, jakie od niego otrzymała. Alhana przez długie lata utrzymywała z mężem kontakt za pomocą listów przesyłanych przez szybkich i niestrudzonych elfich gońców. Wiedziała o jego coraz bardziej bezowocnej walce z Beryl. Wreszcie nadszedł dzień, gdy posłaniec nie wrócił. Wysłała następnego i ten również zaginął. Mijały tygodnie i ciągle nie otrzymywała żadnej wiadomości od Porthiosa. Nie mogąc dalej uszczuplać swych coraz mniej licznych sił, Alhana zaprzestała wysyłania gońców.

Nawałnica zaskoczyła jej armię w lesie nieopodal granicy Silvanesti, tuż po kolejnej nieudanej próbie sforsowania tarczy. Alhana skryła się przed burzą wewnątrz starożytnego kurhanu. Odkryła go już dawno temu, gdy zaczęła walkę o odebranie władzy nad swą ojczyznę tym, którzy sprawiali wrażenie zdecydowanych poprowadzić ją do zguby.

W innych, szczęśliwszych czasach elfowie nie mąciliby spokoju zmarłych, lecz ścigał ich odwieczny wróg - ogrowie, i rozpaczliwie szukali nadającej się do obrony pozycji. Mimo to Alhana, wchodząc do kurhanu, odmówiła przebłagalną modlitwę, prosząc duchy zmarłych o wyrozumiałość.

Elfowie przekonali się jednak, że kurhan jest pusty. Nie znaleźli w nim zmumifikowanych zwłok, kości ani nic, co świadczyłoby, że kogoś tu pochowano. Towarzysze Alhany uznali to za znak świadczący, że ich sprawa jest słuszna. Nie spierała się z nimi, choć wydawało się jej gorzką ironią, że prawowita królowa Silvanesti musi szukać schronienia w dziurze w ziemi, którą porzucili nawet zmarli.

Kurhan stał się kwaterą główną Alhany. Jej rycerze, którzy tworzyli przyboczną straż, przebywali razem z nią wewnątrz budowli, a reszta armii obozowała w lesie. Wokół krążyli gońcy wypatrujący ogrów, którzy grasowali w tej okolicy. Lekko uzbrojeni elfowie nie nosili zbroi i nie wdawali się w bój z nieprzyjacielem, lecz, zauważywszy go, wracali do linii wart, aby zawiadomić armię.

Elfowie z Rodu Rzeźbiarzy Drzew trudzili się długi czas, aby wznieść wokół kurhanu barykadę z ciernistych krzewów. Ich straszliwe kolce przebijały nawet grubą skórę ogra. Za tą barierą żołnierze elfiej armii próbowali się skryć przed ulewą. Namioty niemal natychmiast się zawaliły i musieli chować się za gałkami albo kryć w rowach, unikając - o ile to tylko było możliwe - wysokich drzew, które przyciągały potężne błyskawice.

Przemoczeni do szpiku kości, przemarznięci i wstrząśnięci widokiem burzy, jakiej nie pamiętali nawet najstarsi z nich, żołnierze z niedowierzaniem potrząsali głowami na widok Silvanosheia, który biegł po deszczu niczym szaleniec.

Był synem ich umiłowanej królowej. Nie powiedzieliby o nim złego słowa. Oddaliby życie w jego obronie, stanowił bowiem jedyną nadzieję ich narodu. Elfi żołnierze nawet go lubili, choć nie darzyli go podziwem ani szacunkiem. Silvanoshei był przystojny i czarujący, miał miłą naturę urodzonego kompana i głos tak słodki i melodyjny, że ptaki zlatywały z drzew, by przysiąść mu na dłoni.

Pod tym względem Silvanoshei różnił się od obojga rodziców. Nie odziedziczył ponurej, nieugiętej i pełnej determinacji natury ojca. Niektórzy mogliby szeptać, że nie jest synem Porthiosa, ale wyglądem przypominał ojca tak bardzo, że nie mogło być wątpliwości. Silvanoshei - albo Silvan, jak zwała go matka - nie miał też królewskiego majestatu Alhany Starbreeze. Odziedziczył nieco jej dumy, lecz niewiele współczucia. Własny lud nie był mu obojętny, ale brakowało mu niezachwianej miłości i wierności matki. Uważał próby przedostania się przez tarczę za bezsensowną stratę czasu. Nie rozumiał, dlaczego Alhana poświęca tak wiele energii na usiłowania powrotu do rodaków, którzy wyraźnie jej nie chcieli.

Królowa rozpieszczała syna, zwłaszcza teraz, gdy wydawało się, że utraciła jego ojca. Uczucia Silvana wobec matki były bardziej skomplikowane i on sam nie rozumiał ich do końca. Gdyby ktoś go o to zapytał, odpowiedziałby, że kocha i wielbi Alhanę. Była to prawda, ale ta miłość była jak oliwa pływająca na wzburzonej wodzie. Czasami Silvan wściekał się na rodziców i ten gniew przerażał go swą gwałtownością oraz intensywnością. Okradli go z dzieciństwa, wygodnego życia oraz należnej mu pozycji.

Podczas ulewy wewnątrz kurhanu było stosunkowo sucho. Alhana stała u wejścia, obserwując burzę. Dzieliła swą uwagę między niepokój o syna - który stał z odkrytą głową na deszczu, wystawiony na mordercze błyskawice i gwałtowny wicher - i gorzką myśl, że deszcz może się przedostać przez otaczającą Silvanesti tarczę, a ona ze swą potężną armią nie jest w stanie tego dokonać.

Wtem piorun uderzył szczególnie blisko, niemal oślepiając Alhanę. Huk wstrząsnął budowlą. Bojąc się o syna, królowa oddaliła się nieco od wejścia, usiłując cokolwiek wypatrzeć pośród strug deszczu. Niebo przeszła kolejna fioletowobiała błyskawica. Alhana ujrzała w jej blasku syna, który patrzył w górę z szeroko otwartymi ustami i rzucał piorunom wyzwanie głośnym śmiechem.

- Silvanie! - krzyknęła. - To niebezpieczne! Wracaj do środka!

Nie usłyszał jej słów. Uniosła je wichura, zagłuszyły gromy. Odwrócił jednak głowę, być może wyczuwając jej niepokój.

- Czy to nie wspaniałe, matko? - krzyknął i wicher, który porwał prośbę Alhany, zaniósł jego słowa prosto do jej uszu.

- Królowo, czy mam go siłą zawlec do środka? - zapytał ktoś, stając u jej boku.

Alhana odwróciła się nagle.

- Samarze! Przestraszyłeś mnie. Elf pokłonił się.

- Przepraszam, Wasza Królewska Mość. Nie było to moim zamiarem.

Nie słyszała, jak się zbliżał - nawet gdyby nie ogłuszyły jej gromy, i tak nie usłyszałaby jego kroków, chyba żeby jej na to pozwolił. Pochodził z Rodu Protektorów, przydzielił go do niej Porthios i dochował jej wierności w ciągu trzydziestu lat wojny oraz wygnania.

Samar był teraz prawą ręką Alhany, dowódcą jej armii. Dobrze wiedziała, że ją kocha, choć nigdy nie wyznał tego bodaj jednym słowem. Był lojalny wobec Porthiosa, swego przyjaciela i władcy. Zdawał sobie sprawę, że Alhana go nie kocha, że jest wierna mężowi, mimo że od wielu miesięcy nie otrzymali o nim żadnych wieści. Miłość Samara była darem, który ofiarowywał jej codziennie, nie oczekując nic w zamian. Szedł u jej boku, a jego uczucie stało się pochodnią, która oświecała jej drogę na mrocznej ścieżce.

Samar nie darzył za to miłością Silvanosheia, którego uważał za rozpieszzonego dandysa. Wierzył, że życie to walka, do której trzeba stawać co dzień na nowo. Wesołość i śmiech, żarty i figle być może przystawały elfiemu księciu, w którego królestwie panował pokój, który - jak jego poprzednicy w szczęśliwszych czasach - nie miał nic do roboty poza nauką gry na lutni oraz kontemplacją doskonałości pączka róży. W tym świecie, w którym elfowie musieli walczyć o przetrwanie, nie było miejsca dla tak bujnego ducha młodości. Ojciec Silvanosheia zaginął, prawdopodobnie nie żył. Jego matka traciła wszystkie siły na bezowocną walkę z losem, a jej ciało i duch słabły z każdym dniem. Samar uważał śmiech i radość Silvana za afront dla jego rodziców i zniewagę dla siebie.

Dostrzegał w młodzieńcu tylko jedną zaletę: Silvanoshei potrafił przywołać uśmiech na usta matki, co nie udawało się nikomu innemu.

Alhana położyła dłoń na ramieniu Samara.

- Powiedz mu, że się boję. Że to głupie matczyne obawy... Albo może nie takie głupie - dodała do siebie, gdyż Samar już się oddalił. - W tej burzy jest coś strasznego.

Gdy tylko Samar wyszedł na deszcz, natychmiast przemókł do suchej nitki, jakby znalazł się pod wodospadem. Chwiał się na nogach od porywów wichury. Opuścił głowę, aby osłonić oczy przed oślepiającymi strugami wody, i brnął naprzód, przeklinając lekkomyślność i głupotę Silvana.

Chłopak przymknął oczy, odchylił głowę i otworzył usta. Ramiona miał szeroko rozpostarte, a pierś gołą, gdyż koszula z tkaniny o luźnym splocie przemokła tak bardzo, że zsunęła mu się z barków. Po półnagim ciele spływały strumienie wody.

- Silvanie! - krzyknął mu Samar prosto do ucha. Złapał chłopca za ramię i potrząsnął nim mocno. - Nie rób z siebie widowiska! - dodał cichym acz gwałtownym głosem. - Twoja matka i tak już ma dosyć kłopotów! Wracaj do środka, gdzie twoje miejsce!

Silvan uchylił nieco powieki. Oczy miał fioletowe, jak matka, ale nie tak ciemne. Przypominały raczej wirio niż krew. Płonął w nich ogień ekstazy. Młody elf uśmiechnął się lekko.

- Błyskawice, Samarze! Nigdy takich nie widziałem! Nie tylko je widzę, ale i czuję. Dotykają mojego ciała, aż włoski na ramionach mi się jeżą. Spowijają mnie zasłonami płomienia, które liżą mi skórę i wypełniają mnie ogniem. Gromy wstrząsają mną do głębi, ziemia drży pod moimi stopami. Mo - ja krew płonie, a deszcz, palący deszcz, studzi moją gorączkę. Nic mi nie grozi, Samarze. - Silvan uśmiechnął się szerzej, jego skóra i włosy lśniły od deszczu. - A przynajmniej nie więcej, niż gdybym był w łóżku z kochanką...

- Nie godzi się tak mówić, książę Silvanie - skarcił go rozgniewany Samar. - Powinieneś...

Przerwały mu paniczne, rozpaczliwe tony myśliwskich rogów. Ekstatyczny sen Silvana prysnął, roztrzaskany przez ich dźwięk, jeden z pierwszych, jakie zapamiętał z dzieciństwa. Dźwięk ostrzegający przed niebezpieczeństwem.

Otworzył szeroko oczy. Nie potrafił określić, z którego kierunku dobiegają ostrzegawcze tony. Wydawało mu się, że napływają ze wszystkich stron. Alhana stała w wejściu do kurhanu i wpatrywała się w deszcz, otoczona przez swych rycerzy.

Przez zarośla przedarł się z trzaskiem goniec. Nie było czasu się skradać. Ani potrzeby.

- Co się dzieje? - zawołał Silvan. Żołnierz zignorował go i pobiegł do dowódcy.

- Ogrowie! - krzyknął.

- Gdzie? - zapytał Samar. Elf wciągnął powietrze w płuca.

- Wszędzie, dowódco! Otoczyli nas. Nie słyszeliśmy ich. Burza zagłuszyła ich kroki. Wartownicy wycofali się za barykadę, ale barykada...

Nie mógł mówić dalej. Zabrakło mu tchu. Wskazał na północ.

Ciemność rozproszyła tam niezwykła luna, o niepokojącej fioletowobiałej barwie błyskawic, która stawała się coraz jaśniejsza.

- Co to jest? - zawołał Silvan, przekrzykując łoskot gromów. - Co to znaczy?

- Barykada wzniesiona przez rzeźbiarzy drzew płonie - wyjaśnił ponurym tonem Samar. - Ale ulewa z pewnością ugasi...

- Nie, dowódco. - Goniec uspokoił już oddech. - W barykadę uderzyły pioruny. Nie w jednym miejscu, ale w wielu.

Ponownie wyciągnął rękę, wskazując na wschód i na zachód. Pożary otaczały ich już ze wszystkich stron, omijając tylko południe.

- Pioruny wywołują ogień, a deszcz go nie gasi, zupełnie jakby z nieba lał się olej.

- Powiedz rzeźbiarzom drzew, żeby ugasili ogień swą magią.

Goniec miał bezradną minę.

- Dowódcu, rzeźbiarze drzew są wycieńczeni. Zakłęcie, którego użyli, by wznieść barykadę, wyczerpało ich do cna.

- Jak to możliwe? - zapytał gniewnie Samar. - To prosty czar... Zresztą, mniejsza z tym!

Znał odpowiedź, choć uparcie nie chciał jej przyjąć do wiadomości. Już od dwóch lat elfi czarodzieje czuli, że ich moc słabnie. Działo się to stopniowo i z początku było prawie niezauważalne. Czarodzieje tłumaczyli to zjawisko chorobą albo zmęczeniem, w końcu jednak byli zmuszeni przyznać, że moc wycieka z nich jak ziarenka piasku spomiędzy zaciśniętych palców. Mogli zatrzymać jej część, ale nie całą. Nie dotyczyło to wyłącznie elfów. Docierały do nich wiadomości, że ludzcy czarodzieje również ucierpieli. To jednak ich zbytnio nie pocieszało.

Ogrowie przemknęli między gońcami pod osłoną burzy i zmiażdżyli wartowników. Ciernistą barykadę u podstawy wzgórza w kilku miejscach trawiły gwałtowne pożary. Za barykadą znajdowała się linia drzew, pod którą oficerowie ustawiali szeregi elfich łuczników. Groty ich strzał błyszczały jak iskry.

Ogień powstrzyma ogrów na pewien czas, ale gdy zgaśnie, potwory runą do ataku. Ciemność, deszcz i gwałtowny wicher utrudniały zadanie łucznikom, którzy mieli niewielką szansę trafić w cel, nim wróg ich zaleje. A gdy już się to stanie, nastąpi straszliwa rzeź. Ogrowie nienawidzili wszystkich zamieszkujących Krynn ras, ale ich nienawiść do elfów zaczęła się już u zarania czasu. Ogrowie byli ongiś najpiękniejszą rasą, ulubieńcami bogów. Po ich upadku pozycja rozpieszczanych ulubieńców przypadła elfom. Ogrowie nigdy im tego nie wybaczyli.

- Oficerowie do mnie! - zawołał Samar. - Dowódcu polny! Ustaw swoich łuczników w szereg za lansjerami. Powiedz im, żeby nie strzelali bez rozkazu.

Pobiegł do wnętrza kurhanu. Silvan podążył za nim. Wywołana burzą ekstaza ustąpiła miejsca skupionemu podnieceniu towarzyszącemu walce. Alhana obrzuciła syna niespokojnym spojrzeniem. Widząc, że nic mu się nie stało, przeniosła swą uwagę na Samara. Elfi oficerowie napływali tłumnie do środka.

- Ogrowie? - zapytała.

- Tak, królowo. Zaatakowali pod osłoną burzy. Goniec jest przekonany, że nas otoczyli. Nie jestem tego pewien. Sądzę, że droga na południe może nadal być otwarta.

- Co sugerujesz?

- Wycofajmy się do fortecy Legionu Steela. Zbrojny odwrót. Twoje rokowania z ludzkimi rycerzami zakończyły się sukcesem, pomyślałem więc, że...

Plany i fortele, strategia i taktyka. Silvan miał już tego serdecznie dość. Nie chciał więcej o tym słyszeć. Skorzystał z okazji i wymknął się na zewnątrz. Pobiegł za kurhan, gdzie leżało jego posłanie. Wetknął rękę pod koc i ujął rękojeść miecza, który kupił sobie w Solące. Błyszcząca broń zachwycała go swą nowością. Miała ozdobnie rzeźbioną rękojeść o kształcie dziobu gryfa. Co prawda, trudno było ją trzymać - dziób wbijał mu się w dłoń - ale za to miecz wyglądał wspaniale.

Silvanoshei nie był żołnierzem. Nie uczono go walki. Nie z jego winy. Zabroniła tego Alhana.

- W przeciwieństwie do moich, te dłonie... - mawiała, ściskając mocno dłonie syna - ...nie splamią się bratnią krwią. Będą leczyły rany, które jego ojciec i ja byliśmy, wbrew naszej woli, zmuszeni zadać. Dłonie mojego syna nigdy nie przeleją krwi elfów.

Tym razem jednak nie chodziło o krew elfów, lecz ogrów.

Matka nie mogła mu zabronić udziału w tej walce. Dorastał, nie nosząc broni i nie ucząc się walki, w żołnierskim obozie - i był przekonany, że wszyscy patrzą na niego z góry, że w głębi duszy uważają go za tchórza. Kupił w tajemnicy miecz, wziął kilka lekcji - dopóki się nimi nie znudził - i już od pewnego czasu z niecierpliwością czekał na szansę wykazania się swą biegłością.

Ciesząc się, że wreszcie ją otrzymał, zapiął pas na swym szczupłym ciele i wrócił do oficerów. Miecz obijał się z brzękiem o jego udo.

Ciągle napływali gońcy z nowymi meldunkami. Nienaturalny ogień pochłaniał barykadę w przerażającym tempie. Kilku oarów próbowało się przez nią przedrzeć. W blasku płomieni stanowili znakomite cele dla łuczników, lecz, niestety, pożar strawił strzały, nim te zdążyły trafić w napastników.

Ustalono już strategię odwrotu - Silvan nie usłyszał zbyt wiele, mówiono coś o wycofaniu się na południe, gdzie mieli się spotkać z oddziałami Legionu Steela - i oficerowie wrócili do swych oddziałów. Samar i Alhana stali obok siebie, pogrążeni w cichej, nerwowej rozmowie.

Silvan wyciągnął z brzękiem miecz z pochwy i machnął nim zamasyście, omal nie ucinając Samarowi ręki.

- Co, do... - Samar zerknął ze złością na rozcięty, zakrwawiony rękaw, a potem na Silvana. - Oddaj mi to!

Wyciągnął rękę i, nim młodzieniec zdążył zareagować, wyrwał mu miecz z dłoni.

- Silvanosheiu! - Nigdy jeszcze nie widział, aby Alhana była taka wściekła. - Nie mamy czasu na wygłupy!

Odwróciła się do niego plecami na znak niezadowolenia.

- To nie są wygłupy, matko - zaprotestował Silvan. - Nie, nie odwracaj się ode mnie! Tym razem nie schowasz się za murem milczenia. Tym razem wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia!

Alhana odwróciła się powoli i przyjrzała uważnie synowi. Twarz miała bladą, a oczy szeroko otwarte.

Pozostali elfowie, wstrząśnięci i zażenowani, nie wiedzieli, gdzie podziąć oczy. Nikt nie sprzeciwił się królowej, nawet jej samowolny, krnąbrny syn. Sam Silvan zdumiał się własną odwagą.

- Jestem księciem Silvanesti i Qualinesti - ciągnął. Jest moim przywilejem i obowiązkiem bronić mojego ludu. Nie masz prawa mnie powstrzymać!

- Mam prawo, synu - odparła Alhana. Złapała go za nadgarstek, wbijając paznokcie w skórę. - Jesteś dziedzicem, jedynym dziedzicem. Wszystkim, co mi zostało... - Umilkła, żałując własnych słów. - Wybacz mi. Nie chciałam tego mówić. Królowa nie ma nic własnego. Wszystko, co ma i czym jest, należy do jej ludu. Jesteś wszystkim, co zostało naszemu ludowi, Silvanie. Idź po swoje rzeczy - rozkazała, z najwyższym wysiłkiem panując nad głosem. - Rycerze odprowadzą cię w głąb puszczy...

- Nie, matko, nie będę się już dłużej ukrywał - sprzeciwił się Silvan, starając się przemawiać stanowczo, spokojnie i z szacunkiem. Jeśli będzie mówił jak nadąsane dziecko, jego sprawa będzie przegrana. - Przez całe życie, gdy tylko pojawiała się jakieś niebezpieczeństwo, natychmiast chowałam mnie gdzieś w jaskini albo pod łóżkiem. Nic dziwnego, że mój lud mnie nie szanuje. - Przeniósł spojrzenie na Samara, który przyglądał się mu z uwagą. - Chcę choć raz zrobić, co do mnie należy, matko.

- Pięknie powiedziane, książę Silvanosheiu - pochwalił go Samar. - Niemniej elfie przysłowie mówi: „Miecz w ręku niewprawnego przyjaciela jest groźniejszy niż w ręku wroga”. Nie można uczyć się walki tuż przed bitwą, młodzieńcze. Jeśli jednak naprawdę chcesz opanować tę sztukę, później z przyjemnością udzielę ci instrukcji. Tymczasem jest pewne zadanie, które możemy ci zlecić.

Przewidywał, jaką reakcję wywołają jego słowa i nie pomylił się. Ostry jak grot strzały gniew Alhany znalazł sobie nowy cel.

- Samarze, chcę z tobą pomówić! - warknęła królowa zimnym, twardym i władcym tonem. Odwróciła się na pięcie i ruszyła w głąb kurhanu ze sztywnymi plecami i uniesioną brodą. Samar podążył posłusznie za nią.

Z zewnątrz dobiegały krzyki, dźwięk rogów oraz straszliwa, basowa wojenna pieśń ogrów, która brzmiała jak bicie w bęben. Burza nie przestawała się srożyć, wspomagając wysiłki nieprzyjaciela. Silvan stał przy wejściu, zdumiony własnym zachowaniem, dumny, ale i przerażony; zawstydzony, lecz nieustępliwy, nieustraszony, a jednocześnie pełen strachu. Nie potrafił się rozeznaczyć we własnych uczuciach. Wyteżał wzrok, aby zobaczyć, co się stało, lecz polaną spowiły kłęby dymu buchającego z płonącej barykady. Krzyki były coraz cichsze. Żałował, że nie może podsłuchać rozmowy Alhany z Samarem. Mógłby podkraść się bliżej, ale to byłoby dziecinne zachowanie, uwłaczające jego godności. Zresztą potrafił sobie wyobrazić, o czym mówią. Nieraz już słyszał tę rozmowę.

Zapewne nie mylił się zbyt.

- Samarze, wiesz, czego pragnę dla Silvanosheia - powiedziała Alhana, gdy tylko oddalili się poza zasięg słuchu pozostałych. - A mimo to się mi sprzeciwiasz i zachęcasz go do tego szaleństwa. Jestem tobą bardzo rozczarowana.

Jej gniewne słowa wbiły się głęboko w serce Samara, aż popłynęła krew. Choć jednak Alhana była odpowiedzialna za ich lud jako królowa, on ponosił odpowiedzialność jako żołnierz. Jego zadaniem było zapewnić elfom teraźniejszość i przyszłość. W tej przyszłości elfie narody będą potrzebowały silnego dziedzica, a nie nieudacznika, takiego jak Gilthas, syn Tanisa Półelfa, który obecnie bawił się we władcę Qualinesti.

Samar jednak nie zdradził swych prawdziwych myśli. Nie powiedział: „Wasza Królewska Mość, twój syn po raz pierwszy w życiu pokazał charakter. Powinniśmy go zachęcić, nie gasić.” Był nie tylko żołnierzem, lecz również dyplomata.

- Wasza Królewska Mość - zaczął. - Silvan ma już trzydzieści lat...

- Jest dzieckiem - przerwała mu Alhana. Samar pokłonił się.

- Być może według praw Silvanesti, królowo. Ale nie w Qualinesti. Tam osiągnąłby już status młodzieńca. Gdyby przebywał w Qualinesti, obowiązywałoby go już szkolenie wojskowe. Alhano - ciągnął, zapominając o tytułach, co niekiedy mu się zdarzało, gdy rozmawiali w cztery oczy - Silvanoshei liczy sobie niewiele lat, ale pomyśl tylko, jak niezwykle życie prowadził! Kołysankami były dla niego pieśni wojenne, a kołyską tarcza. Nigdy nie miał domu. Od dnia, gdy się narodził, rzadko się zdarzało, by oboje jego rodzice przebywali jednocześnie w tym samym pokoju. Kiedy nadchodził czas bitwy, całowałaś go i odjeżdżałaś, być może na śmierć. Wiedział, że możesz nie wrócić, Alhano. Widziałem to w jego oczach!

- Staralam się go ochronić przed tym wszystkim - rzekła, spoglądając na syna. Był tak bardzo podobny do ojca, że zalała ją nagła fala bólu. - Samarze, jeśli go stracę, po cóż byłby mi jeszcze ten ponury, beznadziejny byt?

- Nie ochronisz go przed życiem, Alhano - perswadował łagodnym tonem Samar. - Ani przed rolą, którą przeznaczone jest mu w nim odegrać. Książę Silvanoshei ma rację. Ma obowiązek wobec swego ludu. Pozwolimy mu spełnić ten obowiązek i - kończył z emfazą - jednocześnie skierujemy go w bezpieczne miejsce.

Alhana nic nie powiedziała, ale spojrzeniem pozwoliła mu mówić dalej.

- Tylko jeden z gońców wrócił do obozu - ciągnął Samar. - Inni albo zginęli, albo walczą o życie. Sama powiedziałaś, Wasza Królewska Mość, że musimy zawiadomić Legion Steela o tym ataku. Proponuję wysłać Silvana, aby przekazał rycerzom, że rozpaczliwie potrzebujemy pomocy. Niedawno wróciliśmy z fortecy, więc zna drogę. Główny trakt biegnie niedaleko obozu. Łatwo go znaleźć i podążyć nim do celu. Nie będzie to zbyt niebezpieczne. Ogrowie nas nie otoczyli. Będzie tam bezpieczniejszy niż tutaj. - Samar uśmiechnął się. Chciałbym, żebyś wróciła do fortecy razem z

nim, królowo. Alhana też się uśmiechnęła. Przestała się już gniewać.

- Moje miejsce jest u boku żołnierzy, Samarze. To ja ich tu przywiodłam. Walczą za moją sprawę. Gdybym opuściła ar - mię, straciłabym ich zaufanie i szacunek. Tak, przyznaję, że masz rację w kwestii Silvana - dodała ze smutkiem. - Nie musisz wcierać soli w moje liczne rany.

- Królowo, nie chciałem...

- Chciałeś, Samarze - przerwała mu Alhana - ale twoje słowa płynęły z serca i były prawdziwe. Zlecimy księciu to zadanie. Silvan zawiadomi Legion Steela o naszej potrzebie.

- Po powrocie do fortecy ułożymy pieśni na jego cześć - dodał Samar. - A potem kupię mu miecz odpowiedni dla księcia, nie dla błazna.

- Nie, Samarze - sprzeciwiła się Alhana. - Może przenosić wiadomości, ale nigdy nie będzie nosił miecza. W dniu jego narodzin poprzysięgłam bogom, że nigdy nie wyciągnie broni przeciw swym braciom. Nigdy nie przeleje elfiej krwi.

Samar pokłonił się, rozsądnie zachowując milczenie. Biegły dowódca wiedział, w którym momencie zaprzestać natarcia, okopać się i czekać. Alhana ruszyła ku wyjściu. Plecy miała wyprostowane, a minę prawdziwie królewską.

- Mój synu - oznajmiła głosem wypranym z wszelkich emocji. - Podjęłam decyzję.

Silvanoshei spojrział na matkę. Alhana Starbreeze była córką Loraca, nieszczęsnego króla Silvanesti, który omal nie doprowadził swych poddanych do zguby. Dlatego postanowiła zapłacić za błędy ojca i odkupić swój lud. Ponieważ chciała zjednoczyć go z jego kuzynami, Qualinesti, i opowiadała się za sojuszem z ludźmi i krasnoludami, wygnali ją ci spośród Silvanesti, którzy twierdzili, że ich naród i kultura mogą przetrwać jedynie w izolacji od reszty świata.

Osiągnęła już wiek uważany przez elfów za dojrzały, lecz nie zbliżała się jeszcze do starości. Była niewiarygodnie piękna, piękniejsza niż kiedykolwiek dotąd. Jej włosy były czarne niczym morskie głębiny, do których nigdy nie docierają promienie słońca. Oczy, ongiś koloru ametystów, pociemniały teraz, jakby zabarwiły je ból i rozpacz, których doświadczała ich właścicielka. Dla tych, którzy ją otaczali, uroda Alhany nie stanowiła błogosławieństwa. Łamała im serca. Królowa sprawiała wrażenie zamkniętej w kolumnie lodu niczym legendarna smocza lanca, której odnalezienie dało zwycięstwo zagrożonemu światu. Gdyby lód się skruszył, pękłaby ochronna bariera otaczająca Alhanę, co złamałoby również ją samą.

Tylko jej syn, tylko Silvan potrafił stopić ten lód i dotknąć żywej, ciepłej kobiety, która była matka^ nie królową. Teraz jednak ta kobieta zniknęła. Nie było tu matki. Stała przed nim królowa, twarda i zimna. Wiedział, że zachował się głupio. Porażony wstydem i bojaźnią, padł przed nią na kolana.

- Wybacz mi, matko - rzekł. - Posłucham twego rozkazu. Odejdę...

- Księżę Silvanosheiu - zaczęła królowa swym dworskim tonem, którym nigdy nie zwracała się

do niego. Nie wiedział, czy ma się z tego cieszyć, czy płakać nad czymś, co bezpowrotnie utracił. - Dowódca Samar potrzebuje gońca, który pośpieszy do reddy Legionu Steela, aby zawiadomić rycerzy o naszej obecnej sytuacji. Powiedz lordowi rycerzowi, że planujemy zbrojny odwrót. Powinien zebrać swe siły, wyjechać nam na spotkanie i zaatakować ogrów z prawej flanki. Gdy tylko jego rycerze ruszą do szturm, przerwiemy odwrót i staniemy do walki. Nie pozwól, aby cokolwiek cię zatrzymało, Silvanie, gdyż ta wiadomość musi być przekazana.

- Rozumiem, królowo - zapewnił Silvan i wstał z klęczek. Triumf zabarwił jego policzki rumieńcem, a krew zelektryzował dreszczyk niebezpieczeństwa. - Nie zawiodę ciebie ani mojego ludu. Dziękuję ci za okazane zaufanie.

Alhana ujęła twarz syna w dłonie - tak zimne, że nie mógł powstrzymać dreszczu. Dotknęła ustami jego czoła. Jej pocałunek palił niczym lód. Ziąb przeniknął aż do serca młodzieńca. Miał czuć ten pocałunek już zawsze, aż do końca życia. Zastanawiał się, czyjej blade usta zostawiły na jego skórze nieusuwalny znak.

Szorstki profesjonalizm Samara stał się dla niego wybawieniem.

- Znasz drogę, książę Silvanie - stwierdził dowódca. - Pokonałeś ją przed zaledwie dwoma dniami. Półtorej mili stąd na południe przebiega trakt. Nie będziesz miał gwiazd za przewodniczki, ale wiatr wieje z północy. Jeśli będzie ci dmuchał w plecy, to znaczy, że zmierzasz we właściwym kierunku. Trakt prowadzi prosto ze wschodu na zachód. Prędzej czy później musisz do niego dotrzeć. Gdy już tak się stanie, idź na zachód. Wiatr będziesz czuł na prawym policzku. Powinieneś dotrzeć tam szybko. Nie musisz się maskować, odgłosy bitwy zagłuszą twoje kroki. Niech ci szczęście sprzyja, książę Silvanosheiu.

- Dziękuję, Samarze - odparł Silvan, wzruszony i usatysfakcjonowany. Po raz pierwszy w jego życiu dowódca przemówił do niego jak do równego sobie, a nawet okazał mu nieco szacunku. - Nie zawiodę ciebie ani matki.

- Nie zawieź swego ludu, książę - rzekł Samar. Silvan zerknął jeszcze z uśmiechem na matkę. Nie odwzajemniła uśmiechu. Młodzieniec odwrócił się i wyszedł, kierując w stronę lasu. Nie zdążył ująć daleko i usłyszał ogłuszający krzyk Samara: - Generale Aranoshah! Przenieś dwa szyki piechoty z lewego skrzydła na prawe. Musimy zachować cztery jednostki w odwodzie, żeby ochraniały Jej Królewską Mość na wypadek, gdyby nieprzyjaciel się przedarł.

Gdyby się przedarł! To niemożliwe. Powstrzymają go. Muszą go powstrzymać. Silvan zatrzymał się i obejrzał za siebie. Elfowie zaśpiewali słodką, podniosłą pieśń bojową, która zagłuszyła grubiańskie ryki ogrów. Podniosło go to na duchu. Ruszył w dalszą drogę, gdy nagle na lewym stoku wzgórza pojawiła się kula ognista, niebieskobiała i oślepiająca, która następnie potoczyła się w dół, ku kurhanom.

- Przenieście ogień w lewo! - zawołał Samar.

Łucznicy stracili na chwilę orientację, nie rozumiejąc, co się dzieje. Oficerowie zdołali jednak skierować ich we właściwą stronę. Kula ognista uderzyła w kolejny fragment bariery, podpalając

ciemniste krzewy, po czym potoczyła się dalej. Z początku Silvan sądził, że to magiczny atak i zadał sobie pytanie, co poradzą łucznicy przeciw czarom, potem jednak za - uważył, że te kule są w rzeczywistości wielkimi wiązkami siana, spychanymi ze stoku przez ogrów. Widział ich masywne ciała, rysujące się czarno na tle płomieni. Napastnicy mieli w rękach długie kije, którymi popychali płonące bele.

- Czekaście na mój rozkaz! - krzyknął Samar, ale elfowie byli podenerwowani i kilka strzał pomknęło w kierunku płonącego siana.

- Nie, do cholery! - wrzasnął rozwścieczony Samar. - Nie są jeszcze w zasięgu! Czekaście na rozkaz Grom zagłuszył jego słowa. Widząc, że ich towarzysze strzelają, wszyscy łucznicy wypuścili pierwszą salwę. Strzały pomknęły po łuku przez pełen dymu mrok. Trzej pchający płonące bele ogrowie padli, ale większość pocisków spadła na ziemię daleko przed celem.

- Spokojnie - powtarzał sobie Silvan - niedługo ich powstrzymają.

Z lasu, nieopodal którego stali elfi łucznicy, dobiegło przeraźliwe wycie, jakby stado tysięcy wilków dopadło zwierzynę. Zdumiony Silvan wytrzeszczył oczy, przekonany, że to same drzewa ożyły.

- Przenieście ogień naprzód! - krzyknął zdesperowany Samar.

Łucznicy go nie słyszeli. Jego słowa zagłuszał huk coraz bliższych płomieni. Oficerowie zbyt późno zauważyli nagłe poruszenie między drzewami u podstawy wzgórza. Spomiędzy nich wynurzyła się linia ogrów, którzy ruszyli do ataku na osłaniający łuczników żywopłot. Płomienie osłabiły barierę. Potężni ogrowie wdarli się między tłące się gałęzie i kłody, przepychając się na drugą stronę. Na ich skołtunioną sierść i długie brody sypały się węgielki, ale rozwścieczeni napastnicy parli naprzód, nie zwracając uwagi na ból.

Zaatakowani od frontu i z flanki elfi łucznicy rozpaczliwie sięgnęli po strzały, chcąc wypuścić jeszcze jedną salwę, nim dopadną ich ogrowie. Płonące bele toczyły się na nich z góry i elfowie nie wiedzieli, z którym wrogiem walczyć najpierw. Część z nich straciła głowę w szalejącym chaosie. Samar wy - dawał rykiem rozkazy, a oficerowie usiłowali zapanować nad żołnierzami. Łucznicy wypuścili drugą salwę. Niektórzy celowali w płonące bele, inni w atakujących z flanki ogrów.

Bardzo wielu napastników padło i Silvan pomyślał, że z pewnością rozpoczną odwrót. Ze zdumieniem i przerażeniem ujrzał, że ogrowie kontynuują atak.

- Samarze, gdzie są odwody? - zawołała Alhana.

- Chyba zostały odcięte - odparł złowrogim tonem dowódca. - Nie powinno cię tu być, Wasza Królewska Mość. Wracaj do środka. Tam będziesz bezpieczna.

Silvan zauważył matkę, która opuściła kurhan. Włożyła srebrną zbroję, a u boku miała miecz.

- To ja przyprowadziłam tu moich żołnierzów - sprzeciwiła się. - Czy chcesz, żebym chowała się w jaskini, gdy oni giną, Samarze?

- Chcę - warknął.

Uśmiechnęła się do niego niespokojnie, zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

- Jak myślisz, czy się przedrą?

- Nie widzę sposobu, w jaki moglibyśmy ich powstrzymać, Wasza Królewska Mość - mruknął posepnie Samar.

Elfi łucznicy wystrzelili kolejną salwę. Oficerowie odzyskali panowanie nad żołnierzami. Każdy strzał był celny. Atakujący od przodu ogrowie ginęli dziesiątkami. Połowa ich linii zniknęła. Mimo to nie przerywali ataku. Żywi tratowali poległych. Za parę chwil dotrą do łuczników.

- Szturm! - ryknął Samar.

Elfia piechota poderwała się z pozycji za barykadą po lewej i z okrzykami bojowymi na ustach rzuciła się na ogrów. Stał szczęknięta o stal. Płonące bele spadły na środek obozu, przygniatając żołnierzy, podpalając drzewa, trawę i ubrania. Nagle, bez ostrzeżenia, linia ogrowów zmieniła kierunek. Jeden z nich zauważył błyszczącą w blasku ognia srebrną zbroję Alhany. Wszyscy wskazywali na nią rękami, krzycząc gardłowo. Potem pognali w stronę kurhanu.

- Matko! - wy dyszał Silvan. Żołądek podszedł mu do gardła. Musiał sprowadzić pomoc. Liczyli na niego, on jednak był jak sparaliżowany, zahipnotyzowany straszliwym widokiem. Nie mógł do niej pobiec. Nie mógł uciec. Nie mógł ruszyć się z miejsca.

- Gdzie są odwody? - krzyczał wściekle Samar. Aranoshah! Ty sukinsynu! Gdzie są żołnierze Jej Królewskiej Mości?

- Tutaj, Samarze - odpowiedział jakiś wojownik. Musieliśmy torować sobie drogę walką, ale dotarliśmy na miejsce.

- Sprowadź ich na dół, Samarze - rozkazała spokojnie Alhana.

- Wasza Królewska Mość! - zaczął się sprzeciwiać. - Nie zostawię cię bez strażników.

- Samarze, jeśli nie powstrzymamy tego ataku, nie będzie miało wielkiego znaczenia, czy mam strażników, czy nie - zauważyła Alhana. - Ruszaj. Szybko!

Samar chciał się spierać, znał jednak tę zdeterminowaną, nieprzystępną minę królowej i wiedział, że byłaby to strata czasu. Zebrał odwody i ruszył do ataku na ogrow.

Alhana została sama. Jej srebrna zbroja lśniła w blasku płomieni.

- Spiesz się, Silvanie. Mój synu. Spiesz się. Życie nas wszystkich zależy od ciebie.

Mówiła do siebie, nie wiedząc, że on również ją słyszy.

Jej słowa pobudziły go do działania. Wydano mu rozkaz i zamierzał go wykonać. Gorzko żałował straconego czasu, a serce wypełniał mu strach o matkę. Odwrócił się i popędził do lasu.

Jego żyły wypełniła adrenalina. Przedzierał się przez chaszczę, odrzucał na bok konary, tratował młode drzewka. Patyki pękały pod jego stopami. Na prawym policzku czuł zimny, silny wiatr. W ogóle nie zauważał ulewy. Cieszył się z błyskawic, gdyż oświetlały mu drogę.

Zachował choć tyle ostrożności, że wypatrywał nieprzyjaciela, a także węszył uważnie, ponieważ brudnych, mięsożer - nych ogrów z reguły łatwiej było wywęszyć niż zobaczyć. Wyteżał też słuch, gdyż - choć elfowie powiedzieliby, że robił niewiarygodnie dużo hałasu - w porównaniu z deptającym gałęzie, tratującym krzewy ogrem przemykał przez las cicho jak jeleni.

Silvan poruszał się szybko, nie napotykając żadnych nocnych zwierząt. Po chwili odgłosy bitwy ucichły za jego plecami. Nagle zdał sobie sprawę, że jest sam nocą w lesie, a wokół szaleje burza. Poziom adrenaliny zaczął opadać. W jego sercu pojawiły się pierwsze oznaki strachu i wątplenia. A jeśli przybędzie za późno? A jeśli ludzie - znani ze swych kaprysów i zmiennej natury - nie zechcą nic zrobić? A jeśli ogrowie zalali elfów? A jeśli zostawił ich na śmierć? Okolica nie wyglądała znajomo. Na pewno skręcił w niewłaściwym kierunku i zabłądził...

Parł uparcie naprzód, biegnąc ze swobodą kogoś, kto urodził się i wychował w lesie. Pocieszył go widok jaru widocznego po lewej. Pamiętał go z wcześniejszych wypadów do fortecy. Przestał się obawiać, że zgubił drogę. Starał się trzymać z daleka od kamienistego brzegu parowu, który tworzył szeroką bliznę w leśnym podszyciu.

Silvan był miody i silny. Uwolnił się od wątpliwości, które ciążyły mu na sercu, i skupił na zadaniu. Nagle rozbłysła błyskawica i w jej świetle ujrzał przed sobą szlak. Ten widok przywrócił mu siły i determinację. Gdy tylko dotrze na gościniec, zwiększy tempo. Był znakomitym biegaczem. Często biegał długie dystanse dla samej przyjemności, jaką sprawiały mu praca mięśni, pot spływający po skórze, wiatr muskający twarz oraz rozlewające się po ciele ciepło, które łagodziło wszelki ból.

Wyobraził sobie, jak rozmawia z lordem rycerzy, prosząc go o pomoc i błagając o pośpiech. Jak podąża na czele odsieczy, a twarz matki rozpromienia się dumą...

W rzeczywistości droga została zablokowana. Zatrzymał się poirytowany, ślizgając się po błotnistej ścieżce, i przyjrzał się przeszkodzie.

W poprzek dróżki leżał gigantyczny konar, który spadł z prastarego dębu. Przejście blokowały liście i gałęzie. Silvan będzie zmuszony go ominąć, a w konsekwencji zbliżyć się do skraju jaru. Stąpał jednak pewnie, a drogę oświetlały mu błyskawice. Ominął ostrożnie koniec konaru, mając kilka stóp zapasu. Gdy przechodził nad gałęzią, wspierając się o pobliską sosnę, nagle uderzył w nią piorun.

Drzewo eksplodowało białym ogniem. Podmuch cisnął Silvana ponad krawędzią jaru. Elf potoczył się w dół po kamienistym stoku i uderzył o pniak złamanego drzewa sterczący na dnie parowu.

Ból przeszył jego ciało, lecz serce bolało go jeszcze bardziej. Zawiódł. Nie dotrze do fortecy. Rycerze nie otrzymają wiadomości. Jego rodacy nie zdołają sami pokonać ogrów. Zginą. Matka zginie, sądząc, że ją zawiódł.

Spróbował się poruszyć, podnieść, ale wypełnił go biały, płonący ból, tak straszliwy, że tracąc przytomność z radością pomyślał, iż umiera. Cieszył się, że połączy się ze swymi braćmi w śmierci, skoro już nie mógł dla nich zrobić nic innego.

Rozpacz i żal wezbrały mroczną falą, która opadła na Silvana i wciągnęła go w głębiny.

3

Nieoczekiwany gość

Burza się skończyła. Niezwykła nawałnica, która spadła na Ansalon niczym armia najeźdźców, uderzając jednocześnie we wszystkie części tego ogromnego kontynentu, szalała przez całą noc i ustąpiła dopiero z nadejściem świtu. Słońce wypełzło zza ciemnych, przeszywanych błyskawicami chmur, by zaśnić triumfalnie na błękitnym niebie. Światło i ciepło pocieszyły mieszkańców Solące, którzy wyszli z domów, chcąc ocenić spowodowane przez burzę szkody.

Miasteczko nie ucierpiało tak bardzo, jak niektóre inne części Ansalonu, choć wydawało się, że żywioł atakował je ze szczególną nienawiścią. Potężne drzewa vallen oparły się niszczycielskim piorunom, które były w nie raz po raz. Płomienie strawiły wierzchołki, lecz pożar nie rozszerzył się na niżej położone konary. Silne ramiona drzew kołysały się na szalonym wicherze, ale powierzone ich opiece domostwa nie pospadały. Strumienie wystąpiły z brzegów, a pola zostały zalane, lecz domy i budynki gospodarskie ocalały.

Grobowiec Ostatnich Bohaterów, piękna budowla z białego i czarnego kamienia, która stała na polanie na skraju osady, ucierpiał dość poważnie. Piorun trafił w jedną z wież, rozszczepiając ją. Wielkie kawały marmuru posypały się na trawę.

Największe szkody burza zadała jednak prostym, prowizorycznym domostwom uchodźców, którzy uciekli z krain położonych na zachód i południe od Solące. Jeszcze przed rokiem owe ziemie były wolne, lecz teraz panowała nad nimi zielona smoczyca Beryl.

Przed trzema laty wielkie smoki, walczące o panowanie nad Ansalonem, zawarły niepewny rozejm. Zdały sobie sprawę, że krwawe walki tylko je osłabiają i każdy zgodził się zadowolić terytorium, które już podbił. Zobowiązały się nie toczyć wojen między sobą, aby zwiększyć stan swego posiadania. Przestrzegały tej umowy przez dwa lata, lecz przed rokiem Beryl zauważyła, że jej magiczne moce zaczynają słabnąć. Z początku sądziła, że to tylko wytwór jej wyobraźni, ale z upływem czasu nabierała coraz bardziej przekonania, że coś jest nie w porządku.

Beryl oskarżała o utratę magicznych zdolności czerwoną smoczycę Malys. To był jakiś podły spisek, uknuty przez jej większą i potężniejszą kuzynkę. Winiła również ludzkich magów, którzy ukrywali się przed nią w Wieży Wielkiej Magii w Wayreth. W konsekwencji Beryl zaczęła stopniowo podbijać dalsze ludzkie ziemie. Działała powoli, nie chcąc przyciągać uwagi Malys, która nie przejmowała się, jeśli jej kuzynka od czasu do czasu spaliła jakieś miasteczko czy splądrowała wioskę. Niedawno Beryl zapanowała nad miastem Haven, lecz Solące na razie pozostawało nietknięte. Skupiła już jednak na nim swój wzrok. Rozkazała odciąć prowadzące do miasteczka główne trakty, by mieszkańcy poczuli odpowiedni nacisk, i czekała na właściwą chwilę.

Ludność Solące zwiększyła się trzykrotnie z powodu napływu uchodźców, którzy zdążyli umknąć z Haven i otaczających je ziem przed zamknięciem dróg. Dźwigających swój dobytek w tobołkach albo przewożących go na wozach uciekinierów umieszczono w - jak określili to ojcowie miasta - tymczasowych kwaterach. Baraki faktycznie miały być jedynie tymczasowym lokum, ale ciągły napływ nowych uchodźców obrócił wniwecz dobre intencje i tymczasowe schronienia stały się, niestety, stałymi.

Pierwszą osobą, która rankiem po burzy dotarła do obozu uchodźców, był Caramon Majere. Powoził wozem wyłado - wanym workami żywności, drewnem do odbudowy, suchymi szczapami na opał oraz kocami.

Caramon przekroczył już osiemdziesiątkę - nikt nie wiedział, o ile lat, gdyż sam stracił ich rachubę. Statsię tym, kogo w Solamni zвано „dostojnym starcem”. Wiek potraktował go niczym honorowy nieprzyjaciel. Spojrzał mu prosto w twarz i oddał honory, zamiast wbić zdradziecko nóż w plecy. Caramon był dziarski i krzepki, korpulentny, ale nie zgarbiony. („Nie mogę się garbić, bo brzuszysko mi nie pozwala”, mawiał ze śmiechem.) Co rano pierwszy zrywał się na nogi, by narąbać drewno do kuchni albo wciągnąć na piętro ciężkie beczki z ale.

Nad codziennym funkcjonowaniem gospody „Ostatni Dom” czuwały jego dwie córki. To było jedyne ustępstwo na rzecz wieku, na jakie przystał Caramon. Nadal stał za szynkwasem i opowiadał swe historie. Laura kierowała gospodą, a Dezra, która lubiła przygody, jeździła na targ do Haven i dalej, w poszukiwaniu najlepszego chmielu do produkcji ale i miodu, z którego wytwarzali swój

legendarny miód pitny. Przywoziła nawet krasnoludzką gorzałkę z Thorbardinu. Gdy tylko Caramon wychodził z gospody, natychmiast opadały go dzieci z Solące. Wszystkie nazywały go „dziaduniem” i rywalizowały o przywilej przejażdżki na jego szerokich barkach albo błagały go o opowieści o dawnych bohaterach. Był też przyjacielem uchodźców, którzy zapewne w ogóle nie mieliby gdzie mieszkać, gdyby Caramon nie podarował im drewna i nie nadzorował stawiania baraków. Obecnie kierował budową stałych schronień na peryferiach Solące, naciskając, błagając i terroryzując oporne władze, aby zmusić je do działania. Gdy tylko Caramon Majere wychodził na ulice rodzinnej miejsciny, zawsze słyszał błogosławieństwa mieszkańców.

Kiedy już pomógł uchodźcom, dokonał obchodu reszty Solące, chcąc się upewnić, że nikomu nic nie grozi i podnieść na duchu przybitych straszliwą nocą mieszkańców. Potem udał się na śniadanie. Ostatnio często spożywał je w towarzystwie pewnego rycerza solamijskiego. Ów mężczyzna przypominał Caramonowi dwóch synów, którzy zginęli podczas Wojny Chaosu.

Po zakończeniu tej wojny rycerze solamijscy ustanowili w Solące swój garnizon. Z początku był on niewielki, miał jedynie zapewnić honorową straż dla Grobowca Ostatnich Bohaterów. Potem go powiększono, aby przeciwstawić się groźbie wielkich smoków, które były teraz uznanymi - choć nienawidzonymi - władcami większej części Ansalonu.

Beryl pozwalała ludziom z Solące i innych miast oraz krain, nad którymi panowała, żyć swoim życiem, pod warunkiem, że płacili jej daninę. W ten sposób wytwarzali oni więcej bogactw i mogli płacić więcej. W przeciwieństwie do złych smoków z dawnych czasów, które uwielbiały palić, płądrować i zabijać, Beryl przekonała się, że spalone miasta nie przynoszą zysków, a martwi mieszkańcy nie płacą podatków.

Wielu zadawało sobie pytanie, dlaczego Beryl i jej kuzyni, którzy władali straszliwą i potężną magią, pożądamy bogactw i domagają się płacenia daniny. Beryl i Malys były sprytnymi istotami. Gdyby oddawały się niszczycielskiemu, bezsensownemu okrucieństwu i dopuszczały się masowych rzezi, zdesperowani mieszkańcy Ansalonu zbuntowaliby się przeciw nim i pomaszerowali na wojnę. W obecnej sytuacji większość ludzi uważała życie pod władzą smoków za względnie wygodne i nie zamierzała podnosić buntu.

Niektóre istoty spotykał zły los, lecz z pewnością sobie na to zasłużyły. Cóż obchodziło ludzi, że setki kenderów wymordowano lub wygnano z domów, a zbuntowanych elfów Qualinesti więziono i torturowano? Beryl i Malys miały w każdym ludzkim miasteczku i wiosce sługusów i szpiegów, których zadanie polegało na sianiu niezgody, nienawiści i podejrzeń, a także pilnowaniu, aby nikt nie ukrył przed smoczymi choćby złamanego miedziaka.

Caramon Majere był jednym z nielicznych ludzi, którzy nie ukrywali, że nienawidzą myśli o płaceniu smokom daniny i nie zamierzają tego robić.

- Nie oddam tym diabłom ani kropli ale - zapewniał żarliwie, gdy tylko ktoś go o to pytał. Robiono to jednak rzadko, każdy bowiem wiedział, że szpiegzy Beryl zapisują imiona.

Był nieustępliwy, ale dręczył go niepokój. Solące stało się bogatym miasteczkiem, które przerosło już rozmiarami Haven. Danina, której żądała smoczyca, była wysoka. Żona Caramona,

Tika, wskazywała, że inni mieszkańcy Solące muszą płacić za nich, co jest dla nich sporym obciążeniem. Caramon dostrzegając mądrość jej słów i w końcu wpadł na pomysł, że nałożą na siebie specjalny podatek, który będzie płaciła tylko ich gospoda. Pochodzących z niego pieniędzy w żadnym wypadku nie wolno było oddawać smoczy. Miały one pomagać tym, którzy ucierpieli dlatego, że musieli płacić tak zwany „smoczy podatek”.

Mieszkańcy Solące płacili daninę, ojcowie miasta refundowali im część wydatków z funduszy pochodzących od Caramona, a smoczyca otrzymywała żadaną sumę.

Gdyby jeszcze mieszkańcy wiedzieli, jak powstrzymać staruszka przed wypowiedaniem się na ten drażliwy temat... Caramon bowiem nadal głośno wyrażał nienawiść do smoków, powtarzając uparcie: „Gdybyśmy tylko zebrali się wszyscy razem, wybilibyśmy Beryl oko smoczą laną”. W rzeczy samej, gdy przed kilku tygodniami smoczyca zaatakowała Haven za rzekome zwlekanie z zapłatą trybutu - ojcowie miasta osobiście pofatygowali się do Caramona i padli przed nim na kolana, błagając go, aby zaprzestał wygłaszania tych podburzających uwag.

Caramon nie pozostał obojętny na ich oczywisty strach i niepokój. Zgodził się złagodzić nieco swą retorykę i ojcowie miasta odeszli usatysfakcjonowani. Caramon rzeczywiście spełnił ich prośbę i od tej pory wyrażał swe poglądy spokojniejszym tonem, bez głośnego oburzenia.

Tego ranka podczas śniadania po raz kolejny zapoznał młodego Solamniczka ze swymi nieortodoksyjnymi opiniami.

- To była naprawdę okropna burza - rzekł rycerz, siadając naprzeciwko Caramona.

W gospodzie jadła śniadanie również grupka innych rycerzy, lecz Gerard uth Mondar nie poświęcał im zbyt wiele uwagi, a i oni się nim nie przejmowali.

- Moim zdaniem to zły omen na nadchodzące czasy zgodził się Caramon, wciskając swe masywne ciało do drewnianej łoży o wysokim oparciu, której siedzisko tyłek starego pracownika wypolerował. - Ale i tak czuję się podekscytowany.

- Ojczy! - oburzyła się Laura. Postawiła na stole befsztyk z jajecznicą dla Caramona i miskę owsianki dla rycerza.

- Jak możesz wygadywać takie rzeczy? Ucierpiało tak wielu ludzi. Słyszałam, że wichura porwała całe domy.

- Nie o to mi chodziło - zapewnił skruszony staruszek. - Oczywiście, żal mi ludzi, którzy ponieśli straty, ale nocą przyszło mi do głowy, że ta nawałnica solidnie wstrząsnęła leżem Beryl. Być może nawet spaliła tę starą, wredną dziwkę. To właśnie miałem na myśli. - Spojrzał z niepokojem na stojącą przed rycerzem miskę owsianki. - Jesteś pewien, że się tym najesz, Gerardzie? Powiem Laurze, żeby usmażyła ci trochę ziemniaków...

- Dziękuję, ale nie jestem przyzwyczajony do obfitych śniadań - udzielił rycerz swej zwyczajowej odpowiedzi na codziennie zadawane pytanie.

Caramon westchnął. Choć czuł sympatię do młodzieńca, nie potrafił zrozumieć nikogo, kto nie lubił jeść. Ten, komu nie smakowały sławne korzenne ziemniaki Otika, nie znajdował w życiu wiele przyjemności. Tylko raz jedzenie przestało go cieszyć - kilka miesięcy temu, gdy umarła jego ukochana żona Tika. Całymi dniami nie brał wówczas nic do ust, ku straszliwemu zdumieniu i konsternacji całego miasta. Wszyscy mieszkańcy wpadli wówczas w szal gotowania, starając się upichcić coś, co mogłoby go skusić.

Nic nie jadł, nic nie robił i nic nie mówił. Wałęsał się bez celu po mieście albo siedział bez ruchu, wlepiając suche oczy w kolorowe okna gospody, w której niegdyś poznał irytującą rudowłosą dziewczynę - to ona stała się potem jego towarzyszką broni, kochanką, przyjaciółką i zbawieniem. Nie ronił nad nią łez, nie chodził na jej grób pod drzewami vallen. Nie spał w ich wspólnym łóżu. Nie chciał wysłuchać kondolencji przysłanych przez Lauranę i Gilthasa z Qualinesti oraz przez Goldmoon z Cytadeli Światła.

Stracił na wadze, a jego skóra zrobiła się obwisła i nabrała szarawego odcienia.

- Wkrótce podąży za Tiką - powtarzali mieszkańcy. Mogłoby się tak stać, gdyby pewnego dnia, wałęsając się bez celu po mieście, nie natknął się na jedno z dzieci uchodźców. Malec zastąpił staruszkowi drogę i podsunął mu kromkę chleba.

- Proszę, niech pan coś zje - powiedział. - Mama mówi, że jeśli nic pan nie będzie jadł, to pan umrze, i co się wtedy stanie z nami?

Caramon gapił się na niego zdumiony. Potem uklęknął, wziął dziecko w ramiona i rozplakał się rzewnie. Zjadł chleb, każdy okruszek, a gdy nadeszła noc, zasnął w łóżu, które dzielił z Tiką. Następnym rankiem położył kwiaty na jej grobie i zjadł śniadanie, którym nasyciłoby się trzech mężczyzn. Znowu zaczął się śmiać i uśmiechać, lecz wyczuwało się w jego zachowaniu nutę, której przedtem nie było. Nie smutek, lecz tęskną niecierpliwość.

Czasami, gdy drzwi gospody się otwierały, patrzył w słoneczne, błękitne niebo i mówił bardzo cicho: - Już idę, moja droga. Nie denerwuj się. Już niedługo. Gerard uth Mondar pośpiesznie spożywał owsiankę, nawet nie czując jej smaku. Nigdy nie doprawiał jej brązowym cukrem czy cynamonem, ani nawet solą. Jedzenie dostarczało ciała paliwa i to była jego jedyna rola. Połykał owsiankę, popijając stężałą masę kubkiem herbaty z tarbeanu i słuchał, jak Caramon opowiada o straszliwych cudach burzy.

Inni rycerze zapłacili i wyszli. Uprzejmie pozdrowili Caramona, lecz do swego towarzysza nie odezwali się ani słowem. Gerard udał, że tego nie zauważa, niezłomnie wypełniając usta owsianką.

Caramon śledził wzrokiem wychodzących rycerzy. Przerwał opowieść nagle, jak z bicza strzelił.

- Cieszę się, że poświęcasz swój czas takiemu stare - mu przykowi jak ja, Gerardzie, ale jeśli wolisz jeść śniadanie z przyjaciółmi...

- To nie są moi przyjaciele - oznajmił Gerard bez śladu gorczy czy żalu w głosie, po prostu

stwierdzając fakt. - Zdecydowanie wolę jeść z człowiekiem, który jest mądry i nie brakuje mu zdrowego rozsądku.

Uniósł kubek w salucie na cześć Caramona.

- Po prostu mam wrażenie, że jesteś... - Caramon przerwał na chwilę, przeżuując kęs mięsa. - Samotny - wymamrotał z pełnymi ustami. Przełknął mięso i nadział na widelec kolejny kawałek. - Powinieneś znaleźć sobie dziewczynę albo żonę, czy coś w tym guście.

Gerard prychnął pogardliwie.

- Jaka kobieta zechciałaby choć spojrzeć na kogoś z taką gębą?

Popatrzył z niezadowoleniem na swe odbicie w gładkim cynowym kubku.

Nie sposób było zaprzeczyć, że Gerard jest brzydki. Przebyta w dzieciństwie choroba naznaczyła jego twarz ospowatymi zgrubieniami i bliznami. Nos złamał w bójce z chłopcem z sąsiedztwa, kiedy miał dziesięć lat, i zrósł mu się trochę krzywo. Włosy miał żółte - nie blond, nie jasne, a po prostu żółte jak słoma. W dotyku również przypominały słomę. Nie chciały leżeć gładko, lecz - jeśli im na to pozwolił - sterczały z głowy pod wszelkimi możliwymi kątami. Gerard nie chciał wyglądać jak strach na wróble - jak przezywano go w dzieciństwie - i dlatego strzygł się bardzo krótko.

Jedynie do oczu nie można było mieć zastrzeżeń, niezwykle - można by nawet powiedzieć, że niepokojąco - niebieskich. Ponieważ jednak rzadko widziało się w nich ciepło i zawsze przyglądały się wszystkiemu z wielką intensywnością, więcej osób odpychały niż przyciągały.

- E, tam! - Caramon zlekceważył kwestię wyglądu, machając widelcem. - Kobiety nie dbają o urodę mężczyzny. Liczy się dla nich honor, odwaga. Młody rycerz w twoim wieku... Ile masz lat?

- Skończyłem już dwadzieścia osiem - odpowiedział Gerard. Dojadł owsiankę i odsunął na bok miskę. - Dwadzieścia osiem nudnych, zmarnowanych lat.

- Nudnych? - powtórzył z niedowierzaniem Caramon. - Przecież jesteś rycerzem. Sam walczyłem w niejednej wojnie. O bitwach da się powiedzieć wiele rzeczy, ale nie to, że są nudne...

- Nigdy nie brałem udziału w bitwie - wyjaśnił z goryczą Gerard. Wstał i położył na stole monetę. - Wybacz, ale mam rano służbę przy grobowcu. Dziś mamy Dzień Środka Roku. Z powodu święta spodziewamy się napływu niesfornych, niszczycielskich kenderów. Rozkazano mi stawić się godzinę przed rozpoczęciem służby. Życzę radosnego dnia i dziękuję za towarzystwo.

Pokłonił się sztywno, odwrócił na pięcie, jakby już w tej chwili wykonywał powolny, miarowy marsz przed grobowcem, po czym opuścił gospodę. Caramon słyszał, jak tupie ciężkimi buciorami, idąc po długich schodach wiodących do gospody, która przycupnęła wysoko na gałęziach największego w Solące drzewa vallen.

Caramon rozsiadł się wygodnie w łoży. Przez okna wpadało do środka światło słoneczne,

które ogrzewało go przyjemnie. Napełnił brzuch i czuł się usatysfakcjonowany. Na dworze ludzie sprząkali po burzy, zbierając spadłe z drzew gałęzie, wietrząc zawilgocone domy i rozsypując słomę na błotnistych ulicach. Po południu włożą najlepsze ubrania i ozdobią włosy kwiatami, by uczcić najdłuższy dzień roku tańcami i ucztowaniem. Caramon widział Gerarda, który szedł po błocie ze sztywnym karkiem i sztywnymi plecami. Kierował się ku Grobowcowi Ostatnich Bohaterów, nie zwracając uwagi na to, co działo się wokół. Staruszek śledził rycerza wzrokiem tak długo, jak tylko zdołał. W końcu Gerard zniknął w tłumie.

- Dziwny z niego człowiek - zauważyła Laura, zabierając pustą miskę i monetę. - Nie wiem, jak możesz razem z nim jeść, ojcze. Od tej jego gęby mleko się warzy.

- Nic nie poradzi na swój wygląd, córko - skarcił ją surowo Caramon. - Masz jeszcze trochę jajecznicy?

- Zaraz ci przyniosę. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że znowu zacząłeś jeść. - Laura przerwała pracę, aby czule pocałować ojca w czoło. - A jeśli chodzi o tego młodzieńca, to nie twarz czyni go brzydkim. W swoim czasie kochałam kogoś, kto był znacznie brzydszy. Odpycha ludzi swą arogancją i dumą. Wydaje mu się, że jest lepszy od nas wszystkich i tyle. Czy wiesz, że pochodzi z jednej z najbogatszych rodzin w całym Palanthas? Powiadają, że jego ojciec praktycznie utrzymuje całe rycerstwo. Słono płaci za to, żeby zapewnić swemu synalkowi przydział tu, w Solące, daleko od walk w Sanction czy gdzie indziej. Nic dziwnego, że inni rycerze nie darzą go szacunkiem.

Laura umknęła do kuchni, aby przynieść ojcu dokładkę.

Zdumiony Caramon odprowadzał ją wzrokiem. Już od dwóch miesięcy codziennie jadł z tym młodym człowiekiem śniadanie i nic o tym nie wiedział. Uważał, że połączyła go z młodym rycerzem bliska znajomość, ale to Laura, która nigdy nie odezwała się do niego ani słowem, pomijając kwestie typu: „Herbata z cukrem czy bez?”, znała historię jego życia.

- Kobiety - mruknął do siebie staruszek, wygrzewając się w blasku słońca. - Mam osiemdziesiąt lat, ale równie dobrze mógłbym mieć szesnaście. Nie rozumiałem ich wówczas i teraz też ich nie rozumiem.

Laura wróciła z talerzem wypełnionym jajecznicą i korzennymi ziemniakami. Pocałowała ojca po raz drugi i wróciła do pracy.

- Jest bardzo podobna do matki - powiedział wzruszony staruszek i z satysfakcją pochłonął drugi talerz jajecznicy.

Brnący przez sięgające kostek błoto Gerard uth Mondar również myślał o kobietach. Zgodziłby się z opinią Caramona, że są to istoty, których mężczyźni nigdy nie rozumieją. Staruszek jednak lubił kobiety, a Gerard ich nie cierpiał i im nie ufał. Kiedy miał czternaście lat i właśnie wyzdrowiał z choro - by, która zniszczyła jego twarz, dziewczyna z sąsiedztwa wyśmiewała się z niego, przezywając go „dziobaty”.

Gdy matka zauważyła, że przetyka łyżę, pocieszyła go, mówiąc: - Nie przejmuj się głupią

smarkulą, synku. Jeszcze nadejdzie dzień, gdy kobiety będą cię kochać. - Po chwili przerwy dodała: - W końcu jesteś bardzo bogaty.

Choć minęło czternaście lat, nadal budził się po nocach, słysząc przenikliwy, drwiący śmiech dziewczyny, a jego dusza kulila się ze wstydu i zażenowania. Gdy jednak przypominał sobie słowa matki, wstyd ustępował miejsca gniewowi, który płonął tym gorzej, że proroctwo okazało się trafne. „Głupia smarkula” wręcz rzuciła się na Gerarda, kiedy oboje mieli po osiemnaście lat, gdyż doszła do wniosku, że pieniądze nawet najbrzydszy chwast mogą uczynić pięknym jak róża. Odtrącił ją ze wzgardą, co sprawiło mu wielką przyjemność. Od tej pory podejrzewał, że każda kobieta, która spojrzała na niego choć ze śladem zainteresowania, oblicza potajemnie jego wartość, maskując jednocześnie wstręt za pomocą uśmiechów i trzepotania rzęsami.

Pamiętając o przysłowiu mówiącym, że najlepszym atakiem jest dobra obrona, Gerard zbudował wokół siebie istną fortecę, której bramy jeżyły się ostrymi docinkami, murów broniły kadzie pełne zjadliwych uwag, wyniosłe wieże skrywały się w chmurach ponurego nastroju, a całość otaczała fosa zastarzałej urazy.

Ta forteca broniła go skutecznie również przed mężczyznami. Zebrane przez Laurę plotki były w zasadzie zgodne z prawdą. Gerard uth Mondar rzeczywiście pochodził z jednej z najbogatszych rodzin w Palanthis, a zapewne również w całym Ansalonie. Przed Wojną Chaosu ojciec Gerarda, Mondar uth Alfric, był właścicielem najlepiej prosperującej stoczni w Palanthis. Przewidując nadejście czarnych rycerzy, sir Mondar rozsądnie zamienił niemal wszystko, co posiadał, na dobrą, solidną stal i przeniósł się z rodziną do Południowego Ergothu, gdzie jego interes rozkwitł na nowo.

Sir Mondar miał wielkie wpływy wśród rycerzy solamijskich. Łożył na utrzymanie zakonu większe niż jakikolwiek inny rycerz sumy. Postarał się, aby jego syn został rycerzem, a potem dopilnował, żeby otrzymał najbezpieczniejszy z możliwych przydziałów. Mondar nigdy nie pytał Gerarda, czego ten chce od życia. Uważał za oczywiste, że jego syn pragnie zostać rycerzem. Gerard również uważał to za oczywiste, aż do nocy czuwania przed ceremonią przyjęcia. Nocą miał wizję, lecz nie była to wizja chwały zdobytej na polu bitwy, ale wizja miecza rdzewiejącego w pochwie i bieganina na posyłki, stania na straży nad pyłem i popiołami, które nie wymagały pilnowania.

Było już jednak za późno, żeby się wycofać. W ten sposób złamałby rodzinną tradycję, której początek dał ponoć Yinas Solamnus. Ojciec by się go wyrzekł, zniechęciłby go na zawsze. Matka, która rozesłała setki zaproszeń na ceremonię, rozchorowałaby się na co najmniej miesiąc. Gerard nie wycofał się i złożył śluby, choć uważał je za pozbawione znaczenia. Wdział zbroję, która stała się dla niego więzieniem.

Spędził w szeregach rycerstwa już siedem lat. Ostatni rok poświęcił na „honorową” służbę, która polegała na pilnowaniu trupów. Przedtem zajmował się parzeniem herbaty z tarbeanu i pisaniem listów dla dowódcy placówki w Południowym Ergocie. Zażądał przeniesienia do Sanction i miał już tam wyjechać, gdy miasto zaatakowały armie Rycerzy Neraki i jego ojciec dopilnował, żeby zamiast do Sanction wysłano Gerarda do Solące. Rycerz wrócił do fortecy, wytarł błoto z butów i wyszedł, aby pełnić razem z towarzyszami honorową straż przed Grobowcem Ostatnich Bohaterów, choć nienawidził tej służby i szczerze nią gardził.

Grobowiec był prostą, elegancko zaplanowaną budowlą, wzniesioną przez krasnoludów z białego marmuru i czarnego obsydianu. Otaczały go zasadzone przez elfów drzewa, na których przez cały rok wyrastały wonne kwiaty. Wewnątrz leżały ciała Tanisa Półelfa, bohatera poległego w bitwie o Wieżę Wielkiego Klerysta, oraz Steela Brightblade'a, syna Sturma Brightblade'a, bohatera ostatniej bitwy przeciw Chaosowi. Spo - czywały tam również ciała dwóch rycerzy, którzy walczyli z bogiem Chaosu, a nad drzwiami wyryto nazwisko Tasslehoffa Burrfoota, kenderskiego bohatera tej wojny.

Kenderzy ściągali tu z całego Ansalonu, aby złożyć hołd swemu ziomkowi. Ucztowali i urządzali pikniki na trawnikach, śpiewając pieśni o wujku Tasie i opowiadając o jego bohaterskich czynach. Niestety, kilka lat po wybudowaniu grobowca kenderom przyszło do głowy, że powinni zabierać sobie na szczęście po kawałku grobowca. W tym celu atakowali go dłutami i młotkami. Rycerze solamnijscy zostali zmuszeni do otoczenia budowli parkanem z kutego żelaza, gdyż zaczęła wyglądać jak nadgryziona przez myszy.

Słońce świeciło wprost na Gerarda, który piekł się powoli w swej zbroi niczym wołowina w kuchni Laury. Pokonywał powolnym, miarowym marszem odległość stu kroków, dzielącą lewy narożnik grobowca od jego środka, spotykał się tam ze swym towarzyszem, który przemierzył taką samą drogę, po czym salutowali sobie nawzajem. Potem robili zwrot i oddawali honory poległym bohaterom, robili kolejny zwrot i maszerowali z powrotem ku narożnikom niczym dwa idealne lustrzane odbicia.

Sto kroków w tę. Sto kroków w tamtą.

I znowu, i znowu, i znowu.

Dla niektórych, na przykład dla rycerza, który pełnił dziś służbę z Gerardem, był to zaszczyt. On zapłacił za ten przydział krwią, nie pieniędzmi. Weteran utykał lekko, lecz mimo to kroczył dumnie. Trudno było mieć do niego pretensje o to, że za każdym razem, gdy spoglądał w twarz młodszego towarzysza, wykrzywił usta w grymasie wrogości.

Gerard maszerował cierpliwie po wyznaczonej trasie. Z upływem czasu gromadziły się coraz większe tłumy. Wielu gości przybyło do Solące specjalnie na święto. Kenderzy zjawili się jak zwykle tłumnie. Rozkładali posiłki na trawnikach, jedli i pili, tańczyli i grali w goblinią piłkę albo w kenderskiego berka. Uwielbiali oglądać rycerzy i drażnić się z nimi. Tańczyli wokół pełniących służbę mężczyzn, chcąc sprowokować ich do uśmiechu, łaskotali ich, stukali w ich zbroje, krzyczeli „zakute łby” albo „mięso w puszkach”, a także próbowali ich częstować, sądząc, że mogą być głodni.

Gerard uth Mondar nie lubił ludzi. Nie ufał elfom. Natomiast kenderów nienawidził. Szczerze nienawidził. Gardził nimi. Dotyczyło to wszystkich kenderów, nawet tak zwanych „poszkodowanych”, nad którymi z reguły się litowano. Byli to kenderzy, którzy uszli z życiem podczas ataku na ich ojczyznę wielkiej smoczycy Malys. Ponoć byli świadkami tak straszliwych okrucieństw i aktów przemocy, że ich wesoła, niewinna natura zmieniła się na zawsze i byli teraz podobni do ludzi: podejrzliwi, ostrożni i mściwi. Gerard w to nie wierzył. Według niego była to kolejna sztuczka mająca pomóc tym kurdupłom w wetknięciu brudnych łapek do jego kieszeni.

Kenderzy byli jak robactwo. Potrafili rozpląszyć swe małe, na pozór bezkostne ciała i wpełznąć do każdego budynku wzniesionego przez ludzi albo krasnoludów. Gerard był o tym święcie przekonany i dlatego nie zdziwił się zbytnio, gdy pod koniec jego służby - a było już późne popołudnie - usłyszał dobiegający z wnętrza grobowca przenikliwy głosik: - Halo! Czy ktoś mógłby mnie stąd wypuścić? Tu jest bardzo ciemno i nie mogę znaleźć klamki.

Rycerz pełniący służbę z Gerardem naprawdę pomylił krok. Zatrzymał się, odwrócił i wbił wzrok w budowlę.

- Słyszałeś to? - zapytał, marszcząc brwi. - Chyba ktoś jest w środku.

- Co miałem słyszeć? - Odpowiedział pytaniem Gerard, choć świetnie wiedział, o czym mowa.
- Na pewno ci się zdawało.

Była to jednak prawda. Hałas przybierał na sile. Do krzyków i nawoływań dołączyło pukanie i łomotanie w drzwi.

- Hej, słyszałem w grobowcu jakiś głos! - zawołało kenderskie dziecko, które przybiegło tu po piłkę odbitą od lewej nogi Gerarda. Chłopiec przycisnął twarz do parkanu wskazując na masywne, zamknięte drzwi grobowca. - Ktoś jest tam uwięziony! Chce wyjść!

Tłum kenderów i innych mieszkańców Solące, którzy przyszli tu, aby uczcić pamięć poległych piciem ale i pożeraniem kurczaków na zimno, zapomniał o kolacji i zabawach. Wszyscy zgromadzili się przy ogrodzeniu, wciągając głośno powietrze ze zdumienia. Omal przy tym nie stratowali rycerzy.

- Pochowali tam kogoś żywcem! - krzyknęła jakaś dziewczyna.

Tłum ruszył naprzód.

- Cofnąć się! - zawołał Gerard, wyciągając miecz. To święty grunt. Każdy, kto go sprofanuje, zostanie aresztowany! Randolph, biegnij po posiłki! Musimy oczyścić ten teren.

- A może to był duch - zastanawiał się drugi rycerz z błyskiem bojaźni w oczach. - Duch jednego z poległych bohaterów wrócił, by ostrzec nas przed jakimś straszliwym niebezpieczeństwem.

Gerard prychnął pogardliwie.

- Nasłuchałeś się za dużo opowieści bardów! Po prostu jeden z tych obmierzłych kurdupli wlaźł do środka i teraz nie może wyjść. Mam klucz do furtki w ogrodzeniu, ale nie wiem, jak się otwiera grobowiec.

Walenie w drzwi było coraz silniejsze.

Rycerz obrzucił Gerarda spojrzeniem pełnym niesmaku.

- Pobiegnę po profosa. On będzie wiedział, co zrobić. Randolph oddalił się biegiem, przytrzymując miecz, żeby nie obijał się o zbroję.

- Odsuńcie się na bok! - zażądał stanowczo Gerard. Wyciągnął klucz i oparł się plecami o furtkę, spoglądając na tłum. Przez dłuższą chwilę, grzebiąc na oślep ręką, szukał dziurki. W końcu udało mu się wepchnąć klucz w zamek i usłyszał trzask. Ku wielkiemu zachwytowi tłumy otworzył furtkę. Kilku zgromadzonych próbowało wdrzeć się do środka, lecz Gerard uderzył najśmielszego z nich płazem miecza, powstrzymując napór na parę chwil. To wystarczyło, aby zdołał wśliznąć się pośpiesznie do środka i zatrzaskał za sobą furtkę.

Tłum ludzi i kenderów przyciskał się do parkanu. Dzieci wsuwały głowy między pręty, a gdy nie mogły ich wyciągnąć, zaczynały się drzeć. Jedni wdrapywali się na płot, nadaremnie usiłując przeleźć na drugą stronę, inni zaś, z niezrozumiałych dla Gerarda motywów, wtykali między pręty ręce i nogi. Dowodziło to tylko oczywistości tego, co podejrzewał od dawna - wszyscy śmiertelnicy byli głupkami.

Rycerz upewnił się, że furtka jest zamknięta, po czym ruszył do grobowca, zamierzając stanąć przy wejściu i zaczekać na profosa, który będzie w stanie otworzyć drzwi.

Gdy jednak wchodził na schody z marmuru i obsydianu, usłyszał radosny głos: - Ach, mniejsza z tym. Mam go!

Rozległ się głośny trzask, jakby zamek otworzono wytrychem, i drzwi grobowca uchyliły się powoli.

Gapie westchnęli ze zgrozy połączonej z podnieceniem i zaczęli się przepychać do ogrodzenia. Każdy chciał dokładnie zobaczyć, jak rycerza rozszarpują na strzępy hordy szkieletów.

Z grobowca wychynęła jakaś postać. Była brudna i zakurzona, włosy miała rozczochrane, a ubranie poszarpane i nadpalone. Nie był to jednak szkielet, wampir krwiopijca czy wychudzony ghul.

To był kender.

Gapie jęknęli z rozczerowania.

Przybysz zamrugał, oślepiony jasnym blaskiem słońca.

- Cześć - odezwał się. - Jestem... - Przerwało mu kichnięcie. - Przepraszam. W środku jest okropnie dużo kurzu. Ktoś powinien tam posprzątać. Masz chusteczkę? Swoją chyba gdzieś zgubiłem. Właściwie to była chusteczka Tanisa, ale on nie żyje, więc chyba nie muszę już mu jej oddawać. Gdzie jestem?

- Aresztuję cię - oznajmił Gerard. Złapał mocno kendera obiema rękami i ściągnął go ze schodów.

Wyraźnie rozczerowani tym, że nie zobaczą walki między rycerzem a nieumarłym, gapie wrócili do swych pikników i gobliniej piłki.

- Poznają to miejsce - stwierdził kender, rozglądając się wokół zamiast patrzeć pod nogi. Rzecz jasna, natychmiast się potknął. - Jestem w Solące. Świetnie! Tu właśnie zamierzałem trafić.

Nazywam się Tasslehoff Burrfoot i przybyłem tu po to, żeby wygłosić mowę na pogrzebie Caramona Majere. Czy mógłbyś jak najszybciej zaprowadzić mnie do gospody? Naprawdę muszę wrócić. Rozumiesz, zaraz spadnie na mnie stopa olbrzyma. Płask! Nie chciałbym, żeby mnie to ominęło. Dlatego...

Gerard włożył klucz do zamka, obrócił go i otworzył furtkę. Popchnął mocno kendera, obalając go na ziemię.

- Pójdiesz, ale do więzienia. Dość już narozrabiałeś. Kender podniósł się z radosną miną, nie okazując śladu gniewu czy niepokoju.

- To bardzo miło z twojej strony, że znajdziesz mi miejsce, gdzie mógłbym spędzić noc. Co prawda, nie będę tu długo. Przyszedłem wygłosić mowę... - Przerwał. - Czy wspominałem już, że jestem Tasslehoff Burrfoot?

Gerard chrząknął bez śladu zainteresowania. Złapał mocno małego skurczybyka i czekał, aż zjawi się ktoś, kto go od niego uwolni.

- Ten Tasslehoff - dodał kender. Rycerz obrzucił tłum znużonym spojrzeniem.

- Wszyscy, którzy nazywają się Tasslehoff Burrfoot, niech podniosą rękę! - zawołał.

Trzydzieści siedem rąk uniosło się w powietrze. Dwa psy zaszczeły.

- Ojej! - bąknął wyraźnie speszony kender.

- Widzisz, czemu mi to nie imponuje - stwierdził Gerard, niecierpliwie wypatrując odsiecz.

- Nie sądzę, aby to coś zmieniło, gdybym ci powiedział, że to ja jestem ty m pierwszym Tasslehoffem... Nie, chyba nie.

Kender westchnął, wierząc się niecierpliwie w gorących promieniach słońca. Z czystej nudy skierował dłoń w stronę mieszka Gerarda, rycerz był jednak na to przygotowany i zdzielił go mocno po przegubie.

Kender uniósł bolącą łapkę do ust.

- Co się tu dzieje? - Popatrzył na bawiący się na trawni - kach tłum. - Co oni tu robią? Dlaczego nie poszli na pogrzeb Caramona? To najważniejsze wydarzenie w historii Solące!

- Zapewne dlatego, że Caramon Majere jeszcze nie umarł - wyjaśnił zjadliwym tonem Gerard. - Gdzie jest ten łobuz, profos?

- Nie umarł? - zdumiał się kender. - Jesteś tego pewien?

- Dziś rano jadłem z nim śniadanie - wyjaśnił Gerard.

- O nie! - Kender wydał z siebie przeraźliwe zawodzenie i walnął się otwartą dłonią w czoło.
- Znowu skopałem sprawę! I pewnie przez tę całą stopę olbrzyma nie będę miał już czasu na trzecią próbę. - Zaczął grzebać w mieszku.

- Ale chyba lepiej będzie, jak spróbuję. Gdzie podziałem to urządzenie...

Gerard zacisnął mocniej dłoń na zakurczonym kołnierzu koszuli kendera, rozglądając się wokół / groźną miną. Trzydziestu siedmiu Tasslehoffów ruszyło na spotkanie trzydziestego ósmego.

- Zjeżdżać stąd wszyscy!

Gerard machnął ręką, jakby płoszył kury.

Rzecz jasna kenderzy go zignorowali. Choć byli rozczarowani, że Tasslehoff nie okazał się zombim, mieli wielką ochotę wysłuchać, gdzie był, co widział i co ukrywa w swych mieszkach.

- Chcesz ciastko na Dzień Środka Roku? - zapytała jakaś ładna kenderka.

- Dziękuję. Bardzo smaczne... - Tasslehoff wybałuszył szeroko oczy. Spróbował coś powiedzieć, ale usta miał pełne ciastka i omal się nie udławił. Pobratymcy z radością okładali go po plecach, aż wreszcie przełknął ciastko, kaszlnął i wydyszał: - Jaki dziś mamy dzień?

- Dzień Środka Roku! - zawołali wszyscy.

- To znaczy, że się nie pomyliłem! - zawołał triumfalnie. - Jest nawet lepiej, niż przewidywałem! Mogę powiedzieć Caramonowi, o czym będę mówił jutro na jego pogrzebie! Na pewno bardzo go to zainteresuje.

Kender spojrział na niebo.

- Ojej - powiedział, zauważywszy, że słońce pokonało już połowę drogi od najwyższego punktu swej trasy do horyzontu. - Nie mam już zbyt wiele czasu. Wybacz, ale muszę biec.

I rzeczywiście pobiegł, zostawiając na trawniku Gerarda z kenderską kurtką w dłoniach.

Rycerz przez chwilę zastanawiał się, w jaki sposób małemu skurczybykowi udało się wyśliznąć z kurtki, a jednocześnie zabrać ze sobą wszystkie mieszki, które kołysały się teraz u jego pasa, sypiąc zawartością na wszystkie strony, ku wielkiej radości trzydziestu siedmiu Tasslehoffów. Doszedł do wniosku, że - podobnie jak odejście bogów - jest to zjawisko, którego nigdy nie potrafi zrozumieć i miał już rzucić się w pogoń za zbiegłym kenderem, lecz w ostatniej chwili przypomniał sobie, że nie może porzucić placówki.

W tej właśnie chwili zjawił się profos. Towarzyszył mu cały oddział solamijskich rycerzy, którzy wdziali najlepsze zbroje, aby przywitać wracających bohaterów.

- To był tylko kender, profosie - wyjaśnił Gerard. W jakiś sposób udało mu się dostać do zamkniętego grobowca. Otworzył sobie drzwi, a potem mi uciekł, ale chyba wiem, dokąd pobiegł.

Profos, tęgi mężczyzna, który lubił ale, poczerwieniał straszliwie na twarzy. Rycerze wyglądali okropnie głupio kenderzy tańczyli wokół nich radośnie - i spoglądali ze złowrogimi minami na Gerarda, którego najwyraźniej uważali za winnego całego incydentu.

- Niech sobie myślą, co chcą - mruknął Gerard i rzucił się w pogoń za więźniem.

Kender zdobył nad nim znaczną przewagę. Był szybki, gibki i przyzwyczajony do ucieczki przed pogonią. Rycerz był silny i potrafił szybko biegać, ale przeszkadzała mu ciężka, ceremonialna zbroja, która stukająca, pobrzękiwała i uwierała go nieprzyjemnie w różnych czułych miejscach. Zapewne nie udałooby mu się już zobaczyć przestępcy, gdyby tamten nie zatrzy - mywał się od czasu do czasu, aby rozejrzeć się wokół ze zdumioną miną.

- Skąd to się wzięło? - zapytał, spoglądając na nowo wzniesiony garnizon.

- A to co znowu? - zdziwił się chwilę później na widok baraków dla uchodźców.

- Kto to ustawił? - oburzył się na widok wielkiej tablicy, sporządzonej na polecenie ojców miasta. Informowała ona, że Solące płaci daninę smoczycy, w związku z czym cieszy się dobrą opinią i można je bezpiecznie odwiedzać.

Kender sprawiał wrażenie bardzo zaniepokojonego widokiem tablicy. Zatrzymał się przed nią i przyjrzał się jej z powagą.

- To nie może tu zostać - oznajmił głośno. - Blokowałoby drogę orszakowi pogrzebowemu.

Gerard pomyślał, że wreszcie go dopadnie, ale kender zerwał się raptownie do biegu i znowu mu umknął. Rycerz był zmuszony się zatrzymać, żeby zaczerpnąć tchu. Miał na sobie ciężką zbroję, do tego panował upał. W rezultacie zakręciło mu się w głowie ze zmęczenia, a przed oczyma tańczyły iskry przypominające spadające gwiazdy. Gospoda była już jednak niedaleko i Gerard ze złowrogą satysfakcją zauważył, że kender wbiega po schodach i znika w drzwiach frontowych.

- Świetnie - powiedział sobie. - Mam go.

Zdjął hełm, cisnął go na ziemię i oparł się o słupek, czekając, aż jego oddech się uspokoi. Nie spuszczał oka ze schodów, aby mieć pewność, że kender nie ucieknie. Łamiąc wskazania regulaminu, pozbył się tych fragmentów zbroi, które ocierały go najboleśniej, owinał je w płaszcz i schował w ciemnym kącie drewnutni. Potem podszedł do beczki z wodą i zanurzył w niej głęboko chochlę sporządzoną z tykwy. Beczka stała w cieniu jednego z drzew vallen, a woda była chłodna i smaczna. Zerkając jednym okiem na drzwi gospody, Gerard uniósł chochlę i wylał sobie jej zawartość na głowę.

Woda spłynęła mu po szyi i piersi, chłodząc go cudownie. Pociągnął długi łyk, przyglądził włosy, wytarł twarz, wziął hełm pod pachę i zaczął długą wspinaczkę do gospody. Już wyraźnie słyszał głos kendera. Sądząc po uroczystym, nienaturalnie głębokim tonie, intruz wygłaszał mowę.

- „Caramon Majere był bardzo wielkim bohaterem. Walczył ze smokami, nieumarłymi, goblinami, hobgoblinami, ogrami, smokowcami i całą masą innych, których nawet już nie pamiętam.

Cofnął się w czasie, za pomocą tego właśnie urządzenia...”- - Kender wrócił na chwilę do normalnego tonu. - I wtedy pokażę tłumowi urządzenie, Caramonie. Zademontrowałbym ci, jak to zrobię, ale akurat gdzieś je zapodziałem. Nie martw się, nie pozwolę nikomu go dotknąć. Na czym to stanąłem?

Nastąpiła przerwa. Słychać było szelest papieru.

Gerard wspinał się po schodach. Dotąd jakoś nie zauważył, jakie są długie. Nogi, już przedtem obolałe i sztywne od biegu, piekły go dotkliwie. Dyszał ciężko. Żałował, że nie zdjął całej zbroi. Ze złością zdał sobie sprawę, że bardzo się zaniedbał. Jego ongiś silne, atletyczne ciało zrobiło się miękkie jak u dziewczyny. Zatrzymał się na pomoście, żeby odpocząć, i usłyszał, że kender ponownie podjął przemowę.

- „Caramon Majere cofnął się w czasie. Uratował lady Crysanię z Otchłani.” Ona też się zjawi, Caramonie. Przyleci na srebrnym smoku. Będą też Goldmoon i Riverwind ze swoimi pięknymi córkami, i Silvanoshei, król Zjednoczonych Elfich Narodów, razem z Gilthasem, nowym ambasadorem w Zjednoczonych Ludzkich Narodach. Oczywiście przybędzie też Laurana. I nawet Dalamar! Tylko pomyśl, Caramonie! Głowa Konklawe przybędzie na twój pogrzeb. Będzie stał tuż obok Palina, który jest głową Białych Szat, ale o tym pewnie już wiesz, bo to w końcu twój syn i tak dalej. Tak mi się przynajmniej zdaje, że będą stali obok siebie. Kiedy ostatnio byłem na twoim pogrzebie, zjawiłem się za późno i wszyscy już się rozchodzili do domów. Palin mi później o wszystkim opowiedział. Mówił, że było im bardzo przykro. Zaczekali by na mnie, gdyby wiedzieli, że się zjawię. Poczuję się lekko urażony, ale Palin powiedział, że wszyscy myśleli, iż nie żyję. Oczywiście - cię, to prawda, ale akurat nie w tej chwili. Spóźniłem się na twój pogrzeb za pierwszym razem i dlatego musiałem spróbować raz jeszcze.

Gerard jęknął. Nie dosyć, że kender, to jeszcze do tego szalony. Zapewne był to jeden z tak zwanych poszkodowanych. Zrobiło mu się żal Caramona. Miał nadzieję, że staruszek nie przejmie się zbytnio tym incydentem. Najpewniej tak właśnie się stanie, z jakiegoś niezrozumiałego dla Gerarda powodu miał bardzo dużo wyrozumiałości dla tych małych drapichrustów.

- Dobra, wracajmy do mowy - podjął kender. - „Caramon Majere dokonał wszystkich tych rzeczy, a nawet więcej. Był wielkim bohaterem i wojownikiem, ale czy wiecie, z czym radził sobie najlepiej?” - Głos intruza raptem złagodniał. „Był wspaniałym przyjacielem. Moim przyjacielem, najlepszym, jakiego miałem na świecie. Wróciłem tu, czy raczej przeniosłem się naprzód, żeby wam to powiedzieć, bo uważam, że to ważne. Fizban też tak sądził i dlatego mi na to pozwolił. Wychodzi na to, że ważniejsze jest być dobrym przyjacielem niż wielkim bohaterem czy wojownikiem. To w ogóle najważniejsza rzecz ze wszystkich. Tylko pomyślcie. Gdyby wszyscy na świecie byli dobrymi przyjaciółmi, nie byłibyśmy takim strasznymi wrogami. Niektórzy z tu obecnych są w tej chwili nieprzyjaciółmi...” W tym momencie spoglądał na Dalamara, Caramonie. Spoglądał na niego bardzo surowo, bo ma na sumieniu parę naprawdę nieprzyjemnych rzeczy. A potem mówił dalej. „Ale wszyscy zgromadziliście się tu dlatego, że byliście przyjaciółmi zmarłego, a on był waszym przyjacielem, tak samo, jak moim. I być może, gdy już złożymy Caramona Majere na spoczynek, oddalimy się od jego grobu z cieplejszymi uczuciami wobec siebie. I może to będzie początek drogi do pokoju.” Wtedy się uklonił i na tym będzie koniec, I co o tym myślisz?

Gerard dotarł do drzwi akurat w momencie, żeby zobaczyć, jak kender zeskakuje ze stołu, na który wszedł, aby wygłosić mowę, i podbiega do Caramona. Laura wycierała oczy rogiem fartucha. Jej pomocnik - krasnolud żlebowy - szlochał bezwstydnie w kącie. Goście klaskali jak szaleni i tłukli kuflami o stół, krzycząc: - Słuchajcie, słuchajcie!

Caramon Majere siedział w swej łoży. Uśmiechał się, a na jego twarz padały ostatnie, złote promienie słońca. Wydawało się, że zajrzało ono do gospody specjalnie, aby powiedzieć „dobranoc”.

- Przykro mi, że do tego doszło - odezwał się Gerard. - Nie przewidziałem, że będzie ci zawracał głowę. Natychmiast go stąd zabiorę.

Caramon wyciągnął rękę i pogłaskał kendera po kitce, która zjeżyła się niczym sierść przestraszonego kota.

- Wcale mi nie zawraca głowy. Cieszę się, że mogłem go znowu zobaczyć. Ten kawałek o przyjaźni był cudowny, Tas. Naprawdę cudowny. Dziękuję ci.

Lecz zaraz potem zmarszczył brwi i potrząsnął w zafrasowaniu głową.

- Ale reszty twoich słów nie rozumiem, Tas. Co to są Zjednoczone Elfie Narody i jak Riverwind może się zjawić w gospodzie, jeśli od wielu lat nie żyje? Dzieje się tu coś dziwnego. Będę musiał się nad tym zastanowić. - Caramon wstał i ruszył ku drzwiom. - Idę na wieczorny spacer, Lauro.

- Kolacja będzie na ciebie czekała, ojczy - zapewniła. Wygładziła fartuch i potrząsnęła krasnoludem żlebowym, każąc mu wziąć się w garść i wracać do roboty.

- Nie zastanawiaj się zbyt długo, Caramonie - zawołał kender. - Dlatego, że... no, wiesz.

Spojrzał na Gerarda, który ujął go mocno za ramię, wpijając palce aż do kości.

- Dlatego, że bardzo niedługo umrze - wyjaśnił Tas głośnym szeptem. - Nie chciałem o tym wspominać. Nie sądzisz, że to byłoby nieuprzejme?

- Sądzę, że następny rok spędzisz w więzieniu - odparł ze złością Gerard.

Caramon Majere stanął na szczycie schodów.

- Tak, Tiko, kochanie, już idę - rzekł. Położył dłoń na sercu i rzucił się w dół, głową naprzód.

Kender wyrwał się z uścisku Gerarda, padł na podłogę i zalał się łzami.

Rycerz był szybki, ale nie zdążył powstrzymać Caramona. Potężnie zbudowany mężczyzna stoczył się ze schodów swej ukochanej gospody. Laura zaczęła przeraźliwie krzyczeć, a wstrząśnięci i przerażeni goście poszli w jej ślady. Idący ulicą ludzie, widząc spadającego Caramona, pobiegli w jego stronę.

Gerard zbiegł na dół tak szybko, jak tylko potrafił i pierwszy dotarł do staruszka. Bał się, że karczmarz będzie cierpiał, odczuwając straszliwy ból, gdyż z pewnością połamał sobie wszystkie kości. Nic jednak nie wskazywało na to, by Caramon cierpiał. Zostawił już za sobą ból i śmiertelne troski. Jego duch trzymał się jeszcze ciała jedynie po to, aby się pożegnać. Laura padła obok umierającego ojca na kolana. Ujęła jego dłoń i przycisnęła do ust.

- Nie płacz, moja droga - wyszeptał z uśmiechem Caramon. - Twoja matka jest blisko. Zaopiekuję się mną.

- Och, tato! - łkała Laura. - Nie zostawiaj mnie jeszcze! Caramon popatrzył na zgromadzonych mieszczan, uśmiechnął się i skinął lekko głową. Nadal jednak szukał kogoś w tłumie. Zmarszczył brwi.

- Ale gdzie się podział Raistlin? - zapytał.

- Ojczy, twój brat nie żyje już od bardzo dawna - odparła Laura ze zdziwioną miną.

- Obiecał, że na mnie zaczeka - upierał się Caramon. Zaczął zdanie mocnym głosem, lecz szybko słabł. - Powinien tu być. Tylko tu już jest. Nie rozumiem. Coś tu się nie zgadza. Tas... To, o czym mówił Tas... Inna przyszłość...

Zatrzymał spojrzenie na Gerardzie i skinął nań, każąc mu podejść bliżej.

- Będziesz musiał... coś zrobić - wychrypiał słabo. Rycerz uklęknął obok niego. Nigdy by się nie spodziewał, że śmierć staruszka aż tak go wzruszy.

- Tak - zgodził się. - A co?

- Obiecuj mi - wyszeptał Caramon. - Na honor... rycerza.

- Obiecuję - zgodził się Gerard. Oczekiwał, że staruszek poprosi, żeby zaopiekował się jego córkami albo wnukami. W końcu jeden z nich również był solamijskim rycerzem.

- Co mam zrobić?

- Dalamar będzie wiedział... Zabierz Tasslehoffa do Dalamara - zażądał Caramon głosem, który nagle odzyskał moc. Wbił wzrok w Gerarda. - Obiecujesz? Przysięgasz, że to zrobisz?

- Ależ Caramonie! - sprzeciwił się Gerard. - To niemożliwe! Od lat nikt nie widział Dalamara. Większość uważa, że on nie żyje. A jeśli chodzi o tego kendera, który podaje się za Tasslehoffa...

Staruszek wyciągnął zakrwawioną rękę i uściśnął mocno dłoń Gerarda.

- Obiecuję - rzekł rycerz.

Caramon uśmiechnął się, wypuścił powietrze z płuc i nie zaczerpnął już kolejnego oddechu. Wbił martwe spojrzenie w Gerarda, a jego dłoń nawet po śmierci nie zwolniła uścisku. Rycerz

musiał siłą rozchyłać martwe palce. Na jego ręce został ślad krwi.

- Z radością udam się z tobą odwiedzić Dalamara, panie rycerzu, ale, niestety, nie jutro - oznajmił kender, pociągając nosem i ocierając rękawem koszuli zapłakaną twarz. - Najpierw muszę przemówić na pogrzebie Caramona.

Dziwne przebudzenie

Przedramię Silvana płonęło. Nie potrafił ugasić tego ognia i nikt nie chciał mu pomóc. Wołał głośno Samara i matkę, ale jego słowa pozostały bez odpowiedzi. Był na nich zły, bardzo zły i obrażony. Nie chcieli przyjść. Ignorowali go. Po chwili zdał sobie sprawę, że to dlatego, bo się na niego gniewają. Zawiódł ich. Nie spełnił ich oczekiwań i teraz nie chcieli do niego przyjść...

Silvan obudził się z głośnym krzykiem. Otworzył oczy i ujrzał nad sobą szarą zasłonę. Widział trochę niewyraźnie i z początku pomyślał, że to szary sufit kurhanu. Poczul w ręce nagły ból i przypomniał sobie o ogniu. Wciągnął głośno powietrze w płuca i poruszył się, aby go zgasić. Ból przeszył jego rękę, sięgając aż do głowy. Nie widział płomieni i zdał sobie sprawę, że to był tylko sen. Ból nie był jednak snem. Czul go naprawdę. Przyjrzał się uważnie swej kończynie, choć przy każdym ruchu głowy jęczał głośno z bólu.

Nie mogło być wątpliwości. Ręka była złamana tuż nad nadgarstkiem. Obrzmiała tak bardzo, że wyglądała jak kończyna potwora, miała też dziwną, zielonkawofioletową barwę. Opadł z powrotem na plecy i rozejrzał się wokół, użalając nad sobą. Zadał sobie pytanie, czemu matka do niego nie przychodzi, skoro jest mu tak źle...

- Matko!

Silvan usiadł tak raptownie, że ból przeszył mu trzewia, powodując wymioty.

Nie miał pojęcia, gdzie jest i jak się tu znalazł. Wiedział, gdzie powinien być. Pamiętał, że wysłano go z wiadomością. Miał sprowadzić pomoc dla zaatakowanych elfów. Ponownie rozejrzał się wokół, chcąc się zorientować, ile czasu upłynęło. Noc już się skończyła i świeciło słońce. Wziął szare liście drzew za strop kurhanu. Martwe, szare liście, zwisające bezwładnie z uschniętych gałęzi. Nie była to przy tym naturalna śmierć, przychodząca z nastaniem jesieni. Wtedy umierające liście unosiły się na chłodnym wietrze, lśniąc czerwienią i złotem. Tutaj coś wyssało życie z liści i gałęzi, z pni i korzeni, pozostawiając jedynie wyschnięte mumie, puste skorupy, pozbawioną treści parodię życia.

Silvan nigdy dotąd nie widział, aby zaraza zaatakowała tak wiele drzew. Ten widok dogłębnie wstrząsnął jego duszą. Nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać. Miał misję do wykonania.

Niebo nad jego głową było perłowoszare i migotało dziwnie. Silvan doszedł do wniosku, że to z pewnością skutki burzy. Minęło zaledwie kilka godzin, pomyślał. Armia może się jeszcze bronić. Nie zawiodłem do końca. Nadal mogę sprowadzić pomoc.

Musiał założyć łupki na rękę. Przeszukał wzrokiem podszycie, chcąc znaleźć mocny patyk. Wypatrzył odpowiedni i sięgnął poń ręką, ale drewno zamieniło się w jego dłoni w pył. Silvan gapił się na to zdumiony. Popiół był wilgotny i tłusty w dotyku. Młodzieniec otarł ze wstrętem dłoń w mokrą od deszczu koszulę.

Ze wszystkich stron otaczały go szare drzewa. Szare i umierające albo szare i już martwe. Trawa, chwasty i spadłe na ziemię gałęzie również miały ten sam kolor i wyglądały tak, jakby coś wyszło z nich życie.

Widział już gdzieś coś takiego albo może o tym słyszał... Nie pamiętał gdzie i nie miał teraz czasu na myślenie. Z coraz większą niecierpliwością szukał w pokrytym szarym pyłem podszyciu odpowiedniego patyka. Wreszcie znalazł taki, który - choć pokrywał go popiół - nie ucierpiał od niezwykłej zarazy. Przycisnął patyk do przedramienia, zaciskając zęby z bólu, po czym oderwał od koszuli pas materiału i owinał nim łupki. Usłyszał, jak końce złamanej kości zazgrzytały o siebie. Ten odrażający dźwięk, w połączeniu z bólem, omal nie doprowadził go do omdlenia. Silvan przykucnął z opuszczoną głową, starając się stłumić mdłości. Jego ciało zaalała nagła fala gorąca.

Wreszcie gwiazdy, które miał przed oczyma, zgasły, a ból zelżał nieco. Podniósł się ciężko, trzymając złamaną rękę blisko ciała. Wiatr przestał wiać. Nie czuł już na twarzy jego wskazującego kierunku dotyku. Nie widział też słońca, gdyż zasłoniły je perłowoszare obłoki, lecz wschód z pewnością był tam, gdzie niebo wydawało się najjaśniejsze. Silvan odwrócił się plecami do źródła blasku i spojrzał ku zachodowi.

Nie pamiętał, kiedy upadł i co zdarzyło się przedtem. Zaczął mówić do siebie, szukając pocieszenia w brzmieniu własnego głosu.

- Ostatnie, co pamiętam, to jak zobaczyłem trakt, który miał mnie zaprowadzić do Sithelnostu - mówił w języku silyanesti, mowie swego dzieciństwa, którą najbardziej lubiła jego matka.

Wyrastało przed nim wzgórze. Stał na dnie parowu. Przypominał sobie niejasno, że widział go już wczoraj.

- Ktoś albo wyszedł z tego wąwozu, albo do niego wpadł - stwierdził, spoglądając na kręty ślad pozostawiony w pokrywającym zbocze szarym popiele. Uśmiechnął się ze smutkiem. - Podejrzewam, że to ja byłem tym kimś. Na pewno potknąłem się o coś po ciemku i zleciałem do parowu. A to znaczy - dodał pokrępowany - że trakt musi być tam na górze. Niedaleko stąd.

Zaczął się wspinać na strome zbocze, okazało się to jednak trudniejsze, niż się spodziewał. Szary popiół zmienił się po deszczu w muł i był teraz śliski jak gęsi smalec. Dwukrotnie ześliznął się na dół, uderzając się w złamaną rękę, przez co omal nie stracił przytomności.

- Tak nie dam rady - mruknął.

Ruszył przed siebie dnem wąwozu, gdzie łatwiej było posuwać się naprzód, ale nie tracił z oczu szczytu wzgórza, licząc na to, że znajdzie skalną wyniosłość, która posłuży mu jako schody.

Potykał się na wyboistym gruncie, oszołomiony cierpieniem i strachem. Za każdym krokiem jego rękę przeszywał dręczący ból. Mimo to Silvan brnął uparcie naprzód, deptając szare błoto, które zdawało się wciągać go w otchłań. Szukał wyjścia z pokrytej martwą roślinnością doliny śmierci. Nienawidził jej tak, jak więzień nienawidzi swej celi.

Dręczyło go pragnienie, a usta wypełniał smak popiołu. Gorąco pragnął bodaj łyka wody, który by go zmył. W pewnej chwili znalazł kałużę, lecz pokrywała ją szara błona i nie potrafił zdobyć się na to, aby się z niej napić. Wlókł się uparcie dalej.

- Muszę dotrzeć do traktu - powtarzał sobie wielokrotnie. Te słowa stały się mantrą, która nadawała rytm jego krokom. - Muszę iść dalej - mówił do siebie sennym głosem - bo jeśli tu umrę, zmienię się w szarą mumię, jak te drzewa, i nikt nigdy mnie nie znajdzie.

Parów kończył się niespodziewanie, osypiskiem głazów i pni zwalonych drzew. Silvan wyprostował się, zaczerpnął głęboko tchu i otarł z czoła zimny pot. Odpoczął chwilę, a potem zaczął się wspinać. Nogi ślizgały mu się po kamieniach i kilka razy zsunął się w dół, nie poddawał się jednak, zdecydowany wydostać się z rozpadliny, nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką uczyni w życiu. Był już blisko miejsca, z którego miał nadzieję ujrzyć trakt.

Próbował wypatrzeć go między szarymi pniami, ale nic tam nie mógł zobaczyć z powodu dziwnych, zniekształcających właściwości tutejszego powietrza, które sprawiały, że drzewa zdawały się migotać.

Mimo to wspinał się dalej.

- To miraż - powtarzał sobie. - Tak jak wtedy, gdy widzi się wodę na szlaku w upalny dzień. Kiedy podejść bliżej, zniknie.

Wspiął się na szczyt i spróbował wypatrzeć trakt, który musiał leżeć gdzieś za drzewami. Aby móc iść dalej mimo bólu, skupił całą uwagę na trakcie, aż wreszcie stał się on jego jedynym celem.

- Muszę dotrzeć do traktu - mamrotał swą mantrę. Trakt to kres bólu, trakt ocali mnie i moich braci. Gdy już do niego dotrę, na pewno trafię na grupę elfich zwiadowców z armii matki. Przekażę im wieści, a potem położę się na trakcie i mój ból się skończy, a mnie pokryje szary popiół...

Pośliznął się iomal nie przewrócił. Nagły strach wyrwał go z tej straszliwej zadumy. Silvan zatrzymał się i rozejrzał wokół, nakazując swemu umysłowi powrócić z komfortowego azylu, w którym się schronił. Od traktu dzieliło go zaledwie kilka stóp. Zauważył z radością, że tu drzewa nie są martwe, choć wydawało się, że również ucierpiały od jakiejś zarazy. Liście były zielone, ale więdły i opadały bezwładnie. Kora wyglądała niezdrowo, a gdzieniegdzie zaczynała odpadać od pni.

Spojrzał na biegnący za drzewami trakt. Widział go, ale wydawał mu się jakiś zamazany, migotał Silvanowi przed oczyma, aż wreszcie młodzieńcowi zakręciło się w głowie. Zadał sobie z niepokojem pytanie, czy mogą to być skutki upadku.

- Być może ślepnę - mruknął.

Przerażony, obejrzał się za siebie i natychmiast przejaśniło mu się przed oczyma. Szare drzewa stały tu prosto i nie migotały. Ogarnęła go ulga. Gdy jednak spojrzął z powrotem na trakt, niezwykle zniekształcenie powróciło.

- To dziwne - mruknął. - Jaki może być tego powód? Zwolnił mimo woli kroku, obserwując z uwagą zjawisko.

Wydawało mu się, że zniekształcenie przypomina sieć utkaną przez jakiegoś straszliwego pająka, która oddzielała go od traktu. Nie chciał się zbliżyć do migoczącej błony. Ogarnął go lęk, że pochwyti go ona i wysysie niczym wampir, tak jak wysysała drzewa. Za błoną był jednak trakt, jego cel i jego nadzieja.

Postąpił krok naprzód i zatrzymał się nagle. Nie mógł iść dalej. Od traktu dzieliło go zaledwie kilka kroków. Zazgrzytał zębami i ruszył naprzód, kuląc się ze strachu, jakby spodziewał się, że zaraz dotknie go lepka pajęczyna.

Coś blokowało mu drogę. Nic jednak nie czuł. Nie było tam żadnej fizycznej przeszkody, a mimo to nie był w stanie iść naprzód. Mógł za to poruszać się do tyłu albo na boki.

- Niewidzialna bariera. Szary popiół. Martwe i umierające drzewa - wyszeptał.

Zanurzył się w otchłań bólu, strachu oraz rozpacz i znalazł w niej odpowiedź.

- Tarcza. To jest tarcza! - powtórzył przerażony. Magiczna tarcza, którą Silvanesti otoczyli swą ojczyznę.

Nigdy jej nie widział, ale nieraz słyszał, jak matka o niej opowiadała. Inni również wspominali, że tarcza dziwnie migocze i zniekształca wygląd widzianych za nią przedmiotów.

- To niemożliwe - krzyknął zrozpaczony. - Tu nie może być tarczy! Ona jest ode mnie na południe! Byłem na trakcie i szedłem na zachód. Tarcza musi być na południe ode mnie.

Odwrócił się i uniósł głowę, aby znaleźć słońce, ale warstwa chmur stała się jeszcze grubsza i nigdzie go nie widział... Wtem znalazł odpowiedź, a wraz z nią nadeszła gorzka rozpacz.

- Zawróciłem - powiedział do siebie. - Szedłem tak długi czas... w niewłaściwym kierunku!

Oczy zasły mu łzami. Nie mógł znieść myśli o zejściu z powrotem do parowu i powrocie tą samą drogą, którą tu przyszedł, podczas gdy każdy krok sprawiał mu straszliwy ból. Osunął się na ziemię i pogrążył w rozpacz.

- Alhano! Matko! - wołał zdruzgotany. - Wybacz mi! Zawiodłem cię! Całe życie przynosiłem ci tylko rozczarowanie...

- Kim jesteś, że wymieniasz imię, którego nie wolno wy - powiadać? - zapytał czyjś głos. - Kim jesteś, że wzywasz imienia Alhany?

Silvan zerwał się gwałtownie. Otarł łzy grzbietem dłoni i rozejrzał się wokół, chcąc zobaczyć, kto mówi.

W pierwszej chwili dostrzegł jedynie plamę żywej, jaskrawej zieleni. Pomyślał, że to część lasu nietknięta przez chorobę, która poraziła resztę drzew, potem jednak plama poruszyła się, odsłaniając twarz, oczy, usta i dłonie. To był elf.

Oczy miał szare jak otaczający go las, lecz było to jedynie odbicie śmierci, którą widział wokół siebie, odzwierciedlenie jego żaloby.

- Kim jestem, że wzywam imienia mojej matki? - zapytał zniecierpliwiony Silvan. - Jej synem, oczywiście. - Postąpił chwiejnie krok naprzód, wyciągając rękę. - Ale co z bitwą... Powiedz mi, jak się skończyła.

Elf cofnął się przed jego dotykiem.

- Z jaką bitwą? - zapytał.

Silvan wbił w niego wzrok. W tej samej chwili zauważył poruszenie za jego plecami. Z lasu wychylnęło trzech dalszych elfów. Gdyby tkwili bez ruchu, nigdy by ich nie spostrzegł. Zadał sobie pytanie, jak długo już go obserwują. Nie poznawał ich, ale nie było w tym nic niezwykłego. Rzadko zadawał się z prostymi żołnierzami z armii matki. Alhana nie pochwalała takiego zachowania u swego syna, który pewnego dnia miał zostać królem.

- Z bitwą! - powtórzył zniecierpliwiony. - W nocy zaatakowali nas ogrowie! Musicie o tym...

Nagle zdał sobie sprawę, że ci elfowie nie mają na sobie bojowego rynsztunku, lecz ubiory podróżne. Mogli nic nie wiedzieć o żadnej bitwie.

- Na pewno jesteście członkami dalekiego patrolu. Wróciliście na czas. - Silvan przerwał, skupił myśli, starając się rozproszyć mgłę bólu i rozpacz. - Zaatakowano nas nocą, podczas burzy. Armia ogrów. Wysłano... - Przerwał, nie chcąc się przyznawać do porażki. - Wysłano mnie po pomoc. Legion Steela ma fortecę w pobliżu Sithelnostu. To gdzieś tam. - Machnął niemrawo ręką. - Na pewno się przewróciłem. Mam złamane przedramię. Poszedłem w niewłaściwym kierunku i teraz muszę zawrócić, a nie mam już sił. Ja nie zdołam tam dotrzeć, ale wam na pewno się uda. Przekażcie dowódcy legionu, że zaatakowano Alhanę Starbreeze...

Przestał mówić. Z ust jednego z elfów wyrwał się cichy okrzyk. Dowódca, ten, który pierwszy przemówił do Silvana, podniósł rękę, nakazując zachować ciszę.

Młodzieniec czuł się coraz bardziej poirytowany. Dręczyła go bolesna świadomość, że nie prezentuje się zbyt korzystnie, przyciskając do boku zranioną kończynę i wyglądając niczym ptak powłóczyący złamanym skrzydłem. Był jednak zdesperowany. Z pewnością zbliżało się już południe. Bliski omdlenia nie był w stanie iść dalej. Wyprostował się i owinał płaszczem godności, której przydawał mu tytuł.

- Służycie mojej matce, Albanie Starbreeze - oznajmił władczo. - Jej tu nie ma, ale stoi przed

wami jej syn, wasz książę, Silvanoshei. Rozkazuję wam, w jej imieniu i w swoim własnym, abyście zanieśli prośbę o pomoc do Legionu Steela. Spieszcie się! Tracę już cierpliwość!

Tracił też szybko przytomność, ale nie chciał, aby ci żołnierze uznali go za słabeusza. Zachwiał się na nogach i wyciągnął rękę, chcąc oprzeć się o pień. Elfowie nie ruszyli się z miejsca. Gapili się na niego ze zdumieniem i nieufnością, szeroko otwierając oczy, przypominające kształtem migdały. Zerknęli na biegnący za barierą trakt, a potem znowu przenieśli spojrzenie na niego.

- Czemu się tak gapicie! - krzyknął Silvan. - Róbcie, co wam kazałem! Jestem waszym księciem! - Nagle przysłała mu do głowy pewna myśl. - Nie obawiajcie się mnie zostawić, nic mi nie będzie. - Machnął ponaglającą ręką. - Idźcie już! Idźcie! Ratujcie naszych braci!

Dowódca elfów podszedł bliżej, nie spuszczać z Silvana wzroku, który zdawał się przenikać młodzieńca na wskroś.

- Czemu mówisz, że poszedłeś w niewłaściwym kierunku?

- Po co marnujesz czas na głupie pytania? - warknął gniewnie Silvan. - Złożę na ciebie skargę do Samara! Zostaniesz zdegradowany! - Łypnął spode łba na elfa, który nadal przyglądał mu się spokojnie. - Tarcza znajduje się na południe od traktu. Szedłem do Sithelnostu. Po upadku musiałem pomylić kierunki, bo tarcza... trakt...

Odwrócił się i spojrzał za siebie. Próbował przemyśleć tę sprawę, ale w głowie miał wywołany bólem mętlik.

- To niemożliwe - wyszeptał.

Bez względu na to, w którą stronę by się udał, powinien dotrzeć do traktu, gdyż biegł on na zewnątrz tarczy.

Trakt biegł na zewnątrz tarczy... To on znajdował się wewnątrz!

- Gdzie jestem? - zapytał.

- W Silvanesti - odpowiedział elf.

Silvan zamknął oczy. Wszystko było stracone. Poniósł całkowitą klęskę. Osunął się na kolana, a potem padł twarzą w szary popiół. Słyszał odległe głosy, które z każdą chwilą słabły coraz bardziej...

- Myślisz, że to naprawdę on?

- Tak.

- Skąd ta pewność, Rolanie? Może to jakaś sztuczka?

- Widziałeś go. Słyszałeś jego słowa. Słyszałeś ból w jego głosie, widziałeś rozpacz w jego

oczach. Ma złamaną rękę. Popatrz na jego posiniaczoną twarz, na podarte, ubłocone ubranie. Znaleźliśmy w popiele ślad, który zostawił, spadając ze stoku. Słyszeliśmy, jak mówił do siebie, gdy nie wiedział, że jesteśmy blisko. Widzieliśmy, że próbował dotrzeć do traktu. Jak możecie wątpić w jego słowa?

Zapadła cisza.

- Ale jak się przedostał przez tarczę? - zapytał ktoś dociekliwie.

- Przysłał go do nas jakiś bóg - odpowiedział dowódca i Silvan poczuł na policzku delikatne dotknięcie dłoni.

- Jaki bóg? - sprzeciwił się drugi elf z pełnym goryczy niedowierzaniem. - Nie ma żadnych bogów.

Gdy Silvan się ocknął, przekonał się, że widzi wyraźnie. Wszystkie jego zmysły odzyskały ostrość. Tępy ból w głowie utrudniał myślenie i z początku młodzieniec leżał bez ruchu, obserwując otoczenie. Próbował jakoś się połapać w tym, co się wydarzyło. Przypomniawszy sobie trakt...

I spróbował usiąść.

Czyjaś dłoń powstrzymała go stanowczo.

- Nie próbuj wstawać zbyt szybko. Nastawiłem ci rękę i założyłem kataplazm, który przyspieszy gojenie, ale musisz ją oszczędzać.

Silvan rozejrzał się wokół. W pierwszej chwili myślał, że to wszystko sen i że po przebudzeniu znajdzie się w kurhanie. Tak jednak nie było. Pnie drzew wyglądały tak samo, jak je zapamiętał: brzydkie, szare, chore i umierające. Spoczywał na posłaniu z butwiejących liści, a rosnące wokół młode drzewa, kwiaty i inne rośliny wyglądały niezdrowo.

Silvanoshei posłuchał rady elfa i położył się - raczej po to, żeby mieć czas zorientować się w otoczeniu niż dlatego, że potrzebował odpoczynku.

- Jak się czujesz? - zapytał elf z szacunkiem w głosie.

- Głowa trochę mi doskwiera - przyznał Silvan. - Ale ból w ręce ustąpił.

- To dobrze - ucieszył się elf. - W takim razie możesz usiąść. Tylko powoli, bo inaczej zemdlejesz.

Podtrzymał Silvana silnym ramieniem, pomagając mu się podnieść. Młodzieńcowi zakręciło się w głowie i dopadła go fala mdłości, zamknął jednak oczy i po chwili poczuł się lepiej.

Elf przysunął mu do ust drewnianą czarękę.

- Co to jest? - zapytał Silvan, spoglądając podejrzliwie na brązowy płyn.

- Elixir ziołowy - poinformował go elf. - Mam wrażenie, że przeszedłeś lekki wstrząs mózgu. To złagodzi ból głowy i przyspieszy powrót do zdrowia. Czemu nie chcesz tego wypić?

- Nauczono mnie nigdy nie jeść ani nie pić niczego, jeśli nie wiem, kto to przyrządził i jeśli ktoś nie spróbuje tego przede mną - wyjaśnił Silvanoshei.

- Nawet jeśli częstującym jest elf? - zdumiał się nieznajomy.

- Zwłaszcza jeśli to jest elf - podkreślił z ponurą miną młodzieniec.

- Ach - rzekł tamten, spoglądając nań ze smutkiem. - Tak, rozumiem, oczywiście.

Silvan spróbował dźwignąć się na nogi, lecz ponownie dopadły go zawroty głowy. Elf uniósł czarękę do ust i wypił kilka łyków. Następnie wytarł uprzejmie brzeg naczynia i podsunął je księciu.

- Zastanów się, młodzieńcze. Gdybym chciał twojej śmierci, mógłbym cię zabić, gdy byłeś nieprzytomny. Albo mogłem po prostu cię tu zostawić. - Spojrzał na szare, zwiędłe drzewa. - Umierałbyś wolniej i w większym bólu, ale śmierć przysłaby po ciebie niechybnie, tak jak przysła po zbyt wielu z nas.

Silvanoshei zastanowił się nad tymi słowami, w takim stopniu, w jakim pozwalał mu na to pulsujący ból głowy. To, co mówił elf, miało sens. Ujął czarękę w drżące dłonie i uniósł ją do ust. Płyn był gorzki, pachniał i smakował korą. Elixir nasycił jego ciało przyjemnym ciepłem. Ból i zawroty głowy ustąpiły.

Silvanoshei zdał sobie sprawę, że okazał się głupcem, sądząc, iż ten elf służy w armii jego matki. Miał na sobie płaszcz, jakiego młodzieniec nigdy nie widział, uszyty ze skóry, który wyglądał jak zielone liście i plamy słonecznego blasku, jak trawa, zarośla i kwiaty. Dopóki elf się nie ruszał, wtapiał się w tło tak dobrze, że nie sposób było go dostrzec. Tu, na martwym gruncie, wyraźnie jednak rzucał się w oczy. Jego płaszcz zachował zielone wspomnienie żywego lasu, jakby chciał rzucić wyzwanie śmierci.

- Jak długo byłem nieprzytomny? - zapytał Silvan.

- Kilka godzin, odkąd znaleźliśmy cię dziś rano. Jest Dzień Środka Roku. Może dzięki temu zdołasz się zorientować.

Silvan rozejrzał się wokół.

- Gdzie są pozostali? - zapytał, myśląc, że pewnie się ukryli.

- Tam, gdzie powinni być - odpowiedział elf.

- Dziękuję ci za pomoc. Czekają cię zadania gdzie indziej, a i mnie również. - Silvan wstał. - Muszę iść. Być może jest już za późno... - Poczul w ustach gorzki smak żółci. Minęła chwila, nim zdołał ją przełknąć. - Nadal mam do wykonania misję. Gdybyś mógł pokazać mi miejsce, w którym jest przejście przez tarczę...

Elf spojrział na niego z tym samym osobliwym skupieniem.

- Przez tarczę nie ma przejścia.

- Musi być! - warknął gniewnie Silvan. - Przecież jakoś się przez nią przedostałem. - Ponownie zerknął na rosnące obok traktu drzewa i zauważył, że są dziwnie zniekształcone. - Wróć do miejsca, gdzie spadłem do parowu i przejdę tamtędy.

Ruszył przed siebie tą samą drogą, którą przyszedł. Elf nie próbował go powstrzymywać, towarzyszył mu jednak bez słowa.

Czy to możliwe, aby armia jego matki zdołała się bronić tak długo? Silvan nieraz już widział, jak jej żołnierze dokonywali niewiarygodnych wyczynów. Musiał wierzyć, że odpowiedź brzmi „tak”. Musiał wierzyć, że ma jeszcze czas.

Znalazł miejsce, w którym z pewnością przedostał się przez tarczę, ślad zostawiony przez jego staczające się ze zbocza ciało. Gdy uprzednio próbował wyjść z parowu, szary popiół był śliski, teraz jednak zdążył już wyschnąć i łatwiej było mu się wspinać. Silvan wdrapał się na górę, starając się oszczędzać zranioną rękę. Elf czekał bez słowa u stóp stoku.

Młodzieniec dotarł do krawędzi tarczy. Tak jak poprzednio, czuł silne opory przed jej dotknięciem. To było jednak miejsce, w którym się przez nią przedostał, choćby nawet nieświadomie. Widział wyłobienie, które wrył w błocie piętą i zwalone drzewo leżące w poprzek drogi. Przypominał sobie mgliście, jak próbował je ominąć.

Sama tarcza była prawie niewidoczna. Tylko wtedy, gdy promienie słońca padały na nią pod ściśle określonym kątem, można było dostrzec słabe migotanie. Poza tym dostrzegał ją wyłącznie dzięki temu, że zniekształcała wygląd rosnących po drugiej stronie drzew i krzewów. Efekt ten przypominał fale rozgrzanego powietrza wznoszące się nad spieczonym słońcem traktem, które sprawiały, że wszystko, co leżało za nimi, falowało niczym parodia odbicia w wodzie.

Silvan zazgrzytał zębami i wszedł prosto w tarczę.

Bariera go nie przepuściła. Co gorsza, gdy tylko jej dotykał, przeszywał go odrażający dreszcz, jakby tarcza przyciskała do jego ciała szare usta, próbując wyssać zeń życie.

Młodzieniec cofnął się z drżeniem. Nie zamierzał próbować po raz drugi. Gapił się na tarczę z bezsilną złością. Jego matka całymi miesiącami bezskutecznie próbowała się przez nią przebić. Rzuciła przeciwko niej całe armie, lecz nic nie działała. Z narażeniem własnego życia wleciała w nią na swym gryfie, co również nie przyniosło sukcesu. Cóż mógł wobec takiej przeszkody uczynić samotny elf?

- Ale przecież się przez nią przedostałem! - zawołał sfnistrowany. - Wpuściła mnie do środka i wypuściła na zewnątrz. Musi być jakiś sposób! Ten elf. To na pewno jego robota. Uwięził mnie tu na spółkę ze swymi sługusami.

Silvan odwrócił się błyskawicznie i zobaczył, że elf nadal stoi na dnie parowu. Ruszył ku

niemu, potykając się i ślizgając na mokrej od deszczu trawie. Słońce skłaniało się już ku zachodowi. Dzień Środka Roku był najdłuższym dniem roku, lecz nawet on musiał kiedyś się skończyć. Po chwili młodzieniec dotarł na dół.

- To ty mnie tutaj sprowadziłeś! - oskarżył elfa. Był tak rozgniewany, że musiał zaczerpnąć głęboko tchu, aby móc wykrztusić z siebie te słowa. - Teraz mnie stąd wypuść! Musisz mnie wypuścić!

- Nigdy nie widziałem podobnej odwagi. - Elf obrzucił barierę złowrogim spojrzeniem. - Ja nie mogę się nawet do niej zbliżyć, a przecież nie jestem tchórzem. Jesteś odważny, ale nie masz szans. Nie przejdiesz przez tarczę. Nikt nie zdoła tego dokonać.

- Kłamiesz! - wściekał się Silvan. - Wciągnąłeś mnie do środka! Wypuść mnie stąd!

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wyciągnął rękę, chcąc ścisnąć elfa za gardło, zastraszyć go i zmusić do posłuchu.

Tamten złapał go za nadgarstek i wprawnym ruchem obalił na kolana, nim młodzieniec zdążył się zorientować, co się dzieje. Natychmiast jednak go puścił.

- Jesteś młody i masz kłopoty. Nie znasz mnie, mogę ci więc wybaczyć. Nazywam się Rolan i jestem jednym z kirathów. Ja i moi towarzysze znaleźliśmy cię nieprzytomnego na dnie parowu. Tak brzmi prawda. Jeśli znasz kirathów, to wiesz, że my nigdy nie kłamiemy. Nie wiem, w jaki sposób przedostałeś się przez tarczę.

Silvan słyszał, jak jego rodzice mówili o kirathach, grupie elfów patrolujących granice Silvanesti. Ich obowiązkiem było powstrzymywanie obcych, którzy próbowali się wdrzeć do tego kraju.

Kaschnął i skrył twarz w dłoniach.

- Zawiodłem ich! Zawiodłem i teraz zginą!

Rolan podszedł do młodego elfa i położył mu dłoń na ramieniu.

- Podałęś mi swoje imię, kiedy cię znaleźliśmy, ale proszę cię, abyś je powtórzył raz jeszcze. Nie masz się czego bać i nie masz powodu, by ukrywać swą tożsamość, chyba że wstydzisz się ją zdradzić.

Oburzony Silvan uniósł wysoko głowę.

- Jestem dumny ze swego imienia i z dumą powtarzam je innym. Jeśli przyniesie mi ono śmierć, to niech i tak będzie. Wszyscy moi towarzysze z pewnością i tak już zginęli albo wkrótce zginą - dodał drżącym głosem. - Czemu ja miałbym ocaleć?

Otarł łzy z oczu i spojrzał na Rolana.

- Jestem synem tych, których zwiecie „czarnymi elfami”, choć w rzeczywistości są oni jedynymi przedstawicielami naszej rasy, którzy widzą jasno w otaczającej nas ciemności. Jestem synem Alhany Starbreeze i Porthiosa z Qualinesti, a nazywam się Silvanoshei.

Spodziewał się śmiechu, a już z pewnością niedowierzania.

- Dlaczego uważasz, że twoje imię może przynieść ci śmierć, Silvanosheiu z rodu Caladonów?
- zapytał spokojnie Rolan.

- Dlatego, że moi rodzice są czarnymi elfami i elfi skrytobójcy nieraz już próbowali ich zgładzić - odparł Silvan.

- Jednak Alhana Starbreeze wielokrotnie podejmowała ze swymi armiami próby sforsowania tarczy, chcąc wrócić do kraju, w którym wyjęto ją spod prawa. Sam to widziałem, patrolując z towarzyszami pogranicze.

- Myślałem, że zabrania się wam wypowiadać jej imię - mruknął naburmuszony Silvan.

- W Silvanesti zabrania się nam wielu rzeczy - przyznał Rolan. - Wygląda też na to, że ich lista wydłuża się z dnia na dzień. Dlaczego Alhana Starbreeze pragnie wrócić do kraju, w którym jej nie chcą?

- To jej ojczyzna - odpowiedział Silvan. - Dokąd miałyby pójść?

- I dokąd miałyby pójść jej syn? - dodał łagodnym tonem Rolan.

- To znaczy, że mi wierzysz? - zapytał Silvan.

- Znałem twoich rodziców, Wasza Wysokość - odrzekł elf. - Przed wojną byłem ogrodnikiem nieszczęsnego króla Loraca. Znałem twoją matkę, gdy była jeszcze dzieckiem. Walczyłem u boku twego ojca Porthiosa. Przypominasz go z wyglądu, ale masz też w sobie coś, co kojarzy się z twoją matką. Tylko ci, którzy nie mają wiary, nie chcą wierzyć innym. Zdarzył się cud. Wróciłeś do nas. Nie zaskakuje mnie, że tarcza przepuściła akurat ciebie, Wasza Wysokość.

- Ale nie chce mnie wypuścić z powrotem - zauważył z przekąsem Silvan.

- Być może dlatego, że znalazłeś się tam, gdzie powinieneś się znaleźć, Wasza Wysokość. Twój lud cię potrzebuje.

- Jeśli to prawda, to dlaczego nie usuniecie tarczy i nie pozwolicie mojej matce wrócić do królestwa? - oburzył się Silvanoshei. - Czemu zamknęliście się przed nią i przed swymi braćmi? Elfom, którzy walczą za moją matkę, grozi wielkie niebezpieczeństwo. Nie musiałyby toczyć boju z ogrami, nie znalazłaby się w pułapce...

Twarz Kolana pociemniała.

- Uwierz mi, Wasza Wysokość, że gdyby kirathowie potrafili usunąć tę przeklętą tarczę, z

pewnością by to uczynili. Rozpościera ona całun rozpaczy nad wszystkimi, którzy się do niej zbliżą. Zabija każdą żywą istotę, która jej dotknie. Spójrz! Spójrz na to, Wasza Królewska Mość.

Rolan wskazał na zdechłą wiewiórkę, która leżała na ziemi, otoczona trupkami młodych. Wskazał na złociste ptaki zagrzebane częściowo w popiele. Ich pieśń umilkła na zawsze.

- Nasz lud również powoli umiera - rzekł ze smutkiem.

- Co powiedziałeś? - zapytał wstrząśnięty Silvan. Umiera?

- Wielu spośród nas, młodych i starych, zapadło na wyniszczającą chorobę, na którą nie ma lekarstwa. Ich skóra robi się szara, jak kora tych biednych drzew, kończyny usychają, a oczy tracą wszelki wyraz. Najpierw nie mogą biegać, bo szybko się męczą, potem nie są w stanie chodzić, a wreszcie wstać i usiąść. Tracą powoli siły, aż wreszcie nadchodzi śmierć.

- W takim razie dlaczego nie usuniecie tarczy? - zdziwił się Silvan.

- Próbowaliśmy przekonać pozostałych, aby zjednoczyli się i wspólnie stawili czoło generałowi Konnalowi oraz głowom rodów, którzy postanowili wznieść tarczę. Większość nie chce jednak słuchać naszych słów. Twierdzą, że ta choroba jest zarazą, która przybyła do nas z zewnątrz. Sądzą, że tarcza jest jedynym, co broni nas przed złem świata, i jeśli zostanie usunięta, wszyscy zginiemy.

- Być może mają rację - mruknął Silvan, spoglądając na drugą stronę tarczy. Pomyślał o atakujących nocą ograch. Wśród elfów nie ma żadnej zarazy. Przynajmniej ja o takiej nie słyszałem. Nie brakuje nam jednak wrogów. Na świecie czyha pełno niebezpieczeństw. Tu przynajmniej jesteście bezpieczni.

- Twój ojciec utrzymywał, że elfowie muszą wrócić do świata, stać się jego częścią - przypomniał Rolan z posępnym uśmiechem. - W przeciwnym razie zwiędniemy i umrzemy jak gałąź odcięta od drzewa albo...

- ...róża zerwana z krzaka - dokończył Silvan. - Już od bardzo dawna nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości - dodał, spoglądając na szary popiół i wyglądając go czubkiem buta. - Walczył z wielką smoczyką Beryl na opanowanych przez nią ziemiach w pobliżu Qualinesti. Niektórzy sądzą, że zginął, między innymi moja matka, choć nie chce przyznać tego otwarcie.

- Jeśli nawet zginął, to oddał życie za sprawę, w którą wierzył - stwierdził Rolan. - Jego śmierć miała znaczenie. Choć poświęcenie twego ojca może się nam w tej chwili wydawać bezsensowne, kiedyś pomoże zniszczyć zło, przywołać z powrotem światło, które odegna ciemność. Zginął jak mężczyzna, odważny i nieustępliwy! A gdy umierają nasi rodacy - ciągnął kirath z coraz większą goryczą w głosie - nikt właściwie nie zauważa ich śmierci. Po prostu kolejne pióro opada na ziemię.

Popatrzył na Silvana.

- Jesteś młody, zdrowy i pełen życia. Czuję, jak promieniuje ono od ciebie, tak jak kiedyś

czułem blask słońca. Porównaj się ze mną. Widzisz chyba, że więdnę? Że z elfów Silvanesti powoli wypływa życie? Przyjrzyj mi się, Wasza Wysokość, a zobaczysz, że umieram.

Silvan nie wiedział, co na to rzec. Elf z pewnością był niezwykle blady i miał szarawą cerę, lecz młodzieniec kładł to na karb wieku lub może szarego pyłu. Teraz jednak uzmysłowił sobie, że pozostali elfowie również mieli podobnie wychudłe twarze i zapadnięte oczy.

- Gdy mieszkańcy Silvanesti cię ujrzą, ten kontrast po - może im uzmysłowić sobie, co utracili - ciągnął Rolan. - To właśnie jest powód, dla którego cię do nas przysłano. Masz im udowodnić, że na zewnątrz nie ma żadnej zarazy. Zaraza jest tutaj. - Rolan położył dłoń na sercu. - W nas! Wy tłumacz im, że jeśli uwolnimy się od tarczy, życie wróci do nas i do naszej krainy.

Nawet jeśli moje życie się skończyło, pomyślał Silvan. Wrócił ból w głowie i rękę. Rolan popatrzył na niego z troską.

- Nie wyglądasz dobrze, Wasza Wysokość. Powinniśmy stąd odejść. Zbyt długo już przebywamy w pobliżu tarczy. Musimy się oddalić, nim choroba dopadnie i ciebie.

Silvanoshei potrząsnął głową.

- Jestem ci wdzięczny, Rolanie, ale nie mogę stąd odejść. Może tarcza w końcu się otworzy i wypuści mnie na zewnątrz.

- Jeśli tu zostaniesz, umrzesz, Wasza Królewska Mość - nie ustępował Rolan. - To zmartwiłoby twoją matkę. Wolałaby, żebyś wrócił do Silvanesti i odzyskał tron, który prawnie ci się należy.

Pewnego dnia zasiądziesz na tronie Zjednoczonych Elfich Narodów, Sihanosheiu. Wtedy naprawisz błędy przeszłości. Oczyszczysz elfów z grzechów, które popełniliśmy, z grzechu pychy, z grzechu uprzedzenia i z grzechu nienawiści. To one doprowadziły do naszej zguby. Ty przyniesiesz nam odkupienie.

To były słowa jego matki. Pamiętał chwilę, gdy wypowiedziała je po raz pierwszy. Miał pięć albo sześć lat. Obozowali na pustkowiach nieopodal Qualinesti. Była noc i Silvan spał. I nagle w jego sny wtargnął przenikliwy krzyk, który obudził chłopca. Ognisko już dogasało, lecz mimo to dojrzał w jego blasku, że ojciec szarpie się z czymś, co wyglądało jak cień. Otaczały ich też inne cienie. Nie zobaczył już nic więcej, gdyż matka osłoniła go własnym ciałem, przycisnęła do ziemi. Nic nie widział, nie mógł oddychać, nie był w stanie krzyczeć. Przygniatała go swym strachem, swym ciepłem i ciężarem.

I nagle wszystko się skończyło. Ciepły, ciemny ciężar matki uniósł się z jego ciała. Zapłakana Alhana trzymała go w ramionach, całowała i błagała, aby jej wybaczył, jeśli zrobiła mu krzywdę. Jej udo przeszywała krwawiąca szrama. Ojciec miał głęboką ranę na barku. Nóż tylko o włos minął serce. Wokół ogniska leżały ciała trzech ubranych na czarno elfów. Po wielu latach Silvanoshei obudził się nagle pośród nocy, zdając sobie sprawę, że jeden z tych skrytobójców miał zamordować także jego.

Elfwie odciągnęli zwłoki na bok i zostawili na pożarcie wilkom, uważając, że skrytobójcy nie zasługują na pochówek. Matka ukołysała go do snu i powiedziała mu te słowa, aby go pocieszyć. Później słyszał je jeszcze wiele razy.

Być może już nie żyła. I ojciec też. Ich marzenie żyło jednak w nim.

Odwrócił się plecami do tarczy. - Pójdę z tobą - oznajmił Rolanowi z kirathów.

5

Święty ogień

W dawnych dniach, dniach chwały, przed Wojną Lancy, trakt wiodący z Neraki do portowego miasta Sanction był dobrze utrzymany - stanowił jedyne przejście przez góry zwane Władcami Zagłady. Znano go jako Stumilowy Szlak i rzeczywiście miał blisko sto mil długości. Pokryto go tłuczniem, który w ciągu minionych lat deptały niezliczone stopy: obute stopy ludzi, włochate stopy goblinów i pazurzaste stopy smokowców. Było ich wiele tysięcy i w rezultacie tłuczeń został wdeptany w glebę.

Podczas Wojny Lancy na Stumilowym Szlaku pełno było ludzi, zwierząt i wozów. Każdy, kto musiał się poruszać szybko, wybierał drogę powietrzną: dosiadał prędkich niebieskich smoków albo przemierzał niebo w latających cytadelach. Ci, którzy byli zmuszeni do wędrówki traktem, mogli stracić wiele dni, gdyż przejście blokowały setki pieszych żołnierzy, wlokących się krętą trasą do Neraki albo w drugą stronę. Wozy na trakcie trzęsły straszliwie, gdyż droga była stroma, szlak zaczynał się w wysokogórskiej dolinie, a kończył na poziomie morza. To nie była bezpieczna podróż.

W wozach przewożono złoto, srebro, stal, skrzynie pełne skradzionych klejnotów - łupy zrabowane podbitym przez liczne armie ludom. Zaprzężono je w straszliwe bestie znane jako mamuty, jako że tylko one były wystarczająco silne, aby ciągnąć w górę traktu obładowane wozy. Czasem któryś z pojazdów się przewracał albo tracił koło, wysypując zawartość na szlak, a czasem jeden z mamutów wpadał w amok i tratował poganiaczy bądź innych pechowców, którzy stanęli mu na drodze. W takich chwilach trakt stawał się całkowicie nieprzejezdny i wszyscy musieli się zatrzymać. Oficerowie starali się utrzymać wśród swoich ludzi porządek, wściekając się jednocześnie z powodu zwłoki.

Mamuty jednak wymarły, a ludzie odeszli. Większość się zestarzała, niektórzy nie żyli, o wszystkich zaś zapomniano. Trakt był pusty. Tylko wiatr świstał nad gładką nawierzchnią drogi,

którą uważano za jeden ze stworzonych przez ludzi cudów Krynnu.

Pędzącym cwałem po Stumilowym Szlaku rycerzom wiatr wiał w plecy. Ten sam wiatr - pozostałość po burzy - zawodził wśród górskich turni niczym echo Pieśni Śmierci, którą słyszeli w Nerace. Było to jednak jedynie echo, już nie tak straszne, nie tak przerażające. Rycerze gnali jak opętani, nie wiedząc, dokąd właściwie jadą i jaki jest ich cel. Zawładnęła nimi ekstaza, podniecenie niepodobne do niczego, czego doświadczyli dotąd.

Galdar z pewnością tego wcześniej nie doświadczył. Gnał u boku Miny, a jego ciało wypełniała świeżo odzyskana siła. Mógłby tak biec bez chwili odpoczynku aż do samej Lodowej Ściany. Byłby skłonny sądzić, że zawdzięcza tę energię radości płynącej z odzyskania kończyny, dostrzegał jednak w twarzach ludzi, którzy pędzili na łeb, na szyję obok niego, odbicie bojaźni i ferworu, które sam odczuwał. To było tak, jakby przynieśli burzę ze sobą. Tętent kopyt odbijał się echem od górskich stoków, a spod uderzających o skalną powierzchnię żelaznych podków sypały się skry.

Mina jechała na przedzie, popędzając ich, gdy chcieli chwilę odpocząć, zmuszając do wykrzesania z siebie dodatkowych sił, z istnienia których nawet nie zdawali sobie sprawy. Gnali przez całą noc po oświetlanym błyskawicami trakcie, a potem przez cały dzień, zatrzymując się tylko po to, aby napić konie i zjeść coś szybko na stojąco.

Gdy wydawało się, że wierzchowce nie wytrzymają już dłużej, Mina zarządziła postój. Rycerze pokonali już dobrze ponad połowę drogi. Jej deresz, Zimny Ogień, mógłby swobodnie biec dalej. Wydawało się wręcz, że jest niezadowolony z odpoczynku, gdyż tupał i parskał głośno, a echa jego pełnych irytacji protestów odbijały się od górskich szczytów.

Zimny Ogień był bezwarunkowo wierny swej pani. Nie pozwalał zbliżyć się do siebie żadnej innej istocie. Podczas pierwszego krótkiego postoju Galdar nieopatrznie podszedł do rumaka, chcąc podtrzymać strzemię zsiadającej Minie, Nauczono go pomagać w ten sposób poprzedniemu dowódcy, a do Miny miał znacznie więcej sympatii niż do Ernsta Magita. Zimny Ogień uniósł wargę, odsłaniając zęby, a w jego ślepiach pojawił się szalony błysk, który uzmysłowił minotaurowi, skąd wzięło się imię ogiera. Bez zwłoki cofnął się.

Wiele koni bało się minotaurów, więc Galdar pomyślał, że to właśnie jest źródłem problemu i rozkazał jednemu z ludzi pomóc Minie.

Dziewczyna jednak na to nie pozwoliła.

- Odsuńcie się wszyscy. Zimny Ogień nie darzy miłością żadnej istoty oprócz mnie. Słucha wyłącznie moich rozkazów, a i to jedynie wtedy, gdy zgadzają się one z jego instynktami. Zwykł bronić swego jeźdźca i jeśli któryś z was podejdzie za blisko, nie powstrzymam go przed atakiem.

Bez niczyjej pomocy zsunęła się zgrabnie z siodła. Zdjęła z rumaka siodło i uzdę, a potem poprowadziła go do wodopoju. Nakarmiła Zimnego Ognia i własnoręcznie go wyczesła. Pozostali żołnierze uporządkowali swe znużone wierzchowce. Mina nie pozwoliła rozpalić ogniska, mówiąc, że w pobliżu mogą być rycerze solamnijscy. Ogień byłoby widać z daleka.

Ludzie byli tak samo zmęczeni, jak konie. Nie spali przez dwa dni i jedną noc. Przerazająca burza wyczerpała ich siły, a po forsownej jeździe dygotali ze zmęczenia. Podniecenie, które dotąd dodawało im skrzydeł, zaczęło powoli opadać. Wyglądali jak więźniowie, którzy przebudzili się z cudownego snu o wolności, aby się przekonać, że nadal pętają ich okowy i łańcuchy.

Gdy Mina straciła koronę z błyskawic i szatę z piorunów, wyglądała jak zwykła dziewczyna, do tego szczególnie atrakcyjna. Była chudym podlotkiem. Rycerze przykucnęli, by spożyć kolację w rozświetlonej blaskiem księżyca ciemności. Mamrotali pod nosem, że trują się po próżnicy, i spoglądali ze złością na Minę. Jeden posunął się nawet do twierdzenia, że każdy czarny mistyk potrafiłby zwrócić Galdarowi rękę i że nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Minotaur mógłby ich uciszyć, wskazując, że żaden z czarnych mistyków tego nie uczynił, mimo że błagał ich o to nader często. Nie obchodziło go, czy odmawiali mu dlatego, że ich moce były zbyt słabe, czy też dlatego, że nie miał stali, aby im zapłacić. Czarni mistycy Rycerzy Neraki nie oddali mu ręki. Uczyniła to dopiero ta niezwykła dziewczyna i będzie jej za to służył aż do śmierci. Trzymał jednak język za zębami. Gdyby zaistniała taka potrzeba, był gotów oddać za Minę życie, ale chciał zobaczyć, jak dziewczyna poradzi sobie z narastającym napięciem.

Wydawało się, że Mina nawet nie zauważa, iż powoli traci panowanie nad swyrni ludźmi. Siedziała z dala od nich na ogromnym głazie. Widziała stamtąd cały górski łańcuch, wyszczerbione, czarne zęby, które kęsały rozgwieżdżone niebo. Tu i ówdzie malowały się pomarańczowe plamy blasku pochodzące od czynnych wulkanów. Mina zatopiła się głęboko w myślach i najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że za jej plecami narasta fala buntu.

- Niech mnie szlag, jeśli pojedę do Sanction! - oznajmił jeden z rycerzy. - Wiecie, co tam na nas czeka. Tysiąc przeklętych Solamniczaków!

- Z pierwszym brzaskiem ruszam do Khyr - poparł go drugi. - Chyba zgłupiałem od tych piorunów, że trzymałem się jej tak długo.

- Nie będę stał na pierwszej warcie - utyskiwał trzeci. - Nie pozwoliła nam nawet rozpalic ogniska, żeby wysuszyć ubranie i ugotować przyzwoitą kolację. Niech sama obejmie pierwszą wartę.

- No pewnie! - poparli go pozostali.

- Mam taki zamiar - oznajmiła spokojnie Mina. Wstała, zeszła z głazu i stanęła na trakcie, rozstawiając szeroko nogi. Skrzyżowała ramiona na piersiach i spojrzała twardo na mężczyzn. - Będę pełniła straż przez całą noc. Wy musicie wypocząć przed jutrzejszym dniem.

Nie gniewała się ani nie okazywała współczucia. Z pewnością też nie ulegała im, licząc na to, że zyska w ten sposób większą przychylność. Po prostu poinformowała ich o swych zamiarach, wspierając je logicznymi, racjonalnymi argumentami. Jej ludzie musieli wypocząć przed jutrzejszą podróżą.

Udobruchała tym nieco rycerzy, lecz nadal nie przestali się gniewać. Byli naburmuszeni jak dzieci, z których ktoś sobie zażartował. Mina rozkazała im rozłożyć posłania i kłaść się spać.

Zrobili to, narzekając głośno, że ich koce są mokre i nie mogą przecież spać na twardym kamieniu. Wszyscy jak jeden mąż poprzysięgli, że o świcie ją opuszczą.

Mina ponownie usiadła na głazie i wpatrzyła się w gwiazdy oraz wschodzący księżyc. Zaczęła śpiewać.

Ta pieśń nie przypominała Pieśni Śmierci, straszliwego trenu śpiewanego przez duchy z Neraki. To była pieśń wojenna, wykonywana przez dzielnych wojowników, którzy ruszają na wroga, pieśń dodająca odwagi i porażająca lękiem serca nieprzyjaciół.

Chwałą wzywa nas

głosem trąby

do wielkich czynów

na polu bitwy,

do przelania krwi

za płomienie i ziemię,

spragnioną ziemię,

święty ogień.

Pieśń trwała dalej, przeradzając się w pean śpiewany przez zwycięzców w chwili triumfu, a potem we wspomnienie starego żołnierza snującego opowieść o swych dzielnych czynach.

Galdar zamknął oczy i ujrzał cały szereg takich właśnie czynów. Zdał sobie z drzeniem sprawę, że to on jest dokonującym ich bohaterem. Jego miecz rozjarzał się zimnym blaskiem błyskawicy, gdy minotaur pił krew wrogów. Maszerował z pieśnią zwycięstwa na ustach od jednej chwalebnej bitwy do drugiej. Przed sobą zawsze widział Minę, która wskazywała mu drogę, była dlań inspiracją, wiodła go w same serce bitwy. Bijąca od niej luna oświetlała jego postać.

Pieśń dobiegła końca. Galdar zamrugał powiekami. Ze zdumieniem i irytacją zdał sobie sprawę, że zapadł w sen. Nie miał takiego zamiaru, chciał czuwać wraz z Miną. Potarł powieki, pragnąc, aby znowu zaczęła śpiewać. Bez jej pieśni noc była zimna i pusta. Rozejrzał się wokół, aby sprawdzić, czy inni są podobnego zdania.

Wszyscy spali głęboko i spokojnie, uśmiechając się szeroko. Miecze leżały na ziemi. Dłonie zaciskali na rękojeściach, jakby w każdej chwili byli gotowi zerwać się i popędzić do boju. Podobnie jak Galdarowi śnił im się sen sprowadzony przez pieśń.

Minotaur spojrział zdumiony na Minę. Ona również patrzyła na niego.

Wstał i wspiął się na głaz.

- Czy wiesz, co widziałem, dowódco? - zapytał. Wydawało mu się, że jej bursztynowe oczy zamknęły w sobie cały blask księżyca.

- Wiem - potwierdziła.

- Czy uczynisz to dla mnie, dla nas? Poprowadzisz nas do zwycięstwa?

Bursztynowe oczy, które schwytały księżyc, skierowały się wprost na niego.

- Uczynię.

- Czy to twój bóg ci to obiecał?

- Tak - odparła z powagą.

- Powiedz mi, jak ma na imię, abym mógł oddać mu cześć.

Mina potrząsnęła głową, powoli i z emfazą. Odwróciła wzrok od minotaura i spojrzała z powrotem na niebo, które teraz - gdy schwytała księżyc - stało się niezwykle ciemne. Jedynym źródłem światła były jej oczy.

- To nie jest odpowiednia chwila.

- A kiedy będzie odpowiednia? - nie ustępował Galdar.

- Śmiertelnicy w nic już nie wierzą. Są jak dzieci, które zbłądziły we mgle i nie widzą dalej niż czubek własnego nosa. Dlatego za nim właśnie podążają, jeśli w ogóle słuchają kogokolwiek. Niektórych tak sparaliżował strach, że boją się nawet ruszyć. Najpierw muszą uwierzyć w siebie. Dopiero potem przyjdzie czas na wiarę w coś większego niż oni.

- Potrafisz tego dokonać, dowódco?

- Jutro będziecie świadkami cudu - zapowiedziała. Galdar usiadł na głazie.

- Kim jesteś, dowódco? - zapytał. - Skąd pochodzisz? Mina ponownie spojrzała na niego.

- A kim ty jesteś, poddowódco? - odparła z lekkim uśmiechem. - I skąd pochodzisz?

- Jestem minotaurem. Urodziłem się w...

- Nie. - Potrząsnęła lekko głową. - Co było przedtem?

- Zanim się urodziłem? - zdziwił się Galdar. - Nie wiem. Nikt tego nie wie.

- No właśnie.

Mina znowu się odwróciła.

Galdar podrapał się po rogątej głowie i wzruszył ramionami. Najwyraźniej nie chciała mu tego powiedzieć. Czemu zresztą miałaby to robić? To nie był jego interes. Nie powinno go to obchodzić. Miała rację. Do tej chwili nie wierzył w nic, a teraz znalazł coś, w co mógł uwierzyć. Znalazł Minę.

Nagle ponownie na niego spojrzała.

- Nadal czujesz się zmęczony? - zapytała.

- Nie, dowódco szponu - zaprzeczył. Przespał zaledwie kilka godzin, lecz mimo to czuł się niezwykle wypoczęty.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie nazywaj mnie „dowódcą szponu”. Chcę, żebyś zwracał się do mnie po imieniu.

- To nie byłoby w porządku, dowódco szponu - sprzeciwił się. - Muszę ci okazywać należny szacunek.

- Jeśli żołnierze nie będą mnie szanować, to jakie ma znaczenie, jak będą się do mnie zwracali? - zauważyła. Poza tym - dodała - stopnia, który będę nosiła, jeszcze nie utworzono.

Galdarowi przyszło do głowy, że dziewczyna za dużo sobie wyobraża i trzeba ją trochę utemperować.

- Może uważasz, że powinnaś zostać Panem Nocy? - zasugerował żartem, wymieniając najwyższy stopień, jaki mógł osiągnąć Rycerz Neraki.

Mina nie roześmiała się.

- Pewnego dnia Pan Nocy uklęknie przede mną. Galdar dobrze znał lorda Targonne'a i trudno mu było sobie wyobrazić, by ten chciwy, ambitny mężczyzna kiedykolwiek klękał, chyba że po upuszczony na podłogę miedziak. Nie wiedział, jak zareagować na tak śmieszną myśl, umilkł więc, ponownie pogrążając się w marzeniach o chwale. Pożądał jej równie mocno, jak ktoś konający z pragnienia łaknie wody. Gorąco pragnął uwierzyć, że jest to coś więcej niż miraż.

- Galdarze, jeśli jesteś pewien, że nie czujesz się zmęczony, to chciałabym cię o coś prosić - odezwała się Mina.

- Zrobię wszystko, czego ode mnie zażadasz, do w... Mino.

- Jutro czeka nas bitwa. - Lekko zmarszczyła gładkie czoło. - Nie mam broni, a nawet gdybym ją miała, to nigdy nie uczono mnie mą władać. Jak myślisz, czy zdołasz nauczyć mnie tego do rana?

Galdarowi opadła szczęka ze zdumienia. Zadał sobie pytanie, czy dobrze słyszał. Był tak zdumiony, że przez chwilę nie potrafił nic odpowiedzieć.

- Nie... nie umiesz władać bronią? Mina przytaknęła ze spokojem.

- A czy brałaś kiedyś udział w bitwie? Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową.

- A czy chociaż widziałaś bitwę? - dopytywał się zdesperowany minotaur.

- Nie, Galdarze. - Uśmiechnęła się do niego. - Dlatego właśnie proszę cię o pomoc. Odejdziemy kawałek od drogi, żeby poćwiczyć. W ten sposób nie będziemy przeszkadzać innym. Nie martw się, nic im się nie stanie. Gdyby zbliżał się wróg, Zimny Ogień mnie ostrzeże. Wybierz jakąś broń, którą twoim zdaniem najłatwiej będę mogła nauczyć się posługiwać.

Oddaliła się od traktu, żeby poszukać odpowiedniego miejsca na ćwiczenia. Zdumiony Galdar przerzucił stertę broni, szukając czegoś odpowiedniego dla dziewczyny, która nigdy w życiu nie walczyła i która miała ich jutro poprowadzić do bitwy.

Walnął się w głowę, chcąc wbić sobie do niej trochę zdrowego rozsądku. Sen wydawał mu się rzeczywistością, a rzeczywistość snem. Wyciągnął sztylet i wpatrywał się weń przez chwilę. Ostrze lśniło w blasku księżyca niczym rtec. Wbił koniuszek broni w kończynę, którą przywróciła mu Mina. Piekący ból i ciepły strumień krwi świadczyły, że ręka istnieje naprawdę i to wszystko wcale mu się nie śni.

Złożył obietnicę, a jeśli w jego życiu zostało coś, czego nie sprzedał, nie zniszczył ani nie odrzucił, to tym czymś był honor. Wsunął sztylet do pochwy u pasa i zaczął przeglądać broń.

Miecz nie wchodził w rachubę. Nie było czasu, żeby nauczyć dziewczynę władać nim jak należy. Zrobiłaby większą krzywdę sobie i otaczającym ją ludziom niż wrogom. Nie znalazł nic, co byłby skłonny uznać za odpowiednie, lecz nagle zauważył, że blask księżyca szczególnie intensywnie odbija się w jednej broni - jakby chciał zwrócić na nią jego uwagę. Był to morgenstern. Galdar przyjrzał się mu i zmarszczył brwi w zamyśleniu, wążąc oręż w dłoni. Morgenstern jest młotem bojowym z kolcami na głowicy. Obdarzone bujną wyobraźnią osoby twierdzą, że te kolce nadają mu wygląd gwiazdy i stąd właśnie wzięła się jego nazwa. Morgenstern nie był zbyt ciężki, a do posługiwania się tą bronią nie potrzeba było zbyt wielkich umiejętności, okazywał się przy tym szczególnie skuteczny w walce z zakutymi w zbroje rycerzami. Wystarczyło okładać nim przeciwnika tak długo, aż pancerz pęknie niczym skorupa orzecha. Rzecz jasna, należało przy tym unikać ciosów nieprzyjaciela. Galdar wybrał jeszcze małą tarczę i ruszył za Miną, zostawiając konia na straży.

- Oszalałem - mruknął. - Do cna oszalałem. Dziewczyna znalazła między głazami kawałek wolnego placu. Zapewne obozowały tu maszerujące ongiś traktem armie. Wzięła w rękę morgenstem, przyjrzała mu się krytycznie i uniosła go, by sprawdzić jego ciężar oraz wyważenie. Galdar pokazał Minie, jak trzymać tarczę i gdzie ją umieścić, aby zapewniała najlepszą osłonę. Wytłumaczył jej też, jak posługiwać się morgenstemem, a następnie zlecił kilka prostych ćwiczeń, by zorientowała się, co i jak.

Z radością (i ulgą) przekonał się, że Mina uczy się szybko. Mimo szczupłej sylwetki była muskularna, pewnie trzymała się na nogach, poruszając się płynnie i z gracją. Minotaur uniósł własną tarczę, by pozwolić jej zadać na próbę kilka ciosów. Pierwszy robił wrażenie, po drugim musiał się cofnąć, a po trzecim na tarczy zostało wgniecenie, a ból przeszył jego kończynę aż do szpiku kości.

- Podoba mi się ta broń, Galdarze - rzekła z aprobatą Mina. - Dokonałeś trafego wyboru.

Minotaur chrząknął, potarł obolałą kończynę i odłożył tarczę. Następnie wydobył pałasz, owinał go w gruby płaszcz, który następnie mocno związał sznurem, po czym stanął w postawie bojowej.

- Bierzmy się do roboty - rzucił.

Gdy minęły dwie godziny, czuł się zdumiony postępami, jakie zrobiła jego uczennica.

- Jesteś pewna, że nie przeszłaś żołnierskiego szkolenia? - zapytał, zatrzymując się, aby zaczerpnąć tchu.

- Jestem - potwierdziła. - Chodź, pokażę ci. - Wypuść - ciła morgenstern z dłoni i uniosła ją w blasku księżyca. Przekonaj się, czy mówię prawdę.

Na delikatnej skórze lśniła krew wypływająca z popękanych pęcherzy. Mimo to dziewczyna nie poskarżyła się ani słowem, nawet nie wzdrygnęła się zadając ciosy, choć ból musiał być straszliwy.

Galdar popatrzył na nią z nieskrywanym podziwem. Ze wszystkich cnót minotaurowie najwyżej cenią umiejętność znoszenia bólu w stoickim milczeniu.

- Z pewnością żyje w tobie duch jakiegoś wielkiego wojownika, Mino. Mój lud wierzy, że coś takiego jest możliwe. Gdy jeden z naszych wojowników ginie bohatersko w bitwie, moje plemię ma w zwyczaju wycinać jego serce i zjadać je, w nadziei, że jego duch połączy się z naszym duchem.

- Jeśli zjem czyjeś serca, to tylko serca moich wrogów - zapowiedziała Mina. - Siłę i zręczność zawdzięczam mojemu bogu.

Pochyliła się, aby podnieść morgenstern.

- Nie, na dziś starczy już ćwiczeń - sprzeciwił się Galdar, zabierając oręż. - Musimy się zająć tymi pęcherzami. Fatalnie - ciągnął, spoglądając na nią. - Obawiam się, że rano nie będziesz w stanie nawet wziąć w ręce wodzy, nie wspominając już o broni. Może powinniśmy zaczekać kilka dni, aż rany się zagoją.

- Jutro musimy być w Sanction - oznajmiła Mina. Tak nam rozkazano. Jeśli spóźnimy się choć jeden dzień, będzie już po bitwie. Nasze wojska poniosą straszliwą klęskę.

- Oblężenie Sanction trwa już od dawna - zaprotestował Galdar z niedowierzaniem w głosie. - Od czasu, gdy obmierzli Solamnijczycy zawarli przymierze z tym sukinsynem, który włada miastem,

Hoganem Bightem. Nie możemy ich stamtąd wykurzyć, a oni nie mają sił, żeby nas przegnać. Doszło do sytuacji patowej. Codziennie próbujemy się wdrzeć na mury, a oni codziennie odpierają nasze ataki. Giną cywile. Całe dzielnice miasta trawią pożary. W końcu zmęczą się tym i skapitulują. Oblężenie ciągnie się już z górą rok. Nie widzę powodu, aby jeden dzień miał sprawić jakąś różnicę. Zostań tu i wypocznij.

- Nie widzisz powodu dlatego, że twoje oczy nie otworzyły się jeszcze do końca - oznajmiła Mina. - Przynieś mi odrobinę wody do umycia rąk i jakąś szmatkę, żebym starła z nich krew. Nie obawiaj się. Będę w stanie jechać konno i walczyć.

- Czemu się nie uzdrowisz, Mino? - zasugerował Galdar, chcąc ją poddać próbie, licząc na to, że ujrzy kolejny cud.

- Uzdrów się sama, tak jak uzdrowiłaś mnie.

W jej bursztynowych oczach załśnił blask nadchodzącego świtu, który właśnie w tej chwili zaczął rozjaśniać niebo. Patrzyła w tamtą stronę i minotaurowi przemknęło przez głowę, że dziewczyna widzi już dzisiejszy zachód słońca.

- Wiele setek żołnierzy zginie w straszliwych cierpieniach - rzekła cicho. - Ból, który znoszę, jest hołdem dla nich. Darem dla mojego boga. Obudź ludzi, Galdarze. Już czas.

Minotaur spodziewał się, że co najmniej połowa żołnierzy zniknie, tak jak zapowiadali to w nocy. Gdy jednak wrócił do obozu, przekonał się, że wszyscy już wstali i przygotowują się do wymarszu. Byli w znakomitym nastroju, pewni siebie i podekscytowani. Mówili o śmiałych czynach, których dziś dokonają. Ujrzeni owe czyny w snach, które wydawały się im realniejsze od jawy.

Pojawiła się wśród nich Mina, trzymająca tarczę i morgenstern we wciąż okrwawionych dłoniach. Galdar spoglądał na nią z troską. Była zmęczona po wyczerpujących ćwiczeniach i całym dniem szybkiej jazdy. Gdy tak stała na trakcie, taka samotna, wydała mu się nagle krucha i śmiertelna. Opuściła głowę, ramiona jej opadły. Dłonie z pewnością straszliwie ją piekły, a w mięśniach czuła tępy ból. Westchnęła głęboko i spojrzała ku niebu, jakby chciała zapytać, czy nie zabraknie jej sił.

Rycerze unieśli na jej widok miecze i uderzyli nimi o tarcze w geście pozdrowienia.

- Mina! Mina! - zakrzyknęli. Ich głosy odbiły się echem od górskich szczytów niczym ton wzywającej do boju trąby.

Dziewczyna uniosła głowę. Salut rycerzy podziałał na jej słabnącego ducha jak wino. Rozchyliła usta, aby je wypić. Zmęczenie opadło z niej niczym stare łachmany. Jej zbroja załśniła czerwonym blaskiem w świetle wstającego słońca.

- Jedźcie co koń wyskoczy. Dziś czeka nas chwała oznajmiła. Rycerze odpowiedzieli szalonym aplauzem.

Przywołała Zimnego Ognia, dosiadła go, mocno ujmując wodze w skrwawione, pokryte pęcherzami dłonie. Dopiero stanąwszy u jej boku, Galdar zauważył, że dziewczyna ma na szyi

srebrny medalion. Przyjrzał mu się uważnie, chcąc zobaczyć, co wyrzeźbiono na jego powierzchni.

Medalion był pusty. Gładkie srebro bez jakiegokolwiek znaku. Dziwne... Czemu ktoś miałby nosić gładki medalion? Nie zdążył jej o to zapytać, gdyż w tej samej chwili Mina wbiła ostrogi w boki ogiera.

Zimny Ogień pocwałował przed siebie.

Rycerze Miny popędzili za nią.

Pogrzeb Caramona Majere

Gdy wzeszło słońce i nadszedł świt - piękny, pełen złota i purpury, o ciemnoczerwonym, pulsującym sercu - mieszkańcy Solące zgromadzili się pod gospodą „Ostatni Dom”, aby przekazać wyrazy miłości i szacunku odważnemu, dobremu, spokojnemu człowiekowi, którego ciało leżało w środku.

Nie rozmawiano zbyt wiele. Milczenie stanowiło zapowiedź wielkiej ciszy, która prędkiej czy później ogarnie wszystkich śmiertelnych. Matki uspokajały marudne dzieci, które gapiły się na jasno oświetloną gospodę, nie rozumiejąc, co się stało, a jedynie wyczuwając, że było to coś wielkiego i strasznego. To wrażenie zapadło głęboko w ich jeszcze nie uformowane umysły - miały je zapamiętać aż po kres swych dni.

- Bardzo mi przykro, Lauro - oznajmił Tas córce zmarłego tuż przed świtem.

Kobieta stała obok łóżka, w której Caramon zwykł jadać śniadanie. Nic nie robiła, wpatrywała się w pustkę, a twarz miała bladą i zapadniętą.

- Caramon był najlepszym przyjacielem, jakiego miałem na całym świecie - ciągnął kender.

- Dziękuję.

Uśmiechnęła się, choć jej usta drżały. Oczy miała czerwone od łez.

- Tasslehoff - przypomniał jej, sądząc, że zapomniała jego imienia.

- Tak - szepnęła z wyraźnym niepokojem. - Hmm... Tasslehoff.

- Naprawdę jestem Tasslehoff Burrfoot. Oryginalny - dodał kender, przypominając sobie trzydziestu siedmiu imienników. Trzydziestu dziewięciu, jeśli liczyć psy. - Caramon mnie poznał. Uściskał mnie i powiedział, że cieszy się, że mnie widzi.

Laura przyjrzała mu się niepewnie.

- Z pewnością wyglądasz jak Tasslehoff. Ale kiedy ostatnio go widziałam, byłam jeszcze małą dziewczynką, a do tego wszyscy kenderzy są do siebie podobni. To nie ma sensu! Tasslehoff Burrfoot nie żyje od trzydziestu lat!

Tas wyjaśniłby jej ten paradoks, opowiedziałby o urzędzeniu do podróżowania w czasie i o tym, że Fizban za pierwszym razem nastawił je nieprawidłowo, wskutek czego Tas spóźnił się na pogrzeb Caramona i nie mógł wygłosić mowy, lecz, niestety, smutek ścisnął mu gardło tak mocno, że

kender nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

Spojrzenie Laury powędrowało ku schodom do gospody. Oczy znowu wypełniły jej łzy. Schowała twarz w dłoniach.

- Już dobrze, dobrze - mówił Tas, głaszcząc ją po ramieniu. - Wkrótce przybędzie Palin. On wie, kim jestem i będzie ci mógł wszystko wyjaśnić.

- Palin nie przyjedzie - łkała Laura. - Nie mogłam go zawiadomić. To zbyt niebezpieczne! Jego ojciec umarł, a on nie może nawet być na pogrzebie. Jego żona i moja ukochana siostra są uwięzione w Haven, odkąd smoczyca zamknęła trakty. Tylko ja mogę się pożegnać z ojcem. To za trudne! Nie umiem tego znieść!

- Palin na pewno przyjedzie - zapewnił Tas, zastanawiając się, co to za smoczyca zamknęła trakty i dlaczego to zrobiła. Chciał zapytać o to Laurę, ale w jego głowie kłębiło się tak wiele myśli, że ta jedna nie mogła się przedrzeć przez inne. - W gospodzie zatrzymał się ten młody czarodziej. W pokoju siedemnastym. Nazywa się... zapomniałem, jak się nazywa, ale wyślesz go do Wieży Wielkiej Magii w Wayreth, gdzie Palin jest głową Zakonu Białych Szat.

- Jakiej wieży w Wayreth? - zapytała Laura. Przestała płakać i miała naprawdę zdziwioną minę. - Wieża zniknęła, tak samo jak ta w Palanthas. Palin był przełożonym Akademii Czarów, ale teraz stracił nawet to. Smoczyca Beryl zniszczyła akademię niemal dokładnie rok temu. A odkąd gospodę po raz drugi przebudowano, nie ma już w niej pokoju siedemnastego.

Tas nie słuchał jej, pogrążony we wspomnieniach.

- Palin zjawi się natychmiast. Będą mu towarzyszyli Dalamar i Jenna. Wyśle gońców do lady Crysanii w świątyni Paladine'a, do Goldmoon i Riverwinda w Qeshu, i do Laurany, Gilthasa i Silvanosheia w Silvanesti. Wszyscy się zjawią i będziemy mogli... mogli...

Głos Tasa zamarł powoli.

Laura gapiła się na niego, jakby nagle wyrosła mu druga głowa. Tas znał tę minę, bo poczuł ją kiedyś na własnej twarzy, gdy zobaczył trolla, któremu przydarzyło się coś dokładnie takiego. Kobieta oddaliła się powoli, nie spuszczając z niego spojrzenia.

- Siedź tu sobie spokojnie - rzekła bardzo cichym i delikatnym głosem. - Siedź tu sobie spokojnie i... i przyniosę ci pełen talerz...

- Korzennych ziemniaków? - zapytał radośnie Tas. Jeśli cokolwiek mogło go uwolnić od tego ucisku w gardle, to tylko ziemniaki Otika.

- Tak, wielki, kopiasty talerz korzennych ziemniaków. Nie rozpaliliśmy jeszcze dziś w kuchni ognia. Kucharka wpadła w taką rozpacz, że dałam jej dzień wolny, więc to może chwilę potrwać. Siedź sobie spokojnie i obiecuj, że nigdzie nie pójdziesz - mówiła Laura, odsuwając się od stołu. Złapała za krzesło i odgrodziła się nim od kendera.

- Och, nigdzie nie pójde - obiecał, siadając na nim. - No wiesz, muszę wygłosić mowę na pogrzebie Caramona.

- Tak, masz rację. - Kobieta zacisnęła mocno usta i w rezultacie przez chwilę nie mogła nic powiedzieć. Wreszcie zaczerpnęła tchu. - Stanowczo musisz ją wygłosić - dodała.

- Zaczekaj tu. Dobry z ciebie kender.

Słowa „dobry” i „kender” występowały obok siebie bardzo rzadko lub wręcz wcale. Tasslehoff cały czas, który spędził za stołem, poświęcił na zastanawianie się, jak może wyglądać dobry kender i czy to możliwe, żeby to właśnie on nim był. Doszedł do wniosku, że zapewne tak, no bo w końcu jest bohaterem i tak dalej. Rozstrzygnąwszy tę kwestię, wyjął swoje notatki i zaczął się przygotowywać do wygłoszenia mowy. Nucił sobie pod nosem, żeby podtrzymać się na duchu i uwolnić od dławiącego tchawicę smutku.

Słyszał, że Laura rozmawia z jakimś młodym mężczyzną, być może czarodziejem z pokoju siedemnastego, lecz nie zwracał specjalnej uwagi na jej słowa. Wydawało się, że kobieta mówi o jakimś nieszczęśniku, który jest poszkodowany, stracił zmysły i może być niebezpieczny. W innej sytuacji Tas z rozkoszą zobaczyłby niebezpiecznego, poszkodowanego szaleńca, musiał jednak zająć się mową. W końcu po to właśnie odbył tę podróż - i to dwa razy - i powinien skupić uwagę na czekającym go zadaniu.

Nadal skupiał swą uwagę na zadaniu - a także na talerzu ziemniaków i kuflu ale - gdy zdał sobie sprawę, że jakiś wysoki człowiek przygląda mu się ze złowrogą miną.

- Ach, cześć - odezwał się Tas. Podniósł z uśmiechem wzrok i zauważył, że ten wysoki człowiek to jego bardzo dobry przyjaciel, rycerz, który go wczoraj aresztował. Był to naprawdę bliski przyjaciel i Tas szczerze żałował, że nie potrafi sobie przypomnieć jego imienia. - Usiądź, proszę. Chcesz trochę ziemniaków? A może jajecznicy?

Rycerz nie chciał nic jeść ani pić. Usiadł naprzeciwko Tasa i przeszył go srogim spojrzeniem.

- Słyszałem, że narozrabiałeś - oznajmił zimnym, bezbarwnym tonem.

Tak się akurat składało, że Tas był w tej chwili bardzo dumny z siebie z tej racji, że w ogóle nie narozrabiał. Siedział sobie spokojnie za stołem, pogrążony w smutnych myślach o śmierci Caramona i radosnych myślach o wszystkich tych wspaniałych chwilach, które spędzili razem. Nawet nie zajrzał do drewnianej skrzyni, żeby sprawdzić, czy nie ma w niej nic interesującego. Darował sobie zwyczajową inspekcję srebrnej szkatuły i pozyskał tylko jedną cudzą sakiewkę. Nie przypominał sobie dokładnie, skąd się wzięła, musiał więc przyjąć założenie, że ktoś ją upuścił. Musi sobie zapamiętać, żeby po pogrzebie zwrócić ją właścicielowi.

Miał słuszne powody, aby czuć się urażony słowami rycerza. On również przeszył go srogim spojrzeniem.

- Czy celowo starasz się być taki paskudny? - zapytał.

- To zrozumiałe, że jesteś nie w sosie.

Twarz młodego rycerza nabrała bardzo osobliwego koloru - tak ciemnoczerwonego, że prawie fioletowego. Mężczyzna spróbował coś powiedzieć, lecz był tak wściekły, że gdy otworzył usta, wydobył się z nich jedynie charkot.

- Widzę, w czym problem - poprawił się pośpiesznie Tas. - Nic dziwnego, że źle mnie zrozumiałeś. Nie powiedziałem „paskudny” w sensie „paskudny”. Chodziło mi o twoje usposobienie, a nie o twarz, choć muszę przyznać, że rzeczywiście jest wyjątkowo brzydka. Nie przypominam sobie, kiedy widziałem brzydszą. Wiem, że nie możesz nic poradzić na swoją twarz i być może na usposobienie również nie, no bo w końcu jesteś rycerzem solamijskim i tak dalej. Chciałem ci tylko wyjaśnić, że popełniłeś błąd. Wcale nie narozrabiałem. Siedziałem sobie spokojnie za stołem i jadłem ziemniaki. Są naprawdę niezłe, nie chcesz spróbować? No cóż, jak nie chcesz, to zjem tych parę ostatnich. Na czym to ja stanąłem? Aha. Siedziałem tu sobie, jadłem i pracowałem nad mową. Na pogrzeb.

Gdy rycerz zdołał wreszcie wykrztusić z siebie pierwsze artykułowane słowa, jego ton był - o ile to w ogóle możliwe - jeszcze zimniejszy i bardziej gniewny niż przedtem.

- Pani Laura zawiadomiła mnie za pośrednictwem jednego ze swych klientów, że straszyleś ją niedorzecznymi, irracjonalnymi opowieściami. Przełożeni rozkazali mi odprowadzić cię z powrotem do więzienia. Chcieliby się też dowiedzieć zakończył z nutą groźby - jak ci się udało z niego wydostać dziś rano.

- Bardzo chętnie bym iam z tobą wrócił. Macie bardzo ładne więzienie - odpowiedział uprzejmie Tas. - Nigdy jeszcze nie widziałem kenderoodporaego więzienia. Pójdę tam z tobą zaraz po pogrzebie. Rozumiesz, raz już mnie ominął i nie mogę dopuścić do tego, żeby zdarzyło się to po raz drugi. Ojej! Nie, zapomniałem. - Tas westchnął. - Nie mogę udać się z tobą do więzienia. - Naprawdę żałował, że nie pamiętał, jak rycerz ma na imię. Nie lubił o to pytać. To było nieuprzejme. - Muszę natychmiast wrócić do swojego czasu. Obiecałem Fizbanowi, że nigdzie nie zabradziaję. Być może odwiedzę wasze więzienie przy innej okazji.

- Może faktycznie powinieneś pozwolić mu zostać, sir Gerardzie - odezwała się Laura. Przystanąła obok niego, ściskając w rękach fartuch. - On wydaje się bardzo zdeterminowany, a nie chciałabym, żeby narobił kłopotów. Poza tym...

- z jej oczu znów popłynęły łzy - ...niewykluczone, że mówi prawdę! W końcu ojciec wierzył, że to naprawdę Tasslehoff.

Gerard! Tas poczuł wielką ulgę. Rycerz miał na imię Gerard.

- Naprawdę? - zapytał z niedowierzaniem Gerard. Tak powiedział?

- Tak - potwierdziła Laura, wycierając oczy fartuchem. - Kiedy kender wszedł do gospody, tata siedział na swoim miejscu. Kender podszedł prościutko do niego i powiedział: „Cześć, Caramonie! Przybyłem wygłosić mowę na twoim pogrzebie, ale zjawiłem się trochę za wcześnie, więc

pomyślałem sobie, że może zechcesz wysłuchać tego, co mam do powiedzenia”. Tata podniósł ze zdziwieniem wzrok. W pierwszej chwili chyba mu nie uwierzył, ale potem przyjrzał mu się uważniej, zawołał: „Tas!” i uściskał go serdecznie.

- Tak było - potwierdził wzmiankowany i poczuł, że musi pociągnąć nosem. - Uściskał mnie, powiedział, iż cieszy się, że mnie widzi, i zapytał, gdzie się podziewałem przez cały ten czas. Odpowiedziałem mu, że to bardzo długa historia, a czasu, niestety, nie mamy zbyt wiele, więc najpierw powinienem przeczytać mowę.

Kender wytarł rękawem ociekający nos.

- Może moglibyśmy pozwolić mu pójść na pogrzeb nalegała Laura. - Myślę, że tata by się z tego ucieszył. Gdybyś tylko mógł... no, wiesz... mieć na niego oko.

Gerard nie był przekonany do tego pomysłu. Próbował nawet sprzeciwiać się Laurze, ta jednak podjęła już decyzję, a była bardzo podobna do swojej matki. Kiedy o czymś zdecydowała, jej zdania nie mogła zmienić nawet cała armia smoków.

Laura otworzyła drzwi, aby wpuścić do gospody słoneczne światło, a wraz z nim żywych, którzy przyszli złożyć wyrazy szacunku zmarłemu. Caramon Majere leżał w prostej drewnianej trumnie przed wielkim kominkiem swej ukochanej gospody. Nie zapalono ognia i na palenisku leżał tylko popiół. Mieszkańcy Solące przechodzili obok trumny i każdy z nich zatrzymywał się, aby ofiarować coś zmarłemu: bezgłośnie pożegnanie, ciche błogosławieństwo, ulubioną zabawkę, świeżo zerwane kwiaty.

Uwagi żałobników nie umknął fakt, że twarz zmarłego ma pogodny, a nawet radosny wyraz, którego nie widziano od śmierci ukochanej Tiki.

- Są gdzieś teraz razem - powtarzali, uśmiechając się przez łzy.

Laura stała przy drzwiach, przyjmując kondolencje. Miała na sobie strój, który wkładała do pracy: śnieżnobiałą bluzkę, czysty fartuch i ładną spódniczkę koloru szafirowego, z białymi halkami. Żałobnicy dziwili się, czemu nie spowiła się od stóp do głów w czerń.

- Ojciec by tego nie chciał - odpowiadała po prostu. Wszyscy zgadzali się, że to smutne, iż z całej rodziny tylko Laura ma szansę pożegnać się z ojcem. Jej siostra, Dezra, wyjechała do Haven po chmiel, z którego w gospodzie produkowano sławne ale, i została tam uwięziona, gdy smoczyca Beryl zaatakowała miasto. Dezra zdołała przesłać siostrze wiadomość, że nic jej się nie stało, ale nie odważy się wrócić, gdyż drogi nie są bezpieczne dla wędrowców.

Jeśli zaś chodzi o syna Caramona, Palina, to wyruszył on na jedną ze swych tajemniczych wypraw. Jeśli nawet Laura wiedziała, gdzie się podziewa, nie zdradziła tego nikomu. Jego żona, Usha, znana portrecistka, wybrała się do Haven razem z Dezrą. Ponieważ namalowała portrety rodzin niektórych dowódców Rycerzy Neraki, przyłączyła się do negocjacji, chcąc w ten sposób zdobyć gwarancję bezpiecznego powrotu dla siebie i Dezry. Dzieci Ushy, Ulin i Linsha, wyruszyły w poszukiwaniu przygód. O Linshy, która była rycerzem solamijskim, nie słyszano od wielu miesięcy,

natomiast Ulin wyruszył w drogę, usłyszawszy o jakimś magicznym artefakcie i podobno przebywał w Palanthas.

Tas siedział w łoży pod strażą. U jego boku stał rycerz Gerard. Kender potrząsał głową, obserwując przechodzących gęsiego żałobników.

- Mówię ci, że pogrzeb Caramona powinien wyglądać inaczej - powtarzał z uporem.

- Zamknij się, ty mały diable - rozkazał Gerard cichym acz ostrym tonem. - Laura i przyjaciele jej ojca przeżywają trudne chwile i nie będziesz pogarszała sprawy swą głupią paplaniną.

Dla podkreślenia swych słów złapał kendera za kark i potrząsnął nim mocno.

- To boli - zaprotestował Tas.

- I bardzo dobrze - warknął Gerard. - Bądź cicho i rób, co ci każe.

Tas uciszył się, co było w jego przypadku sporym wyczynem. Przyszło mu to jednak łatwiej, niż mogłoby się z pozoru zdawać. Zachowanie milczenia ułatwiało mu ściśnięte ze smutku gardło. Nie był w stanie przełknąć śliny. Żal mieszał się w nim z dezorientacją, która uniemożliwiała mu jasne myślenie.

Pogrzeb Caramona nie przebiegał tak, jak powinien. Tas świetnie o tym wiedział, ponieważ był już raz na jego pogrzebie i wszystko dokładnie pamiętał. To nie tak miało wyglądać. W rezultacie kender wcale nie bawił się tak dobrze, jak się spodziewał.

Coś tu było nie tak. Bardzo nie tak. Zdecydowanie nie tak. Tragicznie, nieodwołalnie nie tak. Nie przybył żaden z dygnitarzy, którzy powinni byli się zjawić. Nie było Palina i Tas zaczął podejrzewać, że Laura miała rację i jej brat się nie zjawi. Nie przyjechała też lady Crysania. Nie widział Goldmoon i Riverwinda. Dalamar nie zmaterializował się nagle w cieniu i nie wystraszył zdrowo wszystkich żałobników. Tas przekonał się też, że nie jest w stanie wygłosić mowy z uwagi na uporczywie ściśnięte gardło. To był kolejny szczegół, który się nie zgadzał.

Tłum był wielki - wszyscy mieszkańcy Solące i okolicznych osad przyszli uczcić pamięć i wyrazić szacunek człowiekowi, którego kochali - lecz nie tak liczny, jak na pierwszym pogrzebie Caramona.

Pochowano go nieopodal jego umiłowanej gospody, obok grobu żony i synów. Młode drzewo vallen, które zasadził dla uczczenia pamięci Tiki, rosło świetnie, a te, które poświęcił poległym synom, były już dorosłymi drzewami, wysokimi i dumnymi jak rycerze solamnijscy, którzy odprowadzali trumnę do miejsca pochówku. Podobny zaszczyt rzadko spotykał kogoś, kto nie był rycerzem. Laura posadziła drzewo vallen dla uczczenia pamięci ojca, posadziła je w samym sercu Solące, tuż obok drzewa, które poświęciła matce. Ta para przez wiele lat była sercem miasteczka i wszyscy się zgadzali, że to im się należało.

Drzewko stało niepewnie w świeżo skopanej ziemi. Wydawało się smętne i opuszczone. Żałobnicy mówili, co im leżało na sercu, i składali hołd zmarłemu. Stojący z poważnymi minami

rycerze schowali miecze i pogrzeb dobiegł końca. Wszyscy poszli na kolację.

Gospoda była zamknięta po raz pierwszy od dnia, gdy czerwony smok zerwał ją z drzewa podczas Wojny Lancy. Przyjaciele Laury zaproponowali, że dotrzymają jej towarzystwa podczas pierwszych samotnych nocy, odmówiła jednak, tłumacząc, że chce się wypłakać w samotności. Odesłała do domu kucharkę, która była w takim stanie, że gdy w końcu wróciła do pracy, nie musiała używać soli, gdyż w zupełności wystarczały jej łzy. Natomiast krasnolud żlebowy do tej pory nie ruszył się z kąta, w którym padł na podłogę, gdy tylko usłyszał o śmierci Caramona. Leżał tam, łkając i zawodząc przeraźliwie, aż wreszcie zasnął, ku wielkiej uldze wszystkich obecnych.

- Żegnaj, Lauro - rzekł Tas, wyciągając rękę. On i Gerard byli ostatnimi, którzy opuszczali gospodę. Kender nie chciał ustąpić, czekał, aż wszyscy sobie pójdą i będzie miał pewność, że nic nie wydarzyło się zgodnie z jego oczekiwaniami. - To był bardzo miły pogrzeb. Nie taki miły, jak ten pierwszy, ale na to pewnie nic nie mogłaś poradzić. Naprawdę nie rozumiem, co tu jest grane. Być może właśnie dlatego Caramon chciał, żeby sir Gerard zabrał mnie do Dalamara. Chętnie bym z nim pojechał, ale obawiam się, że Fizban uznałby to za zabradziazenie. Tak czy inaczej, żegnaj. Bardzo ci dziękuję.

Laura zerknęła z góry na kendera, który nie był już radosny i pełen życia. Wydawał się strasznie zrozpaczony, przybity i zdezorientowany. Uklękła nagle obok niego i objęła go czule.

- Wierzę, że naprawdę jesteś Tasslehoffem! - oznajmiła cicho. - Dziękuję ci, że przybyłeś. - Uściskała go tak mocno, że aż wydusiła oddech z jego małego ciała, po czym odwróciła się i wybiegła przez drzwi prowadzące do prywatnych pokojów.

- Zamkniesz gospodę, sir Gerardzie? - zawołała, oglądając się przez ramię. Potem zatrzasnęła za sobą drzwi i przekręciła klucz.

W gospodzie zapanowała cisza. Słysząc było jedynie szelest liści i poskrzypywanie gałęzi drzewa walen. Szelest brzmiał jak łkanie, a gałęzie zdawały się lamentować. Tas nigdy jeszcze nie widział „Ostatniego Domu” pustego. Rozejrzał się wokół, wspominając noc, gdy wszyscy spotkali się tu po pięciu latach rozłąki. Widział twarz Flinta i słyszał jego utyskiwanie, widział Caramona, który stał obok brata, osłaniając go swym ciałem, a także przenikliwe spojrzenie Raistlina, który dostrzegał wszystko. Miał niemal wrażenie, że słyszy piosenkę Goldmoon: Laska rozświetla błękitnym światłem i oboje znikają; Trawa w stepie wyblakła, nadszedł czas jesieni.

- Wszyscy zniknęli - rzekł cicho do siebie Tas i znowu pociągnął nosem.

- Chodźmy już - rzucił Gerard.

Położył dłoń na ramieniu kendera i skierował go w stronę drzwi. Tam zatrzymał go i usunął z jego kieszeni kilka wartościowych przedmiotów, które przypadkiem w nie wpadły. Zostawił je na szynkwasiu, aby właściciele mogli je później zabrać. Potem zdjął wiszący na haku obok futryny klucz i zamknął drzwi. Następnie powiesił klucz na haku na zewnątrz, na wypadek, gdyby ktoś potrzebował pokoju po godzinach, i sprowadził kendera na dół.

- Dokąd idziemy? - dopytywał się Tas. - Co to za tobołek dźwigasz? Czy mogę zajrzeć do środka? Czy zabierzesz mnie do Dalamara? Nie widziałem go już od bardzo dawna. Czy słyszałeś opowieść o tym, jak go spotkałem? Byliśmy z Caramonem...

- Zamknij się, dobra - warknął ze złością Gerard. Łeb mnie boli od twojego gadania. Jeśli chcesz wiedzieć, dokąd idziemy, to wracamy do garnizonu. A jeśli chodzi o mój tobołek, to jeśli spróbujesz go tknąć, przeszyję cię mieczem.

Rycerz nie powiedział już nic więcej, choć Tas zasypywał go kolejnymi pytaniami, próbował zgadywać, potem pytał, czy dobrze zgadł, a jeśli nie, to czy Gerard mógłby mu udzielić jakiegokolwiek wskazówki. Czy to, co miał w tobołku, było większe od pojemnika na chleb? Czy to był kot? Czy to był kot w pojemniku na chleb? Lecz to wszystko nic mu nie dało. Rycerz milczał, mocno zaciskając palce na barku kendera.

Wreszcie przybyli do solarnijskiego garnizonu. Stojący na warcie mężczyźni przywitali rycerza z wyraźną rezerwą. Sir Gerard nie odpowiedział na ich pozdrowienia. Oznajmił tylko, że musi się zobaczyć z Panem Tarcz. Wartownicy, którzy byli członkami osobistej świty tego dostojnika, odrzekli, że jego lordowska mość właśnie wrócił z pogrzebu i rozkazał, aby nikogo do niego nie wpuszczać. Chcieli się dowiedzieć, jaką sprawę ma do niego Gerard.

- Osobistą - odparł rycerz. - Powiedzcie jego lordowskiej mości, że mam pytanie dotyczące Reguły. To pilne.

Jeden z wartowników oddalił się. Po chwili wrócił i z wyraźną niechęcią oznajmił, że sir Gerard może wejść.

Gerard ruszył ku drzwiom, ciągnąc za sobą Tasslehoffa.

- Nie tak szybko - sprzeciwił się wartownik, blokując mu drogę halabardą. - Pan Tarcz nic nie wspominał o kenderze.

- Kender jest pod moją opieką - oznajmił Gerard. Tak rozkazał jego lordowska mość. Nie otrzymałem dotąd pozwolenia, by go zwolnić. Z chęcią jednak zostawię go z tobą, pod warunkiem, że zaręczysz mi, iż nie narobi żadnych szkód w czasie, gdy będę przebywał u jego lordowskiej mości, co rnoże potrwać kilka godzin, bo mój dylemat jest skomplikowany... No i że po moim powrocie nadal będzie tu przebywał.

Rycerz wyraźnie się zawahał.

- Z ochotą opowie ci o swym pierwszym spotkaniu z czarodziejem Dalamarem - dodał z przekąsem Gerard.

- Zabierz go - skapitulował wartownik.

Tas i jego strażnik weszli do garnizonu przez bramę usytuowaną pośrodku wysokiego częstokołu, zbudowanego z zastrzonych na końcu drewnianych pali. Wewnątrz znajdowały się stajnie, mały plac ćwiczeń z tarczą łuczniczą oraz kilka budynków. To nie był duży garnizon.

Założono go po to, by wartownicy pełniący straż przy Grobowcu Bohaterów mieli gdzie mieszkać, a potem powiększono, by pomieścił również rycerzy mających bronić Solące, gdyby zaatakowała je smoczyca Beryl.

Gerard pomyślał z lekkim uniesieniem, że dni pilnowania grobowca mogły się już dla niego skończyć. Wkrótce mieli stoczyć bój ze smoczyca, choć zabroniono im wspominać o tym komukolwiek. Rycerze nie mieli dowodów na to, że Beryl zamierza zaatakować Solące, a nie chcieli jej prowokować.

Niemniej jednak solamijskie dowództwo przygotowywało po cichu plany.

Na terenie garnizonu znajdował się niski, długi budynek. Spali w nim rycerze oraz żołnierze, którymi dowodzili. Było tu także kilka przybudówek: magazyny i budynek administracyjny, w którym mieszkał i urzędował dowódca.

Adiutant lorda Warrena wpuścił Gerarda do środka.

- Jego lordowska mość zaraz cię przyjmie, sir Gerardzie - oznajmił.

- Gerard! - rozległ się kobiecy głos. - Tak się cieszę, że cię widzę! Tak mi się zdawało, że słyszałam twoje imię.

Lady Warren była przystojną kobietą w wieku około sześćdziesięciu lat. Włosy miała białe i ciepłą cerę koloru herbaty. W ciągu czterdziestu lat małżeństwa towarzyszyła mężowi we wszystkich podróżach. Była szczerą i prostolinijną jak żołnierz, a w obecnej chwili miała na sobie ubrudzony mąką fartuch. Pocałowała sir Gerarda w policzek - rycerz stanął sztywno na baczność, ściskając hełm pod pachą - i zerknęła z ukosa na kendera.

- Ojej, Midge! - zawołała głosem, który dobrze by się sprawdził na polu bitwy. - Schowaj szybko moje klejnoty!

- Jestem Tasslehoff Burrfoot, pani - przedstawił się Tas, wyciągając rękę.

- A któż nim nie jest w dzisiejszych czasach? - Lady Warren pośpiesznie ukryła pod fartuchem ubielone mąką dłonie, na których połyskiwało kilka ciekawie wyglądających pierścionków. - Jak się mają twoi drodzy rodzice, Gerardzie?

- Dziękuję, dobrze.

- Niegrzeczny chłopiec - skarciła go, grożąc mu palcem. - Nic w ogóle nie wiesz o ich zdrowiu. Nie pisałeś do matki od dwóch miesięcy. Skarży się na to w liście do mojego męża i pyta go żałośnie, czy masz się dobrze i trzymasz się ciepło. Co za wstyd! Tak niepokoić kochającą matkę! Jego lordowska mość obiecał, że napiszesz do niej jeszcze dziś. Nie zdziwiłabym się, gdyby kazał ci usiąść i naskrobać list, gdy tylko do niego wejdiesz.

- Tak, pani - rzekł Gerard.

- Muszę wracać do pieczenia. Chcemy z Midge upiec dla Laury sto bochnów chleba, żeby jakoś pomóc biedaczce. Ach, to smutny dzień dla Solące.

Lady Warren otarła dłonią twarz, zostawiając na niej ślad mąki.

- Tak, pani - powtórzył Gerard.

- Możesz już wejść - oznajmił adiutant, otwierając drzwi prywatnej kwatery jego lordowskiej mości.

Lady Warren oddaliła się, prosząc Gerarda, by pozdrowił od niej matkę. Rycerz obiecał to zrobić pozbawionym wyrazu głosem, pokłonił się i podążył za adiutantem.

Potęźnie zbudowany mężczyzna o czarnej skórze typowej dla mieszkańców Południowego Ergothu ciepło przywitał młodego rycerza, który odwzajemnił pozdrowienie z nietypową dla siebie serdecznością.

- Cieszę się, że do mnie zajrzałeś, Gerardzie! - zawołał lord Warren. - Usiądź, proszę. To jest ten kender?

- Tak jest. Dziękuję. Zaczekaj chwilkę.

Gerard posadził Tasa na fotelu i wyciągnął skądś długi kawał sznura. Tak szybko, że kender nie zdążył nawet zaprotestować, przywiązał mu ręce do poręczy. Potem wydobył knebel i zatkał mu usta.

- Czy to konieczne? - zapytał spokojnie lord Warren.

- Jeśli chcemy prowadzić racjonalną rozmowę, to tak, wasza lordowska mość - odparł rycerz, przysuwając sobie fotel. Tajemniczy tobołek postawił obok nóg na podłodze. W przeciwnym razie wysłuchasz opowieści o tym, że Caramon Majere umarł po raz drugi. Kender wymieni ci też wszystkie szczegóły, jakimi dzisiejszy pogrzeb różnił się od pierwszego. Zapoznasz się z listą tych, którzy zjawili się wtedy, lecz tym razem byli nieobecni.

- Rozumiem. - Na twarzy lorda Warrena pojawił się wyraz współczucia. - To z pewnością jeden z poszkodowanych. Biedak.

- Kim są poszkodowani? - zainteresował się Tas. Nie - stety, knebel sprawił, że jego słowa zabrzmiały ochryple i bełkotliwie, jakby mówił po krasnoludzku z domieszką gnomiego. W rezultacie nikt go nie zrozumiał i nikt nie raczył mu odpowiedzieć.

Gerard i lord Warren wdali się w rozmowę o pogrzebie. Czarnoskóry mężczyzna wypowiadał się o Caramonie w tak ciepłych tonach, że Tasa znowu ścisnęło w gardle i knebel właściwie przestał być potrzebny.

- W czym mogę ci pomóc, Gerardzie? - zapytał lord Warren, gdy już wyczerpano temat pogrzebu. Przyjrzał się z uwagą młodemu rycerzowi. - Adiutant mówił, że chcesz mi zadać pytanie

dotyczące Reguły.

- To prawda. Chcę, abyś wydał werdykt.

- Ty, Gerardzie? - Starszy rycerz uniósł siwiejące brwi. - Odkąd to cokolwiek cię obchodzą wskazania Reguły?

Gerard zaczerwienił się, usiłując skryć niepewną minę. Lord Warren uśmiechnął się, widząc jego zażenowanie.

- Nieraz słyszałem, jak jasno wypowiadałeś swą opinię o tym, co uważasz za „zacofane, niedzisiejsze zasady”...

Młody rycerz poruszył się nerwowo na fotelu.

- Wasza lordowska mość, to prawda, że zdarzało mi się niekiedy wyrażać wątpliwości odnośnie do niektórych wskazań Reguły...

Lord Warren uniósł brwi jeszcze wyżej. Gerard uznał, że pora zmienić temat.

- Wasza lordowska mość, wczoraj wydarzył się pewien incydent. Jego świadkami było kilku cywilów. Nie da się uniknąć pytań.

Twarz lorda Warrena przybrała poważny wyraz.

- Czy to sprawa dla Rady Rycerskiej?

- Nie, wasza lordowska mość. Darzę cię najwyższym szacunkiem i uznaję każdą decyzję, jaką podejmiesz. Zlecono mi pewne zadanie i chcę się dowiedzieć, czy powinienem je wykonać, czy też honor pozwala mi odmówić.

- Kto ci je zlecił? Inny rycerz?

Lord Warren miał niespokojną minę. Wiedział o niechęci panującej między Gerardem a resztą rycerzy z garnizonu. Od dawna obawiał się, że dojdzie do jakiejś kłótni, która może doprowadzić do głupiego wyzwania na udeptaną ziemię.

- Nie - zaprzeczył spokojnie Gerard. - To był umierający.

- Ach! - zawołał lord Warren. - Caramon Majere.

- Tak jest.

- Ostatnie życzenie?

- Nie tyle życzenie, co polecenie, wasza lordowska mość. Mógłbym nawet powiedzieć „rozkaz”, gdyby nie fakt, że Majere nie był rycerzem.

- Być może nie był nim z urodzenia - przyznał cicho lord Warren - ale z ducha był najlepszym rycerzem wśród żywych.

- Tak, wasza lordowska mość.

Gerard milczał przez chwilę i Tas po raz pierwszy zauważył, że młody mężczyzna szczerze rozpacza po śmierci Caramona.

- Reguła uważa ostatnie życzenia umierających za świętość. Mówi, że trzeba je spełnić, o ile tylko leży to w możliwościach śmiertelników. Nie ma dla niej różnicy, czy umierająca osoba była członkiem rycerstwa, czy nie, czy była mężczyzną, czy kobietą, człowiekiem, elfem, krasnoludem, gnomem, czy kenderem. Honor zobowiązuje cię do wykonania tego zadania, Gerardzie.

- O ile leży to w możliwościach śmiertelników - wskazał młody rycerz.

- To prawda - zgodził się lord Warren. - Tak mówi Reguła. Synu, widzę, że ta sprawa cię dręczy. Powiedz mi, jak brzmiało ostatnie życzenie Caramona, o ile nie zobowiązał cię do zachowania tajemnicy.

- Nie zobowiązał, wasza lordowska mość. I tak musiałbym ci o tym powiedzieć, bo jeśli mam się podjąć tego zadania, będę potrzebował twego pozwolenia na opuszczenie pla - cówki. Caramon Majere prosił mnie, abym zaprowadził tego oto kendera, który podaje się za nieżyjącego od trzydziestu lat Tasslehoffa Burrfoota, do Dalamara.

- Do czarodzieja Dalamara? - zapytał z niedowierzaniem lord Warren.

- Tak, wasza lordowska mość. Oto, co się wydarzyło. Gdy Caramon leżał umierający, mówił, że połączył się ze swą zmarłą żoną. Potem najwyraźniej zaczął szukać kogoś wzrokiem w otaczającym go tłumie. Zapytał: „Ale gdzie jest Raistlin?” - To był jego brat bliźniak - przerwał lord Warren.

- Tak jest. Potem Caramon dodał: „Obiecał, że na mnie zaczeka”. Miał na myśli, że Raistlin zgodził się zaczekać na niego, zanim odejdzie do drugiego świata. Tak przynajmniej tłumaczyła mi Laura. Caramon często powtarzał, że, ponieważ są bliźniakami, mogą wejść do błogosławionego królestwa tylko razem.

- Nie sądzę, by Raistlina Majere wpuszczono do „błogosławionego królestwa” - zauważył ze spokojem lord Warren.

- To prawda. - Gerard uśmiechnął się z przekąsem. O ile błogosławione królestwo w ogóle istnieje, w co wątpię...

Przerwał i kaszlnął zakłopotany. Lord Warren zmarszczył brwi i zrobił bardzo srogą minę. Młody rycerz postanowił darować sobie filozoficzną dysputę i wrócił do swej opowieści.

- Caramon powiedział jeszcze coś takiego: „Powinien tu być. Tika tu jest. Nie rozumiem. Coś tu się nie zgadza. Tas... To, co mówił Tas... Inna przyszłość... Dalamar będzie wiedział... Zabierz

Tasslehoffa do Dalamara”. Był bardzo podenerwowany i odniosłem wrażenie, iż nie odejdzie w pokoju, dopóki nie obiecuję, że to uczynię. Dlatego się zgodziłem.

- Czarodziej Raistlin nie żyje od z górą pięćdziesięciu lat! - zawołał lord Warren.

- Tak jest. A tak zwany bohater Burrfoot od z górą trzydziestu, więc to nie może być on. Natomiast czarodziej Dalamar zaginął bez śladu. Nikt go nie widział ani o nim nie słyszał od chwili zniknięcia Wieży Wielkiej Magii. Krążą pogłos - ki, że członkowie Ostatniego Konklawe oficjalnie uznali go za zmarłego.

- To prawda. Słyszałem o tym od Palina Majere. Nie mamy jednak dowodu potwierdzającego jego śmierć, a chodzi tu o ostatnie życzenie umierającego. Nie jestem pewien, jak powinien brzmieć werdykt.

Gerard milczał. Tas z pewnością by coś powiedział, lecz był zakneblowany, a do tego zdał sobie sprawę, że jego słowa i tak nic by tu nie zmieniły. Sam nie wiedział, jak powinien postąpić. Polecenia Fizbana były jednoznaczne. Miał udać się na pogrzeb i natychmiast wrócić. „Tylko żebyś nigdzie nie zabradziażył!”. Tak powiedział mu stary czarodziej i zrobił przy tym bardzo groźną minę. Tas siedział w fotelu, żując knebel i dumając nad tym, co to właściwie znaczy „zabradziażyć”.

- Chciałbym coś pokazać, wasza lordowska mość - odezwał się Gerard. - Za pozwoleniem...

Młody rycerz postawił zawiniątko na biurku lorda Warrena i zaczął rozplątywać spowijający je sznurek.

Tas zdołał tymczasem uwolnić ręce z więzów. Mógłby usunąć knebel i zająć się eksploracją tego bardzo interesującego pokoju. Na ścianie wisiało tu kilka pięknych mieczy i tarcza, a obok niej stała skrzynia pełna map. Tas popatrzył na nie tęsknie i nogi omal nie zniosły go w ich kierunku, zbyt mocno jednak pragnął zobaczyć, co właściwie rycerz trzyma w tym tobołku.

Jego otwieranie się przeciągało. Gerard wyraźnie miał kłopoty z węzłami.

Tas chciał już zaproponować, że mu pomoże, lecz gdy poprzednio występował z podobnymi propozycjami, rycerz nie okazywał zadowolenia. Kender zajął się więc obserwacją ziarenek piasku przesypujących się w klepsydrze. Postanowił, że spróbuje je policzyć. Okazało się to trudnym zadaniem, i gdy tylko udawało mu się uszeregować jedno za drugim, dwa albo trzy spadały jednocześnie, psując mu rachubę.

Gdy był gdzieś między pięć tysięcy siedemset trzydziestym szóstym a pięć tysięcy siedemset trzydziestym ósmym ziarenkiem, piasek nagle się skończył. Gerard nadal mozolił się z węzłami. Lord Warren wyciągnął rękę i odwrócił klepsydrę. Tas znowu zaczął liczyć: - Raz, dwa, trzyczterypięć...

- Nareszcie! - mruknął młody rycerz, otwierając tobołek. Tas przestał liczyć ziarenka piasku i usiadł tak prosto, jak tylko mógł, aby lepiej widzieć.

Gerard ujął tajemniczy przedmiot przez fałdy tkaniny worka. Tas zauważył, że rycerz stara się

nie dotykać obiektu bezpośrednio. W promieniach zachodzącego słońca zaślniły klejnoty. Kender był tak podekscytowany, że zeskoczył z fotela i wyrwał sobie knebel z ust.

- Hej! - krzyknął, wyciągając ręce w kierunku przedmiotu. - To całkiem jak moje! Gdzie to znalazłeś! Chwileczkę! - dodał, przyjrzaawszy się dokładnie. - To jest moje!

Gerard zacisnął dłoń na ręce kendera, gdy od wysadzanego klejnotami przedmiotu dzieliło ją już tylko kilka cali. Lord Warren gapił się na obiekt z rozdziawionymi ustami.

- Znalazłem to w sakwie kendera - oznajmił rycerz. - Ostatniej nocy, podczas przeszukania przed zamknięciem w naszym więzieniu. Mógłbym przy tym dodać, że ono wcale nie jest takie kenderoodporne, jak się nam wydawało. Nie jestem magiem, wasza lordowska mość, i dlatego nie mogę mieć pewności, ale wydaje mi się, że to magiczne urządzenie. O wielkiej mocy.

- Faktycznie jest magiczne - potwierdził z dumą Tasslehoff. - To dzięki niemu tu dotarłem. Kiedyś należało do Caramona, ale zawsze bał się, że ktoś je ukradnie i wykorzysta w złym celu. Nie wyobrażam sobie, kto mógłby zrobić coś takiego. Zaproponowałem, że ja się nim zaopiekuję, ale Caramon się nie zgodził. Powiedział, że powinno się je umieścić w jakimś naprawdę bezpiecznym miejscu. Dalamar stwierdził, że on się tym zajmie, więc Caramon dał mu urządzenie, a on...

Tas przestał mówić, ponieważ nikt go nie słuchał. Lord Warren cofnął ręce od biurka. Przedmiot był wielkości jajka, wysadzany lśniącymi, połyskliwymi klejnotami.

Przyjrzaawszy się mu bliżej, można było zobaczyć, że składa się z niezliczonych maleńkich części, które wyglądały na ruchome. Lord Warren przypatrywał się mu nieufnie, a Gerard ścisnął mocno kendera.

Słońce obniżało się już ku horyzontowi i jego promienie wpadały prosto przez okno, lecz w cieniastym gabinecie było chłodno. Przedmiot lśnił i błyszczał, jakby sam był małym słońcem.

- Nigdy nie widziałem czegoś takiego - wyszeptał z bojaźnią lord Warren.

- Ja również nie, wasza lordowska mość - przyznał Gerard. - Ale Laura widziała.

Zaskoczony lord Warren podniósł wzrok.

- Mówiła, że jej ojciec miał podobny przedmiot. Trzymał go pod kluczem w sekretnym miejscu, w pokoju poświęconym pamięci jego bliźniaczego brata Raistlina. Dobrze zapamiętała dzień, kilka miesięcy przed Wojną Chaosu, gdy wyjął ten przedmiot z kryjówki i oddał go...

Gerard umilkł.

- Dalamarowi? - zapytał zdumiony lord Warren. Ponownie przyjrzał się obiektowi. - Czy ojciec powiedział jej, na czym polega działanie tego urządzenia? Jaka jest jego magia?

- Mówił, że dostał je od Par-Saliana i że cofnął się za jego pomocą w czasie.

- To prawda - wtrącił Tasslehoff. - Towarzyszyłem mu wtedy. Dlatego wiedziałem, jak ono działa. No wiecie, przyszło mi do głowy, że mogę nie przeżyć Caramona...

Lord Warren powiedział tylko jedno słowo, wymawiając je z wielką emfazą i szczerością. Tas był pod wrażeniem. Rycerze na ogół nie używali takich wyrazów.

- Myślisz, że to możliwe? - Lord Warren przeniósł spojrzenie na Tasa i gapił się na niego, jakby nagle wyrosła mu druga głowa. Najwyraźniej nigdy nie widział trolla. Kender pomyślał, że ci rycerze naprawdę powinni więcej podróżować.

- Wierzysz, że to prawdziwy Tasslehoff Burrfoot?

- Caramon Majere sądził, że tak, wasza lordowska mość.

Lord Warren ponownie spojrział na niezwykle urządzenie.

- Nie ulega wątpliwości, że to starożytny artefakt. W dzisiejszych czasach żaden czarodziej nie potrafi już takich wytwarzać. Nawet ja czuję jego moc, mimo że z całą pewnością nie jestem magiem, za co jestem wdzięczny losowi. - Znowu przeniósł wzrok na Tasa. - Nie, nie wierzę, by to było możliwe. Kender ukradł urządzenie i wymyślił tę nieprawdopodobną opowieść, chcąc ukryć swą zbrodnię. Oczywiście, musimy zwrócić urządzenie czarodziejom, choć zapewne nie Dalamarowi. - Lord Warren zmarszczył brwi. - Przynajmniej nie dopuścimy, żeby wróciło w ręce kendera. Gdzie się podziwewa Palin Majere? Wydaje mi się, że to jego powinniśmy prosić o radę.

- Urządzenie musi wrócić w moje ręce - oświadczył Tas. - Prędzej czy później zawsze tak się stanie. Par-Salian, wielki Par-Salian, no wiecie, raz go spotkałem. On bardzo szanował kenderów. Bardzo. - Tas przeszył Gerarda srogim spojrzeniem, licząc na to, że rycerz pojmie aluzję. - Tak czy inaczej, Par-Salian powiedział Caramonowi, że urządzenie ma w sobie magię nakazującą mu zawsze wracać w ręce tego, kto go używał. To zabezpieczenie przed tym, żeby podróżnik w czasie nie utknął w epoce, do której dotarł, bez możliwości powrotu do domu. To bardzo przydatne, bo ja łatwo wszystko gubię. Raz nawet zgubiłem mamuta. To było tak...

- Zgadzam się, wasza lordowska mość - odezwał się głośno Gerard. - Siedź cicho, kenderze. Odzywaj się tylko wtedy, gdy cię o coś pytają.

- Przepraszam - odezwał się Tas, który zaczynał się już nudzić - ale jeśli nie chcecie mnie słuchać, to czy mogę sobie obejrzeć wasze mapy? Bardzo lubię mapy.

Lord Warren machnął ręką. Tas oddalił się i po chwili całkowicie pograżył się w oglądaniu map. Były bardzo piękne, ale im dłużej na nie patrzył, tym bardziej się dziwował.

Gerard ściszył głos tak bardzo, że kenderowi trudno było go usłyszeć.

- Niestety, wasza lordowska mość, Palin Majere wyru - i szył z tajną misją do elfiego królestwa Qualinesti, gdzie ma szukać rady tamtejszych czarodziejów. Smoczyca Beryl zabroniła podobnych spotkań i gdyby dowiedziała się, gdzie on przebywa, jej odwet byłby straszliwy.

- Uważam jednak, że powinien się natychmiast o tym dowiedzieć - nie ustępował lord Warren.

- Powinno się też zawiadomić go o śmierci ojca. Wasza lordowska mość, jeśli mi na to pozwolisz, spróbuję dostarczyć kendera i urządzenie do Qualinesti i oddać Palinowi Majere. Przekażę mu też smutną wiadomość o śmierci ojca, zapoznam go z ostatnim życzeniem Caramona i zapytam, czy jego zdaniem można je wykonać. Raczej nie wątpię, że zwolni mnie z tego obowiązku.

Lord Warren rozchmurzył się nieco.

- Masz rację. Powinniśmy zdać się na decyzję jego syna. Jeśli on oznajmi, że ostatniego życzenia jego ojca nie sposób wykonać, będziesz mógł, nie tracąc honoru, dać za wygraną. Wolałbym jednak, żebyś nie jechał do Qualinesti. Czy nie byłoby rozsądniej poczekać na powrót czarodzieja?

- Nie sposób przewidzieć, kiedy to nastąpi, wasza lordowska mość. Zwłaszcza teraz, gdy Beryl zamknęła trakty. Jestem przekonany, że to nadzwyczaj pilna sprawa. Ponadto - dodał Gerard, ścisząc głos jeszcze bardziej - trudno byłoby nam zatrzymać tu kendera przez tak długi okres.

- Fizban powiedział, że mam wrócić do swojego czasu - poinformował ich Tas. - Nie wolno mi nigdzie zabradzia - żyć. Chciałbym jednak spotkać Palina i zapytać go, dlaczego pogrzeb nie był taki jak trzeba. Myślicie, że to by było „zabradzanie”?

- Qualinesti leży głęboko na terytorium Beryl - mówił lord Warren. - Władają nim Rycerze Neraki, którzy z radością dostaliby w ręce członka naszego zakonu. A jeśli nawet oni nie pojną cię i nie stracą jako szpiega, z pewnością uczynią to elfowie. Nawet cała armia naszych rycerzy nie wróciłaby z tego kraju z życiem.

- Nie proszę o armię, wasza lordowska mość. Nie proszę o żadną eskortę - oznajmił stanowczo Gerard. - Wolałbym podróżować bez towarzystwa. Zdecydowanie bym wolał dodać z emfazą. - Proszę o zwolnienie na pewien czas z obowiązków, wasza lordowska mość.

- Zgadzam się, oczywiście. - Lord Warren pokręcił z rezygnacją głową. - Choć nie wiem, co na to powie twój ojciec.

- Powie, że jest dumny z syna, gdyż zawiadomisz go, że wyjechałem z nadzwyczaj ważną misją, aby spełnić ostatnie życzenie umierającego.

- Narazisz się na niebezpieczeństwo - wskazał lord Warren. - To mu się na pewno nie spodoba. A jeśli chodzi o twoją matkę...

Zmarszczył złowrogo brwi. Gerard wyprostował się dumnie.

- Jestem rycerzem już od dziesięciu lat, wasza lordowska mość, i wszystko, co przez ten czas zdobyłem, to pył z grobowca na moich butach. Zasłużyłem sobie na tę szansę.

Lord Warren wstał z fotela.

- Oto mój werdykt. Reguła uważa ostatnie życzenia umierających za świętość. Honor nakazuje

nam je spełniać, o ile tylko leży to w możliwościach śmiertelników. Udasz się do Qualinesti, aby poprosić o radę czarodzieja Palina. Przekonałem się, że to mądry i rozsądny człowiek. Przynajmniej jak na maga. Nie można od nich wymagać zbyt wiele. Sądzę jednak, że możesz mu zaufać. Z pewnością pomoże ci w podjęciu słusznej decyzji. A przynajmniej uwolni cię od kendera i tego kradzionego magicznego artefaktu.

- Dziękuję, wasza lordowska mość - rzeki Gerard z uszczęśliwioną miną.

No jasne, ma się z czego cieszyć, pomyślał Tasslehoff. Wyrusza do krainy pozostającej pod rządami smoczy, która zamknęła wszystkie trakty, mogą go pojmać czarni rycerze, którzy uznają go za szpiega, a jeśli z tego nic nie wyjdzie, dotrze do królestwa elfów i zobaczy się z Palinem, Lauraną oraz Gilthasem.

W okolicy kręgosłupa Tasslehoffa zaczęło się rodzić przy - jemne mrowienie, które wszyscy kenderzy świetnie znają i od którego są poważnie uzależnieni. Po chwili dotarło do jego stóp, które zaczęły go mocno swędzieć, przebiegło przez ręce, sięgając palców, które zaczęły się więc niespokojnie, a potem dotarło do głowy. Poczul, że włosy zaczynają mu się jeżyć z podniecenia. Głowę kendera wypełnił szum krwi, uświadamiając mu, że ostrzeżenie Fizbana, który kazał mu szybko wracać, zaczyna tracić moc, gubić się pośród myśli o czarnych rycerzach, szpiegach i - co najważniejsze - wędrownicy.

Poza tym, zdał sobie nagle sprawę kender, sir Gerard liczy na to, że będę mu towarzyszył! Nie mogę zawieść rycerza. Nie wolno też zapominać o Caramonie. Jego również nie mogę zawieść, nawet jeśli spadając z tych schodów uderzył się w głowę o jeden raz za dużo.

- Będę ci towarzyszył, sir Gerardzie - oznajmił wspaniałomyślnie. - Poważnie rozważyłem tę kwestię i doszedłem do wniosku, że tego nie można nazwać zabradzaniem. Mam wrażenie, że to raczej misja. Jestem pewien, że Fizban nie będzie miał mi za złe, jeśli podejmę się tej drobnej misji.

- Wymyślę coś, co uspokoi twojego ojca - stwierdził lord Warren. - Czy jest coś, czego będziesz potrzebował? Jak zamierzasz podróżować? Wiesz, że Reguła zabrania ci ukrywać prawdziwą tożsamość.

- Będę podróżował jako rycerz, wasza lordowska mość - zapewnił Gerard, unosząc nieznacznie brwi. - Masz na to moje słowo.

Lord Warren przyjrzał mu się z uwagą.

- Coś kombinujesz. Nie, lepiej mi nie mów. Im mniej będę wiedział, tym lepiej. - Zerknął na leżące na biurku urządzenie i westchnął ciężko. - Magia i kenderzy. Moim zdaniem to fatalne połączenie. Masz moje błogosławieństwo.

Gerard starannie zapakował magiczny artefakt. Lord Warren odszedł od biurka, aby odprowadzić rycerza do wyjścia. Po drodze zabrali ze sobą Tasslehoffa. Gerard wyciągnął kilka mniejszych map, które w jakiś sposób znalazły się pod koszulą kendera.

- Chciałem je zabrać do poprawienia - tłumaczył Tas, spoglądając z wyrzutem na lorda Warrena. - Korzystacie z usług wyjątkowo kiepskich kartografów. Zrobili kilka poważnych błędów. W Palanthas nie ma już czarnych rycerzy. Przegnaliśmy ich stamtąd dwa lata po Wojnie Chaosu. I dlaczego wokół Silvanesti jest narysowane takie śmieszne kółeczko, całkiem jak bańka mydlana?

Rycerze pograżyli się w rozmowie, która miała coś wspólnego z misją Gerarda i nie zwracali uwagi na słowa kendera. Tas wyciągnął następną mapę, którą zdołał w jakiś sposób wepchnąć sobie do spodni i która uwierała wrażliwy szczegół jego anatomii. Gdy wsadzał mapę do sakwy, kostki jego dłoni otarły się o jakiś twardy, jajowaty przedmiot o ostrych krawędziach.

Urządzenie do podróżowania w czasie. Urządzenie, które umożliwi mu powrót do czasu, z którego przybył. Wróciło do niego. Musiało tak się stać. Znowu znalazło się w jego posiadaniu. Stanowczy rozkaz Fizbana zabrzmiał echem w uszach kendera.

Tas popatrzył na artefakt i pomyślał o Fizbanie, wspominając obietnicę, którą złożył staremu czarodziejowi. Miał tylko jedno wyjście.

Zacisnął mocno dłoń na urządzeniu, uważając, by nie włączyć go przypadkowo, zakradł się za plecy zatopionego w rozmowie z lordem Warrenem Gerarda, otworzył zawiniątko, pracując zręcznie i cicho, jak to potrafią tylko kenderzy, i wsunął urządzenie z powrotem do środka.

- Masz tu zostać! - oznajmił mu stanowczo.

Przesmyk Beckarda

Leżące na wybrzeżu Nowego Morza Sanction było największym portem w północno-wschodniej części Ansalonu.

Było to starożytne miasto, założone na długo przed Katakлизmem. O jego historii nie wiadomo nic pewnego, poza tym, że przed Katakлизmem żyło się tu całkiem przyjemnie.

Wielu z pewnością zastanawiało się, skąd się wzięła jego dziwna nazwa. Istnieje legenda mówiąca, że w czasach, gdy przyszłe miasto było jeszcze małą wioską, mieszkała w nim ludzka kobieta w zaawansowanym wieku, z której opinią powszechnie się liczone. Proszono ją o rozstrzygnięcie sporów i konfliktów dotyczących wszystkiego: od kwestii własności łodzi aż po kontrakty małżeńskie. Wysłuchiwała z uwagą wszystkich stron, a potem ogłaszała wyrok. Jej werdykty słynęły z tego, że były sprawiedliwe i bezstronne, mądre i rozsądne. Kwitowano je słowami: „staruszka to usankcjonowała” i dlatego wioska, w której mieszkała, była powszechnie kojarzona z prawem i autorytetem.

Gdy bogowie w swym gniewie rzucili na świat ognistą górę, spadła ona na Ansalon i rozbiła kontynent na części. Wody oceanu Sirriona wlały się w świeżo powstałe szczeliny i pęknięcia, tworząc nowe morze, które pragmatycznie nazwano Nowym Morzem. Wulkany Gór Zagłady przebudziły się do gwałtownego życia i ku Sanction popłynęły rzeki lawy.

Ludzie - jak zawsze elastyczni - potrafili obrócić kata - strofę na swą korzyść. Ci, którzy dotąd uprawiali ziemię, zbierając plon złożony z fasoli i jęczmienia, zamienili pługi na sieci i od tej pory zbierali owoce morza. Nad brzegami Nowego Morza pojawiły się małe wioski rybackie.

Mieszkańcy Sanction przenieśli się na wybrzeże, gdzie wiejący od lądu wiatr przeganiał opary wulkanów. Miasteczko prosperowało, lecz liczba jego mieszkańców nie wzrosła znacząco, dopóki nie przybyły statki o wysokich masztach. Żądni przygód żeglarze z Palanthas wypłynęli na Nowe Morze, licząc na to, że znajdą szybką i łatwą drogę na drugą stronę kontynentu, co pozwoli im uniknąć długiej żeglugi przez zdradzieckie morze Sirriona na północy. Nadzieje podróżników spełzły na niczym. Nie było żadnego przejścia. Odkryli jednak naturalny port Sanction i szlak lądowy, który nie był zbyt trudny do przebycia, oraz rynki zbytu na swe towary po drugiej stronie Gór Khalkhist.

Miasto zaczęło kwitnąć, rozrastać się i - jak każde rosnące dziecko - marzyć. Widziało w sobie nowe Palanthis: sławne, stateczne, solidne i bogate. Te marzenia nie miały się jednak ziścić. Nad Palanthis czuwali rycerze solamnijscy, którzy strzegli miasta i władali nim w myśl wskazań Przysięgi i Reguły. Sanction zaś należało do tego, kto miał siłę, aby je utrzymać. W mieście panowały teraz krnąbrność i zepsucie. Nie było tu praw ani zasad, za to nie brakowało pieniędzy.

Nie było też zbyt wybredne, gdy chodzi o dobór towarzystwa. Serdecznie witano tu chciwych, drapieżnych i pozbawionych skrupułów. Złodzieje i bandyci, oszuści i dziwki, najemnicy i skrytobójcy, wszyscy oni zwali Sanction swym domem.

Nadszedł czas, gdy na świat próbowała powrócić Takhisis, Królowa Ciemności. Zgromadziła armie, które miały w jej imieniu podbić Ansalon. Ariakas, generał tych armii, dostrzegł strategiczne znaczenie, jakie miało Sanction dla Neraki, świętego miasta królowej, oraz dla wojskowej placówki w Khur. Lord Ariakas wkroczył do Sanction na czele swych armii, nie napotykając na zbyt silny opór. Zbudował w mieście świątynie swej królowej i uczynił z niego kwaterę główną.

Władcy Zagłady, wulkany, które otaczały Sanction pierścieniem, poczuły w swych trzewiach żar ambicji królowej i przebudziły się do życia. Wypłynęły z nich strumienie lawy, które nocą oświetlały miasto złowrogim blaskiem. Ziemia trzęsła się i drżała. Miejscowe gospody traciły fortuny na potłuczone naczynia. W końcu zaczęto podawać w nich posiłki na cynowych talerzach, a napoje w drewnianych kubkach. Powietrze przesyciły toksyczne opary siarki. Czarodzieje w czarnych szatach trudzili się bez ustanku, aby miasto nadawało się do zamieszkania.

Takhisis chciała podbić świat, lecz na koniec nie potrafiła zwyciężyć samej siebie. Jej generałowie zwrócili się przeciw sobie. Triumf odniosły miłość i poświęcenie, lojalność i honor. W prowadzącej do Sanction cienistej dolinie leżały przekłete gruzy Neraki.

Na miasto pomaszerowali rycerze solamnijscy, którzy zdobyli je po walnej bitwie z mieszkańcami. Rycerze również zdawali sobie sprawę ze strategicznego i finansowego znaczenia Sanction dla tej części Ansalonu. Dlatego ustanowili w mieście silny garnizon. Zburzyli świątynie zła, puścili z dymem targi niewolników, zrównali z ziemią burdele. Konklawe Czarodziejów zleciło magom, aby nadal oczyszczali powietrze.

Gdy, jakieś dwadzieścia lat później, Rycerze Takhisis zaczęli rosnać w siłę, Sanction zajmowało wysoką pozycję w hierarchii ich celów. Mogliby je zdobyć, gdyż po wielu latach pokoju rycerze solamnijscy zrobili się senni i znudzeni. Przysypiali na posterunkach. Nim jednak czarni rycerze zdążyli zaatakować miasto, Wojna Chaosu odwróciła ich uwagę i obudziła Solamnińczyków.

Potem Wojna Chaosu się skończyła. Bogowie odeszli. Mieszkańcy Sanction zdali sobie sprawę z tego faktu. Magia - taka, jaką znali - zniknęła. Tym, którzy przeżyli wojnę, groziła teraz śmierć z powodu wdychania toksycznych oparów. Dlatego uciekli z miasta na wybrzeże, by oddychać czystym, morskim powietrzem. Na pewien czas Sanction wróciło do punktu wyjścia.

Niezwykły, tajemniczy czarodziej nazwiskiem Hogan Bight nie tylko przywrócił mu dawną chwałę, lecz również uczynił wspanialszym niż kiedykolwiek dotąd. Dokonał tego, czego nie udało się zdziałać żadnemu innemu magowi: nie tylko oczyścił powietrze, ale i odwrócił od miasta

strumienie lawy. Z ośnieżonych górskich szczytów spłynęła woda, czysta i chłodna. Można było wyjść z domu i zaczerpnąć głęboko tchu, nie narażając się na gwałtowny atak dławiącego kaszlu.

Starsze i mądrzejsze Sanction stało się zamożnym, poważanym miastem. Napłynęli do niego porządni, uczciwi kupcy, zwabieni przez Bighta obietnicą ochrony. Zarówno rycerze solamnijscy, jak i Rycerze Neraki zwrócili się do nowego władcy miasta. Każda z tych grup obiecywała ochronę przed drugą.

Bight nie ufał żadnej i nie wpuścił nikogo do miasta. Rozgniewani Rycerze Neraki utrzymywali, że Sanction leży na ziemiach przekazanych im przez Radę w zamian za pomoc w czasie Wojny Chaosu. Rycerze solamnijscy nadal negocjowali z Bightem, który jednak odrzucał wszystkie propozycje pomocy.

Czarni rycerze, którzy zwali się teraz Rycerzami Neraki, stawali się coraz silniejsi i bogatsi, a także zdobywali coraz większą władzę, gdyż to oni zbierali daninę dla smoków. Obserwowali Sanction uważnie, jak kot mysia norę. Od dawna już pragnęli zdobyć port, który stałby się bazą dla ich floty i pozwoliliby im podporządkować sobie ziemie leżące nad Nowym Morzem. Gdy tylko kot zauważył, że myszy są zajęte podgryzaniem się nawzajem, rzucił się do ataku.

Rycerze Neraki obiegli Sanction. Spodziewali się, że oblężenie potrwa długo, albowiem, gdy tylko zaatakują miasto, skłócone frakcje zjednoczą się w jego obronie. Nie brakowało im jednak cierpliwości. Nie zdołali wziąć miasta głodem, gdyż statki z łatwością przedzierały się przez ich blokadę, mogli jednak odciąć wszystkie lądowe szlaki handlowe, co doprowadziło kupców z Sanction do ruiny.

Hogan Bight ustąpił przed żądaniami mieszkańców i w zeszłym roku pozwolił solamnijskim rycerzom przysłać do Sanc - tion kontyngent, który wzmocniłby słabnącą obronę. Z początku przywitano ich w mieście jak zbawców. Mieszkańcy Sanction spodziewali się, że rycerze natychmiast położą kres oblężeniu. Solamnijscy oznajmili jednak, że najpierw muszą przeanalizować sytuację. Po kilku miesiącach tego analizowania ludzie ponownie zażądali od Solamnijszczyków, aby skończyli z oblężeniem. Rycerze odpowiedzieli, że jest ich za mało i potrzebują posiłków.

Oblegający co noc bombardowali miasto głazami i płonącymi belami siana, miotanymi przez katapulty. Płonące bele wywoływały pożary, a głazy wybijały dziury w budynkach. Ludzie ginęli, a ich własność ulegała zniszczeniu. Nikt nie mógł się porządnie wyspać. Zgodnie z przewidywaniami dowództwa Rycerzy Neraki, podniecenie i ferwor, z którym mieszkańcy Sanction bronili swego miasta przed wrogiem, wypaliły się po kilku miesiącach oblężenia. Obywatele obciążyli winą Solamnijszczyków, zwąc ich tchórzami. Rycerze z kolei nazywali mieszkańców nieodpowiedzialnymi zapaleńcami, którzy chcą wysłać swych obrońców na niepotrzebną śmierć. Dowiedziawszy się od szpiegów, że solidarność obrońców się załamuje, Rycerze Neraki rozpoczęli przygotowania do walnego szturmu. Ich dowództwo czekało tylko na znak, że rozłam przeniknął już do serca sił nieprzyjaciela.

Na wschód od Sanction leżała wielka dolina, zwana Doliną Zhakar. Już na samym początku oblężenia Rycerze Neraki przejęli kontrolę nad nią i wszystkimi przełęczami, łączącymi ją z miastem.

Ukryta u stóp Gór Zhakar dolina stała się dla nich ośrodkiem zgrupowania ich armii.

- Kierujemy się do Doliny Zhakar - oznajmiła swym rycerzom Mina. Gdy jednak pytali ją, dlaczego tam zmierzają i co mają tam zrobić, odpowiadała jedynie: - Wezwano nas.

Przybyli na miejsce w południe. Słońce stało wysoko na bezchmurnym niebie. Wydawało się, że spogląda na mieszkańców dolnego świata z niecierpliwością, która ugasiła wiatr, unieruchamiając rozgrzane powietrze.

Mina zatrzymała swój mały oddziałek przed wejściem do doliny. Naprzeciwko nich, po drugiej stronie niecki, znajdowała się przełęcz znana jako Przesmyk Beckarda. Rycerze widzieli już za nią oblegane miasto, niewielki fragment otaczających je murów. Od Sanction dzieliła ich jednak własna armia. W dolinie wyrosło drugie miasto, pełne namiotów i ognisk, wozów i zwierząt pociągowych, żołnierzy i markietanek.

Wyglądało na to, że Mina i jej rycerze zjawili się w odpowiedniej chwili. W obozowisku Rycerzy Neraki rozbrzmiewały radosne krzyki. Słysząc też było dźwięki trąb i krzyki oficerów, a na trakcie zbierały się gotowe do boju kompanie. Pierwsze oddziały maszerowały już przez przesmyk w stronę Sanction. Inne szybko szły w ich ślady.

- Świetnie - odezwała się Mina. - Zdążyliśmy na czas. Popędziła cwałem w dół stromego odcinka traktu, a jej rycerze podążyli za nią. Rozpoznali w dźwięku trąb melodię, którą słyszeli we śnie. Serca zabiły im szybciej, choć nie mieli pojęcia dlaczego.

- Dowiedz się, co się tam dzieje - poleciała Galdarowi Mina. Minotaur zapytał o to pierwszego napotkanego oficera.

Wracając do Miny, uśmiechał się szeroko i zacierał dłonie.

- Przekłęci Solamniczycy opuścili miasto! - zameldował. - Czarodziej, który rządzi Sanction, wywalił ich na zbity pysk. Dał im kopa w tyłek. Wygonił w jasną cholere. Zobacz... - Galdar odwrócił się i wskazał na Przesmyk Beckarda. - ...tam widać ich statki, te czarne punkciki na horyzoncie.

Rycerze Miny zakrzyknęli głośno z radości. Dziewczyna wpatrzyła się w odległe statki, nie uśmiechała się jednak. Zimny Ogień wiercił się niespokojnie, potrząsał grzywą i grzebał kopytem w ziemi.

- Przyprowadziłaś nas tutaj akurat na czas, Mino - ciągnął Galdar z entuzjazmem w głosie. - Właśnie przygotowują się do ostatecznego szturmu. Dzisiejszego dnia będziemy pili krew mieszkańców Sanction. A dzisiejszej nocy będziemy pili ich alei Rycerze wybuchnęli śmiechem. Mina jednak milczała, a na jej twarzy nie było widać radości ani podniecenia. Skierowała bursztynowe oczy na obozowisko, jakby czegoś w nim szukała. Najwyraźniej tego nie znalazła, gdyż między jej brwiami pojawiła się lekka zmarszczka. Wydęła usta w grymasie niezadowolenia. Nie zaprzestała jednak poszukiwań i po chwili jej twarz przybrała pogodniejszy wyraz. Skinęła do siebie głową i poklepała ogiera po szyi, aby go uspokoić.

- Galdarze, widzisz tę kompanię łuczników? Minotaur spojrział we wskazanym kierunku i skinął głową na znak potwierdzenia.

- Nie noszą barw Rycerzy Neraki.

- To najemnicy - wyjaśnił Galdar. - Płacimy im, ale dowodzą nimi ich własni oficerowie.

- Znakomicie. Przyrowadź do mnie ich dowódcę.

- Ale, Mino, dlaczego...

- Zrób, jak ci kazałam.

Rycerze zebrani za jej plecami wymienili zdziwione spojrzenia, wzruszając ramionami. Galdar już chciał się sprzeciwić, spróbować przekonać Minę, żeby pozwoliła mu przyłączyć się do triumfalnej szarży zamiast wysyłać go z jakąś bezsensowną misją. Nagle jego prawe ramię przeszło mrowienie, jakby uderzył się w łokieć. Przez krótką, przerażającą chwilę nie był w stanie poruszyć palcami. Mrowienie wkrótce ustąpiło, ale minotaur był wstrząśnięty. Mógł być to tylko podrażniony nerw, wrażenie przypominało mu jednak, jak wiele zawdzięcza Minie. Zapomniał o sprzeciwach i pojechał wykonać zadanie.

Wrócił z dowódcą kompanii, z górą czterdziestoletnim człowiekiem o nadmiernie umięśnionych ramionach, typowych dla łuczników. Twarz oficera miała naburmuszony, nieprzyjazny wyraz. Nie chciał nigdzie jechać, ale trudno jest odmówić nieustępliwemu minotaurowi, jeśli sięga się mu zaledwie do ramienia.

Mina opuściła zasłonę hełmu. Mądre pociągnięcie, pomyślał Galdar. W ten sposób nie było widać jej młodej, dziewczęcej twarzy.

- Jakie wydano ci rozkazy, dowódczo szponu? - zapytała. Jej dobiegający spod zasłony głos był zimny i twardy jak metal.

Mężczyzna popatrzył na nią z pewną dozą wzgardy. Bynajmniej nie wyglądał na zastraszonego.

- Nie jestem żadnym cholernym „dowódcą szponu”, panie rycerzu - odparł, kładąc sarkastyczny nacisk na słowo „panie”. - Mam stopień kapitana własnego oddziału. Nie przyjmujemy rozkazów od takich, jak ty. Tylko pieniądze. Robimy to, co nam się żywnie podoba.

- Masz przemawiać uprzejmie do dowódcy szponu warknął Galdar i popchnął oficera, który zachwiał się na nogach.

Mężczyzna zatoczył się, przeszył minotaura wściekłym spojrzeniem i sięgnął po miecz. Galdar złapał za rękojeść swego. Rycerze wyciągnęli z brzękiem oręż z pochew. Mina nawet nie drgnęła.

- Jakie wydano ci rozkazy, kapitanie? - powtórzyła pytanie.

Widząc, że przeciwnik ma przewagę liczebną, oficer schował miecz. Zrobił to jednak bez

pośpiechu, aby zademonstrować, że nie dał się zastraszyć, a po prostu nie jest głupi.

- Mam zaczekać na rozpoczęcie szturm, a potem zacząć szyc z łuków do żołnierzy na murach... dowódco - dodał zwrzonym tonem. - Wejdziemy do miasta ostatni, a to znaczy, że ominą nas wszystkie atrakcyjne łupy.

Mina przyjrzała mu się z namysłem.

- Nie darzysz zbyt wielkim szacunkiem Rycerzy Neraki i naszej sprawy.

- Jakiej sprawy? - Oficer parsknął krótkim, ochryłym śmiechem. - Sprawy wypełnienia szkатуły? To jedyne, co was obchodzi. Wy i wasze głupie wizje.

Splunął ze wzdrgą na ziemię.

- Ale przecież kiedy byłeś jednym z nas, kapitanie Samuval. Byłeś Rycerzem Takhisis - powiedziała Mina. - Zrezy - gnowałeś dlatego, że sprawa, o którą walczyłeś, przestała istnieć. Dlatego, że straciłeś wiarę.

Kapitan otworzył szeroko oczy. Mięśnie jego twarzy rozluźniły się nagle.

- Skąd... - zamknął gwałtownie usta. - A jeśli nawet, to co? - warknął. - Nie zdezerterowałem, jeśli o to ci chodzi. Wykupiłem się. Mam dokumenty...

- Jeśli nie wierzysz w naszą sprawę, to dlaczego nadal dla nas walczysz, kapitanie? - zapytała Mina.

Samuval prychnął pogardliwie.

- Och, oczywiście, że wierzę w waszą sprawę - odparł z szyderczym uśmiechem. - Wierzę w pieniądze, tak samo jak wy wszyscy.

Mina ściągnęła wodze, uspokajając rumaka, po czym spojrzała na położone po drugiej stronie Przesmyku Beckarda miasto Sanction. Galdar nagle odniósł dziwne i zarazem niesamowite wrażenie, że jej wzrok umie przeniknąć mury, zbroje obrońców, ich ciała i kości, aby sięgnąć do serc i umysłów. Że dziewczyna potrafi przejrzeć ich na wskroś, tak jak jego i kapitana.

- Nikt dziś nie wejdzie do Sanction, kapitanie Samuval - rzekła cicho Mina. - „Atrakcyjne łupy” przypadną jedynie padlinożernym ptakom. Na tych statkach nie ma solamnijskich rycerzy. Stojący na ich pokładach żołnierze to w rzeczywistości słomiane kukły w solamnijskich zbrojach. To pułapka. Przerażony Galdar wytrzeszczył oczy. Wierzył jej. Wierzył jej tak niezachwianie, jakby na własne oczy ujrzał wnętrza statków, jakby przeniknął wzrokiem mury i zobaczył ukrytą tam, gotową do ataku nieprzyjacielską armię.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał kapitan.

- A co, jeśli dam ci coś, w co będziesz mógł uwierzyć, kapitanie Samuval? - odpowiedziała

pytaniem na pytanie. - Jeśli uczynię cię bohaterem tej bitwy? Czy przysięgniesz mi wtedy wierność? - Uśmiechnęła się lekko. - Nie mogę ci dać pieniędzy. Wiem jednak jedno i podzielę się tym z tobą za darmo: walcz za mnie, a pewnego dnia poznasz jedyne prawdziwego boga.

Kapitan Samuval gapił się na nią bez słowa, porażony zdumieniem. Miał oszołomioną minę, jak uderzony piorunem.

Mina uniosła krwawiące dłonie, pokazując je łucznikowi.

- Daję ci wybór, kapitanie Samuval. W jednej ręce trzymam śmierć, a w drugiej chwałę. Co wolisz?

Samuval podrapał się po brodatej twarzy.

- Dziwny z ciebie dowódca szponu. Nigdy jeszcze takiego nie spotkałem.

Ponownie spojrzął na Przesmyk Beckarda.

- Wśród ludzi rozeszły się pogłoski, że miasto jest opuszczone - mówiła Mina. - Że podda się, otworzy przed nimi bramy. Już zamienili się w beładną tłuszcę. Biegną ku własnej zgnie.

Miała rację. Piesi żołnierze złamali szyk, ignorując krzyki oficerów, którzy na próżno starali się zachować jakiś porządek. Armia na oczach Galdara przerodziła się w niezdyscyplinowaną horde, która mknęła na oślep przez przesmyk, żądna krwi i łupów. Kapitan Samuval po raz drugi splunął z niesmakiem, po czym łypnął ponuro na Minę.

- Co mam zrobić, dowódco szponu?

- Rozmieść swoją kompanię łuczników na tych wzgórzach. Widzisz je?

Dziewczyna wskazała na wzniesienia położone naprzeciwko Przesmyku Beckarda.

- Widzę - potwierdził, spoglądając przez ramię. A co mamy uczynić, gdy już się tam znajdziemy?

- Ja i moi rycerze również zajmiemy tam pozycje - odparła Mina. - Będziesz czekał na moje rozkazy, a kiedy już je wydam, wykonasz je bez dyskusji.

Uniosła okrwawioną rękę. Galdar zastanawiał się, czy dziewczyna trzyma w niej śmierć, czy życie.

Być może kapitan Samuval również zadał sobie to pytanie, wahał się bowiem przez chwilę, nim ujął jej dłoń w swe wielkie, brązowe łapsko, brudne i stwardniałe od cięciwy. Jej rączka była drobna, a dotyk delikatny. Pokrywały ją pęcherze i skrzepła krew. Niemniej jednak to kapitan skrzywił się nieznacznie.

Gdy zwolniła uścisk, popatrzył na swą dłoń i potarł ją machinalnie o skórzany pancerz, jakby

chciał się uwolnić od bólu po ukłuciu czy oparzeniu.

- Spiesz się, kapitanie. Nie mamy wiele czasu - rozkazała.

- A kim właściwie jesteś, panie rycerzu? - zapytał kapitan Samuval, nie przestając pocierać dłoni.

- Jestem Mina.

Złapała za wodze i ściągnęła je mocno. Zimny Ogień zawrócił. Mina wbiła ostrogi w jego boki i rumak popędził wprost ku wzgórzom. Rycerze podążyli za nią, a Galdar biegł u jej boku, wyciągając ze wszystkich sił nogi.

- Skąd wiesz, że kapitan Samuval cię posłucha, Mino? ryknął minotaur, przekrzykując tętent kopyt.

Popatrzyła na niego z uśmiechem. Bursztynowe oczy lśniły w cieniu hełmu.

- Posłucha - zapewniła. - Choćby po to, by dać wyraz swej pogardzie dla zwierzchników i ich głupich rozkazów. Przede wszystkim jednak dręczy go głód, Galdarze. To człowiek, który łaknie pokarmu. Oni żywili go gliną, a ja wypełnię jego brzuch mięsem. Mięsem, które karmi duszę.

Mina pochyliła się nad głową ogiera, zmuszając go do jeszcze szybszego cwału.

Kompania łuczników kapitana Samuwała zajęła pozycje na wzgórzach u wylotu Przesmyku Beckarda. Składała się z kilkuset dobrze wyszkolonych żołnierzy, którzy walczyli już w wielu nerakańskich wojnach. Używali elfich łuków, wysoko cenionych przez wszystkich łuczników. Zajęli wyznaczone miejsca, stojąc stłoczeni w szeregu, gdyż łańcuch wzgórz nie był zbyt długi. W oddziale panował podły nastrój. Łucznicy widzieli, jak Rycerze Neraki pędzani Sanction i szemrali, że nic dla nich nie zostanie. Kiedy tam dotrą, najpiękniejsze kobiety będą już uprowadzone, a najbogatsze domy splądrowane. Równie dobrze mogliby wyruszyć w drogę powrotną.

Niebo nad ich głowami zasnuwała coraz gęstsza warstwa chmur. Szare, skłębione obłoki wypływały zza Gór Zhakar i powoli spływały w dół po stokach. Rozbity na dnie doliny obóz opustoszał całkowicie. Pozostały w nim tylko namioty, wozy oraz garstka rannych, którzy nie byli w stanie podążyć za towarzyszami i teraz przeklinali swego pecha. Zgiełk bitwy oddalił się od nich. Piętrzące się wokół turnie oraz płynące coraz niżej chmury pochłaniały odgłosy atakującej armii. W dolinie zapadła niesamowita cisza.

Łucznicy spoglądali ze złością na kapitana, który popatrzył niecierpliwie na Minę.

- Co nam rozkażesz, dowódco szponu? - zapytał.

- Czekać - odpowiedziała.

Czekali więc. Armia dotarła do murów Sanction i uderzyła na bramy. Słysząc było odległy łoskot. Mina zdjęła hełm i przesunęła dłonią po porastającej jej głowę rudej szczecinie. Nie patrzyła

na Sanction, lecz na niebo nad głową, błękitne niebo, które szybko ciemniało.

Łucznicy gapili się na nią, zdumieni jej młodością i niezwykłą urodą. Nie zwracała uwagi na ich spojrzenia, nie słyszała ich grubiańskich uwag, które pochłaniała wzbierająca w dolinie cisza. Ludzie wyczuwali w tej ciszy coś złowrogiego. Ci, którzy nadal wygłaszali komentarze, robili to tylko po to, aby dowieść swej odwagi. Niemal natychmiast uciszali ich zaniepokojeni towarzysze.

Pod murami Sanction ziemią wstrząsnął wybuch, który zmaćcił ciszę. Chmury przesłoniły słońce. Triumfalne krzyki nerakańskich żołnierzy przeszły nagle w przenikliwe wrzaski paniki.

- Co się dzieje? - pytali łucznicy. Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. - Widzicie, co się dzieje?

- Cisza w szeregach! - ryknął kapitan Samuval. Jeden z rycerzy, którego wysłano w stronę przesmyku jako obserwatora, popędził ku nim co koń wyskoczy.

- To była pułapka) - krzyknął, gdy był jeszcze dość daleko. - Bramy Sanction faktycznie się otworzyły, ale wypadli z nich Solamniczycy! Jest ich co najmniej tysiąc. Na ich czele podążają czarodzieje, a ich przeklęta magia niesie śmierć!

Rycerz ściągnął wodze, zatrzymując podekscytowanego wierzchowca.

- Miałaś rację, Mino! - Jego głos był przepojony czcią. - Potężna magiczna eksplozja zabiła w jednej chwili setki naszych żołnierzy. Ich tłące się ciała zaścierały ziemię. Nasze wojska uciekają w panice! Gnają ku nam, przez przesmyk. To klęska!

- To znaczy, że wszystko stracone - stwierdził kapitan Samuval, aczkolwiek spoglądał dziwnie na Minę. - Solamniczycy zepchną naszą armię do doliny. Nieprzyjaciel będzie młotem, a góry staną się kowadłem.

Jego słowa okazały się prawdziwe. Ci, którzy ruszyli do szturmu ostatni, wypadali już z przesmyku. Wielu z nich nie miało pojęcia, dokąd uciekają. Chcieli tylko znaleźć się jak najdalej od krwi i śmierci. Garstka mniej zdezorientowanych i bardziej wyrachowanych zmierzała ku wąskiemu szlakowi, który wiódł przez góry do Khur.

- Sztandar! - zażądała Mina z niecierpliwością w głosie. - Znajdźcie mi jakiś sztandar!

Kapitan Samuval zdjął brudną białą chustę, którą miał na szyi, i wręczył ją dziewczynie.

- Weź to, Mino.

Przyjęła ją od niego i pochyliła głowę. Szepcząc słowa, których nikt nie słyszał, pocałowała chustę i wręczyła ją Galdarowi. Na białej tkaninie pojawiły się czerwone plamy od pokrywającej jej dłonie krwi. Jeden z rycerzy podał minotaurovi lancę. Galdar przywiązał do niej okrwawioną chustę i wręczył lancę Minie.

Dziewczyna zawróciła Zimnego Ognia, wjechała na skalną wyniosłość i wzniosła wysoko

sztandar.

- Do mnie, żołnierze! - krzyknęła. - Do Miny! Chmury się rozstały i przeniknął przez nie snop słonecznego blasku, który padał wyłącznie na dosiadającą konia dziewczynę. Jej czarna zbroja lśniła jak skapana w płomieniach, a bursztynowe oczy lśniły blaskiem bitwy. Pierzchający żołnierze zatrzymali się, słysząc jej zew. Spojrzeli w stronę, z której dobiegał, i zobaczyli płomienną postać Miny, która gorzała na wzgórzu niczym latarnia morska.

Zaprzestali panicznej ucieczki i zdumieni podnieśli wzrok.

- Do mnie! - krzyknęła znowu Mina. - Dziś czeka nas chwała!

Żołnierze zawahali się. Później jeden z nich pobiegł w jej stronę i wdrapał się na wzgórze, potykając się i ześlizgując w dół. Za jego przykładem podążyli następni, radując się, że znaleźli przewodnika.

- Przyrowadź do mnie tych ludzi - rozkazała Galdarowi Mina, wskazując na kolejną grupę uciekających żołnierzy. - Tylu, ilu zdołasz zebrać. Dopilnuj, żeby byli uzbrojeni i ustaw ich w szyku bojowym na tych skałach w dole.

Galdar wykonał rozkaz. Na spółkę z innymi rycerzami zagroził drogę uciekającym i rozkazał im przyłączyć się do towarzyszy, którzy tworzyli ciemną rzekę głów u stóp Miny. Przez przesmyk napływało coraz więcej żołnierzy. Byli wśród nich Rycerze Neraki. Niektórzy z ich oficerów dzielnie próbowali powstrzymać odwrót, inni zaś uciekali razem z piechotą. Za nimi pędzili rycerze solamnijscy w lśniących, srebrnych zbrojach i białych pióropuszech. Tu i ówdzie błyskało śmiertelne, srebrzyste światło. Tam, gdzie się pojawiło, ludzie ginęli od magicznego żaru. Rycerze solamnijscy wdarli się do przesmyku, pędząc przed sobą Rycerzy Neraki niczym bydło prowadzone na rzeź.

Mina zjechała ze wzgórza. Jej sztandar powiewał na wietrze.

- Kapitanie Samuval - krzyknęła. - Rozkaż swym ludziom strzelać.

- Solamnijscy nie są jeszcze w zasięgu - odparł, kręcąc głową nad jej nieświadomością. - Każdy głupi to widzi.

- Naszym celem nie są Solamnijscy, kapitanie - wyjaśniła chłodno Mina i wskazała na uciekających przez przesmyk Rycerzy Neraki. - Strzelajcie do nich.

- Do naszych ludzi? - kapitan przeszył ją wściekłym spojrzeniem. - Jesteś szalona!

- Spójrz na pole bitwy, kapitanie - poradziła. - To jedyne wyjście.

Samuval poszedł za jej radą. Otarł twarz dłonią, a potem wydał rozkaz.

- Łucznicy, ognia.

- Do jakiego celu? - zapytał któryś z jego ludzi.

- Słyszeliście Minę! - odparł ostro kapitan. Wyrwał łuk jednemu z podkomendnych, nałożył strzałę na cięciwę i wystrzelił.

Strzała przeszła szyję jednego z uciekających Rycerzy Neraki. Mężczyzna spadł z konia i stratowały go wierzchowce pierzchających towarzyszy.

Cała kompania wystrzeliła jednocześnie. Setki strzał każda z nich starannie wycelowana z niewielkiej odległości - przeszło powietrze ze śmiertelnie świsem. Większość trafiła w cel. Piesi żołnierze padali na ziemię, trzymając się za piersi. Spod uniesionych zasłon hełmów, z gardeł rycerzy sterczały opierzone drzewca.

- Strzelajcie dalej, kapitanie - rozkazała Mina. Pomknęły kolejne strzały. Padli dalsi ludzie. Ogarnięci paniką żołnierze zdali sobie sprawę, że tym razem strzelają do nich z przodu. Zawahali się, a potem zatrzymali, starając się wypatrzeć tego nowego nieprzyjaciela. Od tyłu wpadały na nich następne szeregi, doprowadzone do szału bliskością rycerzy solamnijskich. Strome zbocza Przesmyku Beckarda uniemożliwiały im ucieczkę.

- Ognia! - krzyczał szaleńczo kapitan Samuwał, którego ogarnął bitewny zapal. - Za Minę!

- Za Minę! - powtarzali łucznicy i strzelali.

Ich niezawodne strzały wbijały się w cele z głuchym łoskotem. Ludzie padali z krzykiem na ziemię. W przesmyku utworzyła się krwawiąca barykada z ciał, przypominająca ohydny stos sągów drewna.

Jakiś rozwścieczony oficer podjechał do nich z mieczem w dłoni.

- Ty durniu! - krzyknął do kapitana Samuwała. - Kto wydał ci taki rozkaz? Strzelasz do własnych ludzi!

- To był mój rozkaz - oznajmiła ze spokojem Mina.

- Zdrada! - krzyknął ogarnięty furją rycerz, unosząc miecz. Dziewczyna siedziała bez ruchu na koniu. Wpatrywała się w rzeź na dole, ignorując napastnika. Galdar uderzył pięścią w hełm rycerza. Mężczyzna spadł z konia i stoczył się ze stoku ze złamanym karkiem. Minotaur popatrzył na Minę, ssąc zranione kostki dłoni.

Ze zdumieniem ujrzał, że po policzkach dziewczyny spływają rześiste łzy. Dłoń zaciskała na medalionie, który miała na szyi. Poruszała ustami, być może się modliła.

Atakowani od przodu i tyłu żołnierze zamknięci w Przesmyku Beckarda kłębili się bezradnie. Ich towarzysze, którzy zostali dalej, stanęli przed straszliwym wyborem. Mogli zginąć od ciosu w plecy albo odwrócić się i walczyć. Zwrócili się w stronę nieprzyjaciela i uderzyli nań z gwałtownością zdesperowanych, zapędzonych w kozły róg straceńców.

Solamniczycy nie dali za wygraną, lecz ich szarża straciła impet i po chwili się zatrzymała.

- Przerwać ogień! - rozkazała Mina. Oddała sztandar Galdarowi, wydobyła morgenstern i uniosła go wysoko nad głowę. - Rycerze Neraki! Nadeszła nasza godzina! Dziś czeka nas chwala!

Zimny Ogień zerwał się do biegu i popędził w dół stoku, niosąc Minę prosto ku przedniej straży solamnijskich rycerzy. Rumak był tak szybki, a dziewczyna ruszyła z miejsca tak raptownie, że jej rycerze zostali z tyłu. Przyglądali się z rozdziawionymi ustami, jak Mina mknie ku nieuchronnej zgubie. Nagle minotaur wznosił biały sztandar.

- Śmierć jest pewna! - zagrzmał. - Ale chwala też! Za Minę!

- Za Minę! - powtórzyli rycerze niskimi, złowrogimi głosami i ruszyli do ataku.

- Za Minę! - krzyknął kapitan Samuval, wypuszczając z rąk łuk i wyciągając krótki miecz. Cała kompania łuczników uczyniła to samo.

- Za Minę! - zawołali żołnierze, którzy zgromadzili się wokół jej sztandaru. Pociągnęła ich za sobą i wszyscy podążyli za nią niczym mroczna kaskada śmierci.

Galdar pędził na łeb, na szyję, rozpaczliwie próbując dogonić dziewczynę, aby ją bronić i osłaniać. Nigdy dotąd nie uczestniczyła w bitwie. Była zupełnie niewyszkolona. Z pewnością nie ujdzie śmierci. Widział już przed sobą twarze nieprzyjaciół. Próbowali ciąć go mieczami bądź przebić włóczniami. Wbijały się w niego ich strzały. Miecze odtrącał na bok, włócznie łamał, a strzały ignorował. Przeciwnik był jedynie irytującą przeszkodą, stojącą na drodze do celu. Stracił z oczu Minę, a gdy ją odnalazł, wrogowie otaczali ją ze wszystkich stron.

Jeden z nich spróbował przebić ją mieczem. Sparowała atak i uderzyła przeciwnika morgensternem. Już pierwszym ciosem rozbiła hełm. Drugim zdruzgotała czaszkę. Gdy jednak była zajęta walką z pierwszym nieprzyjacielem, drugi zaszedł ją od tyłu. Galdar ostrzegł ją głośnym rykiem, choć w tej samej chwili z rozpaczą zdał sobie sprawę, że dziewczyna go nie słyszy. Rzucił się jej na pomoc, powalając wrogów, którzy stali między nim a jego dowódcą. Nie widział już ich twarzy, a jedynie krwawy blask swego miecza.

Wbił wzrok w Minę. Jego furia zbulgotała jak wrzątek, a serce przestało mu na chwilę bić, gdy zobaczył, że ściągnięto ją z konia. Walczył zacieklej niż kiedykolwiek, rozpaczliwie pragnąc uratować dziewczynę. Ogłuszył go cios zadany od tyłu. Opadł na kolana. Próbował wstać, lecz spadł na niego deszcz gwałtownych uderzeń. Minotaur stracił przytomność.

Bitwa skończyła się mniej więcej o zmierzchu. Rycerze Neraki utrzymali się. Dolina była bezpieczna. Solamniczycy i żołnierze z Sanction zostali zmuszeni do wycofania się za mury miasta, które było dogłębnie wstrząśnięte ich druzgocącą klęską. Mieli już na głowach wieniec zwycięstwa, lecz nagle zerwano im go i wdeptano brutalnie w błoto. Zrozpaczeni, zniechęceni rycerze solamnijscy opatrzyli rannych i spalili ciała poległych. Poświęcili całe miesiące na przygotowanie tego planu, który uważali za jedyną szansę położenia kresu oblężeniu Sanction. Raz po raz zadawali sobie pytanie, jak mogło im się nie udać.

Jeden z nich opowiadał o wojowniku, który rzucił się na niego, jak to ujął: „niby gniew nieobecnych bogów”. Wielu innych przyznało, że również widzieli owego wojownika. Niektórzy twierdzili, że był to młodzieniec, inni jednak zapewniali, że była to dziewczyna - o twarzy, za którą mężczyzna mógłby oddać życie. Mknęła na czele szarzy, uderzyła w ich szeregi niczym grom, walczyła bez hełmu i tarczy, a jej bronią był ociekający krwią morgenstern.

Gdy ściągnięto ją z konia, walczyła dalej pieszo.

- Na pewno nie żyje - rzucił ktoś gniewnie. - Widziałem, jak padła.

- Rzeczywiście padła, ale potem strzegł jej rumak - zaprzeczył ktoś inny. - Uderzał kopytami wszystkich, którzy odważyli się zbliżyć.

Nikt jednak nie wiedział, czy piękna niszczycielka poległa, czy ocalała. Fala bitwy odwróciła się, przelała ponad nią i przetoczyła nad głowami solamijskich rycerzy, ogłuszając ich i ciskając z powrotem do miasta.

- Mino! - wołał ochryplym głosem Galdar. - Mino! Odpowiedzi nie było.

Zrozpaczony, zdesperowany minotaur nie zaprzestawał poszukiwań.

Nad doliną wisiał całun dymu bijącego ze stosów pogrzebowych. Noc jeszcze nie zapadła, a w powietrzu unosiły się gęste opary oraz pomarańczowe skry. Minotaur udał się do namiotów czarnych mistyków, którzy opiekowali się rannymi, lecz tam jej nie znalazł. Szukał dziewczyny też wśród przygotowywanych do spalenia zwłok, co było żmudnym zadaniem.

Podnosił ciało, przetaczał je na plecy, przyglądał się uważnie twarzy i przechodził do następnego.

Tam przynajmniej nie natrafił na Minę. Nie było jej wśród poległych, których przyniesiono już do obozu, ale usuwanie ciał z krwawego przesmyku miało trwać do rana. Galdarowi opadały ramiona. Był ranny i zmęczony, lecz mimo to nie zamierzał zaprzestać poszukiwań. W prawej dłoni nadal ścisnął sztandar Myny. Tkanina nie była już biała, lecz czerwonobrązowa, sztywna od zakrzepłej krwi.

Oskarżał siebie o zaginięcie dziewczyny. Powinien był być u jej boku. Gdyby nie zdołał jej obronić, mógłby przynajmniej wraz z nią zginąć. Zawiódł. Powalił go atak od tyłu. Gdy w końcu odzyskał przytomność, bitwa już się skończyła. Powiedziano mu, że ich wojska zwyciężyły.

Dręczony bólem i zawrotami głowy minotaur powłókł się w miejsce, gdzie widział Minę po raz ostatni. Ziemię zaścielały tu sterty ciał jej wrogów, ale dziewczyny wśród nich nie było.

Nie znalazł jej ani wśród żywych, ani wśród poległych. Zaczynał już sądzić, że tylko mu się przyśniła, że stworzyła ją jego tęsknota za kimś, czy może za czymś, gdy nagle ktoś dotknął jego ramienia.

- Minotaurze - odezwał się mężczyzna. - Przepraszam, ale nie dosłyszałem, jak się nazywasz.

Galdar przez chwilę nie poznawał żołnierza, którego twarz niemal całkowicie pokrywał zboczony krwią bandaż. Potem zorientował się, że to kapitan kompanii łuczników.

- Szukasz jej, prawda? - zapytał kapitan Samuval. Miny?

Za Minę! Krzyki żołnierzy wciąż niosły się echem w jego sercu. Był zbyt zmęczony i przygnębiony, aby cokolwiek powiedzieć - Chodź ze mną - ciągnął Samuval. - Coś ci pokażę. Powlekli się dnem doliny w stronę pola bitwy. Ci żołnierze, którym udało się uniknąć ran, zajęli się odbudową zniszczonego w trakcie chaotycznego odwrotu obozu. Wszyscy pracowali z niezwykłym ferworem. Nie było trzeba biczów ani wrzasków dowódców. Galdar pamiętał, jak ci sami żołnierze po poprzednich bitwach siedzieli ponuro przy ogniskach, popijając krasnoludzką gorzałkę i przechwalając się tym, jak bohatersko dobijali rannych nieprzyjaciół.

Mijając grupy mężczyzn wbijających kołki namiotowe, wyklepujących napierśniki i tarcze, zbierających strzały bądź zajętych niezliczonymi innymi zadaniami, wyteżał słuch, aby usłyszeć, o czym mówią. Nie opowiadali o sobie, lecz o błogosławionej, zaczarowanej Minie.

Jej imię było na ustach każdego żołnierza. Wszyscy mówili o jej czynach. W obozie zapanował nowy duch, jakby burza, z której wyłoniła się Mina, nasyciła wszystkich energią, a jej impulsy przeskakiwały teraz między nimi.

Galdar zdumiewał się ich słowami, nie mówił jednak nic. Towarzyszył kapitanowi Samuvalowi, który wyraźnie nie miał ochoty rozmawiać o niczym i nie odpowiadał na żadne pytania. W innej sytuacji sfrustrowany minotaur mógłby wbić mu głowę w tułów, ale nie teraz. Połączyła ich chwila triumfu i uniesienia, jakich nigdy dotąd nie zaznali. Obaj przeszli samych siebie, dokonali bohaterskich czynów, o jakich nigdy by siebie nie podejrzewali. Walczyli za sprawę, walczyli za nią wspólnie i - wbrew wszelkim oczekiwaniom - zwyciężyli.

Gdy Samuval się potknął, Galdar go podtrzymał. Kiedy minotaur pośliznął się w kałuży krwi, pomógł mu kapitan. Po chwili dotarli na skraj pola bitwy. Kapitan Samuval wpatrzył się w zalegające nad doliną tumany dymu. Słońce chowało się już za górami. Nad ich szczytami widać jeszcze było czerwonawą łunę.

- Tam - rzekł kapitan, wyciągając rękę.

W momencie zachodu słońca rozpełtał się wiatr, który porwał chmury dymu na małe obłoczki, tańczące nad ziemią niczym jedwabne chustki. Nagły powiew uniósł je na bok, odsłaniając rumaka barwy krwi oraz postać klęczącą nieopodal na polu bitwy.

- Mina! - wydyszał Galdar. Wszystkie mięśnie jego ciała osłabły od gwałtownej ulgi. Zapieкло go nagle w oczach. Pomyślał, że to od dymu, gdyż minotaurowie nigdy nie płakali... nie mogli płakać. Otarł oczy.

- Co ona robi? - zapytał po chwili.

- Modli się - odpowiedział kapitan Samuval. Dziewczyna klęczała obok zwłok żołnierza.

Strzała, która go zabiła, przeszła pierś i przyszpiliła trupa do ziemi. Mina ujęła dłoń zabitego, przycisnęła ją sobie do piersi i pochyliła głowę. Jeśli nawet coś mówiła, Galdar tego nie słyszał, wiedział jednak, że Samuval miał rację. Modliła się do swego boga, do tego jedyne prawdziwego boga. Do boga, który przewidział pułapkę i pomógł swej służce zamienić klęskę w chwalebny triumf.

Skończywszy modlitwę, położyła dłoń mężczyzny na straszliwej ranie, pochyliła się nad poległym, pocałowała go w zimne czoło i wstała.

Ledwie miała siłę chodzić. Pokrywała ją krew, w tym również jej własna. Zatrzymała się. Zwiesiła głowę, a jej ciało oklapło. Potem uniosła głowę ku niebu. Wydawało się, że znalazła tam siłę, gdyż wyprostowała się i ruszyła naprzód pewnym krokiem.

- Od chwili, gdy zwycięstwo stało się pewne, chodzi od trupa do trupa - wyjaśnił kapitan Samuval. - W pierwszej kolejności zatrzymuje się przy tych, którzy padli od naszych strzał. Zatrzymuje się, klęka w krwawym błocie i odmawia modlitwę. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

- Dobrze robi, oddając im honory - rzekł ochryple Galdar. - Zapłacili za zwycięstwo swą krwią.

- To ona zapłaciła za zwycięstwo ich krwią - poprawił go kapitan Samuval, unosząc jedyną widoczną pod bandażem brew.

Wtem za plecami Galdara rozległ się jakiś niesamowity dźwięk. Przypominał on minotaurowi Gamashinoch, Pieśń Śmierci, lecz wydobywał się z żywych gardeł. Pieśń zaczęła się cicho, śpiewana tylko przez kilku, lecz wkrótce podjęli ją następni żołnierze - tak samo jak przedtem podnieśli porzucone miecze i wrócili do walki.

- Mina... Mina...

Pieśń przybierała na sile. Zaczęła się jako cichy, pełen czci hymn, lecz wkrótce stała się triumfalnym marszem, radosnym peanem, któremu nadawały rytm miecze uderzające o tarcze, tupiące nogi i klaszczące dłonie.

- Mina! Mina! Mina!

Galdar odwrócił się i zobaczył, że ocalali żołnierze zbierają się na skraju pola bitwy. Rannych, którzy nie mogli chodzić o własnych siłach, podtrzymywali towarzysze. Zakrwawieni, obdarci żołnierze śpiewali chórem imię Miny.

Minotaur zakrzyknął gromko i wzniosł w górę jej sztandar. Śpiew przeszedł w radosny aplauz, który przetoczył się nad górami niczym grom i wstrząsnął usłaną stosami trupów ziemią.

Mina chciała znowu uklęknąć, lecz powstrzymała ją pieśń. Dziewczyna zwróciła się powoli ku wiwatującemu tłumowi. Twarz miała białą jak kość, bursztynowe oczy podkrążone z wyczerpania, a wargi suche i popękane, splamione od całowania trupów. Popatrzyła na żywych, którzy krzyczeli i śpiewali, powtarzając jej imię.

Uniosła ręce.

Wszyscy w mgnieniu oka umilkli. Nie było słychać nawet krzyków i jęków rannych, a jedynie echo jej imienia, odbite od górskich stoków. Po chwili i ono ucichło. Nad doliną zapadła cisza.

Mina dosiadła konia, aby lepiej ją widziały rzesze zgromadzone na skraju pola bitwy, które nazwano teraz „Chwałą Miny”.

- Nie mnie powinniście oddawać cześć! - zawołała. - Ja jestem tylko naczyniem. Zaszczyty i chwała należą się wyłącznie bogu, kierującemu mną na ścieżce, którą kroczę.

- Ścieżka Miny jest ścieżką nas wszystkich! - krzyknął ktoś.

Ponownie rozległ się aplauz.

- Wysłuchajcie mnie! - wrzasnęła dziewczyna. W jej głosie pobrzmiwała władza i autorytet. - Dawni bogowie odeszli! Opuścili was. Nigdy nie wrócą! Ich miejsce zajął Jedyne Bóg. Jedyne Bóg będzie władał światem. Tylko on i nikt inny. To jemu jesteśmy winni cześć.

- A jak on się nazywa? - zapytał ktoś.

- Nie mogę wypowiedzieć jego imienia - odpowiedziała dziewczyna. - Jest zbyt święte, zanadto potężne.

- Mina! - podjął znowu ktoś. - Mina! Mina!

Tłum znowu zaczął śpiewać i nie można już go było powstrzymać.

Mina sprawiała przez chwilę wrażenie poirytowanej, nawet rozgniewanej. Gdy jednak ścisnęła mocno w dłoni medalion, który miała na szyi, wyraz jej twarzy złagodniał.

- Proszę bardzo! Powtarzajcie moje imię! - zakrzyknęła. - Ale pamiętajcie, że czyniąc to, chwalicie mojego Boga.

Tłum ryknął ogłuszająco. Z górskich stoków posypały się kamienie.

Galdar również wrzeszczał radośnie, zapominając o bólu. Gdy jednak spojrzął na swego towarzysza, zauważył, że kapitan zachowuje ponure milczenie i spogląda gdzieś w bok.

- O co chodzi? - ryknął minotaur, przekrzykując tumult. - Co się stało?

- Spójrz tam - powiedział kapitan Samuval, - Na namiot dowodzenia.

Nie wszyscy w obozie krzyczeli radośnie. Grupa Rycerzy Neraki zgromadziła się wokół swego dowódcy, Pana Czaszki. Skrzyżowali ręce na piersiach i spoglądali złowrogo na tłum.

- Kto to jest? - zapytał Galdar.

- Lord Milles - wyjaśnił Samuval. - To jego rozkazy doprowadziły do tej katastrofy. Jak widzisz, on nie ucierpiał w walce. Na jego pięknej, błyszczącej zbroi nie ma nawet kropelki krwi.

Lord Milles próbował przyciągnąć uwagę żołnierzy. Wymachiwał rękami i krzyczał jakieś słowa, których nikt nie słyszał. Wszyscy go ignorowali i w końcu dał za wygraną.

Galdar wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ciekawe, czy Milles jest zadowolony, że jego dowództwo spłynęło do latryny?

- Pewnie nie za bardzo - skwitował Samuval.

- Wielu rycerzy uważa, że dobrze się stało, iż bogowie odeszli - ciągnął minotaur. - Od dawna już nie wspominają o Takhisis. Przed dwoma laty Pan Nocy Targonne zmienił oficjalną nazwę zakonu - na Rycerze Neraki. W dawnych czasach, gdy rycerz miał wizję, poznawał swe miejsce w wielkim planie bogini. Kiedy Takhisis uciekła ze świata, dowództwo przez pewien czas usiłowało podtrzymać wizję przy użyciu różnych mistycznych środków. Rycerze nadal odbywają ten rytuał, ale w obecnych czasach mogą być pewni jedynie tego, co Targonne i jego banda wkładają im do głów.

- Między innymi dlatego odszedłem - rzekł Samuval. - Targonne i inni oficerowie, tacy jak ten Milles, cieszą się, że wreszcie mogą sobie porządzić. Nie będą zadowoleni, gdy się dowiedzą, że grozi im strącenie ze szczytu. Możesz być pewien, że zawiadomili już o Minie kwaterę główną.

Sprawczyni całego zamieszania zsunęła się z siodła, chwyciła wodze Zimnego Ognia i opuściła pole bitwy, kierując się do obozu. Mężczyźni krzyczeli głośno, dopóki do nich nie dotarła, lecz, gdy ich mijala, coś, czego nie pojmowali, kazało im milknąć i padać na kolana. Niektórzy wyciągali ręce, pragnąc jej dotknąć, inni prosili, aby na nich spojrziała i udzieliła im błogosławieństwa.

Lord Milles obserwował ten triumfalny przemarsz z grymasem niesmaku na twarzy. Odwrócił się na pięcie i zniknął w namiocie dowodzenia.

- E, tam! Niech sobie knują! - rzucił ogarnięty uniesieniem Galdar. - Mina ma teraz armię. Co mogą jej zrobić?

- Możesz być pewien, że wymyślą jakiś zdradziecki podstęp - odparł Samuval. Spojrzał ku niebu. - Być może rzeczywiście istnieje Jedyny, który czuwa nad nią z góry, ale będzie też potrzebowała przyjaciół, strzegących jej tu, na dole.

- Mądre słowa - poparł go Galdar. - To znaczy, że należysz do niej, kapitanie?

- Aż po kres życia albo po koniec świata, cokolwiek nadejdzie pierwsze. A ty?

- Zawsze do niej należałem - odparł Galdar. Miał wrażenie, że naprawdę tak było.

Minotaur i człowiek uścisnęli sobie dłonie. Galdar uniósł dumnie sztandar Miny i ruszył u boku dziewczyny odbywającej triumfalny przemarsz przez obóz. Kapitan Samuval szedł za jej plecami, ściskając miecz w dłoniach. Rycerze Miny skupili się wokół jej sztandaru. Każdy z tych, którzy

towarzyszyli jej od Neraki, odniósł jakąś ranę, lecz żaden nie zginął. Zaczęli już opowiadać historie o cudach.

- Strzała leciała prosto na mnie - mówił jeden. - Wiedziałem, że już po mnie. Wypowiedziałem imię Miny i strzała spadła na ziemię u moich stóp.

- Jeden z przeklętych Solamniczaków przystawił mi miecz do gardła - opowiadał drugi. - Wezwałem imienia Miny i broń nieprzyjaciela pękła na dwoje.

Żołnierze oferowali jej jedzenie. Przynosili wino i wodę. Kilku z nich zajęło namiot jednego z oficerów Millesa, wygoniło go stamtąd i przygotowało kwaterę dla Miny. Ludzie wyciągali drwa z ognisk, aby zrobić z nich pochodnie, oświetlające dziewczynie drogę przez mrok. Gdy przechodziła obok, śpiewali jej imię, jakby było magicznym zaklęciem.

- Mina! - krzyczeli ludzie, wiatr i ciemność. - Mina!

Za tarczą

Elfowie Silvanesti zawsze otaczali czcią noc.

Qualinesti uwielbiają słoneczny blask. Ich władca zwie się Mówcą Słońca. Ich domy pełne są słonecznego światła, wszystkie sprawy załatwia się za dnia i również za dnia odbywają się wszelkie ważne ceremonie, takie jak śluby, aby słońce pobłogosławiło je swymi promieniami.

Natomiast Silvanesti kochają rozgwieżdżone niebo.

Ich przywódca zwany jest Mówcą Gwiazd, a noc uważano ongiś w Silvanoście, stolicy elfiego państwa, za błogosławiony czas. Noc przynosiła ze sobą gwiazdy, słodki odpoczynek i sen o pięknie ich umiłowanej krainy. Potem jednak nadeszła Wojna Lancy i skrzydła złych smoków przesłoniły gwiazdy. Szczególnie zawziął się na Silvanesti zielony smok znany jako Cyan Bloodbane. Od dawna już nienawidził elfów i pragnął, by cierpieli. Mógłby zabijać ich tysiącami, był jednak okrutny i sprytny. Co prawda konający cierpią, ale ból trwa krótko i zmarli wkrótce o nim zapominają, odchodząc z tego świata. Cyan pragnął zadawać ból, którego nic nie złagodzi, ból, który będzie trwał stulecia.

Władcą Silvanesti był wówczas elf biegle władający magią. Lorac Caladon przewidział najazd zła na Ansalon i wysłał swych poddanych na wygnanie, tłumacząc im, że jego moc obroni królestwo przed smokami. Nikt nie wiedział, że Lorac ukradł jedną z magicznych smoczycich kul z Wieży Wielkiej Magii. Ostrzegano go, że jeśli kuli spróbuje użyć ktoś, kto ma za małą moc, aby zapanować nad jej magią” może to doprowadzić do katastrofy. Lorac w swej arogancji wierzył jednak, że ma dosyć sił, by podporządkować kulę własnej woli. Spojrzał w nią i zobaczył patrzącego nań smoka, który zawładnął jego umysłem.

Cyan Bloodbane otrzymał wreszcie swą szansę. Znalazł Loraca w Wieży Gwiazd. Władca elfów siedział na tronie, mocno ściskając w dłoni kulę. Smok wyszeptał mu do ucha sen o Silvanesti, straszliwy sen, w którym piękne drzewa zamieniły się w ohydne, zdeformowane monstra, atakujące tych, którzy kiedyś je kochali. Sen, w którym Lorac zobaczył, jak jego poddani po kolei giną bolesną, straszliwą śmiercią. Sen, w którym wody Thon-Thalasu stały się czerwone od krwi.

Wojna Lancy dobiegła końca. Królowa Takhisis została pokonana. Cyan Bloodbane musiał uciekać z Silvanesti, był jednak z siebie zadowolony. Osiągnął swój cel. Zesłał na elfów straszliwy sen, z którego nigdy się nie przebudzą. Kiedy wrócili po wojnie do ojczyzny, wstrząśnięci i przerażeni przekonali się, że koszmar stał się rzeczywistością. Sen Loraca, zesłany przez Cyana Bloodbane, ohydnie zdeformował piękną ongiś krainę.

Silvanesti stanęli do walki ze snem i pod dowództwem Porthiosa, generała z Qualinesti, udało im się w końcu go pokonać. Cena była jednak wysoka. Wielu elfów padło ofiarą snu, a gdy wreszcie uwolnili od niego krainę, rośliny i zwierzęta nadal były ohydnie zniekształcone. Elfowie cierpliwą pielęgnacją przywrócili swym lasom piękno, posługując się nowo odkrytymi zaklęciami, aby zagoić rany pozostawione przez sen i zamaskować blizny.

Potem zapragnęli o wszystkim zapomnieć. Przeszkadzał im w tym Porthios, który nieraz ryzykował życie, aby uwolnić ich ojczyznę od przeklętego snu. Przestali go więc uważać za zbawcę. Stał się w ich oczach obcym, intruzem, groźbą dla Silvanesti, którzy pragnęli powrotu do życia w izolacji i odosobnieniu. Porthios chciał, aby elfowie wrócili do świata, stali się z nim jednością, zjednoczyli się ze swymi kuzynami, Quali - nesti. Z tą nadzieją poślubił Alhanę Starbreeze, córkę Loraca. W ten sposób, jeśli znowu nadejdzie wojna, elfowie nie będą musieli walczyć sami. Będą mieli sojuszników.

Silvanesti jednak nie chcieli sojuszników. Uważali, że sojusznicy mogliby zagarnąć ich ziemie w zamian za udzieloną pomoc. Mogliby zapragnąć poślubić ich synów i córki i w ten sposób skazić ich czystą krew. Owi izolacjoniści ogłosili, że Porthios i jego żona Alhana są „czarnymi elfami”, którym nie wolno wrócić do ojczyzny pod karą śmierci.

Porthios został wygnany. Generał Konnal przejął władzę, wprowadzając stan wojenny „do czasu, gdy odnajdzie się prawdziwy król, który zasiądzie na tronie”. Silvanesti zignorowali prośby swych kuzynów Qualinesti, błagających o pomoc w uwolnieniu się spod władzy wielkiej smoczy Beryl i Rycerzy Neraki. Nie zważali też na prośby innych, którzy walczyli z wielkimi smokami. Chcieli się odciąć od świata. Zaabsorbowani własnymi sprawami, spoglądali w zwierciadło życia i widzieli w nim jedynie samych siebie. I wtedy, gdy zachwycali się swym odbiciem, zielony smok Cyan Bloodbane wrócił do krainy, którą raz już prawie zniszczył. Tak przynajmniej meldowali kirathowie, którzy pełnili straż na granicach.

- Nie wznóście tarczy] - ostrzegali. - Uwięzicie nas za nią razem z naszym najgorszym wrogiem!

Elfowie nie chcieli ich słuchać, gdyż nie wierzyli w te pogłoski. Cyan Bloodbane był wspomnieniem z mrocznej przeszłości. Zginął podczas smoczjej czystki. Musiał wówczas zginąć, bo gdyby wrócił, z pewnością dawno już by ich zaatakował. Silvanesti tak bardzo bali się świata zewnętrznego, że głowy rodów jednomyślnie poparły otoczenie krainy magiczną tarczą. Można powiedzieć, że spełniło się najgorętsze pragnienie mieszkańców Silvanesti. Tarcza zapewniła im prawdziwą izolację, odcięła ich od wszystkich. Byli bezpieczni przed złem otaczającego ich świata.

- Wydaje mi się jednak, że nie tyle odgradziliśmy się od zła, co zamknęliśmy je razem z sobą - tłumaczył Silvanowi Rolan.

W Silvanesti zapadła noc. Cały dzień wędrowali przez las. Pokonali wiele mil, nim wreszcie Rolan uznał, że są już dostatecznie chronieni przed szkodliwym działaniem tarczy i mogą urządzić postój. Dla Silvanosheia był to dzień pełen niezwykłych wrażeń.

Nieraz słyszał, jak matka opowiadała ze smutkiem, żalem i tęsknotą o pięknie ich ojczyzny. W dzieciństwie często ukrywał się z rodzicami w jaskiniach, bo ze wszystkich stron zagrażali im wrogowie. Matka opowiadała mu wtedy o Silvanesti, aby uspokoić jego obawy. Zamykał oczy i widział nie ciemność, lecz szmaragdowe, srebrne i złote lasy. Słyszał nie wycie wilków i goblinów, ale melodyjne dzwonienie dzwoneczków albo słodką, smutną muzykę fletowego drzewa.

Jego wyobraźnia bladła jednak w porównaniu z rzeczywistością. Nie potrafił uwierzyć, że może istnieć podobne piękno. Cały dzień był dla niego jak sen na jawie. Silvanoshei potykał się o kamienie, korzenie drzew i własne nogi. Na widok otaczających go zewsząd cudów oczy zachodziły mu łzami, a serce wypełniało się radością.

Drzewa o obsypanej srebrem korze z gracją wznosiły ku niebu łuki gałęzi, a ich liście o srebrnych krawędziach lśniły w blasku słońca. Wzdłuż ścieżki gęsto rosły szerokolistne krzewy. Ich kwiaty barwy płomienia wypełniały powietrze słodkim zapachem. Odnosił wrażenie, że idzie nie tyle przez las, co przez ogród, gdyż nie widziało się tu spadłych gałęzi, płożących się chwastów ani jeżynowych gąszczy. Rzeźbiarze drzew pozwalali rosnąć w swych lasach tylko roślinom pięknym, pożytecznym albo rodzącym owoce. Ich magiczny wpływ obejmował całą krainę, pomijając pogranicze, gdzie tarcza mroziła ich dzieło swym zabójczym cieniem.

Ciemność pozwoliła odpocząć olśnionym oczom Silvana, lecz noc również okazała się porażająco piękna. Gwiazdy lśniły jaskrawo, jakby chciały rzucić wyzwanie tarczy. Nocne kwiaty rozchyłały płatki w ich blasku, nasycając ciepły mrok egzotycznymi woniami, a ich fosforescencja wypełniała mrok łagodnym srebrzystobiałym blaskiem.

- O czym mówisz? - zapytał Silvan. Nie potrafił pogodzić myśli o złu z pięknem, które miał przed oczyma.

- Na przykład o okrutnej karze, jaką wymierzylismy twym rodzicom, Wasza Królewska Mość - odparł Rolan. - Odwdzięczyliśmy się twemu ojcu za udzieloną pomoc ciosem w plecy. Kiedy o tym usłyszałem, wstydzilem się, że jestem Silvanesti. Zapłaciliśmy jednak za swój wstyd i hańbę, za odgrodzenie od świata tarczą, która obroniła nas przed smokami, podczas gdy inni cierpieli. Płacimy za tę osłonę własnym życiem.

Zatrzymali się na polanie położonej u brzegu wartkiego strumienia. Silvan cieszył się, że może chwilę odpocząć. Rany ponownie zaczęły mu doskwierać, choć nie chciał o tym mówić. Podniecenie i szok wywołane nagłą zmianą, która zaszła w jego życiu, wyczerpały go zupełnie.

Rolan znalazł dla nich na wieczorny posiłek owoce, które popili wodą słodką jak nektar. Następnie opatrzył rany młodzieńca z delikatnością i szacunkiem, które sprawiły Silvanosheiovi przyjemność.

Samar rzuciłby mi szmatę i kazał sobie radzić samemu, pomyślał.

- Być może Wasza Królewska Mość zechciałby się przespać kilka godzin - zasugerował Rolan.

Jeszcze przed chwilą Silvanowi wydawało się, że zaraz padnie ze zmęczenia, ale kolacja i odpoczynek przywróciły mu siły.

- Chciałbym dowiedzieć się więcej o swojej ojczyźnie - oznajmił. - Matka mi trochę opowiadała, ale oczywiście nie wiedziała, co się wydarzyło po tym, jak... opuściła kraj. Mówiłeś o tarczy. - Silvan rozejrzał się wokół. Otaczające go piękno zapierało dech w piersiach. - Rozumiem, dlaczego chcieliście obronić to wszystko... - wskazał na drzewa, których pnie lśniły opalizującym blaskiem, na połyskujące w trawie świetliste kwiaty - ...przed zniszczeniem przez naszych wrogów.

- Tak, Wasza Królewska Mość - zgodził się Rolan ła - godniejszym tonem. - Są tacy, którzy utrzymują, że za taką osłonę warto zapłacić każdą cenę, nawet gdyby było nią nasze życie. Ale jeśli wszyscy umrzemy, to kto będzie zachwycał się tym pięknem? Sądzę też, że jeżeli umrzemy, lasy wkrótce czeka ten sam los, gdyż dusze elfów są połączone mistyczną więzią ze wszystkim, co żyje.

- Jesteśmy liczni jak gwiazdy - sprzeciwił się Silvan, myśląc z rozbawieniem, że Rolan przesadnie dramatyzuje.

Kirath popatrzył z melancholią na niebo.

- Jeśli zgasisz połowę tych gwiazd, przekonasz się, że zrobiło się znacznie ciemniej, Wasza Królewska Mość.

- Połowę! - zawołał wstrząśnięty młodzieniec. - Z pewnością nie aż tyle!

- Połowa ludności samego Silvanostu zmarła na wyniszczającą chorobę, Wasza Królewska Mość... - Zwiadowca przerwał na chwilę. - To, co ci teraz powiem, zostałoby uznane za zdradę i spotkałaby mnie za to surowa kara.

- Masz na myśli wyrzucenie? - zapytał zaniepokojony Silvan. - Wygnanie? Odesłanie w ciemność?

- Nie, tego już nie robimy, Wasza Królewska Mość wyjaśnił Rolan. - Nie możemy nikogo wygnać, bo przez tarczę nie sposób się przedostać. Ci, którzy sprzeciwiają się generał-gubernatorowi Konnalowi, po prostu znikają. Nikt nie wie, co się z nimi dzieje.

- Jeśli to prawda, to dlaczego się nie zbuntujecie? - zapytał zdumiony Silvan. - Czemu nie obalicie Konnala i nie zażądacie usunięcia tarczy?

- Dlatego, że tylko nieliczni znaj ą prawdę. A ci z nas, którzy ją znają, nie mają dowodów. Moglibyśmy ogłosić w Wieży Gwiazd, że Konnal oszalał, że tak bardzo boi się świata zewnętrznego, że woli, abyśmy wszyscy zginęli, zamiast się przed nim otworzyć. A potem on wstałby z miejsca i powiedział: „To kłamstwo! Jeśli opuścimy tarczę, czarni rycerze wtargną do naszych umiłowanych lasów ze swymi siekierami, ogrowie będą niszczyć i kaleczyć żywe drzewa, a wielkie smoki rzucają się na nas, aby nas pożreć”. Tak właśnie by powiedział i wszy - scy krzyczeliby: „Ratuj nas! Broń nas, kochany generał-gubernatorze! Konnalu, nie mamy nikogo oprócz ciebie!”, i tak by się to

skończyło.

- Rozumiem - rzekł z namysłem Silvan. Zerknął na Rolana, który cały czas wpatrywał się w ciemność.

- Teraz elfowie będą się mieli do kogo zwrócić, Wasza Królewska Mość - mówił Rolan. - Do prawowitego dziedzica tronu Silvanesti. Musimy jednak zachować ostrożność.

- Uśmiechnął się ze smutkiem. - Bo w przeciwnym razie ty również możesz „zniknąć”.

W ciemności zabrzmiała piękna pieśń słowika. Rolan wydał wargi i zagwizdał w odpowiedzi. Nagle zmaterializowali się trzej elfowie, którzy niepostrzeżenie wychynęli z cieni. Silvan ich poznał. To byli ci sami, którzy zatrzymali go przy tarczy dziś rano.

Dziś rano! - pomyślał zdumiony. Czy rzeczywiście minęło tak niewiele czasu? Miał wrażenie, że upłynęły całe dni, miesiące, lata...

Rolan wstał, aby ich przywitać. Ucisnął dłonie elfów i wymienił z nimi rytualne pocałunki w policzek.

Przybysze mieli takie same płaszcze, jak Rolan. Choć Silvan wiedział, że są na polanie, trudno mu było ich zobaczyć. Wydawało się, że spowija ich ciemność i światło gwiazd.

Rolan zapytał, co widzieli na patrolu. Odpowiedzieli, że przy tarczy panuje spokój. „Śmiertelny spokój”, jak rzekł jeden z nich ze straszliwą ironią. Potem wszyscy skierowali uwagę na Silvanosheia.

- Wypytałeś go, Rolanie? - zainteresował się jeden z nich, przeszywając młodzieńca surowym spojrzeniem. Czy rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje?

Silvan podniósł się z trudem. Czuł się zawstydzony i skrępowany. Chciał się uprzejmie pokłonić starszym, tak jak go nauczono, lecz nagle przyszło mu do głowy, że przecież jest królem i to oni powinni mu się kłaniać. Zbity z tropu popatrzył na Rolana.

- Nie „wypytywałem” go - oznajmił stanowczo kirath.

- Rozmawialiśmy o pewnych sprawach. Tak, wierzę, że rzeczywiście jest Silvanosheiem, prawowitym Mówcą Gwiazd, synem Alhany i Porthiosa. Nasz król powrócił. Nadszedł dzień, na który czekaliśmy.

Trzej elfowie obejrzelili Silvanosheia od stóp do głów, po czym ponownie spojrzeli na Rolana.

- To może być oszust - stwierdził jeden z nich.

- Jestem pewien, że nie - zaprzeczył Rolan z pełnym przekonaniem. - Znałem jego matkę, gdy była w tym wieku, co on teraz. Walczyłem ze snem u boku jego ojca. Jest podobny do obojga, choć do ojca bardziej. Drinelu, ty również walczyłeś u boku Porthiosa. Przyjrzyj się temu młodzieńcowi, a

zobaczysz w jego obliczu odbicie twarzy ojca.

Elf wbił spojrzenie w Silvanosheia, który nie spuścił wzroku.

- Patrz sercem, Drinelu - nalegał Rolan. - Oczy można oślepić, a serce widzi niezawodnie. Słyszałeś, co mówił, kiedy go śledziliśmy i nie miał pojęcia, że ktoś go słyszy. I słyszałeś, co nam powiedział, gdy sądził, że jesteśmy żołnierzami jego matki. To nie było kłamstwo. Mogę na to postawić życie.

- Przyznaję, że jest podobny do ojca, a w oczach ma coś z matki... Ale jakim cudem syn naszej wygnanej królowej przedostał się przez tarczę? - zapytał Drinel.

- Nie mam pojęcia, jak to się stało - przyznał zawstydzony Silvan. - Chyba po prostu się przez nią przetoczyłem. Nie pamiętam tego. Ale kiedy chciałem wrócić, tarcza mnie nie przepuściła.

- Rzucił się na nią - wtrącił Rolan. - Próbował przez nią przejść, opuścić Silvanesti. Po co oszust miałby to robić, skoro zadał sobie tak wiele trudu, aby się tu dostać? I czy przyznałby, że nie wie, jak się przedostał przez tarczę? Nie, oszust przygotowałby dla nas logiczną, przekonującą opowieść.

- Mówisz, że powinienem patrzeć sercem - stwierdził Drinel. Zerknął na pozostałych elfów. - Doszliśmy do wniosku, że chcemy go poddać testowi prawdy.

- Przynosicie nam hańbę swą nieufnością! - zawołał Rolan z głębokim niezadowoleniem. - Co sobie o nas pomyśli?

- Że jesteśmy mądrzy i przezorni - odparł spokojnie Drinel. - Jeśli nie ma nic do ukrycia, nie będzie się sprzeciwiał.

- Silvanoshei musi sam zdecydować - stwierdził Rolan. - Na jego miejscu bym odmówił.

- Co to jest ten test prawdy? - zapytał Silvan, przenosząc wzrok z jednego na drugiego.

- To magiczne zaklęcie, Wasza Królewska Mość - wyjaśnił smutnym tonem Rolan. - W dawnych czasach elfowie ufali sobie nawzajem bez zastrzeżeń. W dawnych czasach żaden z nas nie mógłby okłamać drugiego. To jednak skończyło się z nadejściem snu Loraca. Stworzył on fantomy naszych pobratymców, fałszywe wizje elfów, które jednak wydawały się rzeczywiste tym, którzy je widzieli, dotykali ich i rozmawiali z nimi. Owe fantomy mogły poprowadzić ku zgubie tych, którzy w nie uwierzyli. Mąż mógł zobaczyć, że żona wzywa go gestem, i spaść z urwiska, próbując do niej dotrzeć. Matka mogła zobaczyć, że jej dziecko ginie w płomieniach i wbiec w ogień, a potem przekonać się, że było to tylko złudzenie. Kirathowie stworzyli test prawdy po to, aby sprawdzić, czy te fantomy są rzeczywiste, czy też stanowią fragment snu. Okazały się puste. W ich wnętrzu niczego nie było. Nie miały wspomnień, myśli ani uczuć. Wystarczyło położyć dłoń na sercu, aby się dowiedzieć, czy mamy do czynienia z żywą osobą, czy ze snem. Gdy sen się skończył, test prawdy przestał być potrzebny - ciągnął Rolan. - Taką przynajmniej żywiliśmy nadzieję, na próżno... Gdy sen się skończył, zniknęły zdeformowane, krwawiące drzewa, a wraz z nimi szpetota, która skaziła naszą

krainę. Szpetota wniknęła jednak w serca części z nas i uczyniła je pustymi jak serca tych, których stworzył sen. Teraz elf może okłamać elfa i często to robi. W naszym słownictwie pojawiły się nowe wyrazy. Wyrazy zapożyczone od ludzi, takie jak nieuczciwość, nieufność, niesłowność. Poddajemy teraz testowi prawdy swych braci i wydaje mi się, że im częściej go używamy, tym bardziej staje się nam potrzebny.

Przeszył Drinela niechętnym spojrzeniem, lecz ten nie zamierzał ustąpić.

- Nie mam nic do ukrycia - zapewnił Silvan. - Możecie mnie poddać temu swojemu testowi prawdy, choć moja matka wielce by się zasmuciła, gdyby się dowiedziała, że jej ziomkowie upadli tak nisko. Nigdy nie przysłoby jej do głowy, aby poddawać próbie lojalność tych, którzy jej służą, podobnie jak oni nigdy nie zwątpiliby w jej uczciwość.

- Widzisz, Drinelu - odezwał się Rolan, czerwieniąc się na twarzy. - Widzisz, jaki wstyd nam przynosisz!

- Niemniej jednak chcę znać prawdę - upierał się Drinel.

- Ale czy ją poznasz? - zapytał Rolan. - A jeśli magia znowu cię zawiedzie?

W oczach Drinela pojawił się złowrogi błysk.

- Panuj nad językiem, Rolanie. Przypominam ci, że nic nie wiemy o tym młodzieńcu.

Silvanoshei milczał. Nie miał prawa wtrącać się do tej dysputy. Zapamiętał jednak te słowa. Być może nie tylko elfi czarodzieje z armii jego matki doświadczyli zaniku magii.

Drinel podszedł do Silvana, który stał sztywno, łypiąc na niego spode łba. Elf wyciągnął lewą rękę i położył dłoń na piersi młodzieńca. Choć dotyk był lekki, Silvanowi wydało się, że wniknął w jego duszę.

Z jej wnętrza popłynęły wspomnienia, dobre i złe. Wynurzyły się spod powierzchniowych myśli i napłynęły do dłoni Drinela. Wspomnienia o ojcu, surowym, niewzruszonym mężczyźnie, który rzadko się uśmiechał i nigdy się nie śmiał, który nigdy nie demonstrował uczuć, nie okazywał synowi aprobaty i w ogóle rzadko go zauważał. Pośród tego strumienia wspomnień Silvanoshei wypatrzył jednak pewną noc, gdy oboje z matką cudem uniknęli śmierci z rąk jakiegoś napastnika. Porthios objął ich wtedy, przycisnął synka do piersi i wyszeptał w języku elfów modlitwę, starożytną modlitwę do bogów, którzy nie mogli już jej usłyszeć. Silvanoshei przypomniał sobie zimne łzy, które musnęły jego policzek, przypomniał sobie, iż pomyślał wtedy, że to nie on płacze. To były łzy ojca.

Drinel objął swym umysłem to wspomnienie i wiele innych, tak jak ujmuje się w złożone dłonie wodę ze strumienia.

Jego twarz zmieniła nagle wyraz. Popatrzył na Silvana z uznaniem i szacunkiem.

- Jesteś usatysfakcjonowany? - zapytał chłodno młodzieniec. Wspomnienia tworzyły w jego

jaźni krwawiącą szramę.

- Widzę ojca w jego twarzy i matkę w jego sercu - oznajmił Drinel. - Przysięgam ci wierność, Silvanosheiu. Proszę innych, aby uczynili to samo.

Pokłonił się nisko, trzymając dłoń na piersi. Dwaj pozostali elfowie również wypowiedzieli słowa przysięgi. Silvan podziękował im uprzejmie, zastanawiając się jednocześnie z odrobiną cynizmu, ile właściwie są warte wszystkie te pokłony. Elfowie przysięgali również jego matce, a teraz Alhana Starbreeze była kimś niewiele więcej niż przywódcą bandytów ukrywających się po lasach.

Jeśli tytuł prawowitego Mówcy Gwiazd oznaczał kolejne noce przespane w kurhanach i dni spędzone na unikaniu skrytobójczych zamachów, Silvan mógł się obyć bez niego. Miał już dosyć takiego życia, po dziurki w nosie. Nigdy dotąd nie przyznał się do takich myśli. Dopiero teraz odważył się przyznać przed sobą do gniewu na rodziców za to, że skazali go na taki los.

W następnej chwili zawstydził się jednak tej myśli. Przypomniawszy sobie, że jego matka mogła zginać lub dostać się do niewoli. Jednakże z jakichś irracjonalnych powodów niepokój i żal wzmogły tylko jego wściekłość. Szybko wyczerpały go te sprzeczne emocje, dodatkowo jeszcze komplikowane przez poczucie winy. Potrzebował czasu na zastanowienie, a nie znajdzie go, jeśli ci elfowie nadal będą się gapić na niego, jakby był jakimś wypchanym okazem, wystawionym na sprzedaż w sklepie magicznym.

Wszyscy czterej stali i Silvan po chwili zdał sobie sprawę, że czekają, aby usiadł pierwszy. Wychowano go na elfim dworze, choćby nawet rustykalnym, i wiedział co nieco o dworskich obyczajach. Poprosił, żeby usiedli i poczęstowali się owocami i wodą, bo na pewno czują się zmęczeni. Następnie przeprosił ich, mówiąc, że musi dokonać ablucji.

Zdumiał się, gdy Rolan ostrzegł go, aby zachował ostrożność, po czym zaproponował, że pożyczy mu swój miecz.

- Po co? - zapytał z niedowierzaniem młodzieniec. Czego należy się bać? Myślałem, że tarcza osłania krainę przed wszystkimi wrogami.

- Wszystkimi poza jednym - odparł spokojnie Rolan. - Mówi się, że wielki zielony smok, Cyan Bloodbane, został na skutek „pomyłki” generała Konnala uwięziony wewnątrz tarczy.

- E, tam! To tylko bajeczka wymyślona przez Konnala, żeby odwrócić naszą uwagę - stwierdził Drinel. - Wymień rni choć jedną osobę, która widziała tego potwora! Nie ma takiej. Ponoć widziano smoka tutaj. Ponoć widziano go tam. Udajemy się tu albo tam i nie natrafiamy na żaden jego ślad. Moim zdaniem to bardzo dziwne, Ronaldzie, że Cyana Bloodbane zawsze widzi się akurat wtedy, gdy głowy rodów naciskają na Konnala, aby złożył sprawozdanie ze swych rządów.

- To prawda, że nikt nie widział Cyana Bloodbane przyznał Rolan. - Mimo to jestem przekonany, że smok przebywa gdzieś w Silvanesti. Widziałem kiedyś ślady, które trudno wytłumaczyć w inny sposób. Uważaj, Wasza Królewska Mość. I weź mój miecz. Na wszelki

wypadek.

Silvan nie chciał brać miecza. Przypomniawszy sobie, jak omal nie nadział się na klingę Samara i wstydził się pokazać elfom, że nie umie władać bronią. Nie chciał, aby się dowiedzieli, że nigdy go tego nie uczono. Zapewnił Rolana, że będzie bardzo ostrożny i ruszył w migotliwy las. Przyszło mu do głowy, że matka wysłałaby z nim uzbrojonego strażnika.

Po raz pierwszy w życiu jestem wolny, pomyślał nagle. Naprawdę wolny.

Umył twarz i ręce w czystym, zimnym strumieniu, przeczesawszy palcami długie włosy i przejrzał się w pokrytej zmarszczkami wodzie. Nie dostrzegawszy w swym obliczu żadnego podobieństwa do ojca. Zawsze irytowali go ci, którzy twierdzili, że go widzą. Pamiętał Porthiosa jako srogiego, twardego jak stal wojownika, który dawno już zapomniał, jak się uśmiechać, o ile w ogóle kiedykolwiek to potrafił. Błysk czułości pojawiał się w jego oczach jedynie wtedy, gdy spoglądał na Alhanę.

- Jesteś królem elfów - rzekł Silvan swemu odbiciu. - W jeden dzień dokonałeś tego, czego twoi rodzice nie potrafili osiągnąć przez trzydzieści lat. Nie potrafili... albo nie chcieli.

Usiadł nagle na brzegu. Jego odbicie lśniło w blasku wschodzącego księżyca.

- To, o co walczyli, znalazło się w zasięgu twojej ręki. Dotąd nie pragnąłeś tego zbytnio, ale skoro ci to oferują, czemu nie miałbyś się zgodzić?

Odbicie Silvana zafalowało, gdy nad strumieniem przemknął nagły podmuch. Potem wiatr się uspokoił, woda wygładziła i odbijająca się w tafli twarz ponownie znieruchomiła.

- Musisz zachować ostrożność. Musisz myśleć, nim coś powiesz, rozważać konsekwencje każdego słowa. Musisz zastanawiać się nad swymi uczynkami. Nie możesz pozwolić, aby twoją uwagę odwracały drobiazgi.

- Matka nie żyje - powiedział i czekał na ból. Wezbrały w nim łzy. Płakał nad matką i ojcem oraz nad sobą samym, gdyż czuł się samotny, pozbawiony ich bliskości i wsparcia. W jego jaźni rozbrzmiewał jednak cichy głosik, który mówił: kiedy to rodzice w czymś ci pomogli? Kiedy ci zaufali, powierzyli jakieś zadanie? Trzymali cię owiniętego w bawełnę, żebyś się nie potłukł. Los dał ci szansę udowodnienia własnej wartości. Skorzystaj z niej!

W pobliżu strumienia rósł krzak porośnięty wonnymi, białymi kwiatkami o kształcie małych serduszek. Silvan zerwał kiść kwiatków i oderwał je od liściastych łodyg.

- Ku czci mojego ojca, który nie żyje - powiedział, wsypując kwiaty do strumienia. Spadły na odbicie, które rozplynęło się w falującej tafli. - Ku czci mojej matki, która nie żyje.

Rozsypał resztę kwiatków. Potem, czując się oczyszczony, wolny od łez i od uczuć, wrócił do obozu.

Elfowie zaczęli wstawać, ale kazał im siedzieć. Sprawiali wrażenie zadowolonych z jego

skromności.

- Mam nadzieję, że nie zaniepokoiła was moja długa nieobecność - rzekł, świetnie wiedząc, że byli o niego niespokojni. Zorientował się, że rozmawiali o nim. - Zmiana była bardzo nagła i drastyczna. Musiałem się nad tym zastanowić.

Elfowie pochylili głowy na znak zrozumienia.

- Mówiliśmy o tym, jak najlepiej pomóc sprawie Waszej Królewskiej Mości - oznajmił Rolan.

- Masz pełne poparcie kirathów, Wasza Królewska Mość - dodał Drinel.

Silvan podziękował im skinieniem głowy. Zadał sobie pytanie, w jaką stronę chciałby skierować tę rozmowę.

- Kim są kirathowie? - zapytał łagodnym tonem. Matka wiele opowiadała mi o swej ojczyźnie, ale nigdy nie wymieniła tej nazwy.

- Nie miała powodu tego robić - odparł Rolan. - Nasz zakon stworzył twój ojciec, do walki ze snem. To my, kirathowie, chodziliśmy do lasu, szukając tych jego części, które nadal pozostawały pod władzą snu. Ta praca była wielkim obciążeniem dla ciała i umysłu, gdyż musieliśmy wnikać do wnętrza snu, żeby go pokonać. Inni kirathowie bronili rzeźbiarzy drzew i kleryków, którzy wchodzili do lasu, aby go uzdrawiać. Przez dwadzieścia lat walczyliśmy razem o odbudowę naszej ojczyzny i w końcu osiągnęliśmy cel. Gdy sen został pokonany, przestaliśmy być potrzebni. Zakon kirathów rozwiązano i wróciliśmy do życia, jakie znaliśmy przed wojną. Wytworzyła się jednak między nami więź, silniejsza od tej, która łączy rodzeństwo. Nie straciliśmy kontaktu, często wymienialiśmy wieści i informacje. Potem czarni Rycerze Takhisis próbowali podbić Ansalon, a później nastąpiła Wojna Chaosu. Wtedy właśnie generał Konnal podporządkował sobie Silvanesti, twierdząc, że jedynie armia może nas uratować przed siłami zła, które panoszą się na świecie. Wygraliśmy Wojnę Chaosu, ale koszty były wielkie. Straciliśmy bogów, którzy ponoć dokonali najwyższego poświęcenia. Opuścili świat, aby Kryn L i jego mieszkańcy mogli dalej istnieć. Razem z nimi odeszła magia Solinari i moce uzdrowicielskie. Długo obchodziliśmy żałobę po bogach, po Paladynie i Mishakal, ale musieliśmy żyć dalej. Nadal pracowaliśmy nad odbudową Silvanesti. Wróciła do nas magia, magia ziemi i żywych istot. Choć wojna się skończyła, generał Konnal nie oddał władzy. Oznajmił, że zagrożeniem są teraz Alhana i Porthios, czarni elfowie, którzy pragną zemsty na swym ludzie.

- I uwierzyście mu? - oburzył się Silvan.

- Oczywiście, że nie. Znaliśmy Porthiosa. Wiedzieliśmy, jak wiele poświęcił dla tej krainy. Znaliśmy Alhanę i wiedzieliśmy, jak bardzo kocha swój lud. Nie uwierzyliśmy mu.

- To znaczy, że popieraliście moich rodziców? - kontynuował Silvan.

- Tak.

- W takim razie dlaczego im nie pomogliście? - zapytał młodzieniec ostrzejszym tonem. -

Mieliście broń i potrafiłście się nią posługiwać. Jak sam powiedziałeś, utrzymywaliście ze sobą bliskie kontakty. Moi rodzice czekali na granicy, przekonani, że Silvanesti powstaną, aby zaprotestować przeciwko niesprawiedliwości, którą im wyrządzono. Nie zrobiliście tego. Nic w ogóle nie zrobiliście. Moi rodzice czekali nadaremnie.

- Mógłbym wygłosić wiele usprawiedliwień, Wasza Królewska Mość - rzekł cicho Rolan. - Byliśmy zmęczeni walką. Nie chcieliśmy wywołać wojny domowej. Sądziliśmy, że z czasem uda się zakończyć konflikt pokojowymi metodami. Innymi słowy... - rozciągnął usta w bladym, zażenowanym uśmiechu - ...wsadziliśmy głowy pod koce i zapadliśmy z powrotem w sen.

- Jeśli cię to w czymś pocieszy, Wasza Królewska Mość, zapłaciliśmy za swoje grzechy - dodał Drinel. - Zapłaciliśmy wysoką cenę. Zdaliśmy sobie z tego sprawę, gdy krainę otoczono magiczną tarczą, ale wtedy było już za późno. Nie mogliśmy wyjść na zewnątrz, a twoi rodzice nie byli w stanie dostać się do środka.

Zrozumienie oślepiło nagle Silvana, jakby tuż przed nim w ziemię uderzył piorun. W jednej chwili zewsząd otaczała go ciemność, a w następnej zrobiło się jaśniej niż w dzień, a każdy szczegół rysował się wyraźnie w boleśnie białym świetle.

Jego matka zawsze twierdziła, że nienawidzi tarczy, lecz w rzeczywistości była ona dla niej usprawiedliwieniem, gdyż nie pozwalała jej poprowadzić armii do Silvanesti. W latach poprzedzających powstanie tarczy Alhana mogła to uczynić w każdej chwili. Gdyby ona i Porthios pomaszerowali na Silvanesti, mogliby liczyć na poparcie wśród mieszkańców. Dlaczego więc tego nie uczynili?

Nie chcieli przelewać elfiej krwi. Tak przynajmniej tłumaczyli to wówczas. Nie chcieli widzieć, jak elfowie zabijają elfów. Prawda jednak wyglądała tak, że Alhana pragnęła, aby to Silvanesti przyszli do niej i położyli koronę u jej stóp. Nie uczynili tego. Jak powiedział Rolan, marzyli jedynie o zapadnięciu z powrotem w sen, pośród przyjemniejszych snów chcieli zapomnieć o koszmarze Loraca. Alhana była miauczącym za oknem kotem, który zakłócał im odpoczynek.

Matka nie chciała tego sobie uświadomić i dlatego, choć złorzeczyła tarczy, w rzeczywistości poczuła ulgę na wieść o tym, że droga do Silvanesti została zamknięta. Och, starała się ze wszystkich sił zniszczyć tarczę. Zrobiła, co tylko mogła, aby sobie udowodnić, że rozpaczliwie pragnie przedostać się przez barierę. Rzuciła na tarczę swe armie, atakowała ją osobiście. W głębi serca nie chciała jednak sforsować magicznej bariery i być może właśnie dlatego tarcza mogła ją powstrzymać.

Drinel, Ronal i inni elfowie byli więźniami tarczy z dokładnie tego samego powodu. Tarcza istniała dlatego, że elfowie tego chcieli. Silvanesti zawsze pragnęli bezpieczeństwa przed światem zewnętrznym, przed skalaniem przez prostackich i niezdiscyplinowanych ludzi, przed groźnymi ogrami, goblinami i minotaurami, przed smokami. Pragnęli bezpieczeństwa, spokoju, luksusów i piękna. Dlatego jego matka próbowała znaleźć drogę do Silvanesti, aby i ona również mogła spać w ciepłym, bezpiecznym miejscu, a nie w kurhanach.

Nic nie powiedział, ale zdał sobie sprawę, co musi uczynić.

- Przysięgliście mi wierność. Skąd mogę mieć pewność, że nie porzucicie mnie, gdy ścieżkę spowiją cienie, tak jak porzuciliście moich rodziców?

Rolan pobladł. Oczy Drinela rozbłysły gniewem. Chciał coś powiedzieć, lecz towarzysz położył mu dłoń na ramieniu.

- Silvanoshei słusznie nas skarcił, przyjacielu. Jego Królewska Mość ma prawo zadać nam to pytanie. - Rolan spojrzał na Silvana. - Dłonią i sercem ślubuję wierność sprawie Waszej Królewskiej Mości w imieniu swoim i swojej rodziny. Jeśli zawiodę, niech moja dusza zostanie uwięziona na tym poziomie rzeczywistości.

Silvan skinął z powagą głową. To była straszliwa przysięga. Przeniósł wzrok na Drinela i dwóch pozostałych kirathów. Drinel się zawahał.

- Jesteś bardzo młody - oznajmił bez ogródek. - Ile masz lat? Trzydzieści? Wśród naszego ludu uchodziłbyś jeszcze za niedorostka.

- Ale nie wśród Qualinesti - zaprotestował Silvanoshei.

- Weźcie też pod uwagę jedno - ciągnął, wiedząc, że Silvanesti zapewne nie będą zachwyceni porównaniem ze swymi bardziej światowymi (i w związku z tym bardziej zepsutymi) kuzynami. - Nie wychowywałem się w pełnym luksusów, odcięty od świata Silvanesti. Dorastałem w jaskiniach, szałasach i nędznych chatkach, w których moi rodzice szukali bezpiecznego schronienia. Mógłbym policzyć na palcach rąk wszystkie noce, które przespałem w normalnym łóżku. Dwukrotnie byłem ranny w bitwach. Mogę wam pokazać blizny.

Nie wspominał o tym, że nie zadano mu tych ran w walce, lecz w chwili, gdy jego osobici strażnicy pośpiesznie odprowadzali go w bezpieczne miejsce. Powtarzał sobie w myśli, że przecież stanąłby do walki, gdyby tylko dano mu szansę. Teraz był już gotów walczyć.

- Składam wam tę samą przysięgę, której od was żądam - oznajmił z dumą. - Sercem i dłonią ślubuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by odzyskać tron, który prawnie do mnie należy. Ślubuję, że przywrócę naszemu ludowi bogactwo, pokój i dobrobyt. Jeśli zawiodę, niech moja dusza zostanie uwięziona na tym poziomie rzeczywistości.

Oczy Drinela wejrzały głęboko w tę duszę. Starszy elf wyglądał na usatysfakcjonowanego tym, co zobaczył.

- Ślubuję ci wierność, Silvanosheiu, synu Porthiosa i Alhany. Jeśli pomożemy synowi, być może uda się nam naprawić krzywdy, jakie wyrządziliśmy jego rodzicom.

- Teraz musimy przygotować plany - odezwał się Rolan. - Musimy znaleźć dla Waszej Królewskiej Mości odpowiednią kryjówkę...

- Nie - przerwał mu stanowczo Silvan. - Koniec z ukrywaniem się. Jestem prawowitym dziedzicem tronu. Mam do niego wszelkie prawa. Nie mam się czego obawiać. Jeśli będę się ukrywał i czaił jak przestępca, elfowie uznają mnie za przestępcę. Jeśli przybędę do Silvanostu jako

król, uznają mnie za króla.

- Ale niebezpieczeństwo... - zaczął Rolan.

- Jego Królewska Mość ma rację, przyjacielu - rzekł Drinel, spoglądając na Silvana z niekłamanym szacunkiem. - Mniej będzie mu groziło, jeśli wywoła mnóstwo hałasu, niż gdyby próbował się ukrywać. Chcąc uspokoić tych, którzy kwestionują jego rządy, Konnal wielokrotnie powtarzał, że z radością pozwoliłby synowi Alhany zasiąść na tronie, który prawnie do niego należy. Łatwo mu było składać takie obietnice, gdyż wiedział - a przynajmniej tak mu się zdawało - że tarcza nigdy nie wpuści syna Alhany do Silvanesti. Jeśli Wasza Królewska Mość przybędzie triumfalnie do stolicy, witany przez wiwatujących mieszkańców, Konnal będzie zmuszony dotrzymać obietnicy. To nie wyglądałoby dobrze, gdyby prawowity dziedzic zniknął, tak jak w przeszłości znikali inni. Elfowie na to nie pozwolą.

- Twe słowa mają sens, ale nie wolno nam nie doceniać Konnala - zauważył Rolan. - Niektórzy sądzą, że to szaleniec, ale jeśli nawet to prawda, w jego szaleństwie jest chytryść i wyrachowanie. To niebezpieczny osobnik.

- Podobnie jak ja - odezwał się Silvan. - Wkrótce się o tym przekonam.

Naszkirował pokrótce swój plan. Elfowie wysłuchali go, wyrazili swą aprobatę, zaproponowali poprawki, które zaakceptował, gdyż to oni najlepiej znali swych ziomków. Wysłuchał z powagą rozmowy o możliwych niebezpieczeństwach, ale właściwie nie przejął się nimi zbyt wiele.

Silvanoshei był młody, a młodzi są przekonani, że będą żyli wiecznie.

Zabradziazenie

Noc, w czasie której Silvanoshei zgodził się zostać władcą Silvanesti, Tasslehoff Burrfoot przespał zdrowo i spokojnie - ku swemu wielkiemu rozczarowaniu.

Kazano mu zostać na noc w pokoju w solamnijskim garnizonie w Solące. Zaproponował, że wróci do wspaniałego kenderoodpornego więzienia, które tu mieli, lecz spotkał się ze stanowczą odmową. Pokój okazał się czysty i schludny. Nie było tu okien ani żadnych mebli poza łóżkiem o surowym wyglądzie. Miało ono żelazne poręcze i materac tak sztywny, że mógłby stać na baczność na równi z najlepszymi z rycerzy. W drzwiach w ogóle nie było zamka, który mógłby zapewnić Tasowi odrobinę niezobowiązującej rozrywki po kolacji. Zabezpieczała je drewniana belka, zasunięta od zewnątrz.

- W sumie - powiedział do siebie Tas, siedząc z przygnębioną miną na łóżku, uderzając nogami o poręcze i rozglądając się tęsknie wokół - ten pokój to najnudniejsze miejsce, jakie w życiu widziałem, z możliwym wyjątkiem Otchłani.

Gerard zabrał nawet świecę, zostawiając Tasa samego w ciemności. Nie miał nic innego do roboty, jak położyć się spać.

Tasslehoff od dawna sądził, że ten, kto zlikwidowałby sen, wyrządziłby światu wielką przysługę. Napomknął kiedyś o tym Raistlinowi, mówiąc, że tak doświadczony czarodziej jak on z pewnością potrafiłby znaleźć sposób na uwolnienie się od potrzeby snu, na który poświęcało się bardzo wiele czasu bez żadnego pożytku. Mag rzekł mu na to, że kender powinien się cieszyć, iż ktoś wymyślił sen, gdyż dzięki temu Tasslehoff był nieaktywny choć przez osiem godzin na dobę, co było jedynym powodem, dla którego Raistlin go jeszcze nie udusił.

Ze snu był jednak pewien pożytek, a mianowicie marzenia senne. Niestety, niemal całkowicie przekreślał go fakt, iż po przebudzeniu przeżywało się straszliwe rozczarowanie, gdy okazywało się, że wszystko to był tylko sen, że smok, który cię ścigał, chcąc odgryźć ci głowę, nie był rzeczywisty, że ogr, który próbował rozbić cię na miazgę maczugą, w ogóle nie istniał. Należało przy tym uwzględnić fakt, że przebudzenie zawsze następowało w najciekawszym, najbardziej ekscytującym momencie - na przykład wtedy, gdy smok chwycił twoją głowę w paszczę albo ogr łapał cię za kołnierz. W opinii Tasa sen był kompletną stratą czasu. Co noc postanawiał stawić mu opór i co rano okazywało się, że sen mimo wszystko zdołał go zaskoczyć.

Tej nocy Tasslehoff nie opierał się zbyt długo. Zmęczony wyczerpującą, pełną ekscytacji podróżą, a także łzami, które przelał na pogrzebie Caramona, poddał się prawie bez walki. Po obudzeniu przekonał się, że zaskoczył go nie tylko sen, lecz również Gerard. Rycerz stał nad Tasem, spoglądając nań z typową dla siebie ponurą miną, która w świetle lampy wydawała się jeszcze bardziej złowroga.

- Wstawaj - rzucił rycerz. - Włóż to.

Wręczył Tasowi ubrania, które były czyste, dobrze uszyte, bure, nieciekawe i - kender zadrzał - praktyczne.

- Dziękuję - rzekł Tas, pocierając oczy. - Wiem, że chciałeś dobrze, ale mam własne ubranie...

- Nie będę podróżował z kimś, kto wygląda, jakby walczył ze słupem majowym i przegrał - oświadczył Gerard. - Ślepy krasnolud źlebowy zauważyłby cię z odległości sześciu mil. Wciągaj te łachy i to migiem.

- Bójka ze słupem majowym. - Tas zachichotał. - Widziałem kiedyś taki słup. To było podczas święta majowego w Solące. Caramon włożył perukę i halki, żeby zatańczyć z młodymi dziewczycami, ale peruka spadała mu na oko... Gerard uniósł palec w geście przestrogi.

- Pierwsza zasada. Nie wolno gadać.

Tas otworzył usta, chcąc wyjaśnić, że wcale nie gadał, tylko opowiadał historię, a to coś całkiem innego. Nim jednak zdążył powiedzieć choć słowo, Gerard pokazał mu knebel.

Kender westchnął. Lubił podróże i naprawdę cieszył się na myśl o tej przygodzie, uważał jednak, że mógłby mieć sympatyczniejszego towarzysza. Z żalem zostawił barwny strój, rozkładając go na łóżku i głaszcząc czule na pożegnanie, i włożył brązowe pumpy, brązowe wełniane skarpetki, brązową koszulę i brązową kamizelkę, które przyniósł Gerard. Tas popatrzył na siebie i pomyślał ze smutkiem, że wygląda jak pień drzewa. Chciał włożyć ręce do kieszeni, lecz przekonał się, że nie ma takich.

- Sakw też nie weźmiesz - zapowiedział rycerz. Wziął mieszki i torby Tasslehoffa, chcąc je dodać do stosu porzuconego ubrania.

- Chwileczkę... - zaczął stanowczo kender.

Jedna z sakiewek otworzyła się i światło lampy padło na połyskujące radośnie klejnoty urządzenia do podróżowania w czasie.

- Ojej - zawołał Tasslehoff, tak niewinnie, jak tylko potrafił. Tym razem rzeczywiście był niewinny.

- Jak udało ci się to zwinąć? - zapytał Gerard. Tasslehoff wzruszył ramionami, wskazał na zamknięte usta i potrząsnął głową.

- Kiedy zadam ci pytanie, możesz mi odpowiedzieć - oznajmił rycerz, łypiąc wilkiem na kendera. - Kiedy mi je ukradłeś?

- Nie ukradłem - odparł Tas z godnością. - Kradzież to bardzo zły uczynek. Już ci mówiłem, że urządzenie do mnie wraca. To nie moja wina. Nie chcę tego. W gruncie rzeczy nocą odbyłem z nim poważną rozmowę, ale ono chyba mnie nie słucha.

Gerard ponownie spojrzął ze złością na Tasslehoffa, mruknął pod nosem, że nie wie, po co

zadaje sobie trud, czy coś w tym rodzaju, i wsunął magiczne urządzenie do skórzanej sakwy, którą miał u pasa.

- Lepiej niech tu zostanie - warknął złowrogo.

- Tak, lepiej zrób, jak ci rycerz każe! - dodał głośno Tas, grożąc urządzeniu palcem. W nagrodę za tę pomoc zatkano mu usta kneblem.

Uciszywszy kendera, Gerard założył mu na ręce kajdanki. Ze zwykłych Tas z łatwością by się uwolnił, wydawało się jednak, że te skonstruowano z myślą o szczupłych kenderskich nadgarstkach. Choć starał się ze wszystkich sił, nie był w stanie nic zrobić. Rycerz położył ciężką dłoń na ramieniu Tasslehoffa i wyprowadził go z pokoju.

Słońce jeszcze nie wzeszło. W garnizonie panowała ciemność i cisza. Gerard dał Tasowi czas na umycie twarzy i rąk - knebel trochę w tym przeszkadzał - oraz wykonanie wszelkich innych niezbędnych czynności. Cały czas obserwował kendera uważnie, nie pozwalając mu nawet na chwilę prywatności. Potem wyprowadził go z budynku.

Gerard zarzucił na zbroję długi płaszcz. Tas nie widział pod nim metalu i wiedział, że rycerz nosi zbroję jedynie dzięki temu, iż słyszał jej szcęk i grzechot. Gerard nie miał hełmu ani miecza. Zaprowadził kendera do kwatery rycerzy, skąd zabrał wielki plecak oraz jakiś zawinięty w koc i obwiązany sznurem przedmiot, który mógł być mieczem.

Potem rycerz ruszył ze skutym, zakneblowanym kenderem ku bramie garnizonu. Słońce było wąziutkim skrawkiem światła na horyzoncie, który szybko przesłoniła ławica chmur. Wyglądało to tak, jakby miało zamiar wejść, ale zmieniło zdanie i z powrotem położyło się spać.

Gerard wręczył kapitanowi straży jakiś dokument.

- Jak widzisz, lord Warren wydał mi pozwolenie na zabranie więźnia.

Kapitan zerknął na dokument, a potem na kendera. Tas zauważył, że Gerard wyraźnie unika światła pochodni, zamoco - wanych po obu stronach bramy na drewnianych słupach. Natychmiast przyszło mu do głowy, że rycerz chce coś ukryć. Pobudziło to jego ciekawość, a gdy kender jest zaciekawiony, często kończy się to fatalnie dla niego i dla tych, którzy akurat przebywają w jego towarzystwie. Tas wyteżał wzrok ze wszystkich sił, starając się wypatrzeć, co interesującego kryje się pod płaszczem.

Sprzyjało mu szczęście. Nagle powiał poranny wietrzyk, unosząc lekko połę ubioru rycerza. Gerard złapał szybko za tkaninę i zapiął z przodu płaszcz na zapinkę, ale Tasslehoff zdążył zauważyć, że zbroja lśni czarno w blasku pochodni.

W normalnych warunkach zapytałby głośno i z podnieceniem, dlaczego solamnijski rycerz nosi czarną zbroję. Zapewne szarpnęłoby też za płaszcz, żeby się lepiej przyjrzeć i zwróciłoby uwagę kapitana straży na ów niezwykle, ekscytujący fakt. Knebel jednak uniemożliwił mu powiedzenie czegokolwiek. Z jego ust wydostały się tylko nieartykułowane piski oraz dźwięki brzmiące jak mrft.

Po zastanowieniu - a wyłącznie dzięki kneblowi Tasslehoff miał czas się nad tym zastanowić - kender zdał sobie sprawę, że być może Gerard nie chciał, by ktokolwiek się dowiedział, iż ma na sobie czarną zbroję. Dlatego włożył płaszcz.

Oczarowany tym nieoczekiwanym obrotem spraw Tasslehoff zachował milczenie. Mrugnął tylko kilkakrotnie znacząco do Gerarda, aby dać mu do zrozumienia, że on, kender, przeniknął jego tajemnicę.

- Dokąd zabierasz tego małego skurczybyka? - zapytał kapitan, oddając dokument Gerardowi. - A co mu się stało w oko? Chyba nie ma zapalenia spojówek?

- Nic mi o tym nie wiadomo, kapitanie. Za przeproszeniem, nie mogę ci powiedzieć, dokąd go zabieram. To tajemnica - odparł z szacunkiem Gerard. - To właśnie jego przyłapano na profanacji grobowca... - dodał ciszej.

Oficer pokiwał ze zrozumieniem głową, po czym zerknął z ukosa na pakunki, które dźwigał rycerz. - A co tam masz?

- Dowody, kapitanie - odparł Gerard. Oficer zrobił bardzo ponurą minę.

- Narobił mnóstwo szkód, co? Mam nadzieję, że przykładowo go ukarzą.

- Sądzę, że to możliwe, kapitanie - przyznał ze spokojem Gerard.

Mężczyzna przepuścił ich przez bramę skinieniem dłoni, nie poświęcając im już więcej uwagi. Gerard i kender oddalili się od garnizonu głównym traktem. Choć ranek jeszcze nie wstał, wielu mieszkańców było już na nogach. Chłopi wieźli swe produkty na targ. Wozy toczyły się ku położonym w górach obozom drwali. Wędkarze zmierzali nad jezioro Crystalmir. Niektórzy spoglądali z zaciekawieniem na opatulonego w płaszcz rycerza, gdyż mimo wczesnej pory było już dość ciepło. Zajęci własnymi sprawami tubylcy mijali ich jednak bez słowa komentarza. Jeśli chciał się pocić, to tylko jego interes. Na Tasslehoffa nikt nie zwracał uwagi. Nikogo nie dziwił widok skutego i zakneblowanego kendera.

Gerard i Tas ruszyli na południe traktem, który wił się pośród Gór Strażniczych i miał ich w końcu doprowadzić do Południowej Przełęczy. Słońce w końcu zdecydowało się wstać z łóżka. Na niebie pojawiły się plamy różowego blasku. Liście drzew zabarwiło złote lśnienie, a na trawie połyskiwała rosa. To był piękny dzień na poszukiwanie przygód i Tas bawiłby się świetnie, gdyby nie fakt, że rycerz ciągnął go brutalnie za sobą, nie pozwalając mu się zatrzymać i niczemu się przyjrzeć.

Gerard narzucił szybkie tempo, choć przeszkadzał mu plecak, który wyglądał na dosyć ciężki, oraz owinięty w koc miecz. Oba te przedmioty niósł w jednej ręce, a drugą popychał od tyłu Tasslehoffa, gdy tylko kender zaczynał zwalniać, albo łapał go za kołnierz, kiedy spróbował się oddalać, lub szarpał go do tyłu, gdy Tas zrywał się nagle do biegu.

Kender przekonał się przy tym, że Gerard mimo średniego wzrostu i przeciętnej budowy był

niesłuchanie silny.

Rycerz okazał się ponurym, milczącym towarzyszem. Nie odpowiadał na radosne „dzień dobry”, jakim pozdrawiali go podróżni podążający do Solące, i chłodno zbył wędrownego druciarza, który zmierzał w tym samym co i oni kierunku i zaproponował im miejsce na wozie.

W końcu jednak zdjął kenderowi knebel. Tas był mu za to wdzięczny. Nie był już taki młody - przyznawał się do tego bez oporów - i przekonał się, że szybkie tempo marszu narzucone przez rycerza, który do tego nieustannie go popychał, łapał i szarpał, zmuszało go do tak intensywnego oddychania, że sam nos nie wystarczał.

Tas natychmiast przystąpił do zadawania Gerardowi wszystkich pytań, które nasunęły mu się przez ten czas. Zaczął od: „Dlaczego masz czarną zbroję? Nigdy jeszcze takiej nie widziałem. To znaczy widziałem, ale nie na rycerzu solarnijskim”, natomiast zakończył na: „Czy będziemy iść na piechotę aż do Qualinesti, a jeśli tak, to czy mógłbyś nie szarpać mnie za kołnierz tak energicznie, bo skóra mi się zetrze do krwi”.

Wkrótce się przekonał, że może zadawać tyle pytań, ile tylko zechce, pod warunkiem, że nie będzie liczył na odpowiedzi. Jedyne, co usłyszał od sir Gerarda, to: „idź”. Rycerz był młody, Tas poczuł się więc zobowiązany do wytknięcia mu popełnianego błędu.

- Najlepsze w poszukiwaniu przygód jest podziwianie widoków - odezwał się kender. - Zatrzymywanie się po drodze, żeby nacieszyć się widokami, badanie wszystkich interesujących spraw i rozmawianie z tubylcami. Jeśli się nad tym zastanowić, cel misji, taki jak walka ze smokiem albo uratowanie mamuta, zajmuje tylko niewiele czasu, a choć zawsze jest bardzo ekscytujący, przedtem i potem jest bardzo wiele czasu - droga tam i z powrotem - i potrafi być strasznie nudno, jeśli się nad tym nie popracuje.

- Nie szukam podniecających doświadczeń - wyjaśnił Gerard. - Chcę tylko wykonać zadanie i uwolnić się od ciebie. Im prędzej to zrobię, tym szybciej będę mógł coś uczynić, aby osiągnąć mój cel.

- A co jest tym celem? - zapytał Tas, zachwycony, że rycerz zechciał wreszcie do niego przemówić.

- Chcę się przyłączyć do obrońców Sanction - odpowiedział Gerard - a gdy oblężenie się skończy, uwolnić Palanthas od plagi Rycerzy Neraki.

- Kto to są Rycerze Neraki? - zainteresował się Tas.

- Kiedyś byli znani jako Rycerze Takhisis, ale zmienili nazwę, gdy tylko stało się jasne, że Takhisis już nie wróci.

- Jak to nie wróci? - zdziwił się kender. - Dokąd odeszła? Gerard wzruszył ramionami.

- Tam, gdzie inni bogowie, jeśli wierzyć opowieściom. Osobiście uważam, że ci, którzy twierdzą, że złe czasy nadeszły, ponieważ bogowie nas opuścili, po prostu szukają

usprawiedliwienia dla własnej nieudolności.

- Bogowie odeszli! - Tasowi opadła szczęka. - Kiedy to się stało?

Gerard prychnął pogardliwie.

- Nie wciągniesz mnie w swoją grę, kenderze.

Tas zastanowił się nad wszystkim, co usłyszał od Gerarda.

- Chyba coś ci się pokręciło z tymi rycerzami - odezwał się wreszcie. - Wydawało mi się, że to czarni rycerze władają Sanction, a twój Palanthas?

- Nie, nic mi się nie pokręciło. A wielka szkoda - odparł Gerard.

Tas westchnął głęboko.

- Nic z tego nie rozumiem.

Gerard chrząknął i popchnął kendera, który znowu zaczął zwalniać, gdyż jego nogi nie były już takie młode jak kiedyś.

- Śpiesz się - warknął rycerz. - To już niedaleko.

- Niedaleko? - zapytał potulnie kender. - Czyżby Qualinesti też przenieśli?

- Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, kenderze, przy Moście Solące czekają na nas dwa wierzchowce. Opuściliśmy garnizon na piechotę dlatego, że mój koń nie jest tym, którego zwykle dosiadam. Jego widok wywołałby komentarze i nie dałoby się uniknąć wyjaśnień.

- Dostanę konia? Konia tylko dla siebie! Jakie to ekscytujące! Od bardzo dawna nie jeździłem na koniu. - Tas za - trzymał się i popatrzył na rycerza. - Źle cię osądzałem. Bard/o mi przykro. Wygląda na to, że jednak znasz się na poszukiwaniu przygód.

- Idź - Gerard znowu go popchnął.

Kenderowi nasunęła się naprawdę zdumiewająca myśl, która zaparła mu w piersiach resztki tchu. Zatrzymał się, aby zaczerpnąć powietrza w płuca, a potem wykorzystał je, by zadać pytanie, do którego wiodła owa myśl.

- Nie lubisz mnie, sir Gerardzie, prawda?

Nie gniewał się ani nie czynił mu wyrzutów. Po prostu był zaskoczony.

- To prawda - przyznał Gerard. - Nie lubię. - Pociągnął łyk wody z bukłaka i wręczył naczynie Tasowi. - Jeśli cię to pocieszy, w mojej niechęci nie ma nic osobistego. Darzę nią cały wasz rodzaj.

Tas zastanowił się nad tymi słowami, popijając wodę, która była letnia i przenikał ją smak skóry.

- Być może błędnie na to patrzę, ale chyba wolałbym, żeby mnie nie lubiano za to, że jestem sobą, niż za to, że jestem kenderem. Rozumiesz, w sprawie tego, kim jestem, mogę coś zrobić, a na to, że jestem kenderem, nic nie poradzę, no bo moja matka była kenderką i mój ojciec był kenderem i chyba stąd właśnie się to wzięło. Być może chciałbym być rycerzem - ciągnął Tas, coraz bardziej zainteresowany tą kwestią. - W gruncie rzeczy jestem prawie pewien, że chciałem nim zostać, ale bogowie doszli do wniosku, że moja matka jest za mała, żeby wydać na świat kogoś tak dużego, jak ty, bez poważnej szkody dla siebie, i dlatego urodziłem się jako kender. Bez obrazy, ale cofam te słowa o rycerzu. Myślę, że tak naprawdę to chciałbym zostać smokowcem, bo oni są bardzo wojowniczy, pokryci łuskami i mają skrzydła. Zawsze marzyłem o skrzydłach. Ale oczywiście to byłoby jeszcze trudniejsze dla mojej matki.

- Idź - odpowiedział Gerard.

- Mógłbym pomóc ci dźwigać ten tobołek, pod warunkiem, że zdejmiesz mi kajdanki - zaproponował Tas, sądząc, że jeśli okaże się użyteczny, rycerz może go polubić.

- Nie - odpowiedział Gerard. To było wszystko. Nawet mu nie podziękował.

- Dlaczego nie lubisz kenderów? - nie ustępował Tas.

- Flint też zawsze mówił, że nas nie lubi, ale wiem, że w głębi duszy nas lubił. Nie sądzę, żeby Raistlin za nami przepadał. Próbował mnie kiedyś zamordować i to uświadomiło mi, co naprawdę o mnie myśli. Wybaczyłem mu to, chociaż nigdy mu nie wybaczę, że zamordował biednego Gnimsha. Ale to już inna historia. Później ci ją opowiem. Na czym to stanąłem? Aha, chciałem dodać, że Sturm Brightblade był rycerzem i lubił kenderów, więc zastanawiałem się, co masz przeciwko nam.

- Jesteście frywolni i lekkomyślni - wyjaśnił Gerard twardym głosem. - A nastały mroczne czasy. Życie to poważna sprawa i powinno się je traktować z powagą. Nie stać nas na takie luksusy, jak radość i zabawa.

- Ale jeśli znikną radość i zabawa, czasy z pewnością staną się mroczne - zauważył trzeźwo Tas. - Czego się spodziewałeś?

- Jak wiele radości czułeś, kenderze, kiedy się dowiedziałeś, że wielka smoczyca Malystrixx wymordowała w Kenderówku setki twoich rodaków? - zapytał ponurym tonem Gerard. - A ci, którzy ocaleli, zostali wygnani ze swych domów... wydaje się, że ciąży na nich jakiegoś rodzaju klątwa, zwą ich poszkodowanymi, ponieważ znają teraz strach i zamiast sakiewek noszą miecze. Czy śmiałeś się, kiedy usłyszałeś te wieści, kenderze, i czy śpiewałeś: „trą la la, wesoły dziś mamy dzień”?

Tasslehoff zatrzymał się i odwrócił tak błyskawicznie, że rycerz o mało się nie przewrócił.

- Setki? Zabitych przez smoczycę? - zapytał przerażony. - Jak setki kenderów mogły zginąć w Kenderówku? Nic o tym nie słyszałem! Nie słyszałem o niczym w tym rodzaju! To nieprawda!

Kłamiesz... Nie - dodał zrozpaczony.

- Cofam te słowa. Nie możesz kłamać. Jesteś rycerzem i chociaż możesz mnie nie lubić, honor nie pozwala ci mnie okłamywać.

Gerard nie odpowiedział. Położył dłoń na ramieniu kendera, odwrócił go i popchnął naprzód.

Tas poczuł w okolicy serca dziwny ucisk, jakby połknął jakiegoś groźnego węża dusiciela. To było osobliwe, bardzo nieprzyjemne uczucie. Natychmiast zrozumiał, że rycerz powiedział prawdę. Że setki jego rodaków zginęło bolesną, straszną śmiercią. Nie miał pojęcia, jak do tego doszło, ale wiedział, że to prawda, tak samo rzeczywista, jak trawa rosnąca po obu stronach traktu, gałęzie nad głowami, czy zielone liście lśniące w blasku słońca.

Była to prawda w tym świecie, w którym pogrzeb Caramona wyglądał inaczej, niż Tas go zapamiętał, ale nie w tym drugim świecie, w którym odbył się pierwszy pogrzeb.

- Dziwnie się czuję - rzekł cicho kender. - Kręci mi się w głowie. Chyba zwymiotuję. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, będę przez chwilę milczał.

- Oj, tak - odparł rycerz. - Idź - dodał, ponownie go popychając.

Szli w milczeniu i późnym rankiem dotarli wreszcie do Mostu Solące, zapewniającego przeprawę przez strumień o tej samej nazwie, krętą, wolno toczącą swe wody rzeczulkę, która płynęła przez podgórze Gór Strażniczych, a potem przez Wąwóz Południowy, aż wreszcie wpadała do Rzeki Białego Gniewu. Most był szeroki, tak by mogły przez niego przejeżdżać wozy i konne zaprzęgi.

W dawnych czasach był dostępny za darmo, lecz w miarę, jak ruch się zwiększał, koszty utrzymania mostu rosły. W końcu ojcowie miasta Solące poskąpili nań pieniędzy podatników. Ustawili przy moście bramkę i zaczęli pobierać myto, niezbyt zresztą wysokie. Solące było płytkim strumieniem i w niektórych miejscach można je sforsować w bród. Niemniej jednak jego brzegi były strome i śliskie i niejeden wóz pełen cennych towarów wylądował w wodzie. Większość kupców wolała płacić myto.

Rycerz i kender okazali się jedynymi wędrowcami, którzy przechodzili przez most o tej porze dnia. Pobierający myto urzędnik jadł właśnie śniadanie w swojej budce. Za porastającym brzeg topolowym gajem stały przywiązane dwa konie. Na trawie spał młodzieniec, który wyglądał i pachniał jak chłopiec stajenny. Jeden z koni był kary i lśnił w promieniach słońca. Wydawał się wyraźnie podenerwowany, grzebał kopytem w ziemi i od czasu do czasu szarpał wodze, jakby chciał się przekonać, czy zdoła się uwolnić. Drugi wierzchowiec okazał się kucem - małą, jabłkowitą klaczą o bystrym spojrzeniu, która nieustannie strzygła uszami i marszczyła chrapy. Kopyta miała niemal całkowicie porośnięte sierścią.

Na widok kuca ściskający serce Tasa wąż dusiciel rozluźnił nieco swe sploty. Zwierzę obrzuciło kendera przyjaznym, choć figlarnym spojrzeniem.

- Czy należy do mnie? - zapytał podekscytowany Tas.

- Nie - zgasił go Gerard. - Pożyczyliśmy tylko konie na czas podróży, to wszystko.

Obudził szturchnięciem nogi chłopca stajennego, który przeciągnął się, podrapał i oznajmił, że samemu winni trzydzieści sztuk stali za konie, siodła i koce, i że po zwrocie zwierząt dostaną z powrotem dziesięć. Gerard sięgnął po sakiewkę i odliczył monety. Stajenny - który trzymał się tak daleko od Tasslehoffa, jak tylko mógł - przeliczył nieufnie pieniądze i schował je do woreczka, który następnie wsunął pod zabrudzoną słomą koszulę.

- Jak ma na imię ten kuc? - zapytał zachwycony Tasslehoff.

- Jabłuszko - odparł chłopiec. Kender zmarszczył brwi.

- To nie świadczy o zbyt wielkiej wyobraźni. Uważam, że mogliście wymyślić coś oryginalniejszego. A jak się nazywa ten kary rumak?

- Czarnul - odpowiedział stajenny, dłubiąc słomką w zębach.

Tasslehoff westchnął ciężko.

Pobierający myto urzędnik wygramolił się ze swej budki i Gerard wręczył mu pieniądze. Mężczyzna uniósł szlaban, przyglądając się rycerzowi i kenderowi z wielką ciekawością. Wydawało się, że jest gotowy spędzić resztę poranka na rozmowach o tym, dokąd wybierają się ci dwaj i co ich skłoniło do podróży.

Gerard odpowiadał na jego pytania krótkimi „tak” lub „nie”, w zależności od wymogów sytuacji. Wsadził Tasslehoffa na kuca. Zwierzę odwróciło głowę, aby przyrzeć się jeźdźcowi, po czym mrugnęło do niego znacząco, jakby oboje znali jakąś cudowną tajemnicę. Potem rycerz położył tajemniczy pakunek oraz miecz na grzbiecie swego rumaka i przywiązał je bezpiecznie. Wziął w ręce wodze kuca, dosiadł swego wierzchowca i odjechał. Człowiek pobierający myto został na moście sam, mamrocząc coś do siebie.

Rycerz jechał pierwszy, trzymając w ręku wodze kuca. Tas podążał za nim, mocno ściskając łąk siodła dłońmi zakutymi w kajdanki. Czarnul najwyraźniej rniał do jabłkowej klaczy równie mało sympatii, co Gerard do kenderów. Być może irytowało go wolne tempo, do zachowywania którego zmuszało go towarzystwo kuca, a być może był koniem o poważnej, surowej naturze i czuł się oburzony swawolnością towarzyski. Bez względu na powód, gdy tylko kary rumak zauważył, że klaczka skręca dla czystej zabawy odrobinę w bok albo dochodził do wniosku, że poczuła pokusę, aby się zatrzymać i poskubać przez chwilę rosnące na poboczu jaskry, odwracał się i obrzucał ją i jej jeźdźca chłodnym spojrzeniem.

Gdy pokonali około pięciu mil, Gerard zarządził postój. Stał w strzemionach i rozejrzał się. Odkąd minęli most, nie spotkali żadnych wędrowców. Teraz również trakt wyglądał na zupełnie pusty. Gerard zeskoczył z konia, zdjął płaszcz, zwinął go i schował do pakunku. Miał na sobie czarny napierśnik Rycerza Neraki, ozdobiony czaszką i lilią śmierci.

- Cóż za wspaniałe przebranie! - zawołał oczarowany Tas. - Powiedziałeś lordowi Warrenowi, że będziesz podróżował jako rycerz i to nie było kłamstwo. Po prostu nie powiedziałeś mu, jakiego rodzaju rycerzem się staniesz. Czy ja też będę mógł się przebrać za czarnego rycerza? To znaczy Rycerz - rza Neraki? Och, nie, rozumiem! Nie mów mi! Będę twoim jeńcem! - Tasslehoff był bardzo z siebie dumny, że się tego domyślił. - To będzie bardziej zabawne... hmm, oraz interesujące... niż mi się zdawało. Gerard się nie uśmiechnął.

- To nie jest wycieczka dla przyjemności, kenderze - oznajmił ponurym głosem. - Trzymasz w swych rękach życie nas obu, podobnie jak los naszej misji. Z pewnością jestem głupcem, skoro powierzam coś tak ważnego jednemu z was, nie mam jednak wyboru. Wkrótce znajdziemy się na terytorium kontrolowanym przez Rycerzy Neraki. Jeśli szepniesz choć słówkiem, że jestem rycerzem solamijskim, aresztują mnie i stracą jako szpiega. Przed egzekucją poddadzą mnie jednak torturom, żeby wydobyć ze mnie wszystko, co wiem. Oni używają łoża tortur. Widziałeś kiedyś, jak rozciągają kogoś na takim łożu?

- Nie, ale widziałem, jak Caramon się gimnastykował. Mówił, że to prawdziwa tortura...

Rycerz zignorował jego słowa.

- Przywiązują ci ręce i nogi do łoża, a potem naciągają kończyny. Ręce i nogi, nadgarstki i łokcie, kolana i kostki, wszystko jest wrywane ze stawów. Ból jest straszliwy, ale sedno tej tortury polega na tym, że choć ofiara cierpi potworne męki, nie umiera. Można ją trzymać na łożu całymi dniami. Wyrwane kości nigdy już nie wracają na właściwe miejsce. Kiedy zdejmą delikwenta z łoża, jest kaleką. Muszą go zanieść na szubienicę i posadzić na krześle, żeby go powiesić. Taki los mnie czeka, jeśli mnie zdradzisz, kenderze. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem, sir Gerardzie - odparł Tasslehoff. Mimo że mnie nie lubisz, a muszę ci wyznać, że naprawdę uraziłeś tym moje uczucia, nie chciałbym widzieć, jak rozciągają cię na łożu tortur. Może kogoś innego, bo jeszcze nigdy nie widziałem, jak wrywają komuś rękę ze stawu, ale nie ciebie.

Na Gerardzie to wspaniałomyślne wyznanie nie zrobiło zbyt wielkiego wrażenia.

- Trzymaj język za zębami, także dla własnego bezpieczeństwa.

- Obiecuję - zapewnił Tas, kładąc dłoń na kitce i szarpiąc ją tak mocno, że aż oczy zasły mu łzami. - No wiesz, umiem dotrzymać tajemnicy. Dotrzymałem już bardzo wielu tajemnic i to ważnych. Tej też nie wydam. Możesz mi zaufać albo nie nazywam się Tasslehoff Burrfoot.

To zaimponowało Gerardowi jeszcze mniej. Rycerz wrócił do konia, dosiadł go i ruszył w dalszą drogę jako czarny rycerz eskortujący więźnia.

- Ile czasu minie, nim dotrzemy do Qualinesti? - zapytał Tas.

- W tym tempie cztery dni - odparł Gerard.

Cztery dni. Rycerz przestał zwracać uwagę na kendera. Nie odpowiadał na żadne pytania. Był

głuchy na najlepsze, najwspanialsze opowieści Tasslehoffa i nie raczył zareagować, gdy ten oznajmił, że zna nadzwyczaj ekscytujący skrót przez Mroczną Puszczy.

- Cztery dni czegoś takiego! Nie lubię się skarżyć - odezwał się Tas, mówiąc do siebie i do kuca, ponieważ rycerz go nie słuchał - ale ta przygoda robi się naprawdę nudna. To nie tyle przygoda, co mozolność, jeśli jest takie słowo. Jest czy go nie ma, ale z pewnością pasuje do sytuacji.

Kuc włókł się ciężko traktem, a Tasa czekały cztery dni, podczas których nie będzie miał nic do roboty, żadnego towarzysza do rozmów ani nic do oglądania, oprócz gór i drzew, które byłyby interesujące, gdyby mógł poświęcić trochę czasu na ich zbadanie. To jednak nie było możliwe, a drzewa i góry z oddali widział już nieraz. Kender czuł się tak znudzony, że gdy magiczne urządzenie znowu do niego wróciło - pojawiając się zniemacka w jego skutych dłoniach - kusiło go, aby zrobić z niego użytek. Wszystko, nawet rozdeptanie przez olbrzyma, byłoby lepsze od tego nudnego pochodu.

Zrobiłby to, gdyby nie jazda na kucu.

W tej właśnie chwili kary rumak obejrzał się, aby łypnąć złowrogo na wierzchowca Tasa. Być może między koniem a jeźdźcem istniała jakaś łączność, gdyż Gerard również się odwrócił.

Tas uśmiechnął się z zażenowaniem i wzruszył ramionami, unosząc w rękach urządzenie do podróżowania w czasie. Gerard zatrzymał się, z twarzą zimną i nieruchomą niczym oblicze czaszki na jego napierśniku, i zaczekał, aż kuc go dogoni. Wyciągnął rękę, wyrwał urządzenie z dłoni kendera i bez słowa schował je w jukach.

Tasslehoff westchnął raz jeszcze. To będą cztery bardzo długie dni.

Pan Nocy

Zakon Rycerzy Takhisis zrodził się z mrocznego snu. Założono go na odległej wyspie zwanej Twierdzą Burz, której istnienie utrzymywano w tajemnicy. Jednak zbudowana tam kwatera główna poważnie ucierpiała podczas Wojny Chaosu. Morze wystąpiło z brzegów i całkowicie pochłonęło fortecę. Niektórzy utrzymywali, że to bogini morza Zeboim dała w ten sposób wyraz żalobie po śmierci syna, lorda Ariakana, założyciela zakonu. Choć wody się cofnęły, nikt już nie wrócił do fortecy. Uznano, że leży ona zbyt daleko, aby mieć praktyczne zastosowanie dla Rycerzy Takhisis, którzy ponieśli podczas Wojny Chaosu poważne straty. Ci jednak, choć nie mieli już królowej i wizji, pozostali znaczącą siłą.

Dlatego Rycerz Czaszki, Mirielle Abrena, podczas pierwszej Rady Ostatnich Bohaterów czuła się na tyle pewnie, że zażądała, aby ocalałym rycerzom przyznano ziemie na kontynencie Ansalonu w zamian za ich bohaterskie czyny podczas wojny. Rada pozwoliła rycerzom zachować podbite terytoria, głównie Qualinesti (jak zwykle niewielu ludzi obchodził los elfów), a także ziemie w północno-wschodniej części Ansalonu, w tym również Nerakę i jej okolice. Czarni rycerze zgodzili się przejąć ten region, mimo że jego część była zniszczona i ciążyła na niej klątwa, po czym przystąpili do odbudowy zakonu.

Wielu uczestników tej pierwszej rady liczyło na to, że rycerze zginą, uduszeni przesyconym siarką powietrzem Neraki.

Oni jednak nie tylko przetrwali, lecz nawet rozkwitli. W znacznej części była to zasługa przywództwa Abreny, Pani Nocy, która dodała do tego wojskowego tytułu polityczny tytuł gubernatora Neraki. Abrena wprowadziła nową politykę werbunkową, która nie była tak selektywna jak poprzednia, nie tak etyczna i restrykcyjna. Rycerze nie mieli problemów ze zwiększeniem liczebności zakonu. W mrocznych dniach, które nastąpiły po Wojnie Chaosu, wszyscy czuli się samotni i opuszczeni. Można by powiedzieć, że w Ansalonie zapanowała idea „wielkiego ja”. Jej główne przykazanie brzmiało: „Liczę się tylko ja”.

Czarni rycerze postępowali zgodnie z tą wskazówką, a ich rządy były mądre. Nie pozwalali na zbyt wiele swobód osobistych, ale popierali handel i rozwój gospodarki. Gdy Khellendros, wielki niebieski smok, zdobył miasto Palanthas, rządy nad nim powierzył zakonowi. Mieszkańcy Palanthas byli przerażeni myślą, że nowi, okrutni władcy splądrują ich gród, lecz ze zdumieniem przekonali się, iż rządy czarnych rycerzy przyniosły im dobrobyt. Choć płacili za ten przywilej wysokie podatki, zostawało im wystarczająco wiele, aby mogli uwierzyć, że życie pod dyktatorską władzą Rycerzy Takhisis wcale nie jest takie najgorsze. Rycerze dbali o ład i porządek, toczyli nieustanną wojnę z gildią złodziei i starali się uwolnić miasto od wegetujących w kanałach krasnoludów żlebowych.

Smocza czystka, która nastąpiła po przybyciu wielkich smoków, z początku rozgniewała i przerażała Rycerzy Takhisis, którzy stracili wiele własnych smoków podczas rzezi. Walka z wielką czerwoną smoczą Malys i jej kuzynami zakończyła się jednak porażką. Mnóstwo rycerzy zginęło, podobnie jak ich chromatycznych smoków. Omal nie doszło do katastrofy, lecz przywódcze zdolności Mirielle pozwoliły obrócić ją w triumf. Czarni rycerze zawarli ze smokami tajne przymierze: zgodzili się zbierać dla nich daninę i dbać o zachowanie ładu i porządku na ziemiach pozostających pod ich władzą. W zamian za to najeźdźcy dali czarnym rycerzom wolną rękę i przestali polować na ich ocalałe smoki.

Mieszkańcy Palanthas, Neraki i Qualinesti nic nie słyszeli o umowie między rycerzami a smokami. Wiedzieli tylko tyle, że czarni rycerze raz jeszcze obronili ich przed straszliwym wrogiem. Rycerze solamnijscy i mistycy z Cytadeli Światła znali prawdę bądź się jej domyślali, nie mieli jednak dowodów.

Choć niektórzy z czarnych rycerzy nadal wierzyli w honor i poświęcenie, tak jak uczył ich zmarły Ariakan, byli z reguły starsi wiekiem i uważano, że nie rozumieją już współczesnego świata. Starą wizję zastąpiła nowa, oparta na mistycznych mocach serca, odkrytych przez Goldmoon w Cytadeli Światła. Jej odkrycie zostało skradzione przez kilku Rycerzy Czaszki, którzy przeniknęli w

przebraniu do Cytadeli, aby nauczyć się, jak wykorzystywać te moce dla własnych ambicji. Mistycy czarnych rycerzy opanowali moc uzdrawiania i - co znacznie bardziej przerażające - umiejętność manipulacji myślami swych zwolenników.

Uzbrojeni w zdolność panowania nie tylko nad ciałami tych, którzy wstępowali do zakonu, lecz również nad ich umysłami, Rycerze Czaszki szybko zdobyli prymat w zgromadzeniu. Choć czarni rycerze od początku głosili, że królowa Takhisis wróci, przestali już w to wierzyć. Nie wierzyli w nic poza własną siłą i mocą - znalazło to odbicie w nowej wizji. Rycerze Czaszki, którzy ją zsyłali, biegle potrafili wnikać w umysły kandydatów, wykrywać ich skrywane obawy i wykorzystywać je umiejętnie, jednocześnie obiecując im to, czego pragnęli najbardziej, w zamian za bezwarunkowe posłuszeństwo.

Dzięki nowej wizji Rycerze Czaszki stali się tak potężni, że najbliższe otoczenie Mirielle Abreny zaczęło spoglądać na nich z nieufnością. Szczególnie mocno ostrzegano Abrenę przed ich przywódcą, człowiekiem o nazwisku Morham Targonne.

Abrena lekceważyła wszystkie ostrzeżenia.

- Przyznaję, że Targonne to zdolny administrator - mówiła. - Ale, w ostatecznym rozrachunku, cóż to jest zdolny administrator? Nie więcej niż zwykły urzędnik. Tym właśnie jest Targonne. Nigdy nie rzuci mi wyzwania. Robi mu się nie - dobrze na widok krwi! Nawet nie chodzi na turnieje. Woli zamykać się w obskurnym gabinecie i ślęczeć nad kredytami i debetami. Nie ma serca do walki.

Abrena miała rację. Targonne nie miał serca do walki. Nigdy nawet mu się nie śniło, aby rzucić wyzwanie Pani Nocy, stanąć z nią do honorowego pojedynku o przywództwo. Naprawdę robiło mu się niedobrze na widok krwi. Dlatego otruł Abrenę.

Podczas pogrzebu, jako przywódca Rycerzy Czaszki, oznajmił, że jest jej prawowitym następcą. Nikt nie rzucił mu wyzwania. Ci, którzy mogliby to uczynić, przyjaciele i stronnicy Abreny, trzymali gęby na kłódkę, w obawie, że tak jak ona zjedzą „zepsute mięso”. Z czasem Targonne pozabijał również i ich, tak że nikt już nie zagrażał jego władzy. Przy pomocy rycerzy, którzy opanowali sztukę mentalizmu, wnikał w umysły członków zakonu, aby wyłowić zdrajców i malkontentów.

Targonne pochodził z bogatej rodziny, która posiadała rozległe włości w okolicach Neraki. Wywodziła się ona z Jeleku, miasta położonego na północ od dawnej stolicy, Neraki. Dewizą rodu było wielkie „JA”, które równie dobrze mogłoby być połączone z napisanym wielkimi literami słowem „PIENIĄDZ”. Targonne’owie zawdzięczali bogactwo i władzę królowej Takhisis. Najpierw zaopatrywali w broń wodzów jej armii, a potem, gdy wyglądało na to, że ich strona przegrywa, sprzedawali broń jej wrogom. Za zdobyte w ten sposób pieniądze kupowali ziemię, zwłaszcza w okolicy Neraki, gdzie było niewiele gruntów nadających się pod uprawę.

Potomek rodziny Targonne’ów miał niewiarygodne szczęście (sam twierdził, że to była zdolność przewidywania) i wycofał wszystkie fundusze z Neraki na kilka dni przed eksplozją świątyni. Po Wojnie Lancy, w czasach, gdy Neraka była pokonanym krajem, w którym grasowały bandy zdemobilizowanych żołnierzy, goblinów i smokowców, tylko on posiadał dwie rzeczy, których

mieszkańcy potrzebowali najbardziej: zboże i stal.

Ambicją Abreny było zbudowanie dla czarnych rycerzy fortecy w południowej Nerace, nieopodal dawnej świątyni. Przygotowano plany i wysłano na miejsce brygady robotników. Przekłeta dolina ze swą niesamowitą Pieśnią Śmierci budziła jednak tak wielki strach, że robotnicy natychmiast uciekli. Stolicę przeniesiono do północnej części doliny, lecz niektórzy nadal uważali, że południowa część jest za blisko.

Jednym z pierwszych wydanych przez Targonne'a rozkazów było polecenie przeniesienia stolicy. Potem przyszła zmiana nazwy zakonu. Kwatera główna Rycerzy Neraki znajdowała się obecnie w Jeleku, blisko rodzinnej firmy nowego przywódcy. Znacznie bliżej, niż wydawało się większości rycerzy.

Jelek stał się bardzo bogatym, tętniącym życiem miastem, położonym na przecięciu dwóch głównych traktów biegnących przez Nerakę. Dzięki wielkiemu szczęściu lub zręcznym negocjacjom miasto uniknęło spustoszenia przez wielkie smoki. Kupcy z całej Neraki, nawet z położonego daleko na południu Khur, przybywali do miasta, aby założyć nowe firmy albo stworzyć filie już istniejących. Witano ich tu chętnie, pod warunkiem, że uiszczali Rycerzom Neraki wymagane opłaty i składali wyrazy szacunku Panu Nocy, gubernatorowi Targonne'owi.

Jeśli nawet owe wyrazy były zimne i twarde w dotyku, a dołączając do innych podobnych wyrazów, przechowywanych w wielkiej szkatule Pana Nocy, wydawały miłe, brzęczący dźwięk, ale kupcy wiedzieli, że lepiej się nie skarżyć. Ci, którzy to robili, a także ci, którzy uważali, że słowne wyrazy szacunku wystarczają, przekonywali się, że ich interesy nagle napotykają poważne trudności. Jeśli w dalszym ciągu trwali w swym błędzie, z reguły znajdowano ich martwych na ulicach - po tym, jak pośliznęli się przypadkowo i upadli plecami na sztylet.

Targonne osobiście zaprojektował wielką fortecę Rycerzy Neraki, która górowała nad Jelekiem. Kazał ją wznieść na najwyższym wzgórzu w okolicy, aby było z niej widać całe miasto i otaczającą je dolinę.

Forteca wyglądała nadzwyczaj praktycznie; niezliczone kwadraty i prostokąty ustawione jedne na drugich, a do tego kwadratowe baszty. Nieliczne okna miały kształt wąskich strzelnic. Zewnętrzne i wewnętrzne mury były gładkie i pozbawione ozdób. Wyglądała tak ponuro i surowo, że przyjezdni często brali ją za więzienie albo gmach rachunkowości. Widok zakutych w czarne zbroje postaci patrolujących mury szybko wyprowadzał ich jednak z błędu, który zresztą wcale nie był aż tak wielki. Na podziemnym piętrze fortecy znajdował się obszerny loch, a dwie kondygnacje niżej znacznie lepiej strzeżony Rycerski Skarbiec.

Kwatera główna oraz komnaty mieszkalne Pana Nocy Targonne'a również znajdowały się w fortecy. Były całkowicie funkcjonalne i jeśli samą fortecę często brano za gmach rachunkowości, jej dowódcę nieraz uważano za urzędnika. Gościa, który przybywał z wizytą do Pana Nocy, prowadzono do ciasnego, skromnie umeblowanego gabinetu o nagich ścianach, gdzie musiał czekać, aż niski, łysy mężczyzna w okularach, odziany w ciemne, choć dobrze skrojone ubranie, skończy zapisywać jakieś cyfry w wielkiej, oprawnej w skórę księdze.

Przekonany, że ma przed sobą jakiegoś niskiego rangą urzędnika, który za chwilę zaprowadzi go do Pana Nocy, gość często spacerował po pokoju, myśląc o tyrn i owym. Siedzący za biurkiem mężczyzna natychmiast wychwytywał te myśli niczym pajak chwytający motyle w swą sieć, wnikając dzięki swym mentalistycznym mocom we wszystkie zakamarki umysłu gościa. Gdy już minął odpowiedni czas i pajak wyssał ofiarę do sucha, mężczyzna podnosił łysą głowę, spoglądał przez okulary na gościa i ku jego przerażeniu informował go, że ma przed sobą Pana Nocy Targonne'a.

Gość, który odwiedził Targonne'a tego dnia, doskonale wiedział, że siedzący naprzeciwko mężczyzna jest jego władcą i gubernatorem. Sir Roderick był zastępcą lorda Millesa i choć nigdy jeszcze nie rozmawiał z Targonnem, widywał go na wielu oficjalnych uroczystościach. Rycerz stanął sztywno na bacz - ność, czekając, aż Pan Nocy raczy zauważyć jego obecność. Ostrzegano go przed mentalistycznymi talentami Targonne'a, starał się więc, aby jego myśli były równie poprawne jak jego postawa. Okazało się to jednak zbyt trudnym zadaniem i nim sir Roderick powiedział choć słowo, lord Targonne wiedział już bardzo wiele o tym, co wydarzyło się podczas oblężenia Sanction. Wolał jednak nie ujawniać swych mocy i dlatego łagodnym tonem poprosił rycerza, żeby usiadł.

Sir Roderick, który był wysoki, muskularny i z łatwością podniósłby Targonne'a za kołnierz płaszcz, przysiadł, sztywno i nerwowo na brzegu jednego z dwóch stojących w gabinecie krzesel.

Być może dlatego, że wszyscy starają się upodobnić do tego, co najbardziej kochają, oczy Morhama Targonne'a przypominały dwie stalowe monety - płaskie, błyszczące i zimne. Ten, kto w nie spoglądał, nie widział duszy, lecz cyfry zapisane w księdze, którą był umysł Pana Nocy. Wszystko, na co spojrział Targonne, zamieniało się w debety i kredyty, zysk i stratę, wszystko było policzone co do grosika i zapisane w tej czy innej kolumnie.

Sir Roderick zobaczył własne odbicie w tych zimnych, stalowych oczach i pomyślał, że właśnie przeniesiono go do kolumny zbędnych wydatków. Zadał sobie pytanie, czy to prawda, że okulary Targonne'a są artefaktem znalezionym w ruinach Neraki i że pozwalają temu, kto je nosi, wejrzeć w głąb mózgu rozmówcy. Zaczął się pocić w swej zbroi, choć potężne, zbudowane z kamienia i betonu mury fortecy zawsze były chłodne, nawet w najcieplejszych miesiącach lata.

- Mój adiutant mówi mi, że przybywasz z Sanction, sir Rodericku - rzekł Targonne głosem urzędnika, spokojnym, miłym i pozbawionym choćby słabej nuty groźby. - Jak postępuje oblężenie?

Należy w tym miejscu zauważyć, że rodzina Targonne'ów posiadała w Sanction znaczny majątek, który przepadł, gdy czarni rycerze stracili miasto. Dlatego Targonne uczynił zdobycie Sanction jednym z priorytetów rycerstwa.

Sir Roderick przygotował swą przemowę podczas dwudniowej podróży spod Sanction do Jeleku i dzięki temu mógł natychmiast udzielić odpowiedzi.

- Ekscelencjo, przybyłem tu po to, aby zameldować, że w dzień po Dniu Środka Roku przekłęci Solamniczycy podjęli próbę położenia kresu oblężeniu Sanction i przepędzenia naszych armii. Obmierzli rycerze próbowali przekonać mojego dowódcę, lorda Millesa, że opuścili miasto, chcąc skłonić go w ten sposób do natarcia. Lord Milles przejrzał ich plan i to on zwabił ich w pułapkę. Przypuszczając atak na Sanction, wywabił ich z ukrycia, a potem upozorował odwrót. Rycerze

połknęli haczyk i rzucili się w pogoń za naszymi siłami. W Przesmyku Beckarda lord Milles rozkazał naszym siłom zawrócić i stanąć do boju. Solamniczycy ponieśli klęskę. Wielu z nich zginęło bądź zostało rannych. Lord Milles z zadowoleniem melduje, że zmusiliśmy ich do odwrotu za mury Sanction. Ekscelencjo, dolina, w której obozują nasze armie, jest bezpieczna.

Słowa sir Rodericka docierały do uszu Targonne'a, lecz myśli sir Rodericka wnikały do jego umysłu. A sir Roderick z wielką wyrazistością przypominał sobie, jak uciekał przed nacierającymi Solamniczycami, na spółkę z lordem Millesem. Umysł rycerza wypełniał przy tym obraz, który wydał się Targonne'owi bardzo interesujący, choć wzbudzał w nim też pewien niepokój. Była to wizja młodej, zakutej w czarną zbroję kobiety, wycieńczonej i pokrytej plamami krwi. Żołnierze lorda Millesa składali jej hołd. Targonne słyszał, jak w umyśle sir Rodericka niesie się echem jej imię: „Mina! Mina!”.

Pan Nocy podrapał się koniuszkiem pióra po rzadkich wąsach, które porastały jego górną wargę.

- Zaiste, wygląda to na wielkie zwycięstwo. Lordowi Millesowi należą się gratulacje.

- Tak, Ekscelencjo. - Sir Roderick uśmiechnął się z zadowoleniem. - Dziękuję, Ekscelencjo.

- Triumf byłby jeszcze większy, gdyby lordowi Millesowi udało się zdobyć Sanction, tak jak mu rozkazano. Przypuszczam - czam jednak, że zajmie się tym drobiazgiem, gdy uzna to za stosowne.

Sir Roderick przestał się uśmiechać. Zaczął coś mówić, kaszlnął i przez pewien czas nie mógł nic powiedzieć.

- W gruncie rzeczy, Ekscelencjo, zapewne udałooby się nam zdobyć miasto, gdyby nie bunt wzniecony przez pewną kobietę w randze młodszego oficera. Owa kobieta, wbrew rozkazom lorda Millesa, wycofała z walki całą kompanię łuczników, wskutek czego nie mieliśmy wsparcia niezbędnego do przypuszczenia szturm na mury Sanction. Co więcej, ogarnięta paniką, rozkazała swym łucznikom strzelać, gdy nasi żołnierze znajdowali się jeszcze na linii ognia. Straty, które ponieśliśmy, są wyłącznie skutkiem jej niekompetencji. Dlatego lord Milles doszedł do wniosku, że kontynuowanie szturm nie byłoby rozsądne.

- Proszę, proszę - wyszeptał Targonne. - Mam nadzieję, że tej młodej kobiecie wymierzono zasłużoną karę.

Sir Roderick oblizwał wargi. Nadeszła najtrudniejsza część rozmowy.

- Lord Milles z pewnością by tak uczynił, ale doszedł do wniosku, że lepiej będzie najpierw poradzić się ciebie. Doszło do sytuacji, z którego lordowska moc nie wie, co zrobić. Ta młoda kobieta wywiera na żołnierzy jakiegoś rodzaju magiczny wpływ, Ekscelencjo.

- Doprawdy? - Targonne udał zaskoczonego. - Słyszałem, że magiczne moce naszych czarodziejów słabną - dodał z przekąsem. - Nie wiedziałem, że mamy tak utalentowanych magów.

- Ona nie używa magii, Ekscelencjo. Przynajmniej tak twierdzi. Utrzymuje, że jest

wysłannikiem boga. Jedyne Prawdziwego Boga.

- A jak ten bóg ma na imię? - zapytał Targonne.

- Ach, jest sprytna, Ekscelencjo. Powiada, że imię owego boga jest zbyt święte, żeby je wypowiadać.

- Bogowie przychodzą i odchodzą - rzucił zniecierpliwiony Targonne. Ujrzał w umyśle sir Rodericka coś zdumie - wającego i zarazem bardzo niepokojącego i chciał usłyszeć z jego ust potwierdzenie. - Nasi żołnierze nie daliby się nabrać na takie banialuki.

- Ekscelencjo, ta dziewczyna nie opiera się tylko na słowach. Ona czyni cuda! Cuda uzdrawiania, jakich nie widzieliśmy już od lat z powodu utraty mocy przez naszych mistyków. Przywraca odcięte kończyny. Kładzie dłonie na piersi rannego i ziejąca w niej dziura znika. Mówi żołnierzowi ze złamanym kręgosłupem, że będzie mógł chodzić i on wstaje! Jedyne cudem, którego nie chce dokonywać, jest wskrzeszanie zmarłych. Nad nimi się modli.

Sir Roderick usłyszał skrzypienie krzesła. Podniósł wzrok i zobaczył w stalowych oczach Targonne'a nieprzyjemny błysk.

- Oczywiście - pośpiesznie naprawił swój błąd - lord Milles wie, że to nie są prawdziwe cuda. Zdaje sobie sprawę, że to zwykła szarlataneria. Problem w tym, że nie potrafimy się zorientować, jak ona to robi - dodał nieprzekonująco. - A nasi ludzie są nią naprawdę zachwyceni.

Targonne z nagłym przyływem niepokoju zdał sobie sprawę, że wszyscy piechociarze i większość rycerzy zbuntowali się i nie chcą już słuchać rozkazów Millesa. Przysięgli wierność jakiejś zakutej w czarną zbroję smarkuli o wygolonym łbie.

- Ile lat ma ta dziewczyna? - zapytał Pan Nocy, marszcząc brwi.

- Ponoć nie więcej niż siedemnaście, Ekscelencjo - odparł sir Roderick.

- Siedemnaście! - zawołał przerażony Targonne. - Co ugryzło Millesa, że zrobił ją oficerem?

- Nie zrobił, Ekscelencjo - wyjaśnił sir Roderick. Ona nie należy do naszego skrzydła. Nikt z nas jej nie widział, zanim nie zjawiała się w dolinie na krótko przed bitwą.

- A może to solamnijski rycerz w przebraniu? - zastanawiał się Targonne.

- Wątpię, Ekscelencjo. To z jej przyczyny Solamnijscy przegrali bitwę - odparł sir Roderick, nie zdając sobie sprawy, że prawda, którą przed chwilą wypowiedział, pozostaje w sprzeczności z kłamstwami, które powtarzał wcześniej.

Targonne zauważył tę sprzeczność, lecz był zbyt pochłonięty pracą liczydła swego umysłu, aby zwrócić na nią większą uwagę. Zanotował sobie tylko w pamięci, że Milles jest nieudolnym fuszerem, którego należy jak najszybciej zastąpić. Uderzył w srebrny dzwonek, stojący na jego biurku. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł adiutant Pana Nocy.

- Przejrzyj rejestr członków rycerstwa - rozkazał Targonne - i znajdź... jak ona ma na imię? - zapytał Rodericka, choć wciąż słyszał echo tego imienia w jego umyśle.

- Mina, Ekscelencjo.

- Miiinaa... - powtórzył Targonne, przeciągając to imię, jakby chciał poczuć jego smak. - To wszystko? Nie ma nazwiska?

- Nic mi o tym nie wiadomo, Ekscelencjo. Adiutant odszedł, aby przekazać zadanie grupce urzędników. Dwaj rycerze siedzieli bez słowa, czekając na rezultat poszukiwań. Targonne wykorzystał ten czas, aby kontynuować przegląd umysłu Rodericka. Znalazł tam potwierdzenie swych podejrzeń, że obłączeniem Sanction kieruje idiota. Gdyby nie ta dziewczyna, już mogłoby się ono zakończyć klęską. Siły czarnych rycerzy zostałyby doszczętnie rozbite, a władzy triumfujących Solamniczyców nad Sanction nic nie mogłoby zagrozić.

Wrócił adiutant.

- Nie znaleźliśmy w rejestrze rycerza imieniem „Mina”, Ekscelencjo. Nie ma nawet nikogo o podobnym imieniu.

Targonne odesłał go skinieniem dłoni. Adiutant wyszedł.

- Znakomicie, Ekscelencjo! - zawołał sir Roderick. To dowód, że jest oszustką. Możemy ją aresztować i stracić.

- Hmm... - mruknął Targonne. - A jak twoim zdaniem zachowaliby się w takim przypadku wasi rycerze, sir Rodericku? Ci, których uzdrowiła? Ci, których poprowadziła do triumfu nad pogardzanym wrogiem? Morale w oddziałach Millesa już przedtem nie było zbyt wysokie. - Targonne wskazał na stos książek. - Czytałem raporty. Liczba dezercji jest u niego pięciokrotnie wyższa niż u jakiegokolwiek innego dowódcy. Powiedz mi... - Targonne obrzucił rycerza chytrym spojrzeniem. - ...czy jesteście w stanie aresztować tę Minę? Czy macie strażników, którzy wykonaliby taki rozkaz? Czy może raczej aresztowaliby lorda Millesa?

Sir Roderick otworzył usta i znowu je zamknął, nie udzielając odpowiedzi. Rozejrzał się po pomieszczeniu, zerknął na sufit, patrzył wszędzie, tylko nie w te stalowe oczy, monstrualnie powiększone przez grube szkła okularów. Mimo to nadal wydawało mu się, że ich spojrzenie wwierca się w jego czaszkę.

Targonne ponownie uruchomił liczydło swego umysłu. Dziewczyna była oszustką, która podawała się za rycerza. Zjawiała się w chwili, gdy była najbardziej potrzebna. Groziła im straszliwa klęska, a ona obróciła ją w zdumiewające zwycięstwo. Czyniła „cuda” w imieniu bezimiennego boga.

Czy stanowiła dla niego szansę, czy groźbę?

A jeśli była groźbą, to czy mógł ją zamienić w szansę?

Targonne nienawidził marnotrawstwa. Był znakomitym administratorem i zręcznym negocjatorem. Wiedział, na co jest wydawana każda stalowa moneta. Nie był skąpcem. Pilnował, aby rycerze mieli broń i zbroje najlepszej jakości, a rekruci i najemnicy byli dobrze opłacani. Twardo jednak żądał, aby oficerowie dokładnie się rozliczali ze wszystkich wypłacanych im pieniędzy.

Żołnierze byli gotowi iść za tą Miną. Proszę bardzo. Targonne tego samego dnia, w którym odbyła się bitwa, otrzymał pismo od wielkiej smoczyicy Malystriyx, która chciała się dowiedzieć, dlaczego pozwalał elfom Silvanesti ukrywać się przed jej edyktami w otoczonym magiczną tarczą królestwie i nie płacić daniny. Pan Nocy przygotował już list, w którym wyjaśniał smoczyicy, że atak na Silvanesti byłby stratą czasu i potencjału ludzkiego, który można było wykorzystać gdzie indziej. Zwiadowcy, którym polecano zbadać tarczę, meldowali, że nie sposób się przez nią przedostać i nie działa na nią żadna broń, czy to stalowa, czy magiczna. Zapewniali, że nawet gdy - by rzucono przeciw barierze całą armię, nie przyniosłoby to żadnego rezultatu.

Należało przy tym uwzględnić fakt, że armia maszerująca na Silvanesti musiałaby przejść przez Błóde, ojczyznę ogrów. Potworni ogrowie byli ongiś sojusznikami czarnych rycerzy, lecz wpadli we wściekłość, gdy ci rozszerzyli swe panowanie na południe, odbierając im najlepsze ziemie i spychając ich w góry. Rycerze zabili też przy okazji setki ogrów. Z raportów wynikało, że ogrowie aktualnie nękają czarną elfkę Alhanę Starbreeze i jej siły gdzieś w pobliżu tarczy. Jeśli jednak rycerze wtargną na ich ziemie, ogrowie z radością zaprzestaną atakowania elfów - ostatecznie w każdej chwili mogli do tego wrócić - by poszukać zemsty na sojuszniku, który ich zdradził.

List leżał na biurku, czekając na jego podpis. Czekał tak już od kilku dni. Targonne świetnie zdawał sobie sprawę, że odmowa rozwścieczy smoczycę, wolał jednak stawić czoło furii Malys niż marnować cenne zasoby na beznadziejną sprawę. Podarł list na drobne kawałeczki, powoli i z namysłem.

Jedyny bóg, w którego wierzył Targonne, był mały, okrągły i można go było układać w równe stosy w skarbcu. Ani przez moment nie traktował poważnie myśli, że dziewczyna naprawdę może być wysłanniczką bogów. Nie wierzył w jej cuda uzdrawiania ani w cud jej dowództwa. W przeciwieństwie do tego nieszczęsnego imbecyla sir Rodericka nie czuł potrzeby wyjaśnienia, w jaki sposób zdołała tego wszystkiego dokonać. Wystarczyła mu świadomość, że jest to korzystne dla Rycerzy Neraki - a co opłacało się rycerzom, przynosiło korzyść również Morhamowi Targonne'owi.

Da jej szansę uczynienia „cudu”. Rozkaże tej oszustce i jej tępogłowym zwolennikom zdobyć Silvanesti. Spełni życzenie Malys, poświęcając tylko garstkę żołnierzy. Niebezpieczna Mina zginie razem ze swoimi wyznawcami, ale zysk będzie większy niż straty. Niech dziewczyna padnie gdzieś na pustkowiu i niech jakiś ogr ogryzie jej kości na kolację. Taki będzie koniec smarkuli i jej „bezmiennego” boga.

Targonne uśmiechnął się do sir Rodericka. Wstał nawet z krzesła i odprowadził go do drzwi. Śledził wzrokiem zakutą w czarną zbroję postać, która oddalała się pustym, pełnym ech korytarzem fortecy. Potem wezwał adiutanta.

Podyktował mu list do Malystriyx, w którym naszkicował swój plan zdobycia Silvanesti.

Rozkazał dowódcy garnizonu Rycerzy Neraki w Khur pomaszerować ze swymi siłami na zachód, przyłączyć się do oblężenia Sanction i przejąć dowództwo z rąk lorda Millesa. Dowódcy szponu Minie wydał rozkaz polecający pomaszerować z kompanią wybranych żołnierzy na południe, aby zaatakować i podbić wielkie elfie państwo Silvanesti.

- A co z lordem Millesem, Ekscelencjo? - zapytał adiutant. - Czy ma być przeniesiony? Gdzie chcesz go wysłać?

Targonne zastanowił się nad tą kwestią. Był w znakomitym humorze. Taki nastrój zwykle nawiedzał go po ubiciu wyjątkowo korzystnego interesu.

- Niech osobiście złoży meldunek Malystrixx. Może jej opowiedzieć o swym wielkim „zwycięstwie” nad Solamnijczykami. Jestem pewien, że smoczyca z zainteresowaniem wysłucha, jak wpadł w pułapkę nieprzyjaciela i omal nie stracił przez to wszystkiego, o co tak ciężko walczyliśmy.

- Tak jest, Ekscelencjo. - Adiutant zebrał papiery potrzebne do przygotowania potrzebnych dokumentów. - Czy mam skreślić lorda Millesa z rejestru? - zapytał po chwili zastanowienia.

Targonne ponownie zajął się księgą. Poprawił starannie okulary na nosie, wziął w rękę pióro, skinął niedbale dłonią na znak potwierdzenia i wrócił do swych kredytów i debetów, do dodawania i odejmowania.

Pieśń o Loracu

W tym samym czasie, gdy Tasslehoff umierał z nudy na trakcie do Qualinesti, a sir Roderick wracał do Sanction, szczęśliwie nieświadomy, że właśnie wydał swojego dowódcę w paszczę smoczy, Silvanoshei i Rolan z kirathów ruszyli w podróż, której celem było osadzenie syna Alhany na tronie Silvanesti. Zgodnie z planem Rolana mieli zatrzymać się w pobliżu Silvanostu i nie wjeżdżać do stolicy, dopóki nie rozejdą się wieści, że prawdziwa głowa Rodu Królewskiego wraca upomnieć się o tytuł Mówcy Gwiazd.

- Jak długo to potrwa? - zapytał młodzieńczo porywczy Silvan.

- Wieści będą wędrować szybciej od nas, Wasza Królewska Mość - odparł Rolan. - Drinel i inni kirathowie, których spotkaliśmy przedwczorajszej nocy, zanieśli je już innym. Powtórzą je wszystkim kirathom, których spotkają, a także każdemu Dzikemu Biegaczowi, którego uznają za godnego zaufania. Większość żołnierzy jest wierna generałowi Konnalowi, ale jest też trochę takich, którzy zaczynają w niego wątpić. Dotąd nie wyrażali sprzeciwu otwarcie, ale przybycie Waszej Królewskiej Mości powinno zmienić tę sytuację. Dzicy Biegacze zawsze przysięgali wierność Rodowi Królewskiemu. Sam Konnal również będzie zmuszony to uczynić, przynajmniej formalnie.

- A ile czasu upłynie, nim dotrzemy do Siivanostu? nie ustępował Silvanoshei.

- Zejdziemy z traktu i popłyniemy łodzią po Thon-Thalasia - wyjaśnił Rolan. - Zamierzam zaprowadzić cię do swojego domu, który znajduje się pod miastem. Powinniśmy tam dotrzeć za dwa dni. Trzeci dzień poświęcimy na odpoczynek oraz na wysłuchanie meldunków, które powinny już wtedy do nas dotrzeć. Wasza Królewska Mość, jeśli wszystko pójdzie dobrze, za cztery dni wkroczysz triumfalnie do stolicy.

- Cztery dni! - powtórzył z niedowierzaniem Silvan. - Czy to możliwe, żeby osiągnąć tak wiele w tak krótkim czasie?

- Gdy walczyliśmy ze snem, kirathowie potrafili w ciągu jednego dnia przekazać wiadomość z północy Silvanesti na jego najdalsze południowe rubieże - rzekł Rolan, kwitując uśmiechem widoczny sceptycyzm młodzieńca. - Robiliśmy to wielokrotnie. Byliśmy wówczas świetnie zorganizowani i znacznie liczniejsi niż obecnie. Mimo to jestem przekonany, że potrafimy zaimponować Waszej Królewskiej Mości.

- Już mi zaimponowaliście, Rolanie - odparł Silvanoshei. - Zawdzięczam bardzo wiele tobie i innym kirathom. Znajdę jakiś sposób, aby spłacić ten dług.

- Uwolnij nasz lud od straszliwej plagi, która go dręczy, Wasza Królewska Mość - odrzekł Rolan ze smutkiem w oczach. - To wystarczy.

Choć Silvanoshei wychwalał kirathów, nadal miał wątpliwości. Zachował je jednak dla siebie. Armia jego matki była świetnie zorganizowana, a mimo to nawet plany Alhany nieraz kończyły się fiaskiem. Pech, brak łączności, zła pogoda, każdy z tych czynników mógł obrócić zwycięstwo w klęskę.

Jedno z powiedzeń Samara brzmiało: „Żaden plan nie przeżywa kontaktu z nieprzyjacielem”. Nieraz okazywało się to tragicznie prawdziwe.

Silvan spodziewał się katastrof, opóźnień. Jeśli łódź, którą obiecywał Rolan, w ogóle istniała, okaże się, że jest w niej dziura albo że całkowicie spłonęła. Poziom wody w rzece bę - dzie za wysoki albo za niski. Wiatr zagna ich w górę rzeki zamiast w dół albo w dół, jeśli będą chcieli płynąć w górę.

Silvan był niebotycznie zdumiony, gdy okazało się, że zgodnie z zapowiedzią Rolana przy rzecznej przystani czeka na nich mała łódź w doskonałym stanie. I nie koniec na tym. U jej dziobu ułożono w równe stosy wodoszczelne paczki z żywnością.

- Jak widzisz, kirathowie byli tu przed nami, Wasza Królewska Mość - oznajmił Rolan.

O tej porze roku Thon-Thalas wydawał się spokojną, meandrującą rzeką. Wykonana z kory łódź była nieduża i lekka, tak znakomicie wyważona, że trzeba by się specjalnie postarać, żeby ją przewrócić. Zdając sobie sprawę, że Rolan nigdy w życiu nie poprosiłby przyszłego Mówcę Gwiazd o pomoc w wiosłowaniu, Silvan sam zgłosił taką propozycję. Rolan z początku odmawiał, nie mógł jednak się sprzeczać ze swym przyszłym władcą, w końcu wyraził więc zgodę i wręczył Silvanosheiwowi wiosło. Młodzieniec zauważył, że zdobył szacunek starszego elfa. Było to dla niego

przyjemną odmianą, gdyż Samar nigdy go nie szanował.

Silvan radował się wysiłkiem, który pozwolił mu spalić nagromadzoną energię. Rzeka była spokojna, a las, przez który płynęła, zielony i pełen życia. Dzień był pogodny, lecz Silvanoshei nie nazwałby go pięknym. Promienie słońca przenikały przez tarczę, za którą widział błękitne niebo. Słońce świecące nad Silvanesti nie wydawało się jednak tą samą gorejącą kulą pomarańczowego ognia, która oświetlała resztę Ansalonu. Miało niezdrową, bladożółtą barwę, przywodzącą na myśl skórę chorego na żółtaczkę. Miał wrażenie, jakby patrzył na odbicie słońca, pływające w sadzawce stojącej, oleistej wody. Zmiana jego barwy wpływała również na niebo, które nie było lazurowe, lecz przybrało twardy, metaliczny, niebieskozielony odcień. Silvan nie patrzył na słońce zbyt długo. Wolał przenieść wzrok na las.

- Znasz jakąś pieśń, która ułatwiłaby nam pracę? - zawołał do Rolana, który siedział na dziobie łodzi.

Kirath uderzał wiosłem szybko i sprawnie, głęboko zanurzając je w wodzie. Choć Silvan był znacznie młodszy, musiał się zdrowo trudzić, żeby dotrzymać mu kroku. Rolan zawahał się i spojrzał na niego przez ramię.

- Kirathowie mają ulubioną pieśń, ale obawiam się, że może ona obrazić Waszą Królewską Mość. Mówi o twym czcigodnym dziadku, królu Loracu.

- A czy jej początek brzmi: „Był to Wiek Potęgi, wiek króla kapłana i jego sług”? - zapytał Silvan, nucąc niepewnie melodię. Słyszał tę pieśń tylko raz.

- Tak się zaczyna, Wasza Króólewska Mość - potwierdził Rolan.

- Zaśpiewaj ją dla mnie - poprosił Silvan. - Matka śpiewała mi ją w dniu moich trzydziestych urodzin. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem historię dziadka. Nigdy przedtem o nim nie mówiła, i potem również nie. Z szacunku dla niej inni elfowie także nie chcą o nim opowiadać.

- Ja również szanuję twoją matkę, która zrywała róże w Ogrodzie Astarin, gdy była w twoim wieku. Rozumiem też jej ból. Wszyscy czujemy ten sam ból, śpiewając tę pieśń, choć bowiem Lorac usłuchał podszeptu pychy i zdradził swą ojczyznę, my wybraliśmy łatwą drogę i uciekliśmy z kraju, co sprawiło, że musiał walczyć sam. Dlatego to również nasza wina. Gdyby wszyscy elfowie zostali w Silvanesti i stanęli do walki, ci z Rodu Królewskiego, Rodu Służących, Rodu Protektorów. Rodu Mistyków i Rodu Murarzy, gdybyśmy połączyli swe siły, stanęli obok siebie, nie zważając na podziały kastowe, i stawili czoło smoczym armiom, jestem przekonany, że uratowalibyśmy nasz kraj. Ale pełną opowieść usłyszysz w pieśni.

Był to Wiek Potęgi, Wiek króla kapłana i jego sług.

Zazdroszcząc czarodziejom, król kapłan rzekł: „Oddacie mi swe wysokie wieże, będziecie się mnie bać i słuchać mych rozkazów”.

Czarodzieje oddali mu wysokie wieże, na końcu wieżę w Palanthas.

Przybywa do wieży Lorac Caladon, król Sihanesti, by poddać się próbie magii przed zamknięciem wieży.

Podczas próby jedna ze smoczyc kuli, bojąc się, że wpadnie w ręce Króla Kapłana i jego siug, mówi Loracowi: „Nie możesz zostawić mnie tu w Istar. Jeśli to uczynisz, zginę i świat spotka zagłada. „Lorac słucha głosu smoczej kuli i ukrywa ją.

Zabiera ją ze sobą do Sihanesti i tam przechowuje w tajemnicy, nie mówiąc nikomu ani słowa.

Nadchodzi Kataklyzm. Przybywa Takhisis, Królowa Ciemności, ze swymi potężnymi smokami.

Nadchodzi wojna. Przybywa do Sihanesti.

Lorac wzywa swych poddanych i rozkazuje im opuścić ojczyznę.

Rozkazuje im uciekać.

Mówi im: „Tylko ja mogę zbawić nasz lud.

Tylko ja powstrzymam Królową Ciemności.,,

Odsyła poddanych.

Odsyła ukochaną córkę, Alhanę Starbreeze.

W samotności słyszy głos smoczej kuli, która woła go po imieniu, wzywa go w ciemność.

Lorac słucha jej zewu.

Zstępuje w ciemność.

Kładzie dłonie na smoczej kuli, a ona kładzie swe dłonie na nim.

Nadchodzi sen.

Do Silvanesti nadchodzi sen.

Pełen grozy.

Pełen strachu.

Sen o drzewach krwawiących krwią elfiego plemienia,

sen o rzekach łez,

sen o śmierci.

Przybywa smok,

Cyan Bloodbane,

sługa Takhisis,

i sykiem opowiada Loracowi o grozie snu.

Sykiem powtarza mu słowa: „Tylko ja mam moc, aby zbawić lud, „Drwi z jego słów. „Tylko ja mam moc zbawić.”,

Sen ogarnia krainę,

zabija krainę,

wypacza drzewa,

krwawiące drzewa,

wypełnia rzeki łzami elfów, łzami Loraca,

który stał się niewolnikiem kuli i Cyana Bloodbane,

sługi królowej Takhisis

sługi zła,

bo tylko on miał moc.

- Mogę zrozumieć, dlaczego matka nie chce słuchać tej pieśni - stwierdził Silvan, gdy ostatnia

słodką, smutna nuta ucichła nad wodą, powtarzana przez echo. - I dlaczego nasz lud wolałby ją zapomnieć.

- Powinniśmy ją pamiętać - oznajmił Rolan. - Gdyby to zależało ode mnie, śpiewano by ją codziennie. Kto wie, czy pieśń o naszych dniach nie będzie równie tragiczna i straszliwa? Nie zmieniliśmy się. Lorac Caladon wierzył, że jest wystarczająco potężny, aby władać smoczą kulą, choć wszyscy mędrcy go przed tym ostrzegali. Tak właśnie dał się usidlić i upadł. Nasz lud, porażony strachem, wolał od walki ucieczkę. Dziś również żyjemy w kleszczach lęku. Kryjemy się za tarczą i poświęcamy życie rodaków, aby bronić snu.

- Snu? - zdziwił się Silvan. Myślał o śnie Loraca, śnie z pieśni.

- Nie mówię o szeptach smoka - wyjaśnił Rolan. Ten sen już się skończył, ale śpiący nie chcą się obudzić i dla - tego jego miejsce zajął inny sen. Sen o przeszłości. O chwale minionych dni. Nie mam do nich pretensji - dodał z westchnieniem kirath. - Sam uwielbiam wspominać minione piękno i marzę o jego powrocie. Ale ci z nas, którzy walczyli u boku twojego ojca, wiedzą, że nie sposób wrócić do przeszłości i nie powinno się tego pragnąć. Świat się zmienił i my musimy się zmienić razem z nim. Musimy się stać jego częścią, bo inaczej zwiędniemy w więzieniu, w którym sami się zamknęliśmy.

Rolan przestał na chwilę wiosłować. Odwrócił się i spojrzał na Silvana.

- Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć, Wasza Królewska Mość?

- Chyba tak - odparł ostrożnie Silvan. - Pochodzę ze świata, jeśli można to tak ująć, i dlatego mogę poprowadzić nasz lud z powrotem ku niemu.

- Tak, Wasza Królewska Mość - zgodził się z uśmiechem Rolan.

- Pod warunkiem, że nie ulegnę grzechowi pychy - rzekł Silvan. On również przestał wiosłować, ciesząc się, że może chwilę odpocząć. Wypowiedział te słowa z uśmiechem, traktując je jako żart, po zastanowieniu jednak spoważniał. - To nasza rodzinna słabość - dodał, na w pół do siebie. - No, ale ostrzegłeś mnie, a powiadają, że przygotowanie to połowa sukcesu.

Złapał za wiosło i zaczął nim machać z zapalem.

Blade słońce skrywało się powoli za drzewami. Dzień gasł stopniowo, jakby on również padł ofiarą wyniszczającej choroby. Rolan patrzył na brzeg, szukając odpowiedniego miejsca do przycumowania na noc. Silvan spoglądał na drugą stronę rzeki i to on pierwszy zauważył to, co uszło uwagi kiratha.

- Rolanie! - wyszeptał gwałtownie. - Do zachodniego brzegu! Szybko!

- Co się stało, Wasza Królewska Mość? - zaniepokoił się natychmiast kirath. - Co zauważyłeś?

- Tam! Na wschodnim brzegu! Nie widzisz ich? Szybko! Są prawie w zasięgu strzał!

Rolan zaprzestał wiosłowania, odwrócił się i uśmiechnął zyczliwie do Silvana.

- Nie jesteś już wśród ściganych, Wasza Królewska Mość. Ci elfowie, których widzisz na brzegu, przyszli cię zobaczyć i oddać ci honory.

- Ale... skąd wiedzą? - zapytał zdumiony młodzieniec.

- Byli tu kirathowie, Wasza Królewska Mość.

- Tak szybko?

- Mówiłem Waszej Królewskiej Mości, że prześlemy wieści najszybciej jak tylko można.

Silvan zaczerwienił się.

- Przepraszam, Rolanie. Nie chciałem wątpić w twe słowa. Rzecz w tym... moja matka używa gońców, którzy wędrują potajemnie, przekazując wiadomości między nią a jej siostrą przez małżeństwo, Lauraną Qualinesti. W ten sposób dowiadujemy się o tym, co się dzieje z naszymi braćmi w tamtym królestwie. Ale oni potrzebują wielu dni, aby pokonać taką odległość... Myślałem...

- Myślałeś, że przesadzam. Nie musisz mnie przepraszać, Wasza Królewska Mość. Jesteś przyzwyczajony do świata po drugiej stronie tarczy, wielkiego świata pełnego niebezpieczeństw, które zmieniają się z dnia na dzień, niczym fazy księżyca. Tu, w Silvanesti, kirathowie tak często biegali po wszystkich szlakach, że znają każdą ścieżkę, każde stojące przy niej drzewo, każdy rosnący obok kwiat, każdą przebiegającą przez nią wiewiórkę, każdego ptaka śpiewającego na gałęzi. Jeśli ten ptak zaśpiewa choć jedną fałszywą nutę albo zaniepokojona wiewiórka zastrzyże uszami, natychmiast to zauważamy. Nic nas tu nie zaskoczy i nic nas nie powstrzyma. - Rolan zmarszczył brwi. - Dlatego właśnie niepokoi nas świadomość, że Cyan Bloodbane tak długo się nam wymyka. To na pozór niemożliwe, niemniej jednak nie można wykluczyć, że tego dokonał.

Rzeka zaniósła ich w miejsce, w którym mogli ich zobaczyć stojący na wschodnim brzegu elfowie. Ich domy znajdowały się na drzewach. Człowiek zapewne w ogóle by ich nie zauważył, gdyż stanowiły część żywego drzewa, którego gałęzie cierpliwą czułością skłoniono do ukształtowania ścian i dachów. Mieszkańcy wyciągnęli swe łodzie na brzeg i rozłożyli na ziemi sieci, żeby wyschły. Gapiów nie było wielu, gdyż była to tylko mała wioska rybacka, nie ulegało jednak wątpliwości, że zebrali się wszyscy mieszkańcy. Nawet chorych przyniesiono na brzeg. Leżeli owinięci kocami i wsparci na poduszkach.

Zażenowany Silvan przestał wiosłować i położył wiosło na dnie łodzi.

- Co mam zrobić, Kolanie? - zapytał nerwowo. Kirath popatrzył na niego i uśmiechnął się uspokajająco.

- Bądź sobą, Wasza Królewska Mość. Tego właśnie oczekują.

Rolan podpłynął bliżej brzegu. Rzeka wydawała się tu bardziej wartka. Jej nurt zaniósł Silvana do gapiów, nim młodzieniec zdążył się przygotować. Uczestniczył kiedyś z matką w paradzie,

dokonując przeglądu wojsk, i czuł się wówczas tak samo skrępowany i niegodny jak teraz.

Nagle znalazł się naprzeciwko czekających elfów. Popatrzył na nich, skinął lekko głową, uniósł rękę i pomachał nią nieśmiało. Nikt nie odwzajemnił tego gestu. Nikt nie wydawał radosnych okrzyków, czego się po cichu spodziewał. Przyglądali się tylko bez słowa, jak Silvan przepływa obok nich. To milczenie wzruszyło go bardziej niż najgorętszy aplauz. Dostrzegając w ich oczach, słysząc w ich milczeniu tęskną nadzieję, w którą nie chcieli uwierzyć, albowiem mieli już kiedyś nadzieję i zdradzono ich.

Dogłębnie wzruszony młodzieniec przestał machać ręką i wyciągnął ją ku nim, jakby widział, że toną i był w stanie utrzymać ich na powierzchni. Rzeka poniosła go dalej, minął wzgórze i stracił rybaków z oczu.

Przygnieciony tym wrażeniem, skulił się na rufie. Nie ruszał się ani nic nie mówił. Po raz pierwszy zdał sobie w pełni sprawę z ciężaru brzemienia, które wziął na swoje barki. Jak mógł im pomóc? Czego od niego oczekiwali? Być może zbyt wiele. Stanowczo zbyt wiele.

Rolan od czasu do czasu oglądał się za siebie z zatroskaną miną, lecz nie odezwał się ani słowem. Wiosłował dalej sam, aż wreszcie znalazł miejsce nadające się na postój. Silvan podniósł się i wskoczył do rzeki, by pomóc wyciągnąć łódź na brzeg. Lodowata woda stała się dla niego przyjemnym szokiem. Utopił w Thon-Thalasio swój niepokój, lęk i brak wiary we własne siły, ciesząc się, że wreszcie ma coś do roboty.

Silvan był przyzwyczajony do życia pod gołym niebem i wiedział, co trzeba zrobić, żeby rozbić obóz. Wypakował prowiant, rozłożył posłania i zaczął przygotowywać lekką kolację, złożoną z podpłomyków i owoców. Rolan tymczasem zabezpieczył łódź. Jedli niemal bez słowa, Silvan nadal był przytłoczony ogromną odpowiedzialnością, którą tak beztrąsko wziął na siebie przed zaledwie dwiema nocami, a Rolan respektował życzenia swego władcy, który pragnął spokoju. Obaj położyli się wcześniej. Owinęli się kocami i pozwolili, aby nocne zwierzęta i leśne ptaki czuwały nad ich snem.

Silvan zasnął znacznie szybciej, niż się tego spodziewał. Nocą obudziło go wołanie sowy. Usiadł przerażony, lecz Rolan uspokoił go, mówiąc, że ptak po prostu rozmawia z sąsiadem, dzieląc się z nim nocnymi plotkami.

Młodzieniec leżał przez pewien czas z otwartymi oczyma, słuchając żalobnego, urzekającego zewu oraz poważnego echa, które odpowiadało mu gdzieś w oddali. Nie mógł zasnąć przez długi czas. Patrzył na gwiazdy, które migotały niespokojnie za tarczą, a przez jego umysł, szybko niczym nurt rzeki, przepływała Pieśń o Loracu.

...Izami Loraca,

który stał się niewolnikiem kuli i Cyana Bloodbane,

slugi królowej Takhisis

slugi zła,

bo tylko on miał moc.

W tej samej chwili słowa i melodię tej pieśni powtarzała również minstrelka, dostarczająca rozrywki gościom na przyjęciu w Silvanoście.

Przyjęcie urządzono w Ogrodzie Astarin, u stóp Wieży Gwiazd, w której mieszkałby Mówca Gwiazd, gdyby ktoś obecnie piastował ten tytuł. Było tu pięknie. Wieżę Gwiazd ukształtowano magicznym sposobem z marmuru, gdyż elfowie nie obrabiali kamienia ani nie uszkadzali ziemi. Dlatego wieża miała płynny, organiczny wygląd. Mogłoby się wręcz wydawać, że ktoś uformował ją z płynnego wosku. Podczas snu Loraca uległa ohydnyemu zdeformowaniu, podobnie jak wszystkie budowle w Silvanoście. Elfi magowie trudzili się długie lata, aby przywrócić jej poprzednią postać. Zastąpili nowymi niezliczone klejnoty wprawione w mury strzelistej konstrukcji, które ongiś chwyciły światło srebrnego księżyca, Solinari, oraz czerwonego księżyca, Lunitari, i wykorzystali ich błogosławiony blask do oświetlenia wnętrza wieży, które wydawało się skąpane w srebrze i płomieniu. Potem jednak księżycy zniknęły. Nad Krynem świecił teraz tylko jeden księżyc i z jakiegoś powodu, którego elfi mędrcy nie potrafili wyjaśnić, jego blask odbijał się w klejnotach, nadając im wygląd wytrzeszczonych oczu, lecz w ogóle nie oświetlał wnętrza wieży. Dlatego elfowie byli zmuszeni uciec się do świec i pochodni.

W Ogrodzie Astarin rozstawiono krzesła. Wydawało się, że jego rośliny mają się świetnie. Powietrze było przesycone ich wonią. Tylko Konnal i jego ogrodnicy wiedzieli, że te rośliny wcale tu nie wyrosły, lecz zostały przyniesione przez rzeźbiarzy drzew z ich prywatnych ogrodów. W Ogrodzie Astarin żadna roślina nie żyła teraz długo. Żadna poza jedną: otoczonym magiczną tarczą drzewem. Znano je jako Drzewo Tarczy, gdyż jego korzeń wyrastał ponoć z tarczy osłaniającej Silvanesti.

Minstrelka śpiewała Pieśń o Loracu na życzenie jednego z gości. Zakończyła ją smutną nutą, muskając lekko dłonią struny lutni.

- Brawo! Piękne wykonanie! Posłuchajmy tej pieśni raz jeszcze - odezwał się śpiewny głos w tylnym rzędzie.

Minstrelka popatrzyła niepewnie na gospodarza. Elfia widowia była stanowczo zbyt uprzejma i dobrze wychowana, aby zareagować na tę prośbę jawnym szokiem, lecz artystka potrafiła odczytać nastrój obecnych z wielu subtelnych znaków. Jej uwagi nie umknęły lekko zaczerwienione policzki i zażenowane spojrzenia, rzucane z ukosa na gospodarza. Jedno wykonanie tej pieśni wystarczało za nawiązką.

- Kto to powiedział? - zapytał generał Reyl Konnal, wojskowy gubernator Silvanesti, odwracając się na krześle.

- A jak ci się zdaje, wuju? - odrzekł jego siostrzeniec, spoglądając złowrogo na tylne rzędy. - Ta sama osoba, która zażyczyła sobie pierwszego wykonania. Twój przyjaciel Glaucous.

Generał Konnal wstał pośpiesznie, kładąc kres muzycznym występom. Minstrelka pokłoniła się, zadowolona, że oszczędzono jej nieprzyjemnego zadania wykonywania tej pieśni po raz wtóry. Widzowie nagrodzili ją aplauzem, uprzejmym, lecz pozbawionym entuzjazmu. Wydali z siebie westchnienie, które mogło znamionować ulgę. Wraz z nocnym wietrzykiem poruszyło ono splecionymi ze sobą gałęziami drzew, tworzącymi nad ich głowami usychający baldachim, z którego pospadało już wiele liści. Na gałęziach wisiały lampy ze srebrnego filigranu, które rozświetlały noc. Goście opuścili niewielki amfiteatr, przechodząc do stołu ustawionego na brzegu zwierciadlanego stawu, przy którym jedli cukrzane owoce oraz maślane kruszaki i popijali chłodzone wino.

Konnal zaprosił na przekąskę również minstrelkę i osobiście odprowadził ją do stołu. Czekał już tam elf imieniem Glaucous, który zażyczył sobie wykonania pieśni. W dłoni trzymał kielich z winem. Wzniósł go w toast na cześć minstrelki, wychwalając ją wylewnie.

- Szkoda, że nie pozwolono ci wykonać jej po raz drugi - mówił, zerkając na generała. - Ta melodia nigdy mi się nie nudzi. A poezja! Mój ulubiony fragment to...

- Czy zechcesz skosztować jedzenia i wina, pani? - zapytał siostrzeniec generała, reagując na trącenie łokciem przez wuja.

Kobieta obrzuciła go pełnym wdzięczności spojrzeniem i przyjęła zaproszenie. Poprowadził ją do stołu, przy którym uprzejmie przywitani inni goście. Trawnik, na którym stali Glaucous i generał, szybko opustoszał. Choć wielu gości chętnie przebywałoby w towarzystwie czarującego, atrakcyjnego Glaucousa i wypowiedziało należne pochlebstwa generałowi Konnalowi, łatwo było zauważyć, że generał jest wściekły.

- Nie wiem, po co zapraszam cię na te przyjęcia, Glaucousie - mówił rozgniewany Konnal. - Zawsze udaje ci się mnie zawstydzić. Nie dosyć, że zażyczyłaś sobie, żeby zaśpiewała tę pieśń, to jeszcze chciałaś ją usłyszeć po raz drugi!

- Z uwagi na pogłoski, które dziś do mnie dotarły - odparł leniwie Glaucous - uznałem, że pieśń o Loracu Caladonie będzie najodpowiedniejsza.

Konnal obrzucił przyjaciela ostrym spojrzeniem spod opuszczonych brwi.

- Słyszałem... - Przerwał i popatrzył na gości. - Przejdźmy na drugą stronę stawu.

Oddalili się od reszty zgromadzonych. Gdy elfów przestała hamować bliskość generała, skupili się w małe grupki, aby porozmawiać o sensacyjnych wieściach, które dotarły do stolicy.

- Wcale nie musieliśmy odchodzić - zauważył Glaucous, spoglądając w stronę stołu z przekąskami. - Wszyscy już o tym słyszeli.

- Tak, ale dla nich to tylko pogłoski. Ja mam potwierdzenie - rzekł ponurym głosem Konnal.

Glaucous zatrzymał się nagle.

- Wiesz, że to prawda?

- Mam swoje źródła wśród kirathów. Mój informator go widział, rozmawiał z nim. Ten młodzieniec to ponoć wykapany ojciec. To Silvanoshei Caladon, syn Alhany Starbreeze, wnuk zmarłego, przez nikogo nieopłakiwanego króla Loraca.

- To niemożliwe! - oznajmił Glaucous. - Ostatnie wieści, jakie mamy o tej przeklętej wiedźmie, jego matce, mówiły, że czaiła się na zewnątrz tarczy, a jej syn był razem z nią. Nikt i nic nie może się przedostać przez tarczę.

Glaucous był tego absolutnie pewien.

- W takim razie to rzeczywiście musiał być cud, tak jak mówią tamci - zauważył z przekąsem Konnal, wskazując skinieniem dłoni na szepczących gości.

- E tam! To jakiś oszust. Potrząsaszą głową...? - Glaucous popatrzył z niedowierzaniem na gubernatora. - Naprawdę uwierzyłeś w tę bajeczkę!

- Moim informatorem jest Drinel. Jak ci wiadomo, potrafi się posługiwać testem prawdy - wyjaśnił Konnal. - Nie ma wątpliwości. Ten elf przeżył próbę pomyślnie. Drinel wejrzał do jego serca. Wie więcej o tym, co spotkało młodzieńca, niż on sam.

- A co właściwie go spotkało? - zapytał Glaucous, nieco unosząc cienkie brwi.

- W noc tej straszliwej burzy Alhana i jej buntownicy przygotowywali się do walnego ataku na tarczę, lecz niespodziewanie ich obóz zaatakowali ogrowie. Młodzieniec pobiegł do Legionu Steela, aby błagać ludzi o pomoc. Pomyśl tylko, jak nisko upadła ta kobieta. Nagle oślepiła go błyskawica. Potknął się i stoczył ze skarpy. Stracił przytomność, a kiedy się ocknął, był już po drugiej stronie tarczy.

Glaucous pogłaskał się po podbródku. Przyjaciel generała podbródek miał pięknie ukształtowany, twarz przystojną, a wielkie oczy kształtu migdałów spoglądały przenikliwie. Każdy jego ruch przepajała gracia. Cerę miał nieskazitelną, skórę gładką i bladą, a rysy twarzy perfekcyjnie rzeźbione.

Dla ludzi wszyscy elfowie wyglądali pięknie. Mędrcy powiadają, że to właśnie jest przyczyną wrogości między obiema rasami. Ludzie - nawet najpiękniejsi - nie mogą nie czuć się brzydcy w porównaniu z elfami. Elfowie, którzy czczą piękno, widzą nawet różnice w stopniu urody pośród swego rodzaju, choć dostrzegają ją u wszystkich jego przedstawicieli. W krainie pięknych Glaucous był najpiękniejszy.

W obecnej chwili jego perfekcyjna uroda niezmiernie irytowała Konnala.

Generał przeniósł spojrzenie na staw. Po jego zwierciadła - nej tafli pływały dwa nowe łabędzie. Zadał sobie pytanie, jak długo pożyją. Miał nadzieję, że dłużej niż poprzednia para. Wydał

już na te ptaki fortunę, ale bez nich staw wyglądał pusto i smętnie.

Glaucous był ulubieńcem dworu, co wydawało się dziwne, biorąc pod uwagę fakt, że to za jego sprawą wielu dworzan utraciło pozycję, wpływy i władzę. Nikt jednak nie oskarżał o to czarodzieja. Wszyscy uważali, że to wina Konnała, który ich odwołał.

A jaki miałem wybór? - pytał sam siebie generał. Nie zasługiwali na zaufanie. Niektórzy nawet przeciwko mnie spiskowali. Gdyby nie Glaucous, mógłbym nigdy się o tym nie dowiedzieć.

Odkąd czarodziej przystał do świty generała, zdołał wygrzebać jakieś kompromitujące informacje o każdej niemal osobie, jakiej Konnał kiedykolwiek ufał. Jeden minister ponoć wychwalał Porthiosa. Któraś dworka jakoby w młodości kochała się w Dalamarze Czarnym. Jeszcze inny naraził się tym, że nie zgadzał się z Konnałem w kwestii podatków. W końcu nadszedł dzień, gdy Konnał zdał sobie sprawę, że został mu tylko jeden doradca i jest nim Glaucous.

Wyjątkiem był siostrzeniec Konnała, Kiryn. Glaucous nie krył sympatii do niego. Schlebiał mu, obsypywał go drobnymi prezentami, śmiał się serdecznie z jego dowcipów i wychwalał go wylewnie. Dworzanie, którzy ubiegali się o względy Glaucousa, byli wściekle zazdrośni o młodzieńca. Sam Kiryn zdecydowanie wolałby, żeby Glaucous go nie lubił. Nie ufał czarodziejowi, choć nie potrafił powiedzieć, dlaczego.

Kiryn nie odważył się jednak powiedzieć ani słowa przeciwko Glaucousowi. Ani on, ani nikt inny. Glaucous był potężnym magiem, najpotężniejszym elfim czarodziejem, jakiego kiedykolwiek widziano w Silvanesti, nawet wliczając czarnego elfa Dalamara.

Przybył do kraju niedługo przed smoczą czystką, twierdząc, że jest przedstawicielem elfów służących w Wieży Shalost, monumencie w zachodnim Silvanesti, w którym spoczywało ciało druida Wylorna Wyvemsbane'a. Choć bogowie magii odeszli, kryształowe mury, na których spoczywał bohater elfów, nadal spowijała czarodziejska moc. Elfi czarodzieje, rozpaczliwie pragnący odzyskać swą magię, próbowali przechwycić i wykorzystać część owej mocy, uważając, aby nie zakłócić przy tym spoczynku zmarłego.

- Udało nam się - zameldował generałowi Glaucous. - To znaczy - dodał ze stosowną skromnością - mnie się udało.

Obawiając się wielkich smoków, które pustoszyły resztę Ansalonu, Glaucous stworzył przy pomocy rzeźbiarzy drzew urządzenie, które miało obronić Silvanesti. Rzeźbiarze drzew, kierując się jego wskazówkami, wyhodowali drzewo, znane obecnie jako Drzewo Tarczy - otoczone własną magiczną barierą, przez którą nic nie mogło przeniknąć. Drzewo zasadzono w Ogrodzie Astarin i darzono je powszechnym podziwem.

Gdy Glaucous zaproponował generał-gubernatorowi, że otoczy całe Silvanesti magiczną tarczą, Konnała ogarnęła paraliżująca wdzięczność i ulga. Poczuli, że z jego barków zniknął ciężar. Silvanesti będzie bezpieczne, naprawdę bezpieczne. Bezpieczne przed smokami, ogrami, ludźmi, czarnymi elfami, przed całą resztą świata. Podał sprawę pod głosowanie głów rodów. Propozycję poparto jednomyślnie.

Glaucous stworzył tarczę i stał się bohaterem elfów. Niektórzy wspominali nawet, że jemu również powinno się wzniesić pomnik. Potem rośliny w Ogrodzie Astarin zaczęły więdnąć. Napływały meldunki, że giną również rośliny i zwierzęta żyjące na rubieżach poddanych wpływowi magicznej tarczy. Mieszkańcy Silvanostu i innych elfich osad zaczęli padać ofiarą niezwyklej, wyniszczającej choroby. Kirathowie i inni buntownicy twierdzili, że winna jest tarcza. Glaucous zapewniał, że to zaraza zawleczona tu przez ludzi przed wzniesieniem tarczy i że tylko stworzona przez niego bariera ocaliła resztę mieszkańców przed śmiercią.

Konnal nie mógł już obyć się bez Glaucousa. Czarodziej był jego przyjacielem, zaufanym doradcą... jego jedynym za - ufanym doradcą. To magia Glaucousa była odpowiedzialna za otoczenie kraju elfów tarczą i czarodziej mógł w każdej chwili usunąć tę barierę i wpuścić do Silvanesti okropności zewnętrznego świata.

- Mmmm? Słucham? Co powiedziałaś?

Generał Konnal oderwał spojrzenie od łabędzi i ponownie popatrzył na Glaucousa, który nie przestawał mówić.

- Powiedziałem: „nie słuchasz mnie” - powtórzył Glaucous ze słodkim uśmiechem.

- Masz rację. Przepraszam. Chciałbym się dowiedzieć jednego, Glaucousie. W jaki sposób ten młodzieniec przedostał się przez tarczę? - Ściszył głos do szeptu, mimo że w zasięgu słuchu nie było nikogo. - Czy magia tarczy również zanika?

Twarz Glaucousa nagle nabrała mroczniejszego wyrazu.

- Nie - odpowiedział.

- Skąd masz pewność? - nie ustępował Konnal. - Powiedz mi szczerze, czy w ostatnim roku nie wyczułeś, że twoje moce słabną? Wszyscy pozostali czarodzieje to zauważyli.

- Oni może tak. Ja nie - odparł zimno Glaucous. Konnal przyjrzał się z uwagą przyjacielowi. Czarodziej nie chciał patrzeć mu w oczy i generał domyślił się, że kłamie.

- W takim razie jak wytłumaczysz to zjawisko?

- Bardzo prosto - odparł ze spokojem Glaucous. - Ja go tu sprowadziłem.

- Ty?

Konnal był tak wstrząśnięty, że krzyknął głośno. Wielu gości przerwało rozmowy i spojrzało w ich stronę.

Czarodziej uśmiechnął się uspokajająco, wziął przyjaciela za ramię i poprowadził go do bardziej odosobnionej części ogrodu.

- Dlaczego to zrobiłeś? Po co jest ci potrzebny ten młodzieniec, Glaucousie? - dopytywał się

Konnal.

- Uczynię to, co ty powinieneś być uczynić, generale - odparł Glaucous, poprawiając fałdziste rękawy białych szat. - Posadzę Caladona na tronie. Przypominam ci, przyjacielu, że gdybyś obwołał swego siostrzeńca Mówcą, tak jak ci radziłem, nie byłoby problemu z Silvanosheiem.

- Doskonale wiesz, że Kiryn nie chciał przyjąć tej pozycji - odparował Konnal.

- Z powodu lojalności wobec swej ciotki Alhany... źle ulokowanej lojalności - Glaucous westchnął. - Próbowałem go skłonić do zmiany zdania, ale on nie chce mnie słuchać.

- Mnie również nie wysłucha, jeśli to właśnie chcesz zasugerować, przyjacielu - odrzekł Konnal. - Czy mogę zauważyć, że sam wpakowałeś nas w tę kabałę, upierając się, że rodzina Caladonów ma prawa do tronu Silvanesti. Ja również pochodzę z Rodu Królewskiego...

- Nie jesteś Caladonem, Reyl - wyszeptał Glaucous.

- Mój rodowód jest starszy od ich rodowodu! - oburzył się Konnal. - Sięga Quinari, żony Silvanosa! Mam takie same prawa do władzy jak Caladonowie. Być może nawet większe.

- Wiem o tym, przyjacielu - zapewnił cicho Glaucous, kładąc w uspokajającym geście dłoń na jego ramieniu. - Ale trudno byłoby ci przekonać o tym głowy rodów.

- Lorac Caladon doprowadził ten kraj do ruiny - ciągnął z goryczą Konnal. - A jego córka Alhana Starbreeze omal nie ściągnęła na nas jeszcze gorszej katastrofy przez swe małżeństwo z Porthiossem, który jest Qualinesti. Gdybyśmy szybko nie pozbyli się tej dwójki zmij, Silvanesti skończyłoby pod butem tego przygłupiego mieszańca, Mówcy Słońca Gilthasa, syna Tanisa. A mimo to elfowie nadal twierdzą, że na tronie powinien zasiadać Caladon! Nie rozumiem tego!

- Przyjacielu - rzekł łagodnym tonem Glaucous - Caladonowie władali Silvanesti od stuleci. Elfowie z radością zaakceptują następnego władcę z tej rodziny i nikt nie zaprotestuje ani słowem. Gdybyś jednak ty zapragnął zasiąść na tronie, byłoby mnóstwo sporów i zazdrości, które ciągnęłyby się miesiącami, a może nawet latami. Bez końca roztrząsano by rodzinne historie, a niewykluczone też, że znaleźliby się inni pretendenci do tronu. Kto wie, czy nie pojawiłaby się jakaś potężna postać, która mogłaby cię obalić i zagarnąć władzę? Nie, nie. To jest najlepsze możliwe rozwiązanie. Raz jeszcze ci przypominam, że twój siostrzeniec jest Caladonem i byłby idealnym kandydatem. Elfowie zaakceptowałiby go bez oporu. Jego matka, a twoja siostra, wzięła się w rodzinę Caladonów. Głowy rodów mogłyby zaakceptować taki kompromis. Ale co się stało, to się nie odstanie. Za dwa dni Silvanoshei Caladon przybędzie do Silvanostu. W swoim czasie publicznie oznajmiłeś, że zgodzisz się, aby członek rodziny Caladonów został Mówcą Gwiazd.

- Dlatego, że ty mi tak poradziłeś! - warknął Konnal.

- Miałem swoje powody - oznajmił Glaucous. Zerknął na gości, którzy ponownie pograżyli się w rozmowie. Podekscytowani elfowie mówili coraz głośniej. Słysząc było imię „Silvanoshei”, które rozbrzmiewało w rozświetlonej gwiazdami ciemności. - Pewnego dnia je zrozumiesz, przyjacielu.

Musisz mi zaufać.

- Proszę bardzo. Powiedz mi więc. co powinienem zrobić w sprawie Silvanosheia.

- Uczynisz go Mówcą Gwiazd.

- Co ty gadasz! - oburzył się Konnal. - Tego... tego syna czarnych elfów... Mówcą Gwiazd...

- Opanuj się, mój drogi przyjacielu - skarcił go uspokajającym tonem Glaucous. - Pożyczymy tylko jedną kartę z księgi Qualinesti. Silvanoshei będzie władcą jedynie z nazwy. Ty pozostaniesz generałem Dzikich Biegaczy. Zachowasz kontrolę nad armią i będziesz prawdziwym władcą Silvanesti, które jednocześnie odzyska też Mówcę Gwiazd. Elfowie będą się cieszyć. Wstąpienie Silvanosheia na tron przytłumi niepokoje, które ostatnio dawały się odczuć. Radykalne frakcje pośród naszego ludu, zwłaszcza kirathowie, przestaną wywoływać kłopoty, gdy ich cel zostanie osiągnięty.

- Nie mogę uwierzyć, że mówisz poważnie, Glaucousie - rzekł Konnal, potrząsając głową.

- Nigdy w życiu nie mówiłem poważniej, mój drogi przyjacielu. Elfowie, zamiast do ciebie, będą przychodzili ze swymi skargami i kłopotami do króla. Dzięki temu będziesz miał czas na zajmowanie się prawdziwymi zadaniami władcy Silvanesti. Rzecz jasna, trzeba będzie ogłosić kogoś regentem. Silvanoshei jest młody... stanowczo za młody na tak wielką odpowiedzialność.

- Ach! - zawołał Konnal z mądrą miną. - Zaczynam rozumieć, dokąd zmierzasz. Pewnie mógłbym...

Przerwał nagle, gdyż Glaucous potrząsnął przecząco głową.

- Nie możesz być jednocześnie regentem i generałem Dzikich Biegaczy - stwierdził.

- W takim razie kogo sugerujesz? - zapytał Konnal. Czarodziej pokłonił się z pełną wdzięku skromnością.

- Siebie. Podejmę się doradzania młodemu królowi. Mam wrażenie, że tobie moje rady nieraz się przydały.

- Ale ty nie masz kwalifikacji! - zaprotestował Konnal. - Nie pochodzisz z Rodu Królewskiego. Nie pełniłeś służby w senacie. Przedtem byłeś tylko czarodziejem służącym w Wieży Shalost - zakończył obcesowo.

- Och, ale ty mnie zarekomendujesz - stwierdził Glaucous, kładąc dłoń na jego ramieniu.

- A co właściwie miałbym powiedzieć?

- Tylko jedno. Przypomnisz im, że Drzewo Tarczy rośnie w Ogrodzie Astarin, nad którym ja sprawuję pieczę. Przypomnisz im, że to ja pomogłem je zasadzić. Przypomnisz im, że to ja jestem odpowiedzialny za podtrzymywanie tarczy.

- Groźba?

Konnal łypnął na niego spode łba. Glaucous obrzucił generała przeciągłym spojrzeniem, pod wpływem którego ten poczuł się nieswojo.

- Taki już mój los, że nikt mi nie ufa - poskarżył się po chwili czarodziej. - I że kwestionuje się moje motywacje. Przyjmuję to jako ofiarę, którą składam dla dobra mego ludu.

- Przepraszam - burknął Konnal. - Rzecz w tym, że...

- Przyjmuję twe przeprosiny. A teraz - ciągnął Glaucous - powinniśmy się przygotować do powitania młodego króla w Silvanoście. Ogłosisz święto państwowe. Nie będziemy szczerzyć wydatków. Obywatelom przyda się jakiś powód do radości. Niech ta minstrelka zaśpiewa coś na cześć nowego Mówcy. Ma wyjątkowo piękny głos.

- Tak - zgodził się z roztargnieniem w głosie Konnal. Zaczynał dochodzić do wniosku, że plan czarodzieja wcale nie jest taki zły.

- Ach, jakież to smutne, przyjacielu - odezwał się Glaucous, wskazując na staw. - Jeden z twoich, łabędzi właśnie zdycha.

Rozkaz wymarszu

Pierwszego dnia po bitwie pod murami Sanction Mina próbowała opuścić namiot i tak jak wszyscy stanąć w kolejce po prowiant. Natychmiast otoczył ją tłum żołnierzy i markietanek, którzy chcieli jej dotknąć na szczęście albo domagali się, aby to ona ich dotknęła. Żołnierze byli w jej obecności pełni szacunku i bojaźni. Mina rozmawiała z każdym, zawsze w imieniu Jedynego Prawdziwego Boga. Tłum mężczyzn, kobiet i dzieci przytłaczał ją jednak. Widząc, że Mina zaraz padnie z wycieńczenia, jej rycerze, dowodzeni przez Galdara, przegnali tłum. Dziewczyna wróciła do namiotu, a rycerze strzegli jej spokoju. Po posiłek dla niej poszedł minotaur.

Następnego dnia Mina urządziła oficjalną inspekcję. Galdar rozkazał żołnierzom ustawić się w szeregi. Dziewczyna przeszła między nimi, zwracając się do wielu ludzi po imieniu i wspominając ich odwagę podczas bitwy. Odchodzili oszołomieni, z jej imieniem na wargach.

Po przeglądzie odwiedziła namioty czarnych mistyków. Jej rycerze zdążyli już rozpowiedzieć o tym, że Mina przywróciła rękę Galdarowi. Podobne cuda uzdrawiania w Czwartym Wieku były czymś pospolitym, teraz jednak już się nie zdarzały.

Mistyczni uzdrowiciele Rycerzy Neraki, którzy ukradli metody uzdrawiania z Cytadeli Światła, w minionych latach potrafili dokonywać cudów nie ustępujących tym, które zsyłali w Czwartym Wieku sami bogowie, ostatnio jednak zauważyli, że ich mistyczne moce słabną. Nadal mogli uzdrawiać, lecz nawet proste zaklęcia pozbawiały ich energii, doprowadzając niemal do omdlenia.

Nikt nie potrafił wyjaśnić przyczyn tego niezwykłego, groźnego zjawiska. Początkowo uzdrowiciele winili mistyków z Cytadeli Światła, utrzymując, że znaleźli oni jakiś sposób, aby umożliwić Rycerzom Neraki uzdrawianie swych żołnierzy. Wkrótce jednak dotarły do nich raporty od umieszczonych w Cytadeli szpiegów, mówiące, że mistycy w SchaIlsea i w całym Ansalonie doświadczają tego samego efektu. Oni również szukali jego przyczyn, lecz jak dotąd na próżno.

Zalani tłumem rannych, zmuszeni do oszczędzania energii, uzdrowiciele w pierwszej kolejności pomogli lordowi Millesowi i członkom jego sztabu. Armia potrzebowała dowódców. Ale nawet w takim przypadku nie mogli nic poradzić na naprawdę poważne obrażenia. Nie potrafili przywrócić odciętych kończyn, powstrzymać wewnętrznych krwotoków, zespolić pęknięte czaszki.

Gdy tylko Mina weszła do namiotu uzdrowicieli, padły na nią spojrzenia wszystkich rannych.

Nawet ci, którzy stracili wzrok, skierowali na nią przesłonięte zakrwawionymi bandażami oczy, tak jak więdnąca w cieniu roślina zwraca się ku słońcu.

Uzdrowiciele kontynuowali pracę, udając, że nie zauważają Miny. Jeden z nich zatrzymał się jednak na chwilę i podniósł wzrok. Wydawało się, że chce nakazać dziewczynie opuszczenie namiotu, dostrzegł jednak Galdara, który stał za nią z dłonią na rękojeści miecza.

- Jesteśmy zajęci. Czego tu chcesz? - zapytał grubiańskim tonem.

- Chcę wam pomóc - odparła Mina. Omiotła wnętrze namiotu pośpiesznym spojrzeniem bursztynowych oczu. - Co jest za tą zasłoną?

Uzdrowiciel zerknął we wskazanym kierunku. Zza koca, który pośpiesznie rozwieszono na końcu szpitalnego namiotu, dobiegały głośne jęki.

- Konający - wyjaśnił zimnym, obojętnym tonem. Nie możemy już im pomóc.

- Nie dajecie im nic na ból? - zdziwiła się Mina. Uzdrowiciel wzruszył ramionami.

- Na nic już się nam nie przydadzą. Dysponujemy ograniczonymi środkami i musimy pomagać tym, którzy mają szansę wrócić do walki.

- To znaczy, że nie będziecie mieli nic przeciwko temu, jeśli się nad nimi pomodłę?

Mężczyzna pociągnął nosem.

- Proszę bardzo, „módl się”, ile chcesz. Jestem pewien, że się z tego ucieszą.

- Ja również jestem tego pewna - odparła z powagą Mina. Przeszła na tył namiotu, mijając szeregi prycz, na których leżeli ranni. Wielu z nich wyciągało do niej ręce bądź też wołało ją po imieniu, błagając ją o chwilę uwagi. Uśmiechała się i obiecywała, że do nich wróci. Rozchyliła koce, za którymi leżeli konający i zniknęła za nimi.

Galdar stanął przed zasłoną i odwrócił się, trzymając dłoń na rękojeści miecza i wciąż mając uzdrowicieli na oku - ci zaś udawali, że nic nie zauważyli, lecz co chwila popatrywali z ukosa na koce, a potem na siebie nawzajem.

Minotaur nasłuchiwał tego, co działo się za jego plecami. Czuł wśród śmierci. Zerknąwszy ukradkiem za zasłonę, dostrzegł tam siedmiu mężczyzn i dwie kobiety. Niektórzy leżeli na pryczach, lecz innych pozostawiono na prostych noszach, na których przyniesiono ich z pola bitwy. Pośpieszne spojrzenie nie pozwoliło mu zauważyć zbyt wiele, wydawało się jednak, że wszyscy odnieśli straszliwe rany. Widać było odsłonięte kości oraz narządy wewnętrzne. Krew skapywała na ziemię, tworząc makabryczne kałuże. Jelita jednego z mężczyzn wypłynęły na zewnątrz niczym groteskowe kielbasy. Jedna kobieta-rycerz straciła połowę twarzy, a spod nasiąkniętego krwią bandaża wysuwała się dyndająca ohydnie gałka oczna.

Mina podeszła do pierwszej z konających kobiet, tej, która straciła twarz. Ranna oddychała z

wysiłkiem, a zdrowe oko miała zamknięte. Wydawało się, że wyruszyła już w długą podróż. Dziewczyna położyła dłoń na straszliwej ranie.

- Widziałam, jak walczyłeś w bitwie, Duryo - rzekła cicho. - Byłaś odważna, nie cofnęłaś się nawet wtedy, gdy wszyscy wokół ciebie wpadli w panikę i uciekli. Nie możesz jeszcze rozpocząć podróży, Duryo. Jedyne Bóg cię potrzebuje.

Kobieta zaczęła oddychać swobodniej. Powoli zwróciła zmasakrowaną twarz w stronę Miny, który pochyliła się, aby ją pocałować.

Galdar usłyszał za plecami szepty i odwrócił się pośpiesznie. W namiocie zapadła cisza. Wszyscy słyszeli słowa Miny. Uzdrowiciele nie udawali już, że pracują. Wszyscy patrzyli i czekali.

Minotaur poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia. Odwrócił się, sądząc, że to Mina. Okazało się jednak, że to Durya, która przed chwilą leżała umierająca. Twarz miała pokrytą krwią i na zawsze miała ją zdobić szpetna blizna, ale jej ciało się zrosło, a oko wróciło na miejsce. Postąpiła kilka kroków, uśmiechnęła się i zaczerpnęła z drżeniem tchu.

- Mina przywróciła mi życie - oznajmiła kobieta głosem przepojonym zdumieniem i bojaźnią. - Przywróciła mi je po to, abym jej służyła. Tak też się stanie. Jestem jej sługą aż po kres mych dni.

Durya opuściła namiot. Ogarnęło ją uniesienie, a jej twarz promieniała. Ranni zakrzyknęli radośnie.

- Mina! Mina! - skandowali.

Uzdrowiciele śledzili Duryę wzrokiem pełnym szoku i niedowierzania.

- Co ona tam robi? - zapytał jeden z nich, próbując wejść za zasłonę.

- Modli się - burknął Galdar, zastępując mu drogę. Pozwoliliście jej na to, pamiętasz?

Uzdrowiciel łypnął nań spode łba i oddalił się pośpiesznie. Minotaur zauważył, że mężczyzna skierował się wprost do namiotu lorda Millesa.

Tak, powiedz lordowi Millesowi, co widziałeś, pomyślał z satysfakcją Galdar. To będzie jeszcze jedno szarpnięcie nożem, który tkwi w jego piersi.

Mina uzdrowiła kolejno wszystkich konających. Dowódcę szponu, który oberwał w brzuch solamijską włócznią. Piechociarza stratowanego przez bojowego rumaka. Śmiertelnie ranni wstawali jeden po drugim i opuszczali namiot przy akompaniamencie radosnych krzyków towarzyszy. Dziękowali Minie i wychwalali ją, ona jednak nie chciała przyjąć ich wdzięczności.

- Ofiarujcie swe podziękowania i swą wierność Jedyneemu Bogu - mówiła. - To dzięki jego mocy wróciliście do zdrowia.

Wyglądało na to, że rzeczywiście wspiera ją boska moc, gdyż dziewczyna nie męczyła się ani

nie słabła, bez względu na to, ilu rannym pomogła. A było ich naprawdę wielu. Kiedy już uporowała się z konającymi, przeszła do pozostałych. Kładła na nich ręce, całowała ich i wychwalała męstwo, którym wykazali się w bitwie.

- Moc uzdrawiania nie pochodzi ode mnie, lecz od Boga, który wrócił, aby się wami zaopiekować - powtarzała.

O północy namiot uzdrowicieli był już pusty.

Na rozkaz lorda Millesa czarni mistycy obserwowali bacznie Minę, starając się przeniknąć jej sekret, aby móc ją zdyskredytować jako szarlatanę. Mówili, że to z pewnością zwykłe sztuczki. Kłuli szpilkami odtworzone przez nią kończyny, chcąc udowodnić, że są jedynie iluzją, ale za każdym razem płynęła z nich prawdziwa krew. Wysyłali do niej pacjentów cierpiących na straszliwe choroby zakaźne, chorych, do których sami bali się zbliżyć. Mina siadała obok nich, kładła dłonie na ich otwartych wrzodach oraz ropiejących ranach i w imię Jedyne Boga nakazywała im wyzdrowieć.

Posiwiali weterani szeptali, że dziewczyna przypomina dawnych kleryków, którzy zawdzięczali moc czynienia cudów swym bogom. Tacy klerycy byli ponoć w stanie wskrzeszać zmarłych, lecz tego cudu Mina nie chciała bądź nie potrafiła dokonać. Odmawiała nad zmarłymi specjalną modlitwę, ale nie przywracała ich do życia, choć nieraz ją o to błagano.

- Przybywamy na ten świat po to, aby służyć Jedyneemu Prawdziwemu Bogu - mówiła. - Tak jak my służyliśmy mu na tym świecie, zmarli mają do wykonania ważne zadanie na następnym. Przywracanie ich do życia byłoby złym uczynkiem.

Na jej rozkaz żołnierze znosili wszystkie ciała z pola bitwy - zarówno przyjaciół, jak i wrogów - i układali je w równych szeregach na okrwawionej trawie. Mina klękała kolejno przy każdym trupie i modliła się nad nim bez względu na to, po czyjej stronie walczył za życia, polecając jego ducha bezimiennemu bogu. Potem rozkazała pochować ich w masowym grobie.

Na naleganie Galdara trzeciego dnia po bitwie Mina odbyła naradę z dowódcami Rycerzy Neraki. W skład tej grupy wchodził obecnie niemal wszyscy oficerowie, którzy uprzednio podlegali lordowi Millesowi. Wszyscy jak jeden mąż nakłaniali Minę, aby wznowiła oblężenie Sanction i poprowadziła ich do wielkiego zwycięstwa nad Solamnińczykami.

Mina odrzuciła ich błagania.

- Dlaczego? - zapytał ją Galdar rankiem piątego dnia, gdy został z Miną sam na sam. Sfrustrowała go jej odmowa. - Dlaczego nie chcesz ruszyć do szturmu? Jeśli zdobędziesz Sanction, lord Targonne nie będzie mógł cię tknąć! Będzie zmuszony uznać cię za jednego ze swych najwartościowszych rycerzy!

Mina siedziała za wielkim stołem, który kazała przynieść do swego namiotu. Rozłożono na nim mapy Ansalonu. Studiowała je codziennie, poruszając bezgłośnie ustami, gdy powtarzała w myśli nazwy miast, miasteczek i wiosek, aby zapamiętać ich lokalizację. Przerwała pracę i spojrzała na minotaura.

- Czego się obawiasz, Galdarze? - zapytała spokojnie. Minotaur skrzywił się. Skóra między jego oczyma, powyżej krowiego pyska, zmarszczyła się jak u zafrasowanego człowieka.

- To o ciebie się boję, Mino. Zdarza się, że ci, których Targonne uzna za groźbę dla siebie, znikają bez śladu. Nikt nie jest przed nim bezpieczny. Dotyczyło to nawet Mirielle Abreny, która przed nim kierowała rycerstwem. Ogłoszono, że zmarła wskutek spożycia zepsutego mięsa, ale wszyscy znają prawdę.

- A jak brzmi ta prawda? - zapytała Mina obojętnym tonem, ponownie spoglądając na mapę.

- Otruł ją, oczywiście - wyjaśnił Galdar. - Możesz go o to zapytać, jeśli go kiedyś spotkasz. Na pewno nie zaprzeczy.

Dziewczyna westchnęła.

- Mirielle miała szczęście. Jest teraz ze swym Bogiem. Choć głoszona przez nią wizja była fałszywa, obecnie poznała prawdę. Ukarano ją za tę arogancję, a teraz dokonuje wielkich czynów w imię Jedynego, który pozostanie bezimienny. Jeśli zaś chodzi o Targonne'a... - dziewczyna znowu podniosła wzrok - ...służy on Jedynemu Bogu na tym świecie i dlatego na pewien czas będzie mu pozwolone na nim pozostać.

- Targonne? - Galdar prychnął donośnie, nie kryjąc ostentacyjnej pogardy. - On faktycznie służy bogu. Bogu gotówki.

Mina uśmiechnęła się tajemniczo.

- Nie powiedziałam, że Targonne wie, iż służy Jedynemu Bogu, Galdarze. Niemniej jednak służy mu. Dlatego właśnie nie zaatakuję Sanction. Tę walkę stoczą inni. Nas Sanction nie interesuje. Czeka nas większa chwała.

- Większa chwała? - zapytał zdumiony minotaur. Chyba nie wiesz, co mówisz, Mino! Cóż mogłoby być bardziej chwalebne od zdobycia Sanction? Gdybyśmy tego dokonali, wszyscy by zrozumieli, że Rycerze Neraki znowu stali się światową potęgą!

Mina nakreśliła palcem na mapie linie, która kończyła się gdzieś na południu.

- A gdybyśmy tak podbili wielkie elfie królestwo Silyanesti?

- Cha, cha, cha! - ryknął śmiechem Galdar. - Tu mnie masz, Mino. Poddaję się. To rzeczywiście byłoby wspaniałe zwycięstwo. Ale równie wspaniałe byłoby ujrzeć, jak księżyc spada z nieba i ląduje na moim talerzu. To mniej więcej tak samo prawdopodobne.

- Przekonasz się, Galdarze - zapowiedziała cicho Mina. - Zawiadam mnie, gdy tylko przybędzie posłaniec. Aha, jeszcze jedno, Galdarze...

- Słucham, Mino?

Minotaur odwrócił się, żeby odejść.

- Lepiej uważaj - rzekła, przeszywając go spojrzeniem bursztynowych oczu, które nagle stało się ostre niczym grot strzały. - Twoje drwiny obrażają Boga. Nie popełniaj już więcej tego błędu.

Minotaur poczuł w prawej ręce pulsujący ból. Jej palce zdrętwiały.

- Tak, Mino - wymamrotał. Pomasował sobie kończynę i wyszedł z namiotu, zostawiając dziewczynę sam na sam z mapą.

Galdar obliczył, że będzie trzeba dwóch dni, żeby któryś ze sługusów lorda Millesa dotarł do kwatery głównej w Jeleku, potem jeden dzień na złożenie meldunku Panu Nocy Targonnie'owi i dwa dni na powrót. Dziś powinni otrzymać odpowiedź. Po wyjściu z namiotu Miny minotaur zaczął krążyć po skraju obozu, wypatrując zbliżających się traktem jeźdźców.

Nie był sam. Kompania łuczników kapitana Samuvala stała z bronią u nogi, podobnie jak wielu żołnierzy z oddziału lorda Millesa. Poprzysięgli, że powstrzymają każdego, kto spróbuje odebrać im Minę.

Wszyscy wlepiali oczy w trakt. Żołnierze, którym zlecono obserwację Sanction, wciąż oglądali się za siebie, zamiast patrzeć na obleżone miasto. Lord Milles, który przez cały ten czas tylko raz wyszedł na próbę z namiotu i został zapędzony z powrotem do środka przez lawinę gwizdów, wrogich okrzyków oraz końskiego łajna, rozchylił poły i również obserwował niecierpliwie drogę. Ani przez chwilę nie wątpił, że Targonnie opowie się po jego stronie i przyśle mu oddziały, które pomogą stłumić bunt.

Jedyną w całym obozie osobą, która nie patrzyła na trakt, była Mina. Siedziała w namiocie, ślęcząc nad mapami.

- Tak ci powiedziała? Nie szturmujemy Sanction dlatego, że mamy zaatakować Silvanesti? - zapytał minotaura kapitan Samuval, gdy obaj stali na trakcie, czekając na posłańca. Człowiek zmarszczył brwi. - Cóż to za nonsens? Chyba nie sądzisz, że ona się boi, co?

Galdar łypnął nań wilkiem. Chwycił w dłoń rękojeść miecza i wyciągnął go do połowy z pochwy.

- Powinienem ci urznąć język! Jak możesz mówić coś takiego? Widziałeś, jak pomknęła sama prosto na szeregi nieprzyjaciela! Gdzie był wtedy jej strach?

- Spokojnie, minotaurze - rzekł Samuval. - Schowaj ten miecz. Nie chciałem jej obrazić. Wiesz równie dobrze jak ja, że gdy bitwa rozgrzeje krew, żołnierze uważają się za niezwycięzonych i dokonują czynów, o których na zimno nawet by nie śnili. To naturalne, że trochę się przestraszyła, gdy przeanalizowała sytuację i zdała sobie sprawę, jak niewiarygodnie trudne stoi przed nią zadanie.

- W niej nie ma strachu - warknął Galdar, chowając oręż. - Jak może znać strach ktoś, kto mówi o śmierci z rzewnym, niecierpliwym wyrazem oczu, jakby pragnął jej objąć i był zmuszony żyć wbrew własnej woli?

- Można się bać wielu rzeczy prócz śmierci - nie ustępował Samuval. - Na przykład porażki. Być może obawia się, że jeśli poprowadzi swych czcicieli do bitwy i przegra, zwrócą się przeciw niej, tak jak zwrócili się przeciw lordowi Millesowi.

Galdar odwrócił rogatą głowę i spojrzął na rozbity na małym wzniesieniu namiot Miny, przed którym powiewał krwawy sztandar. Namiot otaczali pełniący milczącą straż ludzie, pełni nadziei, że uda im się choć przez chwilę ją zobaczyć albo usłyszeć jej głos.

- A czy ty byś ją teraz opuścił, kapitanie?

Samuval spojrzął w tę samą stronę, w którą patrzył minotaur.

- Nie - odpowiedział po chwili. - Nie wiem, dlaczego. Być może mnie zaczarowała.

- Powiem ci, dlaczego - rzekł Galdar. - Dlatego, że ona daje nam coś, w co możemy wierzyć. Coś poza nami samymi. Przed chwilą z tego czegoś zadrwiłem - dodał z pokorą, pocierając ramię, w którym nadal czuł nieprzyjemne mrowienie - i teraz tego żałuję.

Zabrzmiała trąba. Wartownicy rozmieszczeni u wylotu doliny zawiadamiali przebywających w jej głębi towarzyszy, że nadjeżdża oczekiwany posłaniec. Wszyscy w obozie natychmiast przerwali wszelkie czynności i podnieśli wzrok, ustawili uszu, wyciągnęli szyje. Drogę zablokował gęsty tłum, który rozstał się, aby przepuścić posłańca dosiadającego cwałującego, buchającego parą konia. Galdar pośpieszył do Miny, by zanieść jej wiadomość.

Lord Milles opuścił namiot dowodzenia dokładnie w tym samym momencie, w którym Mina wyszła ze swojego. Pewien, że posłaniec przynosi wieści o gniewie Targonne'a i obietnicę przysłania zbrojnego oddziału rycerzy, którzy aresztują i tracą oszustkę, lord Milles obrzucił Minę triumfalnym spojrzeniem. Nie wątpił, że jej upadek jest bliski.

Dziewczyna w ogóle na niego nie patrzyła. Stała przed namiotem, ze spokojem oczekując na nadchodzące wydarzenia, jakby już wiedziała, co się stanie.

Wysłannik zsunął się z siodła, popatrzył z lekkim zdumieniem na tłum zebrany wokół namiotu Miny i z zaniepokojeniem zauważył, że wszyscy wpatrują się w niego z wyrazem groźby. Ruszył w stronę lorda Millesa, by oddać mu tubę ze zwojami, lecz co chwila zerkał za siebie. Zwolennicy Miny nie odrywali od niego spojrzenia i nie zdejmowali dłoni z rękojeści mieczy.

Lord Milles wyrwał tubę z rąk posłańca. Tak był pewien, co zawiera, że nawet nie schował się w namiocie, aby przeczytać list. Wyjął go z pozbawionego ozdób, obitego skórą pojem - nika, złamał pieczęć i rozwinął zwój gwałtownym ruchem. Nabrał nawet powietrza w płuca, chcąc nakazać aresztowanie bezczelnej oszustki.

Powietrze uszło zeń z głośnym świstem, jak z przebitego świńskiego pęcherza. Jego twarz pożółkła, a potem zsiniała. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu, przesunął kilka razy językiem po wargach. Zmiał pismo w dłoni i zawrócił do namiotu, potykając się jak ślepiec. Grzebał rękami przy

połach, na próżno próbując je rozchylić. Adiutant pośpieszył mu z pomocą, lecz lord Milles odepchnął go na bok z wściekłym warknięciem. Skrył się w namiocie, zaciągnął za sobą poły i zawiązał je.

Posłaniec zwrócił się w stronę tłumu.

- Szukam dowódcy szponu imieniem Mina - zawołał donośnym głosem.

- A jaki masz do niej interes? - ryknął ogromny minotaur, który wyłonił się z tłumu i spojrzał na posłańca.

- Mam dla niej rozkazy od Pana Nocy Targonne'a padła odpowiedź.

- Pozwólcie mu podejść - zawołała Mina. Minotaur podjął się roli jego eskorty. Tłum, który przedtem zastępował posłańcowi drogę, rozstał się, tworząc przejście prowadzące od namiotu lorda Millesa do namiotu Miny.

Posłaniec ruszył poprzez ciżbę żołnierzy, którzy trzymali broń w pogotowiu i spoglądali na niego niezbyt przyjaźnie. Wpatrywał się przed siebie, co nie było zbyt przyjemne, gdyż widział tylko plecy, barki i byczy kark gigantycznego minotaura. Nie zatrzymywał się jednak, pamiętając o swych obowiązkach.

- Kazano mi odnaleźć oficera rycerzy imieniem Mina - oznajmił z emfazą, zakłopotany wpatrując się w spoglądającą na niego dziewczynę. - Ty jesteś tylko dzieckiem!

- Dzieckiem bitwy. Dzieckiem wojny. Dzieckiem śmierci. Ja jestem Mina - oznajmiła dziewczyna. Nie sposób było wątpić w promieniujący od niej autorytet, w jej spokojną świadomość władzy.

Posłaniec pokłonił się i wręczył jej drugą tubę ze zwojem. Ta była oprawna w elegancką czarną skórę i ozdobiona srebrną pieczęcią z czaszką i lilią. Mina otworzyła pojemnik i wydobyła z niego zwój. Tłum ucichł, wydawało się, że przestał oddychać. Posłaniec rozejrzał się wokół z coraz większym zdumieniem. Potem zamelduje Targonne'owi, że czuł się jak w świątyni, nie jak w wojskowym obozie.

Mina przeczytała pismo z twarzą bez wyrazu. Kiedy skończyła, wręczyła je Galdarowi, który również je przeczytał. Szczeka opadła mu tak, że jego ostre zęby zaśniły w blasku słońca, a język wysunął się na zewnątrz. Czytał list raz za razem, spoglądając ze zdumieniem na dziewczynę.

- Wybacz mi, Mino - powiedział cicho, oddając jej papier.

- Nie mnie proś o wybaczenie, Galdarze - odparła - bo nie we mnie zwątpiłeś.

- Co mówi list, Galdarze? - zapytał niecierpliwie kapitan Samuwał. Tłum powtórzył echem jego pytanie.

Mina uniosła dłoń i żołnierze natychmiast wykonali jej niewypowiedziany rozkaz. Znowu

zrobiło się cicho jak w świątyni.

- Rozkazano mi pomaszerować na południe, najechać na elfie królestwo Silvanesti, zdobyć je i utrzymać.

Z gardeł żołnierzy wydobył się cichy, gniewny pomruk, przypominający zapowiedź nadchodzącej burzy.

- Nie! - zakrzyknęło kilku z nich z oburzeniem w głosie. - Nie mogą nam tego zrobić! Chodź ze nami, Mino! Do Otchłani z Targonem! Pomaszerujemy na Jelek! Tak jest! Na Jelek!

- Wysłuchajcie mnie! - zawołała Mina, przekrzykując rwetes. - Te rozkazy nie pochodzą od generała Targonne'a! On jest jedynie ręką, która je pisze. Pochodzą od Jedynego Boga. To jego wola jest, byśmy zaatakowali Silvanesti i w ten sposób udowodnili całemu światu, że Bóg wrócił. Pomaszerujemy na Silvanesti! - Głos Mino przeszedł w porywający krzyk. - I zwyciężymy!

- Hurra! - zakrzyknęli żołnierze. - Mina! Mina! Mina! - zaczęli skandować.

Posłaniec rozglądał się wokół z oszołomieniem i zdumieniem. Cały obóz, tysiąc głosów, powtarzał imię dziewczyny. Śpiew odbijał się echem od górskich szczytów, wzbijał ku niebiosom. Usłyszano go też w Sanction. Mieszkańcy zadrżeli, a rycerze chwycili za broń, sądząc, iż to zapowiedź jakiegoś strasznego losu dla obleżonego miasta.

Przez to skandowanie przebił się przerażający wrzask bólu. Niektórzy ucichli, choć ci, którzy stali na skraju tłumu, nic nie usłyszeli i śpiewali dalej. Krzyk dobiegał z namiotu lorda Millesa. Był tak przerażający, że stojący najbliżej ludzie odsunęli się ze strachem.

- Sprawdź, co się tam stało - rozkazała Mina. Galdar wykonał polecenie. Posłaniec poszedł z nim, mając świadomość, że Targonne zechce o wszystkim wiedzieć. Minotaur wyciągnął miecz i przeciął rzemienie, którymi związano poły. Wszedł do środka i po chwili wyszedł na zewnątrz.

- Jego lordowska mość nie żyje - zameldował. - Zginął z własnej ręki.

Żołnierze znowu zaczęli śpiewać. Wielu śmiało się i krzychało radośnie.

Mina naskoczyła na tych, którzy stali najbliżej, z gniewem, od którego w jej bursztynowych oczach zapłonął jasny ogień. Żołnierze umilkli i skulili się trwożnie. Dziewczyna nie odezwała się ani słowem. Przeszła obok nich z wyprostowanymi plecami oraz uniesioną brodą i ruszyła w stronę namiotu.

- Mino - odezwał się Galdar, unosząc dłoń, w której ścisnął splamiony krwią list. - Ten nędznik chciał cię powiesić. Dowód jest tu, w odpowiedzi Targonne'a.

- Lord Milles stoi teraz przed Jedyndym Bogiem, Galdarze - rzekła Mina - tak jak wszyscy kiedyś przed nim staniemy. Nie mamy prawa go sądzić.

Wzięła w rękę okrwawioną kartę, wsunęła ją sobie za pas i weszła do namiotu. Minotaur

chciał pójść za nią, ale odesłała go zdecydowanym gestem i zasunęła za sobą poły.

Galdar przysunął oko do szpary między płachtami. Potrząsnął głową, odwrócił się i stanął na straży przed wejściem.

- Zajmijcie się swoimi sprawami - rozkazał żołnierzom, którzy kręcili się pod namiotem. - Jeśli mamy pomaszerować na Silvanesti, czeka nas mnóstwo roboty.

- Co ona tam robi? - zapytał posłaniec.

- Modli się - odparł krótko minotaur.

- Modli się! - powtórzył pod nosem zdumiony mężczyzna. Dosiadł konia i odjechał, chcąc jak najszybciej zameldować Panu Nocy o zdumiewających wydarzeniach, do których dziś doszło.

- Co się stało? - zapytał kapitan Samuval, zatrzymując się obok Galdara.

- Z Millesem? - mruknął minotaur. - Rzucił się na miecz. - Wręczył kapitanowi list. - Znalazłem to w jego dłoni. Tak jak się domyślaliśmy, napisał Targonnie'owi kupę kłamstw o tym, jak to Mina omal nie przegrała bitwy i tylko on zapobiegł nieszczęściu. Targonnie może być krwiożerczym, podstępny sukinsynem, ale nie jest głupi - przyznał Galdar z niechętnym podziwem. - Przejrzał łągarstwa Millesa i rozkazał mu osobiście zameldować o swym „zwycięstwie” wielkiej smoczycy Malystrixx.

- Nic dziwnego, że wybrał takie wyjście - zauważył Samuval. - Ale po co wysłała Minę do Silvanesti? Co się stanie z Sanction?

- Targonnie rozkazał generałowi Dogahowi opuścić Khur i przejąć dowodzenie nad oblężeniem Sanction. Jak już mówiłem, Targonnie nie jest głupi. Wie, że Mina z jej słowami o Jedynym Prawdziwym Bogu jest zagrożeniem dla niego i jego fałszywej „wizji”. Zdaje też sobie sprawę, że gdyby rozkazał ją aresztować, wśród żołnierzy wybuchłby bunt. Wielka smoczycza Malystrixx od dawna czuła się poirytowana faktem, że elfowie z Silvanesti ukrywają się przed nią za magiczną tarczą. Targonnie może ją teraz zadowolić, informując, że wysłał oddział, który ma zaatakować elfów, i przy tym za jednym zamachem uwolnić się od zagrożenia dla swej władzy.

- Czy Mina zdaje sobie sprawę, że po drodze do Silvanesti musimy przejść przez Blóde? - zapytał kapitan Samuval.

- Królestwo, nad którym panują ogrowie, już i tak na nas wściekli po tym, jak zajęliśmy część ich ojczyzny? Na pewno nie będą zadowoleni, gdy znowu wtargniemy na ich terytorium. - Samuval potrząsnął głową. - To samobójstwo! Nawet nie zobaczymy Silvanesti. Musimy jej wyperswadować to szaleństwo, Galdarze.

- Nie mam prawa kwestionować jej planów - stwierdził minotaur. - Wiedziała, że ruszymy do Silvanostu, nim jeszcze przybył posłaniec. Pamiętasz, kapitanie? Sam ci o tym mówiłem dziś rano.

- Naprawdę? - zastanowił się kapitan Samuval. - Zapomniałem o tym w całym zamieszaniu...

Ciekawe, skąd się o tym dowiedziała.

Mina wyszła z namiotu Millesa. Była bardzo blada.

- Wybaczone mu jego zbrodnie. Jego dusza została przyjęta. - Rozejrzała się wokół z westchnieniem. Wydawało się, iż jest rozczarowana swym dalszym pobytym wśród śmiertelników. - Jakże mu zazdroszczę!

- Co nam rozkażesz, Mino? - zapytał cicho Galdar. Dziewczyna popatrzyła na niego nieprzytomnie, jakby go wcale nie poznawała. Jej bursztynowe oczy nadal oglądały widoki niedostępne dla innych śmiertelników. Potem uśmiechnęła się blado, westchnęła po raz drugi i wróciła do rzeczywistości.

- Zwołaj żołnierzy, kapitanie Samuval. Przemówisz do nich. Powiesz im prawdę. Nie będziesz przed nimi ukrywał, że to niebezpieczne zadanie. Niektórzy mogliby je nazwać „samobójczym”. - Uśmiechnęła się do oficera. - Nikomu nie rozkażę wyruszyć na tę wyprawę. Będą mi towarzyszyli wyłącznie ochotnicy.

- Wszyscy z tobą pójdą, Mino - rzekł cicho Galdar. Obrzuciła go promiennym spojrzeniem.

- W takim przypadku nasze siły będą zbyt liczne, za mało zwrotne. Będziemy musieli maszerować szybko i zachować nasze ruchy w tajemnicy. Rzecz jasna, będą mi towarzyszyć moi rycerze. Wybierzesz pięciuset najlepszych piechociarzy, Galdarze. Reszta zostanie tu, z moim błogosławieństwem. Muszą kontynuować oblężenie Sanction. Galdar zamrugał powiekami.

- Nie słyszałaś, Mino? Targonne rozkazał generałowi Dogahowi przejąć oblężenie Sanction.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Generał Dogah otrzyma nowe rozkazy, nakazujące mu zawrócić na południe i pomaszerować możliwie najprędzej na Silvanesti.

- Ale... skąd się wezmą te rozkazy? - zapytał Galdar, rozdziawiając usta ze zdziwienia. - Przecież nie od Targonne'a. On kazał nam wyruszyć na Silvanesti wyłącznie po to, żeby się nas pozbyć, Mino!

- Już ci mówiłam, Galdarze, że Targonne służy Jedynemu Bogu, bez względu na to, czy o tym wie, czy nie.

Wydobyła zza pasa rozkazy, które M i Ileś otrzymał od Targonne[^], i uniosła kartę ku słońcu. Na dole widniał podpis Pana Nocy, wielki i czarny, a jego pieczęć lśniła czerwono. Mina wskazała palcem na słowa napisane na splamionym krwią Millesa papierze.

- Co tu jest napisane, Galdarze?

Zdziwiony minotaur zaczął czytać list, który zaczynał się dokładnie tak samo, jak przedtem.

Niniejszym rozkazuje się lordowi Millesowi...

I nagle na jego oczach słowa zaczęły się wić i zmieniać kształt. Galdar zamknął powieki, potarł je i ponownie otworzył oczy. Słowa nadal się wiły, a teraz zaczęły również pełzać po papierze. Czarny inkaust mieszał się z czerwoną krwią Millesa.

- Co tu jest napisane, Galdarze? - zapytała po raz drugi Mina.

Minotaur poczuł gwałtowny ucisk w gardle. Zdołał wykrztusić z siebie jedynie ochryply szept.

- Niniejszym rozkazuje się generałowi Dogahowi przenieść swe siły na południe i pomaszerować z możliwie naj - większą szybkością na Silvanesti. Podpisane w imieniu Targonne'a.

Było to pismo Pana Nocy. Bez żadnych wątpliwości. Jego podpis był na miejscu, podobnie jak pieczęć.

Mina zwinęła kartę i schowała ją z powrotem do tuby.

- Chcę, abyś osobiście dostarczył te rozkazy, Galdarze. Potem dogonisz nas po drodze na południe. Pokażę ci trasę, którą pomaszerujemy. Samuval, ty będziesz moim zastępcą, dopóki Galdar nie wróci.

- Możesz liczyć na mnie i na moich ludzi, Mino - zapewnił kapitan. - Pójdziemy za tobą choćby do Otchłani.

Mina popatrzyła na niego z namysłem.

- Nie ma już Otchłani, kapitanie. Ta, która nią władała, odeszła i nigdy już nie wróci. Umarli mają teraz własne królestwo, w którym pozwala się im nadal służyć Jedynemu Bogu.

Przeniosła wzrok w dal, popatrzyła na góry, dolinę i zajętych rozbijaniem obozu żołnierzy.

- Rankiem wymaszerujemy. Droga potrwa dwa tygodnie. Wydajcie niezbędne rozkazy. Chcę, żeby towarzyszyły nam dwa wozy z zaopatrzeniem. Zawiadomcie mnie, kiedy będziemy gotowi.

Galdar polecił swym oficerom zwołać żołnierzy. Gdy wszedł do namiotu Myny, zobaczył, że dziewczyna pochylała się nad mapą, kładąc w różnych jej punktach małe kamyki. Przyjrzał się bliżej i zauważył, że wszystkie koncentrują się w rejonie oznaczonym „Blode”.

- Spotkasz się z nami tutaj - oznajmiła, wskazując miejsce zaznaczone jednym z nich. - Według moich obliczeń będziesz potrzebował dwóch dni, żeby dotrzeć do generała Dogaha, a potem trzech, aby nas dogonić. Niech Jedyne Bóg cię prowadzi, Galdarze.

- Niech Jedyne Bóg będzie z tobą, dopóki znowu się nie spotkamy, Mino - odparł minotaur.

Zamierzał już odejść. Przed nastaniem ciemności mógłby jeszcze pokonać wiele mil. Trudno mu jednak było pożegnać się z Miną. Nie wyobrażał sobie, jak zdoła wytrzymać cały dzień bez jej

głosu, widoku jej bursztynowych oczu. Czuł się tak przybity, jakby nagle stracił całe futro i drżał z zimna, słaby jak nowo narodzone ciele.

Mina położyła swą dłoń na ramieniu, które mu oddała.

- Dokądkolwiek pójdziesz, będę z tobą, Galdarze - zapewniła.

Opadł na jedno kolano i przycisnął jej dłoń do swego czoła. Pragnąc zatrzymać w pamięci wspomnienie dotyku jej amuletu, odwrócił się i wybiegł z namiotu.

Po chwili do środka wszedł kapitan Samuval, który zameldował, że - zgodnie z jego przewidywaniami - wszyscy żołnierze w obozie zgłosili się na ochotnika. Wybrał pięciuset, których uważał za najlepszych. Cała reszta im zazdrościła.

- Obawiam się, że ci, których zostawimy, mogą zdezerterować, aby za tobą podążyć - ostrzegł kapitan Samuval.

- Przemówię do nich - uspokoiła go. - Wyjaśnię im, że muszą nadal oblegać Sanction, nie licząc na żadne wsparcie. Wyłumaczę, jak można tego dokonać. Zrozumieją, na czym polega ich obowiązek.

Nadal układała na mapie małe kamyki.

- Co to jest? - zapytał zaciekawiony Samuval.

- Rozmieszczenie sił ogrów - wyjaśniła. - Spójrz, kapitanie. Jeśli pomaszerujemy tędy, prosto na wschód od gór Khalkist, znacznie szybciej przedostaniemy się na południe przez równinę Khur. W ten sposób ominiemy największe zgrupowania ich sił, które znajdują się tu, na południowym krańcu gór, gdzie walczą z Legionem Steela i siłami elfiej wiedźmy, Alhany Starbreeze. Spróbujemy ich ubiec, posuwając się wzdłuż Thon-Thalasu. Obawiam się, że w pewnym momencie będziemy musieli stoczyć bój z ogrami, ale jeśli mój plan się powiedzie, będą to nieliczne siły. Z błogosławieństwem Boga większość z nas dotrze do celu.

A co się stanie, gdy już do niego dotrą? Jak zamierzała się przedostać przez magiczną tarczę, która dotąd opierała się wszelkim atakom? Samuval nie pytał jej o to. Nie pytał też, skąd zna rozmieszczenie oddziałów ogrów ani skąd się dowie - działa, że walczą one z Legionem Steela oraz czarnymi elfami. Rycerze Neraki wysyłali zwiadowców na tereny ogrów, lecz żaden z nich nie wrócił żywy, aby opowiedzieć, co widział. Kapitan Samuval nie zapytał również Myny, w jaki sposób zamierza utrzymać Silvanesti z tak małymi siłami, które w dodatku zostaną zdziesiątkowane, nim dotrą na miejsce. Nie zadał jej żadnego z tych pytań.

Kapitan Samuval wierzył. Niekoniecznie w Jedyne Boga, ale z całą pewnością w Minę.

Postrach Ansalonu

Dziwne wydarzenie, które przytrafiło się Tasslehoffowi Burrfootowi piątej nocy podróży do Qualinesti w charakterze więźnia sir Gerarda, najlepiej wyjaśnia fakt, że choć dni te okazały się ciepłe, słoneczne i sprzyjające podróży, nocami było pochmurno i siąpiła mżawka. Tak przynajmniej działo się do tej nocy. Dziś było ciepło, bezchmurnie i słyszało się odgłosy lasu: granie świerszczy, pohukiwanie sów i, od czasu do czasu, wycie wilka.

Daleko na północy, nieopodal Sanction, minotaur Galdar biegł traktem wiodącym ku Khur. Daleko na południu Silvanoshei zgodnie z planem przy akompaniamencie fanfar wkraczał triumfalnie do Silvanostu. Cała populacja stolicy wyszła go powitać, gapić się na niego i zachwycać się jego osobą. Silvanoshei był wstrząśnięty i zakłopotany tym, jak niewielu elfów zostało w Silvanoście. Nic jednak nikomu nie powiedział. Przywitał go z wszelkimi ceremoniami generał Konnal oraz odziany w białe szaty elfi czarodziej, którego ujmujące zachowanie natychmiast zyskało sympatię młodzieńca.

Gdy Silvanoshei zjadał elfie smakołyki ze złotych talerzy i popijał musujące wino z kryształowych kielichów, a Galdar przeżuwał suchy groch, Tas i Gerard jak zwykle spożyli nudny posiłek złożony z podpłomyków i suszonej wołowiny, popitych wyjątkowo mało interesującym napojem, jakim jest zwyczajna woda. Dotarli już do Gateway, mijając po drodze kilka austerii, których właściciele, o wynędzniałych twarzach, stali w drzwiach, spoglądając na nich z nadzieją. Przed zamknięciem traktów przez smoczyce ci oberżyci zaryglowały drzwi, za żadne skarby nie

chcąc wpuścić do środka kendera, teraz zaś wybiegali do nich, żeby zaoferować im lokum i posiłek za niesłuchanie niską cenę jednej sztuki stali.

Sir Gerard nie zwracał na nich uwagi. Przejeżdżał obok nich z całkowitą obojętnością. Tasslehoff wzdychał głęboko i spoglądał tęsknie na znikające za nimi gospody. Gdy dał do zrozumienia, że kufel chłodnego a/e i ciepły posiłek byłyby miłą odmianą, Gerard odpowiedział, że im mniej będą przyciągali uwagi, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

Zmierzali na południe nowym traktem, który biegł wzdłuż rzeki. Gerard mówił, że zbudowali go Rycerze Neraki, aby ułatwić dostarczanie zaopatrzenia do Qualinesti. Tas zastanawiał się, dlaczego Rycerze Neraki mieliby zaopatrywać w cokolwiek elfów z Qualinesti. doszedł jednak do wniosku, że to z pewnością jakiś nowy projekt króla Gilthasa.

Ostatnie cztery noce Tas i Gerard przespali pod gołym niebem, narażeni na mżawkę. Piąta noc była znacznie przyjemniejsza. Jak zwykle sen zaskoczył kendera, mm ten zdążył się przygotować. Tas obudził się w nocy, wyrwany ze snu światłem, które nagle zaświeciło mu prosto w oczy.

- Hej! Co to ma znaczyć? - zapytał głośno. Zrzucił koc, zerwał się na nogi i złapał Gerarda za ramię, potrząsając nim i okładając pięściami.

- Sir Gerardzie! Obudź się! - krzyczał. - Sir Gerardzie! Rycerz zerwał się natychmiast, ściskając w dłoni miecz.

- Co się stało? - Rozejrzał się wokół, wypatrując niebezpieczeństwa. - O co chodzi? Czy coś słyszałeś? Albo widziałeś?

- Tam!? To coś!

Złapał rycerza za koszulę i wyciągnął rękę. Sir Gerard popatrzył na kendera z wyjątkowo srogą miną.

- Czy tak sobie wyobrażasz głupi kenderski żart?

- Och, nie - zapewnił Tas. - Żart wyobrażam sobie tak. Ja mówię: „Puk, puk”, ty pytasz: „Kto tam?”, ja odpowiadam: „Minotaur”, ty mówisz: „Ehe, cała kupa minotaurów”, a ja na to: „A więc w to właśnie wdepnąłeś”. Tak sobie wyobrażam żart. Chodzi mi o to dziwne światło na niebie.

- To księżyc - wycedził rycerz przez zaciśnięte zęby.

- Nie! - zawołał zdumiony Tasslehoff. - Naprawdę? Księżyc?

Raz jeszcze przyjrzał się tajemniczemu obiektowi. Faktycznie przypominał nieco księżyc: był kulisty, znajdował się na niebie obok gwiazd i świecił. Na tym jednak podobieństwa się kończyły.

- Jeśli to jest Solinari - zapytał sceptycznie Tas, spoglądając na księżyc - to co się z nim stało? Czy zachorował?

Sir Gerard nie odpowiedział. Położył się, kładąc miecz w zasięgu ręki, złapał za róg koca i zawinął się weń dokładnie.

- Idź spać - polecił zimno - i nie budź się do rana.

- Aleja chcę się czegoś dowiedzieć o księżycu! - zaprotestował kender. Przykucnął obok rycerza, nie zniechęcony faktem, że Gerard odwrócił się do niego plecami, schował głowę pod koc i z pewnością był na niego bardzo zły za to, że został brutalnie obudzony bez żadnego powodu. Nawet jego plecy wyglądały gniewnie.

- Dlaczego Solinari wygląda tak blado i chorowicie? I gdzie się podział śliczny czerwony Lunitari? Pewnie zastanawiałbym się też, gdzie zniknął Nuitari, gdybym w ogóle potrafił zobaczyć czarny księżyc, ale ponieważ nie potrafię, to niewykluczone, że on gdzieś jest, aja go po prostu nie widzę...

Sir Gerard wysunął głowę spod koca i obrzucił kendera nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Doskonale wiesz, że Solinari nie widziano na niebie od z górą trzydziestu lat, od końca Wojny Chaosu. Lunitari również nie. Przestań opowiadać te śmieszne bzdury. Idę spać i nie życzę sobie, że mnie budzić z powodu mniej ważnego niż inwazja hobgoblinów. Czy to jasne?

- Ale księżyc! - nie ustępował Tas. - Pamiętam, że kiedy przybyłem na pierwszy pogrzeb Caramona, Solinari świe - cił tak pięknie, że nocą było jasno jak w dzień. Palin powiedział, że księżyc chce w ten sposób uczcić pamięć jego ojca i...

Gerard ponownie się odwrócił i nakrył głowę kocem.

Tas nie przestawał mówić aż do chwili, gdy usłyszał chrapanie rycerza. Szturchnął go na próbę w bark, lecz Gerard nie zareagował. Kender pomyślał, że mógłby spróbować rozchylić siłajego powieki, żeby się przekonać, czy rycerz naprawdę zasnął, czy tylko udaje. W przypadku Flinta ten sposób zawsze skutkował, choć poi rytowany krasnolud z reguły ścigał potem kendera po pokoju z pogrzebaczem w ręku.

Tas miał jednak na głowie inne rzeczy. Dlatego zostawił rycerza w spokoju i wrócił na swój koc. Położył się z rękami pod głowę i wbił wzrok w dziwny księżyc, który również patrzył na niego, nie okazując bodaj śladu rozpoznania. To nasunęło kenderowi pewną myśl. Odwrócił wzrok od księżycy i wpatrzył się w gwiazdy, wypatrując swych ulubionych konstelacji.

One również zniknęły. Gwiazdy, na które patrzył, były zimne, odległe i obce. Na całym nocnym niebie zrozumienie zdawała się okazywać jedynie samotna czerwona gwiazda, która jarzyła się jasnym blaskiem tuż obok niezwykłego księżycy. Jej blask był ciepły i niósł pocieszenie, co w pewnym stopniu złagodziło zimną pustkę wypełniającą żołądek Tasa. Kiedyś, gdy był jeszcze młodym kenderem, sądził, że to wrażenie oznacza, iż powinien coś zjeść, teraz jednak, po wielu latach przygód, rozumiał, że jego wnętrze dają mu w ten sposób do zrozumienia, iż coś jest nie w porządku. W gruncie rzeczy, tak samo czuł się w chwili, gdy stopa olbrzyma zawisła nad jego głową.

Tas nadal wpatrywał się w czerwoną gwiazdę i po chwili zimna pustka stała się nieco mniej bolesna. Gdy tylko poczuł się lepiej, zapomniał o niezwykłym księżycu, nieprzyjaznych gwiazdach oraz olbrzymie i zaczął się cieszyć nocą, znowu dopadł go sen.

Następnego dnia kender miał wielką ochotę porozmawiać o księżycu i zrealizował swój zamiar. Mówił jednak tylko ze sobą, gdyż sir Gerard nie odpowiedział na żadne z niezliczonych pytań Tasslehoffa ani nawet nie odwracał się, aby na niego spojrzeć. Jechał powoli przed siebie, ściskając w dłoniach wodze kuca.

Rycerz nie odzywał się ani słowem, był jednak czujny i cały czas wpatrywał się w horyzont. Wydawało się, że cały świat dzisiaj milczy. Nawet Tasslehoff przestał mówić po paru godzinach. Nie chodziło o to, że znudził się rozmawianiem ze sobą. To raczej odpowiadanie na własne pytania szybko stawało się nużące. Na trakcie nie spotkali nikogo. Umilkły nawet odgłosy wydawane przez żywe istoty. Nie słyszeli śpiewu ptaków. Ścieżki nie przebiegały wiewiórki. Nie widzieli jeleni, które spacerowałyby pośród cieni albo pierzchały trwożnie przed wędrowcami, błyskając białymi ogonami.

- Gdzie się podziały zwierzęta? - zapytał Gerarda Tas.

- Schowały się - wyjaśnił rycerz. Były to pierwsze słowa, które dziś wypowiedział. - Boją się.

Zewsząd otaczała ich cisza, jakby świat wstrzymał oddech, w obawie, że ktoś go usłyszy. Nawet drzewa nie szumiały. Tas miał wrażenie, że gdyby tylko mogły to zrobić, wyciągnęłyby z ziemi korzenie i uciekły.

- A czego się boją? - zainteresował się. Rozejrzał się wokół podekscytowany, w nadziei, że zobaczy nawiedzony zamek, rozsypującą się posiadłość albo przynajmniej złowrogą jaskinię.

- Wielkiej zielonej smoczycy Beryl. Jesteśmy już na Równinach Zachodnich. Przekroczyliśmy granicę jej królestwa.

- Ciągle mówisz o tej zielonej smoczycy. Nigdy o niej nie słyszałem. Znam tylko jednego zielonego smoka. Nazywa się Cyan Bloodbane. Kim jest ta Beryl? Skąd przybyła?

- A kto to może wiedzieć? - odpowiedział niecierpliwie Gerard. - Pewnie zza morza, razem z wielką czerwoną smoczycą Malystrixx i innymi przedstawicielami tego obmierzłego rodzaju.

- Ale jeśli ona nie jest stąd, to czemu jakiś bohater po prostu nie przebije jej lancą? - zapytał radośnie Tas.

Gerard zatrzymał konia. Szarpnął za wodze kuca, który włókł się za nim ze zwieszoną głową, równie znudzony jak kender. Zwierzę zatrzymało się obok karego rumaka i potrzęsnęło grzywą, wpatrując się z nadzieją w kępę trawy.

- Nie tak głośno! - skarcił go cicho rycerz. Kender nigdy jeszcze nie widział u niego tak srogiej i groźnej miny. Beryl wszędzie ma szpiegów, nawet jeśli ich nie widzimy. Nic, co dzieje się w jej królestwie, nie umyka jej uwagi. Nic nie dzieje się tu bez jej pozwolenia. Przekroczyliśmy granicę

przed godziną - dodał. - Bardzo się zdziwię, jeśli ktoś się wkrótce nie pojawi, aby się nam przyjrzeć... Aha, tam. A nie mówiłem?

Przesunął się w siodle i wbił wzrok w niebo na wschodzie. Pojawiła się tam czarna plamka, która z każdą chwilą stawała się coraz większa. Po chwili Tas widział już skrzydła, długi ogon i masywny korpus. Masywny, zielony korpus...

Tasslehoff widywał już przedtem smoki. Jeździł na nich i walczył z nimi. Nigdy jednak nie widział tak ogromnego smoka ani nie pragnął go ujrzeć. Ogon zdawał się dorównywać długością traktowi, po którym wędrowali, a sterczące z oślinionej paszczy zęby mogłyby służyć jako blanki murów potężnej fortecy. W złowrogich, czerwonych ślepiach palił się ogień gorętszy niż słońce, a ich blask zdawał się oświetlać wszystko, na co spojrzwały.

- Kenderze, jeśli zależy ci na własnym i na moim życiu, nic nie rób ani nie odzywaj się ani słowem! - ostrzegł go gwałtownym szeptem Gerard.

Smoczyca przeleciała bezpośrednio nad nimi, wykręcając głowę, aby przyjrzeć się im ze wszystkich stron. Potworny strach opadł na nich niczym jej cień, przesłaniając słońce, rozum, nadzieję i zdrowy rozsądek. Kuc dygotał i jęczał. Kary rumak rżał ze strachu, szarpał się i wierzgał. Gerard uczepił się grzbietu oszalałego zwierzęcia. Nie był w stanie go uspokoić, gdyż sam bał się panicznie. Tasslehoff spoglądał w górę, roz - dziawiając usta ze zdumienia. Ogarnęło go nadzwyczaj nieprzyjemne wrażenie. Żołądek mu się skurczył, po plecach spływał pot, kolana drżały, a dłonie miał wilgotne. Nie przypadło mu to zbyt do gustu. To dziwne uczucie było równie nieprzyjemne, jak uporczywe przeziębienie.

Beryl zatoczyła nad nimi dwa kręgi. Uznała, że jeden ze sprzymierzonych z nią rycerzy eskortujący kenderskiego więźnia nie jest niczym szczególnym, i zostawiła ich w spokoju, niespiesznie odlatując do swego legowiska. Uwagi bystrych oczu smoczycy nie umykało nic, co poruszało się po jej terenie.

Gerard zsunął się z siodła i stanął obok dygoczącego zwierzęcia, opierając głowę o jego bok. Był blady, spocony i cały się trząsał. Kilkakrotnie otworzył i zamknął usta. Już wyglądało na to, że może zwymiotować, lecz wziął się w garść i po chwili oddychał już spokojniej.

- Okryłem się wstydem - oznajmił. - Nie wiedziałem, że mogę czuć tak wielki strach.

- Ja się nie bałem - zapewnił Tas głosem, który drżał równie mocno, jak jego ciało. - Nie bałem się ani trochę.

- Bałbyś się, gdybyś miał choć szczyptę rozsądku mruknął ponuro Gerard.

- Rzecz w tym, że choć w swoim czasie widziałem parę ohydnych smoków, to żaden z nich nie był aż tak...

Tasslehoff umilkł pod naporem ostrzegawczego spojrzenia rycerza.

- Aż tak... imponujący - dokończył głośno kender, na wypadek, gdyby podsłuchiwał ich któryś ze szpiegów smoczy. - Imponujący - wyszeptał do Gerarda. - To chyba można uznać za komplement, co?

Rycerz nie odpowiedział. Uspokoiwszy siebie i swego konia, wziął w ręce wodze kuca i dosiadł karego rumaka. Nie ruszył jednak w drogę natychmiast, lecz stał przez chwilę na środku traktu, spoglądając na zachód.

- Nigdy jeszcze nie widziałem wielkiego smoka - rzekł cicho. - Nie sądziłem, że będzie aż tak źle.

Stał tak jeszcze przez kilka chwil, po czym ruszył naprzód z zaciśniętymi zębami i pobladłą twarzą. Tasslehoff podążył za nim. Nie miał wyboru, gdyż rycerz trzymał w ręku wodze kuca.

- Czy to była ta sama smoczyca, która zabiła tych wszystkich kenderów? - zapytał cichym głosem.

- Nie - odparł Gerard. - Zrobiła to czerwona smoczyca imieniem Malys. Ona jest jeszcze większa.

- Ojej - wyszeptał wstrząśnięty Tas. - Ojej. Jeszcze większy smok. Nie potrafił sobie tego wyobrazić.

Omal nie powiedział, że chciałby zobaczyć jeszcze większego smoka, lecz nagle zdał sobie sprawę, że tak naprawdę to wcale by nie chciał.

- Co się ze mną stało? - zawołał trwożnie. - Na pewno na coś zachorowałem. Nie jestem ciekawy! Nie chcę zobaczyć czerwonej smoczy, która może być większa niż Palanthis. To do mnie niepodobne.

To doprowadziło go do zdumiewającej myśli. Tak zdumiewającej, że Tas omal nie spadł z kuca.

- Może wcale nie jestem sobą!

Zastanowił się nad tym problemem. W końcu nikt poza nim nie wierzył, że on to on. Jedynym wyjątkiem był Caramon, ale on był stary i już prawie nie żył, więc niewykluczone, że się nie liczył. Laura powiedziała, że myśli, iż Tasslehoff może naprawdę być tym, za kogo się podaje, ale zapewne chciała po prostu być uprzejma, więc na nią też nie mógł liczyć. Sir Gerard oświadczył, że nie jest możliwe, żeby był Tasslehoffem, a lord Warren był tego samego zdania. Obaj byli rycerzami solamnijskimi, co znaczyło, że są mądrzy i zapewne wiedzą, co mówią.

- To by wszystko tłumaczyło - mówił do siebie Tasslehoff. Im dłużej o tym myślał, tym weselszy nastrój go ogarniał.

- Na przykład to, dlaczego nic z tego, co mnie spotkało, kiedy po raz pierwszy przybyłem na pogrzeb Caramona, nie powtórzyło się teraz. Dlatego, że to wszystko spotkało kogoś innego. Ale w

takim razie - ciągnął zdezorientowany - kim jestem, skoro nie jestem sobą?

Rozważał tę możliwość przez dobre pół mili.

- Jedno jest pewne - orzekł w końcu. - Nie mogę dalej używać nazwiska Tasslehoff Burrfoot. Gdybym spotkał prawdziwego Tasslehoffa, z pewnością byłby bardzo poirytowany, gdybym się podawał za niego. Tak samo, jak ja byłem poirytowany, kiedy się dowiedziałem, że w Solące jest trzydziestu siedmiu innych Tasslehoffów Burrfootów. Trzydziestu dziewięciu, jeśli liczyć psy. Pewnie będę mu musiał oddać urządzenie do podróżowania w czasie. Ciekawe, skąd je wzięłem? Ach, oczywiście. Na pewno je zgubił.

Tas popędził kuca szturchnięciem pięt. Zwierzę ruszyło truchtem i zrównało się z karym rumakiem.

- Sir Gerardzie, czy mógłbyś mnie wysłuchać? - zapytał kender.

Rycerz zerknął na niego, marszcząc groźnie brwi.

- O co chodzi? - zapytał zimno.

- Chciałem ci powiedzieć, że popełniłem błąd - odparł potulnie Tas. - Nie jestem tym, za kogo się podawałem.

- A to ci dopiero niespodzianka! - mruknął Gerard. - Chcesz powiedzieć, że nie jesteś Tasslehoffem Burrfootem, który nie żyje od z górą trzydziestu lat?

- Myślałem, że nim jestem - ciągnął tęsknym tonem kender. Rozstanie się z tym przekonaniem przychodziło mu trudniej niż się spodziewał. - Ale to niemożliwe. Rozumiesz, Tasslehoff Burrfoot był bohaterem. Nie bał się niczego. Dlatego nie sędzę, aby mógł się czuć tak dziwnie jak ja w chwili, gdy przelatowała nad nami ta smoczyca. Już wiem, co mi się stało.

Czekał, aż rycerz zada mu uprzejme pytanie, ale ten nie zrobił tego, więc Tasslehoff powiedział sam.

- Mam magnezję - oznajmił z powagą.

- Co?

Tym razem rycerz zadał oczekiwane pytanie, lecz nie zabrzmiało ono zbyt uprzejmie.

Tas dotknął dłonią czoła, aby się przekonać, czyje poczuje.

- Magnezję. Nie jestem pewien, jak się dostaje magnezji.

To chyba ma coś wspólnego z mlekiem. Pamiętam, jak Raistlin opowiadał, iż znał kiedyś kogoś, kto ją miał, i że ten ktoś nie pamiętał, kim jest, skąd się wziął, gdzie zostawił okulary ani w ogóle nic. Na pewno mam magnezję, bo ze mną jest dokładnie tak samo.

Po dojściu do tego wniosku Tasslehoff - czy raczej kender, który do tej pory uważał się za Tasslehoffa - poczuł się bardzo dumny z tego, że udało mu się wyjaśnić ów ważki problem.

- Oczywiście - ciągnął z westchnieniem - wiele osób, które, tak jak ty, liczą na to, że jestem Tasslehoffem, poczuje się bardzo rozczarowanych, gdy się okaże, że tak nie jest. Będą jednak musiały się z tym pogodzić.

- Spróbuję jakoś to przeżyć - rzucił z przekąsem Gerard. - A może tak zastanowiłbyś się naprawdę mocno i spróbowałbyś sobie „przypomnieć” prawdę o tym, kim jesteś?

- Z chęcią przypomniałbym sobie prawdę - zapewnił Tas. - Mam wrażenie, że to prawda nie chce sobie przypomnieć mnie.

Jechali dalej bez słowa przez pogrążony w milczeniu świat aż do chwili, gdy - ku uldze Tasslehoffa - usłyszeli jakiś dźwięk. Był to szum rzeki. Rozwścieczonej rzeki, która pieniała się, jakby oburzał ją fakt, że uwięziono ją w skalnym korycie. Ludzie nadali jej nazwę Rzeki Białego Gniewu - stanowiła północną granicę elfiego kraju Qualinesti.

Gerard zwolnił. Minąwszy zakręt gościńca, ujrzeli rzekę, szeroką połać białej, spienionej wody, która toczyła się po połyskliwych, czarnych skałach.

Dzień dobiegał już końca. W lesie pojawiły się cienie nadchodzącej nocy. Rzeka lśniła jeszcze w blasku zachodzącego słońca i w oddali widzieli prowadzący przez nią wąski most. Zamykała go brama z opuszczaną kratą, strzeżona przez wartowników zakutyh w czarne zbroje, takie same jak ta, którą nosił Gerard.

- To czarni rycerze - zdumiał się Tasslehoff.

- Bądź cicho! - rozkazał mu ostro Gerard. Zsunął się z konia, wydobył zza pasa knebel i ruszył w stronę kendera.

- Pamiętaj, że jeśli mamy się spotkać z Palinem Majere, który ponoć jest twoim przyjacielem, to musimy się przedostać przez ten most.

- Ale co czarni rycerze robią w Qualinesti? - zapytał Tas, mówiąc szybko, aby zdążyć dokończyć pytanie, nim rycerz go zaknebluje.

- Krajem włada smoczyca Beryl. Ci rycerze służą jej jako nadzorcy. To oni egzekwują jej prawa, zbierają podatki i daninę, którą elfowie muszą płacić, jeśli chcą żyć.

- Nie, nie - sprzeciwił się Tas, potrząsając głową. - Na pewno zaszła jakaś pomyłka. Połączone siły Porthiosa i Gilthasa przegnały czarnych rycerzy w roku... ajj!

Gerard zatkał usta kendera kneblem, który następnie porządnie umocował, zawiązując węzeł na jego potylicy.

- Jeśli dalej będziesz opowiadał takie rzeczy, nie będę musiał cię kneblować. Wszyscy po

prostu pomyślał, że jesteś szalony.

Tas wyrwał sobie knebel i zerknął przebiegle na Gerarda.

- Jeśli opowiesz mi, co się stało, to nie będę musiał zadawać pytań - zauważył.

Poirytowany rycerz ponownie zakneblował kendera.

- Proszę bardzo - burknął. - Rycerze Neraki zajęli Qualinesti podczas Wojny Chaosu i nigdy już nie wypuścili go z rąk - mówił, zawiązując węzeł. - Kiedy smoczyca zażądała, aby oddali jej elfie królestwo, byli gotowi walczyć. Beryl jednak okazała się wystarczająco bystra, żeby zrozumieć, że wojna nie będzie potrzebna. Rycerze mogli być dla niej użyteczni. Zawarła z nimi sojusz. Elfowie płacą daninę, a rycerze ją zbierają i oddają znaczącą część smoczyce. Resztę zatrzymują dla siebie. Rycerze się bogacą. Smoczyca się bogaci. Tylko elfowie mają pecha.

- To pewnie zdarzyło się wtedy, kiedy dostałem magnezji - stwierdził Tas, wypluwszy spory kawałek knebla.

Gerard zawiązał węzeł jeszcze mocniej.

- To się nazywa „amnezja”, do cholery - dodał poirytowany. - I bądź cicho!

Ponownie dosiadł rumaka i obaj wędrowcy ruszyli w stronę bramy. Wartownicy byli czujni. Zapewne oczekiwali ich przybycia, zawiadomieni przez smoczycę, gdyż nie okazali zaskoczenia na widok dwóch wynurzających się z cienia postaci. Na straży stali uzbrojeni w halabardy rycerze, ale wypytać ich przyszedł odziany w zielony strój i połyskliwą kolczugę elf. Podążał za nim oficer Rycerzy Neraki, który stanąwszy nieco z tyłu przysłuchiwał się uważnie rozmowie.

Elf popatrzył ze wzgardą na obu przybyszy, zwłaszcza na kendera.

- Królestwo Qualinesti jest zamknięte dla podróżnych na rozkaz Gilthasa, Mówcy Słońca - oznajmił elf w mowie powszechnej. - Co was tu sprowadza?

Gerard uśmiechnął się, aby okazać, że rozumiał żart.

- Mam pilne wieści dla marszałka Medana - odparł. Wydobył z czarnej, skórzanej rękawicy zmięty papier i wręczył go elfowi ze znudzoną miną kogoś, kto robił to już wiele razy.

Elf nawet nie zerknął na dokument, lecz natychmiast przekazał go oficerowi Rycerzy Neraki. Ten przyjrzał się uważnie papierowi, a potem przeniósł wzrok na Gerarda. Zwrócił mu dokument i rycerz schował go z powrotem w rękawicy.

- Jaki masz interes do marszałka Medana, kapitanie? - zapytał oficer.

- Mam coś, czego szukał - odpowiedział Gerard. - Tego kendera - uściślił, wskazując kciukiem na Tasa.

Oficer uniósł brwi.

- A na co marszałkowi Medanowi kender?

- Za tym małym złodziejem wysłano list gończy. Ukradł Rycerzom Ciernia ważny artefakt. Magiczny artefakt, który ponoć był ongiś własnością Raistlina Majere.

W oczach elfa pojawił się nagły błysk. Jego zainteresowanie przybyszami wyraźnie się ożywiło.

- Nic nie słyszałem o żadnej nagrodzie - stwierdził oficer z zasepioną miną. - Ani o kradzieży, jeśli już o tym mowa.

- Wcale mnie to nie dziwi. Wiesz, jakie są Szare Szaty... - wyjaśnił enigmatycznie Gerard, uśmiechając się z przekąsem i rozglądając ukradkiem wokół.

Oficer skinął głową, poruszając nerwowo brwiami. Szare Szaty to byli czarodzieje. Działali w tajemnicy, odpowiadali tylko przed własnymi oficerami i mieli własne cele oraz ambicje, niekonieczne zgodne z celami reszty rycerstwa. Dlatego rycerze-wojownicy nie ufali im, traktując Rycerzy Ciernia z tą samą podejrzliwością, z jaką ci, którzy posługiwali się mieczem, od stuleci odnosili się do władających laską.

- Opowiedz mi o tej zbrodni - zażądał oficer. - Kiedy i gdzie ją popełniono?

- Jak ci wiadomo, Szare Szaty przeczesują las Wayreth w poszukiwaniu tajemniczej i nieuchwytniej Wieży Wielkiej Magii. To właśnie w trakcie tych poszukiwań odkryto artefakt. Nie wiem, gdzie i jak to się stało. Nie poinformowano mnie o tym. Szare Szaty chciały przetransportować artefakt do Palanthis, by dokładniej go zbadać. Po drodze zatrzymały się jednak w gospodzie. Tam właśnie skradziono artefakt. Gdy Szare Szaty obudziły się rano, przekonały się, że go nie ma. Ukradł go kender - zakończył Gerard, przewracając znacząco oczyma.

A więc w ten sposób go zdobyłem! - pomyślał zafascynowany Tas. Cóż za wspaniała, rewelacyjna przygoda. Szkoda, że jej nie pamiętam.

Oficer pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Cholerne Szare Szaty. Na pewno wszyscy schlali się w trupa, mimo że mieli ze sobą cenny artefakt. To przez tę ich arogancję.

- Tak jest. Przystępca uciekł z łupem do Palanthis. Kazano nam wypatrywać kendera, który będzie próbował sprzedać skradzione artefakty. Obserwowaliśmy sklepy magiczne i tak właśnie udało się nam go złapać. Mam za sobą bardzo męczącą podróż. Musiałem dniem i nocą pilnować tego małego diabła.

Tas spróbował zrobić groźną minę.

- Wyobrażam sobie - rzekł ze współczuciem oficer. - Czy udało się odzyskać artefakt?

- Obawiam się, żenie. Kender twierdzi, że go „zgubił”, ale fakt, że złapano go w sklepie magicznym, każe nam myśleć, iż gdzieś go ukrył, żeby dostarczyć go do sklepu po dobieciu targu. Rycerze Ciernia zamierzają go przesłuchać w tej sprawie. Rzecz jasna, w przeciwnym razie... - Gerard wzruszył ramionami - ...oszczędzilibyśmy sobie wysiłku i po prostu powiesilibyśmy tę złodziejską gnidę.

- Kwatera główna Cierni leży na południu. Nadal szukają tej cholernej wieży. To strata czasu, jeśli mnie o to pytasz. Magia ponownie zniknęła ze świata i uważam, że nie ma czego żałować.

- Tak jest - zgodził się Gerard. - Rozkazano mi najpierw zameldować się u marszałka Medana, bo sprawa podlega jego jurysdykcji, ale jeśli uważasz, że powinienem pojechać prosto...

- Zamelduj się u Medana, jak najbardziej. Przynajmniej zdrowo się uśmieje. Czy potrzebna ci pomoc z kenderem? Mógłbym oddelegować jednego człowieka...

- Dziękuję, nie trzeba. Jak widzisz, jest dobrze zabezpieczony. Nie przewiduję żadnych kłopotów.

- Ruszaj w drogę, kapitanie - rzekł oficer, nakazując skinieniem dłoni podnieść kratę. - A kiedy już pozbędziesz się tego skurczybyka, wróć tą samą drogą. Otworzymy butelkę krasnoludzkiej gorzałki i opowiesz mi wieści z Palanthas.

- Świetny pomysł - zgodził się Gerard, salutując. Minał bramę. Związany i zakneblowany kender podążył za nim. Tasslehoff chętnie pomachałby zakutymi w kajdanki dłońmi w geście przyjaznego pożegnania, lecz doszedł do wniosku, że nie harmonizowałoby to z jego nową tożsamością Rozbójnika, Złodzieja Cennych Magicznych Artefaktów. Spodobała mu się ta osobowość i doszedł do wniosku, że postara się okazać jej godny. Dlatego, zamiast machać ręką, wyzywająco łypnął spode łba na mijanego rycerza.

Elf cały czas stał bez słowa obok traktu. Jego mina wyrażała szacunek, a zarazem znudzenie. Wrócił do stróżówki, nawet nie czekając na opuszczenie kraty. Półmrok przeszedł już w noc i zapalono pochodnie. Tasslehoff obejrzał się za siebie, gdy jego kuc przejeżdżał przez drewniany most, i zobaczył, że elf przykucnął pod jedną z żagwi i wyciągnął skórzany worek. Paru rycerzy uklękło na ziemi i zaczęła się gra w kości. Potem dołączył do nich oficer, który przyniósł butelkę. Trakty patrolowała teraz smoczyca i wędrowało wtedy bardzo niewielu podróżnych. Służba należała do nudnych.

Tasslehoff dał serią chrząknięć i pisków do zrozumienia, że chciałby porozmawiać o udanej przygodzie przy bramie. Szczególnie interesowały go szczegóły zuchwałej kradzieży, którą popełnił. Gerard nie zwracał jednak na niego uwagi. Nie przeszedł w cwał, ale gdy tylko stracili bramę z oczu, zmusił Czarnula do znacznego zwiększenia tempa pochodu.

Kender doszedł do wniosku, że będą jechali całą noc. Nie byli zbyt daleko od Qualirionu, o ile dobrze pamiętał swe poprzednie wizyty w elfiej stolicy. Za parę godzin znajdą się w mieście. Tas niecierpliwie czekał na spotkanie z przyjaciółmi. Chciał ich zapytać, czy mają pojęcie, kim jest, jeżeli nie jest sobą. O ile ktokolwiek mógł go wyleczyć z magnezji, to tylko Palin. Dlatego poczuł się

straszliwie zaskoczony, gdy Gerard nagle ściągnął wodze i oznajmił, że czuje się zmęczony całodzienna podróżą i że spędzą noc w lesie.

Rozbili obóz i rozpalili ognisko. Kender był zdumiony, gdyż do tej pory rycerz odmawiał rozpalania ognia, twierdząc, że to zbyt ryzykowne.

„Chyba doszedł do wniosku, że nic nam nie grozi, bo jesteśmy już na terenie Qualinesti” - powiedział do siebie nadal zakneblowany Tasslehoff. „Ciekawe, dlaczego się zatrzymaliśmy? Może nie wie, że jesteśmy już tak blisko”.

Rycerz upiekł trochę solonej wieprzowiny. Jej aromat wypełnił las. Potem wyjął Tasslehoffowi knebel, żeby kender mógł się najeść, i natychmiast tego pożałował.

- Jak ukradłem ten artefakt? - spytał rozgorączkowany Tas. - To takie ekscytujące. No wiesz, nigdy dotąd niczego nie ukradłem. Kradzież jest bardzo złym uczynkiem. Ale w tym przypadku chyba była w porządku, bo czarni rycerze są przecież źli. W której gospodzie to było? Na drodze do Palanthas jest ich całkiem sporo. Może „Pod Brudną Kaczką”? To wspaniała gospoda. Wszyscy się w niej zatrzymują. A może „Pod Lisem i Jednorożcem”? Ale tam nie za bardzo lubią kenderów, więc chyba raczej nie.

Tasslehoff nie przestawał gadać, ale nie wydusił z rycerza ani słowa. Nie miało to jednak większego znaczenia dla kendera, który potrafił samodzielnie wymyślić cały incydent. Gdy skończyli jeść i Gerard poszedł umyć rondel i drewniane miski w pobliskim strumieniu, śmiały kender ukradł już nie jeden, lecz całą masę magicznych artefaktów, porywając je spod nosa sześciu Rycerzy Ciernia, którzy zagrozili mu sześcioma potężnymi zaklęciami, lecz potem wszystkich ich załatwił zrzeczny cios kenderskiego hoopaka.

- I na pewno dlatego zapadłem na magnezję! - skonkludował Tas. - Jeden z Rycerzy Ciernia walnął mnie mocno w ciemię! Leżałem nieprzytomny przez kilka dni. Nie - dodał rozzarowany. - To nie może być prawda, bo w takim przypadku nie udałoby mi się uciec. - Zastanawiał się nad tym problemem przez dość długi czas. - Mam - zawołał wreszcie, spoglądając triumfalnie na Gerarda. - To ty uderzyłeś mnie w głowę, kiedy mnie aresztowałeś!

- Nie kuś mnie - ostrzegł go rycerz. - A teraz zamknij gębę i prześpij się trochę.

Rozłożył swój koc obok ogniska, które zdążyło się już przemienić w stertę rozżarzonych węgielków. Potem nakrył się kocem i odwrócił plecami do swego więźnia.

Tasslehoff położył się wygodnie na kocu i wpatrzył w gwiazdy. Dzisiejszej nocy sen go nie złapie. Kender był zbyt zajęty wyobrażaniem sobie swego życia jako Postrachu Ansalonu, Mordercy z Morgash, Topornika z Thorbardinu. Był naprawdę wielkim łotrem. Kobiety mdlały, a silni mężczyźni bledli na sam dźwięk jego imienia. Tas nie był dokładnie pewien, jak się objawia bledniecie, słyszał jednak, że silni mężczyźni doświadczają go, gdy stają oko w oko ze straszliwym wrogiem, uznał więc, że w tym przypadku będzie to odpowiednie. Właśnie sobie wyobrażał, że przybywa do miasta i wszystkie kobiety mdleją nad baliami, a silni mężczyźni bledną po lewej i po prawej, gdy nagle usłyszał dźwięk. Był cichy, po prostu trzask złamanej gałązki.

Nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby nie to, że przyzwyczał się już do panującej w lesie ciszy. Wyciągnął rękę i szarpnął rycerza za rękaw koszuli.

- Gerardzie! - odezwał się głośnym szeptem. - Tam chyba ktoś jest!

Rycerz prychnął i pociągnął nosem, ale się nie obudził. Schował się jeszcze głębiej pod koc.

Tasslehoff leżał nieruchomo, wyęzając słuch. Przez chwilę nic nie słyszał, ale potem znowu rozległ się dźwięk, który mógł być wywołany przez luźny kamień osuwający się spod buta.

- Gerardzie! - ponownie zawołał kender. - Tym razem to chyba nie jest księżyc.

Żałował, że nie ma hoopaka.

Gerard przetoczył się na drugi bok i spojrzał na Tasslehoffa, który ze zdumieniem zauważył, że rycerz wcale nie śpi. Udawał tylko.

- Bądź cicho! - wysyczał szeptem Gerard. - Udawaj, że śpisz!

Znowu zamknął oczy.

Kender zacisnął posłusznie powieki, lecz w następnej chwili znowu je otworzył, aby nic nie umknęło jego uwagi. I całe szczęście, bo w przeciwnym razie nie zauważyłby elfów, którzy wychynęli z ciemności.

- Gerardzie, patrz! - chciał krzyknąć, lecz dłoń jednego z napastników zamknęła mu usta, a jego karku dotknęła zimna stal, nim zdążył wyjąkać coś więcej niż: - Ger...

- Co jest? - wymamrotał rycerz sennym głosem. O co...

W następnej chwili był już w pełni wybudzony i spróbował złapać leżący obok miecz.

Jeden z elfów nadepnął na jego dłoń. Tas usłyszał trzask pękających kości i skrzywił się ze współczuciem. Drugi elf chwycił miecz i zabrał go poza zasięg rąk rycerza. Gerard próbował wstać, ale elf, który nadepnął mu na rękę, kopnął go brutalnie w głowę. Rycerz jęknął i przetoczył się nieprzytomny na plecy.

- Mamy obu, mistrzu - oznajmił jeden z elfów, spoglądając w cienie między drzewami. - Co nam rozkażesz?

- Nie zabijajcie kendera, Kalindasio - odezwał się z ciemności jakiś głos. Był to głos człowieka, męczyzny, stłumiony, jakby dobiegał spod kaptura. - Jest mi potrzebny żywy. Musi nam powiedzieć, co wie.

Najwyraźniej człowiek nie potrafił poruszać się po lesie zbyt sprawnie. Choć Tas go nie widział - nieznajomy nadal ukrywał się w cieniu - słyszał, jak jego obute stopy miażdżą liście i łamią gałązki. W przeciwieństwie do niego elfowie przemieszczali się bezszelestnie.

A co z czarnym rycerzem? - padło kolejne pytanie.

- Zabij go - rzucił obojętnie człowiek. Elf przystawił nóż do gardła rycerza.

- Nie! - pisnął Tas, usiłując się wyrwać. - Nie możecie tego zrobić. On wcale nie jest czarnym... aj!

- Bądź cicho, kenderze! - rozkazał elf trzymający Tasa. Przesunął sztych sztyletu z gardła jeńca na jego ciemię. - Jeśli jeszcze raz się odezwiesz, utnę ci uszy. To nie zmniejszy twojej użyteczności dla nas.

- Wolałbym, żebyś nie ucinał mi uszu - trajkotał kender z rozpaczliwą szybkością, czując, że nóż naciał już nieco skórę. - Bez nich włosy pospadają mi z głowy. Ale jeśli musisz to zrobić, to trudno. Chciałem tylko was ostrzec, że popełniacie straszliwy błąd. Jedziemy z Solące. Gerard nie jest czarnym rycerzem. To Solamniczycy...

- Gerard? - zapytał nagle ukryty w mroku człowiek. - Powstrzymaj się, Kelevandrosie! Nie zabijaj go jeszcze. Zna - łem w Solące Solamniczycy imieniem Gerard. Niech mu się przyjrzę.

Znowu zaświecił niezwykle księżyc. Jego blask to się pojawiał, to znikał, gdy jego pustą, pozbawioną wyrazu twarz przesłaniały mroczne chmury. Tas próbował zobaczyć człowieka, który najwyraźniej kierował całą akcją, jako że elfowie słuchali wszystkich jego poleceń. Kender był zaintrygowany, gdyż wydawało mu się, że już kiedyś słyszał ten głos, ale nie przypominał sobie, gdzie.

Czekało go rozczarowanie. Człowiek był szczelnie opatulony w płaszcz i zakapturzony. Uklęknął obok Gerarda. Głowa rycerza przetoczyła się na bok, twarz pokrywała mu krew. Charczał głośno. Nieznajomy przyjrzał mu się uważnie.

- Zabierzcie go - rozkazał.

- Ale, mistrzu... - zaczął się sprzeciwiać elf zwany Kelevandrosiem.

- Zawsze możecie zabić go później - stwierdził człowiek. Podniósł się, odwrócił na pięcie i odszedł do lasu.

Jeden z elfów dogasił ognisko. Drugi uspokoił konie, zwłaszcza karosza, który stanął dęba, zaniepokojony widokiem intruzów. Trzeci zakneblował Tasa, kłując go sztyletem w prawe ucho, gdy tylko kender zrobił minę sugerującą, że nie jest tym zachwycony.

Elfowie uporali się z Gerardem szybko i zręcznie. Związali mu ręce i nogi rzemieniem, wepchnęli do ust knebel, a oczy zasłonili przepaską. Potem podnieśli nieprzytomnego rycerza, zanieśli do konia i przerzucili przez siodło. Czarnul był zaniepokojony nagłą inwazją na obóz, ale teraz uspokoił go elf. Rumak przełożył mu łeb przez ramię i szturchał pyskiem w ucho. Napastnicy związali pod końskim brzuchem ręce i nogi Gerarda, przytwierdzając bezpiecznie rycerza do siodła.

Człowiek spojrzał na kendera, lecz Tas nie mógł zobaczyć jego twarzy, gdyż w tej samej

chwili jeden z elfów założył mu na głowę jutowy worek. Elfowie skrupowali mu nogi. Silne dłonie uniosły go w górę i rzuciły na siodło. Tak oto Postrach Ansalonu odjechał w noc z głową schowaną w worku.

Gdy Postrach Ansalonu odjeżdżał w dal w niesławie i z głową w worku, w odległości zaledwie kilku mil, w Qualinoście, Mówca Słońca, władca ludu Qualinesti, urządzał maskaradę. Był to dla elfów stosunkowo nowy zwyczaj, zapożyczony od ludzi. Wprowadził go Mówca o domieszce ludzkiej krwi, którą to klątwę odziedziczył po ojcu, Tanisie Półelfie. Elfowie z reguły gardzili ludzkimi zwyczajami, podobnie jak i samymi ludźmi, lecz maskarady przypadły im do gustu. Pierwszą Gilthas urządził w roku 21, dla uczczenia dwudziestej rocznicy swego wstąpienia na tron. Od tego czasu corocznie odbywała się maskarada, która była główną towarzyską atrakcją sezonu.

Zaproszenia na tę ważną imprezę były przedmiotem powszechnego pożądanego. Uczestniczyli w niej członkowie Rodu Królewskiego, głowy rodów i członkowie Thalasa-Enthia - elfiego senatu - a także najwyżsi rangą czarni rycerze, prawdziwi władcy Qualinesti. Zaproszono też dwadzieścia elfich panien, wybranych przez prefekta Palthainona, byłego członka elfiego senatu, niedawno mianowanego przez Rycerzy Neraki głównym sędzią pokoju Qualinesti. Palthainon nominalnie był doradcą Gilthasa, lecz w stolicy powszechnie nazywano go „władcą marionetki”.

Młody Gilthas nie miał jeszcze żony. Nie było dziedzica tronu i nic nie wskazywało, aby miał się pojawić. Gilthas nie czuł szczególnej odrazy do myśli o małżeństwie. Po prostu nie mógł się zdecydować na ten krok. Powtarzał dworzanom, że małżeństwo jest bardzo poważną sprawą i nie można go zawierać bez zastanowienia. Co będzie, jeśli popełni błąd i wybierze niewłaściwą osobę? Całe jego życie zostanie zrujnowane, a do tego również życie jakiejś pechowej kobiety. O miłości nie wspomiano ani słowem. Od króla nie oczekiwano, aby kochał żonę. Zawrze małżeństwo wyłącznie z powodów politycznych. Tak oznajmił prefekt Palthainon, który wybrał kilka odpowiednich kandydatek, pochodzących z najznacześniejszych (i najbogatszych) elfich rodzin w Qualinesti.

Rokrocznie od pięciu lat Palthainon gromadził dwadzieścia specjalnie dobranych elfek i przedstawiał je Mówcy Słońca. Gilthas tańczył ze wszystkimi, wyznawał, że mu się spodobały, dostrzegał ich zalety, lecz nie potrafił się zdecydować. Prefekt kontrolował znaczną część życia Mówcy - którego poddani zwali lekceważąco „królem-marionetką” - ale nie mógł zmusić go do zawarcia małżeństwa.

Była już godzina po północy. Mówca Słońca zatańczył z każdą z dwudziestu panien na znak szacunku dla prefekta, lecz żadnej z nich nie poprosił do tańca ponownie. Drugi taniec uznano by za dokonanie wyboru. Po każdym tańcu król zasiadał na tronie i spoglądał posepnym wzrokiem na gości, jakby decyzyja, z którą z pięknych kobiet powinien teraz zatańczyć, kładła się na jego barkach ciężarem, uniemożliwiającym mu dobrą zabawę.

Dwadzieścia panien spoglądało na niego dyskretnie. Każda liczyła na to, że dostrzeże jakiś znak świadczący, iż spodobała się władcy bardziej niż inne kandydatki. Gilthas był przystojny. Domieszka ludzkiej krwi nie uwidaczniała się zbyt mocno, pomijając fakt, że wraz z osiągnięciem dojrzałości pojawiły się u niego silnie zaznaczona szczęka i wydatny podbródek, cechy rzadko widywane u elfich mężczyzn. Włosy, z których ponoć był dumny, opadały mu na ramiona i miały barwę miodu. Oczy miał wielkie, w kształcie migdałów, a twarz bladą. Wszyscy wiedzieli, że często zapada na zdrowiu. Rzadko się uśmiechał i nikt nie mógł mieć o to do niego pretensji, gdyż powszechnie wiadomo, że żyje jak ptak w klatce. Uczono go słów, które winien wypowiadać i mówiono mu, kiedy ma to zrobić. Gdy ptak miał milczeć, klatkę nakrywano kawałkiem materiału.

Nic dziwnego, że uważano Gilthasa za osobnika chwiejnego, niezdecydowanego, który lubi samotność, czytanie książek i pisanie wierszy. Zajął się poezją przed około trzema laty i wykazał się niezaprzeczalnym talentem.

Władca siedział na starożytnym tronie, którego pozłacane oparcie wyrzeźbiono na kształt słońca i spokojnie obserwował tańczących. Sprawiał wrażenie, że pragnie jak najszybciej uciec stąd do prywatnych komnat i zająć się składaniem rymów.

- Jego Królewska Mość jest dziś w niezwykle dobrym nastroju - zauważył prefekt Palthainon. - Zwróciłeś uwagę, jak bardzo spodobała mu się najstarsza córka cechmistrza srebrników?

- Nieszczerólnie - odparł marszałek Medan, dowódca sił okupacyjnych Rycerzy Neraki.

- Zapewniam cię, że tak - nie ustępował poirytowany Palthainon. - Zobacz, jak śledzi ją wzrokiem.

- Mam wrażenie, że Jego Królewska Mość spogląda na podłogę albo na własne buty - odparował Medan. - Jeśli chcesz kiedyś zobaczyć dziedzica tronu, Palthainonie, będziesz musiał sam zaaranżować małżeństwo.

- Zrobiłbym to, ale elfie prawo pozwala na to wyłącznie rodzinie - poskarżył się Palthainon - a jego matka stanowczo odmawia wszelkiej ingerencji, dopóki król nie podejmie decyzji.

- W takim razie lepiej licz na to, że Jego Królewska Mość będzie żył bardzo długo - poradził mu marszałek. Sądzę, że to prawdopodobne, ponieważ pilnujesz go nader starannie i z wielką wytrwałością spełniasz wszystkie jego potrzeby. Właściwie nie możesz mieć pretensji do króla - ciągnął. - W końcu Jego Królewska Mość jest dokładnie tym, kim zrobiłeś go ty i zmarły senator Rashes. Młodzieńcem, który nie odważy się nawet odlać bez twojego pozwolenia.

- Jego Królewska Mość jest wątłego zdrowia - odparł sztywno Palthainon. - To mój obowiązek zdjąć z jego pleców brzemię odpowiedzialności wiążące się z władaniem elfim narodem. Biedny młodzieniec. Nic dziwnego, że dręczą go rozterki. Rozumiesz, marszałku, to ta ludzka krew. Ludzie słyną ze słabości. Wybacz mi, ale muszę złożyć wyrazy uszanowania Jego Królewskiej Mości.

Marszałek, który był wszak człowiekiem, pokłonił się bez słowa. Prefekt, którego twarz zasłaniała pasująca doń stylizowana maska drapieżnego ptaka, pos/edł zająć się młodym królem. Medan przyznawał, że politycznie prefekt Palthainon jest dla niego bardzo użyteczny, lecz osobiście szczerze go nie znosił.

Marszałek Alexius Medan miał pięćdziesiąt pięć lat. Wstąpił w szeregi Rycerzy Takhisis, gdy dowodził nimi lord Ariakan, jeszcze przed Wojną Chaosu, która położyła kres Czwartej Erze Krynnu i stała się początkiem Piątej. To on dowodził atakiem na Qualinesti przed z górą trzydziestu laty. On przyjął kapitulację elfów i od tego czasu nimi władał. Jego rządy okazały się surowe, nawet brutalne, gdy było to potrzebne, lecz nie cechowały się zbytecznym okrucieństwem. Co prawda, elfowie nie mieli zbyt wielu osobistych swobód, lecz Medan nie uważał tego za uciążliwość. W jego oczach

wolność była niebezpiecznym pomysłem, który prowadził do chaosu, anarchii i rozkładu społeczeństwa.

Dyscyplina, porządek i honor - to byli bogowie Medana od chwili, gdy Takhisis, z całkowitym brakiem dyscypliny i honoru, dopuściła się zdrady i uciekła, robiąc durniów ze swych wiernych rycerzy. Medan narzucał dyscyplinę i porządek Qualinesti, swym rycerzom, a w pierwszej kolejności samemu sobie.

Marszałek z niesmakiem spoglądał na kłaniającego się królowi Palthainona. Odwrócił wzrok, świetnie wiedząc, że pokora prefekta jest jedynie na pokaz. Czuł dla młodego Gilthasa wręcz litość.

Wokół marszałka płaśali tancerze, elfowie przebrani za niedźwiedzie, łabędzie i wszelkie inne ptactwo oraz leśne stworzenia. Pod dostatkiem było też błaznów i klaunów w jaskrawych strojach. Medan uczestniczył w maskaradzie, ponieważ wymagał tego protokół, lecz nie chciał zakładać maski ani kostiumu. Już od wielu lat ubierał się w luźne elfie szaty, które w ciepłym, umiarkowanym klimacie Qualinesti stanowiły strój najwygodniejszy i najbardziej praktyczny. Choć był człowiekiem, jako jedyna odziana w elfi strój osoba na maskaradzie wyglądał na elfa bardziej niż sami mieszkańcy leśnej krainy.

Marszałek zszedł z parkietu, z ulgą uciekając przed gorącym i hałasem do ogrodu. Nie przyprowadził tu osobistych strażników. Nie lubił towarzystwa pobrzękujących zbrojami rycerzy. Nie obawiał się zbytnio o własne bezpieczeństwo. Co prawda Qualinesti nie darzyli go miłością i przeżył już ze dwadzieścia zamachów, ale potrafił obronić się sam, zapewne lepiej niż którykolwiek z jego rycerzy - Medan nie żywił zbyt wysokiego mniemania o ludziach, których w dzisiejszych czasach przyjmowano do rycerstwa. Uważał ich za niezdyscyplinowanych, pozbawionych ogłady złodziei, morderców i zbirów. W gruncie rzeczy ufał elfom znacznie bardziej niż własnym rycerzom.

Noc była ciepła, przesycona zapachami róż, gardenii i kwiatów pomarańczy. Na drzewach śpiewały słowiki, a ich trele łączyły się z muzyką harf i lutni. Poznawał tę muzykę. Za jego plecami, w Komnacie Nieba, piękne elfie panny wykonywały tradycyjny taniec. Zatrzymał się i odwrócił, skuszony piękną muzyką. Panny tańczyły Quanisho, Korowód Przebudzenia, taniec, który ponoć wzniewał w elfich mężczyznach szal namiętności. Marszałek zastanawiał się, jaki wpływ wywrą erotyczne płaśy na króla. Być może skłonią go do napisania poematu.

- Marszałku Medan - odezwał się ktoś stojący tuż obok niego.

Mężczyzna odwrócił się.

- Czcigodna matko naszego Mówcy - odparł z ukłonem. Laurana wyciągnęła rękę. Medan ujął jej dłoń - białą, miękką i wonną jak kwiat kamelii - i uniósł ją do ust.

- Jesteśmy sami - rzekła elfka. - Podobne tytuły nie są potrzebne między tymi, którzy są... jak mam nas określić? „Starymi wrogami”?

- Szanującymi się oponentami - zaproponował z uśmiechem Medan. Puścił jej dłoń, nie bez oporów.

Marszałek Medan nigdy się nie ożenił. Jego żoną była służba. Nie wierzył w miłość, uważał ją za lukę w zbroi mężczyzny, mogącą go narazić na niespodziewany atak. Podziwiał Lauranę i szanował ją. Uważał, że jest piękna, podobnie jak jej ogród. Była też dla niego użyteczna, ponieważ pomagała mu poruszać się w lepkiej pajęczynie o cienkich niciach, którą był elfi rząd. Wykorzystywał ją i świetnie zdawał sobie sprawę, że ona również go wykorzystuje. To był naturalny, satysfakcjonujący układ.

- Uwierz mi, pani - rzekł cicho. - Zdecydowanie wolę twą niechęć od sympatii niektórych innych osób.

Zerknął znacząco w stronę pałacu, gdzie Palthainon stał u boku młodego króla, szepcząc mu coś do ucha. Laurana podążyła za jego spojrzeniem.

- Rozumiem cię, marszałku - stwierdziła. - Jesteś przedstawicielem organizacji, którą uważam za całkowicie oddaną złu. Podbiłeś nasz lud i jesteś jego ciemną. Sprzymierzyłeś się z naszym najgorszym wrogiem, smoczą, której celem jest nasza zagłada. Mimo to ufam ci bardziej niż tamtemu mężczyźnie.

Odwróciła się gwałtownie.

- Nie podoba mi się ten widok, marszałku. Czy nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy przeszli do arboretum?

Medan nie miał oporów przed spędzeniem pięknej, księżycowej nocy w najbardziej uroczej krainie w Ansalonie, na dodatek w towarzystwie najbardziej uroczej kobiety w tej krainie. Ruszyli bez słowa po ścieżce wysypanej marmurowym tłuczniem, który połyskiwał jasno, jakby chciał naśladować gwiazdy. W powietrzu unosiła się oszałamiająca woń orchidei.

Królewskie Arboretum było zbudowane z kryształu i wypełniały je rośliny, którym delikatna, krucha natura uniemożliwiła przetrwanie nawet łagodnych zim Qualinesti. Dzieliła je od pałacu dość znaczna odległość. Podczas długiej drogi Laurana nie odezwała się ani słowem. Medan uważał, że nie ma prawa mącić spokojnej ciszy i dlatego on również milczał. Podeszli do kryształowego budynku. W jego licznych ścianach odbijał się blask księżyca, tak że wydawało się, iż na niebie zamiast jednego świeci sto księżyców.

Weszli do środka przez kryształowe drzwi. Powietrze było tu przesycone tchnieniem roślin, które poruszyły się i zaszeleściły pod wpływem przeciągu, jakby ich witały.

Ściany całkowicie tłumiły odgłosy muzyki i śmiechu. Laurana odetchnęła głęboko, wciągając w płuca wonie przesycające ciepłe, wilgotne powietrze.

Dotknęła dłonią orchidei, zwracając kwiat ku blaskowi księżyca.

- Jest nadzwyczajna - stwierdził Medan, podziwiając roślinę. - Moje orchidee rosną pięknie, zwłaszcza te, które dostałem od ciebie, ale nie potrafię wyhodować tak wspaniałych kwiatów.

- To kwestia czasu i cierpliwości - odparła Laurana. - Tak jak wszystko. Wracając do naszej

poprzedniej rozmowy, marszałku, powiem ci, dlaczego szanuję cię bardziej niż Palthainona. Choć niełatwo przychodzi mi słuchać twych słów, czasami czuję, że przemawiasz prosto z serca. Nigdy mnie nie okłamałeś, nawet wtedy, gdy kłamstwo byłoby dla ciebie użyteczniejsze od prawdy. Słowa Palthainona wydobywają się z jego ust, padają na ziemię i odpływają w ciemność.

Medan pokłonił się, dziękując za komplement, nie chciał jednak dalej obmawiać elfa, który pomagał mu w zachowaniu kontroli nad Qualinesti i dlatego zmienił temat.

- Wcześniej wyszłaś dziś z balu, pani. Mam nadzieję, że nie czujesz się źle - powiedział uprzejmie.

- Wygnały mnie stamtąd gorąco i hałas - wyjaśniła Laurana. - Wyszłam do ogrodu w poszukiwaniu spokoju.

- Jadłaś coś? - zapytał. - Może każę sługom przynieść posiłek i wino?

- Nie, dziękuję, marszałku. Ostatnio mam bardzo słaby apetyt. Najlepiej mi się przysłużysz, jeśli dotrzymasz mi przez pewien czas towarzystwa, o ile obowiązki nie wzywają cię gdzie indziej.

- Chyba nawet sama śmierć nie zmusiłaby mnie do porzucenia tak czarującej towarzyski - odpowiedział marszałek.

Laurana zerknęła na niego spod opuszczonych rzęs i uśmiechnęła się nieznacznie.

- Ludzie rzadko przemawiają tak dwornie. Spędziłeś wśród elfów stanowczo zbyt wiele czasu, marszałku. Sądzę, że stałeś się bardziej elfem niż człowiekiem. Ubierasz się w nasze stroje, bezbłędnie mówisz naszym językiem, polubiłeś naszą muzykę i poezję. Wydałeś prawa chroniące nasze lasy, prawa surowsze od tych, które wprowadzilibyśmy sami. Być może się pomyliłam - dodała lekkim tonem. - Być może w rzeczywistości to my podbiliśmy ciebie.

- Dworujesz sobie ze mnie, pani - odrzekł Medan - i zapewne wybuchniesz śmiechem, kiedy ci powiem, że nie jesteś daleka od prawdy. Przed przybyciem do Qualinesti nie dostrzegałem natury. Drzewo to było coś, co nadawało się na budowę fortecy albo do produkcji rękojeści topora. Jediną muzyką, jaką lubiłem, był werbel wojskowych bębnow, a jedyną lekturą, która sprawiała mi przyjemność, rozkazy z kwatery głównej. Otwarcie przyznaję, że po przybyciu do waszej krainy śmiałem się, gdy tylko ujrzałem elfa, który przemawiał z szacunkiem do drzewa albo gawędził spokojnie z kwiatem. Ale pewnej wiosny, gdy mieszkałem tu już od siedmiu lat, złapałem się na tym, że z niecierpliwością oczekuję na powrót kwiatów do mojego ogrodu, zastanawiam się, które zakwitną pierwsze, i niepokoję się, czy na nowym krzaku róży, zasadzonym przez ogrodnika w zeszłym roku, pojawią się pąki. W tym samym czasie zauważyłem, że głowę wypełniają mi pieśni harfistów. Zacząłem uczyć się języka, aby zrozumieć ich słowa. Naprawdę kocham wasz kraj, pani Lauralanthalaso. Dlatego właśnie - dodał Medan z poważniejszą miną - robię, co w mojej mocy, by osłonić go przed gniewem smoczy. Dlatego właśnie muszę surowo karać tych spośród was, którzy buntują się przeciwko mojej władzy. Beryl szuka pretekstu, aby zniszczyć was i waszą ojczyznę. Trwając w uporczywym oporze, dopuszczając się aktów terroru i sabotażu przeciwko moim siłom, sprowadzeni na manowce buntownicy mogą doprowadzić do zagłady waszego ludu.

Medan nie miał pojęcia, ile lat ma Laurana. Być może setki. Wyglądała jednak równie pięknie i młodzieńczo, jak w dniach, gdy była Złotym Generałem i prowadziła armie światła do boju z siłami królowej Takhisis podczas Wojny Lancy. Znał kiedyś starych żołnierzy, którzy opowiadali o jej odwadze w bitwie, o tym, jak podtrzymała na duchu załamujące się armie i poprowadziła je do zwycięstwa. Żałował, że nie znał jej wówczas, choć walczyliby po przeciwnych stronach. Chciałby zobaczyć, jak mknęła do walki na grzbiecie swego smoka, a jej złote włosy były świetlistym sztandarem dla podążających za nią żołnierzy.

- Powiedziałaś, że ufasz mojemu honorowi, pani - kontynuował, mocniej ściskając jej dłoń. - W takim razie musisz mi uwierzyć, gdy mówię, że trudem się dniem i nocą po to, aby uratować Qualinesti. Ci buntownicy nie ułatwiają mi zadania. Gdy smoczyca słyszy o ich atakach i elfiej rebelii, wpada w straszliwy gniew. Zastanawia się głośno nad tym, dlaczego marnotrawi czas i pieniądze na tak kłopotliwych poddanych. Robię, co mogę, żeby ją uspokoić, ale ona szybko traci cierpliwość.

- Dlaczego mi o tym mówisz, marszałku Medan? - zapytała Laurana. - Co to ma wspólnego ze mną?

- Pani, jeśli masz jakiś wpływ na tych buntowników, powstrzymaj ich, proszę. Wyłumacz im, że choć ich akty terroru mogą wyrządzić pewne szkody mnie i moim oddziałom, na dłuższą metę rebelianci szkodzą jedynie własnemu ludowi.

- A co każe ci myśleć, że ja, królowa matka, mam coś wspólnego z buntownikami? - zapytała Laurana. Na jej policzki powrócił rumieniec, a oczy rozbłysły.

Medan przez chwilę przyglądał się jej z bezgłośnym podziwem.

- Powiedzmy, że trudno mi uwierzyć, aby ktoś, kto przed z górą pięćdziesięciu laty, podczas Wojny Lancy, toczył tak zawzięty bój z Czarną Królową i jej sługami, nagle zaprzestał walki.

- Mylisz się, marszałku - zapewniła Laurana. - Jestem już stara, za stara na takie sprawy. Nie, marszałku... - ciągnęła, nie dając mu dojść do słowa - ...wiem, co chcesz powiedzieć. Że wyglądam młodo jak panna na pierwszym balu. Zachowaj swe wyszukane komplementy dla tych, którzy pragną ich słuchać. Ja ich nie potrzebuję. Nie mam już serca do walki, do sprzeciwu. Moje serce spoczywa w grobie, u boku mojego ukochanego męża, Tanisa. Teraz liczy się dla mnie wyłącznie rodzina. Chcę, żeby mój syn szczęśliwie się ożenił. Chcę trzymać w ramionach wnuki. Chcę, aby moja ojczyzna żyła w pokoju i żeby osiągnąć ten cel jestem gotowa płacić daninę smoczycy.

Medan popatrzył na nią z niedowierzaniem. Słyszał w jej głosie nutę szczerości, ale nie mówiła mu całej prawdy. Laurana była przed wojną zdolnym dyplomatą i zwykła często mówić innym to, co chcieli usłyszeć, przekonywać ich do tego, do czego chciała ich przekonać. Niemniej jednak postąpiłby bardzo nieuprzejmie, otwarcie podając w wątpliwość jej słowa. Jeśli mówiła prawdę, Medan litował się nad nią serdecznie. Syn, którego rozpieszczęła, okazał się bezwolną galareta. Potrzebował kilku godzin, żeby zdecydować, czy chce na deser truskawki, czy jagody. Nie wyglądało na to, aby Gilthas kiedykolwiek zdobył się na tak ważką decyzję, jak zawarcie małżeństwa. Chyba że ktoś wybierze dla niego żonę...

Laurana odwróciła głowę, lecz Medan zdążył zobaczyć łzy, które wezbrały w jej oczach o kształcie migdałów. Pośpiesznie wrócił do tematu orchidei. Próbował je hodować we własnym ogrodzie, lecz odniósł tylko połowiczne sukcesy. Mówili o orchideach przez długi czas, co pozwoliło Lauranie wziąć się w garść. Dotknęła dyskretnie dłonią oczu i odzyskała równo - wagę. Poleciała marszałkowi usługi swojego ogrodnika, który był mistrzem w hodowaniu orchidei.

Medan z przyjemnością zaakceptował tę ofertę. Spędzili w arboretum jeszcze godzinę, mówiąc o silnych korzeniach i niezdrowych kwiatach.

- Gdzie jest moja czcigodna matka, Palthainonie? - zapytał Mówca Słońca Gilthas. - Od pół godziny nigdzie jej nie widziałem.

Król paradował w kostiumie elfiego zwiadowcy. Było mu do twarzy w zieleni i brązie. Gilthas wyglądał imponująco, choć raczej niewielu elfich zwiadowców pełniło swe obowiązki w spodniach i koszulach z najprzedniejszego jedwabiu czy ręcznie tłoczonych skórzanych kamizelkach wysadzanych złotem, nie wspominając o pasujących do tego wszystkiego butach. Trzymał w dłoniach puchar wina, lecz sączył je niespiesznie tylko z uprzejmości. Wszyscy wiedzieli, że od wina boli go głowa.

- Mam wrażenie, że twoja matka poszła do ogrodu, Wasza Królewska Mość - odparł prefekt Palthainon, którego uwadze nie umykały żadne poczynania członków królewskiego rodu. - Mówiła, że musi odetchnąć świeżym powietrzem. Czy mam po nią posłać? Wasza Królewska Mość nie wygląda najlepiej.

- Nie czuję się dobrze - przyznał Gilthas. - Dziękuję ci za tę uprzejmą propozycję, Palthainonie, ale nie chciałbym jej niepokoić. - Jego oczy pociemniały. Popatrzył ze smutkiem i tęskną zazdrością na tłum tańczących. - Myślisz, że ktoś poczuje się urażony, jeśli już się oddalę, prefekcie? - zapytał cicho.

- Być może taniec rozweseliłby Waszą Królewską Mość - zasugerował Palthainon. - Spójrz tylko, jak uśmiecha się do ciebie piękna Amiara. - Prefekt nachylił się nad uchem króla i wyszeptał: - Jej ojciec to jeden z najbogatszych elfów w Qualinesti. No wiesz, srebrnicy. Do tego jest nadzwyczaj czarująca...

- To prawda - zgodził się Gilthas bez śladu zainteresowania. - Niestety, nie czuję się na siłach tańczyć. Chyba naprawdę muszę już udać się na spoczynek.

- Oczywiście, jeśli Wasza Królewska Mość źle się czuje... - zgodził się z niechęcią Palthainon. Medan miał rację. Prefekt sam pozbawił króla kręgosłupa i teraz nie mógł mieć pretensji o to, że młodzieniec czołga się na rękach i kolanach.

- Wasza Królewska Mość powinien spędzić jutrzejszy dzień w łóżu. Ja zajmę się sprawami państwowymi.

- Dziękuję, Palthainonie - rzekł cicho Gilthas. - Jeśli nie jestem potrzebny, poświęcę ten dzień na pracę nad dwunastą pieśnią mojego poematu.

Podniósł się z tronu. Muzyka umilkła nagle. Tancerze zatrzymali się wpół kroku. Elfi mężczyźni pokłonili się, elfie kobiety dygnęły. Elfie panny podniosły wzrok w wyczekiwaniu. Gilthas sprawiał wrażenie zażenowanego tym widokiem. Pochylił głowę, zszedł z podwyższenia i ruszył szybko ku drzwiom prowadzącym do jego prywatnych komnat. Towarzyszył mu lokaj, który szedł przed królem, trzymając w ręku kandelabr, oświetlający drogę Jego Królewskiej Mości. Elfie panny wzruszyły ramionami i rozejrzały się wokół w poszukiwaniu nowych partnerów. Znowu zagrała muzyka i wznowiono tańce.

Prefekt Palthainon, mamrocząc pod nosem przekleństwa, skierował się do stołu z przekąskami.

Gilthas przed wyjściem z sali obejrzał się za siebie, po czym uśmiechnął pod nosem. Odwrócił się i podążył za blaskiem świec przez ciemne korytarze swego pałacu. Tutaj nie było schlebiających mu dworaków. Nie mógł tu wejść nikt, kto nie otrzymał pozwolenia od Palthainona. Prefekt żył w nieustannym strachu, że pewnego dnia ktoś wyrwie mu z ręki sznurki marionetki. W każdym przejściu stali strażnicy Kagonesti.

Uwolniony od muzyki i świateł, od chichotliwych śmiechów i szeptanych rozmów, Gilthas odetchnął z ulgą, wchodząc do strzeżonych korytarzy. Niedawno wybudowany pałac Mówcy Słońca był wielkim, przestronnym domostwem składającym się z żywych drzew, które za pomocą pełnej miłości magii przekształcono w sufity i w ściany. Arrasy składały się tu z kwiatów i ziół skłonionych do przybrania postaci pięknych dzieł sztuki, które codziennie zmieniały wygląd, zależnie od tego, co akurat kwitło. Podłogi w niektórych komnatach, takich jak sala taneczna i komnaty audiencyjne, były marmurowe, lecz większość prywatnych komnat i wijących się wokół pni drzew korytarzy miało dywany z wonnych kwiatów.

Oualinesti uważali pałac za coś w rodzaju cudu. Gilthas nalegał, aby wszystkie wykorzystane drzewa zachowały naturalną postać. Nie pozwolił rzeźbiarzom drzew skłaniać ich do wygięcia się w nienaturalną pozycję, by ułatwić przeprowadzenie schodów, albo do przeniesienia gałęzi w inne miejsce, żeby zwiększyć dopływ światła. Miał to być wyraz czci dla drzew, które najwyraźniej były z tego zadowolone, gdyż wyrosły pięknie, acz nieco chaotycznie. W rezultacie powstał nieregularny labirynt liściastych korytarzy. Ci, którzy nie znali pałacu, często błądzili w nim godzinami.

Król nie odzywał się ani słowem. Szedł z pochyloną głową i dłońmi splecionymi za plecami. Często widziano, jak wędruje niespokojnie po korytarzach pałacu, zachowując taką pozycję. Wszyscy wiedzieli, że pracuje wtedy nad jakimś rymem albo próbuje wypracować rytm strofy. Słudzy zostali pouczeni, że lepiej mu wówczas nie przeszkadzać. Ci, którzy go mijali, kłaniali się tylko nisko bez słowa.

Dzisiejszej nocy w pałacu panował spokój. Słysząc było muzykę dobiegającą z sali tanecznej, lecz odległą i tłumioną cichym szelestem gęsto splecionego listowia, które tworzyło dach korytarza. Król uniósł głowę i rozejrzał się wokół. Nie zobaczywszy nikogo, zbliżył się do sługi.

- Planchet - rzekł cicho Gilthas w ludzkim języku, znanym niewielu elfom - gdzie jest marszałek Medan? Miałem wrażenie, że widziałem, jak wchodzi do ogrodu.

- Masz rację, Wasza Królewska Mość - odpowiedział szeptem sługa w tym samym języku, nie

odwracając się do króla, na wypadek, gdyby ktoś ich obserwował. Palthainon wszędzie miał szpiegów.

- To bardzo niedobrze - zmartwił się Gilthas, marszcząc brwi. - A co, jeśli nadal gdzieś się tu kręci?

- Twoja matka go zauważyła i natychmiast za nim poszła, Wasza Królewska Mość. Na pewno czymś go zajmie.

- Masz rację - zgodził się Gilthas z uśmiechem, który widywała tylko garstka najbardziej zaufanych. - Dziś Medan nam nie przeszkodzi. Czy wszystko gotowe?

- Zapakowałem prowiant na cały dzień podróży, Wasza Królewska Mość. Plecak jest ukryty w grocie.

- A Kerian? Zawiadomiłeś ją, gdzie ma się ze mną spotkać?

- Tak, Wasza Królewska Mość. Zostawiłem wiadomość tam gdzie zawsze. Kiedy sprawdziłem następnego ranka, listu już nie było, a jego miejsce zajęła czerwona róża, - Jak zwykle spisałeś się świetnie, Planchet - pochwalił sługę Gilthas. - Nie wiem, co zrobiłbym bez ciebie. Aha, chcę dostać tę różę.

- Jest w plecaku Waszej Królewskiej Mości - odparł Planchet.

Obaj umilkli. Dotarli już do prywatnych komnat Mówcy. Stojący na warcie Kagonesti - rzekomo jego strażnicy osobiści, a w rzeczywistości więzienni - zaszalutowali na widok Jego Królewskiej Mości. Gilthas nie zwracał na nich uwagi. Wartownicy byli opłacani przez Palthainona i meldowali prefektowi o każdym ruchu króla. W sypialni czekali słudzy, którzy mieli pomóc Jego Królewskiej Mości w rozebraniu się i położeniu do łóżka.

- Jego Królewska Mość nie czuje się dobrze - oznajmił sługom Planchet, stawiając na stole kandelabr. - Ja się nim zajmę. Możecie odejść.

Blady, omdlewający Gilthas otarł usta koronkową chusteczką i natychmiast położył się na łożu, nawet nie zdejmując butów. Mógł to zrobić Planchet. Słudzy, przyzwyczajeni do tego, że król nie jest zdrowy i lubi samotność, spodziewali się podobnej reakcji po wyczerpującym balu. Pokłonili się i wyszli.

- Nikomu nie wolno przeszkadzać Jego Królewskiej Mości - ostrzegł Planchet, przekręcając klucz w zamku. Strażnicy również mieli klucze, lecz rzadko już z nich korzystali. W przeszłości często zaglądali do młodego króla, ale zawsze był na miejscu. Leżał chory w łóżku albo pochylał się z piórem w rękę nad kartą papieru, pogrążony w marzeniach. W końcu przestali go sprawdzać.

Planchet podsłuchiwał przez chwilę pod drzwiami, czekając aż strażnicy uspokoją się i ponownie zajmą hazardowymi grami, które umilały im nudną służbę. Potem podszedł do drzwi na balkon, otworzył je i wyjrzał w noc.

- Wszystko w porządku, Wasza Królewska Mość. Gilthas wyskoczył z łóżka i podbiegł do okna.

- Wiesz, co masz robić?

- Tak, Wasza Królewska Mość. Przygotowałem poduszki, które zajmą w łóżku twoje miejsce. Będę udawać, że cały czas jesteś w komnacie. Nie pozwolę nikomu cię odwiedzać.

- Bardzo dobrze. O Palthainona nie musisz się martwić. Pojawi się najwcześniej jutro rano. Będzie zbyt zajęty podpisywaniem ważnych dokumentów moim imieniem i przystawianiem do nich mojej pieczęci.

Gilthas zatrzymał się przy balustradzie. Planchet przywiązał do niej linę.

- Przyjemnej podróży, Wasza Królewska Mość. Kiedy wrócisz?

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro o północy, Planchet.

- Wszystko pójdzie dobrze - zapewnił elf. Był kilka lat starszy od Gilthasa. Laurana wybrała go na służącego swego syna, a prefekt Palthainon zatwierdził jego kandydaturę. Mógłby tego nie zrobić, gdyby dokładniej sprawdził przeszłość Plancheta, który przez wiele lat wiernie służył czarnemu elfowi Porthiosowi. - Los się do ciebie uśmiecha, Wasza Królewska Mość.

Gilthas obserwował ogród, wypatrując jakichś oznak ruchu.

- Były czasy, gdy nie zgodziłbym się z tą opinią, Planchet. Uważałem się za najbardziej pechową osobę na tym świecie. Byłem ofiarą własnej próżności i zarozumiałości, więźniem dręczącego mnie strachu. Były czasy, gdy wydawało mi się, iż jedyną ucieczką jest śmierć.

Wyciągnął pod wpływem impulsu rękę i złapał dłoń sługi.

- To ty zmusiłeś mnie do oderwania wzroku od zwierciadła, Planchet. Dzięki tobie przestałem się wpatrywać we własne odbicie i spojrzałem na świat. A gdy to zrobiłem, zobaczyłem, że mój lud cierpi, miazdżony obcasem czarnego buta, żyje w cieniu czarnych skrzydeł, zdając sobie sprawę, że przyszłość niesie tylko rozpacz i nieuchronną zagładę.

- Przywróciłeś mi nadzieję - odparł sługa, delikatnie cofając dłoń. Zawstydziło go zachowanie króla. - Plan Waszej Królewskiej Mości się uda.

Gilthas westchnął.

- Miejmy nadzieję, Planchet. Miejmy nadzieję, że los uśmiechnie się nie tylko do mnie, lecz również do całego naszego ludu.

Zszedł zręcznie na dół po linie i zeskoczył lekko na ziemię. Planchet obserwował go z balkonu, aż do chwili, gdy król zniknął w mroku. Potem sługa zamknął drzwi balkonu i podszedł do łóżka. Ułożył na nim poduszki i nakrył je kołdrą, tak aby obserwator z zewnątrz był przekonany, iż w

pościeli ktoś leży.

- A teraz, Wasza Królewska Mość - odezwał się głośno Planchet, biorąc w rękę małą harfę i przebiegając palcami po strunach - wypij napój nasenny, a ja zagram coś cichego, żeby cię ukołysać do snu.

15

Jedyny prawdziwy Tasslehoff

Choć sir Gerard cierpiał katusze i było mu straszliwie niewygodnie, czuł się usatysfakcjonowany dotychczasowym obrotem wydarzeń. Odczuwał pulsujący ból głowy w miejscu, gdzie kopnął go elf. Przywiązano go do konia i leżał przerzucony przez siodło, głową w dół. Krew uderzała mu do skroni, napierśnik uwierał w brzuch i utrudniał oddychanie, rzemienie wrzynały się w ciało i całkowicie utracił czucie w stopach. Nie znał tych, którzy go pojмали, nie zauważył w ciemności żadnego z nich, a teraz miał opaskę na oczach i w ogóle nic nie widział. Mało brakowało, aby go zabili. Zawdzięczał życie kenderowi.

Tak jest, wszystko szło zgodnie z planem.

Pokonali już znaczny dystans. Gerardowi wydawało się, że podróż wlecze się bez końca.

Rycerz zaczynał myśleć, że jada już od dziesięcioleci, wystarczająco długo, aby okrążyć Krynn co najmniej sześciokrotnie. Nie miał pojęcia, jak wiedzie się kenderowi, lecz sądząc po pełnych oburzenia piskach, które od czasu do czasu dobiegały zza jego pleców, Tasslehoffowi nic groźnego się nie stało. W czasie drogi rycerz z pewnością zasnął albo zemdłał, gdyż ocknął się nagle, gdy koń się zatrzymał.

Usłyszał głos człowieka, którego uznał za przywódcę grupy. Mówił w języku elfów, którego Gerard nie rozumiał. Wydawało się jednak, że dotarli już na miejsce, gdyż elfowie prze - cinali krępujące go więzy. Jeden z nich złapał go za krawędź napierśnika, ściągnął z konia i zrzucił na ziemię.

- Wstawaj, świnio! - warknął elf w mowie powszechnej. - Nie będziemy cię dźwigali. - Elf zdjął mu opaskę. - Do tej jaskini. Marsz.

Jechali przez całą noc. Niebo różowiła już nadchodząca jutrzienka. Gerard nie widział żadnej jaskini, a jedynie gęsty, nieprzebyty las, aż do chwili, gdy jeden z elfów uniósł coś, co wyglądało na zagajnik młodych drzewek, i przeniósł to w inne miejsce. Pojawił się mroczny otwór, ziejący w skalnej ścianie.

Gerard podniósł się z wysiłkiem i pokuśtykał w stronę groty. Niebo stawało się coraz jaśniejsze, ogniście pomarańczowe i ciemnobłękitne. Poszukał wzrokiem swego towarzysza i zauważył, że nogi kendera sterczą z wielkiego worka, który spoczywał na grzbiecie kuca. Dowodzący elfami człowiek stał przy wejściu do jaskini, przyglądając się uważnie sytuacji. Miał na sobie płaszcz z kapturem, lecz Gerard zauważył pod nim fragment ciemnych szat, noszonych przez użytkowników magii. Rycerz był coraz bardziej przekonany, że jego plan się powiódł. Pod warunkiem, że elfowie nie zabiją go, nim będzie miał szansę się wytłumaczyć.

Jaskinia znajdowała się pod małym wzgórzem na gęsto zalesionym terenie. Gerard odnosił jednak wrażenie, że nie znajdują się w głuszy, lecz blisko jakiejś osady. Słyszał w oddali dźwięk dzwoneczków, które elfowie lubili sadzić pod oknami swych domostw. Te kwiaty wydawały z siebie dźwięczne tony, gdy tylko dotknęło ich tchnienie wiatru. Czuł również woń świeżo upieczonego chleba. Zerknąwszy w kierunku wschodzącego słońca, upewnił się, że całą noc jechali prosto na zachód. Jeśli nawet nie znajdowali się w samym Qualinoście, to z pewnością miasto było niedaleko.

Człowiek wszedł do jaskini. Dwaj elfowie podążyli za nim. Jeden z nich dźwigał w worku wrywającego się kendera, drugi zaś popychał przed sobą Gerarda, dźgając go w plecy mieczem. Reszta towarzyszących im elfów nie weszła do środka, lecz przepadła gdzieś w lesie, zabierając ze sobą kuca oraz Czarnula. Gerard zawahał się chwilę przed wejściem do jaskini. Elf pchnął go w plecy i rycerz zatoczył się do przodu.

Wąski, mroczny korytarz przechodził w niewielką komnatę, oświetloną płomieniem pływającym w misie wonnego oleju. Pierwszy z elfów upuścił worek na ziemię. Kender zaczął się wic i głośno piszczeć. Elf trącił worek stopą i kazał więźniowi być cicho, zapowiadając, że w swoim czasie go wypuści, ale pod warunkiem, że będzie grzeczny. Drugi z elfów ponownie dźgnął Gerarda w plecy.

- Na kolana, świnio - rozkazał.

Rycerz osunął się na kolana i uniósł głowę. Wreszcie ujrzał twarz człowieka w płaszczu, który spoglądał nań z ponurą miną.

- Palin Majere - rzekł Gerard z westchnieniem ulgi. Pokonałem długą drogę, żeby cię odnaleźć.

Palin przysunął do jego twarzy pochodnię.

- Gerard uth Mondar. Tak myślałem, że to ty. Odkąd to zostałeś Rycerzem Neraki? Lepiej szybko mi to wytłumacz. - Zmarszczył brwi. - Jak ci wiadomo, nie darzę miłością tego przeklętego zakonu.

- Tak jest. - Gerard popatrzył niepewnie na elfów. Czy oni znają ludzki język?

- I krasnoludzki, i mowę powszechną - odparł Palin. - Mogę im rozkazać cię zabić w wielu językach. Powtarzam, wytłumacz się. Masz na to minutę.

- Proszę bardzo - odparł Gerard. - Noszę tę zbroję z konieczności, nie z wyboru. Mam dla ciebie ważne wieści. Dowiedziałem się od twojej siostry Laury, że przebywasz w Qualinesti i przebrałem się za jednego z wrogów, by móc bezpiecznie do ciebie dotrzeć.

- Jakie wieści? - zapytał Palin. Nie zdjął czarnego kaptura, lecz przemawiał z jego mrocznego cienia. Gerard nie widział twarzy czarodzieja. Jego głos brzmiał nisko, twardo i zimno.

Rycerz przypomniał sobie, co ostatnio opowiadali o Palinie Majere mieszkańcy Solące. Ponoć zmienił się od czasu zniszczenia akademii, i to nie na lepsze. Zszedł ze słonecznej drogi na mroczną ścieżkę, po której kroczył przed nim jego stryj Raistlin.

- Twój czcigodny ojciec nie żyje - oznajmił Palinowi Gerard.

Czarodziej nie odezwał się ani słowem.

- Nie cierpiał - uspokoił go pośpiesznie rycerz. Śmierć zabrała go szybko. Wyszedł przez drzwi gospody, spojrzął na zachodzące słońce, wypowiedział imię twojej matki, dotknął dłonią serca i upadł. Byłem przy nim w chwili śmierci. Umarł spokojnie, nie cierpiał. Następnego dnia wyprawiliśmy mu pogrzeb. Spoczywa obok twojej matki.

- Czy coś powiedział? - zapytał wreszcie Palin.

- Poprosił mnie o coś. Opowiem ci o tym we właściwym czasie.

Mag przez długi czas przyglądał się Gerardowi bez słowa.

- A jak wygląda sytuacja w Solące? - zapytał.

- Słucham? - odrzekł zdumiony i przerażony jego nieczułością rycerz.

Uwięziony w worku kender wrzasnął przeraźliwie, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

- Czy nie słyszałeś... - zaczął Gerard.

- Słyszałem. Mój ojciec nie żyje - przerwał mu Palin. Zdjął kaptur i przeszył rycerza nieruchomym spojrzeniem. - Był stary. Tęsknił za moją matką. Śmierć jest częścią życia. Niektórzy mogliby rzec - dokończył twardszym tonem - że jest to jego najlepsza część.

Zdumiony Gerard wytrzeszczył oczy. Ostatnio widział Palina Majere przed kilkoma miesiącami, na pogrzebie jego matki, Tiki. Czarodziej nie zatrzymał się w Solące na długo. Wyjechał niemal natychmiast, na kolejne poszukiwania starożytnych magicznych artefaktów. Po zniszczeniu akademii w Solące nie było nic, co mogłoby go zainteresować. Krążyły też pogłoski, że czarodzieje na całym świecie tracą swe magiczne moce. Zapewne dotyczyło to również Palina. Szeptano, że zapewne życie straciło dla niego sens. Jego małżeństwo nie należało do najszczęśliwszych. Stał się nieostrożny, nie dbał o własne bezpieczeństwo, zwłaszcza jeśli pojawiała się choćby najmniejsza szansa zdobycia magicznego artefaktu z Czwartej Ery. Owe artefakty nie straciły mocy i zdolny czarodziej mógł ją z nich czerpać.

Palin już na pogrzebie wydał się Gerardowi niezdrowy, a długa podróż bynajmniej nie poprawiła jego stanu. Mag był teraz jeszcze chudszy i bledszy. Zachowywał się niespokojnie i spoglądał na otoczenie ukradkiem i z nieufnością.

Gerard wiedział o Palinie bardzo dużo. Caramon lubił opowiadać o swym jedynym żyjącym synu i był on tematem rozmów przy niemal każdym śniadaniu.

Palin Majere, najmłodszy syn Caramona i Tiki, był młodym obiecującym magiem w czasach, gdy bogowie opuścili Krynn, zabierając ze sobą magię. Choć rozpaczał po utracie boskiej magii, nie dał za wygraną, podobnie jak wielu czarodziejów z jego pokolenia. Zgromadził czarodziejów z całego Ansalonu, aby podjąć próbę opanowania magii, która jego zdaniem przetrwała - pierwotnej magii, która była częścią świata. Taka magia istniała jeszcze przed nadejściem bogów, sądził więc, że nie powinna zniknąć wraz z ich odejściem. Jego wysiłki zakończyły się sukcesem. Założył w Solące Akademię Czarów, ośrodek szkolenia magów. Uczelnia rozwijała się świetnie. Palin wykorzystywał swe umiejętności do walki z wielkimi smokami i zasłynął w całej Abanasinii jako bohater.

Potem gobelin jego życia zaczął się pruć.

Był niezwykle uwrażliwiony na pierwotną magię i przed dwoma laty jako jeden z pierwszych zauważył, że jej moc zaczyna słabnąć. Z początku uważał, że to po prostu objaw jego zaawansowanego wieku. Ostatecznie, przekroczył już pięćdziesiątkę. Potem jednak jego studenci zaczęli zgłaszać podobne problemy. Nawet młodym rzucanie zaklęć przychodziło z coraz większą trudnością. Najwyraźniej wiek nie miał tu znaczenia.

Zaklęcia zachowały skuteczność, lecz ich rzucanie wymagało od użytkowników magii coraz większego wysiłku. Palin porównał to kiedyś do nakrycia słoikiem zapalanej świecy. Płomień palił się, dopóki w słoiku było powietrze. Kiedy go zabrakło, świeca gasła.

Czyżby, jak twierdzili niektórzy, zasoby magii były na wyczerpaniu? Czy mogła ona wyschnąć, jak staw na pustyni? Palin w to nie wierzył. Magia nadal istniała. Czuł ją i widział. To było tak, jakby nieprzeliczony tłum wypijał pustynny staw.

Kto albo co zużywało zasoby magii? Palin podejrzewał wielkie smoki. Był jednak zmuszony zmienić zdanie, gdy wielka zielona smoczyca Beryl stała się bardziej agresywna i wysłała swe armie na podbój nowych terytoriów. Szpiedzy Qualinesti meldowali, że dzieje się tak dlatego, iż smoczyca wyczuwa słabnięcie swych magicznych mocy. Beryl od dawna pragnęła odnaleźć Wieżę Wielkiej Magii w Wayreth. Magiczny las ukrywał wieżę przed smoczycą oraz przed Rycerzami Ciernia, którzy również jej poszukiwali. Beryl coraz bardziej potrzebowała wieży i ukrytej w niej magii. Rozwścieczona i zaniepokojona smoczycą postanowiła podporządkować sobie tak wielką część Abanasinii, jak to tylko możliwe bez wywoływania gniewu jej kuzynki Malys.

Rycerze Ciernia, magiczny oddział Rycerzy Neraki, również odczuli słabnięcie swych mocy. Oskarżyli o to Palina i magów z jego Akademii Czarów. Dokonali śmiałego napadu na akademię i porwali Palina, podczas gdy słudzy smoczycy Beryl zniszczyli samą uczelnię.

Po wielu miesiącach „przesłuchań” Szare Szaty zwolniły Palina. Caramon nie chciał opisywać w szczegółach męczarni, które przeżył jego syn, a Gerard na to nie nalegał. Mieszkańcy Solące jednak mówili o tym bez zahamowań. W ich opinii nieprzyjaciel nie tylko powyłamywał Palinowi Majere palce, lecz również wypaczył jego duszę.

Twarz maga była wychudła, policzki zapadnięte, a pod jego oczyma malowały się ciemne plamy, jakby za mało sypiał. Miał niewiele zmarszczek. Skóra na jego twarzy wydawała się mocno naciągnięta na cienkich kościach. Głębokie bruzdy wokół ust, ślad po dawnych uśmiechach, zaczęły zani - kac, a kasztanowate włosy kompletnie posiwiały. Palce dłoni, ongiś smukłe i giętkie, były teraz powyginane, okrutnie zdeformowane.

- Przetnijcie mu więzy - rozkazał elfom mag. - Jest rycerzem solamnijskim, tak jak twierdzi.

Obaj elfowie popatrzyli na niego niepewnie, wykonali jednak rozkaz, choć nadal czujnie obserwowali Gerarda. Rycerz wstał, poruszył na próbę ramionami i rozprostował bolące mięśnie.

- A więc pokonałeś w przebraniu tak długą drogę, ryzykując życiem, po to, aby przynieść mi tę wiadomość? - zapytał Palin. - Muszę przyznać, że nie rozumiem, po co ci ten kender, chyba że opowieść, którą mi powtórzono, jest prawdziwa i on rzeczywiście ukradł potężny magiczny artefakt. Przyjrzyjmy mu się bliżej.

Palin uklęknął obok worka, w którym miotał się Tas. Wyciągnął rękę i spróbował rozsypać węzły, lecz jego zdeformowane palce nie mogły sobie z tym poradzić. Gerard odwrócił pośpiesznie wzrok, nie chcąc okazywać litości.

- Nie podoba ci się ten widok? - zapytał Palin z szyderstwem w głosie. Wstał i skrył dłonie w rękawach szaty. - Postaram się nie sprawiać ci przykrości.

- Nie podoba mi się, że taki dobry człowiek, jak ty, tak wiele wycierpiał - odparł cicho

Gerard.

- Tak jest, wycierpiał! Przez trzy miesiące byłem więźniem Rycerzy Ciernia. Trzy miesiące! I nie było dnia, aby nie dręczyli mnie w jakiś sposób. A wiesz dlaczego? Dlatego, że ich magiczne moce zanikają! Myśleli, że mam z tym coś wspólnego! - Palin roześmiał się gorzko. - A czy wiesz, dlaczego mnie wypuścili? Bo zdali sobie sprawę, że nie jestem groźny. Że jestem tylko złamanym starcem, który nie jest już w stanie im zaszkodzić.

- Mogli cię zabić - zauważył Gerard.

- Lepiej by było, gdyby to uczynili - odparł Palin. Obaj mężczyźni umilkli. Gerard wpatrywał się w ziemię.

Nawet kender ucichł i przestał się szarpać.

Wreszcie Palin westchnął cicho, dotykając okaleczoną dłońią ramienia Gerarda.

- Wybacz mi, panie rycerzu - rzekł spokojniejszym głosem. - Nie zwracaj uwagi na moje słowa. Ostatnio łatwo mnie urazić. Nawet nie podziękowałem ci za zawiadomienie o śmierci ojca. Teraz ci dziękuję. Przykro mi, że umarł, ale nie potrafię czuć żałoby. Jak już mówiłem, odszedł w lepsze miejsce. Zaczynam jednak sądzić - ciągnął mag, obrzucając młodego rycerza chytrym spojrzeniem - że ta smutna wiadomość nie była jedynym powodem, dla którego wyruszyłeś w tę długą podróż. To przebranie naraża cię na wielkie niebezpieczeństwo, Gerardzie. Gdyby czarni rycerze odkryli prawdę, czekałyby cię tortury znacznie gorsze niż ja doświadczyłem, a następnie egzekucja.

Palin rozciągnął wąskie wargi w gorzkim uśmiechu.

- Jakie inne wieści mi przynosisz? Z pewnością nie są dobre. Nikt nie narażałby życia dla dobrych wieści. I skąd wiedziałeś, że zdołasz mnie znaleźć?

- Nie znalazłem cię - odparł Gerard. - To ty mnie znalazłeś.

Palin z początku miał zdziwioną minę, lecz po chwili skinął głową.

- Ach, rozumiem. Wzmianka o artefakcie, który ongiś należał do mojego stryja Raistlina. Wiedziałeś, że to przyciągnie moją uwagę.

- Miałem taką nadzieję - zgodził się Gerard. - Pomyślałem, że albo elf stacjonujący na moście jest członkiem ruchu oporu, albo sam most jest obserwowany. Liczyłem na to, że wzmianka o artefakcie w połączeniu z nazwiskiem Majere dotrze do twoich uszu.

- Podjąłeś wielkie ryzyko, oddając się w ręce elfów. Jak już zauważyłeś, nie brak wśród nich takich, którzy bez skrupułów zabiliby jednego z twych pobratymców.

Gerard popatrzył na dwóch elfów, Kalindasa i Kelevandrosa, jeśli dobrze zapamiętał ich imiona. Obaj ani na moment nie odrywali odeń spojrzenia, a ich dłonie cały czas spoczywały na

rękojeściach mieczy.

- Zdaję sobie z tego sprawę - przyznał Gerard. - Wydawało mi się jednak, że to jedyny sposób, aby do ciebie dotrzeć.

- Czyli że nie ma żadnego artefaktu? - zapytał Palin z gorzkim rozczarowaniem w głosie. - To był tylko fortel.

- Wręcz przeciwnie, artefakt istnieje. To jeden z powodów, dla których tu przybyłem.

W tej chwili kender znowu zaczął pisać, głośniej i natarczywiej niż przedtem. Bębnił stopami o ziemię i miotał się w worku jak szalenciec.

- Uciszcie go, niech to szlag! - rozkazał poirytowany Palin. - Jego wrzaski przyciągną tu wszystkich czarnych rycerzy w Qualinesti. Wnieście go do środka.

- Lepiej nie wyjmować go z worka, mistrzu - odezwał się Kalindas. - Nie chcielibyśmy, żeby umiał tu potem trafić.

- Masz rację - zgodził się Palin.

Jeden z elfów dźwignął worek z kenderem, a drugi popatrzył srogo na Gerarda i zadał jakieś pytanie.

- Nie - odpowiedział Palin. - Opaska nie będzie potrzebna. On należy do starej szkoły rycerzy. Tych, którzy jeszcze wierzą w honor.

Elf niosący kendera podszedł do tylnej ściany jaskini i - ku wielkiemu zdumieniu Gerarda - wszedł w litą skałę. Mag podążył za nim, kładąc dłoń na ramieniu rycerza i popychając go naprzód. Iluzja była tak przekonująca, że Gerard omal się nie skrzywił, wchodząc w pokrytą ostrymi, wyszczerbionymi nierównościami skalną ścianę.

- Widzę, że niektóre zaklęcia nadal działają - stwierdził. Był pod wrażeniem.

- Niektóre tak - zgodził się Palin. - Ale niepewnie. To tutaj w każdej chwili może zawieść i trzeba je nieustannie odnawiać.

Gerard wyszedł ze ściany i znalazł się w cudownie pięknym ogrodzie. Gałęzie i gęste listowie drzew tworzyły tu nieprzerwaną zasłonę, która otaczała ich ze wszystkich stron. Kalindas położył worek z kenderem na wykonanym z kamien - nych płyt chodniku. Przy wypełnionej czystą wodą sadzawce ustawiono krzesła z giętych wierzbowych gałęzi oraz stół z kryształu.

Palin powiedział coś do Kelevandrosa. Gerard usłyszał imię „Laurana”. Elf oddalił się, biegnąc lekkim krokiem przez ogród.

- Masz wiernych strażników - zauważył Gerard, śledząc elfa wzrokiem.

- Są domownikami królowej matki - wyjaśnił Palin. Służą Lauranie od lat, od czasu śmierci jej męża. Usiądź.

Skinął zniekształconymi dłońmi i z iluzji skały popłynął niewielki wodospad, który wpadał z pluskiem do stawu.

- Kazałem zawiadomić królową matkę o twoim przybyciu. Jesteś teraz gościem w jej domu, czy raczej w jednym z jej ogrodów. Tutaj jesteś bezpieczny, o ile to w ogóle możliwe w tych mrocznych czasach.

Gerard zdjął z wdzięcznością ciężki napierśnik i rozmasował obolałe zębra. Obmył sobie twarz chłodną wodą i napił się jej do syta.

- Wypuść kendera - rozkazał Palin.

Kalindas rozsupłał węzły i więzień wynurzył się z worka, zaczerwieniony i pełen oburzenia. Twarz przesłaniały mu długie włosy. Zacerpnął w płuca głęboki haust powietrza i otarł pot z czoła.

- Ojej! Miałem już serdecznie dosyć zapachu worka. Kender przerzucił sobie kitkę przez głowę i rozejrzał się wokół z zainteresowaniem.

- No, no - zachwycił się. - Ale ładny ogród. Czy w tym stawie są ryby? Jak myślicie, czy mógłbym jedną złapać? W tym worku było naprawdę duszno, a do tego zdecydowanie wolę jeździć konno, siedząc w siodle, a nie leżąc na nim. Teraz boli mnie w boku, tu, gdzie coś mnie uwierało. Przedstawiłbym się - dodał ze skruchą, zdając sobie nagle sprawę, że zapomniał o zasadach uprzejmego zachowania - ale padłem ofiarą magn... - zauważył, że Gerard na niego patrzy i dokończył z emfazą: - Padłem ofiarą silnego uderzenia w głowę i nie mam właściwie pewności, kim jestem. Wydajesz mi się okropnie znajomy. Czy już się kiedyś spotkaliśmy?

Palin Majere nie odezwał się ani słowem podczas tej diatryby. Jego twarz zrobiła się zupełnie sina. Otworzył usta, lecz nie wykrztusił ani słowa.

- Powinieneś usiąść - odezwał się Gerard, wyciągając rękę. - Nie wyglądasz zdrowo.

- Nie potrzebuję twojej pomocy - warknął Palin, odtrącając dłoń rycerza. Wbił wzrok w kendera.

- Dość już tych bzdur - zażądał twardo. - Kim jesteś?

- A za kogo mnie uważasz? - odparował kender. Wydawało się, że mag chce udzielić gniewnej odpowiedzi, lecz zacisnął usta, a potem zacerpnął głęboko tchu.

- Wyglądasz jak kender, którego kiedyś znałem - oznajmił sztywno. - Nazywał się Tasslehoff Burrfoot.

- A ty trochę przypominasz mojego przyjaciela, który nazywał się Palin Majere - odparł kender, spoglądając z zainteresowaniem na maga.

- Jestem Palin Majere. A ty...

- Naprawdę? - Kender otworzył szeroko oczy. - Jesteś Palin? Co ci się stało? Wyglądasz okropnie! Czy chorowałeś? I twoje biedne dłonie! Pokaż mi je. Mówisz, że to czarni rycerze ci to zrobili? W jaki sposób? Czy rozbijali ci kosteczki palców młotkiem, bo tak to właśnie wygląda...

Palin skrył dłonie w rękawach i odsunął się od kendera.

- Twierdzisz, że mnie znasz? A skąd?

- Widziałem cię na pierwszym pogrzebie Caramona i odbyliśmy długą pogawędkę. Mówiliśmy o Wieży Wielkiej Magii w Wayreth, o tym, że jesteś głową Białych Szat, i był tam też Dalamar, który był głową Konklawe, a jego dziewczyna, Jenna, była głową Czerwonych Szat, a...

Palin zmarszczył brwi, spoglądając na Gerarda.

- Co on wygaduje?

- Nie zwracaj na niego uwagi. Zachowuje się jak szaleniec od chwili, gdy go znalazłem. - Gerard popatrzył dziwnie na Palina. - Powiedziałeś, że jest podobny do Tasslehoffa. Za niego właśnie się podawał, do chwili, gdy zaczął opowiadać te bzdury o amnezji. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale twój ojciec również sądził, że to Tasslehoff.

- Mój ojciec był stary - stwierdził Palin - i jak wielu starców zapewne pragnął wrócić do dni młodości. Niemniej jednak - dokończył cicho, zwracając się niemal do siebie - on naprawdę wygląda jak Tasslehoff!

- Palinie! - odezwał się głos dobiegający z drugiego końca ogrodu. - Co też opowiada mi ten Kelevandros...

Gerard odwrócił się i zobaczył piękną jak zimowy zmierzch elfkę, która szła ku nim po chodniku. Jej długie włosy miały kolor miodu połączony z barwą słonecznego blasku. Była odziana w półprzezroczyste, perłowe szaty, tak że wydawała się spowita we mgłę. Zobaczywszy Gerarda, przyjrzała mu się z niedowierzaniem. W pierwszej chwili wydawała się zbyt oburzona, by zwracać uwagę na kendera, który podskakiwał w górę z podniecenia, machając do niej ręką.

Zachwycony i równie zdezorientowany Gerard pokłonił się niezgrabnie.

- Przyprowadziłeś tu czarnego rycerza, Palinie! - zawołała rozgniewana Laurana. - Do naszego ukrytego ogrodu! Co cię do tego skłoniło?

- On nie jest czarnym rycerzem, Laurano - wyjaśnił zwięźle Palin. - Mówiłem o tym Kelevandrosowi, ale on najwyraźniej wątpi w moje słowa. Ten człowiek to Gerard uth Mondar, rycerz solamijski, przyjaciel mojego ojca z Solące.

Elfka przyjrzała się Gerardowi ze sceptycyzmem.

- Jesteś tego pewien, Palinie? W takim razie dlaczego nosi tę ohydną zbroję?

- To tylko przebranie, pani - wyjaśnił Gerard. - Jak widzisz, zdjąłem ją przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- Tylko w ten sposób mógł się dostać do Qualinesti dodał Palin.

- Wybacz mi, panie rycerzu - poprosiła Laurana, podając mu dłoń, białą i delikatną, lecz gdy rycerz jej dotknął, poczuł stwardnienia pochodzące z czasów, gdy elfka nosiła tarczę i miecz, gdy była Złotym Generałem. - Zapraszam. Witaj w moim domu.

Gerard pokłonił się z głębokim szacunkiem. Chciał powiedzieć coś uprzejmego i odpowiedniego do sytuacji, lecz nagle wydało mu się, że jego język nie mieści się w ustach, a dłonie są zbyt wielkie i niezgrabne. Wymamrotał tylko coś niezrozumiałe.

- Hej, Laurano! Spójrz na mnie! - zawołał kender. Elfka przyjrzała mu się uważnie i wyraźnie zdumiała się tym, co zobaczyła. Jej usta się rozchyliły, a szczęka opadła. Położyła dłoń na sercu i cofnęła się o krok, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z kendera.

- Alshana, Quenesti-Pah! - wyszeptała. - To niemożliwe!

Palin obserwował ją z uwagą. - Ty również go poznajesz.

- Ależ oczywiście! To Tasslehoff! - krzyknęła oszołomiona Laurana. - Ale jak... skąd...

- Jestem Tasslehoff! - zawołał kender z radosną miną.

- Jesteś tego pewna'?

- A co każe ci sądzić, że jest inaczej? - zapytała elfka.

- Zawsze się za niego uważałem - oznajmił z powagą kender - ale wszyscy byli innego zdania, więc pomyślałem sobie, że może się mylę. Ale skoro ty uważasz mnie za Tasslehoffa, Laurano, to pewnie rozstrzyga sprawę. Kto jak kto, ale ty na pewno byś się nie pomyliła. Czy mogę cię uściskać?

Objął Lauranę w talii. Zdezorientowana elfka spoglądała nad jego głową to na Palina, to na Gerarda, prosząc niemo o wyjaśnienie.

- Mówisz poważnie? - zapytał Gerard. - Wybacz, pani - dodał pośpiesznie, czerwieniąc się na twarzy. Zdał sobie sprawę, że omal nie oskarżył królowej matki o kłamstwo. Tasslehoff Burrfoot nie żyje od z górą trzydziestu lat. Jak to możliwe? Chyba że...

- Chyba że co? - zapytał ostro Palin.

- Chyba że cała jego szalona opowieść jest prawdą.

Gerard umilkł, rozważając konsekwencje tej nieprzewidzianej sytuacji.

- Gdzie się podziewałeś, Tas? - zapytała Laurana, wyjmując z dłoni kendera jeden ze swych pierścieni, który miał właśnie zniknąć pod jego koszulą. - Jak powiedział sir Gerard, wszyscy myśleliśmy, że nie żyjesz!

- Wiem o tym. Widziałem grobowiec. Bardzo ładny. Tas pokiwał głową. - Tam właśnie spotkałem sir Gerarda. Uważam jednak, że moglibyście lepiej dbać o czystość terenu, no wiesz, wszystkie te psy, a sam grobowiec też nie jest w najlepszym stanie. Kiedy byłem wewnątrz, uderzył w niego piorun. Słyszałem ogłuszający huk i kawałki marmuru posypały się na podłogę. W środku było też okropnie ciemno. Kilka okien wprowadziłoby weselszy nastrój...

- Powinniśmy porozmawiać gdzieś na osobności, Palinie - przerwał kenderowi pośpiesznie Gerard.

- Zgadzam się. Laurano, rycerz przyniósł też inne smutne wieści. Mój ojciec nie żyje.

- Och! - Kobieta uniosła dłoń do ust. Jej oczy zaszyły łzami. - Och, tak mi przykro, Palinie. Moje serce wypełnia żal, ale wydaje mi się, że nie należy go żałować. Jest teraz szczęśliwy - dodała z tęskną zazdrością. - Są razem z Tiką. Chodźcie do środka - dodała, spoglądając na ogród. Tasslehoff brodził w dekoracyjnym stawie, przesuwając lilie wodne i strasząc ryby. - Nie powinniśmy rozmawiać o takich sprawach w tym miejscu. - Westchnęła. - Obawiam się, że nawet mój ogród nie jest już bezpieczny.

- Co się stało, Laurano? - zapytał Palin. - Jak twój ogród może nie być bezpieczny?

Elfka ponownie westchnęła. Na jej gładkim czole zarysowała się znamionująca zmartwienie bruzda.

- Ostatniej nocy, podczas maskarady, rozmawiałam z marszałkiem Medanem. Podejrzewa mnie o konszachty z buntownikami. Próbował mnie nakłonić, abym wykorzystała swe wpływy i skłoniła ich do zaprzestania aktów terroru i szerzenia chaosu. Smoczyca Beryl popadła ostatnio w paranoję. Grozi, że wyśle przeciwko nam swe armie. Nie jesteśmy jeszcze na to przygotowani.

- Nie zwracaj uwagi na Medana, Laurano. Jemu zależy tylko na ratowaniu swej cennej skóry - stwierdził mag.

- Jestem przekonana, że on chce dobrze, Palinie - sprzeciwiła się Laurana. - Medan nie kocha smoczycy.

- On nie kocha nikogo oprócz siebie. Nie daj się zwieść jego demonstracjom troski. Medan troszczy się o Medana i o nikogo więcej. Ma dylemat. Jeśli ataki i akty sabotażu nie ustaną, zwierzchnicy zdejmą go ze stanowiska, a sądząc z tego, co słyszałem o nowym Panu Nocy Targonnie, może również stracić głowę. Wybacz, ale chciałbym się uwolnić od tego grubego płaszcza. Spotkamy się w atrium.

Palin oddalił się, zamiatając ziemię połami czarnego podróżnego płaszcza. Trzymał się prosto, a jego krok był szybki i zdecydowany. Laurana odprowadzała go niespokojnym spojrzeniem.

- Pani - odezwał się Gerard, który w końcu odzyskał rezon. - Zgadzam się z Palinem. Nie możesz ufać temu marszałkowi Medanowi. Jest czarnym rycerzem. Choć czarni rycerze mówią o honorze i poświęceniu, ich słowa są tak samo puste, jak ich dusze.

- Wiem, że masz rację - przyznała Laurana. - Niemniej jednak nieraz już widziałam, jak nasienie dobra pada na najmroczniejsze bagno i wyrasta z niego zdrowa, piękna roślina, mimo że otaczają ją toksyczne miazmaty. J widziałam też, jak to samo nasienie, karmione łagodnymi deszczami i jasnym blaskiem słońca, daje początek czemuś, co jest brzydkie, wypaczone i rodzi gorzkie owoce.

Nadal patrzyła w kierunku, w którym oddalił się Palin. Wreszcie westchnęła, potrząsnęła głową i odwróciła się.

- Chodź, Tas. Chciałabym pokazać tobie i Gerardowi resztę cudów mojego domu.

Uradowany, ociekający wodą kender wygramolił się z sadzawki.

- Ty idź pierwszy, Gerardzie. Ja chcę przez chwilę porozmawiać z Laurana na osobności. To sekret - dodał.

Elfka uśmiechnęła się do kendera.

- Proszę bardzo, Tas. Zdradź mi swój sekret. Kalindasio - powiedziała do elfa, który cały ten czas czekał bez słowa - odprowadź Gerarda do jednego z naszych pokoi gościnnych.

Kalindas wykonał polecenie. Wskazując drogę rycerzowi, przemawiał uprzejmie, lecz nadal trzymał dłoń na rękojeści miecza.

Laurana została sam na sam z kenderem.

- Słucham, Tas. O co chodzi?

Kender miał wyjątkowo niespokojną minę.

- To bardzo ważne, Laurano. Masz pewność, że rzeczywiście jestem Tasslehoffem? Absolutną pewność?

- Tak, Tas, absolutną - zapewniła pobłażliwym tonem Laurana. - Nie wiem, jak to możliwe, ale nie wątpię, że jesteś Tasslehoffem.

- Ale wcale się nie czuję jak on - ciągnął z powagą kender.

- To prawda, że zachowujesz się dziwnie, Tas - przyznała Laurana. - Nie jesteś tak pełen radości, jak niegdyś. Może to żaloba po Caramonie. On miał dobre życie, Tas, pełne miłości, radości i niezwykłych wydarzeń. Zaznał też smutku i kłopotów, ale mroczne dni tylko dodają blasku tym jasnym. Byłeś jego dobrym przyjacielem. Kochał cię. Nie smuć się. On nie chciałby, żebyś był nieszczęśliwy.

- Nie dlatego jestem nieszczęśliwy - sprzeciwił się Tas. - To znaczy, byłem nieszczęśliwy po śmierci Caramona, bo ona była zupełnie niespodziewana, mimo że się jej spodziewałem. I smutek nadal ściska mnie czasami w gardle, kiedy pomyślę, że już go nie ma, ale z tym mogę żyć. To z tym drugim uczuciem nie mogę sobie poradzić, bo nigdy czegoś takiego nie zaznałem.

- Rozumiem. Może porozmawiamy o tym później. Laurana ruszyła w stronę domu, lecz Tas ze wszystkich sił uczeplił się jej rękawa.

- Chodzi mi o to, co poczułem, kiedy zobaczyłem smoczycę!

- Jaką smoczycę? - Laurana zatrzymała się i odwróciła. - Gdzie widziałeś smoczycę?

- Kiedy jechaliśmy z Gerardem do Qualinesti. Smoczyca przyleciała nam się przyjrzeć. Chyba... - Tas przerwał, po czym dokończył przeraźliwym szeptem: - Chyba się... przestraszyłem.

Popatrzył na Lauranę wybałuszonymi oczyma, spodziewając się, że elfka wpadnie do stawu, wstrząśnięta i przerażona tym nienaturalnym wydarzeniem.

- Miałeś rację, że się bałeś, Tas - odpowiedziała Laurana, przyjmując tę straszliwą wiadomość z całkowitym spokojem. - Smoczyca Beryl jest straszliwą, odrażającą bestią. Jej pazury są zbrukane krwią. Jest okrutnym tyranem i nie ty pierwszy poczułeś strach w jej obecności. Chodź, nie powinniśmy kazać innym czekać.

- Ale to jestem ja, Laurano! Tasslehoff Burrfoot! Bohater Lancy! - Tas uderzył się rozpaczliwie w pierś. - Ja się niczego nie boję. W innym czasie czeka olbrzym, który ma na mnie nadepnąć i prawdopodobnie rozgnieść mnie na miazgę. Kiedy o tym pomyślę, coś mnie ściska w żołądku, ale to jest coś całkiem innego. - Westchnął głęboko. - Na pewno się mylisz. Nie mogę być Tasslehoffem, jeśli się boję.

Nie ulegało wątpliwości, że kender jest autentycznie wstrząśnięty. Laurana przyjrzała mu się z namysłem.

- Tak, to coś innego. To bardzo dziwne. Widywałeś już smoki, Tas.

- Wszelkiego rodzaju - potwierdził z dumą kender. Niebieskie i czerwone, zielone i czarne, spizowe, miedziane, srebrne i złote. Kiedyś nawet leciałem na smoku. To było wspaniałe.

- I nigdy nie czułeś strachu?

- Pamiętam, że myślałem, iż smoki są piękne na swój straszliwy sposób. Bałem się, ale tylko o przyjaciół, nie o siebie. A przynajmniej niewiele.

- To samo z pewnością dotyczy innych kenderów - myślała głośno Laurana. - Tych, których teraz nazywamy „po - uszkodzonymi”. Niektórzy z nich z pewnością doświadczyli przed laty strachu przed smokami, podczas Wojny Lancy i później. Czemu te doświadczenia miałyby się od siebie różnić? Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

- Inne rasy rzadko się zastanawiają nad kenderami wtrącił Tas ze zrozumieniem w głosie. - Nie rób sobie wyrzutów.

- Mam powody - rzekła z westchnieniem Laurana. Powinniśmy byli jakoś pomóc kenderom. Ale działało się tyle ważniejszych rzeczy. A przynajmniej rzeczy, które wydawały się nam ważniejsze. Jeśli ten strach różni się od tamtego strachu, to ciekawe, czym może być? Może to zaklęcie?

- Tak jest! - krzyknął Tas. - Zaklęcie! Klątwa! - Zachwyciła go ta myśl. - Zostałem przeklęty przez smoczycę. Naprawdę tak sądzisz?

- No, nie wiem... - zaczęła Laurana, ale kender już jej nie słuchał.

- Klątwa! Jestem przeklęty! - Tasslehoff westchnął uszczęśliwiony. - Smoki robiły mi już wiele różnych rzeczy, ale żaden jeszcze mnie nie przeklął! To prawie tak samo dobre jak wtedy, gdy Raistlin wrzucił mnie zaklęciem do kaczego stawu. Dziękuję ci, Laurano - ciągnął, ściskając gorączkowo dłoń elfki i przypadkowo pozbawiając ją ostatniego z pierścieni. - Nie masz pojęcia, jak wielki ciężar zdjęłaś mi z barków. Mogę znowu być Tasslehoffem! Przeklętym Tasslehoffem! Chodźmy powiedzieć Palinowi! Jeśli już mowa o Palinie - dodał przeszywającym szeptem - to kiedy właściwie przystał do Czarnych Szat? Kiedy go ostatnio widziałem, był głową zakonu Białych Szat! Co go skłoniło do tej zmiany? Czy to było jak z Raistlinem? Czy w jego ciele pomiesz... mieszk... zamieszkuje ktoś inny?

- Czarne, białe, czerwone szaty, różnice między nimi nie mają już znaczenia, Tas - wyjaśniła Laurana. - Palin przywdział czarne szaty, bo chciał się wtopić w noc. - Popatrzyła dziwnie na kendera. - Palin nigdy nie był głową zakonu Białych Szat. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Sam zaczynam się zastanawiać - przyznał Tasslehoff. - Szczerze ci wyznam, Laurano, że w ogóle już nie wiem, co myśleć. Może ktoś pomieszkuje w moim ciele - dodał bez zbytej nadziei w głosie.

Wypełniało go mnóstwo dziwnych uczuć i po prostu nie było już w nim miejsca dla nikogo, innego.

Opowieść Tasslehoffa

Dom królowej matki przylegał do urwiska, z którego rozciągał się widok na Qualinesti. Jak wszystkie elfie budowle, został wtopiony w naturę i wydawał się częścią krajobrazu. W znacznej mierze było to słuszne wrażenie. Elfi budowniczo wie zaprojektowali dom w ten sposób, aby maksymalnie wykorzystać powierzchnię klifu. Widziany z oddali wyglądał jak zagajnik rosnący na sterczącej z urwiska szerokiej półce skalnej. Dopiero z bliska można było dojrzeć prowadzącą do domu ścieżkę oraz zorientować się, że drzewa są w rzeczywistości ścianami, ich gałęzie tworzą dach, a klif wiele ścian domu.

Północną ścianę atrium stanowił skalisty stok urwiska. Wokół rosło pełno kwiatów, małe drzewa kwitły, a na ich gałęziach śpiewały ptaki. Z urwiska spływał strumyk, rozlewający się po drodze w szereg maleńkich sadzawek. Ponieważ każda miała inną głębokość, woda wpadała do nich wydając odmienne dźwięki i tym samym tworząc cudowną muzyczną harmonię.

Tasslehoff wpadł w euforię, ujrawszy wewnątrz domu prawdziwy wodospad. Zaczął się wdrapywać na skały, ślizgając się niebezpiecznie po wilgotnej powierzchni. Głośno krzyczał i zachwyty na widok każdego ptasiego gniazda i wyrwał z korzeniami jakąś rzadką roślinę, próbując sięgnąć po jej kwiat. W końcu Kalindas ściągnął go siłą ze ściany, gdy kender spróbował wspiąć się na sufit.

To naprawdę był Tasslehoff. Im dłużej Palin na niego patrzył, tym więcej sobie przypominał i tym bardziej nabierał przekonania, że to ten sam kender, którego znał przed z górą trzydziestu laty. Zauważył, że Laurana również obserwuje Tasa. Patrzyła na niego w oszołomieniu, ledwo kryjąc zdumienie. Palin pomyślał, że być może Tasslehoff po prostu wędrował po świecie przez trzydzieści osiem lat, aż w końcu przyszło mu do głowy, aby wpaść do Caramona na pogawędkę.

Odrzucił jednak tę myśl. Inny kender mógłby tak postąpić, ale nie Tasslehoff. Jak lubił mawiać Caramon, Tas był wyjątkowym kenderem. Ale może wcale nie był taki wyjątkowy? Być może, gdyby poświęcili trochę czasu na zaznajomienie się z innymi przedstawicielami tej rasy, przekonaliby się, że wszyscy oni są wiernymi, współczującymi przyjaciółmi. Jeśli jednak Tas nie wałęsał się po świecie przez blisko czterdzieści lat, to gdzie się przez ten czas podziewał?

Palin wysłuchał z uwagą słów rycerza, który opowiedział o tym, jak Tasslehoff pojawił się w grobowcu w noc wielkiej burzy (ta zadziwiająca zbieżność natychmiast przyciągnęła uwagę maga) i że Caramon go rozpoznał, a zaraz potem umarł. Powtórzył też ostatnie słowa, które usłyszał od staruszka.

- Twój ojciec niepokoił się, że nie może znaleźć swego brata Raistlina. Mówił, że Raistlin obiecał na niego zaczekać. A potem wypowiedział swe ostatnie życzenie - dodał Gerard.

- Poprosił mnie, abym zaprowadził Tasslehoffa do Dalamara. Zakładam, że chodziło o okrytego złą sławą czarodzieja o tym imieniu?

- Tak sędzę - odparł wymijająco Palin, nie chcąc zdradzać swych myśli.

- Reguła mówi, że honor zobowiązuje mnie do spełnienia ostatniego życzenia umierającego. Ponieważ jednak czarodziej Dalamar zniknął i nikt o nim nie słyszał od wielu lat, nie wiem, co powinienem uczynić.

- Ja również nie - przyznał Palin.

Maga zaintrygowały ostatnie słowa jego ojca. Świetnie zdawał sobie sprawę, iż Caramon był przekonany, że Raistlin nie opuści padołu śmiertelników, dopóki brat nie dołączy do niego.

__ jesteście z Raistem bliźniakami - mawiał. - A ponieważ jesteście bliźniakami, żaden z nas nie może przejść do drugiego świata sam. Bogowie przyznali Raistowi spokojny sen, a potem obudzili go podczas Wojny Chaosu. Wtedy właśnie powiedział, że na mnie zaczeka.

Raistlin rzeczywiście wrócił z martwych podczas Wojny Chaosu. Odwiedził gospodę „Ostatni Dom” i spędził trochę czasu w towarzystwie brata. Według słów Caramona prosił go wtedy o wybaczenie. Palin nigdy nie kwestionował wiary, jaką pokładał jego ojciec w swym niewiernym bracie, choć osobiście sądził, że Caramon ulega pobożnym życzeniom.

Mimo to nie próbował wyperswadować ojcu tej wiary. W końcu nikt nie wiedział na pewno, co się dzieje z duszami zmarłych.

- Kender utrzymuje, że przeniósł się w czasie w przyszłość i przybył tu za pomocą magicznego urządzenia. - Gerard potrząsnął z uśmiechem głową. - Nigdy jeszcze nie słyszałem z ust tych złodziejasków równie oryginalnego usprawiedliwienia.

- To nie jest żadne usprawiedliwienie - sprzeciwił się głośno Tas. Próbował przerwać Gerardowi w kilku kluczowych punktach opowieści, aż wreszcie rycerz zagroził, że znowu go zaknebluje, jeśli się nie uspokoi. - Nie ukradłem tego urządzenia. Dał mi je Fizban. I naprawdę

przeniosłem się w przyszłość. Dwukrotnie. Za pierwszym razem się spóźniłem, a za drugim... nie wiem, co się stało.

- Pokaż mi ten magiczny artefakt, sir Gerardzie - poprosił Palin. - Może to pozwoli nam znaleźć odpowiedź.

- Ja ci go pokażę! - zawołał ochoczo Tas. Pogrzebał w kieszeniach, zajrzał pod koszulę, obmacał nogawki spodni.

- Wiem, że gdzieś go mam... Palin obrzucił rycerza oskarżycielskim spojrzeniem.

- Jeśli ten artefakt rzeczywiście jest tak cenny, jak mówisz, to dlaczego pozwoliłeś, aby pozostał w posiadaniu kendera? O ile jeszcze jest w jego posiadaniu...

- To nie moja wina - bronił się Gerard. - Nie pamiętam już, ile razy mu go odbierałem. Artefakt ciągle do niego wraca. Kender mówi, że na tym właśnie polega jego działanie.

Serce Palina zabiło szybciej, a jego krew się rozgrzała. Dłonie, które zawsze wydawały się zimne i odrętwiałe, wypełniło ożywcze mrowienie. Laurana wstała odruchowo.

- Palinie! Chyba nie sądzisz... - zaczęła.

- Znalazłem je! - oznajmił triumfalnie Tas, wyciągając artefakt z buta. - Chcesz je potrzymać, Palinie? To niczym nie grozi.

Artefakt był tak mały, że mieścił się w niewielkim kenderskim bucie, lecz podając go Palinowi, Tas musiał trzymać urządzenie w obu dłoniach. Mimo to Pałin nie zauważył, aby zmieniło kształt bądź się powiększyło. Bez względu na sytuację, jego kształt i rozmiar zawsze pozostawały takie same. Zmieniał się jedynie sposób, w jaki obserwator postrzegał artefakt, natomiast sam artefakt pozostawał niezmienny.

Starożytne klejnoty - rubiny, szafiry, diamenty i szmaragdy - połyskiwały w blasku słońca, zmieniając jego promienie w plamy tęczowego blasku pokrywające ściany i podłogę.

Palin wyciągnął okaleczone ręce, aby sięgnąć po urządzenie, zawahał się jednak. Nagle ogarnął go strach. Nie bał się tego, że artefakt może mu wyrządzić jakąś krzywdę. Doskonale wiedział, że to niemożliwe. Widział go już kiedyś, gdy był małym chłopcem. Jego ojciec z dumą pokazywał dzieciom urządzenie. Mag uczył się też o nim w młodości. Widział przedstawiające je rysunki w księgach w Wieży Wielkiej Magii. To było urządzenie do podróżowania w czasie, jeden z największych i najpotężniejszych artefaktów stworzonych przez mistrzów w całej historii wież magii. Choć nie mogło go w żaden sposób zranić, jego dotyk wyrządzi mu straszliwą, nieodwracalną szkodę.

Znał z doświadczenia przyjemność, którą odczuje, gdy dotknie artefaktu. Przepłyńcie przez niego dawna magia, czysta, umiłowana magia, która przychodziła do niego nieskalana jako dar wiary, błogosławieństwo bogów. Wyczuwał ją, ale dość słabo, tak jak czuje się zapach płatków róży

ściśniętych między kartami księgi, tak że ich słodka woń staje się jedynie wspomnieniem. A ponieważ było to tylko wspomnienie, po przyjemności nadejdzie ból. Rozpaczliwy, przesywający ból utraty.

Mimo to nie potrafił się powstrzymać. Powiedział sobie: „Być może tym razem uda mi się ją zatrzymać. Być może tym razem, dzięki temu artefaktowi, wróci do mnie magia”.

Dotknął urządzenia drżącymi, powykręcanymi palcami.

Chwała... jasność... poddanie się...

Palin krzyknął głośno, zaciskając zgruchotane palce na artefakcie. Klejnoty boleśnie kaleczyły jego ciało.

Prawda... piękno... sztuka... życie...

Łzy paliły mu powieki, spływały po policzkach.

Śmierć... żal... pustka...

Palin zaszlochał gorzko i rozpaczliwie nad wszystkim, co utracił. Płakał nad śmiercią ojca, nad trzema księżycami, które zniknęły z nieba, nad swymi połamanymi dłońmi, nad zdradą, której się dopuścił wobec wszystkiego, w co wierzył, nad własną niestałością i rozpaczliwym pragnieniem ponownego odnalezienia ekstazy.

- On jest chory. Czy nie powinniśmy jakoś mu pomóc? - zapytał zakłopotany Gerard.

- Nie, panie rycerzu. Zostaw go - upomniała go łagodnie Laurana. - Nie możemy mu pomóc. Nie możemy i nie powinniśmy. To dla niego konieczne. Choć w tej chwili cierpi, to cierpienie przyniesie mu ulgę.

- Przepraszam cię, Palinie - zawołał dręczony wyrzutami sumienia Tas. - Nie wiedziałem, że to ci może zaszkodzić. Daję słowo! Mnie nic się nigdy nie stało.

- Pewnie, że tobie nic się nie stało, ty podły kenderze! warknął Palin. Ból wydawał mu się żywą istotą, która owinęła s'ę wokół jego serca, tłukąc się w piersi niczym ptak schwytyany przez węża. - Dla ciebie to jedynie ładna zabawka. Dla mnie to narkotyk, który przynosi piękne, cudowne sny. Głos mu się załamał. - Dopóki działanie nie ustąpi. Sny się kończą i obudzę się w gorzkiej rzeczywistości, w której zamiast magii są jedynie codzienna mordęga i rozpacz.

Zacisnął dłoń na urządzeniu, przesłaniając światło jego klejnotów.

- Kiedyś - ciągnął pełnym napięcia głosem - również potrafiłem tworzyć piękne i cudowne artefakty, takie jak ten. Kiedyś mogłem się stać tym, kim według ciebie byłem: głową zakonu Białych Szat. Kiedyś mogła mnie czekać przyszłość, którą przepowiedział mi stryj. Kiedyś mogłem zostać czarodziejem, zdolnym, wspaniałym i potężnym. Oto, co widzę, gdy patrzę na to urządzenie. Ale kiedy spojrzę w zwierciadło, widzę coś zupełnie innego.

Otworzył dłoń. Gorzkie łzy przesłoniły mu oczy i nie widział już urządzenia, a jedynie blask jego magii, migotliwy i drwiący.

- Magia mnie opuszcza, moje siły z dnia na dzień słabną. Bez magii zostanie nam tylko jedna nadzieja. Nadzieja, że śmierć będzie lepsza od tego koszmarnego życia!

- Palinie, nie wolno ci tak mówić! - skarciła go ostro Laurana. - Tak właśnie myśleliśmy w mrocznych dniach przed Wojną Lancy. Pamiętam, jak Raistlin powtarzał coś w tym sensie. Że nadzieja jest jak cukier zawieszony przed nosem pociągowego konia, aby skłonić go do ciągnięcia wozu. My jednak nie przestaliśmy go ciągnąć i w końcu doczekaliśmy się nagrody.

- To prawda - zgodził się Tas. - Zjadłem ten cukier.

- Ładna mi nagroda - zadrwił Palili. - Ten nędzny świat, w którym przyszło nam żyć!

Dotknięcie artefaktu sprawiało mu ból. Palin ścisnął go tak mocno, że pokaleczyły go ostre krawędzie klejnotów. Mimo to nie przestawał głaskać go pożądliwie. Ból wydawał mu się nieporównanie lepszy od odrętwienia.

Gerard chrząknął z zawstydzoną miną.

- To znaczy, że miałem rację? - zapytał nieśmiało. - To rzeczywiście jest potężny artefakt z Czwartej Ery?

- Tak - potwierdził Palin.

Czekali, aż powie coś więcej, lecz on tego nie uczynił. Chciał, żeby sobie poszli. Pragnął zostać sam, aby uporządkować myśli, które miotaly się w jego głowie niczym szczury w jaskini, w której ktoś zapalił światło. Kryły się w mrocznych jamach, wciskały się w szczeliny, a niektóre z nich spoglądały błyszczącymi, pełnymi fascynacji oczkami na jasny ogień. Musiał jakoś wytrzymać ich obecność, ich głupotę, ich ciche pytania. Musiał wysłuchać reszty opowieści Tasslehoffa.

___ Powiedz mi, co się wydarzyło, Tas - zażądał. - Tylko bez żadnych bajeczek o mamutach. To jest bardzo ważne.

___ Rozumiem - rzekł kender, który był wyraźnie zatroskany cierpieniem maga. - Obiecuję, że będę mówił prawdę. Wszystko to zaczęło się pewnego dnia, gdy poszedłem na pogrzeb kenderki, która była moją bardzo bliską przyjaciółką. Poznałem ją poprzedniego dnia. Zabiło ją niefortunne spotkanie z bugbearem. To było tak... hmm... - Tas zauważył, że Palin ściągnął groźnie brwi. - ...nieważne, jak mawiają gnomowie. Później wam o tym opowiem. Tak czy inaczej, podczas tego pogrzebu przyszło mi do głowy, że bardzo niewielu kenderów dożywa wieku, w którym można by ich uznać za starych. Sam żyłem już znacznie dłużej niż większość moich pobratymców, których znałem i nagle zdałem sobie sprawę, że Caramon zapewne pożyje znacznie dłużej ode mnie, a naprawdę bardzo pragnąłem powiedzieć wszystkim przed śmiercią, jakim był dla mnie dobrym przyjacielem. Wydawało mi się, że najlepszą okazją byłby jego pogrzeb, ale jeśli Caramon miał mnie przeżyć, trudno by mi było się zjawić na jego pogrzebie. Tak czy inaczej, pewnego dnia wytłumaczyłem ten

problem Fizbanowi, a on powiedział, że jego zdaniem to, co pragnę zrobić, byłoby dobrym i szlachetnym uczynkiem i on potrafi mi pomóc w tej sprawie. Będę mógł wygłosić mowę na pogrzebie Caramona, jeśli przeniosę się w przyszłość do czasu, gdy będą go chować. Dał mi to urządzenie i powiedział, jak ono działa. Udzielił mi też ścisłych wskazówek. Miałem skoczyć prosto naprzód, wygłosić mowę i natychmiast wrócić. Powiedział: » Tylko żebyś nigdzie nie zabradziażył”. Swoją drogą - dodał zaniepokojony Tas - chyba nie sądzicie, że uznałby tę podróż za „zabradziażenie”, co? Bo naprawdę się cieszę, że znowu widzę starych przyjaciół. To znacznie zabawniejsze niż rozdeptanie przez olbrzyma.

- Opowiadaj dalej, Tas - rzucił nerwowo Palin. - O tym porozmawiamy później.

- Tak, masz rację. No więc włączyłem urządzenie i przeniosłem się w przyszłość, ale, no wiesz, Fizbanowi czasami zdarza się coś pokręcić. Często zapomina, jak ma na imię, albo nie wie, gdzie położył kapelusz, chociaż ma go na głowie, czy nie potrafi sobie przypomnieć, jak się rzuca kule ogniste. Dlatego myślę, że popełnił jakiś błąd w obliczeniach, bo kiedy po raz pierwszy przeniosłem się w przyszłość, było już po pogrzebie. Spóźniłem się. Przybyłem akurat na posiłek. Bardzo się ucieszyłem, że mogę wszystkich zobaczyć, a ptysie z serkiem śmietankowym, które zrobiła Jenna, były naprawdę przepyszne. Nie udało mi się zrealizować planu. Pamiętałem, że obiecałem Fizbanowi, iż nigdzie nie zabradziażę, więc natychmiast wróciłem. Szczerze mówiąc... - Tas zwiesił głowę i zaszurał nogami - ...potem zupełnie zapomniałem o mowie na pogrzebie Caramona. Miałem poważne powody. Nadeszła Wojna Chaosu i walczyliśmy z widmami, i spotkałem Dougana i Uszę. No wiesz, Palinie, twoją żonę. Wszystko to było bardzo interesujące i ekscytujące. A potem nadszedł koniec świata i ten okropny olbrzym miał mnie rozdeptać i w tej właśnie chwili przypominałem sobie, że jeszcze nie przemówiłem na pogrzebie Caramona. Dlatego bardzo szybko uruchomiłem urządzenie i przybyłem tu po to, żeby opowiedzieć, jakim dobrym przyjacielem był Caramon, nim jeszcze olbrzym mnie rozdepcze.

- To śmieszne - odezwał się Gerard, potrząsając głową.

- Wybacz mi - rzeki Tas, który również potrafił przemawiać surowym tonem - ale to nieuprzejme przerywać innym. Tak więc, przybyłem tutaj i trafiłem do grobowca, a Gerard znalazł mnie w nim i zaprowadził do Caramona. W ten sposób mogłem przekazać staruszkowi, co mam zamiar powie - dzieć na pogrzebie. Bardzo mu się to spodobało, ale nic nie wyglądało tak, jak za pierwszym razem. O tym też opowiedziałem Carainonowi i wyglądał na bardzo zaniepokojonego, ale umarł, nim zdążył cokolwiek w tej sprawie zrobić. A potem nie mogłem znaleźć Raistlina, chociaż wiedział, że Raistlin nigdy nie przeszedłby do drugiego życia bez brata. Dlatego powiedział, że muszę odszukać Dalamara. - Tas zaczerpnął głęboko tchu, gdyż zużył na tę opowieść większość zapasów powietrza. - Dlatego właśnie tu jestem.

- Wierzysz w to, pani? - zapytał Gerard.

- Nie wiem, w co mam wierzyć - odrzekła cicho Laurana. Zerknęła na Palina, lecz on starannie unikał jej spojrzenia, udając, że jest zaabsorbowany oglądaniem urządzenia, jakby spodziewał się znaleźć na nim odpowiedzi, wygrawerowane na lśniącej metalowej powierzchni.

- Tas - zaczął cicho, nie chcąc ujawniać, w jakim kierunku zmiierzają jego myśli - powtórz mi

wszystko, co zapamiętałeś z tego pierwszego pogrzebu mojego ojca.

Tasslehoff spełnił jego prośbę. Opowiedział o tym, że przybyli Dalamar i lady Crysania, Riverwind i Goldmoon, rycerze solamnijscy przysłali przedstawiciela, który przyjechał aż z Wieży Wielkiego Klerysta, Gilthas reprezentował elfie królestwo Qualinesti, a Silvanoshei swoje królestwo Silvanesti. Zjawili się też Porthios i Alhana, która była piękna jak zawsze.

- Ty też tam byłaś, Laurano, i powiedziałaś, że jesteś bardzo szczęśliwa, bo dożyłaś chwili, gdy spełniło się twoje marzenie. Elfie królestwa zjednoczyły się w pokoju i braterstwie.

- To tylko historyjka, którą sobie wymyślił - rzucił zniecierpliwiony Gerard. - Jedna z tych opowieści o tym, co by było gdyby.

- Co by było gdyby - powtórzył Palin, spoglądając na iskierki słonecznego blasku, odbijające się w klejnotach. Ojciec też opowiadał mi kiedyś podobną historię. - Zerknął na Tasa. - Kiedyś przeniosłeś się w przyszłość razem z nim, prawda?

- To nie była moja wina - zapewnił pośpiesznie kender.

- Przenieśliśmy się za daleko. Rozumiesz, chcieliśmy wrócić do naszego czasu, to znaczy do roku 356, ale popełniliśmy błąd i wylądowaliśmy w trzysta pięćdziesiątym ósmym. Nie w 358, który nastąpił w 358, ale w innym, naprawdę okropnym 358. Znaleźliśmy tam grób Tiki, biedną Bupu, która leżała martwa na ziemi, i zwłoki Caramona. To był 358, który na szczęście nigdy się nie wydarzył, bo cofnęliśmy się z Caramonem w czasie i dopilnowaliśmy, żeby Raistlin nie został bogiem.

- Caramon kiedyś mi o tym opowiadał - przyznał Gerard. - Myślałem wtedy... no wiecie, był już stary i lubił powtarzać różne historie, więc właściwie nigdy nie traktowałem jego opowieści poważnie.

- Mój ojciec wierzył, że to wydarzyło się naprawdę - rzekł Palin. Nie chciał jednak dodać nic więcej.

- Ale czy ty w to wierzysz, Palinie? - nie ustępowała Laurana. - A co ważniejsze, czy wierzysz w prawdziwość opowieści Tasa? W to, że rzeczywiście przeniosł się w czasie? Co na ten temat sądzisz?

- Sądzę, że powinienem się więcej dowiedzieć o tym urządzeniu - odparł. - Chyba właśnie dlatego mój ojciec chciał, żeby je zabrano do Dalamara. On jest jedyną osobą na świecie, która była przy tym, jak mój brat używał magii tego artefaktu.

- Ja też tam byłem! - przypomniał im Tas. - A teraz jestem tutaj.

- To prawda - przyznał Palin, obrzucając go chłodnym spojrzeniem. - Rzeczywiście jesteś.

W jego głowie zrodziła się pewna myśl. Była to zaledwie iskierka, małeńki płomyk w niezmierzonej ciemności. To jednak wystarczyło, aby szczury pierzchły w popłochu.

- Nie możesz zapytać Dalamara - zauważyła Laurana.

- Nikt go nie widział od chwili, gdy wrócił z Wojny Chaosu.

- Nie masz racji, Laurano - sprzeciwił się Palin. Jedna osoba widziała go przed jego tajemniczym zniknięciem. Jego kochanka Jenna. Zawsze twierdziła, że nie ma pojęcia, gdzie on się podział, ale ja nigdy jej nie wierzyłem. Niewykluczone, że będzie coś wiedziała o tym artefakcie.

- A gdzie mieszka ta Jenna? - zapytał Gerard. - Twój ojciec polecił mi zabrać kendera i to urządzenie do Dalamara. Może nie zdołam tego dokonać, ale przynajmniej odprowadzę ciebie i kendera...

Palin pokręcił przecząco głową.

- To nie będzie możliwe, panie rycerzu. Pani Jenna mieszka w Palanthas. Nad tym miastem panują czarni rycerze.

- Nad Qualinesti również - zauważył Gerard z lekkim uśmiechem.

- Co innego przemknąć niepostrzeżenie przez lesiste granice Qualinesti, a co innego przedostać się do otoczonego murami, pilnie strzeżonego miasta, jakim jest Palanthas - zaproponował Palin. - Poza tym, podróż trwałaby stanowczo zbyt długo. Łatwiej będzie spotkać się z Jenna w pół drogi. Być może w Solące.

- Ale czy ona będzie mogła opuścić Palanthas? - zapytała Laurana. - Myślałam, że czarni rycerze nie tylko nie wpuszczają nikogo do miasta, lecz również nie pozwalają nikomu go opuszczać.

- Podobne ograniczenia mogą dotyczyć zwyczajnych osób, ale nie pani Jenny - odparł z ironią Palin. - Odkąd rycerze zdobyli miasto, Jenna stara się żyć z nimi dobrze. Bardzo dobrze, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Jej młodość już minęła, ale nadal może się podobać. Jest też najbogatszą kobietą i jednym z najpotężniejszych magów w Solamni. Nie, Laurano, Jenna nie będzie miała trudności z dotarciem do Solące.

Podniósł się. Musiał poszukać samotności, aby chwilę pomyśleć.

- Ale czyjej moce nie słabną, tak samo jak twoje, Palinie? - zaniepokoiła się Laurana.

Zacisnął usta w grymasie niezadowolenia. Nie lubił mówić o swej niemocy, tak jak ktoś cierpiący na raka pragnie unikać tematu swej choroby.

- Jenna, podobnie jak ja, ma pewne artefakty, które wciąż dla niej działają. To niewiele - dodał zgryźliwie - ale jakoś sobie radzimy.

- Być może to rzeczywiście najlepszy plan - zgodziła się Laurana. - Ale jak chcesz wrócić do Solące? Trakty są zamknięte...

Palin przygryzł wargę, przełknął pełne goryczy słowa. Czy nigdy nie przestaną zawracać mu

głowy?

- Nie dla jednego z czarnych rycerzy - zauważył Gerard. - Pozwól, bym posłużył ci jako eskorta. Przyjechałem tu z więźniem kenderem, a odjeżdżam z więźniem człowiekiem.

- Tak, tak, to dobry plan, panie rycerzu - rzucił niecierpliwie Palin. - Dopracuj szczegóły. - Zaczął się oddalać, pragnąc skryć się wreszcie w ciszy swej izby, lecz przyszło mu do głowy jeszcze jedno ważne pytanie. Zatrzymał się i odwrócił. - Czy ktoś jeszcze wie, że odkryto ten artefakt?

- W tej chwili zapewne już. połowa Solące - odparł ponurym tonem rycerz. - Kender nie starał się zbytnio zachować tajemnicy.

- W takim razie nie możemy tracić czasu - stwierdził krótko Palin. - Skontaktuję się z Jenną.

- Ale jak to zrobisz? - zainteresowała się Laurana.

- Mam swoje sposoby - odparł, wykrzywiając sarkastycznie usta. - To niewiele, ale jakoś sobie radzę.

Wyszedł szybko z pokoju, nie oglądając się za siebie. Nie musiał tego robić. Czuł jej ból i smutek, które towarzyszyły mu niczym łagodny duch. Zawstydział się i omal nie zawrócił, aby ją przeprosić. W końcu był jej gościem, ukrywała go z narażeniem życia. Zawahał się, lecz potem ruszył naprzód.

Nie - pomyślał z zawziętością. - Laurana nic nie rozumie. I Usha też nie. Ani ten zuchwały, arogancki rycerz. Nikt z nich nie potrafi tego zrozumieć. Nie wiedzą, przez co przeszedłem, ile wycierpiałem. Ile straciłem.

Kiedyś potrafiłem dotknąć umysłów bogów!

Ta myśl była niczym bezgłośny krzyk bólu.

Zatrzymał się i wsłuchał w ciszę, aby sprawdzić, czy przy - padkiem nie usłyszy cichej odpowiedzi na swój krzyk, lecz jak zwykle słyszał jedynie głucho echo.

Myślał, że odzyskałem wolność. Że moje męki się skończyły.

Są w błędzie.

Nadal żyję w posępnym więzieniu. Tortury ciągną się bez końca. Otaczają mnie szare ściany. Siedzę we własnym plugastwie. Kości mojego ducha pękają. Dręczy mnie głód tak wielki, że pożeram sam siebie. Pragnienie tak potężne, że piję własne nieczystości. Oto, kim się stałem.

Dotarł do upragnionego azylu, czyli swego pokój, zatrzasnął za sobą drzwi i przyciągnął krzesło, by je zabarykadować. Żadnemu elfowi nigdy by nie przyszło do głowy zakłócać prywatności kogoś, kto zamknął drzwi do swego pokoju, lecz Palin już im nie ufał. Nie ufał nikomu.

Usiadł za biurkiem, ale nie napisał listu do Jenny. Wziął w rękę mały, srebrny kolczyk, który nosił w uchu, i wypowiedział zaklęcie. Te słowa mogły już nie mieć znaczenia, jako że nie było nikogo, kto by ich wysłuchał. Czasami artefakty działały bez rytualnych słów, w przypadku innych słowa były konieczne, a jeszcze inne w ogóle nie chciały działać. To ostatnie zdarzało się coraz częściej.

Powtórzył słowa i dodał do nich imię „Jenna”.

Pewien głodujący czarodziej sprzedał jej sześć srebrnych kolczyków. Nie chciał powiedzieć, skąd je ma, wymamrotał tylko, że dostał je w spadku po zmarłym wujku.

- Kolczyki z pewnością były kiedyś własnością zmarłego - wyjaśniła Palinowi Jenna. - Ale on nie otrzymał ich w spadku. Ukradł je.

Nie zagłębiała się w szczegóły. Wielu ongiś szanowanych czarodziejów - w tym również sam Palin - szukało obecnie magii tak rozpaczliwie, że zniżali się nawet do rabowania grobów. Czarodziej opisał Jennie działanie kolczyków i wyznał, że nie sprzedałby ich, gdyby nie zmusiła go do tego konieczność. Zapłaciła mu znaczną sumę, lecz zamiast wystawić kolczyki na sprzedaż w swym sklepie, dała jeden z nich Palinowi, a drugi jego synowi Ulinowi. Nie powiedziała mu, kto nosi pozostałe, a on jej o to nie pytał. Były czasy, że magowie z Konklawe ufali sobie nawzajem, lecz w tych mrocznych dniach, gdy magia stawała się coraz słabsza, spoglądali na siebie z ukosa, zadając sobie pytania: „Czy on ino więcej niż ja? Czy znalazł coś, na co ja nie natrafiłem? Czy dano mu moc, której ja nie otrzymałem?”.

Odpowiedź nie nadchodziła. Palin powtórzył z westchnieniem słowa i potarł kolczyk palcem. Gdy używał kolczyka po raz pierwszy, zaklęcie zadziało natychmiast. Teraz potrzeba było trzech albo czterech prób i zawsze dręczyła go obawa, że tym razem w ogóle może się nie udać.

- Jenno! - wyszeptał niecierpliwie.

Jego twarz musnęło coś wiotkiego i delikatnego niczym skrzydełka muchy. Machnął poirytowany dłonią, ale opuściła go koncentracja. Wypatrywał owada, chcąc go przegnać, lecz nigdzie go nie zauważył. Chciał już ponowić próbę rzucenia zaklęcia, gdy usłyszał w myślach odpowiedź Jenny: - Palinie...

Skupił się, starając usilnie, aby wiadomość była jak najkrótsza, na wypadek, gdyby magia nagle przestała działać.

- Pilna sprawa. Spotkajmy się w Solące. Natychmiast.

- Zjawię się bezzwłocznie.

Jenna nie powiedziała nic więcej, nie chcąc marnować czasu i swej magii na zadawanie pytań. Ufała mu. Wiedziała, że nie wzywałby jej bez ważnego powodu.

Palin spojrział na urządzenie, które ścisnął w pogruchotanych dłoniach.

Czy to jest klucz do mojej celi? - zapytywał siebie. Czy tylko kolejne smagnięcie biczem?

- Bardzo się zmienił - zauważył Gerard, gdy Palin opuścił atrium. - Nie poznałbym go. A to, jak mówił o ojcu...

Rycerz potrząsnął w zadumie głową.

- Gdziekolwiek przebywa Caramon, jestem pewna, że to zrozumie - stwierdziła Laurana. - To prawda, że Palin się zmienił, ale jak mogłoby być inaczej po tak straszliwych przejściach? Nie sądzę, by ktokolwiek z nas miał się kiedyś dowiedzieć, jakie męczarnie zadały mu Szare Szaty. A jeśli już o nich mowa, to jak zamierzacie dotrzeć do Solące? - zapytała, zręcznie zmieniając temat rozmowy.

- Mam konia, tego karego. Pomyślałem sobie, że Palin mógłby pojechać na tym mniejszym, którego wynająłem dla kendera.

- A ja pojedę z tobą na Czarnulu! - oznajmił z zadowoleniem Tas. - Nie jestem pewien, czy Jabłuszko polubi Palina, ale jeśli z nią porozmawiam...

- Ty nigdzie nie jedziesz - oznajmił prosto z mostu Gerard.

- Nie jadę! - zdumiał się Tas. - Przecież jestem ci potrzebny!

Rycerz zbył te słowa wzruszeniem ramion. Z pewnością ze wszystkich słów wypowiedzianych przez kendera te właśnie miały największą szansę na to, że zostaną zignorowane.

- Podróż potrwa wiele dni, ale na to nic się nie poradzi. Wygląda na to, że jedyne wyjście...

- Mam inną propozycję - przerwała mu Laurana. Możecie polecieć do Solące na gryfach. Palin przybył tu w ten sposób i może tak odlecieć. Zabralibyście się z nim. Mój sokół Jasnoskrzydły zanieś do nich wiadomość i gryfy przybędą tu pojutrze. Wieczorem tego samego dnia będziecie już w Solące.

Gerard ujrzał oczyma wyobraźni, jak leci na grzbiecie gryfa, czy może raczej jak z niego spada i rozbija się o ziemię. Zaczerwienił się i wymamrotał pod nosem, rozpaczliwie szukając odpowiedzi, która nie zrobiłaby z niego kompletnego tchórza: - Nie chciałbym wykorzystywać... Powinniśmy wyruszyć natychmiast...

- Nonsens. Przyda się wam odpoczynek - odparła Laurana, uśmiechając się, jakby rozumiała prawdziwe motywy jego niechęci. - W ten sposób zaoszczędzicie z górą tydzień. Jak powiedział Palin, musimy działać szybko, nim Beryl zorientuje się, że na jej ziemiach znalazło się tak wartościowe urządzenie magiczne. Jutro po zapadnięciu zmroku Kalindas zaprowadzi was na miejsce spotkania.

- Nigdy nie leciałem na gryfie - ujawnił swe doświadczenia Tas. - A przynajmniej nie przypominam sobie takiego faktu. Wujek Trapspringer kiedyś leciał. Opowiadał...

- Nie - przerwał mu stanowczo Gerard. - W żadnym wypadku. Zostaniesz z królową matką,

jeśli ona się zgodzi. To wystarczająco niebezpieczne przedsięwzięcie...

Jego głos ucichł stopniowo.

Magiczne urządzenie znowu znalazło się w posiadaniu kendera. Tasslehoff spokojnie wsadzał je pod koszulę.

Daleko od Qualinesti, ale nie tak daleko, aby nie mogła tam sięgnąć swym wzrokiem i słuchem, wielka zielona smoczyca Beryl spoczywała w swym porośniętym splątanymi pnączami leżu, rozpamiętując wyrządzone jej krzywdy. Krzywdy, które kłuły ją i sprawiały ból niczym złośliwe pasożyty. Podobnie jak w przypadku zakażenia pasożytami mogła się drapać to tu, to ówdzie, ale swędzenie przechodziło tylko w inne miejsce i nigdy nie mogła się go pozbyć.

W centrum jej kłopotów znajdowała się wielka czerwona smoczyca, monstrualna bestia, której Beryl bała się bardziej niż czegokolwiek na świecie, mimo że prędzej pozwoliłaby urwać sobie zielone skrzydła i zawiązać w supeł potężny, zielony ogon, nim przyznałaby się do tego głośno. Ten strach był głównym powodem, dla którego Beryl zgodziła się przed trzema laty zawrzeć pakt. Widziała oczyma wyobraźni własną czaszkę zdobioną totem Malys. Nie tylko chciała zachować czaszkę, lecz również była zdecydowana nigdy nie dać swej spasionej czerwonej kuzynce tej satysfakcji.

Zawarcie pokoju między smokami wydawało się przed trzema laty dobrym pomysłem. Pakt położył kres krwawej smoczej czystce, podczas której smoki zabijały nie tylko śmiertelników, lecz również swych pobratymców. Te z nich, które zachowały życie i nadal były potężne, podzieliły między siebie Ansalon, pozostawiając nietknięte niektóre ze spornych terenów, takie jak Abanasinia.

Pokój przetrwał około roku, po czym zaczął się załamywać. Gdy Beryl poczuła, że jej magiczne moce zaczynają słabnąć, oskarżyła o to elfów i ludzi, w głębi duszy wiedziała jednak, kto jest za to odpowiedzialny. To Malys kradła jej magię. Nic dziwnego, że jej czerwona kuzynka nie musiała już zabijać swych pobratymców! Znalazła jakiś sposób, który pozwalał jej okradać inne smoki z mocy. Magia była dla Beryl podstawowym środkiem obrony przed silniejszą kuzynką. Bez niej zielona smoczyca stałaby się bezradna jak krasnoiud źlebowy.

Zapadła noc, a Beryl nie przestawała dumać. Ciemność spowiła jej leże niczym kolejne wielkie pnącze. Smoczyca zasnęła, ukołysana swymi planami i spiskami. Śniło jej się, że w końcu znalazła legendarną Wieżę Wielkiej Magii w Wayreth. Owinęła wokół niej swe potężne cielsko i poczuła, jak napływa do niego moc, ciepła i słodka jak krew złotego smoka...

- Czcigodna!

Syczący głos wyrwał ją z przyjemnego snu. Beryl zamrugała powiekami i prychnęła głośno. Liście wzbily się w górę, niesione powiewem trującego gazu.

- Słucham, o co chodzi? - zapytała, skupiając spojrzenie na źródle syku. Zupełnie nieźle widziała w ciemności i nie potrzebowała światła.

- Przybył posłaniec z Cjualinostu - oznajmił jej sługa, smokowiec. - Twierdzi, że wieści są pilne. W przeciwnym razie nie przeszkadzałbym ci.

- Przyślij go tu.

Smokowiec pokłonił się i odszedł. Pojawił się następny przedstawiciel tego gatunku, baaz imieniem Groul. Był to jeden z ulubieńców Beryl, zaufany posłaniec, który wędrował między jej leżem a Qualinesti. Smokowców stworzono w czasach Wojny Lancy, gdy czarodzieje w czarnych szatach i źli klerycy wierni Takhisis ukradli jaja dobrych smoków i obudzi - li w nich ohydne życie pod postacią owych skrzydlatych jaszczuroludzi. Tak jak wszyscy jego pobratymcy, baaz chodził na dwóch muskularnych nogach, lecz w razie potrzeby mógł biegać na czterech kończynach, przyspieszając jeszcze bieg za pomocą skrzydeł. Jego ciało pokrywała łuska o matowym, metalicznym połysku. Nosił niewiele ubrania, gdyż jedynie krępowałyby ono jego ruchy. Jako posłaniec był lekko uzbrojony - miał krótki miecz, który przytroczył sobie na plecach między skrzydłami.

Beryl całkowicie się rozbudziła. Groul był lakonicznym stworzeniem, które rzadko okazywało jakiegokolwiek uczucia, ale dzisiaj wydawał się wyraźnie z siebie zadowolony. W jego jaszczurczych oczach błyszczało podniecenie i odsłaniał kły w szerokim uśmiechu.

Beryl przetoczyła masywne cielsko, zanurzając się głębiej w błoto, by ułożyć się wygodniej.

- Wieści z Qualinostu? - zapytała od niechcienia. Nie chciała okazywać podniecenia.

- Tak, Czcigodna - potwierdził Groul. Podeszedł bliżej i zatrzymał się przed jednym z olbrzymich pazurów przedniej łapy. - Nadzwyczaj interesująca wiadomość dotycząca królowej matki Laurany.

- Doprawdy? Czy ten głupi rycerz Medan nadal się w niej kocha?

- Oczywiście. - Groul zlekceważył to jako stare, nieaktualne wieści. - Według naszego szpiega cały czas ją osłania. To jednak nie jest takie złe, pani. Królowa matka wierzy, że nic jej nie grozi i dzięki temu udało nam się odkryć, co knują elfowie.

- To prawda - przyznała Beryl. - Dopóki Medan pamięta, komu w pierwszej kolejności winien jest wierność, pozwolę mu na drobne flirty. Do tej pory służył mi dobrze i w razie czego łatwo będzie go usunąć. Co jeszcze? Mam wrażenie, że na tym nie koniec...

Smoczyca położyła głowę na ziemi, aby patrzeć smokowcowi prosto w oczy i przeszyła go dociekliwym spojrzeniem.

Beryl udzieliło się jego podniecenie, czuła, że wypełnia ją dreszcz. Poruszyła lekko ogonem i wbiła pazury głębiej w muł.

Groul podeszedł jeszcze bliżej.

- Przed kilkoma dniami meldowałem ci, że w domu królowej matki ukrywa się ludzki mag

Palin Majere. Zastanawialiśmy się nad powodem jego wizyty i zasugerowałam, że szuka tam magicznych artefaktów.

- Tak - zgodziła się Beryl. - Mów dalej.

- Czcigodna, mam przyjemność zameldować, że znalazł podobny artefakt.

- Naprawdę? - Oczy Beryl zaślniły, rzucając na postać smokowca niesamowity, zielony blask.

- A co to za artefakt? Na czym polega jego działanie?

- Według naszego elfiego szpiega może mieć coś wspólnego z podróżowaniem w czasie. Artefakt jest w posiadaniu kendera, który twierdzi, że przybył z dawnej epoki, sprzed Wojny Chaosu.

Beryl ponownie prychnęła, wypełniając leże toksycznymi oparami. Smokowiec zakrztusił się i rozkasłał.

- Te małe paskudy opowiadają przeróżne rzeczy. Jeśli to wszystko...

- Nie, nie, Czcigodna - zapewnił pośpiesznie Groul, gdy już odzyskał zdolność mówienia. - Nasz elfi szpieg donosi, że Palin Majere był niezwykle podekscytowany tym znaleziskiem. Tak bardzo podekscytowany, że postanowił natychmiast opuścić Qualinost, aby zbadać artefakt.

- Naprawdę? - Beryl uspokoiła się i uśmiechnęła wygodniej. - Był podekscytowany. To znaczy, że artefakt jest potężny. On ma nosa do takich rzeczy, jak mówiłam Szarym Szatom, kiedy chcieli go zabić. Powiedziałam: „wypuście go, a on zaprowadzi nas do magii jak świnia do trufli”. Jak możemy zdobyć ten artefakt?

- Czcigodna, pojutrze mag i kender opuszczą Qualinesti na grzbiecie gryfa, który zabierze ich do Solące. To będzie najlepszy moment, aby ich pojmać.

- Wróc do Qualinostu. Zawiadom Medana...

- Wybacz, Czcigodna, ale nie dopuszczają mnie do marszałka. Cały nasz rodzaj budzi w nim odrazę.

- Z dnia na dzień coraz bardziej upodabnia się do elfa - warknęła Beryl. - Pewnego poranka obudzi się ze spiczastymi uszami.

- Mogę wysłać mojego szpiega, żeby mu o wszystkim zameldował. Tak właśnie z reguły postępuję. Dzięki temu szpieg informuje mnie również o tym, co się dzieje w domu Medana.

- Bardzo dobrze. Oto jak brzmią moje rozkazy: niech twój szpieg powie marszałkowi Medanowi, że chcę, aby tego maga pojmano i dostarczone do mnie żywego. Do mnie, nie do tych bezwartościowych Szarych Szat.

- Tak, Czcigodna. - Groul ruszył w stronę wyjścia, lecz nagle się odwrócił. - Zaufasz marszałkowi w tak ważnej sprawie?

- Z pewnością nie - odparła ze wzgardą Beryl. - Mam własne plany. Idź już!

Marszałek Medan jadł śniadanie w ogrodzie, w którym lubił oglądać wschód słońca. Ustawił stół i krzesło na skalnej półce obok stawu zarośniętego liliami wodnymi tak gęsto, że prawie nie było widać wody. Pobliski krzak śniegowca przyozdabiał powietrze swymi białymi kwiatuškami. Marszałek skończył śniadanie, przeczytał poranne meldunki, które przed chwilą mu dostarczono, i napisał dzisiejsze rozkazy. Często przerywał pracę, aby rzucić okruszki chleba rybom, które tak już się przyzwyczyły do jego rozkładu dnia, że co rano podpływały do powierzchni stawu, czekając na przyjscie Medana.

- Marszałku - adiutant podszedł do niego, z irytacją strzepując kwiaty z czarnej bluzy. - Chce się z tobą widzieć elf. Domownik królowej matki.

- Nasz zdrajca?

- Tak jest.

- Wprowadź go natychmiast.

Adiutant kichnął, burknął coś na znak potwierdzenia i wyszedł.

Medan wyciągnął nóż z pochwy u pasa, położył go na stole i pociągnął łyk wina. W normalnej sytuacji nie podejmował takich środków ostrożności. Kiedyś, wtedy gdy przybył do Qualinesti, aby objąć tu rządy, już próbowano dokonać na niego zamachu. Nic z tego nie wyszło. Winnych złapano i poćwiartowano, a ich szczątki powieszono, by stały się karmą dla padlinożeremych ptaków.

Ostatnio jednak buntownicy stawali się coraz zuchwalsi i bardziej zdesperowani. Szczególnie niepokoiła go wojownicza, z której uroda, odwaga w walce i śmiałe czyny czyniły bohaterkę w oczach uciśnionych mieszkańców Qualinesti. Zwali ją „Lwicą”, dla jej grzywy jasnych włosów. Lwica i jej buntownicy atakowali karawany z dostawami, nękali patrole i w coraz większym stopniu utrudniali Medanowi życie, które jeszcze do niedawna było takie ciche i spokojne.

Ktoś dostarczał buntownikom informacji o ruchach wojsk, harmonogramie patroli i karawanach z zaopatrzeniem. Medan wzmocnił środki bezpieczeństwa, usuwając ze swego sztabu wszystkich elfów poza ogrodnikiem i ostrzegając prefekta Palthainona oraz innych dostojników, którzy kolaborowali z rycerzami, żeby uważali, co i gdzie mówią. Trudno jednak było dbać o bezpieczeństwo w kraju, w którym wiewiórka jedząca na parapecie orzechy mogła jednocześnie oglądać mapy i zapamiętywać rozmieszczenie wojsk.

Wrócił adiutant Medana, który wciąż nie przestawał kichać. Elf szedł za nim, ściskając w dion gałązkę.

Marszałek odesłał adiutanta, radząc mu, żeby wypił trochę herbatki z kocimiętki na przeziębienie. Medan sączył powoli poranne wino, napawając się jego aromatem. Uwielbiał elfie wino, czuł w nim smak kwiatów i miodu, z których je produkowano.

- Marszałku Medan, moja pani przysłała ci tę sadzonkę bzu do twego ogrodu. Mówi, że twój

ogrodnik będzie wiedział, jak ją zasadzić.

- Połóż ją tutaj - polecił Medan, wskazując na stół. Nie patrzył na elfa, lecz nadal rzucał okruszki rybom. - Jeśli to wszystko, to możesz już odejść.

Elf odkaszlnął znacząco.

- Coś jeszcze? - zapytał od niechcienia marszałek. Przybysz rozejrzał się niespokojnie po ogrodzie.

- Mów. Jesteśmy sami - rzeki Medan.

- Marszałku, rozkazano mi przekazać ci pewną informację. Mówiłem ci już, że moją panią odwiedził mag Palin Majere.

Medan skinął głową.

- Tak. Rozkazano ci mieć go na oku i meldować o jego poczynaniach. Ponieważ tu jesteś, sądzę, iż coś uczynił.

- Palin Majere zdobył niedawno niezwykle cenny magiczny artefakt z Czwartej Ery. Zamierza przewieźć go z Qualinostu do Solące.

- A ty poinformowałeś o tym artefakcie Groula, który z kolei zawiadomił o nim smoczyce - stwierdził z westchnieniem Medan. To zapowiadało nowe kłopoty. - I oczywiście Beryl pragnie go zdobyć.

- Majere będzie leciał na gryfie, który ma czekać na niego jutro rano na polanie położonej około dwudziestu mil na północ od Qualinostu. Towarzyszą mu kender i rycerz solamnijski...

- Rycerz solamnijski! - zawołał zdumiony Medan. Ten rycerz zainteresował go znacznie bardziej niż użytkownik magii. - W jaki sposób jeden z nich zdołał się niepostrzeżenie przedostać do Qualinesti?

- Przebrał się za jednego z twoich rycerzy, panie. Udawał, że kender jest jego więźniem, który ukradł magiczny artefakt, i że ma go odstawić do Szarych Szat. Zgodnie z jego planem Majere usłyszał o artefakcie, napadł na rycerza i kendera, a potem zaprowadził ich do królowej matki.

- Inteligentny, odważny i pomysłowy. - Medan rzucił rybom kolejne okruchy. - Z niecierpliwością czekam na spotkanie z tym śmiałkiem.

- Tak, panie. Jak już mówiłem, rycerz i Majere będą razem w lesie, podobnie jak kender. Mogę ci dostarczyć mapę...

- Jestem pewien, że możesz - przerwał mu Medan z lek - cewającym skinieniem. - Zapoznaj ze szczegółami mojego adiutanta. I zabieraj z mojego ogrodu swój zdradziecki tyłek. Zatrujesz tu powietrze.

- Wybacz, marszałku, ale pozostaje jeszcze kwestia zapłaty - oznajmił śmiało elf. - Groul twierdzi, że smoczyca była niezwykle zadowolona z tej informacji. To znaczy, iż jest ona warta sporą sumę. Więcej niż zwykle. Powiedzmy, dwukrotnie więcej od zwyczajowej stawki?

Medan obrzucił elfa pogardliwym spojrzeniem, po czym sięgnął po gęsie pióro i papier.

- Oddaj to mojemu adiutantowi. On dopilnuje, żeby ci zapłacono. - Marszałek pisał powoli, celowo przeciągając sprawę. Nienawidził tego. Uważał, że korzystanie z usług szpiegów jest hańbiące i poniżające. - Co zamierzasz zrobić z tymi wszystkimi pieniędzmi, które płacimy ci za to, że zdradzasz swą panią, elfie? - Nie zaszczyci tego nędznika wypowiedaniem jego imienia. - Chcesz zostać członkiem senatu? Być może pragniesz nawet zająć miejsce prefekta Palthainona, tego drugiego pomnika zdrady?

Elf podszedł bliżej, wpatrując się w papier i wypisywane przez marszałka cyfry. Wyciągnął rękę, gotów porwać kartę.

- Łatwo ci mówić, człowieku - rzekł z goryczą. - Nie urodziłeś się sługą, tak jak ja, nie pozbawiono cię szans awansu. Ciągłe mi powtarzali: „Powinieneś być rad z losu, który ci przypadł w udziale. W końcu twój ojciec służył Rodowi Królewskiemu, a przed nim twój dziadek i pradziadek. Jeśli spróbujesz odejść lub osiągnąć wyższą pozycję, doprowadzisz do upadku elfiego społeczeństwa.” Ha! Niech mój brat się poniża. Niech kłania się pani i pełza przed nią na brzuchu. Niech jej służy. I niech zginie razem z nią w dniu, gdy smoczyca wreszcie zaatakuje i zniszczy ich wszystkich. Ja zamierzam zrobić ze swego życia lepszy użytek. Gdy tylko zaoszczędzę wystarczającą sumę, opuszczę ten kraj i poszukam dla siebie miejsca na szerokim świecie.

Medan podpisał dokument, wylał na papier odrobinę stopionego laku i odcisnął w nim swą pieczęć wyrytą na pierścieniu.

- Weź to. Z radością przyczynię się do twego odjazdu.

Elf chwycił papier, przeczytał wymienioną na nim sumę, uśmiechnął się, pokłonił i oddalił w pośpiechu.

Medan rzucił do stawu resztę chleba i wstał z krzesła. Ta odrażająca kreatura zepsuła mu cały dzień. Nędznik z chciwości donosił na kobietę, której służył i która mu ufała.

„Przynajmniej uda mi się pojmać tego Palina Majere poza Qualinostem” - pomyślał marszałek. „Nie będzie trzeba mieszać w to Laurany. Gdybym został zmuszony zatrzymać go w domu królowej matki, musiałbym aresztować również i ją za ukrywanie zbiega”.

Wyobrażał sobie, jakie oburzenie by to wywołało. Królowa matka cieszyła się ogromną popularnością. Elfowie najwyraźniej już jej wybaczyli, że poślubiła półczłowieka, a jej brat był wygnańcem, przezwanym „czarnym elfem”, czyli tym, którego usunięto z kręgu światła. Senat podniósłby protest, a zwykli mieszkańcy, już w tej chwili podekscytowani, wpadliby w szal. Istniała nawet niezbyt prawdopodobna możliwość, że na wieść o aresztowaniu matki jej bezwartościowy syn odzyskałby kręgosłup.

Tak będzie znacznie lepiej. Medan czekał na podobną sposobność. Odda Palina Majere oraz jego artefakt Beryl i na tym będzie koniec Marszałek opuścił ogród, chcąc włożyć sadzonkę bzu do wazonu, aby nie uschła.

Gilthas i Lwica

Gilthas, „bezwartościowy syn” Laurany, opierał w tej samej chwili swój całkiem twardy kręgosłup o oparcie krzesła w podziemnej izbie gospody prowadzonej przez krasnoludów źlebowych. Zwała się ona „Pod Łykiem i Beknięciem”, jako że w opinii krasnoludów źlebowych były to jedyne czynności wykonywane przez ludzi w karczmach.

Lokal znajdował się w niewielkim osiedlu tych istot, które nawet nie zasługiwało na nazwę „wioska”. Leżało ono nieopodal fortecy Pax Tharkas. Gospoda była jedynym budynkiem w osadzie. Prowadzący ją krasnoludowie mieszkali w ukrytych pośród okolicznych wzgórz jaskiniach. Do ich domostw można było dotrzeć jedynie tunelami, do których wejścia znajdowały się pod karczmą.

Osadę krasnoludów źlebowych dzieliło od Qualinostu około osiemdziesięciu mil lotem gryfa, lecz więcej - znacznie więcej - jeśli jechać traktem. Gilthas przyleciał tu na gryfie, którego rodzina służyła Rodowi Królewskiemu. Bestia wysadziła króla i jego przewodnika w lesie, a teraz czekała na ich powrót z mniejszą, niż można się było spodziewać, niecierpliwością. Kerian dała gryfowi świeżo upolowanego jelenia, który uprzyjemniał mu długie godziny oczekiwania. W ten sposób mieli też pewność, że bestia nie zaspokoi głodu któryś z gości karczmy.

Gospoda „Pod Łykiem i Beknięciem” okazała się zaskakująco popularna. Być może jednak wcale nie było to takie dziwne, zważywszy, że proponowała ceny najniższe w całym Ansalonie. Za dwa miedziaki można było kupić wszystko. Interes założył ten sam krasnolud źlebowy, który był wcześniej kucharzem w domu smoczego władcy Yerminaarda.

Ci, którzy znali krasnoludów żlebowych, lecz nigdy nie kosztowali ich kuchni, nie potrafili sobie nawet wyobrazić, aby mogli zjeść posiłek przyrządzony przez przedstawiciela tej rasy. Ponieważ ulubionym smakołykiem krasnoludów żlebowych jest szczurze mięso, trudno się dziwić, iż zatrudnienie któregoś z nich jako kucharza w opinii wielu równało się samobójstwu.

Krasnoludowie żlebowi są wyrzutkami krasnoludzkiego rodu. Choć do niego należą, kuzyni nie chcą się do nich przyznawać i posuwają się do bardzo wykrętnych argumentów, aby dowieść, iż krasnoludowie żlebowi są krasnoludami tylko z nazwy. Są wyjątkowo głupi. Tak przynajmniej sądzi większość innych istot. Potrafią liczyć tylko do dwóch i znają zaledwie dwa liczebniki: Jeden” i „dwa”. Najbystrzejsza przedstawicielka ich gatunku, legenda wśród krasnoludów żlebowych, krasnoludka imieniem Bupu, policzyła kiedyś do więcej niż dwóch, tworząc termin „cała kupa”.

Krasnoludowie żlebowi nie słyną z zainteresowania wyższą matematyką. Słyną z tchórzostwa, brudu, upodobania do nędznych warunków życia i - co dziwne - ze znakomitej kuchni. Są doskonałymi kucharzami, pod warunkiem, że pracodawca jasno określi, co można, a czego nie można podawać na stół, i powstrzyma się przed wchodzeniem do kuchni podczas przyrządzania posiłków.

„Pod Łykciem i Beknięciem” podawano pyszną dziczyznę duszoną z cebulą i pływającą w gęstym brązowym sosie. Ale było do przełknięcia - nie tak dobre, jak w wielu innych lokalach, lecz za to mniej kosztowało. Sławę gospoda zawdzięczała jednak krasnoludzkiej gorzałce, która była naprawdę świetna. Właściciele karczmy pędzili ją z grzybów rosnących w ich sypialniach, lecz ci, którzy pili ów trunek, nie powinni zastanawiać się nad tym faktem zbyt intensywnie.

Najczęściej gospodę nawiedzali ludzie, którzy nie mogli sobie pozwolić na lepszy lokal, kenderzy zadowoleni, że znaleźli oberżystę, który nie wyrzuca ich natychmiast na bruk, oraz wyjęci spod prawa, którzy szybko się przekonali, iż Rycerze Neraki rzadko patrolują prowadzącą do gospody mizerną parę kolein zwanych drogą.

Gospoda „Pod Łykciem i Beknięciem” stanowiła również kryjówkę i kwaterę główną wojowniczkę znanej jako Lwica, kobiety, która była również - choć mało kto o tym wiedział - królową Qualinesti, potajemną żoną Mówcy Słońca Gilthasa.

Król elfów siedział na krześle w wypełnionej półmrokiem izbie na zapleczu, starając się stłumić niecierpliwość. Elfowie nigdy się nie niecierpliwią. Ich życie trwa setki lat i wiedzą, że woda się zagotuje, ciasto na chleb urośnie, żołądek wypuści kiełek i wyrośnie z niego dąb, a wszelka zbyt duża nerwowość, obserwacja tych procesów i próby ich przyspieszenia szkodzą tylko na żołądek. Gilthas odziedziczył niecierpliwość po półludzim ojcu i choć starał się ze wszystkich sił ją ukrywać, mimo woli bębnił palcami o stół i uderzał stopą w podłogę.

Kerian zerknęła na niego z uśmiechem. Na stole między nimi stała świeca. Jej płomień odbijał się w brązowych oczach kobiety, spowijał ciepłym blaskiem gładką, śniadą skórę, lśnił w gęstej grzywie barwy polerowanego złota. Kerian była Kagonesti, dzikim elfem. Członkowie tej rasy, w przeciwieństwie do swych miastowych kuzynów - Qualinesti i Silvanesti żyli na łonie natury. Ponieważ nie próbowali jej zmieniać ani przekształcać, bardziej cywilizowani krewniacy uważali ich za barbarzyńców. Posunęli się nawet do tego, że obrócili Kagonesti w niewolników i zmusili ich do służby w bogatych elfich domach - rzecz jasna dla ich dobra.

Kerian była niewolnicą w domu senatora Rashasa. I przebywała tam, gdy przyprowadzono po raz pierwszy Gilthasa, rzekomo jako gościa, lecz w rzeczywistości jako więźnia. Oboje zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia, choć minęły miesiące, a nawet lata, nim wyznali sobie to uczucie i wymienili potajemne przysięgi.

Tylko dwie osoby - Planchet i matka Gilthasa Laurana - wiedziały, że król poślubił tę dziewczynę, niegdysiejszą niewolnicę, obecnie znaną jako Lwica, nieustraszony wódz Khansari, Wojowników Nocy.

Gilthas zauważył spojrzenie Kerian i zdał sobie sprawę, co robi. Zacisnął niesforne palce w pięść i skrzyżował obute stopy, aby powstrzymać ich niecierpliwe ruchy.

- Proszę bardzo - rzekł ze smutkiem. - Czy tak jest lepiej?

- Jeśli nie będziesz uważał, nerwy wpędzą cię w chorobę - skarciła go z uśmiechem Kerian. - Krasnolud przyjdzie.

Dał słowo.

- Tak wiele od tego zależy - tłumaczył się Gilthas. Rozprostował nogi, aby złagodzić kurcze w nieprzywykłych do wysiłku mięśniach. - Być może nawet nasze przetrwanie jako... - Przerwał i spojrzał na podłogę. - Poczujesz to?

- Drżenie? Tak. Czuję je już od paru godzin. Pewnie to tylko krasnoludowie żlebowi rozbudowują swoje tunele. Oni uwielbiają kopać w ziemi. Wracając do twoich słów, tak, grozi nam zagłada i nie ma tu żadnego „być może” - odparła cierpkim tonem Kerian.

Jej głos o akcencie uważanym przez kulturalnych elfów za prostacki brzmiał jak pieśń wróbla, przeszywająco słodka i przesycona nutą melancholii.

- Cjalinesti dali smoczycy wszystko, czego żądała. Wyrzekli się wolności, dumy i honoru. Zdarzało się nawet, że wydawali jej swych braci. A wszystko po to, by pozwoliła im żyć. Nadejdzie jednak chwila, gdy Beryl postawi jakieś żądanie, którego twoi bracia nie będą mogli spełnić. Gdy nastanie ten dzień i smoczyca natrafi na sprzeciw, niechybnie zniszczy Qualinesti.

- Czasami zastanawiam się, dlaczego cię to obchodzi - zauważył Gilthas, spoglądając z powagą na żonę. - Qualinesti obrócili cię w niewolnicę, rozłączyli z rodziną. Masz wszelkie prawo pragnąć zemsty. Masz wszelkie prawo uciec w głąbę i zostawić tych, którzy cię skrzywdzili, losowi, na jaki w pełni sobie zasłużyli. Ale tego nie robisz. Co dzień ryzykujesz życie, walczysz, by zmusić nasz naród do ujrzania prawdy, nawet jeśli jest koszmarna, do wysłuchania jej, choćby nawet była nieprzyjemna.

- W tym właśnie tkwi problem - odparła. - Musimy przestać dzielić elfów na „twoich” i „moich”. To właśnie podziały i izolacja doprowadziły do obecnej sytuacji. Wojna Chaosu mogła nas do siebie zbliżyć, lecz tylko rozbiła nas na jeszcze drobniejsze grupy. Nie ma dnia, by jakiś senator nie wygłosił mowy o tym, że nasi kuzyni Silvanesti nie wpuścili nas do swego bezpiecznego,

ukrytego za tarczą azyłu i chcą, abyśmy wszyscy zginęli, żeby móc potem przejąć nasze ziemie. Albo ktoś popisuje się tyradą przeciw Kagonesti, mówiąc, że ich barbarzyńskie zwyczaje doprowadzą do upadku wszystkiego, co budowaliśmy przez stulecia. Są nawet tacy, którzy cieszą się, że smoczyca zamknęła trakty. Mówią, że lepiej będzie, jeśli zerwiemy kontakty z ludźmi. Rycerze Neraki rzecz jasna zachęcają ich do tego. Uwielbiają takie oracje, bo one bardzo ułatwiają im zadanie. Sądząc z pogłosek, które słyszałam, Silvanesti przekonują się właśnie, że ich sławetna magiczna tarcza jest w rzeczywistości grobowcem.

Gilthas wyprostował się nagle ze zdumioną miną.

- Gdzie o tym słyszałaś? Nic mi nie mówiłaś.

- Nie widziałam cię od miesiąca - zauważyła Kerian z lekką nutą goryczy. - Usłyszałam od tym przed kilkoma dniami od Kelevandrosa, gońca, którego twoja matka regularnie wysyła do twojej ciotki Alhany Starbreeze. Alhana i jej siły stacjonują na granicy Silvanesti, nieopodal tarczy. Sprzymierzyli się z ludźmi należącymi do Legionu Steela. Alhana donosi, że ziemie wokół tarczy są jałowe, drzewa więdną i giną, a wszystko pokrywa straszliwy szary pył. Obawia się, że podobna choroba mogła porazić całe Silvanesti.

- W takim razie dlaczego nasi kuzyni nie usuną tarczy? - dziwił się Gilthas, - Boją się świata zewnętrznego. Niestety, ich obawy nie są pozbawione podstaw. Niedawno, w noc tej straszliwej burzy, Alhana stoczyła walną bitwę z ogrami. Gdyby nie przyszedł jej z pomocą Legion Steela, jej siły zostałyby całkowicie unicestwione. Syn Alhany, Silvanoshei, został pojmany przez ogrów. Przynajmniej jest przekonana, że tak się stało, gdyż po bitwie zaginął bez śladu. Opłakuje go już jako zmarłego.

- Matka nic mi o tym nie mówiła - wtrącił Gilthas, marszcząc brwi.

- Według Kelevandrosa Laurana obawia się zwiększonej czujności marszałka Medana. Ufa wyłącznie swym domownikom. Nie odważy się zawierzyć nikomu więcej. Sądzi, że jesteś obserwowany nawet wtedy, gdy rozmawiasz z nią w cztery oczy. Nie chce, aby czarni rycerze się dowiedzieli, że utrzymuje regularne kontakty z Alhana.

- Zapewne ma rację - przyznał Gilthas. - Ja ufam wyłącznie Planchetowi i to tylko dlatego, że wielokrotnie dowodził swej wierności. A więc Silvanoshei nie żyje. Zabili go ogrowie. Biedak. Jego śmierć z pewnością była straszna. Miejmy nadzieję, że zginął szybko.

- Widziałeś go kiedyś? Gilthas potrząsnął głową.

- Urodził się w gospodzie „Ostatni Dom” w Solące, już po wygnaniu Alhany. Od tego czasu jej nie widziałem. Słyszałem od matki, że chłopak jest podobny do wuja Porthiosa.

- Jego śmierć czyni cię dziedzicem obu królestw - zauważyła Kerian. - Mówcą Słońca i Gwiazd.

- Tego zawsze pragnął senator Rashas - odparł zgryźliwym tonem Gilthas. - W rzeczywistości

będę co najwyżej Mówcą Umarłych.

- Nie przywołuj złego! - ostrzegła go Kerian. Wykonała gest chroniący przed złem, kreśląc dłonią w powietrzu krąg, który miał uwięzić złowróżbne słowa. - Nie... co się stało, Silverwing?

Odwrociła się do elfa, który wszedł do tajnej izby. Elf zaczął coś mówić, lecz przerwał mu krasnolud źlebowy, który __sądząc po zapachu - był skrajnie podekscytowany.

- Moja mówić! - krzyknął z oburzeniem, odpychając elfa na bok. - Moja stać na straży! Jej tak powiedzieć!

Wskazał na ICerian.

- Wasza Królewska Mość - elf pokłonił się pośpiesznie Gilthasowi, po czym zwrócił się do Kerian, która była jego dowódcą, aby przekazać jej informacje. - Przybył wielki król Thorbardinu.

- Być tutaj - oznajmił głośno krasnolud źlebowy. Choć nie znał elfiego języka, potrafił się domyślić, o czym mowa. - Moja go przyprowadzić?

- Dziękuję, Ponce. - Kerian wstała i poprawiła miecz, który miała u pasa. - Pójdę się z nim spotkać. Lepiej, żebyś został tutaj, Wasza Królewska Mość - dodała. Ich małżeństwo pozostawało tajemnicą nawet dla elfów, którymi dowodziła.

- Wielki ważniak krasnolud. Nosić kapelusz! - Ponce był pod wrażeniem. - Nosić buty! - To zaimponowało krasnoludowi źlebowemu jeszcze bardziej. - Moja nigdy nie widzieć krasnolud w butach.

- Wielkiemu królowi towarzyszy czterech strażników - poinformował Kerian elf. - Tak jak rozkazałaś, obserwowaliśmy ich już od chwili, gdy opuścili Thorbardin.

- W równym stopniu dla ich bezpieczeństwa, jak i dla naszego, Wasza Królewska Mość - dodała pośpiesznie Kerian, widząc, że twarz Gilthasa zachmurzyła się nagle.

- Z nikim się nie spotkali i nikt ich nie śledził - ciągnął elf.

- Nikt oprócz nas - wtrącił z ironią Gilthas.

- Ostrożność nigdy nie zawadzi, Wasza Królewska Mość - wtrąciła Kerian. - Nowym królem thorbardińskich klanów jest Tarn Bellowgranite. Jego władzy nic nie zagraża, ale wśród krasnoludów również są zdrajcy, podobnie jak wśród elfów.

Gilthas westchnął głęboko.

- Chciałbym, aby wreszcie nadszedł dzień, w którym przestanie być to prawdą. Mam nadzieję, że krasnoludowie was nie zauważyli?

- Widzieli gwiazdy, Wasza Królewska Mość - oznajmił z dumą elf. - Słyszeli drzewa

szeleszczące na wietrze. Nas nie widzieli ani nie słyszeli.

- Jego powiedzieć, że lubić nasza krasnoludzka gorzałka - wtrącił z zadowoloną miną Ponce. Twarz mu błyszczała, mógł to jednak być skutek wysmarowania się tłuszczem gęsi, którą właśnie piekł. - Jego mówić, że my robić dobra gorzałka. Chcesz spróbować? - zapytał Gilthasa. - Zatkać ci nos.

Kerian i elf wyszli, zabierając ze sobą krasnoluda żlebowego. Gilthas siedział samotnie, wpatrując się w migotliwy płomień świecy. Pod stopami czuł dziwne ruchy ziemi, jakby cały świat drżał. Świeca była tu jedynym źródłem światła i mógłby ją zgasić jednym dmuchnięciem. Tak wiele rzeczy mogło się nie udać. Niewykluczone, że właśnie w tej chwili marszałek Medan wszedł do jego sypialni, znalazł poduszki na łożu i aresztował Plancheta, żądając, aby służący zdradził mu, gdzie jest król.

Gilthas poczuł się nagle bardzo zmęczony. Miał dość tego pełnego dwulicowości życia, kłamstw i oszustw, ciągłej gry. Zawsze był na scenie, nigdy nie miał szansy odpocząć za kulisami. Nie sypiał dobrze, bojąc się, że powie przez sen coś, co doprowadzi do jego upadku.

Co prawda, to nie on poniósłby konsekwencje. Zadbali by o to prefekt Palthainon i marszałek Medan. Obu im potrzebny był Gilthas na tronie, marionetka, której sznurki trzymali w rękach. Gdyby się przekonali, że udało mu się przeciąć te sznurki, po prostu przywiązaliby je na nowo. On zachowałby życie i tron. To Planchet by zginął, a przed śmiercią zostałby zmuszony torturami do zdradzenia wszystkiego, co wie. Laurana mogłaby uniknąć egzekucji, lecz z pewnością by ją wygnano, uznano za czarnego elfa, jak jej brata. Możliwe też, że pojma - no by Kerian - Medan osobiście oznajmił, jak straszliwa śmierć czeka Lwicę, jeśli tylko dostanie ją w swoje ręce.

Gilthas nie ucierpiałby, pomijając fakt, że musiałby się przyglądać, jak cierpią ci, których najbardziej kochał, nie mogąc im w niczym pomóc. To zapewne byłoby dlań najstraszliwszą torturą.

Z ciemności wyłonili się jego starzy towarzysze: strach, niewiara we własne siły, nienawiść i wstręt do samego siebie. Czuł, jak ich zimne dłonie dotykają go, sięgają pod jego skórę i zaciskają się na trzewiach, aż jego drżące ciało zalał lodowaty pot. Słyszał ich rozpaczliwe głosy, ostrzegające przed zagładą, wykrzykujące przepowiednie śmierci i zniszczenia. Nie czuł się na siłach sprostać stojącemu przed nim zadaniu. Nie odważy się dalej zmierzać tym kursem. To było lekkomyślne. Naraził własny lud na straszliwe niebezpieczeństwo. Miał pewność, że ich odkryto. Medan o wszystkim wiedział. Być może, jeśli wróci teraz do domu, wszystko będzie w porządku. Wczołga się do łóżka i nikt się nigdy nie dowie o jego wyprawie...

- Gilthasie - rozległ się surowy głos.

Elf poderwał się nagle i spojrzał błędnym wzrokiem na twarz, której nie znał.

- Mój mężu - rzekła łagodnym tonem Kerian. Gilthas zacisnął powieki, a jego ciało przeszył dreszcz. Powoli rozluźnił zaciśnięte w pięści dłonie. Odprężył się, uwolnił ciało od napięcia, siłą powstrzymał drżenie. Ciemność, która na chwilę go oślepiła, odeszła. Płomień świecy, którym była Kerian, płonął jasno i spokojnie. Zaczerpnął głęboko tchu.

- Już dobrze - oznajmił.

- Jesteś pewien? - zapytała. - Tarn czeka w sąsiednim pokoju. Mam go na chwilę zatrzymać?

- Nie, atak już minął - zapewnił Gilthas, przełykając ślinę, chcąc pozbyć się z ust posmaku żółci. - Odpędziłaś demony. Daj mi chwilę, abym mógł się doprowadzić do porządku. Jak wyglądam?

- Jakbyś przed chwilą zobaczył upiora - odparła Ke - rian. - Ale krasnolud i tak nic nie zauważy. Dla nich wszyscy elfowie mają bladą cerę.

Gilthas przyciągnął żonę do siebie i objął ją mocno.

- Przestań! - zawołała, na poły ze śmiechem, na poły poważnie. - Nie czas na to! Co będzie, jeśli ktoś nas zobaczy?

- A niech tam - odparł, zapominając o ostrożności. - Mam już dość okłamywania całego świata. Jesteś moją siłą i moim zbawieniem. Uratowałaś mi życie, pozwoliłaś powstrzymać obłąd. Gdy cofnę się myślą do czasu, gdy byłem więźniem swych demonów, nie potrafię pojąć, jak mogłaś mnie pokochać.

- Zajrzałam za kraty celi i ujrzałam uwięzionego w niej mężczyznę - wyjaśniła Kerian, odprężając się na chwilę w objęciach męża. - Zobaczyłam, że kocha swój lud i cierpi razem z nim, dlatego, że nie potrafi mu pomóc. To miłość była kluczem. Ja tylko wsunęłam go w dziurkę i przekreśliłam. Resztę zrobiłeś sam.

Wysunęła się z jego ramion, ponownie przemieniając się w królową-wojowniczkę.

- Jesteś gotowy? Nie powinniśmy kazać wielkiemu królowi czekać zbyt długo.

- Jestem gotowy - potwierdził Gilthas.

Raz jeszcze zaczerpnął głęboko tchu, potrząsnął włosami, aby nie opadały mu na twarz, i wszedł do głównej izby, wysoki i wyprostowany.

- Jego Królewska Mość Mówca Słońca Gilthas z rodu Solostaranów - przedstawiła go ceremonialnie Kerian.

Krasnolud, który popijał z kubka gorzałkę, odstawił naczynie i pochylił głowę w geście znamionującym szacunek. Był wysoki jak na przedstawiciela swej rasy i wyglądał na znacznie więcej lat, niż miał ich w rzeczywistości. Posiwiął przedwcześnie, a brodę przecinały mu białe pasemka. Oczy miał jednak błyszczące i młodzieńcze, a spojrzenie bystre i przenikliwe. Nie spuszczał wzroku z Gilthasa, wydawało się, że przebija spojrzeniem pierś elfa, sięgając wprost do serca.

Słyszał krążące o mnie pogłoski i zastanawia się, w co wie - rzyć, powiedział sobie elf. Czy jestem słabym skrawkiem tkaniny, który każdy może wyjąć, czy też prawdziwym władcą mojego ludu, tak jak on jest władcą swojego?

- Wielki król Ośmiu Klanów - kontynuowała prezentację Kerian. - Tarn Beilowgranite.

Tarn również był mieszańcem, podobnie jak Gilthas. W jego żyłach płynęła krew Hylarów, krasnoludzkiej szlachty, oraz Daergarów, czarnych krasnoludów. Po Wojnie Chaosu krasnoludowie z Thorbardinu współpracowali z ludźmi przy odbudowie fortecy Pax Tharkas i wyglądało na to, że znowu zaczną kontaktować się z innymi rasami, w tym również ze swymi braćmi, krasnoludami podgórskimi, którym z powodu sporu o korzeniach sięgających czasów Katakliizmu z dawien dawna odmawiano wstępu do krasnoludzkiego królestwa pod górą.

Gdy jednak przybyły wielkie smoki, przynosząc ze sobą śmierć i zniszczenie, krasnoludowie ponownie skryli się pod ziemią. Zamknęli bramy Thorbardinu i świat utracił z nimi wszelki kontakt. Daergarowie wykorzystali wywołane tym zamieszanie i spróbowali przejąć władzę w Thorbardinie, co doprowadziło do krwawej wojny domowej. Tarn Beilowgranite był bohaterem tej wojny, a gdy przyszedł czas odbudowy, tanowie poprosili go o objęcie rządów. Naród był podzielony, a królestwo stało na krawędzi przepaści, on jednak przywrócił mu silne fundamenty i zjednoczył skłócone klany. A teraz rozważał podjęcie dalszych kroków, które stanowiłyby zupełnie nową jakość w dziejach thorbardińskich krasnoludów.

Gilthas podszedł do krasnoluda i pokłonił mu się nisko ze szczerym szacunkiem.

- Wielki królu - zaczął w bezbłędnym krasnoludzkim, którego nauczył się od ojca. - Czuję się zaszczycony, że mogę cię wreszcie spotkać. Wiem, że nie lubisz opuszczać swego domu pod górą. Twoja podróż była długa i pełna niebezpieczeństw, jak wszystkie podróże podejmowane w tych mrocznych czasach. Dziękuję, że zechciałeś tu przybyć, aby spotkać się ze mną i formalnie przypieczętować naszą umowę.

Wielki król skinął głową i pociągnął się za brodę, co świadczyło, że przypadły mu do gustu te słowa. Tamowi zaimponował też fakt, że elf włada krasnoludzkim. Gilthas miał rację. Krasnoludzki król słyszał opowieści o słabym i niezdecydowanym charakterze władcy elfów. Tarn jednak nauczył się z biegiem lat, że niemądrze jest kogoś oceniać, dopóki nie zobaczy się koloru jego brody, jak mawiali krasnoludowie.

- Podróż była przyjemna. Miło jest dla odmiany odetchnąć powierzchniowym powietrzem - odparł Tarn. - A teraz przejdźmy do rzeczy. - Obrzucił Gilthasa chytrym spojrzeniem. - Wiem, że wy, elfowie, uwielbiacie czcze gadki, ale sądzę, że możemy się obejść bez takich subtelności.

- W moich żyłach płynie również ludzka krew - odparł z uśmiechem Gilthas. - Mówią mi, że to z niej bierze się moja niecierpliwość. Jutro przed świtem muszę być z powrotem w Qualinoście. Dlatego zacznę od razu. Negocjacje w tej sprawie trwają już od miesiąca. Wiemy, na czym stoimy, jak sądzę? Nic się nie zmieniło?

- Po naszej stronie nic - zapewnił Tarn. - A po waszej?

- Również nic. A więc zgoda. - Gilthas przeszedł na swobodniejszy ton. - Nie chciałeś przyjąć od nas żadnej zapłaty. Nie pozwoliłbym na to, gdyby nie fakt, że w całym Qualinesti nie ma tyłu pieniędzy, by wynagrodzić ciebie i twój lud za to, co dla nas robicie. Wiem, na jak wielkie ryzyko

się narażasz. Wiem również, że nasza ugoda budzi kontrowersje wśród twoich poddanych. Podejrzewam, że mogła nawet zagrozić twej władzy. Nie mogę ci dać w zamian nic poza wdzięcznością. Wieczną, niezachwianą wdzięcznością.

- To nie tak, chłopcze - zaprotestował Tarn, czerwieniąc się ze wstydu. Krasnoludowie nie lubią pochwał. - To, co robię, pomoże mojemu ludowi tak samo jak twojemu. Nie wszyscy z mych poddanych to rozumieją, ale z czasem przejrzą na oczy. Zbyt długo już ukrywaliśmy się przed światem pod górą. Gdy w Thorbardinie wybuchła wojna domowa, przyszło mi do głowy, że moglibyśmy powybijać się nawzajem do nogi i nikt by nawet tego nie zauważył. Kto by nas żałował? Nikt na tym świecie. Jaskinie Thorbardinu mogłaby spojrzeć - więc śmiertelna cisza, a nas wszystkich pochłonałaby ciemność i nikt nie wypowiedziałby słowa, by zmącić tę ciszę, nikt nie zapaliłby lampy. Zamknęłyby się nad nami cienie i wszyscy by o nas zapomnieli. Postanowiłem, że do tego nie dopuszczę. Krasnoludowie muszą wrócić do świata, a świat wrócić do Thorbardinu. Oczywiście - ciągnął Tarn, mrugając znacząco i popijając łyk krasnoludzkiej gorzałki - nie mógłbym wprowadzić tak drastycznej zmiany z dnia na dzień. Minęły długie lata, nim zdołałem nawrócić poddanych na swój sposób myślenia, a i tak wielu nadal trzęsie brodami i przytupuje nerwowo. Niemniej jednak jestem przekonany, że postępuję słusznie. Zaczęliśmy już kopać tunele - zakończył z nutą samozadowolenia w głosie.

- Naprawdę? Przed podpisaniem dokumentów? - zapytał zdumiony Gilthas.

Tarn pociągnął długi łyk gorzałki, beknął z zadowoleniem i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Phi! Co znaczą papiery? Co znaczą podpisy? Podaj mi dłoń, królu Gilthasie. To przypieczętuje naszą umowę.

- Podaję ci dłoń, królu Tamie. To dla mnie zaszczyt - odparł głęboko wzruszony Gilthas. - Czy jest coś, co cię niepokoi? Czy chcesz mi zadać jakieś pytania?

- Tylko jedno, chłopcze - rzekł Tarn, odstawiając kubek i wycierając usta rękawem. - Niektórzy z tanów, głównie Neidarowie, a zapewniam cię, że to podejrzliwa banda, powtarzają raz po raz, że jeśli tylko wpuszczymy elfów do Thorbardinu, natychmiast nas zaatakują i zagarną nasze domostwa. My dwaj wiemy, że nic takiego się nie zdarzy - dodał Tarn, unosząc rękę, aby uciszyć pragnącego zaprotestować Gilthasa - ale co powiedziałbyś moim poddanym, żeby ich zapewnić, że nie muszą się obawiać podobnego postępku?

- Zapytałbym neidarskich tanów - odparł z uśmiechem Gilthas - czy wybudowałiby swe domy na drzewach. Jak sądzisz, co by mi odpowiedzieli?

- Cha, cha! Prędzej by się powiesili za brody - zachichotał Tarn.

- Na tej samej zasadzie elfowie prędzej by się powiesili za uszy, niż zamieszkaliby w dziurze w ziemi. Bez obrazy dla Thorbardinu - dodał uprzejmie Gilthas.

- Tak łatwo mnie nie obrazisz, chłopcze. Powtórzę Neidarom twe słowa. To zdmuchnie pianę z ich alei Tarn nie przestawał chichotać.

- Wyrażając się jaśniej, przysięgam na swój honor i życie, że Qualinesti będą używali tuneli wyłącznie jako drogi ucieczki dla tych, którym zagraża gniew smoczycy. Zawarliśmy umowę z ludźmi z Równin, którzy dadzą uchodźcom schronienie na czas, nim ci będą mogli wrócić do ojczyzny.

- Oby ten dzień nadszedł jak najszybciej - rzekł z powagą Tarn, który nagle przestał się śmiać i przyjrzał się z uwagą Gilthasowi. - Zapytałbym, dlaczego nie wyślecie uchodźców do swych kuzynów Silvanesti, ale słyszałem, że nie macie już wstępu do ich kraju. Elfowie zamknęli go w czymś w rodzaju magicznej fortecy.

- Siły Alhany Starbreeze wciąż szukają jakiegoś sposobu na sforsowanie tarczy - powiedział Gilthas. - Miejmy nadzieję, że w końcu im się to uda, nie tylko ze względu na nas, lecz również na naszych kuzynów. Jak sądzisz, ile czasu będzie potrzeba, aby doprowadzić tunel do Qualinostu?

- Najwyżej dwa tygodnie - odparł ze swobodą Tarn.

- Dwa tygodnie! Żeby wykopać w litej skale tunel długości z górą sześćdziesięciu pięciu mil? Wiem, krasnoludowie są mistrzami w kamieniarskiej robocie, ale muszę wyznać, że jestem zdumiony.

- Jak już wspominałem, zaczęliśmy prace jakiś czas temu - wyjaśnił Tarn. - Mamy też pomocników. Słyszałeś o urk - hanach? Nie? To mnie nie dziwi. Niewielu obcych wie coś o nich. Urkhany to gigantyczne robaki, które żywią się skałą. Zaprzęgamy je do pracy, a one przegryzają się przez granit, jakby był świeżym chlebem. Jak ci się zdaje, kto wybudował tysiące mil tuneli Thorbardinu? - zapytał z uśmiechem Tarn. - Oczywiście, urkhany. Robaki wykonują robotę, a zasługę przypisuje się krasnoludom!

Gilthas wyraził swój podziw dla niezwykłych robaków i wysłuchał uprzejmie wykładu na temat zwyczajów urkhanów, ich potulnej natury i tego, co dzieje się ze skałą po przejściu przez układ pokarmowy robaka.

- Ale starczy już o tym. Czy chciałbyś zobaczyć je w akcji? - zapytał nagle Tarn.

- Z chęcią, ale może przy innej okazji - odpowiedział Gilthas. - Jak już wspominałem, muszę z pierwszym brzaskiem dotrzeć do Qualinostu...

- Dotrzesz, chłopcze, dotrzesz - zapewnił krasnolud, uśmiechając się szeroko. - Tylko popatrz.

Tupnął dwa razy stopą w podłogę.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem spod ziemi dobiegły dwa głucho, donośne uderzenia.

Gilthas popatrzył na Kerian, która wyglądała na zaniepokojoną i rozgniewaną. Gniewała się na siebie, gdyż nie przyszło jej do głowy, by zbadać źródło dziwnych odgłosów, a niepokoiła ją myśl, że jeśli to pułapka, to właśnie przed chwilą dali się złapać.

Tarn roześmiał się głośno, widząc zmieszanie dwojga elfów.

- To urknany! - wyjaśnił. - Są dokładnie pod nami.

- Tutaj? Naprawdę? - wydyszał Gilthas. - Dotarli już tak daleko? Czułem, że ziemia się trzęsie...

Tam pokiwał gwałtownie głową, aż zakołysała mu się broda.

- Dotarliśmy nawet dalej. Zechcecie zejść na dół? Gilthas popatrzył na żonę.

- W całej reszcie Qualinesti jestem królem, ale tutaj władza Lwica - odrzekł z uśmiechem. - Co ty na to, pani? Czy pójdziemy obejrzyć te niezwykle robaki?

Kerian nie zgłosiła sprzeciwu, choć ten nieoczekiwany obrót wydarzeń wzbudził jej nieufność. Nie powiedziała nic, co mogłoby urazić krasnoludów, lecz Gilthas zauważył, że gdy tylko spotkała kogoś ze swych dzikich elfów, dawała mu znak spojrzeniem, pochyleniem głowy lub lekkim skinieniem dłonią. Elfowie zniknęli, ale Gilthas podejrzewał, że nie odeszli daleko i obserwują ich z bronią na podorędziu.

Wyszli z gospody „Pod Łykem i Beknięciem”. Część towarzyszy Tania opuszczała ją z wyraźną niechęcią, ocierając usta, a w ich ciężkich oddechach wyczuwało się ostrą woń krasnoludzkiej gorzałki. Tarn nie szedł ścieżką, lecz po prostu przedzierał się przez krzaki, depcząc bądź odpychając na bok wszystko, co stało mu na drodze. Gilthas obejrzał się za siebie i zobaczył, że krasnoludowie zostawili w lesie szeroki ślad, pełen połamanych gałęzi, zdeptanej trawy i zwisających bezwładnie pnączy.

Kerian zerknęła na męża, wywracając desperacko oczyma. Doskonale wiedział, co sobie pomyślała. Nie było obawy, że krasnoludowie usłyszą kroki śledzących ich elfów. Zachowywali się tak głośno, że z trudnością usłyszeliby uderzenie pioruna. Tarn zwolnił kroku. Wydawało się, że czegoś wypatruje. Powiedział coś po krasnoludzku do towarzyszy, którzy również zaczęli się rozglądać.

- Szuka wejścia do tunelu - wyszeptał Gilthas do Kerian. - Mówi, że jego robotnicy mieli gdzieś tu je zostawić, ale nie może go nigdzie znaleźć.

- I me znajdzie - stwierdziła ze złością Kerian, nadal poirytowana tym, że dała się nabrać krasnoludom. Znam tę okolicę. Każdy cal. Gdyby było tu jakieś...

Zatrzymała się i wytrzeszczyła oczy z wrażenia.

- Wejście do tunelu - dokończył Gilthas żartobliwym tonem. - Z pewnością byś je zauważyła.

Dotarli do wielkiego granitowego wypiętrzenia, które wystawało jakieś trzydzieści stóp nad leśne podszycie. Prążki na nim biegingy poziomo, a między warstwami skały wyrastały drzewka oraz kępy trawy i kwiatów. U jej podstawy leżała sterta głazów, które oddzieliły się od niej i osypały w dół. Były wielkie. Niektóre sięgały Gilthasowi do pasa, przerastając wysokością krasnoludów. Tarn podszedł do jednego z nich, oparł na nim dłoń i popchnął go mocno. Głaz odtoczył się na bok, jakby był pusty w środku.

Bo rzeczywiście był pusty.

Krasnoludzki król i jego towarzysze oczyścili osypisko z głazów, odsłaniając wielką dziurę w skale.

- Tędy! - ryknął Tarn, machając ręką.

Gilthas zerknął na Kerian, która potrząsnęła tylko głową i uśmiechnęła się z przekąsem. Zatrzymała się, aby obejrzeć głaz, którego wewnątrz opróżniono niczym melon podczas uczyty.

- Te robaki to zrobiły? - zapytała porażona zdumieniem.

- Urkhany - potwierdził dumnie Tarn. - Małe - dodał. - Takie, co skubią powoli. Większe połknęłyby głaz w całości. Obawiam się, że nie są zbyt bystre. I do tego zawsze są głodne.

- Spójrz na to tak, moja droga - rzekł Gilthas do Kerian, gdy przeszli z księżycowej nocy do chłodu krasnoludzkiej jaskini. - Jeśli krasnoludom udało się ukryć wejście do tunelu przed tobą i twoimi elfami, nie będą mieli trudności z ukryciem go przed przeklętymi rycerzami.

- To prawda - przyznała Kerian.

Wewnątrz jaskini Tarn ponownie tupnął dwukrotnie w podłoże, które sprawiało wrażenie ubitej ziemi, i raz jeszcze odpowiedział mu podwójny łoskot z dołu. W klepisku pojawiły się szczeliny i uchyliła się zręcznie ukryta zapadnia. Wysunęła się z niej głowa krasnoluda. W górę trysnęło światło.

- Mamy gości - oznajmił Tam po krasnoludzku. Krasnolud skinął głową i zniknął. Słyszeli, jak jego ciężkie buciory uderzają o szczeble drabiny.

- Wasza Królewska Mość - powiedział Tarn i uprzejmie skinął dłonią.

Gilthas natychmiast ruszył na dół. Gdyby się zawahał, sugerowałoby to, że nie ufa wielkiemu tanowi, a nie miał zamiaru zrażać do siebie nowego sojusznika. Zszedł zręcznie po solidnych szczeblach i jakieś piętnaście stóp niżej stanął na gładkiej powierzchni. Tunel był dobrze oświetlony przez coś, co Gilthas w pierwszej chwili wziął za lampy.

Bardzo dziwne lampy, pomyślał, podchodząc bliżej do jednej z nich. W ogóle nie produkowały ciepła. Przyjrzał się uważniej i ze zdumieniem zauważył, że światło nie pochodzi z płonącego oleju, lecz z przypominającego wielką larwę stworzenia, które leżało zwinięte w kłębek na dnie żelaznej klatki. Klatki te rozwieszono na wbitych w ścianę żelaznych hakach w odległości kilku stóp od siebie. Łuna bijąca od ciał śpiących larw sprawiała, że w korytarzu było jasno jak w dzień.

- Nawet potomstwo urkhanów pracuje dla nas - oznajmił Tara, zszedłszy z drabiny. - Larwy świecą tak przez jakiś miesiąc. Potem ich blask gaśnie. Zresztą i tak są już wtedy za wielkie, żeby zmieściły się w klatkach, więc zastępujemy je nowymi. Na szczęście, nowych urkhanów nigdy nie brakuje. Ale musisz je zobaczyć. Tędy, tędy.

Poprowadził ich tunelem. Gdy minęli zakręt, ujrzeli przed sobą zdumiewający widok. Połowę korytarza zajmowało ogromne, falujące, pokryte śluzem cielsko rdzawobrazowej barwy. Krasnoludowie posuwali się po bokach robaka, kierując nim za pomocą lejców przytroczonych do owiniętych wokół jego ciała pasów. Gdy stworzenie zaczynało zbaczać z kursu bądź też przetaczać się, co groziło zmiążdżeniem poganiaczy, uderzali je dłońmi bądź kijami. Tarn powiedział elfom, że tunel jest już w połowie wykopany przez pierwszego robaka, który posuwa się przodem. Drugi robak poszerzał tylko to, co już zbudowano.

Ogromny stwór poruszał się niewiarygodnie szybko. Jego rozmiary zdumiały Gilthasa i Kerian. Obwód cielska robaka dorównywał wzrostowi elfa. Według słów Tarna miał on trzydzieści stóp długości. Na ziemi za stworzeniem leżały sterty przeżutej, na wpół strawionej skały. Krasnoludowie odgarniali je łopatami na bok, wypatrując w gruzie samorodków złota i nieszlifowanych klejnotów.

Gilthas przeszedł wzdłuż całego ciała robaka, docierając do jego głowy. Stwór nie miał oczu. Nie potrzebował ich, gdyż całe życie spędzał pod ziemią. Z czubka głowy sterczała para rogów. Krasnoludowie nałożyli na nie skórzaną uprząż. Przy - twierdzono do niej lejce, które trzymał krasnolud siedzący w umieszczonym na grzbiecie robaka wielkim koszu. Poganiacz kierował ruchami stworzenia, zwracając jego głowę w pożądanym kierunku.

Wydawało się, że robak w ogóle nie zdaje sobie sprawy z jego obecności. Myślał wyłącznie o jedzeniu. Nagle wypłynął z paszczy ciecz, która z pewnością była jakiegoś rodzaju kwasem, gdyż po zetknięciu ze skałą zasyczała głośno, a kamień pokrył się pęcherzykami i zaczął skwierczeć. Kilka sporych odłamków oddzieliło się od powierzchni skały. Robak otworzył paszczę i połknął jeden z nich.

- Coś wspaniałego! - rzekł Gilthas z absolutną szczerością, która bardzo uradowała wielkiego tana i resztę krasnoludów.

Był tylko jeden kłopot. Przegryzający się przez skałę robak wił się i przetaczał, wskutek czego ziemia się trzęsła. Przyzwyczajeni do tego krasnoludowie nie zwracali uwagi na te wstrząsy, poruszając się ze zręcznością chodzących po pokładzie marynarzy, lecz Gilthas i Kerian mieli nieco więcej trudności. Co chwila wpadali na siebie albo uderzali o ścianę.

- Czarni rycerze to zauważą! - zaniepokoiła się Kerian, przekrzykując hałas robiony przez gryzącego skałę robaka oraz wrzaski i przekleństwa krasnoludzkich poganiaczy. - Kiedy łóżko Medana zacznie się trząść i usłyszysz dobiegające spod podłogi krzyki, na pewno zacznie coś podejrzewać.

- Tamie, czy dałoby się jakoś wyciszyć ten łoskot? - zapytał Gilthas, przemawiając krasnoludowi prosto do ucha. - Czarni rycerze z pewnością go usłyszą albo przynajmniej poczują wstrząsy.

Krasnolud potrzęsnał przecząco głową.

- To niemożliwe! - ryknął. - Popatrz na to z lepszej strony, chłopcze: robaki są znacznie cichsze niż brygada krasnoludów z młotami i kilofami.

Gilthas miał niepewną minę. Tarn skinął dłonią i wrócili z nim tunelem, oddalając się od robaka i najgorszego hałasu. Wdrapali się po drabinie i wyszli w noc, która była teraz znacznie jaśniejsza niż w chwili, gdy schodzili pod ziemię. Zbliżał się świt. Gilthas nie miał już wiele czasu.

- Mój plan zakłada, że nie będziemy kopali pod samym Qualinostem - wyjaśnił Tarn, gdy wracali „Pod Łyk i Beknięcie”. - W tej chwili dzieli nas od miasta około czterdziestu mil. Doprowadzimy tunele na odległość pięciu mil od jego granic. W ten sposób Rycerze Neraki nie będą mieli o niczym pojęcia. Nie jest też zbyt prawdopodobne, aby odkryli wejścia.

- A co by się stało, gdyby jednak je odkryli? - zaniepokoił się Gilthas. - Mogliby je wykorzystać jako drogę inwazji na Thorbardin.

- Wtedy je zawalimy - odparł bez ogródek Tarn. - Na głowy rycerzom i zapewne również garstce naszych.

- Coraz lepiej rozumiem, na jak wielkie ryzyko się dla nas narażacie - powiedział Gilthas. - Nie wiem, jak wam dziękować.

Tarn Bellowgranite zbył jego słowa machnięciem ręki. Miał wyraźnie zażenowaną minę i Gilthas doszedł do wniosku, że lepiej będzie zmienić temat.

- Ile w sumie będzie tych tuneli?

- Jeżeli nie zabraknie nam czasu, możemy zbudować trzy porządne tunele - odparł krasnolud. - Na razie mamy tylko ten jeden. Już wkrótce będziecie mogli rozpocząć ewakuację mieszkańców. Na początek niewielu, bo ściany nie są jeszcze należycie ostemplowane, ale z garstką sobie poradzimy. Jeśli chodzi o pozostałe dwa tunele, będziemy potrzebowali co najmniej dwóch miesięcy.

- Miejmy nadzieję, że je dostaniecie - rzekł cicho Gilthas. - Mamy w Qualinoście trochę elfów, którzy narazili się Rycerzom Neraki. Wymierzana przez naszych władców sprawiedliwość jest szybka i okrutna. Nawet najdrobniejsze naruszenie któregoś z licznych wprowadzonych przez nich praw kończy się uwięzieniem lub śmiercią. Dzięki temu tunelowi będziemy mogli uratować choć część z tych, których inaczej czekałaby niechybna zguba... Powiedz mi, tanie - odezwał się po chwili - czy przez ten jeden tunel można by ewakuować wszystkich mieszkańców Qualinostu?

Znał odpowiedź na to pytanie, lecz chciał ją usłyszeć na własne uszy.

- Sądzę że tak - odparł wielki tan - pod warunkiem, że będziemy mieli na to dwa tygodnie.

Dwa tygodnie. Jeśli smoczyca i Rycerze Neraki zaatakują, elfom zostanie na ewakuację tylko kilka godzin. Po upływie dwóch tygodni nie byłoby już kogo ewakuować. Gilthas westchnął głęboko.

Kerian podeszła bliżej i dotknęła jego ramienia. Palce miała silne i chłodne. Uspokoił go ich dotyk. Otrzymał więcej, niż się spodziewał. Nie był dzieckiem, które domaga się z płaczem gwiazd, gdy dano mu księżyc.

Popatrzył znacząco na Kerian, - Będziemy musieli mieć się na baczności i nie drażnić

smoczycy przynajmniej przez miesiąc.

- Moi wojownicy nie będą udawać trupów! - odparła ostro elfka - jeśli o to właśnie ci chodzi. Poza tym, gdybyśmy nagle zaprzestali ataków, rycerze zaczęliby coś podejrzewać i z pewnością postanowiliby zbadać sprawę. Lepiej, żebyśmy odwracali ich uwagę.

- Miesiąc - powiedział cicho Gilthas, odmawiając bezgłośnie modlitwę, choć nie wiedział, czy jest jeszcze ktoś, kto mógłby jej wysłuchać. - Dajcie mi miesiąc. Mnie i mojemu ludowi.

Świt w czasach ciemności

Do Ansalonu przybył świt, dla jednych za wcześnie, dla innych zaś zbyt późno. Słońce było czerwoną linią na horyzoncie, jakby ktoś poderznął nożem gardło ciemności. Gilthas przemknął pośpiesznie przez mroczny ogród otaczający jego pałacowe więzienie. Wracił - nieco spóźniony - by dalej grać swą niebezpieczną rolę.

Planchet czuwał na balkonie, niespokojnie wypatrując młodego króla, gdy nagle do drzwi zapukał prefekt Palthainon, który przyszedł po poranną porcję pociągania za sznurki. Sługa nie mógł już tak jak wczoraj twierdzić, że Jego Królewska Mość jest niedysponowany. Palthainon, który wstawał wcześnie, przybył tu po to, aby terroryzować króla, napawać się swą władzą nad młodzieńcem i zademonstrować ją reszcie dworzan.

- Chwileczkę, prefekcie! - zawołał Planchet. - Jego Królewska Mość właśnie korzysta z nocnika. - Sługa zauważył w ogrodzie jakiś ruch. - Wasza Królewska Mość! - wysyczał tak głośno, jak tylko się odważył. - Szybciej!

Gilthas stanął pod balkonem i Planchet opuścił mu linę. Król złapał ją i wspiał się zręcznie na górę.

Ponownie rozległo się pukanie, tym razem głośniejsze i bardziej natarczywe.

- Domagam się, aby pozwolono mi zobaczyć się z Jego Królewską Mością! - zażądał Palthainon.

Gilthas wdrapał się na balkon, skoczył do łóżka i całkowicie ubrany zagrzebał się w pościeli. Planchet zarzucił mu koc na głowę i podszedł do drzwi z palcem na ustach.

- Jego Królewska Mość źle się czuł przez całą noc. Dziś rano nie mógł przełknąć nawet kawałka suchej grzanki - wyszeptał sługa. - Musiałem go zaprowadzić z powrotem do łóżka.

Prefekt zajrzał do komnaty nad ramieniem Plancheta i zobaczył, że król uniósł głowę i spogląda nań zaspanymi oczyma.

- Przykro mi z powodu złego samopoczucia Waszej Królewskiej Mości - powiedział prefekt, marszcząc brwi. Byłoby lepiej, gdybyś jednak wstał i zabrał się do roboty, zamiast tak leżeć i uzalać się nad sobą. Wrócę za godzinę. Ufam, że Wasza Królewska Mość już się ubierze i będzie mógł mnie przyjąć.

Palthainon się oddalił i Planchet zamknął za nim drzwi. Gilthas uśmiechnął się, rozprostowując ręce nad głową. Pożegnanie z Kerian rozdarło mu serce. Wciąż jeszcze czuł zapach drzewnego dymu przesycający jej strój oraz woń różanego olejku, którym smarowała sobie skórę. Zapach trawy, na której leżeli objęci, nie chcąc powiedzieć „do widzenia”. Westchnął raz jeszcze, wstał z łóżka i poszedł do łazienki, aby z niechęcią zmyć z siebie ślady potajemnego spotkania z żoną.

Gdy prefekt wrócił po godzinie, król był zajęty pisaniem poematu, mówiącego - któż mógłby w to uwierzyć? - o krasnoludzie. Palthainon pociągnął lekceważąco nosem i powiedział młodzieńcowi, żeby przestał trwonić czas na głupstwa i wziął się do pracy. Niebo nad Qualinesti zasnuły chmury, które przesłoniły słońce. Rozpadała się lekka mżawka.

To samo poranne słońce, które świeciło na Gilthasa, opromieniało także jego kuzyna Silvanosheia. On również nie spał całą noc, ale nie bał się nadejścia poranka, tak jak Gilthas. Oczekiwał go wręcz z niecierpliwą radością, pełen oszołomienia i niedowierzania.

Tego dnia Silvanoshei miał być koronowany na Mówcę Gwiazd. Tego dnia, choć nigdy tego nie oczekiwał i nie żywił na to nadziei, miał zostać ogłoszony władcą swego ludu. Dokona tego, co bezskutecznie starali się osiągnąć jego rodzice.

Wydarzenia toczyły się tak szybko, że Silvanoshei nadal czuł się oszołomiony. Zamknął oczy, aby raz jeszcze przeżyć wszystko w pamięci.

Obaj z Rolanem przybyli wczoraj na przedmieścia Silvanostu, gdzie czekała na nich grupa elfich żołnierzy.

Nici z tronu, pomyślał na ten widok Silvanoshei, czując raczej rozczarowanie niż strach. Gdy jednak żołnierze wydobyli miecze, pomyślał, że za chwilę zginie. Czekał spokojnie. Nie miał broni. Przynajmniej umrze z godnością. Nie będzie walczył ze swymi braćmi. Dochowa wierności temu, czego chciała od niego matka.

Ku jego zdumieniu elfi żołnierze unieśli miecze ku słońcu i zakrzyknęli radośnie, ogłaszając go królem, Mówcą Gwiazd. Silvanoshei zdał sobie sprawę, że to nie pluton egzekucyjny, lecz gwardia honorowa.

Przyprowadzili mu pięknego białego ogiera. Dosiadł go i wjechał triumfalnie do Silvanostu. Elfowie wylegli na ulice, krzycząc radośnie i rzucając kwiatami, które pokryły całą ulicę, a ich woń przesycała powietrze.

Po obu bokach Silvana maszerowali żołnierze, którzy nie dopuszczali do niego tłumu. Młodzieniec machał uprzejmie ręką, myśląc o rodzicach. Alhana pragnęła tej chwili bardziej niż czegokolwiek na świecie. Była gotowa oddać za nią życie. Być może patrzyła teraz na niego stamtąd, dokąd odchodzili umarli, i uśmiechała się na myśl, że syn spełnił jej marzenie. Nie gniewał się już na matkę. Wybaczył jej i miał nadzieję, że ona również mu wybaczyła.

Parada zakończyła się pod Wieżą Gwiazd. Tam czekał na nich wysoki elf o srogiej minie i siwiejących włosach, który przedstawił się jako generał Konnal. Potem przedstawił swego

siostrzeńca, Kiryna. Silvan był zachwycony, słysząc, że są ku - zynami. Następnie Konnal zaprezentował syna Alhany głowom rodów, które miały określić, czy Silvanoshei rzeczywiście jest wnukiem Loraca Caladona (imienia jego matki nie wymieniono) i w związku z tym prawowitym dziedzicem tronu Silvanesti. Konnal zapewnił na boku Silvanosheia, że to jedynie czysta formalność.

- Elfowie chcą mieć króla - oznajmił mu. - Dlatego głowy rodów z ochotą uwierzą, że jesteś Caladonem, za którego się podajesz.

- Jestem Caladonem - zapewnił Silvanoshei, oburzony sugestią, że głowy rodów zaakceptują go bez względu na to, czy jego twierdzenia są prawdą. - Jestem wnukiem Loraca Caladona i synem Alhany Starbreeze.

Wypowiedział głośno jej imię, nie zważając na to, że nie wolno było wymieniać imion tych, których uznano za czarnych elfów.

Podszedł do niego jakiś elf, jeden z najpiękniejszych, jakich Silvanoshei w życiu widział. Odziany w białe szaty nieznajomy przyglądał mu się z uwagą.

- Znałem Loraca - oznajmił wreszcie delikatnym głosem o melodyjnym brzmieniu. - To zaiste jest jego wnuk. Nie może być żadnych wątpliwości. - Pochylił się, ucałował Silvanosheia w oba policzki i spojrzał na generała Konnala. Nie może być żadnych wątpliwości - powtórzył.

- Kim jesteś? - zapytał oszołomiony Silvan.

- Nazywam się Glaucous - odparł elf, kłaniając się nisko. - Mianowano mnie regentem, abym służył ci pomocą w nadchodzących dniach. Jeśli generał Konnal wyrazi zgodę, przygotuję na jutro twoją koronację. Elfowie długie lata czekali na ten radosny dzień. Nie każdy im czekać dłużej.

Silvan leżał w łożu, które ongiś należało do jego dziadka Loraca. Kolumnienki baldachimu zostały wykonane ze złotych i srebrnych nici, splecionych razem na podobieństwo pnączy. Zdobiły je kwiaty z połyskujących klejnotów. Delikatne, pach - nące lawendą prześcieradła pokrywały materac wypełniony łabędzim puchem. Przed nocnym chłodem chroniła młodzieńca szkarłatna, jedwabna kołdra. Sufit komnaty wykonano z kryształu. Będzie mógł co noc udzielać audiencji księżycowi i gwiazdom, które przyjdą złożyć mu hołd.

Silvanoshei roześmiał się cicho do siebie, zachwycony tym wszystkim. Pomyślał, że powinien się uszczypnąć, żeby przebudzić z tego cudownego snu, doszedł jednak do wniosku, że nie będzie ryzykował. Jeśli to był sen, nie chciał się nigdy obudzić. Nie chciał znowu kryć się w wilgotnych jaskiniach, żywić się suszonymi jagodami i chlebem podróznym ani pić słonawej wody. Nie chciał widzieć, jak elfi wojownicy padają martwi u jego stóp, przeszyci strzałami ogrów. Nie chciał się budzić. Niech ten sen trwa aż do końca jego życia.

Był głodny, cudownie głodny. Potrafił się zachwycać tym głodem, gdyż wiedział, że będzie mógł go zaspokoić. Wyobraził sobie, czego zażyczy sobie na śniadanie. Może ciastek na miodzie. Kandyzowanych płatków róży. Bitej śmietany z gałką muszkatołową i cynamonem. Mógł dostać wszystko, o co poprosi, a jeśli nie przypadnie mu to do gustu, każe to zabrać i zażyczy sobie czegoś

innego.

Wyciągnął leniwie dłoń ku srebrnemu dzwonnkowi, który stał na ozdobnym stoliku nocnym wykonanym ze złota i srebra, i wezwał służbę. Potem znów opadł na łożo, czekając na potop usłużnych elfów, który za chwilę zaleje komnatę, aby pomóc mu wstać, wykąpać go, ubrać, uczesać, wyszczotkować, skropić perfumami i ozdobić klejnotami. Dopiero później będzie mógł się udać na koronację.

Ujrzał oczyma wyobraźni twarz matki, Alhany Starbreeze. Życzył jej dobrze, ale dziś miało się ziścić jego marzenie i nie było tu dla niej miejsca. Udało mu się tam, gdzie ona poniosła klęskę. On scali to, co ona rozbiła.

- Wasza Królewska Mość. Wasza Królewska Mość. Wasza Królewska Mość.

Elfowie z Rodu Służących pokłonili mu się nisko. Pozdrowił ich czarującym uśmiechem, pozwolił, aby strząsnęli po - duszki i wygładzili kołdrę. Usiadł w łożu i czekał leniwie, ciekaw, co też przyniosą mu na śniadanie.

— Wasza Królewska Mość - powiedział elf wybrany przez regenta Glaucosa na szambelana.
- Księżę Kiryn czeka pod drzwiami, aby złożyć ci wyrazy szacunku.

Silvanoshei odwrócił się od zwierciadła, w którym podziwiał swe nowe szaty. Krawcowe cały wczorajszy i dzisiejszy dzień trudziły się nad nimi jak szalone, podobnie jak nad peleryną, którą miał przywdziać na koronację.

- Mój kuzyn! Wpuść go, proszę, natychmiast.

- Wasza Królewska Mość nigdy nie powinien używać słowa „proszę” - skarcił go z uśmiechem szambelan. - Jeśli Wasza Królewska Mość czegoś sobie życzy, to wystarczy wydać polecenie.

- Tak jest. Masz rację. Dziękuję. - Silvan dostrzegł swój drugi błąd i zaczerwienił się. - Pewnie „dziękuję” też nie powinienem mówić, prawda?

Szambelan przytaknął i oddalił się. Po chwili wrócił z elfim młodzieńcem, kilka lat starszym od Silvana. Widzieli się dotąd tylko przelotnie, wczorajszego dnia. To było ich pierwsze spotkanie w cztery oczy. Z uwagą przyglądali się sobie. Szukali jakichś oznak pokrewieństwa i być może, ku obopólnemu zadowoleniu, znaleźli je.

- Jak ci się to wszystko podoba, kuzynie? - zapytał Kiryn, gdy już wymieniono wiele pozbawionych znaczenia uprzejmości. - Przepraszam, chciałem powiedzieć „Wasza Królewska Mość”.

Pokłonił się.

- Proszę, mów mi „kuzynie” - rzekł ciepło Silvan. Nigdy jeszcze nie miałem kuzyna. To znaczy, nigdy go nie znałem. No wiesz, mam kuzyna, który jest królem Qualinesti. Przynajmniej tak go nazywają.

- Twój kuzyn Gilthas. Syn Lauralanthalasy i półczłowieka Tanisa. Słyszałem o nim. Mówił o nim Porthios. Podobno Mówca Gilthas ma słabe zdrowie.

- Nie musisz być aż tak uprzejmy, kuzynie. Wszyscy wiemy, że cierpi na melancholiczny obłąd. Nie ma w tym jego winy, ale tak już jest. Czy to przystoi, żebym ci mówił „kuzynie”?

- Może nie publicznie, Wasza Królewska Mość - odparł z uśmiechem Kiryn. - Jak już może zauważyłeś, tu, w Silvanesti, kochamy ceremonie. Na osobności będę jednak zaszczycony. - Przerwał na chwilę. - Słyszałem o śmierci twoich rodziców - dodał cicho. - Chcę powiedzieć, że jest mi bardzo przykro. Bardzo ich podziwiałem.

- Dziękuję - odparł Silvan. Gdy już minęła wymagana chwila, zmienił temat. - Żeby odpowiedzieć na twoje poprzednie pytanie, muszę przyznać, że wszystko to wydaje mi się raczej przerażające. Wspaniałe, ale przerażające. Jeszcze przed miesiącem mieszkałem w jaskini i spałem na ziemi. Teraz mam to łóżko, to piękne łóżko, w którym sypiał mój dziadek. Regent Glaucous kazał przynieść je do tej komnaty, sądząc, że mi się spodoba. Mam te szaty. Mogę dostać do jedzenia i picia wszystko, czego sobie zażyczę. To jest jak sen.

Silvan odwrócił się i ponownie przyjrzał się sobie w zwierciadle. Był zachwycony swymi nowymi szatami, nowym wyglądem. Był czysty, włosy miał ufryzowane i wyperfumowane, a na jego palcach lśniły klejnoty. Nie gryzły go pchły i nie czuł zeszywnienia od spania na skale z kamieniem pod głową zamiast poduszki. Poprzysiął sobie, że nigdy już do tego nie wróci. Nawet nie zauważył, że gdy tylko wspomniał o regencie, mina Kiryna nagle spoważniała.

W miarę jak Silvan mówił dalej, jego kuzyn posepniał coraz bardziej.

- Jeśli już mowa o Glaucousie, to on jest naprawdę wspaniały! Bardzo się cieszę, że jest moim regentem. Jest taki uprzejmy i wyrozumiały. We wszystkim pyta mnie o zdanie. Muszę ci wyznać, kuzynie, że z początku gniewałem się trochę na generała Konnała za to, że zasugerował głowom rodów, aby wyznaczono regenta, który byłby dla mnie przewodnikiem, nim osiągnę pełnoletność. Rozumiesz, w Qualinesti już byłbym uważany za pełnoletniego.

Silvan zrobił surową minę.

___ Jestem też zdeterminowany nie dać zrobić z siebie marionetki, takiej, jaką jest mój biedny kuzyn Gilthas. A regent Glaucous dał mi do zrozumienia, że nie zamierza sprawować rządów. Jego rola będzie polegała na wygładzaniu przede mną drogi, tak by wszystkie moje życzenia i rozkazy spełniano bez zwłoki.

Kiryn nie odpowiadał. Rozejrzał się po komnacie, jakby w końcu na coś się zdecydował. Postąpił krok w stronę Silvana i zapytał cicho: - Czy mogę zasugerować, aby Wasza Królewska Mość odesłał służących?

Silvan popatrzył na niego ze zdumieniem i zakłopotaniem. Nagle stał się podejrzliwy. Glaucous mówił mu, że Kiryn ma zakusy na tron. Co, jeśli zamierzał zaskoczyć go, gdy będzie sam i bezbronny?

Silvan przyjrzał się kuzynowi, który wydawał się szczupły, delikatnej budowy i miał gładkie, miękkie dłonie uczonego. Porównał go ze sobą. Jego ciało było twarde i muskularne. Kiryn nie miał broni i raczej nie mógł być groźny.

- Proszę bardzo - zgodził się Silvan i odesłał służących, którzy byli zajęci sprzątaniami komnaty oraz przygotowywaniem stroju, jaki miał założyć na uroczysty bal, wyprawiany na jego cześć dziś wieczorem.

- Proszę, kuzynie. Jesteśmy sami. Co chciałeś mi powiedzieć? - zapytał Silvan, zachowując pełen spokój.

- Wasza Królewska Mość. Kuzynie - zaczął Kiryn ze szczerym przejęciem w głosie. Mówił cicho, mimo że zostali sami w wielkiej, pełnej echa komnacie. - Przyszedłem tu dziś w jednym tylko celu. Chciałem cię ostrzec przed Glauousem.

- Ach - odparł Silvan z mądrą miną. - Rozumiem.

- Nie wydajesz się zaskoczony, Wasza Królewska Mość.

- Bo nie jestem zaskoczony. Rozczarowany, owszem, ale nie zaskoczony. Glaucous ostrzegł mnie, że możesz być zawistny. Powiedział mi szczerze, że ma wrażenie, iż go nie lubisz. On nie odważym się tego uczucia. Mówi o tobie z wielkim szacunkiem i jest mu bardzo smutno, że nie możecie zostać przyjaciółmi.

- Obawiam się, że nie mogę mu się odwdziżyć podobnym komplementem - stwierdził Kiryn. - On nie zasługuje na tytuł regenta, Wasza Królewska Mość. Nie pochodzi z Rodu Królewskiego. Jest... czy raczej był... czarodziejem, który opiekował się Wieżą Shalost. Wiem, że jego kandydaturę wysunął mój wuj, ale...

Przerwał na chwilę, jakby mówienie sprawiało mu trudność.

- Powiem ci coś, czego nie mówiłem jeszcze nikomu, Wasza Królewska Mość. Jestem przekonany, że Glaucous wywiera na mojego wuja jakiś niezwykle wpływ. Mój wuj jest dobrym elfem, Wasza Królewska Mość. Walczył dzielnie w Wojnie Lancy. Walczył ze snem u boku twego ojca Porthiosa. To, czego świadkiem był w owych straszliwych czasach, sprawiło, że do dziś żyje w nieustannym strachu, który nie ma racjonalnego uzasadnienia. Panicznie boi się powrotu złych czasów. Jest przekonany, że tarcza uratuje Silvanesti przed nadchodzącą ciemnością. Glaucous panuje nad magią tarczy i poprzez groźbę jej usunięcia kontroluje mojego wuja. Nie chciałbym, by zapanował nad tobą w ten sam sposób.

- Być może sądzisz, kuzynie, że już znalazłem się pod jego kontrolą? Być może uważasz, że byłbyś lepszym Mówcą Gwiazd ode mnie? - zapytał Silvan z narastającym gniewem.

- Mogłem zostać Mówcą, kuzynie - odparł Kiryn ze spokojną godnością. - Glaucous chciał mnie posadzić na tronie, ale mu odmówiłem. Znałem i kochałem twoich rodziców. Tron prawnie należy się tobie. Nigdy bym go nie zagarnął.

Silvan poczuł, że zasłużył na tę przyganę.

- Wybacz, kuzynie. Wypowiedziałem te słowa, nim mój mózg zdążył pokierować językiem. Jestem jednak przekonany, że źle osądzasz Glaucousa. On ma na sercu dobro Silvanesti. Fakt, że mimo niskiego urodzenia zaszedł tak wysoko, przynosi mu tylko zaszczyt, podobnie jak twojemu wujowi, który dostrzegł jego prawdziwą wartość i nie dał się oślepić względem klasowym, mających w przeszłości przemożny wpływ na el - fów. Matka często mi powtarzała, że zaszkodziłyśmy sobie, nie pozwalając utalentowanym osobom zrealizować ich pełnego potencjału, ponieważ ocenialiśmy swych rodaków na podstawie pochodzenia, a nie zdolności. Jednym z jej najbardziej zaufanych doradców był Samar, kiedyś prosty żołnierz.

__ Gdyby Glaucous umiał biegle pokierować naszym ludem, pierwszy bym go poparł, bez względu na jego pochodzenie. On jednak tylko zasadzi! magiczne drzewo i otoczył nas tarczą - stwierdził z ironią Kiryn.

- Tarcza zapewnia nam osłonę - sprzeciwił się Silvanoshei.

- Podobnie jak mury więzienia - zauważył gorzko Kiryn. Silvan zamyślił się. Nie mógł wątpić w szczerść kuzyna, nie chciał jednak słuchać słów krytyki pod adresem regenta. Szczerze mówiąc, przygniatała go nowa odpowiedzialność, która tak nieoczekiwanie na niego spadła. Pocieszała go myśl, że ma kogoś takiego, jak Glaucous, kto będzie służył mu radą. Ktoś tak greczny, uprzejmy i czarujący, jak Glaucous.

- Nie kłóćmy się o to, kuzynie - rzekł. - Rozważę twe słowa. Jestem ci wdzięczny za szczerść. Wiem, że nie przyszła ci ona łatwo.

Wyciągnął rękę.

Kiryn uściskał jego dłoń, szczerze i mocno. Potem rozmawiali o innych sprawach, o nadchodzącej ceremonii koronacji i modnych obecnie tańcach. W końcu Kiryn wyszedł, obiecując, że przyjdzie odprowadzić kuzyna na koronację.

- Założę koronę, którą ostatnio nosił mój dziadek - zdumiewał się Silvan.

- Oby przyniosła ci więcej szczęścia niż jemu, Wasza Królewska Mość - rzekł Kiryn i opuścił komnatę z poważną miną.

Silvan pożegnał go z żalem. Pełna życia natura kuzyna i jego ciepłe, przyjazne zachowanie bardzo przypadły mu do gustu, mimo że miał mu też trochę za złe, iż zepsuł mu ranek. « dzień koronacji król powinien czuć wyłącznie radość.

- Jest zazdrosny i tyle - tłumaczył sobie Silvan. - To w pełni naturalne. Jestem pewien, że na jego miejscu czułbym to samo.

- Wasza Królewska Mość - odezwał się jeden ze służących. - Z przykrością zawiadamiam, że zaczęło padać.

- I co sądzisz o naszym nowym królu? - zapytał generał Konnal swego towarzysza, gdy szli po schodach do pałacu, aby złożyć Jego Królewskiej Mości hołd w dzień koronacji. Deszcz rozpadał się na dobre, a słońce skryło się za szarą zasłoną chmur.

- Jest inteligentny, skromny i naturalny - odparł z uśmiechem Glaucous. - Bardzo przypadł mi do gustu. A tobie?

- To młody szczeniak - stwierdził Konnal ze wzruszeniem ramion. - Nie sprawi nam kłopotów. Twoje rady okazały się słuszne, przyjacielu - dodał łagodniejszym tonem.

- Słusznie postąpiliśmy, osadzając go na tronie. Elfowie go uwielbiają. Od dawna nie byli tacy szczęśliwi. Na ulicach jest pełno kwiatów i wszyscy włożyli najlepsze stroje. Zabawy będą się ciągnęły całymi dniami. Mówią, że jego pojawienie się jest cudem. Ponoć do członków tych, których dotknęła wyniszczająca choroba, powraca życie. Nie będzie już więcej mowy o usunięciu tarczy. Nie ma do tego powodu.

- Tak jest, wyrwaliśmy z korzeniami chwast buntu, który kirathowie próbowali zasadzić w naszym pięknym ogrodzie - zgodził się Glaucous. - Wydaje im się, że pokonali cię, bo posadzili na tronie wnuka Loraca. Nie wyprowadzaj ich z błędu. Niech się radują. Mają swojego króla. Nie sprawią nam już kłopotu.

- A gdyby przez jakiś pechowy zbieg okoliczności tarcza nas zawiodła - wtrącił Konnal, spoglądając znacząco na czarodzieja - to nie musimy się już obawiać jego matki. Wedrze się tu ze swymi uzbrojonymi po zęby żołnierzami, chcąc ratować kraj, i przekona się, że władą nim jej własny syn. Mógłbym niemal na to przystać, po to tylko, żeby zobaczyć jej minę.

- Być może. - Glaucousowi ta myśl nie wydała się szczególnie zabawna. - Osobiście wolałbym już nigdy nie zobaczyć tej wiedźmy na oczy. Ani przez chwilę nie wierzę, że pozwoliłaby synowi zachować tron. Pragnie władzy dla siebie. Na szczęście - dodał z uśmiechem, odzyskując dobry humor - nie wydaje się prawdopodobne, aby zdołała się tu dostać. Tarcza ją zatrzyma.

- Ale jej syna przepuściła - zauważył Konrial.

- Dlatego, że tego chciałem - przypomniał generałowi Glaucous.

- To ty tak mówisz.

- Wątpisz w moje słowa, przyjacielu?

Glaucous zatrzymał się i spojrzał na generała. Białe szaty czarodzieja zafalowały niespokojnie.

- Wątpię - potwierdził ze spokojem Konnal - ponieważ widzę, że sam w sobie wątpisz.

Czarodziej chciał coś odpowiedzieć, lecz zamknął nagle usta. Splótł dłonie za plecami i ruszył przed siebie.

- Przepraszam... - zaczął Konnal.

- Nie, przyjacielu. - Glaucous zatrzymał się i spojrzął na niego. - Nie gniewam się. Po prostu jest mi przykro. Zasmuciłeś mnie.

- Ja tylko...

- Wszystko ci wytłumaczę, przyjacielu. Być może wtedy mi uwierzysz.

Konnal westchnął.

- Celowo błędnie interpretujesz moje słowa. Proszę bardzo, wysłucham twoich wyjaśnień, jeśli tego pragniesz.

- Opowiem ci, jak do tego doszło. Ale nie tutaj. Tu jest zbyt wielu świadków. - Glaucous wskazał na sługę, który niósł wielki wieniec laurowy. - Chodźmy do biblioteki. Tam będziemy mogli porozmawiać na osobności.

Biblioteka była wielką salą, pełną półek z ciemnego drewna, na których stały liczne książki i zwoje. Panowała tu cisza. Wydawało się, że książki pochłaniają słowa mówiących, jakby chciały zachować je na przyszłość.

- Kiedy powiedziałem, że tarcza spełniła moje życzenie - zaczął Glaucous - nie chodziło mi o to, że nakazałem jej przepuścić tego młodzieńca. Magia tarczy pochodzi od drzewa rosnącego w Ogrodzie Astarin. Rzeźbiarze drzew zasadzili drzewo i opiekowali się nim zgodnie z moimi wskazówkami. To ja nauczyłem ich magii, która powoduje jego wzrost. Ta magia jest częścią mnie. Jej utrzymywanie pochłania lwią część moich sił i energii, a tylko one umożliwiają istnienie tarczy. Czasami odnoszę wrażenie, że to ja jestem tarczą - dodał cicho - tarczą, która zapewnia naszemu ludowi bezpieczeństwo.

Konnal milczał, czekając, aż usłyszy coś więcej.

- Już przedtem podejrzewałem, że tarcza reaguje na moje niewypowiedziane życzenia - ciągnął czarodziej. - Życzenia, których nawet nie byłem świadomy. Od dawna pragnąłem, aby na tronie wreszcie zasiadł król. Tarcza dostrzegła to moje nieświadome życzenie i gdy Silvanoshei znalazł się w jej pobliżu, przepuściła go.

Generał pragnął w to uwierzyć, lecz nie opuszczały go wątpliwości. Dlaczego Glaucous nie powiedział mi o tym przedtem? - zastanawiał się. - Dlaczego nie patrzy mi w oczy, gdy o tym mówi? On coś wie. Coś przede mną ukrywa.

Spojrzął na czarodzieja.

- Czy możesz mnie zapewnić, że nikt już nie przedostanie się przez tarczę?

- Mogę, mój drogi generale - odparł Glaucous. - Ręczę za to głową.

Ślepy żebrak

Żołnierze Miny opuścili Sanction w dobrym nastroju. Głośno ryczeli wojskowe piosenki, które pomagały im w marszu i opowiadali sobie o bohaterskich czynach, których dokonają w Silvanesti w imię ubóstwianego dowódcy. Gdy tylko ujrzeli dosiadającą czerwonego rumaka Minę, pozdrawiali ją radosnymi okrzykami, często łamiąc szyk i narażając się na gniew oficerów, byle tylko skupić się

wokół niej i dotykać jej na szczęście.

Galdar przed kilkoma dniami wyruszył do Khur, by zanieść generałowi Dogahowi rozkazy Miny. Pod nieobecność minotaura dowództwo sprawował kapitan Samuval. Jego zadanie nie było w tej chwili zbyt trudne. Pogoda panowała słoneczna, a lato wydawało się ciepłe. Marsz nie wyglądał na trudny i niebezpieczny, gdyż rycerzy dzieliło zaledwie kilka dni drogi od Sanction i nadal przebywali na terytorium, które znajdowało się pod ich kontrolą. Wkrótce jednak mieli wkroczyć na ziemię ogrów, którzy ongiś byli ich sojusznikami, a teraz stali się zaciętymi wrogami. Niemniej nawet myśl o walce z tymi gwałtownymi potworami nie mąciła ich radości. Mina rozświetlała wszelkie cienie swym blaskiem niczym zimne, blade słońce.

Samuval widział już wiele kampanii i zdawał sobie sprawę, że gdy pogoda się popsuje i zacznie padać deszcz, trakt stanie się węższy, nadejdzie gwałtowny wicher i będzie ich nękał nieprzyjaciel, żołnierze zaczną mieć wątpliwości. Będą zrędzić i narzekać, a niektórym może nawet przyjść do głowy wywoływanie kłopotów. Na razie jednak jego obowiązki nie okazywały się zbyt trudne. Maszerował u boku Miny i cała kolumna zazdrościła mu tego zaszczytu. Stał obok niej, gdy, dosiadając swego rumaka, dokonywała przeglądu żołnierzy. Co noc przychodził do jej namiotu, by studiować mapy i wyznaczyć marszrutę na następny dzień. Spał pod namiotem, owinięty w płaszcz. Dłoń trzymał na rękojeści miecza, gotowy popędzić z pomocą Minie, gdyby tylko okazało się to potrzebne.

Nie obawiał się, że któryś z jego ludzi spróbuje ją skrzywdzić. Pewnej nocy, leżąc na płaszczu i wpatrując się w gwiazdy, zamyślił się nad tą kwestią. Mina była młodą, bardzo atrakcyjną kobietą, a on zaś mężczyzną, który kochał kobiety wszelkiego rodzaju. Nie potrafił nawet zliczyć, z jak wieloma już spał. W normalnej sytuacji na widok tak ładnej dziewczyny krew by mu zawrzała, a w lędźwiach pojawił się znamieny ucisk. Mina nie budziła jednak jego pożądania. Słuchając prowadzonych przy ogniskach rozmów, przekonał się, że inni mężczyźni czują podobnie. Kochali Minę, uwielbiali ją. Darzyli ją pełną bojaźnią czcią. Nie pragnęli jej jednak. Nie potrafili wymienić nikogo, kto by jej pożądał.

Następnego ranka marsz zaczął się tak samo jak zawsze. Według obliczeń Samuwała, jeśli Galdar nie natrafi w Khur na żadne trudności, powinien dogonić ich za dwa dni. Do tej pory Samuval nie przepadał zbyt za minotaurami, teraz jednak z niecierpliwością oczekiwał powrotu Galdara...

- Kapitanie! Zatrzymał ludzi! - usłyszał krzyk zwiadowcy.

Samuval zatrzymał kolumnę i podszedł do żołnierza.

- Co się stało? - zapytał. - Ogrowie?

- Nie, kapitanie - zwiadowca zasalutował. - Na trakcie przed nami stoi ślepy żebrak.

- Zatrzymałeś kolumnę z powodu cholernego żebraka?

- zapytał poirytowany Samuval.

- Kapitanie... - odpowiedział zakłopotany zwiadowca - ...on blokuje drogę.

- To go z niej przegoń! - zawołał rozwścieczony oficer.

- Jest w nim coś dziwnego, kapitanie. - Zwiadowca był wyraźnie zaniepokojony. - To nie jest zwyczajny żebrak. Uważam, że powinieneś z nim porozmawiać. Powiedział... powiedział, że czeka tu na Minę - dokończył żołnierz, wybałuszając ze zdziwienia oczy.

Samuval potarł podbródek. Nie zdziwiło go, że wieści o Minie już się rozeszły, poczuł się jednak mocno i raczej nieprzyjemnie zaskoczony faktem, iż ich marszruta najwyraźniej również jest już powszechnie znana.

- Zajmę się tym - rzucił i ruszył za zwiadowcą. Zamierzał wypytać żebraka, aby się dowiedzieć, co jeszcze wie i kto był źródłem jego informacji. Miał nadzieję załatwić tę sprawę, nim Mina o niej usłyszy.

Ledwie zdążył postąpić trzy kroki, gdy usłyszał za plecami jej głos.

- Kapitanie Samuval - odezwała się dosiadająca Zimnego Ognia dziewczyna - w czym problem? Dlaczego się zatrzymaliśmy?

Samuval już chciał jej powiedzieć, że drogę blokuje głaz, lecz nim zdążył otworzyć usta, zwiadowca wygadał prawdę, głosem tak donośnym, że usłyszała go cała kolumna.

- Mino! Przed nami stoi ślepy żebrak. Mówi, że czeka na ciebie.

Żołnierze byli zachwyceni. Kiwali głowami, uważając za naturalne, iż Mina przyciąga tak wiele uwagi. Durnie! Wydaje im się, że to parada na ulicach Jelek!

Samuval wyobraził sobie, że na drodze przed nimi czekają kaleki i ofiary francy z każdej nędznej wioski na ich trasie i wszyscy błagają Minę o uzdrowienie.

- Przeprowadź go do mnie, kapitanie - zażądała dziewczyna.

Samuval stanął przy jej strzemieniu.

- Wysłuchaj mnie, Mino - sprzeciwił się. - Wiem, że chcesz dobrze, ale jeśli będziesz się zatrzymywała, aby uzdrowić każdego nieszczęsnego kalekę czekającego na trakcie do Silvanostu, przybędziemy tam akurat na czas, aby obchodzić razem z elfami święta zimowe. O ile w ogóle tam dotrzemy. Każda chwila zwłoki daje ogrom więcej czasu na zebranie sił.

- On chce się ze mną widzieć. Spełnię jego życzenie - oznajmiła Mina, zsuwając się z siodła. - Maszerujemy już długo. Ludziom przyda się odpoczynek. Gdzie on jest, Rolofie?

- Przed nami - odparł zwiadowca, wyciągając rękę. Jakies pół mili stąd. Na szczycie wzgórza.

- Samuval, chodź ze mną - zażądała Mina. - Reszta niech tu zaczeka.

Kapitan ujrzał żebraka, nim jeszcze do niego dotarli. Trakt wiódł przez niewysokie wzgórza. Jak powiedział zwiadowca, żebrak czekał na szczycie jednego z nich. Siedział na ziemi, wsparty plecami o głaz. Ścisnął w ręce długą, mocną laskę. Usłyszawszy, że nadchodzą, wstał i odwrócił się powoli, kierując ku nim niewidzące oczy.

Był młodszy, niż spodziewał się kapitan. Długie, opadające na ramiona włosy lśniły srebrzyście w blasku porannego słońca. Twarz miał gładką i młodzieńczą. Ongiś mogła być przystojna. Spowijały go perłowoszare szaty, znoszone i wystrzępione, ale czyste. Wszystko to Samuwał zauważył dopiero później. W tej chwili mógł jedynie gapić się na odrażającą bliznę, która szpeciła twarz mężczyzny.

Blizna wyglądała na ślad po oparzeniu. Włosy po prawej stronie głowy strawiły płomień. Blizna przecinała oblicze na ukos, od skroni po prawej stronie aż po podbródek po lewej. Prawy oczodół był przewiązany szmatą. Chorobliwie zaciekawiony Samuwał zadał sobie pytanie, czy gałka oczna jeszcze w nim jest, czy też roztopiła się w straszliwym żarze, który zwęglił ciało i wypalił włosy aż do korzeni. Lewe oko pozostało na miejscu, lecz wydawało się bezużyteczne, gdyż nie widziało się w nim blasku. Straszliwa rana wyglądała na świeżą, nie mogła mieć więcej niż miesiąc. Żebrak z pewnością cierpiał ból, lecz nic po sobie nie okazywał. Czekał na nich bez słowa. Choć nie widział Miny, zwrócił twarz w jej stronę.

Z pewnością poznał ją po odgłosie kroków, cichszych od kroków Samuwała.

Mina zatrzymała się na krótką chwilę. Samuwał zauważył, że zeszywniała, jakby najwyraźniej zaskoczona. Potem wzruszyła ramionami i zbliżyła się do żebraka. Samuwał szedł za nią, trzymając dłoń na rękojeści miecza. Choć nieznajomy był ślepy, kapitan wyczuwał w nim groźbę. Jak powiedział zwiadowca, w tym żebraku było coś dziwnego.

- A więc poznajesz mnie - stwierdził mężczyzna, kierując niewidzące oko w stronę Miny.

- Poznaje - potwierdziła.

Samuwał z odrazą patrzył na straszliwe rany żebraka. Spod szmaty sączyła się żółta ropa. Skóra otaczająca oparzenie była niezdrowo krwista i zapalnie obrzmiała. Kapitan czuł smród rozkładającego się ciała.

- Kiedy cię to spotkało? - zapytała Mina.

- W noc burzy.

Skinęła z powagą głową, jakby spodziewała się takiej odpowiedzi.

- Dlaczego wyruszyłeś jej na spotkanie?

- Usłyszałem głos - odpowiedział. - I chciałem zbadać sprawę.

- Głos Jedyne Boga - stwierdziła Mina. Żebrak potrząsnął z niedowierzaniem głową.

- Słyszałem głos przebijający się przez świst wichru i łoskot piorunów, ale nie rozumiałem słów. Zawędrowałem daleko przez deszcz i grad w poszukiwaniu głosu i chyba dotarłem blisko jego źródła. Byłem już niedaleko Neraki, gdy nagle uderzyła we mnie błyskawica. Dalej nic już nie pamiętam.

- Przybrałeś ludzką postać - zapytała nagle. - Dlaczego?

- Masz do mnie o to pretensję, Mino? - zapytał z żalem w głosie. - Jestem zmuszony wędrować przez krainę opanowaną przez wrogów. - Uniósł laskę. - Tak tylko mogę się teraz poruszać. Na dwóch nogach, mając laskę za przewodniczkę.

- Mino... - Samuval mówił do dziewczyny, lecz nie od - rywał wzroku od ślepcy - ...musimy dziś pokonać jeszcze wiele mil. Powiedz tylko słowo, a uwolnię trakt i świat od tego żebraka.

- Spokojnie, kapitanie - rzekła cicho Mina, kładąc dłoń na jego ramieniu. - To mój stary znajomy. Zajmie mi tylko chwilę. Jak mnie znalazłeś? - zapytała ślepcę.

- Wszędzie, dokąd się udałem, słyszałem opowieści o twoich czynach - odpowiedział żebrak. - Znałem twoje imię i opis też się zgadzał. Czy mogłaby istnieć druga Mina o oczach koloru bursztynu? Nie, powiedziałem sobie. Jest tylko jedna, sierota, którą przed laty morze wyrzuciło na brzeg Schallsea. Pierwszy Mistrz Goldmoon przyjął ją na wychowanie i dziecko zdobyło jej serce. Ona do dziś cię oplakuje, Mino. Przez trzy lata uważała cię za zmarłą. Dlaczego uciekłeś od niej i od tych, którzy cię kochali?

- Dlatego, że nie umiała odpowiedzieć na moje pytania - odparła Mina. - Nikt z was tego nie potrafił.

- A teraz znalazłaś odpowiedź, Mino? - zapytał mężczyzna z nagłą surowością w głosie.

- Znalazłam - odpowiedziała spokojnie.

Żebrak potrząsnął głową. Nie wydawał się rozgniewany, a jedynie smutny.

- Mogłabym cię uzdrowić - zaproponowała dziewczyna. Zbliżyła się do niego o krok, wyciągając rękę.

Żebrak cofnął się nagle. Płynnym ruchem przełożył laskę, chwytając ją w obie ręce, i uniósł ją przed sobą, zagradzając Minie drogę.

- Nie! - krzyknął. - Choć ból, który sprawia mi rana, jest straszliwy, to tylko fizyczne cierpienie. Nie dociera do mojej duszy, do której przeniknąłby ból twego tak zwanego uzdrawiającego dotyku. I choć wędruję przez ciemność, nie jest ona tak głęboka jak ta, która spowiła teraz ciebie, Mino.

Uśmiechnęła się do niego, spokojnie i promiennie.

- Słyszałeś głos, Solomirathniusie - rzekła. - Nadal go słyszysz, nieprawdaż?

Nie odpowiedział. Opuścił powoli laskę. Zdawał się wpa - trywać w Minę przez długi czas, aż wreszcie Samuval zaczął podejrzewać, że mężczyzna zachował zdolność widzenia, mimo że pozostało mu tylko jedno, w dodatku zasnuwane bielmem oko.

- Nieprawdaż? - powtórzyła Mina.

Żebrak odwrócił się nagłym, gniewnym ruchem. Uderzył w ziemię laską, zszedł z traktu i zagłębił się w las. Stukał gwałtownie laską o pnie drzew i wpychał ją ze złością w chaszczę. Drugą rękę unosił wysoko, wymacując przed sobą drogę.

- Nie ufam mu - stwierdził Samuval. - Śmierdzi Solamniczkiem. Pozwól mi nadzieć go na miecz.

Mina odwróciła się.

- Nie zdołałbyś go skrzywdzić, kapitanie. Wydaje się słaby, ale to złudne wrażenie.

- Kim więc jest? Czarodziejem? - zapytał Samuval, rozciągając usta w szyderczym uśmiechu.

- Nie, kimś znacznie potężniejszym niż wszyscy czarodzieje - odpowiedziała Mina. - W swej prawdziwej postaci jest srebrnym smokiem, znanym większości jako Zwierciadło. To strażnik Cytadeli Światła.

- Smok! - Samuval stanął jak wryty i wbił wzrok w chaszczę. Nie widział już ślepego żebraka i to zaniepokoiło go jeszcze bardziej. - Mino - rzekł podenerwowany - pozwól, abym ruszył za nim ze szwadronem żołnierzy. Z pewnością spróbuje nas wszystkich zabić.

Mina zbyła jego obawy lekceważącym uśmiechem.

- Nic nam nie grozi, kapitanie. Rozkaż żołnierzom podjąć marsz. Droga przed nami jest wolna. Zwierciadło nie będzie nas niepokoił.

- Ale dlaczego? - zapytał Samuval, marszcząc niespokojnie brwi.

- Dlatego, że kiedyś, przed laty, Goldmoon, Pierwszy Mistrz Cytadeli Światła, co noc cesała moje włosy - odparła cicho Mina.

Uniosła rękę i musnęła koniuszkami palców skórę wygolonej czaszki.

Zdradzeni

Dni oczekiwania mijały Gerardowi przyjemnie. Dom królowej matki stanowił oazę spokoju. Każdy pokój był tu zieloną altaną, pełną kwitnących roślin. Szum spływającej w dół wody niósł ukojenie. Rycerz nie miał przy sobie urządzenia, które ponoć służyło do podróżowania w czasie, lecz mimo to odnosił wrażenie, że w tym miejscu czas nie upływa. Dzień płynnie przechodził w wieczór, potem w noc i z powrotem w dzień, i nikt tego nie zauważał. Życiem elfów nie kierował przesypujący się w klepsydrze piasek. Tak przynajmniej wydawało się Gerardowi. W dniu, w którym mieli wyruszyć w drogę, spotkało go jednak brutalne przebudzenie. Gdy wyszedł do ogrodu, ujrzał przypadkiem w oddali, jak słońce odbija się w czarnej zbroi.

Rycerz Neraki był daleko, lecz nie ulegało wątpliwości, że obserwuje dom. Gerard schował się pośpiesznie w środku. To był kres jego rajskiej idylli. Czekał z napięciem, aż czarni rycerze załomoczą do drzwi, ale mijały godziny i nikt ich nie niepokoił. W końcu doszedł do wniosku, że zapewne go nie zauważono. Lecz nie odważył się już więcej wychodzić na zewnątrz. Czekał, aż zapadnie zmierzch i będą mogli ruszyć w drogę.

Gerard rzadko widywał Palina Majere i nie żałował tego. Mag, który odnosił się opryskliwie do wszystkich w domu, a szczególnie do Laurany, irytował go. Rycerz starał się być wyrozumiały. Powtarzał sobie, że Palin Majere bardzo wiele wycierpiał. Niemniej jednak ponure nastroje maga rzucały cień, który przyćmiewał nawet najjaśniejsze promienie słońca. Nawet dwaj elfi służący chodzili wokół niego na palcach, obawiając się, że choćby najcichszy dźwięk może sprowokować wybuch irracjonalnego gniewu. Gdy Gerard wspomniał o tym Lauranie, dodając uwagę o tym, co uważa za nieuprzejme zachowanie u ludzi, uśmiechnęła się tylko i prosiła go, aby okazał cierpliwość.

- Byłam kiedyś więźniem - powiedziała, a jej oczy pociemniały od wspomnień. - Więźniem Czarnej Królowej. Dopóki sam nie zaznasz niewoli, panie rycerzu, nie spędzisz trochę czasu w ciemności, sam na sam z bólem i strachem, nie potrafisz tego zrozumieć.

Gerard przyjął tę łagodną wymówkę i nic już więcej nie mówił.

Kendera również widywał rzadko i ogromnie się z tego cieszył. Palin Majere całymi godzinami przesiadywał z Tasslehoffem, każąc mu wciąż powtarzać ze szczegółami te jego śmieszne historie. Żadna tortura wymyślona przez najokrutniejszego z Rycerzy Neraki nie mogłaby się równać z tak długim przysłuchiwaniem się piskliwemu głosikowi kendera.

Noc ich odlotu nadeszła zbyt szybko. Świat zewnętrzny, świat ludzi, wydawał się Gerardowi nędzny, pełen pośpiechu i chciwości. Rycerz żałował, że musi do niego wracać. Zrozumiał, dlaczego elfowie z niechęcią opuszczają swe piękne, spokojne królestwo.

Czekał już na nich elfi przewodnik. Laurana pocałowała Tasa, który, czując, że zbiera mu się na łzy, milczał przez całe trzy minuty. Podziękowała uprzejmie Gerardowi za jego pomoc i podała mu dłoń do pocałowania. Rycerz zrobił to z szacunkiem i podziwem. Szczerze żałował, że się z nią rozstaje. Na koniec Laurana przemówiła do Palina, który trzymał się nieco z boku, z wyraźną niecierpliwością oczekując, aż ruszą w drogę.

- Przyjacielu - rzekła Laurana, dotykając dłonią jego ramienia. - Sądzę, że wiem, o czym myślisz.

Zmarszczył brwi i potrząsnął głową z ledwo skrywaną irytacją.

- Bądź ostrożny, Palinie - ciągnęła elfka. - Zanim cokolwiek uczynisz, dobrze się zastanów.

Nie odpowiedział ani słowem. Pocałował ją, co było u elfów przyjęte między przyjaciółmi, i rzekł jej szorstko, żeby się nie martwiła. Wiedział, co robi.

Podążając w mrok za elfim przewodnikiem, Gerard obejrzał się jeszcze na dom pod urwiskiem. Jego okna lśniły jasno jak gwiazdy, lecz - podobnie jak gwiazdy - świeciły za słabo, aby zmienić noc w dzień.

- Ale gdyby nie było ciemności, nigdy byśmy się nie dowiedzieli o istnieniu gwiazd - odezwał się nagle Palin.

A więc to w ten sposób tłumaczysz sobie istnienie zła, pomyślał Gerard. Nie skomentował tego ani słowem i Palin nic już nie powiedział. Ponure milczenie maga z nawiązką jednak nadrabiał Tasslehoff.

- Można się było spodziewać, że przeklęty kender będzie gadał mniej - poskarżył się rycerz.

- Klątwa nie dotyczy mojego języka, tylko wnętrzości - zauważył Tasslehoff. - Coś mi się w nich od niej rusza. A czy na ciebie kiedyś rzucono klątwę?

- Kiedy po raz pierwszy ujrzałem cię na oczy - mruknął Gerard.

- Robicie tyle hałasu, że obudzilibyście pijanego krasnoluda żlebowego! - skarcił ich z irytacją elfi przewodnik w mowie powszechnej. Gerard nie miał pojęcia, czy był to Kalindas, czy Kelevandros. Nie potrafił odróżnić braci od siebie. Byli do siebie podobni jak bliźniacy, choć powiedziano mu, że jeden z nich jest starszy. Myliły mu się też ich elfie imiona, gdyż oba zaczynały się na „k”. Mógłby zapytać o to Palina, ale mag zatopił się w posępnych myślach i nie miał ochoty na rozmowy.

- Gadanie kendera jest jak śpiew ptaków w porównaniu z brzękiem i chrzęstem twojej zbroi, panie rycerzu - dodał elf. - Zresztą nawet gdybyś był nagi, to i tak niewiele by to zmieniło. Ludzie nie

potrafią nawet zaczerpnąć oddechu, żeby nie narobić przy tym hałasu. To twoje sapanie mógłbym usłyszeć nawet o milę stąd.

- Leziemy przez ten las już kilka dobrych godzin - odparował Gerard. - Czy jesteśmy już blisko celu?

- Niedaleko - odparł elf. - Polana, na której spotkacie się z gryfem, znajduje się na końcu tej ścieżki. Gdybyś miał wzrok elfa, już stąd byś ją zobaczył. W gruncie rzeczy to dobre miejsce na postój, jeśli potrzebujesz odpocząć. Powinniśmy pozostawać w ukryciu aż do ostatniej chwili.

- Nie bój się. Nigdzie sobie nie pójde - zapewnił z wdzięcznością Gerard. Rzucił plecak na ziemię, osunął się u stóp wysokiej osiki, oparł plecami o pień i rozprostował nogi.

- Ile jeszcze zostało do świtu?

- Godzina. Muszę was na chwilę opuścić. Idę na polowanie. Dobrze będzie, jeśli przyniesiemy gryfom świeże mięso. Będą zmęczone po długim locie i na pewno się z tego ucieszą. Nie powinno wam tu nic grozić, pod warunkiem, że nigdzie się nie oddalicie.

Elf popatrzył znacząco na kendera.

- Nic nam nie będzie - uspokoił go Palin. To były pierwsze słowa, które wypowiedział od wielu godzin. Mag nie usiadł, lecz spacerował między drzewami, nerwowy i niecierpliwy. - Nie, Tas. Zostań tu z nami. Gdzie jest urządzenie? Masz je, prawda? Nie, nie wyjmuj go. Chciałem się tylko upewnić, czy jest bezpieczne.

- Och, jest - zapewnił kender. - Nie mogłoby nie być bezpieczne, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Bardzo dziwna pora na polowanie - zauważył Gerard, śledząc wzrokiem znikającego w ciemności elfa.

- Robi to na moje polecenie - stwierdził Palin. - Gryfy będą w znacznie lepszym humorze, jeśli się najedzą, a my będziemy mieli bezpieczniejszą podróż. Leciałem kiedyś na gryficy, która doszła do wniosku, że pusty brzuch jest ważniejszy od jeźdźca. Wypatrzyła na ziemi jelenia i natychmiast go zaatakowała. Mogłem tylko trzymać się jej kurczowo. Na szczęście wszyscy wyszliśmy z tego z życiem, w tym również jelen, który usłyszał moje krzyki i zniknął w gęstwinie. Gryficy wpadła potem w paskudny nastrój i nie chciała nieść mnie dalej. Od tej pory zawsze pamiętam, żeby dać im coś do jedzenia.

- To dlaczego ten elf nie upolował czegoś, zanim ruszyliśmy w drogę?

- Pewnie dlatego, że nie chciało mu się przez całe mile dźwigać na plecach ubitego jelenia - odparł sardonycznym tonem Palin. - Nie można też zapominać, że elfom robi się niedobrze od odoru świeżo ubitego zwierzęcia.

Rycerz milczał, bojąc się powiedzieć zbyt wiele. Sądząc z tonu maga, Palin uważał go za

idiotę. Być może nie chciał tego zasugerować, tak jednak odebrał to Gerard.

- Swoją drogą, sir Gerardzie - ciągnął sztywnym tonem Palin - uważam, że spełniłeś już swoje zadanie, jeśli chodzi o wykonanie ostatniego życzenia mojego ojca. Od tej pory ja zajmę się tą sprawą. Nie musisz się już o nią martwić.

- Jak sobie życzysz - odparł Gerard.

- Chcę ci podziękować za wszystko, co uczyniłeś - dodał Palin po chwili przerwy, podczas której zrobiło się tak zimno, jakby zaraz miał spaść śnieg. - Dokonałeś wielkich rzeczy, narażając życie. Wielkich rzeczy - powtórzył cicho. - Poproszę lorda Warrena, aby udzielił ci pochwały.

- Dziękuję - odrzekł Gerard. - Spełniłem tylko swój obowiązek wobec twojego ojca, dla którego żywiłem wielki podziw.

- Chcesz powiedzieć, w przeciwieństwie do jego syna? - zapytał Palin. Odwrócił się i oddalił o kilka kroków z pochyloną głową i dłońmi skrytymi w rękawach ciemnej szaty. Najwyraźniej uważał, że rozmowa jest skończona.

Tasslehoff usiadł obok Gerarda, a ponieważ dłonie kendera zawsze muszą być czymś zajęte, wywrócił na lewą stronę wszystkie kieszenie swej nowej koszuli. Namówił Lauranę, żeby ją dla niego uszyła. Koszula miała bardzo krzykliwe kolory i Gerarda od patrzenia na nią bolały oczy. W łagodnym blasku księżyca i wielu tysięcy gwiazd Tas zabrał się do sortowania interesujących przedmiotów, które pozyskał w domu Laurany.

Gerard pomyślał, że będzie zachwycony, gdy wreszcie dostarczy maga i kendera do Solące i będzie mógł się od nich obu uwolnić.

Niebo jaśniało powoli, gwiazdy i księżyc blakły, ale elf nie wracał.

Marszałek Medan i dwaj jego towarzysze dotarli na wyznaczone przez elfa miejsce spotkania godzinę przed świtem. Trzej rycerze ściągnęli wodze, lecz Medan nie zsiadł z konia. W tych okolicach kręcili się buntownicy. Marszałek wpatrywał się z uwagą w mrok i kłębiącą się mgłę. Przyszło mu do głowy, że byłoby to świetne miejsce na zasadzkę.

- Poddowódco - odezwał się. - Sprawdź, czy jest tu nasz zdrajca. Powiedział, że będzie czekał przy tych trzech białych kamieniach.

Poddowódca zsunął się z siodła. Położył dłoń na rękojeści miecza, wysuwając go do połowy z pochwy, i ruszył powoli naprzód, starając się robić jak najmniej hałasu. Miał tylko napierśnik, nie było więc słyhać szczełku metalu.

Koń marszałka zachowywał się niespokojnie. Zwierzę parsknęło, prychnęło i strzygło uszami. Medan poklepał wierzchowca po szyi.

- O co chodzi, stary? - zapytał. - Co tam wyczuwasz? Poddowódca zniknął w mroku. Po chwili pojawił się znowu, jako widmowa sylwetka, rysująca się na tle wielkich białych głazów. Medan

usłyszał jego ochrypły szept. Nie dosłyszał odpowiedzi, doszedł jednak do wniosku, że rycerz z pewnością ją otrzymał, gdyż skinął głową i wrócił złożyć meldunek.

- Zdrajca mówi, że trzech poszukiwanych czeka niedaleko stąd, nieopodal polany, na której mają się spotkać z gryfem. Zaprowadzi nas do nich. Mówi, że powinniśmy iść pieszo, bo konie robią za dużo hałasu.

Marszałek zsunął się z siodła i wypuścił z rąk wodze, wy - powiadając tylko jedno słowo. Jego wierzchowiec zrozumie, że ma zostać na miejscu i nigdzie nie odchodzić bez rozkazu. Drugi rycerz również zsiadł i odpiął od siodła krótki łuk oraz kołczan.

Trzej ludzie ruszyli ukradkiem przez las.

- Oto jak nisko upadłem - mruknął do siebie Medan, odsuwając na bok gałęzie i przedzierając się ostrożnie przez chaszczę. Ledwie widział idącego przed nim towarzysza. Tylko trzy białe głązy były wyraźnie widoczne, a i je niekiedy przesłaniała wilgotna mgła. - Skradam się nocą po lesie jak jakiś cholerny złodziej. Polegam na słowie elfa, który bez skrupułów zdradził swą panią za garść stali. I po co? Po to, żeby złapać jakiegoś żalostnego czarodzieja!

- Mówiłeś coś, marszałku? - wyszeptał poddowódca.

- Tak - odparł Medan. - Powiedziałem, że wolałbym leżeć martwy na polu honorowej walki z włócznią wbitą w głowę niż robić to, co teraz. A ty, poddowódco?

- Słucham?

Mężczyzna wybałuszył oczy. Nie miał pojęcia, o co może chodzić marszałkowi.

- Mniejsza z tym - wychrypiał Medan. - Chodźmy dalej.

Skinął dłonią i pojawił się elfi zdrajca, biała plama twarzy w ciemności. Uniósł bladą dłoń, przywołując Medana. Marszałek podszedł do elfa i obrzucił go złowrogim spojrzeniem.

- Gdzie są?

Nie wymieniał imienia elfa. W jego mniemaniu sprzedawczyk na to nie zasługiwał.

- Tam! - Elf wyciągnął rękę. - Pod tamtym drzewem. Stąd tego nie widać, ale w odległości mniej więcej stu kroków jest polana. Mają się na niej spotkać z gryfem.

Niebo na wschodzie już szarzało. Medan z początku nic nie widział, potem jednak mgła rozstała się, odsłaniając trzy niewyraźne postacie. Jedna z nich zdawała się nosić ciemną zbroję. Medan nie widział jej wyraźnie, słyszał jednak szcęk stali.

- Marszałku - mówił nerwowym tonem zdrajca - czy jestem ci jeszcze potrzebny? Jeśli nie, powinienem już odejść. Ktoś może zauważyć moją nieobecność.

- Lepiej będzie, jak sobie pójdziesz - warknął Medan. Elf zniknął w lesie.

Marszałek wezwał skinieniem dłoni rycerza, który miał łuk.

- Pamiętaj, że smoczyca chce ich dostać żywcem rzekł. - Mierz wysoko. Strzelaj tak, aby okaleczyć. Na mój rozkaz, nie wcześniej.

Rycerz skinął głową i skrył się w zaroślach. Nałożył strzałę na cięciwę i zerknął na marszałka. Medan czekał cierpliwie.

Gerard usłyszał dźwięk brzmiący jak łopot potężnych skrzydeł. Nigdy w życiu nie widział gryfa, sądził jednak, że tak właśnie powinny szumieć skrzydła podobnej bestii. Poderwał się nagle z ziemi.

- Co się stało?

Palin uniósł głowę, zaskoczony raptownym zrywem rycerza.

- Chyba słyszałem gryfa - wyjaśnił rycerz.

Mag zdjął kaptur, żeby lepiej słyszeć. Spojrzał na polanę, lecz nie było tam jeszcze gryfa. Bestia kryła się jeszcze wśród wierzchołków drzew, ale podmuch jej skrzydeł strącał już na ziemię zeschnięte liście i wzbijał w górę obłoki piasku.

- Gdzie? Gdzie? - krzyknął Tasslehoff, zbierając pośpiesznie wszystkie swe skarby i wpychając je gdzie popadnie.

Ujrzeni gryfa. Potężne skrzydła znieruchomiały już i bestia szybowała na powietrznych prądach, opuszczając się spokojnie na ziemię. Gerard zapomniał o irytacji, jaką budzili w nim mag i kender. Zachwycił go widok niezwykłego stworzenia. Elfowie dosiadali gryfów, tak jak ludzie koni, lecz niewielu ludzi odważało się ich naśladować. Gryfy nigdy nie ufały tym, którzy zwykli urządzić na nie polowania.

Rycerz starał się nie zastanawiać nad faktem, że za chwilę powierzy swe życie bestii, która nie miała powodów, aby darzyć go miłością. Jednak teraz był zmuszony stawić czoło myśli, że naprawdę dosiędzie podobnego stworzenia, które ponie - się go nie po trakcie, lecz w powietrzu. Wysoko w powietrzu, tak że jeśli przypadkiem spadnie, czeka go straszliwa śmierć.

Gerard wziął się w garść. Podejdzie do tego tak, jak do innych niebezpiecznych zadań. Widział już dumną, orlą głowę porośniętą białymi piórami, czarne, błyszczące ślepia oraz zakrzywiony dziób, który mógł ponoć złamać człowiekowi kręgosłup albo pozbawić go głowy. Przednie łapy były orle, wyposażone w ostre szpony, tylne zaś, podobnie jak tułów, lwie, porośnięte miękkim, brązowym futrem. Skrzydła były potężne, od spodu śnieżnobiałe, a z wierzchu brązowe. Gryf okazał samicą i przewyższał Gerarda więcej niż o głowę.

- Jest tylko jeden - zauważył rycerz ze spokojem, jakby codziennie widywał gryfy. - Przynajmniej dotąd. I nigdzie nie widać elfa.

- To dziwne - przy/nał Palin, rozglądając się wokół. - Ciekawe, gdzie się podział? To do niego niepodobne.

Gryfica zamachała skrzydłami i odwróciła głowę, wypatrując jeźdźców. Ten ruch wywołał gwałtowny podmuch, który rozproszył poranną mgłę. Gałęzie zakołysały się gwałtownie. Oczekali jeszcze parę chwil, ale drugi gryf się nie pojawił.

- Wygląda na to, że jest tylko jeden - stwierdził Gerard, starając się, aby w jego głosie nie było słycać ulgi. - Odleć z kenderem, Palinie. O mnie się nie martw. Znajdę drogę ucieczki z Qualinesti. Mam konia...

- Nonsens - rzucił cierpkim tonem Palin, niezadowolony ze zmiany planów. - Gryf udźwignie trzech jeźdźców. Kender się nie liczy...

- Liczę się! - zaprotestował oburzony Tas.

- Palinie, naprawdę mogę zostać... - zaczął Gerard. Nagle w drzewo tuż obok niego wbiła się strzała. Druga przemknęła ze świstem nad jego głową. Rycerz padł na ziemię, pociągając za sobą kendera.

- Kryj się! - krzyknął do Palina.

- To buntownicy - stwierdził mag, wpatrując się w cienie. - Zauważyli twoją zbroję. Jesteśmy przyjaciółmi! - zwołał w języku elfów, machając rękami.

Strzała przeszła rękaw jego szaty. Palin spojrział na dziurę, zdumiony i rozgniewany. Gerard zerwał się na nogi, złapał maga i wciągnął go za pień wielkiego dębu.

- To nie są elfowie! - oznajmił, wskazując ze złowrogą miną na jedną ze strzał. Jej grot był stalowy, a pierzysko czarne. - To Rycerze Neraki.

- Ty również jesteś jednym z nich - zauważył Palin, spoglądając na napierśnik Gerarda, ozdobiony czaszką i lilią śmierci. - A przynajmniej na takiego wyglądasz.

- Och, z pewnością wiesz, kim jestem - odparł ponuro Gerard. - Być może zauważyłeś, że elf nie wrócił. Sądzę, że nas zdradzono.

- To niemożliwe... - zaczął Palin.

- Widzę ich! - krzyknął Tasslehoff, wyciągając rękę. - Tam, w tych krzakach. Jest ich trzech. Mają czarne zbroje.

- Masz bystry wzrok, kenderze - pochwalił go Gerard. Sam nic nie widział w mroku i wczesnoporannej mgle.

- Nie możemy tu zostać! Biegnijmy do gryfa! - zawołał Palin i zaczął się podnosić.

Gerard powstrzymał go siłą.

- Ci łucznicy rzadko chybiają. Nie dotrzesz tam żywy!

- To prawda, że nie zwykli chybiać - przyznał Palin - ale strzelali już do nas trzy razy, a my nadal żyjemy. Jeśli nas zdradzono, to wiedzą, że mamy artefakt! To o niego im chodzi. Chcą nas pojmać żywcem, a potem przesłuchać. - Ucisnął prawe ramię Gerarda. Jego okrutnie zdeformowane palce boleśnie wciskały kolczugę w ciało rycerza. - Nie oddam im urządzenia. I nie pozwolę znowu wziąć się żywcem! Słyszałeś? Nie pozwolę!

W pień drzewa wbiły się z łoskotem dwie kolejne strzały. Kender, który wystawił głowę, aby zobaczyć, co się dzieje, pośpiesznie schował się znowu.

- O rety! - zawołał, macając nerwowo kitkę. - To było blisko! Czy mam jeszcze włosy?

Gerard popatrzył na Palina. Twarz maga pobladła, a usta zacisnął w wąską linię. Rycerz przypomniał sobie, co rzekła mu Laurana: „dopóki sam nie zaznasz niewoli, nie potrafisz tego zrozumieć”.

- Idź, Palinie. Zabierz kendera.

- Nie bądź giupcem - zaprotestował czarodziej. - Odlecimy razem. Chcą pojmać mnie żywcem. Jestem im potrzebny. Ciebie nie potrzebują w ogóle. Wezmą cię na tortury, a potem zabiją.

Za ich plecami rozległ się głośny, ochryply i niecierpliwy wrzask gryficy.

- Nie jestem głupcem, Palinie - odparł Gerard, patrząc magowi prosto w oczy. - Ty nim jesteś, jeśli nie chcesz mnie wysłuchać. Mogę odwrócić uwagę tych Judzi i potrafię się bronić. Ty tego nie umiesz. Chyba że masz na podorędziu jakieś zaklęcie?

Wyraz bladej, zapadniętej twarzy Palina Majere starczył za odpowiedź.

- Sarn widzisz - ciągnął Gerard. - Zabieraj kendera i ten cały drogocenny artefakt i zwiewaj stąd!

Palin wahał się jeszcze chwilę, spoglądając w kierunku nieprzyjaciela. Twarz miał nieruchomą jak u trupa. Cofnął powoli rękę z ramienia Gerarda.

- Oto, kim się stałem - wyszeptał. - Bezżytecznym strzępkiem. Zmuszonym uciekać przed wrogami zamiast stawić im czoło...

- Jeśli masz iść, to idź - ponaglił go Gerard, wyciągając z głośnym brzękiem miecz. - Trzymaj głowę nisko i kryj się za drzewami. Szybko!

Wyskoczył z ukrycia, wymachując mieczem, i popędził z głośnym okrzykiem bojowym na ustach prosto na schowanych w krzakach rycerzy, chcąc przyciągnąć ich strzały.

Palin wstał i, pochylając się nisko, złapał kendera za kołnierz, podnosząc go na nogi.

- Pójdiesz ze mną - rozkazał.

- A co z Gerardem?

- Słyszałeś, co powiedział - odparł mag, wlokąc za sobą opierającego się kendera. - Potrafi o siebie zadbać. Poza tym artefakt nie może wpaść w ręce rycerzy!

- Przecież nie mogą mi odebrać urzędzenia! - zaprotestował Tas, szarpiąc za koszulę, aby wyrwać ją z uścisku Palina. - Zawsze do mnie wróci!

- Nie wróci, jeśli będziesz martwy - odparł ostrym tonem mag.

Tas zatrzymał się raptownie i rozejrzał wokół. Oczy miał szeroko wytrzeszczone.

- Czy... czy widzisz gdzieś smoka? - zapytał nerwowo.

- Przestań zwlekać!

Palin złapał kendera za ramię i ze zrodzoną z adrenaliny siłą pociągnął go w stronę gryfa.

- Nie zwlekam - zaprzeczył Tas. - Po prostu jest mi niedobrze. To chyba znowu ta klątwa.

Mag nie zwracał uwagi na skomlenie kendera. Słyszał krzyki Gerarda, który wyzywał głośno przeciwników do walki. Nadleciała kolejna strzała, która jednak spadła na ziemię w odległości około jarda od Palina. Ciemne szaty maga wtapiały się w las, ścigany biegł przez mroczną mgłę, trzymając głowę nisko, tak jak poradził mu Gerard, a gdy tylko było to możliwe, chował się przed prześladowcami za pniami drzew.

Za jego plecami rozległ się szcęk stali uderzającej o stal. Strzały przestały nadlatywać. Gerard stanął do walki z rycerzami. W pojedynkę.

Palin biegł uparcie naprzód, ciągnąc za sobą protestującego kendera. Mag nie był dumny z siebie. Zawładnęły nim strach i wstyd, które sprawiały mu więcej bólu niż mogłaby sprawić któraś ze strzał, gdyby trafiła w cel. Zaryzykował spojrzenie za siebie, lecz nie zobaczył nic poza cieniami i mgłą.

Był już blisko gryficy. Blisko ucieczki. Zwolnił kroku. Zawahał się, odwrócił...

I opadła na niego ciemność. Znowu znalazł się w celi więzienia Szarych Szat na granicy Qualinesti. Przycupnął na dnie głębokiej, wąskiej studni wydrążonej w ziemi. Jej ściany były gładkie i nie mógł się na nie wspierać. Wylot zamknięto żelazną kratą. Nieliczne otwory wpuszczały do środka powietrze, razem z siąpiącym monotonnie deszczem, który zalewał dno wykopu.

Był sam i musiał żyć we własnym plugastwie. Żywić się ochłapami, które ciskano mu z góry. Nie było tu strażników. Nie byli potrzebni. Nie mógł się wydostać i oni o tym wiedzieli. Całymi

dniami prawie nie słyszał ludzkiego głosu. Niemal cieszył się, gdy do dołu opuszczano drabinę, aby zabrać go na „przesłuchanie”.

Niemal.

Ponownie przeszył go straszliwy ból. Wyłamywano mu powoli palce, jeden po drugim. Zrywano paznokcie. Smagano plecy rzemiennymi biczami, które przebijały ciało, sięgając kości.

Zadrzał gwałtownie. Ugryzł się w język, poczuł smak krwi oraz żółci, napływającej ze skurczonego żołądka. Po twarzy spływały mu strużki potu.

- Przykro mi, Gerardzie! - wydyszał. - Tak mi przykro! Złapał Tasslehoffa za kark, uniósł go i cisnął na grzbiet gryficy.

- Trzymaj się mocno! - rozkazał kenderowi.

- Chyba zaraz zwymiotuję - krzyknął Tas, szarpiąc się gwałtownie. - Zaczekajmy na Gerarda!

Palin nie miał czasu na kenderskie sztuczki.

- Odlatujemy natychmiast! - rozkazał gryficy i wspiał się na siodło, przytroczone do grzbietu bestii między opierzonymi skrzydłami. - Otaczają nas Rycerze Neraki. Nasz strażnik ich powstrzymuje, ale wątpię, aby wytrzymał długo.

Gryfica przeszła maga spojrzeniem lśniących, czarnych oczu.

- Mamy go zostawić? - zapytała.

- Tak - odparł spokojnie Palin. - Zostawimy go. Bestia się nie sprzeciwiała. Wydano jej rozkazy. Dziwne zwyczaje ludzi nie były jej zmartwieniem. Rozpostarła ogromne skrzydła i wzbiła się w powietrze, odbijając się od ziemi potężnymi lwimi łapami. Gryfica zatoczyła krąg nad polaną, chcąc wzbić się wyżej, aby uniknąć kolizji z drzewami. Palin spojrział w dół, próbując wypatrzeć Gerarda. Słońce wyszło już zza horyzontu, rozpraszając mgły i rozświetlając cienie. Mag widział błyski stali i słyszał szcęk mieczy.

O dziwo, rycerz jeszcze żył.

Palin odwrócił się, skierował twarz pod gwałtowny wiatr. Słońce zniknęło nagle, przesłonięte kłębiącymi się burzowymi chmurami, które pojawiły się nad horyzontem. Rozbłysły wśród nich błyskawice. Zahuczały gromy. Zimny wicher, dmący od czoła burzy, ochłodził pot, który nasączył szaty i włosy maga. Palin zadrzał lekko, otulając się mocno płaszczem. Nie oglądał się już za siebie.

Gryfica wzbiła się wysoko ponad drzewa i uniosła się pod błękitne niebo, czując pod skrzydłami prądy powietrzne.

- Palinie! - krzyknął Tasslehoff, szarpiąc go gwałtownie za szaty. - Coś leci za nami!

Mag obejrzał się za siebie.

Zielona smoczyca była jeszcze daleko, ale mknęła bardzo szybko. Jej skrzydła płynnie przesywały powietrze, pazurzaste kończyny mocno przywierały do ciała, a zielony ogon włókł się z tyłu. To nie była Beryl, lecz jedna z jej sług.

Oczywiście. Beryl nie ufała Rycerzom Neraki, nie wierzyła, że oddadzą jej łup. Dlatego wysłała po niego mniejszą smoczycę. Palin pochylił się nad głową gryfa.

- Smok! - krzyknął. - Na wschód od nas!

- Widzę go! - warknęła gryfica.

Palin osłonił oczy dłonią, chcąc przyjrzeć się smoczycy. Starał się nie mrugać, by nie przeoczyć ani jednego uderzenia ogromnych skrzydeł.

- Zauważył nas - zameldował. - Leci prosto ku nam.

- Trzymajcie się! - Gryfica skręciła nagle, wzbijając się gwałtownie w górę. - Polecę w burzę. Będzie trzęsło!

Wysokie burzowe chmury tworzyły na horyzoncie szarą i fioletowoczną ścianę. Wyglądały jak forteca, potężna i niezdobyta. Z luk między nimi tryskały błyskawice niby bijące z okien światła pochodni. Pioruny huczały donośnie.

- Nie podoba mi się ta burza! - krzyknął do gryficy Palin.

- Bardziej ci się spodoba wnętrze smoczego brzucha? - zapytała. - Bestia się zbliża. Inaczej jej nie umkniemy.

Palin obejrzał się za siebie, w nadziei, że jego wierzchowiec się myli. Potężne błoniaste skrzydła przesywały powietrze. Smoczyca otworzyła paszczę. Palin spojrzął jej w oczy i dostrzegł w nich niezachwianą determinację.

Jedną ręką złapał za uprząż, a drugą mocno przytrzymał wrzeszczącego głośno Tasa. Potem pochylił się nisko nad szyją gryficy, aby podmuch nie zdmuchnął go z grzbietu. Poczul na twarzy bolesne uderzenia pierwszych kropli deszczu.

Chmury piętrzyły się na niebotyczną wysokość, szaro-czarne, rozświetlone błyskawicami wieże, wyższe od potężnej fortecy Pax Tharkas. Palin spoglądał na nie z bojaźnią. Uniósł głowę tak bardzo, że aż zaboląła go szyja, ale nadal nie widział ich szczytu. Gryfica podleciała bliżej. Tasslehoff nadal coś krzyczał, lecz targający kitką kendera wichur porywał jego słowa i unosił je w dal.

Palin obejrzał się za siebie. Smoczyca była tuż, tuż. Poruszała niecierpliwie pazurami, gotowa ich schwytać. Technie na nich toksycznym gazem, potem złapie całą trójkę w potężną łapę i ciśnie na ziemię. Jeśli będą mieli szczęście, upadek ich zabije. Bestia pożre gryficę i spokojnie, bez

pośpiechu, rozczłonkuje ciała jego jeźdźców w poszukiwaniu urządzenia.

Palin odwrócił wzrok. Wpatrzył się w burzę, nakazując gryficy przyspieszyć lot.

Forteca z chmur była tuż przed nimi. Nagła błyskawica oślepiła Palina. Zabrział grom, gruchnęło, jakby potężne łańcuchy obracały ogromnym kołem zębatym. Pozornie lita ściana obłoków rozstała się, odsłaniając mroczny, rozświetlony błyskawicami korytarz, w którym poruszały się zasłony siekającej ulewy.

Gryfica pomknęła prosto w chmurę. Krople deszczu uderzyły w nich gwałtownie. W jednej chwili przemokli do suchej nitki. Palin otarł wodę z oczu i rozejrzał się wokół, porażony nieludzką bojaźnią. Niezliczone szeregi szarych kolumn wznosiły się z cętkowanej szarej podłogi, podtrzymując kipiące, czarne sklepienie.

Chmury spowiły ich ze wszystkich stron. Palin nie widział nic poza ich wełnistą szarością, nawet głowy gryficy. Tuż obok zaskwierczała błyskawica. Poczł woń siarki, a po chwili uderzył grom i serce omal nie przestało mu bić.

Gryfica omijała zygakiem kolumny, wzbijała się w górę i opadała, zataczała kręgi, a potem zawracała. Strugi deszczu lśniły niczym srebrne gobeliny, zalewając ich wodą, gdy tylko w nie wlecieli. Palin nie widział smoczycy, choć słyszał głośne ryki sfrustrowanej, szukającej ich rozpaczliwie bestii.

Wreszcie ich wierzchołek opuścił komnaty fortecy burzy i wyleciał w światło słońca. Mag obejrzał się za siebie, wypatrując z niepokojem smoczycy. Gryfica zachichotała z zadowoleniem. Ścigająca ich bestia zgubiła się gdzieś w chmurze.

Palin powtarzał sobie, że nie miał wyboru, że ucieczka była logicznym posunięciem. Musiał uratować magiczny artefakt. Gerard praktycznie rozkazał mu odejść. Gdyby został, nic by to nie dało. Wszyscy by zginęli, a Beryl zdobyłaby urządzenie.

Artefakt był bezpieczny. Gerard zginął albo dostał się do niewoli. Mag nie mógł już zrobić nic, żeby go uratować.

- Lepiej o tym zapomnieć - powiedział sobie Palin. - Wyrzucić to z myśli. Co się stało, to się już nigdy nie odstanie.

Wepchnął wyrzuty sumienia i poczucie winy głęboko do mrocznej studni swej duszy i nakrył je żelazną kratą konieczności.

- Marszałku - zameldował Medanowi poddowódca - rycerz atakuje. W pojedynkę. Użytkownik magii i kender uciekają. Co rozkażesz?

- Atakuje w pojedynkę. To prawda - rzekł zdumiony Medan.

Solamniczycy przedarli się z hałasem przez chaszczę, wymachując mieczem i wykrzykując głośno bojowe zawołanie swego zakonu. Marszałek Medan nie słyszał tego okrzyku już od wielu lat.

Ów widok przypomniawszy mu dni, gdy rycerze w lśniących srebrnych i polerowanych czarnych zbrojach odważnie stawali przeciw sobie na polu walki; gdy harcownicy toczyli pojedynki na śmierć i życie, a armie przyglądały się temu, świadome, że ich los spoczywa w rękach bohaterów; gdy walczący oddawali sobie nawzajem honory, nim rozpoczęli śmiertelny bój.

A teraz on czał się w chaszczach, bezpiecznie ukryty za wielkim pnem drzewa, i strzelał na oślep do tracącego moc maga i kendera.

- Czy mógłbym upaść jeszcze niżej? - mruknął do siebie. Łucznik ponownie napiął cięciwę. Straciwszy maga z oczu, wycelował w rycerza. Mierzył w nogi, w nadziei, że okaleczy przeciwnika.

- Zatrzymaj się - warknął Medan, kładąc dłoń na ramieniu mężczyzny.

Poddowódca rozejrzał się wokół.

- Marszałku? Co rozkażesz?

Solamniczka był coraz bliżej. Użytkownik magii i kender zniknęli już we mgle między drzewami.

- Czy mamy ich ścigać? - dopytywał się poddowódca.

- Nie - odparł Medan i ujrzał na twarzy podkomendnego wyraz zdumienia.

- Ale nasze rozkazy - nie ustępował poddowódca.

- Znam je - warknął marszałek. - Chcesz, aby zapamiętano cię w pieśni jako rycerza, który zabił kendera i starego, kalekiego maga, czy jako tego, który stoczył bój z godnym rywalem?

Poddowódca najwyraźniej w ogóle nie pragnął, aby zapamiętano go w pieśni.

- Ale nasze rozkazy - powtórzył.

Cholerny tępak! Medan łypnął na niego spođe łba.

- Ja ci wydałem rozkazy, poddowódco. Nie zmuszaj mnie do ich powtarzania.

W lesie ponownie zapadła ciemność. Słońce weszło jedynie po to, aby jego ciepły blask natychmiast przesłoniły burzo - vve chmury. W oddali uderzył grom. Spadły pierwsze krople deszczu. Kender i mag zniknęli. Z pewnością dosiedli już gryfa i odlatywali z Qualinesti. Oddalali się od Laurany. Jeśli będzie sprzyjało mu szczęście, zdoła osłonić ją przed wszelkimi konsekwencjami.

- Idź walczyć z rycerzem - rozkazał Medan. - Wyzwał cię na pojedynek.

Poddowódca wstał i wyciągnął miecz. Trzeci rycerz upuścił łuk i złapał za sztylet, gotów zadać cios od tyłu, gdy poddowódca zaatakuje od przodu.

- Na pojedynek - powtórzył Medan, powstrzymując łuczника. - Walcz z nim sam, poddowódco.

- Słucham? - zapytał z niedowierzaniem mężczyzna. Obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, czy marszałek nie żartuje.

Kim był poddowódca, zanim został rycerzem? Najemnikiem? Złodziejem? Bandytą? No cóż, dzisiaj otrzyma lekcję honoru.

- Słyszałeś mnie - warknął Medan.

Poddowódca wymienił kwaśne spojrzenie ze swym towarzyszem, po czym ruszył bez entuzjazmu w stronę szarżującego wściekle Solamniczka. Medan wstał, skrzyżował ręce na piersi i oparł się o jeden z białych głazów, aby obserwować walkę.

Poddowódca był potężnie zbudowanym mężczyzną o byczym karku, szerokich barach i muskularnych ramionach. Nauczył się polegać w walce na sile i przebiegłości, walił i rąbał mieczem, aż wreszcie szczęście lub brutalna siła pozwoliły mu powalić przeciwnika.

Rzucił się do ataku na łeb, na szyję, niczym szarżujący bizon, wymachując mieczem z morderczym impetem. Solamniczyc sparował cios z taką siłą, że stalowe klingi sypnęły skrami. Poddowódca naciskał mieczem na jego miecz, próbując powalić przeciwnika na kolana. Solamniczyc nie był w stanie oprzeć się takiej sile. Zdał sobie z tego sprawę i zmienił taktykę. Zatoczył się do tyłu, stwarzając przeciwnikowi kuszącą szansę ataku.

Poddowódca dał się nabrać. Skoczył do ataku i zamachnął się mieczem, chcąc szybko zakończyć walkę. Zdołał zranić rycerza w lewe ramię. Ostrze przecięło skórzany pancerz i zostawiło na ciele wielką, krwawiącą szramę.

Solamniczyc nawet się nie skrzywił. Z zimną krwią wykorzystał nadarżającą się okazję i wbił miecz w brzuch poddowódcy.

Ten wypuścił broń z ręki i zgiął się wpół ze straszliwym krzykiem bólu, opuszczając ręce, aby powstrzymać wylewające się wnętrzności. Solamniczyc wyszarpnął miecz. Z ust czarnego rycerza trysnęła krew. Poddowódca zwałił się na ziemię.

Nim Medan zdążył go powstrzymać, jego podkomendny uniósł łuk i wystrzelił do Solamniczka, trafiając go w udo. Rycerz krzyknął z bólu i zachwiał się na nogach.

- Ty cholerny tchórze! - zaklął Medan. Wyrwał łuk swojemu człowiekowi i roztrzaskał broń o głaz.

Łucznik wy dobył miecz i pobiegł w stronę rannego. Marszałek chciał już go powstrzymać, lecz interesowało go, jak Solamniczyc poradzi sobie z tym nowym wyzwaniem. Przyglądał się temu bezstronnie, gdyż od lat już nie widział takich pojedynków na śmierć i życie.

Łucznik był niższy oraz lżejszy od poddowódcy i walczył ostrożniej od niego. Nie śpieszył się, sondował przeciwnika nagłymi uderzeniami krótkiego miecza, chcąc go zmęczyć i odnaleźć słaby

punkt. Udało mu się ciąć Solamnijczyka pod uniesioną zasłoną w twarz. Rana nie była poważna, ale krew zalewała oko rycerza, częściowo go oślepiając. Solamnijczyk usunął ją mruganiem i walczył dalej. Okaleczony i krwawiący, krzywił się z bólu, gdy tylko był zmuszony wesprzeć ciężar na rannej nodze. Z uda nadal sterczała strzała. Nie miał czasu jej wyszarpnąć. Mimo to teraz to on przeszedł do ofensywy. Musiał szybko skończyć walkę, bo wkrótce zabraknie mu sił.

Uderzył piorun. Deszcz rozpadał się rześściej. Mężczyźni nadal walczyli nad trupem poddowódcy. Solamnijczyk nie zaprzestawał ataku. Wydawało się, że jego miecz jest wszędzie, niczym atakujący wąż. Teraz to łucznik znalazł się w opałach. Mógł się jedynie bronić przed ukąszeniem węża.

- Świetny cios, Solamnijczyku - powtórzył kolejny już raz cicho Medan. Przyjemnie było popatrzeć na takie umiejętności, tak znakomite wyszkolenie.

Łucznik pośliznął się na mokrej od deszczu trawie. Solamnijczyk skoczył naprzód, opierając się na rannej nodze, i wbił miecz w pierś przeciwnika. Łucznik padł na ziemię, a rycerz osunął się na kolana, dysząc ciężko.

Medan wyszedł zza głazu. Solamnijczyk usłyszał jego kroki i podźwignął się chwiejnie z rozdzierającym krzykiem bólu. Ranna noga załamywała się pod nim. Powłókł się utykając do najbliższego drzewa i wsparł plecami o jego pień, by zachować równowagę. Uniósł miecz i spojrzał w oczy śmierci. Wiedział, że nie może wygrać tej walki, ale przynajmniej zginie stojąc, nie na kolanach.

- Myślałem, że płomień wygasł już w sercach rycerstwa, ale widzę, że jest jeden człowiek, w którym jeszcze się pali - rzekł Medan, zwracając się w stronę Solamnijczyka. Marszałek trzymał dłoń na rękojeści miecza, ale nie wyjął go z pochwy.

Twarz rycerza była pokrytą maską krwi. Zdumiewająco niebieskie oczy spoglądały na Medana bez nadziei, lecz również bez strachu.

Marszałek czekał w błocie i deszczu, stojąc okrakiem nad ciałami dwóch podkomendnych.

Solamnijczyka zaczęła opuszczać determinacja. Nagle zrozumiał, do czego zmierza Medan. Czarny rycerz czekał, aż jego przeciwnik zemdleje, chcąc go pojmać żywcem.

- Walcz, niech cię szlag!

Skoczył naprzód i zamachnął się mieczem.

Medan usunął się na bok.

Solamnijczyk w chwili zapomnienia wsparł się całym ciężarem na rannej nodze, która załamała się pod nim. Stracił równowagę i padł na leśną ściółkę. Nawet wtedy spróbował jeszcze się podnieść, lecz był już za słaby. Stracił zbyt wiele krwi. Zamknął oczy i osunął się twarzą w błoto, obok ciał swych wrogów.

Medan przetoczył go na plecy, oparł dłoń na jego udzie, a drugą ręką wyszarpnął strzałę. Rycerz jęknął z bólu, ale nie odzyskał przytomności. Marszałek zdjął płaszcz, pociął go mieczem na pasy i sporządził z nich prowizoryczną opaskę uciskową, aby zahamować krwawienie. Potem owinał rycerza w resztki płaszcza, żeby nie było mu zimno.

- Straciłeś mnóstwo krwi - stwierdził, chowając miecz do pochwy - ale jesteś młody i silny. Zobaczmy, co zrobią dla ciebie uzdrowiciele.

Przyprowadził konie swych podkomendnych, przerzucił bezceremonialnie ich ciała przez siodła i przywiązał je bezpiecznie. Potem zagwizdał na własnego wierzchowca, który natychmiast przybiegł klusem do pana i zatrzymał się u jego boku.

Medan uniósł rannego Solamniczka i posadził go w siodle. Przyjrzał się uważnie ranie i z zadowoleniem stwierdził, że opaska powstrzymała krwotok. Poluzował ją nieco, nie chcąc całkowicie odciąć dopływu krwi do nogi, po czym wspiął się na siodło i usiadł za rannym rycerzem, obejmując go ramieniem, delikatnie, lecz pewnie. Chwycił w ręce wodze dwóch pozostałych koni i, prowadząc je za sobą, ruszył w długą drogę powrotną do Qualinostu.

Urządzenie do podróżowania w czasie

Szalona, przerażająca ucieczka przed smokiem zakończyła się pod błękitnym niebem, już w blasku słońca. Lot trwał dłużej niż zwykle, gdyż burza zniosła gryficę z kursu. Bestia wylądowała gdzieś w głuszy gór Kharolis, by pożreć jelenia. Palin nie był zadowolony z tej zwłoki, lecz jego błagania o pośpiech pozostały bez echa. Po posiłku gryfica musiała się przespać, a Palin spacerował nerwowo w tę i z powrotem, mocno zaciskając rękę na ramieniu Tasslehoffa. Po zapadnięciu zmroku stworzenie oznajmiło, że nie będzie latało po ciemku. Gryfica i kender zasnęli, a Palin czuwał poirytowany, czekając na wschód słońca.

Następnego dnia kontynuowali podróż. Na krótko przed południem gryfica wysadziła ich na pustym polu nieopodal miejsca, gdzie ongiś znajdowała się Akademia Czarów. Kamienne mury gmachu stały jeszcze, ale pokrywała je sadza i obracały się powoli w gruzy. Dach przemienił się w szkielet ze zwęglonych belek. Z wieży, ongiś symbolu nadziei dla świata, nadziei na powrót magii, została jedynie kupa kamieni, zwalonych przez cios, który zdruzgotał jej serce.

Palin zamierzał swego czasu odbudować akademię, choćby jako gest oporu wobec Beryl. Gdy jednak magia zaczęła go opuszczać, wypływając z niego tak, jak woda wypływa ze złożonych dłoni, zarzucił ten pomysł. To byłaby tylko strata czasu i energii. Lepiej poświęcić siły na poszukiwania artefak - tów z Czwartej Ery. Nadal zawierały one w sobie magię i ci, którzy wiedzieli, jak to się robi, potrafili ją wykorzystać.

- Co to za miejsce? - zapytał Tasslehoff, zsuwając się z grzbietu gryficy. Gapił się z zainteresowaniem na zniszczone mury i puste otwory po oknach. - I co tu się stało?

- Nic. To nieważne - odparł Palin, nie chcąc wdawać się w długą opowieść o zagładzie marzenia. - Chodź. Nie mamy czasu do strata...

- Patrz! - krzyknął Tas, wyciągając rękę. - Ktoś tam łązi! Muszę to zobaczyć!

Zerwał się do biegu. Jaskrawe poły koszuli powiewały za nim, a kitka podskakiwała radośnie.

- Wracaj... - zaczął Palin, lecz zdał sobie sprawę, że nie ma sensu strzepić języka.

Tas miał rację. Ktoś faktycznie spacerował pośród ruin akademii. Palin usiłował zgadnąć, kto

to może być. Mieszkańcy Solące uważali to miejsce za przeklęte i nigdy tu nie przychodzili. Nieznajoma osoba miała na sobie długą szatę. Pod beżowym płaszczem o złocistym obszyciu Palin dostrzegł skrawek karmazynowej tkaniny. Rzecz jasna, mógł to być jakiś dawny uczeń, którego do zniszczonej uczelni przygnała nostalgia, lecz czarodziej raczej w to wątpił. Wdzięczny chód i bogate szaty świadczyły, że to musiała być Jenna.

Pani Jenna z Palanthas była przed Wojną Chaosu potężną czarodziejką czerwonych szat, a także niezwykle piękną kobietą - opowiadano, że jest kochanką Dalamara Czarnego, ucznia Raistlina Majere i dawnego władcy Wieży Wielkiej Magii w Palanthas. Jenna zarabiała na życie, prowadząc w Palanthas sklep magiczny. W Czwartej Erze, gdy magia była darem przyznanym ludziom przez trzech bogów, Solinari, Lunitari i Nuitari, cieszył się on umiarkowanym powodzeniem. Jenna oferowała w nim typowe magiczne towary: guano nietoperzy, skrzydła motyli, liście róży (całe i kruszone), jaja pajaków i tym podobne. Miała też niezły zapas eliksirów oraz najlepszą kolekcję magicznych zwojów i ksiąg poza wieżą w Wayreth. Wszystko to można było nabyć za odpowiednią cenę - Szczególną sławą cieszył się jednak jej zbiór magicznych artefaktów: pierścieni, kielichów, sztyletów, mieczy, naszyjników, talizmanów i amuletów. Te artefakty były dostępne dla wszystkich klientów. Miała też inne, potężniejsze i bardziej niebezpieczne, które trzymała w ukryciu, pokazując je jedynie poważnym nabywcom, którzy musieli się najpierw z nią umówić na spotkanie.

Gdy nadeszła Wojna Chaosu, Jenna wyruszyła z Dalamarem oraz magiem białych szat z niebezpieczną misją, która miała pomóc w pokonaniu oszalałego Ojca Bogów. Nigdy nie opowiadała o tym, co przeżyła podczas tej straszliwej wyprawy. Palin wiedział tylko tyle, że Dalamar wrócił z niej poważnie ranny i przez wiele tygodni leżał bliski śmierci w swej wieży.

Jenna towarzyszyła mu przez cały ten czas i opiekowała się nim, aż wreszcie pewnego dnia wyszła z wieży i nigdy już do niej nie wróciła. Tej właśnie nocy Wieżę Wielkiej Magii w Palanthas zniszczyła czarodziejska eksplozja. Potem nikt już więcej nie widział Dalamara. Gdy upłynęło wiele lat i mag nadal nie wracał, Konklawe oficjalnie uznało go za zmarłego. Pani Jenna ponownie otworzyła swój sklep i przekonała się, że jest właścicielką skarbu.

Po zniknięciu boskiej magii zdesperowani czarodzieje szukali sposobów, które pozwoliłyby im zachować moc. Przekonali się, że można ją znaleźć w magicznych artefaktach z Czwartej Ery. Co prawda, czasem okazywała się nieprzewidywalna i nie działała zgodnie z oczekiwaniami. Magiczny miecz, który ongiś był artefaktem dobra, nagle zaczął zabijać tych, których miał chronić. Pierścień niewidzialności zawodził właściciela w krytycznym momencie i złodziej lądował na pięć lat w lochach Sanction. Nikt nie znał przyczyn tego zjawiska. Niektórzy twierdzili, że bierze się ono stąd, iż bogowie nie mają już wpływu na artefakty, inni zaś, że nie ma to nic wspólnego z bogami. Artefakty zawsze były nieobliczalne.

Niemniej jednak, kupujący chętnie podejmowali ryzyko. Popyt na artefakty z Czwartej Ery okazał się wyższy niż na Produkowane przez gnomów parowe urządzenia do przerzucania - nią naleśników. Ceny żądane przez panią Jennę wzrosły odpowiednio do tego zainteresowania i w wieku sześćdziesięciu kilku lat stała się ona jedną z najbogatszych kobiet w Ansalonie. Nadal była piękna, choć jej uroda z czasem dojrzała, i zachowała wpływy oraz władzę nawet pod rządami Rycerzy Neraki, których dowódcom wydawała się czarująca, fascynująca, tajemnicza i usłużna. Nie zwracała uwagi na tych, którzy zwali ją „kolaborantką”. Od dawna była przyzwyczajona do gry na dwie strony

i wiedziała, jak przekonać każdą z nich, że to ona właśnie wychodzi na tym korzystniej.

Pani Jenna była też cenioną w całym Ansalonie specjalistką od magicznych artefaktów z Czwartej Ery.

Palin nie mógł natychmiast się z nią przywitać, gdyż gryfica poskarżyła się, że znowu jest głodna. Bestia chciwie spoglądała na kendera, z pewnością uważając go za smakowity kęs. Mag obiecał, że każe jej przynieść udziec dzika. To usatysfakcjonowało gryficę, która zajęła się czyszczeniem piór, zadowolona, że wreszcie dotarła na miejsce.

Palin popędził za Tasslehoffem, który laźł beztrosko po gruzie, odwracając kamienie, aby zobaczyć, co jest pod spodem i krzykiem oznajmiając każde nowe znalezisko. Spacerująca po terenie zburzonej akademii Jenna poczuła się zainteresowana odkryciami kendera i ruszyła w jego stronę.

Tas uniósł głowę i wpatrywał się w kobietę przez długi czas. Potem poderwał się z radosnym okrzykiem i pobiegł ku niej, wyciągając ramiona.

Jenna uniosła szybko ręce, odwracając dłonie; z jednego z jej kilku pierścieni trysnęło światło. Tas zatoczył się do tyłu, jakby wpadł na mur z cegieł.

- Nie zbliżaj się, kenderze - ostrzegła go spokojnie.

- Ależ Jenno! - krzyknął Tas, pocierając nos i przyglądając się z zainteresowaniem jej pierścieniom. - Nie poznajesz mnie? To ja, Tasslehoff! Tasslehoff Burrfoot. Spotkaliśmy się w Palanthis podczas Wojny Chaosu. Dla mnie minęło zaledwie kilka dni, ale dla ciebie pewnie długie lata, bo wyglądasz teraz starzej. Znacznie starzej - dodał z emfazą. - Przeszedłem do twojego sklepu magicznego i... - nie przestawał trajkotać.

Jenna nie opuszczała rąk, spoglądając z rozbawieniem na kendera. Był dla niej mile widzianym urozmaiceniem, lecz najwyraźniej nie uwierzyła w ani jedno jego słowo.

Usłyszała chrzęszczące pod butami kamienie i odwróciła pośpiesznie głowę.

- Palinie!

Uśmiechnęła się na jego widok.

- Jenno. - Pokłonił się z szacunkiem. - Cieszę się, że znalazłaś czas, aby tu przybyć.

- Mój drogi, jeśli to, co sugerowałeś, jest prawdą, nie zrezygnowałabym z takiej okazji za wszystkie skarby Istar. Wybacz, że nie podam ci ręki, ale muszę utrzymywać na dystans tego kendera.

- Jaką miałaś podróż?

- Długą - westchnęła ciężko. - Mój pierścień teleportacji... - wskazała na wielki pierścień z błyszczącym ametystem, który miała na kciuku - ...kiedyś w mgnieniu oka przenosił mnie z jednego końca kontynentu na drugi. A teraz potrzebuję dwóch dni, aby dotrzeć z Palanthis do Solące.

- A co robisz na terenie akademii? - zainteresował się Palin, rozglądając się wokół. - Jeśli szukałaś artefaktów, to nie zwracaj sobie głowy. Zabraliśmy stąd wszystko, co tylko się dało.

Jenna potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, wybrałam się tylko na spacer. Zajrzałam do twojego domu - ciągnęła, spoglądając na niego z ironią. - Była tam twoja żona i nie ucieszyła się zbyt na mój widok. Ponieważ spotkało mnie chłodne przyjęcie, uznałam, że wolę przechadzkę w ciepłych promieniach słońca. - Ona również rozejrzała się wokół i potrząsnęła ze smutkiem głową. - Nie byłam tu od czasu zburzenia akademii. Byli naprawdę dokładni. Nie zamierzasz jej odbudować?

- A po co? - Palin wzruszył ramionami. W jego głosie pobrzmiwała gorycz. - Jaki pożytek z Akademii Czarów, jeśli czary już nie istnieją? Tas - zmienił nagle temat - Usha jest w domu. Może tak zrobiłbyś jej niespodziankę? - Odwrócił się i wskazał ręką na wielki dom, ledwie widoczny zza otaczających go wysokich drzew. - Mieszkamy w tym...

- Wiem! - zawołał podekscytowany Tasslehoff. - Byłem tam, kiedy po raz pierwszy przybyłem na pogrzeb Caramona. Czy Usha wciąż maluje takie piękne obrazy, jak wtedy?

- Czemu sam jej o to nie zapytasz? - warknął poirytowany Palin.

Tas popatrzył z niezdeterminowaną miną na rumowisko.

- Ushy będzie bardzo przykro, jeśli jej nie odwiedzisz - dodał mag.

- Tak, masz rację - zgodził się kender. Wreszcie się zdecydował. - Nie chciałbym sprawić jej przykrości. Jesteśmy wielkimi przyjaciółmi. Poza tym, zawsze mogę potem tu wrócić. Do widzenia, Jenno! - Chciał wyciągnąć rękę, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał. - Dziękuję, że mnie zaczarowałaś. To mi się nie przytrafiło od bardzo dawna. Było naprawdę świetnie.

- Dziwny malec - stwierdziła Jenna, śledząc wzrokiem Tasa, który zbiegał na łeb, na szyję ze stoku. - Wygląda i mówi zupełnie jak kender, którego znałam jako Tasslehoffa Burrfoota. Można by niemal pomyśleć, że to jest Tasslehoff.

- Bo jest - wtrącił Palin.

Jenna spojrzała na niego, zaskoczona.

- Daj spokój. - Przyjrzała mu się uważniej. - Na utraconych bogów, nie mówisz chyba poważnie. Tasslehoff Burrfoot nie żyje...

- Wiem! - przerwał jej niecierpliwie Palin. - Od trzydziestu paru lat. Albo coś koło tego. Przykro mi, Jenno. Westchnął. - To była długa noc. Beryl dowiedziała się o artefakcie. Rycerze Neraki zwabili nas w zasadzkę. Ledwie ocaliliśmy z kenderem życie, a Solamniczycy, który nas eskortował, nie udało się uciec. Potem zaatakował nas w powietrzu jeden z zielonych smoków Beryl. Uciekliśmy wyłącznie dzięki temu, że schroniliśmy się w burzowej chmurze.

- Powinieneś się trochę przespać - poradziła Jenna, spoglądając na niego z troską.

- Nie mogę spać - odparł Palin, pocierając zaczerwienione, piekące oczy. - W głowie mam galimatias, który nie daje mi spokoju. Musimy porozmawiać! - zakończył z desperacją w głosie.

- Po to właśnie tu jestem, przyjacielu - odparła kobieta. - Ale najpierw powinieneś przynajmniej coś zjeść. Chodźmy do ciebie na kielich wina. Przywitaj się z żoną. Słyszałam, że ona również niedawno wróciła z bardzo trudnej podróży.

Palin uspokoił się nieco i uśmiechnął blado do Jenny.

- Tak, jak zwykle masz rację. Rzecz w tym... - Przerwał na chwilę, aby zastanowić się nad tym, co chce powiedzieć i jak to wyrazić. - To naprawdę jest Tasslehoff, Jenno. Jestem tego pewien. I on był w przyszłości, która nie jest naszą przyszłością, w przyszłości, w której wielkie smoki nie istnieją, a na świecie panuje pokój. Ma ze sobą urządzenie, które pozwoliło mu dotrzeć do tej przyszłości.

Jenna przyjrzała mu się z wielką uwagą. Gdy zobaczyła, że Palin mówi absolutnie poważnie, jej oczy pociemniały od nagłego zainteresowania.

- Tak - rzekła po chwili. - Naprawdę musimy porozmawiać.

Ujęła go pod rękę i ruszyli razem przed siebie.

- Opowiedz mi o wszystkim, Palinie - poprosiła.

Dom rodziny Maj erę był wielką budowlą. Ongiś należał do mistrza Theobalda, człowieka, który uczył magii Raistlina Majere. Po śmierci właściciela Caramon odkupił go jako pamiątkę po bracie, a gdy Palin ożenił się z Ushą, dał go w prezencie młodej parze. Tutaj przyszły na świat i dorosły ich dzieci, które potem wyruszyły na poszukiwania własnych przygód. Palin przerobił klasę, w której ongiś Raistlin wkuwał lekcje, na pracownię dla żony, która zdobyła w Solamni i Abanasinii sporą sławę jako portrecistka. Sam przejął na swoje potrzeby dawne laboratorium mistrza.

Tasslehoff nie skłamał, zapewniając Palina, że pamięta dom z pierwszego pogrzebu Caramona. Budynek się nie zmienił, ale jego właściciel z pewnością tak.

- Pewnie jeśli ktoś ma okaleczone dłonie, to patrzy na życie jak kaleka - mówił Tas do Ushy, siedząc z nią w kuchni nad wielką miską owsianki. - To na pewno dlatego, bo na pierwszym pogrzebie Caramona dłonie Palina były w porządku i on sam też. Był wesoły i szczęśliwy. No, może niezupełnie szczęśliwy, bo biedny Caramon dopiero co umarł i nikt nie mógł się zbytnio radować. Był jednak szczęśliwy wewnątrz i wiedziałem, że kiedy smutek minie, szczęście powróci. Ale teraz jest potwornie nieszczęśliwy, tak bardzo, że nie potrafi nawet się smucić.

- Pewnie... pewnie masz rację - wyszeptała Usha. Kuchnia stanowiła duże pomieszczenie o wysokim, wspartym belkami suficie. Stał tu ogromny kamienny piec, czarny od gromadzącej się przez lata sadzy. Nad jego środkiem wisiał na czarnym łańcuchu sagan. Usha siedziała naprzeciwko

kendera za wielkim, rzeźnickim stołem. Tas przypuszczał, że służy on do ucinania głów kurom i innych temu podobnych zadań. W tej chwili był wyszorowany do czysta i nie leżał na nim bezgłowy drób, ale nie nadeszło jeszcze południe i do kolacji zostało wiele czasu.

Usha gapiła się na niego tak samo jak pozostali - jakby nagle wyrosła mu druga głowa albo jakby w ogóle nie miał głowy, jak te kury. Patrzyła tak na niego już od chwili, gdy otworzył szeroko drzwi (pamiętając, żeby potem zapukać) i zawołał głośno: - Usho! To ja, Tas! Olbrzym mnie jeszcze nie rozdeptał! Usha Majere w młodości była piękna, a jej uroda tylko zyskała z upływem czasu, choć Tas pomyślał, że na pierwszym pogrzebie Caramona wyglądała ładniej. Jej włosy miały taki sam srebrny połysk, a oczy identyczną złotą barwę, lecz temu złotu brakowało ciepła, a srebro było matowe i zaśniedziałe. Sprawiała wrażenie zmęczonej i przygaszonej.

Ona też jest nieszczęśliwa - zrozumiał nagle kender. To na pewno zaraźliwe. Jak odra.

- To z pewnością Palin! - powiedziała Usha, słysząc, jak drzwi frontowe otworzyły się, a potem zamknęły. W jej głosie zabrzmiała ulga.

- I Jenna - wymamrotał Tas z pełnymi ustami.

- Tak, Jenna - powtórzyła Usha chłodnym tonem. Możesz tu zostać, jeśli chcesz, hmm... Tas. Dokończ owsiankę. W garnku jest więcej.

Wstała i wyszła z kuchni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Tas dokończył owsiankę, podsłuchując z zainteresowaniem prowadzoną w sieni rozmowę. W normalnej sytuacji by tego nie robił, bo podsłuchiwanie cudzych rozmów było nieuprzejme, ale oni mówili o nim pod jego nieobecność, co również nie było grzeczne, więc czuł się usprawiedliwiony.

Poza tym, Tas zaczynał dochodzić do wniosku, że nie lubi zbyt Palina. Kender czuł się źle z tego powodu, ale nie potrafił nic na to poradzić. W domu Laurany spędził w towarzystwie maga sporo czasu, raz po raz powtarzając mu wszystko, co zapamiętał z pierwszego pogrzebu Caramona. Jak zwykle wszystko upiększał, bo bez takich ozdobników żaden kender nie uzna opowieści za kompletną. Niestety, owe ozdobniki - które rzecz jasna z każdym powtórzeniem wyglądały inaczej - zamiast dostarczać Palinowi rozrywki irytowały go niezmiernie. Mag potrafił spoglądać na kendera nawet nie tak, jakby wyrosła mu druga głowa, lecz jakby zamierzał mu urwać tę jedyną głowę i sprawdzić, co jest w środku.

- Nawet Raistlin tak na mnie nie patrzył - poskarżył się sam przed sobą Tas, wygarniając palcem z miski resztki owsianki. - Czasami spoglądał na mnie tak, jakby miał ochotę mnie zabić, ale nigdy tak, jakby chciał mnie najpierw wyrzucić na lewą stronę.

Zza drzwi dobiegał głos Ushy.

- ...podaje się za Tasslehoffa.

- To jest Tasslehoff, moja droga - odparł Palin. - Mam wrażenie, że znasz panią Jennę, Usho? Zatrzyma się u nas na kilka dni. Czy przygotujesz pokój gościnny?

Zapadła cisza, która brzmiała, jakby przeciskano ją przez sito. Potem rozległ się głos Ushy, zimny jak owsianka, która zdążyła tymczasem wystygnać: - Palinie, czy możemy porozmawiać w kuchni?

- Wybacz nam na chwilę, pani Jenno - odezwał się Palin, głosem jeszcze zimniejszym od owsianki.

Tasslehoff pomyślał z westchnieniem, że powinien postarać się sprawiać wrażenie, iż wcale nie podsłuchiwał. Zaczął nucić coś głośno i grzebać w spiżarni w poszukiwaniu jeszcze czegoś do jedzenia.

Na szczęście Palin ani Usną w ogóle nie zwracali uwagi na kendera. Mag warknął tylko do niego, żeby przestał robić ten piekielny hałas.

- Co ona tu robi? - zapytała Usha, wspierając ręce na biodrach.

- Mamy ważne sprawy do omówienia - odparł wymijająco Palin.

Usha przeszła go ostrym spojrzeniem.

- Palinie, obiecałeś mi! Ta wyprawa do Qualinesti miała być ostatnia! Wiesz, jak niebezpieczne stały się te poszukiwania artefaktów...

- Tak, moja droga, wiem - przerwał jej Palin chłodnym tonem. - Dlatego właśnie uważałem, że lepiej by było, gdybyś opuściła Solące.

- Opuściła! - powtórzyła zdumiona Usha. - Dopiero co wróciłam do domu po trzech miesiącach nieobecności! W Haven byłyśmy z twoją siostrą praktycznie więźniami. Wiedziałeś o tym?

- Tak, wiedziałem...

- Wiedziałeś! I nic nie powiedziałeś? Nie niepokoiłeś się? Nie zapytałeś, jak udało się nam uciec...

- Moja droga, nie miałem czasu...

- Nie mogłyśmy nawet wrócić na pogrzeb ojca! - ciągnęła Usha. - Pozwolono nam wyjechać tylko dzięki temu, że zgodziłam się namalować portret żony sędziego pokoju. Jej gęba nawet u hobgoblina byłaby brzydka. A teraz chcesz, żebym znowu wyjechała.

- To dla twojego bezpieczeństwa.

- A co z twoim bezpieczeństwem? - zripostowała.

- Potrafię o siebie zadbać.

- Naprawdę, Palinie? - zapytała Usha. Jej głos nagle nabrał delikatniejszych tonów.

Wyciągnęła ręce, chcąc ująć jego dłonie.

- Naprawdę - warknął. Cofnął kalekie kończyny, chowając je w rękawach szaty.

Tasslehoff poczuł się straszliwie skrępowany. Miał ochotę schować się do spiżarni i zamknąć za sobą drzwi. Niestety, nie było tam wystarczająco wiele miejsca, nawet gdy wsadził już do kieszeni kilka interesujących przedmiotów.

- Proszę bardzo, skoro tego nie chcesz. Widać nie wolno już mi cię dotykać... - Usha skrzyżowała ręce na piersiach - ...ale uważam, że jesteś mi przynajmniej winien wyjaśnienie. Co tu się dzieje? Dlaczego przysłałeś tu tego kendera, który podaje się za Tasa? Co ty znowu kombinujesz?

- Nie możemy kazać pani Jennie czekać...

- Jestem pewna, że się nie pogniewa. Może o tym zapomniałeś, ale jestem twój a żoną! - Usha potrząsnęła srebrnymi włosami. - Nie zdziwiłabym się, gdybyś rzeczywiście o tym zapomniał. W ogóle już się nie widzimy.

- Nie zaczynaj znowu! - warknął gniewnie i odwrócił się ku drzwiom.

- Palinie! - Usha wyciągnęła gwałtownie rękę. - Kocham cię! Chcę ci pomóc!

- Nie możesz mi pomóc! - krzyknął ze złością. - Nikt nie może. - Uniósł ku światłu dłonie o palcach wykrzywionych i skręconych do wewnątrz niczym pazury ptaka. - Nikt nie może - powtórzył.

Znowu zapadła cisza. Tas przypomniał sobie czas, gdy był więźniem w Otchłani. Czuł się wtedy bardzo samotny, przygnębiony i nieszczęśliwy. To dziwne, ale teraz, w kuchni przy - jaciól, dopadło go takie samo uczucie. Nie miał nawet ochoty przyjrzeć się uważniej zamkowi srebrnej szkatułki.

- Przepraszam, Usho - rzekł sztywno Palin. - Masz rację. Należy ci się wyjaśnienie. Ten kender to faktycznie Tasslehoff.

Kobieta pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Pamiętasz, jak mój ojciec opowiadał o tym, jak cofnęli się z Tasem w czasie? - ciągnął mag.

- Pamiętam - potwierdziła z napięciem w głosie.

- Użyli do tego celu magicznego artefaktu. Tasslehoff wykorzystał ten sam artefakt, aby przenieść się w przyszłość i wygłosić mowę na pogrzebie Caramona. Był tu już raz, ale wówczas przybył za późno. Było już po pogrzebie. Dlatego wybrał się tu po raz drugi. Tym razem trafił na właściwy moment, ale wszystko wyglądało inaczej. Przyszłość, którą widział poprzednio, okazała się pełna nadziei i szczęścia. Bogowie nie odeszli. Byłem głową Zakonu Białych Szat. Elfie królestwa zostały zjednoczone...

- I ty w to wszystko wierzysz? - zapytała zdumiona Usha.

- Wierzę - zapewnił z uporem Palin. - Dlatego, że widziałem to urządzenie, Usho. Trzymałem je w dłoniach. Czułem jego moc. To dlatego jest tu pani Jenna. Potrzebna mi jej rada. I dlatego nie jesteś bezpieczna w Solące. Smoczyca wie, że urządzenie znajduje się w moich rękach. Nie jestem pewien, jak się o tym dowiedziała, ale obawiam się, że któryś z domowników Laurany jest zdrajcą. Jeśli tak jest, to Beryl może już wiedzieć, że uciekłem z urządzeniem do Solące. Przyśle tu swoich sługusów, żeby spróbowali...

- Zamierzasz go użyć! - wydyszała Usha, wskazując palcem na męża.

Nie odpowiedział.

- Znam cię, Palinie Majere - mówiła. - Chcesz użyć go osobiście! Cofnąć się w czasie i... kto wie, co jeszcze zrobić!

- Tylko się nad tym zastanawiałem - odparł wymijająco. - Jeszcze nie podjąłem decyzji. Dlatego właśnie muszę się poradzić pani Jenny.

- Chciałeś się poradzić jej, ale nie mnie? Własnej żony?

- Miałem zamiar ci powiedzieć - usprawiedliwiał się Palin.

- Powiedzieć? Nie zapytać? Nie obchodzi cię, co sądzę o tym szaleństwie? Nie zamierzasz mnie zapytać o zdanie? - Sama odpowiedziała na własne pytanie. - Planujesz to zrobić bez względu na moją opinię. Nie dbasz o niebezpieczeństwo. Nie obchodzi cię, że możesz zginąć!

- Usho - zaczął po chwili - to bardzo ważne. Magia... gdybym mógł...

Potrząsnął głową, nie potrafiąc tego wytłumaczyć. Jego głos ucichł.

- Magia umarła, Palinie - krzyknęła Usha głosem zdławionym od łez. - Moim zdaniem nie ma czego żałować. Co dobrego ci przyniosła? Doprowadziła cię do ruiny i zniszczyła nasze małżeństwo.

Wyciągnął rękę, lecz tym razem to ona się odsunęła.

- Idę do gospody - oznajmiła, nie patrząc na niego. - Zawiadom mnie, jeśli... jeśli będziesz chciał, żebym wróciła do domu.

Odwróciła się od niego i podeszła do Tasa. Przyglądała mu się długo i uważnie.

- Ty rzeczywiście jesteś Tasem, prawda? - zapytała zdumiona.

- Tak, Usho - potwierdził przygnębiony kender. - Ale w tej chwili wolałbym nim nie być.

Pochyliła się i pocałowała go w czoło. Widział, że w jej złocistych oczach wzbierają łzy.

- Żegnaj, Tas. Miło było znowu cię zobaczyć.

- Przepraszam, Usho - zawodził. - Nie chciałem wszystkiego zepsuć. Chodziło mi tylko o to, żeby wygłosić mowę na pogrzebie Caramona.

- To nie twoja wina, Tas. Wszystko zepsuło się już przedtem.

Usha wyszła z kuchni, nawet nie spoglądając na Palina. Mag stał bez ruchu, wpatrzony w pustkę. Minę miał ponurą, a twarz bladą. Tas usłyszał, że Usha mówi coś do Jenny, ale nie rozumiał słów. Jenna jej odpowiedziała, ale tego również nie dosłyszał. Potem Usha wyszła z domu, głośno zatraskując frontowe drzwi. Zapadła cisza, maćona jedynie krokami Jenny, która spacerowała niespokojnie w tę i z powrotem. Palin nadal się nie ruszał.

Tas wsadził rękę do kilku kieszeni i wreszcie zlokalizował urządzenie. Wyciągnął jakiś sznurek, który się w nie zaplątał, otrzepał je ze strzępków gazy oraz okruchów suchara, który zamierzał zjeść przed dwoma dniami.

- Proszę, Palinie - powiedział, unosząc urządzenie. Możesz je sobie wziąć.

Mag gapił się na niego, nic nie rozumiejąc.

- Masz - nie ustępował kender, podsuwając mu artefakt. - Jeśli chcesz go użyć, tak jak mówiła Usha, to pozwalam ci to zrobić. Zwłaszcza jeśli chcesz się cofnąć w czasie i zrobić, żeby wszystko znowu było tak, jak powinno. O tym właśnie myślisz, prawda? Masz - nalegał Tas. Potrząsnął urządzeniem, aż jego klejnoty zamrugwały.

- Weź je! - zażądała Jenna.

Tas poderwał się nagle. Skupił całą uwagę na Palinie i nie usłyszał, kiedy czarodziejka zajrzała do kuchni. Stałą w uchylonych drzwiach.

- Weź je! - powtórzyła z naciskiem. - Palinie, martwiłeś się o to, jak przezwyciężyć nałożony na urządzenie przymus, zakłęcie nakazujące mu zawsze wracać do tego, kto go użył. Podobny przymus chroni użytkownika, gdyby zgubił urządzenie albo gdyby ktoś mu je ukradł, ale jeśli odda je dobrowolnie komuś innemu, ten uczynek może złamać przymus!

- Nic nie wiem o żadnych przymusach - wtrącił Tas - ale wiem, że pozwolę ci skorzystać z urządzenia, jeśli tylko chcesz.

Mag opuścił głowę. Siwe włosy opadły mu na twarz, ale Tas zdążył zauważyć grymas bólu, który nadał jej wyraz, jakiego kender nigdy na niej nie widział. Palin wyciągnął rękę i ujął urządzenie, miłośnie zaciskając na nim powykrzywiane palce.

Tas uwolnił się od artefaktu z uczuciem zbliżonym do ulgi. Dopóki go miał, ciągle słyszał głos Fizbana, który przypominał mu z irytacją, aby nie wybierał się na poszukiwania przygód. Miał wrócić do własnego czasu. Choć ta przygoda z pew.nością pozostawiała wiele do życzenia - rzucono na niego klątwę, widział jak Usha płacze i przekonał się, że już nie lubi Palina. Tas zaczynał dochodzić do wniosku, że nawet kiepska przygoda zapewne jest lepsza od rozdeptania przez olbrzyma.

- Mogę ci powiedzieć, jak ono działa - zaproponował. Palin położył urządzenie na kuchennym stole. Usiadł i wpatrzył się w nie, nie odzywając się ani słowem.

- Jest taki wierszyk, który trzeba powiedzieć, i parę rzeczy, jakie należy zrobić - ciągnął kender - ale łatwo się tego nauczyć. Fizban powiedział, że muszę zapamiętać ten wierszyk tak dobrze, żebym mógł go powtórzyć, stojąc na głowie, i udało mi się. Jestem pewien, że ty też sobie z tym poradzisz.

Palin słuchał go tylko jednym uchem. Popatrzył na Jennę.

- Co o tym sądzisz?

- To jest urządzenie do podróżowania w czasie - potwierdziła. - Widziałam je w Wieży Wielkiej Magii, kiedy twój ojciec oddał je Dalamarowi na przechowanie. Dalamar oczywiście je zbadał. Mam wrażenie, że miał jakieś dotyczące go notatki twojego stryja. O ile mi wiadomo, nigdy go nie używał, ale z pewnością nikt z żyjących nie wie na jego temat więcej od niego. Nigdy nie słyszałam też, aby urządzenie zaginęło. Przypominam sobie jednak, że przed Wojną Chaosu faktycznie znaleźliśmy Tasslehoffa w wieży. Mógł je wówczas zwędzić.

Jenna obrzuciła kendera surowym spojrzeniem.

- Nie zabrałem go! - zaprotestował oburzony Tas. Fizban sam mi je dał! Powiedział...

- Psst, Tas. - mag pochylił się nad stołem i ściszył głos, zwracając do czarodziejki. - Pewnie nie wiesz, jak się skontaktować z Dalamarem?

- Nie param się nekromancją - odparła chłodno Jenna.

Palin zmrużył powieki.

- Daj spokój, chyba nie sądzisz, że on nie żyje? Jenna rozsiadła się wygodniej.

- Może i nie sądzę. Ale nie mam pewności. Nie miałam z nim żadnego kontaktu od z góra trzydziestu lat. Nie mam pojęcia, gdzie się podział.

Palin miał niepewną minę, jakby nie uwierzył jej do końca. Jenna rozpostarła upierścienione dłonie na blacie stołu.

- Wysłuchaj mnie, Palinie. Ty go nie znasz. Nikt go nie zna takjak ja. Nie widziałeś go, kiedy wrócił z Wojny Chaosu. Ja go widziałam. Byłam przy nim. Dzień i noc. Pielęgnowałam go, dopóki nie wrócił do zdrowia. O ile można to tak nazwać.

Znowu oparła się wygodnie, a jej twarz sposepniała.

- Przykro mi, jeśli cię uraziłem - rzekł Palin. - Nie słyszałem... Nic mi o tym nie mówiłaś.

- Nie lubię o tym opowiadać - wyjaśniła Jenna. Wiesz, że Dalamar został poważnie ranny

podczas walki z Chaosem. Wróciłam z nim do wieży. Całymi tygodniami pozostawał na granicy królestwa żywych i królestwa umarłych. Porzuciłam dom oraz sklep i przenieśliśmy się do wieży, żeby się nim opiekować. Wyżył, ale odejście bogów i utrata boskiej magii stały się dla niego strasliwym ciosem, po którym już się nie podniósł. On się zmienił, Palinie. Pamiętasz, jaki był kiedyś?

- Nie znałem go zbyt dobrze. Prowadził moją próbę w wieży. Stryj Raistlin zaskoczył go wtedy, zmieniając stworzoną przezeń iluzję w rzeczywistość. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Dalamara, kiedy zobaczył, że mam laskę stryja. - Palin westchnął z żalem. Te wspomnienia były słodkie, lecz zarazem bolesne. - Pamiętam tylko, że wydawał mi się złośliwy i skłonny do sarkazmu, samolubny i arogancki. Wiem, że mój ojciec był o nim lepszego zdania. Mówił, że Dalamar ma bardzo złożony charakter i jest lojalny raczej wobec magii niż Czarnej Królowej. Nie wiem o nim zbyt wiele, ale mam wrażenie, że to była prawda.

- Łatwo się ekscytował - wtrącił Tas. - Bardzo się podniecił, kiedy zacząłem dotykać wszystkiego, co do niego należało. Był z niego prawdziwy nerwus.

___ Tak, wszystko to prawda. Ale potrafił też być czarujący, uprzejmy, mądry... - Jenna uśmiechnęła się z westchnieniem. - Kochałam go, Palinie. Zapewne nadal go Kocham. Nigdy nie spotkałam innego mężczyzny, który mógłby się z nim równać. - Umilkła na chwilę. - To było dawno temu - zakończyła, wzruszając ramionami.

- Co między wami zaszło? - zapytał Palin.

Potrząsnęła z rezygnacją głową.

- Po tej chorobie zamknął się w sobie, stał się ponury i mało mówny, opryskliwy i nieufny. Cierpliwość nigdy nie była moją mocną stroną - przyznała Jenna. - Nie mogłam znieść tego uzalania się nad sobą i powiedziałam mu to. Doszło do kłótni. Wysłałam i więcej już go nie widziałam.

- Potrafię zrozumieć, co czuł - stwierdził Palin. - Pamiętam, jaki byłem zagubiony, kiedy zdałem sobie sprawę, że bogowie odeszli. Dalamar praktykował tajemne sztuki znacznie dłużej ode mnie. Poświęcił dla nich bardzo wiele. Z pewnością był zdruzgotany.

- Wszyscy byliśmy zdruzgotani - stwierdziła bez ogródek Jenna - ale jakoś sobie poradziliśmy. Ty żyłeś dalej i ja też. Dalamar tego nie potrafił. Gryzł się i wściekał, aż wreszcie zaczęłam się bać, że frustracja doprowadzi go do śmierci. Nie mógł jeść ani spać. Całymi godzinami przesiadywał zamknięty w laboratorium, rozpaczliwie poszukując tego, co utracił. Kiedyś, w jednej z rzadkich chwil, gdy w ogóle się do mnie odzywał, powiedział mi, że ma klucz. Że natrafił nań podczas swej choroby. Teraz musiał tylko odnaleźć drzwi. Sądzę, że mu się udało - dodała z przekąsem.

- To znaczy, że nie uważasz, iż wysadził się razem z wieżą - skonstatował Palin.

- Wieża została zniszczona? - zapytał zdumiony Tas. - Ta ogromna Wieża Wielkiej Magii w Palanthas? Co się z nią stało?

- Nie jestem nawet pewna, czy rzeczywiście wysadził wieżę - stwierdziła Jenna, kontynuując

rozmowę, jakby kendera w ogóle nie było. - Och, wiem, co wszyscy mówią. Rzekomo zniszczył wieżę, bo bał się, że smok Khellendros zagarnie ją i wykorzysta jej magię. Widziałam stertę gruzu, która po niej została. W ruinach znaleziono magiczne artefakty najróżniejszego rodzaju. Kupiłam wiele z nich, aby potem odsprzedać je za pięciokrotnie wyższą cenę. Wiem jednak coś, o czym nigdy nikomu nie mówiłam. Naprawdę wartościowych artefaktów, które przechowywano w wieży, nigdy nie odnaleziono. Przepadły bez śladu. Zwoje i księgi, należące do Raistlina, Fistantilusa i samego Dalamara - one również zniknęły. Postronni sądzili, że uległy zagładzie podczas wybuchu. Jeśli rzeczywiście tak było - ciągnęła ze zjadliwą ironią - musiała to być bardzo wybiórcza eksplozja. Zniszczyła tylko to, co cenne i ważne, pozostawiając niewiele warte błyskotki. Jenna przyjrzała się z namysłem Palinowi.

- Powiedz mi, przyjacielu, czy zabrałbyś to urządzenie do Dalamara, gdybyś miał okazję?

Mężczyzna poruszył się nerwowo.

- Jeśli się nad tym zastanowić, to zapewne nie. Gdyby się dowiedział, że je mam, szybko bym je utracił.

- Czy naprawdę zamierzasz go użyć?

- Nie wiem - odpowiedział wymijająco. - Co o tym sądzisz? Czy to byłoby niebezpieczne?

- Bardzo - odparła.

- Ale kender go używał...

- Jeśli wierzyć jego słowom, użył go w swym własnym czasie - odparła. - To był czas bogów. Obecnie urządzenie znajduje się w naszym czasie. Wiesz równie dobrze jak ja, że magia artefaktów w Czwartej Ery jest z samej swej natury nieobliczalna. Niektóre zachowują się przewidywalnie, a inne fiksują.

- To znaczy, że nie przekonam się, dopóki nie spróbuję - stwierdził Palin. - Jak uważasz, co może się zdarzyć?

- Kto to wie? - Jenna uniosła dłonie, a klejnoty na jej palcach zaśniły. - Sama podróż mogłaby cię zabić. Mógł - byś zostać odcięty w przeszłości, nie mogąc wrócić. Mógłbyś przypadkowo zmienić przeszłość i w ten sposób wymazać teraźniejszość. Mógłbyś wysadzić ten dom i wszystko wokół niego w promieniu dwudziestu mil. Ja bym nie podejmowała takiego ryzyka. Nie na podstawie opowieści kendera.

- Chciałbym wrócić do czasów sprzed Wojny Chaosu. Tylko po to, żeby się rozejrzeć. Być może udałoby mi się znaleźć moment, w którym przeznaczenie zboczyło z właściwego kursu. Wtedy dowiedzielibyśmy się, jak je skierować z powrotem w pierwotne koryto.

Jenna prychnęła pogardliwie.

- Mówisz o czasie, jakby chodziło o wóz ciągnięty przez konia. Całkiem możliwe, że kender po

prostu wymyślił całą tę nedorzeczną opowieść o przyszłości, w której bogowie nas nie opuścili. W końcu jest kenderem.

- Tak, ale niezwykłym. Mój ojciec mu wierzył, a Caramon wiedział co nieco o podróżowaniu w czasie.

- Twój ojciec powiedział też, że kendera i jego urządzenie trzeba dostarczyć do Dalamara - przypomniała mu Jenna.

Palin zmarszczył brwi.

- Uważam, że powinniśmy sami odkryć prawdę - nie ustępował. - Uważam, że warto podjąć ryzyko. Zastanów się, Jenno. Jeśli istnieje inna przyszłość, lepsza przyszłość dla naszego świata, w której bogowie nie odeszli, żadna cena nie będzie zbyt wysoka, aby ją zapłacić.

- Nawet twoje życie? - zapytała.

- Moje życie! - zawołał z goryczą mag. - Cóż ono jest teraz dla mnie warte? Moja żona ma rację. Dawna magia odeszła, a nowa nie żyje. Bez magii jestem nikim!

- Nie wierzę, aby nowa magia umarła - rzekła z powagą Jenna. - Nie sądzę też, by rację mieli ci, którzy mówią, że „wyczerpaliśmy jej zasoby”. Czy można zużyć zasoby wody? Albo powietrza? Magia jest częścią tego świata. Nie mogliśmy jej zużyć.

- W takim razie co się z nią stało? - zapytał niecierpliwie Palin. - Dlaczego nasze zaklęcia nie chcą działać? Dla - czego nawet najprostsze z nich pochłaniają tak wiele energii, że po ich rzuceniu trzeba się na tydzień położyć do łóżka?

- Pamiętasz ten dawny test, któremu poddawali nas w szkołę? - zapytała Jenna. - Ten, w którym kładli na stole jakiś przedmiot i kazali przesuwac go bez użycia rąk. Kiedy uczniowi się udało, umieszczali go na stole ustawionym za ceglany murem. Nagle okazywało się, że zadanie jest znacznie trudniejsze. Jeśli nie widzi się przedmiotu, trudno jest skupić na nim magię. Gdy teraz próbuję rzucić zaklęcie, czuję się tak samo. Jakby coś stało mi na drodze. Coś podobnego do tego ceglaneanego muru. Goldmoon powiedziała mi, że jej uzdrowiciele odnoszą identyczne wrażenie...

- Goldmoon! - zawołał podekscytowany Tas. - Gdzie jest Goldmoon? Jeśli ktoś potrafi to wszystko naprawić, to tylko ona. - Zerwał się na nogi, gotów w każdej chwili pobiec do drzwi. - Ona będzie wiedziała, co zrobić. Gdzie ona jest?

- Goldmoon? Kto mówił o Goldmoon? Co ona ma z tym wspólnego? - Palin łypnął spode łba na keridera. - Siadaj i bądź cicho! Zakłócasz mi tok myśli!

- Naprawdę chciałbym zobaczyć się z Goldmoon - poskarżył się Tas, lecz powiedział to cicho, pod nosem, nie chcąc drażnić Palina.

Mag uniósł ostrożnie urządzenie, obrócił je w dłoni, przyjrzał mu się uważnie i pogłaskał je delikatnie.

- Twoja żona miała rację - stwierdziła Jenna. - Użyjesz urzędnika, prawda, Palinie?

- Tak - potwierdził, zaciskając dłoń na artefakcie.

- Bez względu na to, co ci powiem?

- Bez względu na to, co ktokolwiek powie. - Popatrzył na nią z zawstydzoną miną. - Dziękuję ci za pomoc. Jestem pewien, że moja siostra znajdzie dla ciebie pokój w gospodzie. Zawiadomię ją.

- Naprawdę myślisz, że pozwolę, żeby mnie to ominęło? - zapytała z uśmiechem Jenna.

- To niebezpieczne. Sama mówiłaś...

- W dzisiejszych czasach nawet chodzenie po ulicy jest niebe/pieczne. - Jenna wzruszyła ramionami. - Poza tym, będziesz potrzebował świadka. A przynajmniej kogoś, kto zidentyfikuje ciało - dodała lekkim tonem.

- Jestem ci bardzo wdzięczny - mruknął Palin, po czym zdołał się jednak uśmiechnąć, po raz pierwszy od chwili, gdy spotkał go Tas. Mag zaczerpnął głęboko tchu i wypuścił powoli powietrze z płuc. Dłonie, w których ścisnął urządzenie, zadrżały.

- Kiedy podejmiemy próbę? - zapytał.

- Nie ma na co czekać - odparła z uśmiechem Jenna.

Podróż w przeszłość

- To jest ten wierszyk - wyjaśnił Tasslehoff. - Mam go powtórzyć?

- Nie trzeba, zapamiętałem go - odparł Palin.

- Jesteś pewien? - niepokoił się kender. - Musisz go wyrecytować, żeby wrócić do czasu wyjścia. Chyba że chcesz zabrać mnie ze sobą? - zapytał podekscytowany. - Wtedy ja mógłbym sprowadzić nas z powrotem.

- Jestem pewien, że zapamiętałem zaklęcie - oznajmił stanowczo Palin. Istotnie słowa zostały wypalone w jego umyśle. Miał wrażenie, że widzi przed oczyma ich płonące zarysy.

- I nie zabiorę cię ze sobą. Ktoś musi tu zostać i dotrzymywać towarzystwa pani Jennie.

- I zidentyfikować ciało - dodał Tas, kiwając głową. Usiadł na krześle, kopiąc nerwowo piętami o szczeble. - Przepraszam. Zapomniałem o tym. Zostanę tutaj. Zresztą niedługo wrócisz. Chyba żebyś w ogóle nie wrócił - dodał po chwili namysłu. Odwrócił się i popatrzył na Jenę, która przeniosła swe krzesło do kąta kuchni. - Naprawdę myślisz, że będzie wybuch?

Palin ostentacyjnie ignorował kendera.

- Wypowiem zaklęcie, które uaktywnia urządzenie. Jeśli zadziała, powinienem zniknąć wam z oczu. Jak wspomniał kender, zapewne niedługo wrócę. Nie zamierzam zostać w przeszłości. Wybieram się na pierwszy pogrzeb mojego ojca. Mam nadzieję, że będę mógł tam porozmawiać z Dalamarem. Może pomówię też z sobą samym. - Uśmiechnął się posępnie. - Spróbuję się dowiedzieć, co poszło źle...

- Nie podejmuj żadnych działań, Palinie - ostrzegła go Jenna. - Jeśli dowiesz się czegoś użytecznego, wróć tu, żeby mnie zawiadomić. Będziemy musieli poważnie się zastanowić, zanim cokolwiek zrobimy.

- Jacy „my”? - zapytał Palin, marszcząc brwi.

- Sugeruję zgromadzenie mędrców - wyjaśniła Jenna. - Król elfów Gilthas, jego matka Laurana, Goldmoon, lady Crysania...

- Jeśli wieści o tym, co odkryliśmy, się rozejdą, Beryl zamorduje nas i ukradnie urządzenie, nim wszyscy, których wymieniłaś, zdążą się zgromadzić - zauważył zjadliwym tonem Palin. - Jeśli smoczyca użyje urządzenia, wszyscy będziemy zgubieni.

- Palinie, mówisz o zmianie przeszłości - skarciła go ostro Jenna. - Nie mamy pojęcia, jakie byłyby konsekwencje takiego aktu dla tych, którzy żyją w teraźniejszości.

Mag milczał, rozważając jej słowa.

- Wiem o tym - przyznał po chwili. - Rozumiem. Wrócę i zawiadomię cię, co odkryłem. Musimy jednak być przygotowani do szybkiego działania.

- Zgoda. Jak sądzisz, jak długo będziesz nieobecny?

- Według Tasslehoffa z każdą waszą sekundą dla mnie upłyną setki dni. Oceniam, że moja nieobecność może potrwać godzinę albo dwie naszego czasu.

- Niech szczęście ci sprzyja w twojej podróży - powiedziała cicho Jenna. - Kenderze, chodź tu i stań obok mnie.

Palin wziął w rękę urządzenie i przeszedł na środek kuchni. Klejnoty zalśniły w blasku słońca.

Zamknął oczy. Stał tak przez długą chwilę, skoncentrowany i zatopiony w myślach. Ścisnął w

dłoniach urządzenie. Zachwycalo go, że znowu czuje magię. Zaczal się jej poddawać, pozwolil, aby go pieściła i głaskała. Mroczne lata odpłynęły od niego niczym cofające się morze, odsłaniając czysty, gładki brzeg wspomnień. Przez chwilę Palin znowu czuł się młody i pełen nadziei. Oczy zaszyły mu łzami.

- Trzymając naszyjnik w ręku, powtarzam pierwszą linijkę, zwracając urządzenie awersem do siebie. - Palin wyrecytował pierwsze słowa zaklęcia. - „Twój czas należy do ciebie.” Tak, jak go poinstruowano, obrócił tarczę urządzenia.

- Potem, przy drugiej linijce, przesuwam tarczę z prawej ku lewej. - Przesunął ją we wskazanym kierunku i wyrecytował drugą linijkę: - „Choć podróżujesz przezeń.” Po wypowiedzeniu trzeciej linijki rewers otwiera się, tworząc dwie kule. „Jego przestwór widzisz.” Mag po raz kolejny poruszył urządzeniem i uśmiechnął się usatysfakcjonowany, gdy zadziało zgodnie z przewidywaniami. Nie trzymał już w dłoni błyskotki przypominającej kształtem jajo, lecz coś, co wyglądało jak berło.

- Przy czwartej linijce mam obrócić jego szczyt zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Wypadnie z niego łańcuch.

Palin powtórzył czwarty wers: - „Wirujący w wieczności.” Łańcuch wypadł na zewnątrz, zgodnie z przewidywaniami Tasa. Serce Palina zabiło szybciej z podniecenia. Zaklęcie działało.

- Piąta linijka ostrzega mnie, abym się upewnił, że łańcuch nie zaplątał się w mechanizm. Szósta poucza, żebym ujął urządzenie za obie kule i obrócił je naprzód, recytując siódmą. Łańcuch owinie się wokół korpusu artefaktu. Trzymam urządzenie nad głową, powtarzając ostatnią linijkę, i przywołuję wyraźną wizję miejsca i czasu, w których pragnę się znaleźć.

Palin zaczerpnął głęboko tchu. Manipulując urządzeniem zgodnie ze wskazówkami, wyrecytował resztę zaklęcia: - „Nie zakłócaj jego biegu. Chwyć mocno koniec i początek. Obróć je wspak do siebie, a wszystko, co jest luźne, utrwali się. Przeznaczenie będzie nad twą głową.” Uniósł urządzenie wysoko nad głowę i przywołał wizję Wojny Chaosu oraz swego w niej udziału. Swego i Tasse - Hoffa.

Palin zamknął oczy, skupił się na tej wizji i oddał magii, swej długoletniej kochance. Okazała się mu wierna.

Podłoga kuchni wydłużyła się, unosząc się w górę niczym zwój. Sufit wśliznął się pod nią, naczynia na półkach stopiły się i spłynęły ze ścian, te połączyły się z podłogą i sufitem, tworząc razem ogromną spiralę, która wessała dom, a potem otaczający go las. Palina otoczyły drzewa i trawa, a potem błękitne niebo. Kula, w której środku stał, zaczęła wirować, coraz szybciej i szybciej.

Czuł pod nogami podłogę. Był zawieszony w centrum wirującego kalejdoskopu miejsc, osób i wydarzeń. Jenna i Tas przemknęli obok niego, a potem zniknęli. On poruszał się bardzo powoli, lecz ci, którzy go otaczali, byli niewiarygodnie szybcy. A może to on mknął w przeszłość, a oni poruszali się tak ospale, jakby chodzili pod wodą.

Widział lasy i góry, wioski i miasta, ocean i pływające po nim statki, a wszystko to tworzyło razem wielką kulę, w środku której się unosił.

Spirala zaczęła się kurczyć. Wirowała coraz wolniej... coraz wyraźniej dostrzegał osoby i przedmioty...

Widział Chaos, Ojca Wszystkiego i Niczego, przerażającego olbrzyma o płomiennej brodzie i włosach, wyższego niż najwyższa góra. Czubek jego głowy ocierał się o wieczność, a stopy sięgały najgłębszych części Otchłani. Chaos właśnie opuścił nogę, zapewne zabijając Tasslehoffa, lecz jednocześnie sam sobie zadał śmiertelny cios, gdyż Usha zdołała uwięzić kropelkę jego krwi w Klejnocie Chaosu, co pozwoliło go przegnać.

Wirowanie nie ustawało, niosąc Palina dalej w przeszłość aż do...

Ciemności. Nieprzeniknionej czerni. Mroku tak głębokiego i nieprzeniknionego, że czarodziej przestraszył się, iż oślepl. Potem ujrzał za plecami światło, blask ognia.

Obejrzał się na ogień, po czym popatrzył w przód, w ciemność. W nicość.

Porażony paniką, zacisnął powieki.

- Idź dalej, poza Wojnę Chaosu! - rozkazał urządzeniu, dusząc się ze strachu. - Do mojego dzieciństwa! Do dzieciństwa mojego ojca! Do Istar! Do czasów króla kapłana! Do czasów Humy! Do... do...

Otworzył oczy.

Ciemność, pustka, nicość.

Postąpił kolejny krok i zdał sobie sprawę, że był to o jeden krok za daleko. Spadał w przepaść.

Krzyczał, lecz z jego gardła nie wydobywały się żadne dźwięki. Unosił je ze sobą wiatr czasu. Czuł nieprzyjemne wrażenie spadania, jakie miewa się podczas snu. Dręczyły go mdłości. Po skórze spływał mu zimny pot. Rozpaczliwie próbował się obudzić, ale nagle ogarnęła go straszliwa świadomość, że przebudzenia już nie będzie.

Zawładnął nim paralizujący strach. Spadał i spadał, i miał spadać bez końca w mroczną studnię czasu.

Pustą studnię czasu.

Ponieważ Tasslehoff zawsze sam używał urządzenia do podróżowania w czasie, nigdy nie widział, co się dzieje z jego użytkownikiem. Zawsze szczerze tego żałował, a raz nawet próbował cofnąć się w czasie, by zobaczyć siebie w akcji, ale nic z tego nie wyszło. Dlatego bardzo się ucieszył, że może zobaczyć, jak Palin używa urządzenia i był oczarowany, gdy mag zniknął mu z oczu.

Wszystko to było bardzo ciekawe i ekscytujące, ale trwało tylko parę chwil. Potem Palin

zniknął, a Tasslehoff i Jenna zostali sami w kuchni domu rodziny Majere.

- Nie wylecieliśmy w powietrze - zauważył Tas.

- To prawda, nie wylecieliśmy - zgodziła się Jenna. Jesteś rozczarowany?

- Odrobinę. Nigdy jeszcze nie widziałem, jak coś wylatuje w powietrze, pomijając ten moment, kiedy Fizban próbował ugotować jajko. Skoro już mowa o jajkach, to może byśmy coś zjedli, zanim Palin wróci? Mógłbym podgrzać trochę owsianki.

Tas uważał, że pod nieobecność Ushy i Palina to on powinien pełnić obowiązki gospodarza.

___ Dziękuję - odpowiedziała Jenna. Spojrzała na resztki wystygłej owsianki w garnku i skrzywiła się lekko. - Chyba nie jestem głodna. Ale gdybyś znalazł trochę brandy, to chętnie bym się napiła...

Nagle zmaterializował się Palin. Był rozczochrany, twarz miał popielatą, a ręka, w której trzymał urządzenie, drżała tak mocno, że omal go nie wypuścił.

- Palinie! - zawołała Jenna. Zerwała się z krzesła, zdumiona i skonsternowana. - Jesteś ranny?

Gapił się na kobietę jak szaleniec, nie poznając jej. Potem zadrzał i westchnął głęboko z ulgą. Zachwiał się na nogach i omal się nie przewrócił. Ręka osunęła mu się bezwładnie. Urządzenie upadło na podłogę i odbiło się od niej, błyskając klejnotami. Tas popędził za nim i złapał je, nim wpadło do pieca.

- Palinie, co się stało? - Jenna podbiegła do maga. Co ci jest? Tas, pomóż mi!

Palin zaczął się osuwać na podłogę. Tas i Jenna wspólnymi siłami posadzili go na niej.

- Idź po koce - rozkazała kenderowi Jenna. Tasslehoff wypadł z kuchni, zatrzymując się tylko na moment, aby wsadzić urządzenie do kieszeni. Po chwili wrócił, uginając się pod ciężarem kilku koców, trzech poduszek oraz puchowego materaca, który ściągnął z łóżka pana domu.

Mag leżał na podłodze. Oczy miał zamknięte. Wydawał się zbyt słaby, by się poruszyć czy cokolwiek powiedzieć. Jenna sprawdziła mu puls i przekonała się, że jego serce wali jak szalone. Oddychał płytko i chrapliwie, a temperatura jego ciała spadała wyraźnie. Dygotał tak mocno, że aż dzwonił zębami. Jenna owinęła go mocno dwoma kocami.

- Palinie! - zawołała nerwowo. Rozchylił powieki i popatrzył na nią.

- Ciemność. Wszędzie ciemność.

- Palinie, co to znaczy? Co widziałeś w przeszłości?

Złapał Jennę za rękę, mocno i boleśnie. Uczepił się jej, jakby unosił go rwący nurt i tylko ona mogła go uratować.

- Nie ma przeszłości! - wyszeptał pobladłymi ustami i znowu osunął się na podłogę. - Ciemność - powtórzył. Tylko ciemność.

Jenna przykucnęła obok niego, marszcząc w zafrasowaniu brwi.

- To nie ma sensu. Daj brandy - poleciła Tasowi. Przystawiła butelkę do ust Palina. Mag wypił mały łyk trunku i jego policzki zaróżowiły się nieco. Drżenie ustąpiło. Jenna również pociągnęła łyk, po czym podała butelkę kenderowi. Tas także się poczęstował, tylko dla towarzystwa.

- Postaw ją na stole - rozkazała Jenna.

Kender wyjął butelkę z kieszeni, pociągnął dla towarzystwa jeszcze kilka łyków, a potem wykonał polecenie. Popatrzył z troską na Palina, dręczony wyrzutami sumienia.

- Co się stało? Czy to moja wina? Jeśli tak, to nie chciałem tego zrobić.

Palin otworzył szeroko oczy.

- To twoja wina! - wrzasnął ochryple. Usiadł nagle, zrzucając z siebie koce. - Tak jest, to twoja wina!

- Palinie, uspokój się - poprosiła zaniepokojona Jenna. - Bo znowu poczujesz się gorzej. Powiedz mi, co widziałeś.

- Powiem ci, co widziałem, Jenno - zgodził się Palin bezbarwnym głosem. - Nie widziałem nic. Nic!

- Nie rozumiem - odparła Jenna.

- Ja też nie. - Palin westchnął ciężko i skupił się, próbując uporządkować myśli. - Kiedy cofałem się w czasie, jego panorama przesuwawała mi się przed oczyma niczym ogromny pergamin. Widziałem wszystko, co się wydarzyło w Piątej Erze. Przybycie wielkich smoków. Smoczą czystkę. Budowę Cytadeli. Otoczenie tarczą Silvanesti. Dedykację Grobowca Ostatnich Bohaterów. A na koniec klęskę Chaosu. To od tego momentu wszystko się kończy. Albo zaczyna.

- Kończy? Zaczyna? - powtórzyła zbita z tropu Jenna.

Przecież to niemożliwe, Palinie. A co z Czwartą Erą? Z Wojną Lancy? Z Katakлизmem?

___ Zniknęły. Wszystko to zniknęło. Stałem pośród eteru i obserwowałem walkę z Chaosem, ale gdy spróbowałem zajrzeć dalej w przeszłość, zobaczyłem jedynie ciemność. Postąpiłem krok i... - Zadrżał. - Wpadłem w otchłań. W pustkę której nigdy nie rozświetlało żadne światło. Wieczną, nieprzeniknioną ciemność. Wydawało mi się, że spadam przez stulecia i będę tak spadał, aż nadejdzie śmierć, a potem mój trup będzie spadał dalej...

___ Jeśli to prawda, to co to znaczy? - zastanowiła się Jenna.

- Powiem ci, co to znaczy - rzekł ochryple Palin. Wskazał na Tasslehoffa. - To wszystko jego wina. Wszystko, co się wydarzyło, jest jego winą.

- Dlaczego? Co on ma z tym wspólnego?

- Dlatego, że nie zginął! - wysyczał Palin przez zaciśnięte zęby. - Zmienił czas dlatego, że uniknął śmierci! Przyszłość, którą widział za pierwszym razem, wydarzyła się dlatego, że zginął i dzięki jego śmierci byliśmy w stanie pokonać Chaos. Ale on nie zginął! Nie pokonaliśmy Chaosu. Ojciec Wszystkiego i Niczego wygnał swoje dzieci, bogów, i w rezultacie otrzymaliśmy czterdzieści lat śmierci i zaburzeń!

Jenna spojrzała na Tasa. Palin również na niego patrzył, tak jakby wyrosła mu nie jedna, lecz cztery dodatkowe głowy, a do tego skrzydła i ogon.

- Napijmy się jeszcze po łyku brandy - zasugerował kender, szybko idąc za własną radą. - Lepiej się od tego poczujemy. Rozjaśni się nam w głowach - dodał z naciskiem.

- Niewykluczone, że masz rację - przyznała z namysłem Jenna.

- Wiem, że ją mam! - zapewnił mag z zawziętością.

- A wszyscy wiemy, że dwie prawdy równają się błędowi - zauważył Tas. - Czy ktoś chciałby owsianki?

- Jak inaczej można to wyjaśnić? - ciągnął Palin, ignorując kendera.

- Nie jestem pewien - odparł Tas, cofając się kilka kroków w stronę drzwi - ale jeśli dasz mi trochę czasu, na pewno wykombinuję kilka wytłumaczeń.

Palin zrzucił z siebie koc i wstał z podłogi.

- Musimy wysłać Tasa na śmierć.

- Palinie, nie jestem pewna... - zaczęła Jenna, ale mag jej nie słuchał.

- Gdzie jest urządzenie? - zapytał rozgorączkowanym tonem. - Co się z nim stało?

- Co prawda obiecałem Fizbanowi, że cofnę się w czasie i pozwolę, żeby olbrzym mnie rozdeptał - odezwał się Tas - ale im bardziej się nad tym zastanawiam, tym mniej mi się uśmiecha ta perspektywa. Choć rozdeptanie przez olbrzyma byłoby bardzo interesujące, potrwałoby najwyżej kilka sekund, a potem byłbym trupem, tak jak powiedziałaś.

Kender uderzył plecami o drzwi kuchni.

- A chociaż nigdy nie byłem trupem - kontynuował - widziałem już wielu takich, którzy nimi byli i muszę przyznać, że to chyba najmniej interesująca rzecz, która może się komuś przytrafić.

- Gdzie jest urządzenie? - powtórzył Palin.

- Potoczyło się do popiołu! - krzyknął Tas, wskazując na piec. Pociągnął kolejny łyk brandy.

- Poszukam go - zaproponowała Jenna. Wzięła w rękę pogrzebacz i zaczęła grzebać w popiele. Palin zaglądał jej przez ramię.

- Musimy je znaleźć!

Tasslehoff wsadził rękę do kieszeni, dotknął urządzenia do podróżowania w czasie i zaczął je obracać w przepisany sposób, jednocześnie recytując wierszyk pod nosem.

- „Twój czas należy do ciebie, choć podróżujesz przezeń...” - Jesteś pewien, że tam wpadło, Tas? - zapytała Jenna. - Nie widzę tu nic oprócz popiołów...

Kender mówił coraz szybciej, pośpiesznie poruszając zręcznymi palcami.

__ „Wirujący w wieczności. Nie zakłócaj jego biegu” wyszeptał.

A teraz najtrudniejsza część.

Palin uniósł nagle głowę. Odwrócił się i skoczył w stronę kendera.

Tas wyciągnął urządzenie z kieszeni i podniósł je wysoko.

__ Przeznaczenie będzie nad twą głową! - zawołał. Gdy czas zwinął w spiralę kuchnię, butelkę brandy i samego kendera, Tas zdał sobie z zadowoleniem sprawę, że to była bardzo trafna uwaga.

- Mały spryciarz - mruknęła Jenna, spoglądając na puste miejsce na podłodze, gdzie przed chwilą stał kender. Cały czas miał urządzenie w kieszeni.

- Bogowie! - wydyszał Palin. - Co ja zrobiłem?

- O ile się nie mylę, śmiertelnie go przestraszyłeś - odpowiedziała Jenna. - A to spore osiągnięcie, biorąc pod uwagę, że jest kenderem. Nie mam do niego pretensji - dodała, energicznie wycierając w ręcznik brudne od sadzy dłonie. Gdybyś na mnie tak krzyczał, też bym uciekła.

- Nie jestem potworem - warknął poirytowany Palin - Boję się! I nie wstydzę się do tego przyznać. - Położył dłoń na sercu. - Strach jest tutaj, gorszy niż wszystko, czego zaznałem w życiu, nawet w mrocznych dniach niewoli. Ze światem stało się coś dziwnego i strasznego, Jenno, a ja tego nie rozumiem! - Zacisnął dłonie w pięści. - Jestem pewien, że to wszystko wina kendera!

- Jeśli tak, to lepiej go znajdziemy - zauważyła rozsądnie Jenna. - Jak sądzisz, dokąd się udał? Chyba nie cofnął się w przeszłość?

- Jeśli to zrobił, to nigdy go nie odnajdziemy. Ale nie sądzę. - Palin zastanowił się przez chwilę. - Nie cofnął się, bo wtedy wylądowałby tam, gdzie nie chciał się znaleźć i natychmiast by

zginął. Sądzę, że nadal przebywa w terażniejszości. Dokąd mógł się w takim razie udać?

- Do kogoś, kto go przed tobą obroni - odparła bez ogródek Jenna.

- Do Goldmoon - stwierdził Palin. - Na parę chwil przed zniknięciem mówił, że chce się z nią zobaczyć. Albo do Laurany. Ale z Lauraną już się widział. Znajac Tasa, będzie wolał poszukać nowej przygody. Wyruszę do Cytadeli Światła. Uważam, że i tak powinienem porozmawiać z Goldmoon o tym, co zobaczyłem.

- Pożyczę ci jeden ze swoich magicznych pierścieni, żebyś szybciej się tam dostał - zaoferowała Jenna, ściągając pierścień z palca. - Wyślę również wiadomość do Laurany, prosząc ją, żeby zatrzymała kendera, gdyby pojawił się pod jej drzwiami.

Palin przyjął pierścień.

- Ostrzeż ją też, żeby uważała na wszystko, co mówi i robi - dodał z zatroskaną miną. - Podejrzewam, że w jej domu jest zdrajca. Albo to, albo Rycerze Neraki znaleźli jakiś sposób, aby ją szpiegować. Czy... - Przerwał i przełknął ślinę. - Czy zajrzysz do gospody i powiesz mojej żonie... powiesz...

- Powiem jej, że nie jesteś potworem - stwierdziła Jenna, głaszcząc go z uśmiechem po ramieniu. Przyjrzała mu się uważnie, marszcząc niespokojnie brwi. - Jesteś pewien, że wystarczy ci sił?

- Nie jestem ranny. Przeżyłem tylko szok. Nie mogę powiedzieć, żeby mi mijał, ale dam sobie radę. - Popatrzył z zainteresowaniem na pierścień. - Jak on działa?

- Teraz już nie za dobrze - odparła z przekąsem Jenna. - Będziesz potrzebował dwóch albo trzech skoków, żeby dotrzeć na miejsce. Włóż pierścień na środkowy palec lewej ręki. Wystarczy - dodała, widząc, że Palin usiłuje przepchnąć pierścień przez obrzękły staw. - Teraz połóż na nim prawą dłoń i przywołaj wizję miejsca, w którym pragniesz się znaleźć. Zatrzymaj ją w umyśle i wyobrażaj sobie wciąż na nowo. Swoją drogą, będę chciała dostać ten pierścień z powrotem.

- Oczywiście - uśmiechnął się do niej blado. - Do wi - dzenia, Jenno. Dziękuję za pomoc. Jeśli czegoś się dowiem, natychmiast cię zawiadomię.

Położył dłoń na pierścieniu i wyobraził sobie kryształowe, tęczowe kopuły Cytadeli Światła.

___ Palinie - odezwała się nagle Jenna. - Nie byłam z tobą do końca szczerą. Być może wiem, gdzie znaleźć Dala - mara.

- To bardzo dobrze - odparł mag. - Mój ojciec miał rację. Potrzebujemy go.

Labirynt żywoplotów

Gnom zabłądził w labiryncie żywoplotów.

Nie było w tym nic niezwykłego. Błąd/ił w nim bardzo często. W gruncie rzeczy, gdy tylko ktoś w Cytadeli Światła chciał czegoś od gнома (co zdarzało się dość rzadko) i pytał, gdzie można go znaleźć, zawsze odpowiadano mu: „zabłądził w labiryncie żywopłotów”.

Gnom nie wałęsał się po labiryncie bez celu. Codziennie sprowadzał go tu określony cel, zadanie sporządzenia mapy labiryntu. Gnom był członkiem Cechu ZagadekSzaradEnigmRebusówLogogryfówMonogramówAnagramówAkrostychówKrzyżówekLabiryntaKobiecej LogikiorazPolityków, znanego w skrócie jako P3, i jako taki wiedział z całą pewnością, że jeśli uda mu się sporządzić mapę labiryntu, znajdzie w niej klucz do Wielkich Tajemnic Życia, takich jak: Dlaczego Jeśli Pierzesz Dwie Skarpetki Zawsze Potem Zostaje Ci Tylko Jedna?, Czy Istnieje Życie Po Śmierci? i Gdzie Się Podziała Druga Skarpetka? Gnom był przekonany, że znalezienie odpowiedzi na to drugie pytanie pozwoli mu odpowiedzieć również na trzecie.

Mistycy z Cytadeli na próżno próbowali mu wytłumaczyć, że to jest magiczny labirynt. Ci, którzy wchodzili do niego smutni i zatroskani, zapominali o przygnębieniu, a z serc spadał im ciężar. Tym, którzy szukali spokoju i samotności, nikt nie przeszkadzał, bez względu na to, jak wiele osób jedno - cześnie chodziło wonnymi korytarzami. Ci, którzy przychodzili tu w poszukiwaniu rozwiązania problemu, przekonywali się, że ich myśli się skupiają, a z głów znikają odwracające uwagę błahostki. Ci, których przywiodła tu mistyczna podróż do Srebrnych Schodów, znajdujących się w sercu labiryntu, nie musieli wędrować przez otoczone krzewami ścieżki, lecz przez labirynt swego serca.

Ci, którzy wchodzili do labiryntu ze stanowczym postanowieniem sporządzenia jego mapy, zdefiniowania go w kategoriach określonej liczby rzędów, zakrętów w lewo i w prawo, szerokości i długości geograficznych, stopni kątowych, promieni i średnic, przekonywali się, że w tym miejscu matematyka nie ma zastosowania. Labirynt zmieniał kształt pod wpływem kompasu, uciekał spod linijki, opierał się wszelkim obliczeniom.

Gnom, którego imię (w skróconej wersji) brzmiało Zgadywanka, nie chciał tego słuchać. Przychodził do labiryntu codziennie, przekonany, że to właśnie dziś rozwiąże zagadkę, wykona swe życiowe zadanie i narysuje pełną mapę labiryntu żywopłotów, której kopie będzie następnie sprzedawał turystom.

Z jednym gęsim piórem zatkniętym za ucho, a drugim wpiętym w szatę, które wyglądało, jakby ktoś próbował go nim przebić, gnom wchodził rano do labiryntu i pracował intensywnie aż do zmierzchu. Liczył swe kroki i mierzył ich długość, zapisywał wysokość żywopłotu w punkcie A, odkrywał, w którym miejscu punkt A zlewa się z punktem B, a następnie zalewał go pot i inkaust. Pod koniec dnia wychodził z labiryntu, promieniejąc dumą, z włosami i brodą pełną kawałków żywopłotu, i pokazywał każdemu nieszczęśnikowi, którego udało mu się złapać, pełną plam od potu i inkaustu mapę labiryntu, nad którą pracował.

Całą noc poświęcał na sporządzenie kopii, która musiała być absolutnie dokładna, co do najdrobniejszej gałązki. Następnego ranka zabierał mapę do labiryntu i natychmiast gubił w nim drogę. Około południa udawało mu się ją znaleźć, co pozwalało do wieczora wykreślić nową mapę... i tak dalej. Trwało to już około roku.

Tego dnia Zgadywanka zdołał już pokonać mniej więcej połowę drogi. Opadł na kolana, z taśmą mierniczą w dłoniach, aby zmierzyć kąt kolejnego zygzaka, gdy nagle zauważył, że drogę blokuje mu czyjaś stopa. Była obuta, a gdy gnom podniósł wzrok, przekonał się, że jej właścicielem jest kender.

- Wybacz - odezwał się intruz - ale zgubiłem drogę i zastanawiałem się, czy...

- Zgubiłeś drogę?... Zgubiłeś! - Zgadywanka podniósł się z wysiłkiem, przewracając kałamarz. Na trawiastej ścieżce pojawiła się wielka fioletowa plama. Gnom wybuchnął płaczem i zarzucił kenderowi ręce na szyję. - To wspaniale! Jakże się cieszę! Nie masz pojęcia, jak się cieszę!

- Spokojnie, spokojnie - rzekł kender, głaszcząc gnoma po plecach. - Nie wiem, co ci się stało, ale jestem pewien, że wszystko będzie dobrze. Masz chusteczkę? Proszę bardzo, pożyczę ci swoją. Właściwie to chusteczka Palina, ale nie sądzę, aby miał coś przeciwko temu.

- Dziękuję - powiedział gnom, wydmuchując nos. Gnomowie zazwyczaj mówią bardzo szybko i słowa zlewają się w ich ustach w jeden ciąg. Są przekonani, że jeśli prędko nie dotrą do końca zdania, mogą do niego nie dotrzeć w ogóle. Zgadywanka jednak długo już żył między ludźmi i nauczył się ich powolnej mowy. Mówił teraz z wielkim wysiłkiem i co chwila się zacinał, wskutek czego inni gnomowie, z którymi się spotykał, uważali go za nieco przygłupiego.

- Przepraszam, że tak się rozkleiłem. - Gnom pociągnął nosem. - To dlatego, że pracowałem tu bardzo długo i do tej pory nikt nie był na tyle uprzejmy, żeby się zgubić...

Znowu się rozplakał.

- Cieszę się, że sprawiłem ci przyjemność - powiedział pośpiesznie kender. - Skoro już się zgubiłem, to zadałem sobie pytanie, czy mógłbyś mi pokazać drogę wyjścia. Rozumiesz, przed chwilą dotarłem tu za pomocą magicznych metod... - kender był z tego niesłychanie dumny i powtórzył tę ^ informację po raz drugi, aby się upewnić, że zaimponował gnomowi - ...magicznych metod, które muszą pozostać tajemnicą. W przeciwnym razie bym ci o nich opowiedział. Tak czy inaczej, mam bardzo pilną sprawę do Goldmoon. Mam wrażenie, że ona gdzieś tu jest, bo myślałem o niej bardzo intensywnie w chwili, gdy magia zadziałała. Swoją drogą, nazywam się Tasslehoff Burrfoot.

__ Zgadywanka Pasjans - odpowiedział gnom. Uścisnęli sobie dłonie, po czym Tas dokończył dzieła zniszczenia chusteczki Palina, ocierając nią ze swych dłoni inkaust.

- Mogę ci pokazać drogę wyjścia! - zaoferował się podekscytowany gnom. - Zobacz, narysowałem mapę.

Zgadywanka dumnym, zamaszystym gestem pokazał mapę lasowi. Została ona wyrysowana na wielkiej karcie papieru i leżała rozłożona na ścieżce między dwoma żywopłotami, zachodząc lekko na krzaki. Przerastała rozmiarami gnoma, który był niewysoki, oczy zachodziły mu łzami i uśmiechał się półgębkiem. Miał ciemnobrązową cerę i długą, kosmatą brodę, która zapewne była biała, lecz w tej chwili pokrywały ją fioletowe plamy, prawdopodobnie dlatego, że gnom zawsze moczył ją w inkauscie, gdy, wsparty na rękach i kolanach, pochylał się nad mapą.

Ta wydawała się bardzo skomplikowana, pełna krzyżyków, strzałek, oraz napisów „Nie Wchodzić”, „Tu Skręcić W Lewo” i tym podobnych, nabazgranych na niej w mowie powszechnej. Tasslehoff przyjrzał się mapie. Gdy podniósł wzrok, zobaczył koniec ścieżki, na której stali. Widać tam było blask słońca odbijający się tęczowo w kilku bardzo pięknych kryształowych kopułach. Dwa złote smoki tworzyły łuk ogromnej bramy. Było tam zielono i wszędzie wokół rosły kwiaty. Po terenie chodziły odziane w białe szaty postacie, które rozmawiały ze sobą cichymi głosami.

- Och, to na pewno droga do wyjścia! - zawołał Tasslehoff. - Ale i tak ci dziękuję.

Gnom podniósł wzrok znad mapy i ujrzał przed sobą coś, co z całą pewnością było wyjściem z labiryntu żywopłotów.

- Niech to szlag - warknął i zaczął deptać mapę.

- Okropnie mi przykro - zapewnił Tas, dręczony wyrzutami sumienia. - To była naprawdę ładna mapa.

- Ha!

Zgadywanka nie przestawał skakać po mapie.

- Wybacz mi, ale muszę już iść - ciągnął Tasslehoff, przesuwając się ukradkiem w stronę wyjścia. - Jak już porozmawiam z Goldmoon, chętnie tu wrócę i znowu się zgubię, jeśli to ci w czymś pomoże.

- E tam! - krzyknął gnom, ze złością wkopując kałamarz w żywopłot.

Gdy Tasslehoff widział go po raz ostatni, Zgadywanka stał u wejścia do labiryntu żywopłotów i mierzył taśmą długość własnej stopy, co miało mu pomóc w określeniu dokładnej odległości między pierwszym a drugim zakrętem.

Tas szedł przez dłuższy czas, zostawiając labirynt daleko za sobą. Chciał już wejść do pięknego budynku z błyszczącego kryształu, gdy usłyszał za sobą kroki i na ramię opadła mu czyjaś dłoń.

- Co cię sprowadza do Cytadeli Światła, kenderze? zapytał ktoś w mowie powszechnej.

- Do czego? - zdziwił się Tas. - Ach tak, oczywiście. Był przyzwyczajony, że na ramię opada mu ciężka ręka sprawiedliwości, nie zdziwił się więc, gdy zobaczył, że zatrzymała go młoda, wysoka kobieta o surowym spojrzeniu. Nieznajoma miała hełm ze srebrnej kolczugi i pasującą do niego kolczącą zbroję, która lśniła w promieniach słońca. Nosiła też długą opończę z symbolem słońca, a do pasa miała przytroczony miecz w srebrnej pochwie.

- Przybyłem zobaczyć się z Goldmoon, pani - wyjaśnił uprzejmie Tas. - To pilna sprawa. Bardzo pilna. Gdybyś mogła mi wskazać drogę...

- Co się dzieje, strażniczko? - zapytał drugi głos. - Jakies kłopoty?

Tasslehoff odwrócił głowę i zobaczył drugą zakutą w zbroję kobietę. Tym razem jednak była to zbroja rycerza solam - nijskiego. Po obu bokach nieznanym szli dwaj rycerze so - lamnijscy.

__ Nie jestem pewna, lady Camillo - odpowiedziała strażniczka, salutując nowo przybyłej. - Ten kender chce się zobaczyć z Goldmoon.

Obie kobiety wymieniły spojrzenia. Tas odniósł wrażenie, że przez twarz rycerki przemknął cień.

- A czego kender może chcieć od Pierwszego Mistrza?

- Od kogo? - zdziwił się Tas.

- Od Pierwszego Mistrza Goldmoon.

- Jestem jej starym przyjacielem - odparł Tasslehoff, wyciągając rękę. - Nazywam się... - Przerwał. Miał już serdecznie dość tego, że wszyscy gapią się na niego dziwnie, gdy tylko się im przedstawia. Cofnął rękę. - To nieważne. Gdybyście mogli mi powiedzieć, gdzie znaleźć Goldmoon...

Żadna z kobiet nie odpowiedziała, lecz Tas, który przyglądał się im uważnie, zauważył, że rycerka zerknęła w stronę największej z kryształowych kopuł. Natychmiast się domyślił, że tam właśnie powinien się udać.

- Obie wyglądacie na bardzo zajęte - stwierdził, oddalając się ukradkiem. - Przepraszam, że zwracałem wam głowę. Wybaczcie mi...

Rzucił się do ucieczki.

- Czy mam go gonić, pani? - zapytała strażniczka rycerkę.

- Nie, zostaw go - odpowiedziała lady Camilla. Pierwszy Mistrz ma słabość do kenderów.

- Ale on może zakłócić jej samotność.

- Gdyby to zrobił, dałabym mu trzydzieści sztuk stali - odparła lady Camilla.

Rycerka liczyła sobie pięćdziesiąt lat. Była przystojną kobietą, zdrową i krzepką, choć jej czarne włosy upstrzyły już srebrne nitki. Spojrzenie miała surowe, a jej twarz wyrażała praktyczny stoicyzm. Lady Camilla nie sprawiała wrażenia osoby, która łatwo ulegałaby emocjom. Mimo to Tas usłyszał, jak westchnęła.

Kender dotarł do drzwi kryształowej kopuły i zatrzymał się, przekonany, że zaraz zjawi się ktoś, kto mu powie, że nie powinien tu przebywać. Nadeszli dwaj obleczeni w białe szaty mężczyźni, lecz uśmiechnęli się tylko i życzyli mu dobrego wieczoru.

- Nawzajem, panowie - odparł z ukłonem Tas. - Swoją drogą, chyba się zgubiłem. Co to za

budynek?

- Wielkie Audytorium - wyjaśnił jeden z nich.

- Aha - odpowiedział Tas z mądrą miną, choć nie miał pojęcia, co to jest audytorium. - Bardzo się cieszę, że je znalazłem. Dziękuję.

Kender pożegnał się z mężczyznami i wszedł do Wielkiego Audytorium. Po dokładnej eksploracji otoczenia, w skład której wchodziło otwieranie drzwi i przerywanie wykładów, zadawanie niezliczonych pytań oraz podsłuchiwanie prywatnych rozmów, dowiedział się, że znalazł się w Wielkiej Sali, popularnym miejscu spotkań dla tych, którzy mieszkali, pracowali i uczyli się w Cytadeli Światła.

Było popołudnie, w sali panował więc względny spokój. Widać było tylko garstkę czytających oraz niewielkie grupki osób pograżonych w rozmowie. Po zapadnięciu zmroku w Wielkiej Sali robiło się tłoczno, gdyż służyła ona jako jadalnia dla całej Cytadeli. Wszyscy - nauczyciele i uczniowie - zbierali się tu na wieczorny posiłek.

Wszystkie pomieszczenia znajdujące się pod kryształową kopułą wydawały się rozświetlone słonecznym blaskiem. Stało tu wiele wygodnych krzeseł, a u końca ogromnej sali ustawiono długie, drewniane stoły. Ze znajdującej się piętro niżej kuchni napływała woń pieczonego chleba. Sale recepcyjne umieszczono na przeciwległym krańcu kopuły. Niektóre z nich zajmowali nauczyciele z uczniami.

Tasslehoff nie miał trudności ze zdobyciem informacji o Goldmoon. Wszystkie rozmowy, które podsłuchał, i połowa tych, które przerwał, dotyczyły wielkiego mistrza. Wyglądało na to, że wszyscy bardzo się o nią niepokoją.

- Nie potrafię uwierzyć, że mistrzowie pozwalają, żeby to trwało tak długo - tłumaczyła jedna kobieta drugiej. - Żeby Pierwszy Mistrz siedziała zamknięta w swoim pokoju! Może jej coś grozić. Może być chora.

__ Czy nikt nie próbował z nią rozmawiać?

__ Pewnie, że próbowaliśmy! - mówiąc to potrząsnęła z irytacją głową. - Wszyscy się o nią niepokoiśmy. Od nocy burzy nie chce nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać, nawet z najbliższymi przyjaciółmi. Nocą zostawiamy pod drzwiami tacę z jedzeniem i pićciem. Rankiem zawsze jest pusta. Goldmoon zostawia na niej list, w którym zapewnia, że nic jej nie jest i błaga, żebyśmy szanowali jej prywatność i nie przeszkadzali jej.

- Nie będę jej przeszkadzał - powiedział sobie Tasslehoff. - Opowiem jej przedziutko, co się wydarzyło, a zaraz potem sobie pójdę.

- Co mamy zrobić? - ciągnęła kobieta. - Wszyscy się zgadzamy, że to jej pismo.

- To niczego nie dowodzi. Może być więźniem. Niewykluczone, że pisze te listy pod przymusem, zwłaszcza jeśli obawia się, iż może ściągnąć nieszczęście na całą Cytadelę.

- Ale jaki miałyby być tego motyw? Gdyby wzięto ją jako zakładniczkę, spodziewalibyśmy się, że porywacze zażądają okupu albo postawią jakieś inne żądania w zamian za jej uwolnienie. Ale nikt niczego się od nas nie domaga. Nie zaatakowano nas. Na wyspie panuje spokój, o ile to w ogóle możliwe w tych mrocznych czasach. Do naszego portu zawijają statki. Codziennie napływają nowi uchodźcy. Nasze życie toczy się tak samo, jak zawsze.

- A co ze srebrnym smokiem? - zapytała druga kobieta. - Zwierciadło jest jednym ze strażników wyspy Schallsea i Cytadeli Światła. Smok włada magią i pewnie mógłby sprawdzić, czy Pierwszemu Mistrzowi nie stało się nic złego.

- Z pewnością mógłby to zrobić, ale Zwierciadło również zniknął - odparła z bezradnością w głosie jej przyjaciółka. - Odleciał w chwili, gdy burza srożyła się najsilniej i nikt go już więcej nie widział.

- Znałem kiedyś srebrną smoczycę - wtrącił się do roz - mowy Tas. - Miała na imię Silvara... Nie mogłem nie usłyszeć, że mówicie o Goldmoon. Jest moją bardzo bliską przyjaciółką i okropnie się o nią niepokoję. Czy mogłybyście mi powiedzieć, gdzie są jej pokoje?

- Na samej górze. U szczytu tych schodów - odpowiedziała jedna z kobiet.

- Dziękuję - rzekł Tas i zwrócił się w tamtą stronę.

- Ale nikomu nie wolno tam wchodzić - ostrzegła go poważnym tonem kobieta.

Tas znowu się odwrócił.

- Och. Oczywiście. Dziękuję.

Obie kobiety oddaliły się, kontynuując rozmowę. Tasslehoff pokręcił się jeszcze chwilę po okolicy, podziwiając wielką statwę srebrnego smoka, która stała na honorowym miejscu pośrodku sali. Gdy kobiety odeszły, kender rozejrzał się wokół. Upewniwszy się, że nikt na niego nie patrzy, zaczął się wspinać na schody.

Komnaty Goldmoon były usytuowane na samym szczycie Wielkiego Audytorium. Kręte schody o wielu setkach stopni prowadziły przez liczne piętra. Wspinaczka okazała się długa, gdyż schody zaprojektowano z myślą o długich ludzkich nogach, nie krótkich nogach kendera. Tas z początku wskakiwał na nie z entuzjazmem, lecz po siedemdziesiątym piątym stopniu musiał usiąść i chwilę odpocząć.

- Uff! - wydyszał. - Chciałbym być srebrnym smokiem. Wtedy przynajmniej miałbym skrzydła.

Gdy Tasslehoff - po kilku kolejnych odpoczynkach wdrapał się wreszcie na szczyt, słońce niknęło już w morskich falach.

Schody się skończyły, kender doszedł więc do wniosku, że dotarł na piętro, na którym mieszka Goldmoon. Z początku wydawało mu się, że w korytarzu panuje niczym niezmacona cisza. Na jego

końcu znajdowały się drzwi ozdobione snopami pszenicy, pnączami, owocarni i kwiatami. Gdy Tas podszedł bliżej, usłyszał za nimi cichy płacz.

Kender miał czułe serce i natychmiast zapomniał o własnych kłopotach. Zapukał cicho do drzwi.

__ Goldmoon! - zawołał. - To ja, Tasslehoff. Czy coś się stało? Czy mógłbym ci jakoś pomóc?

Płacz ucichł natychmiast, ustępując miejsca ciszy.

__ Goldmoon - ciągnął Tas.- Naprawdę muszę z tobą...

Czyjaś dłoń złapała go nagle za bark. Zaskoczony kender poderwał się gwałtownie i wyrzucił głowę o drzwi. Rozejrzał się wokół jak szalony.

Palin spoglądał na niego surowo z góry.

- Tak właśnie myślałem, że tu cię znajdę - oznajmił.

- Nigdzie nie wrócę - powiedział Tas, pocierając głowę. - Nie w tej chwili. Najpierw muszę porozmawiać z Goldmoon. - Popatrzył podejrzliwie na maga. - Po co tu przybyłeś?

- Martwiliśmy się o ciebie - odparł Palin.

- No jasne - mruknął Tas. Odsunął się od maga i ponownie spojrzął na drzwi. - Goldmoon! - Zapukał raz jeszcze. - Wpuść mnie! To ja, Tasslehoff!

- Pierwszy Mistrzu - dodał Palin - jestem tu z Tasem. Wydarzyło się coś bardzo dziwnego i potrzebna nam twoja mądra rada.

Po chwili ciszy rozległ się stłumiony od płaczu głos.

- Wybacz mi, Palinie, ale w tej chwili nie przyjmuję nikogo.

- Goldmoon - podjął mag. - Przynoszę bardzo smutne wieści. Mój ojciec nie żyje.

Ponownie nastała chwila ciszy.

- Caramon umarł? - rozległ się wreszcie pełen bólu szept.

- Przed kilkoma tygodniami. Miał spokojną śmierć.

- Przybyłem na czas, aby wygłosić mowę na jego pogrzebie -. wtrącił Tasslehoff. - Szkoda, że jej nie słyszałaś. Ale jeśli chcesz, mogę ją powtórzyć...

Zza drzwi dobiegł przerażający krzyk.

- Och, jakie miał szczęście! Jakie wielkie szczęście!

Twarz Palina nagle sposepniała.

- Goldmoon! - zawołał. - Wpuść mnie, proszę! Tasslehoff, bardzo cichy i spokojny, dotknął nosem klamki.

- Goldmoon - zaczął, przemawiając przez dziurkę od klucza - bardzo mi przykro, że zachorowałaś. Z równie wielką przykrością dowiedziałem się, że Riverwind nie żyje. Ale słyszałem, że zginął jak bohater, ratując kenderow przed smoczycą, mimo że z pewnością wielu było takich, którzy twierdzili, że nie warto nas ratować. Chcę, żebyś wiedziała, że jestem mu wdzięczny i że czuję się dumny, iż mogłem go zwać przyjacielem.

- To naprawdę nędzna sztuczka, Palinie - stwierdził gniewnie głos zza drzwi. - Tak jak twój stryj masz dar do naśladowania głosów. Wszyscy wiedzą, że Tasslehoff Burrfoot nie żyje.

- Żyję - zaprotestował Tas. - W tym właśnie tkwi problem. Przynajmniej dla niektórych. - Przeszył Palina złowrogim spojrzeniem. - To naprawdę ja, Goldmoon - ciągnął. - Możesz mnie zobaczyć, jeśli wyjrzysz przez dziurkę od klucza.

Rozległ się trzask zamka i drzwi uchylły się nieco. Stała za nimi Goldmoon. W jej pokoju paliło się wiele świec, których blask otaczał postać kobiety aureolą. W korytarzu, do którego wyszła, panowała ciemność, rozświetlana jedynie blaskiem samotnej czerwonej gwiazdy. Goldmoon była spowita w cieniu i Tas widział jedynie zarys jej sylwetki.

- Pierwszy Mistrzu...

Palin podszedł do niej, wyciągając rękę. Kobieta odwróciła się, pozwalając, aby bijące z komnaty światło padło na jej twarz.

- Teraz widzicie... - rzekła cicho.

Blask świec oświetlał włosy, które były gęste, złociste i bujne, gładką, miękką twarz oraz oczy, które - choć zaczerwienione od łez - były błękitne jak poranne niebo i świeciły młodzieńczym blaskiem. Ciało Goldmoon było silne jak w dniach, gdy córka wodza zakochała się w młodym wojowniku imie - niem Riverwind. Goldmoon przeżyła już na tym świecie dziewięćdziesiąt lat, lecz mimo to miała ciało, włosy, oczy, głos, wargi i dłonie młodej kobiety, która niegdyś przyniosła laskę z błękitnego kryształu do gospody „Ostatni Dom”.

Stała przed nimi, piękna i smutna, a jej zwieszona głowa przypominała pączek ściętej róży.

__ Co to za cud? - krzyknął porażony bojaźnią Palin.

__ jo nie cud - odparła z goryczą Goldmoon. - To klątwa.

__ Jesteś przeklęta? - zainteresował się Tas. - Ja też!

Kobieta zwróciła się w stronę kendera i zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głów.

- To naprawdę ty! - wyszeptała. - Poznałam twój głos. Czemu tu przybyłeś? Gdzie się podziewałeś? Co cię tu sprowadza?

Tasslehoff uprzejmie uściśnął jej dłoń.

- Z wielką chęcią bym ci o wszystkim opowiedział, Goldmoon. O pierwszym i o drugim pogrzebie Caramona i o tym, w jaki sposób zostałem przeklęty. Ale w tej chwili Palin chce mnie zamordować. Chodzi mi o to, żebyś mu kazała zaniechać tych planów. Porozmawiaj z nim, a ja tymczasem sobie pójdę.

Powiedziawszy to rzucił się do ucieczki. Był już bardzo blisko schodów, gdy Palin złapał go za kołnierz i pociągnął do tyłu.

Tasslehoff szarpał się i wrywał, próbował różnych kenderskich sztuczek, których nauczył się podczas wielu lat uciekania przed długim ramieniem rozgniewanych szeryfów albo przekupniów. Spróbował starego Wykrętu i Ukąszenia, zawsze skutecznego Tupnięcia i Kopniaka, lecz Palin okazał się odporny na te metody. Doprowadzony do desperacji Tas uciekł się do Jaszczurki i spróbował wysunąć ręce z rękawów koszuli. Żałował, że ją utraci, lecz podobnie jak jaszczurka, która zostawia prześladowcy fragment ogona, zdobędzie w ten sposób wolność. Niestety, nowa koszula okazała się nieco przyciasna i sztuczka się nie udała. Palin był chudy, ale silny, a w dodatku słuszny powód, aby nie wypuszczać kendera z rąk.

- Co on wygaduje? - zapytała Goldmoon, spoglądając ze zdumieniem na Tasa. Potem przeniosła wzrok na Palina. - Naprawdę chcesz go zamordować?

- Oczywiście, że nie chcę - odparł niecierpliwie Palin.

- Właśnie że chcesz! - mruknął Tas, nie przestając się wrywać.

- Wysłuchaj mnie, Tas. Naprawdę bardzo mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło - zapewnił mag.

Wydawało się, że zamierza powiedzieć coś więcej, lecz nagle zwiesił z westchnieniem głowę. Wydawał się stary, starszy niż pamiętał go Tas, choć kender widział go zaledwie przed chwilą. Bruzdy na jego twarzy pociemniały, stały się głębsze i mocniej zarysowane, a kości wręcz wylaziły spod skóry. Za często mrugał powiekami i bez przerwy pocierał oczy, jakby próbował przebić wzrokiem przesłaniającą je błonę albo mgłę. Tas - w każdej chwili gotowy do ucieczki wzruszył się wyraźnym cierpieniem maga i postanowił, że zostanie przynajmniej na moment, aby wysłuchać jego słów.

- Przepraszam, Tas - rzekł wreszcie Palin pełnym przygnębienia głosem. - Byłem zdenerwowany. Bałem się. Jenna bardzo się na mnie pogniewała. Kiedy uciekłeś, powiedziała, że nie ma do ciebie pretensji. Miała rację. Powiniennem był wszystko ci wytłumaczyć, spokojnie i racjonalnie. Nie trzeba było na ciebie krzyczeć. Wpadłem w panikę po tym, co zobaczyłem.

Popatrzył z głębokim westchnieniem na kendera.

- Tas, chciałbym, żeby istniał jakiś inny sposób. Musisz to zrozumieć. Spróbuję wszystko ci wytłumaczyć najlepiej, jak potrafię. Miałeś zginąć. Niewykluczone, że właśnie dlatego, iż nie zginąłeś, na świecie wydarzyły się wszystkie te straszliwe rzeczy. Ujmując to inaczej, gdybyś zginął, ten świat mógłby być światem, który zobaczyłeś, gdy po raz pierwszy przybyłeś na pogrzeb mojego ojca. Rozumiesz?

- Nie - odparł kender.

Palin popatrzył nań z widocznym rozczarowaniem.

- Obawiam się, że nie potrafię wyjaśnić tego lepiej. Być może powinniśmy porozmawiać na ten temat z Goldmoon. Nie musisz znowu uciekać. Nie zmuszę cię do powrotu.

__ Nie chcę urazić twoich uczuć, Palinie - zauważył Tas - ale nie możesz mnie do niczego zmusić. To ja mam urządzenie, nie ty.

Czarodziej popatrzył na kendera z narastającą powagą, po czym nagle i niespodziewanie się uśmiechnął. Nie był to pełen uśmiech, a raczej ćwierć uśmiechu, gdyż mag uniósł tylko kąciki wąskich ust, a z jego oczu nie zniknął smutek, zawsze jednak był to jakiś początek.

- To prawda, Tas - przyznał. - Ty masz urządzenie. I wiesz, jak należy postąpić. Wiesz, że złożyłeś Fizbanowi obietnicę, a on wierzył, że jej dotrzymasz.

Palin umilkł na chwilę.

- Tas, czy wiedziałeś, że Caramon wygłosił mowę na twoim pogrzebie? - dodał cicho.

- Naprawdę? - zdumiał się kender. - Nawet nie wiedziałem, że miałem pogrzeb! Pomyślałem sobie, że pewnie nie zostało ze mnie nic poza galaretą między palcami olbrzyma. I co powiedział Caramon? Czy było wielu żałobników? Czy Jenna zrobiła ptysie?

- Żałobników było mnóstwo - zapewnił Palin. - Zjeżdżali się z całego Ansalonu, żeby złożyć hołd bohaterowskiemu kenderowi. A jeśli chodzi o mojego ojca, to nazwał cię „kenderem nad kenderami”. Powiedział, że uosabiałeś wszystko, co najlepsze w waszej rasie. Byłeś szlachetny, zdolny do poświęceń, odważny, a nade wszystko honorowy.

- Być może Caramon błędnie mnie ocenił - stwierdził zażenowany Tas, zerkając na Palina kącikiem oka.

- Być może - zgodził się mag.

Tasowi nie podobało się to, jak Palin na niego spoglądał. Wyglądało to tak, jakby kender skurczył się nagle, zmienił w coś obrzydliwego niczym rozdeptany karaluch. Nie wiedział, co ma powiedzieć, czy zrobić, a w jego przypadku było to niespotykane zjawisko. Nie przypominał sobie, aby już kiedyś nawiedziło go podobne uczucie i miał nadzieję nigdy wię - cej go nie zaznać. Cisza się przeciągała, aż wreszcie Tas zaczął się bać, że jeśli ktoś wreszcie coś powie, przerwane milczenie odskoczy i uderzy go w twarz. Dlatego ucieszył się, gdy usłyszał na schodach jakiś ruch,

który przyciągnął uwagę Palina i zmącił pełną napięcia ciszę.

- Pierwszy Mistrzu! - krzyknęła lady Camilla. - Zdawało nam się, że słyszeliśmy twój głos. Ktoś powiedział, że widział idącego na górę kendera...

Gdy dotarła do szczytu schodów, zobaczyła Goldmoon.

- Pierwszy Mistrzu!

Rycerka stanęła jak wryta i wybałuszyła oczy. Strażnicy Cytadeli tłoczyli się za jej plecami, równie zdumieni.

Przed Tasem otworzyła się szansa ucieczki. Nikt nie próbowałby go zatrzymać. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Mógł przemknąć się przez tłum i zwać. Gnom Zgadywanka z pewnością miał jakiegoś rodzaju statek żaglowy. Gnomowie zawsze mieli statki żaglowe, czasami również statki latające, a bywało, że i takie, które mogły zarówno żeglować, jak i latać, choć to zazwyczaj prowadziło do eksplozji.

Tak - pomyślał Tas, spoglądając na schody oraz gapiów, którzy stali na nich z rozdziawionymi ustami. - To właśnie zrobię. Ucieknę. Bez zwłoki. Już zwiewam. Zaraz. Moje nogi już zaczynają się ruszać.

Jego nogi najwyraźniej były innego zdania, gdyż nie chciały się oderwać od podłogi.

Być może nawiedziły je takie same myśli, co jego głowę. Głowa Tasa rozmyślała o słowach Caramona. Były to prawie dokładnie te same słowa, które przedtem opowiadano o Sturmie Brightblade czy Tanisie Półelfie. A on powiedział je o nim! O Tasslehoffie Burrfoocie! Kender poczuł w okolicy serca przyjemne ciepło, lecz w tej samej chwili jego żołądek ogarnął inny, znacznie mniej przyjemny płomień. Kender czuł się tak, jakby zjadł coś, co mu nie posłużyło. Zadał sobie pytanie, czy to mogła być owsianka.

- Przepraszam, Goldmoon - odezwał się, przerywając całe to głupie gapienie się i rozdziawianie ust. - Czy mógł - bym wejść na chwilę do twojej komnaty, żeby się położyć? Nie czuję się za dobrze.

Goldmoon wyprostowała się. Twarz miała bladą i zimną.

- Wiedziała, że tak będzie - oznajmiła pełnym goryczy głosem. - Że będziecie się na mnie gapić jak na jakiegoś dziwoląga.

___ Wybacz, Pierwszy Mistrzu - rzekła lady Camilla z czerwoną ze wstydu twarzą. Spuściła wzrok. - Błagam o wybaczenie. Po prostu... ten cud...

___ To nie jest żaden cud! - oznajmiła ostro Goldmoon.

Uniosła głowę, a w jej oczach zapłonął szlachetny błysk królewskiego ducha. - Przykro mi, że narobiłam wam tyle kłopotów, lady Camillo. Wiem, że wielu z was sprawiłam ból. Zawiadom

proszę wszystkich w Cytadeli, że już nie muszą się o mnie niepokoić. Czuję się dobrze. Wkrótce się z nimi spotkam, ale najpierw chcę porozmawiać na osobności z przyjaciółmi.

- Oczywiście. Z radością spełnię wszystkie twoje życzenia, Pierwszy Mistrzu - odparła lady Camilla. Choć ze wszystkich sił starała się nie gapić na Goldmoon, nie potrafiła się powstrzymać przed spoglądaniem ze zdumieniem na niezwykłą zmianę, która zaszła w starszej kobiecie.

Palin kaszlnął znacząco.

Lady Camilla zamrugała powiekami.

- Przepraszam, Pierwszy Mistrzu. Po prostu... Potrząsnęła bezradnie głową, nie potrafiąc ubrać bezładnych myśli w słowa. Odwróciła się, zerknęła raz jeszcze za siebie, jakby chciała się przekonać, że oczy nie wprowadziły jej w błąd, i zbiegła pośpiesznie po krętych schodach. Strażnicy po chwili wahania podążyli za nią. Tas słyszał, jak głośno mówią, o „cudzie”.

- Wszyscy zareagują tak samo - stwierdziła pełnym bólu głosem Goldmoon. Wróciła do komnaty, zatopiona w myślach. - Będą się na mnie gapić i głośno się mną zachwycać.

Zamknęła szybko za nimi drzwi i oparła się o nie.

- Nie możesz mieć o to do nich pretensji, Pierwszy Mistrzu - zauważył Palin.

- Wiem o tym. To jeden z powodów, dla których zamknęłam się w tej komnacie. Początkowo miałam nadzieję, że zmiana okaże się... przejściowa. - Goldmoon skinęła dłonią.

- Usiądźcie, proszę. Mam wrażenie, że musimy omówić wiele spraw.

Jej komnaty były skromnie umeblowane. Znajdowało się tu proste, drewniane łóże oraz biurko, a na podłodze leżały liczne dywany i miękkie poduszki. Poza tym stał tu tylko jeden mebel - wysokie, stojące zwierciadło, które leżało przewrócone na podłogę. Potłuczone szkło zmieciono na stos w kącie.

- Co się z tobą stało, Pierwszy Mistrzu? - zapytał Palin.

- Czy to była magiczna transformacja?

- Nie mam pojęcia! Gdybym tylko mogła znaleźć wyjaśnienie! - zawołała bezradnie. - Do transformacji doszło w noc burzy.

- W noc burzy - wyszeptał Palin, spoglądając na Tasa.

- Wydarzyło się wówczas wiele niezwykłych rzeczy. Kender również pojawił się tej nocy.

- Deszcz bębnił o dach - ciągnęła Goldmoon, jakby nie słyszała jego słów. - Wicher zawodził i uderzał w kryształ, jakby chciał go rozbić. Nagle potężna błyskawica rozświetliła komnatę tak bardzo, że zrobiło się jaśniej niż w południe. Była tak jasna, że aż mnie oślepiła. Przez pewien czas

nie w ogóle nie widziałam. Po chwili ślepotą minęła i ujrzałam swe odbicie w zwierciadle. Pomyślałam... pomyślałam, że w komnacie jest ktoś obcy. Odwróciłam się, ale nie było tu nikogo poza mną. Wtedy odwróciłam się znowu i poznałam w zwierciadle siebie. Nie taką, jaką byłam przed chwilą, siwą, pomarszczoną i starą, ale młodą. Młodą, jak w dzień moich zaślubin...

Zamknęła oczy, a po jej policzkach spłynęły łzy.

- To był ten huk, który usłyszeli na dole - domyślił się Palin. - Stłukłaś zwierciadło.

- Tak! - krzyknęła Goldmoon, zaciskając pięści. - Byłam już tak blisko połączenia się z nim, Palinie! Tak blisko!

Już niedługo byłabym znowu z Riverwindem. Czekał na mnie tak cierpliwie. Wiedział, że miałam do wykonania ważne zadania ale już się z nimi uporałam i słyszałam, jak wzywa mnie do 'siebie. Bylibyśmy razem na wieki. Miałam wreszcie połączyć się z ukochanym i wtedy... wydarzyło się to!

___ Naprawdę nie wiesz, jak to się stało? - Palin zawahał się marszcząc brwi. - Może to było życzenie, które skrywałaś w sercu... jakiś eliksir... albo magiczny artefakt...

___ Innymi słowy, czy o to prosiłam? - odparła chłodnym tonem Goldmoon. - Nie prosiłam. Czułam się zadowolona. Moja praca była skończona. Innym wystarczy siły serca i woli, aby ją kontynuować. Ja pragnę tylko znowu spocząć w ramionach męża, Palinie. Przejść razem z nim do następnej fazy bytu. Często rozmawialiśmy z Riverwindem o tym kolejnym etapie naszej wielkiej podróży. Ujrzałam ów etap przelotnie, gdy spotkałam Mishakal i dostałam od niej łaskę. Piękno tego odległego miejsca... nie potrafię tego opisać. Jestem zmęczona. Bardzo zmęczona. Wyglądam młodo, ale nie czuję się młoda, Palinie. To ciało jest jak kostium na maskaradę, a twarz to maska. Tyle, że nie mogę jej zdjąć! Próbowałam, ale nie mogę!

Goldmoon dotknęła dłońmi policzków i nacisnęła je mocno. Jej twarz pokrywały liczne zadrapania. Wstrząśnięty Tas zdał sobie sprawę, skąd się wzięły. Zdesperowana kobieta próbowała zedrzeć miękką, gładką skórę.

- Wewnątrz nadal jestem stara, Palinie - ciągnęła ochryłym, bezbarwnym głosem. - Przeżyłam już należny mi czas. Mój mąż wyruszył w wędrowkę przede mną, przyjaciele odeszli i zostałam sama. Och, wiem. - Uniosła dłoń, aby uciszyć jego sprzeciwy. - Wiem, że mam tu przyjaciół. Ale oni nie pochodzą z mojego czasu. Nie... nie śpiewają tych samych pieśni.

Spojrzała na Tasslehoffa z uśmiechem, który był słodki, lecz zarazem tak smutny, że oczy kendera wypełniły się łzami.

- Czy to moja wina, Goldmoon? - zapytał żałośnie Tas. - Nie chciałem, żebyś była nieszczęśliwa! Nie chciałem!

- Nie, kenderze. - Goldmoon ukoiliła go delikatnym gestem. - Przyniosłeś mi radość. I zagadkę do rozwiązania. - Popatrzyła na Palina. - Skąd on się tu wziął? Czy wędrował po świecie przez

trzydzieści lat, podczas gdy my myśleliśmy, że nie żyje?

- Kender pojawił się w noc burzy, Goldmoon - wyjaśnił cicho Palin. - Dotarł tu za pomocą magicznego urządzenia. Urządzenia do podróżowania w czasie. Kiedyś należało ono do mojego ojca. Czy pamiętasz opowieść o tym, jak Caramon cofnął się w czasie wraz z lady Crysanią...

- Tak, pamiętam - potwierdziła Goldmoon, rumieniąc się lekko. - Muszę przyznać, że bardzo trudno było mi uwierzyć w słowa twego ojca. Gdyby nie relacja lady Crysanii...

- Nie musisz mnie przeproszać - uspokoił ją Palin. Nie taję, że mnie również ta opowieść wydawała się mało wiarygodna. Kiedyś, jeszcze przed Wojną Chaosu, miałem okazję porozmawiać o tym z Dalamarem. Mówiłem też z Tanisem Półelfem. Obaj potwierdzili relację mojego ojca. Co więcej, czytałem również notatki Par-Saliana, które opisują, jak podjęto decyzję o wysłaniu mojego ojca w przeszłość. Mam też przyjaciółkę, panią Jennę, która była obecna w Wieży Wielkiej Magii w chwili, gdy ojciec oddawał urządzenie Dalamarowi na przechowanie. Wtedy je widziała, a teraz je rozpoznała. Lecz przede wszystkim sam jestem świadkiem. Tasslehoff ma magiczne urządzenie, którego mój ojciec używał do podróżowania w czasie. Wiem, że to prawda, bo sam z niego skorzystałem.

Goldmoon otworzyła szerzej oczy i zaczerpnęła spazmatycznie tchu.

- Chcesz powiedzieć, że kender przybył do nas z przeszłości? Że podróżował przez czas? I że ty zrobiłeś to samo?

- Tasslehoff - odezwał się Palin - powtórz Goldmoon wszystko, co opowiedziałeś mi o pogrzebie Caramona. Tym pierwszym. Tylko mów krótko i zwięźle.

Ponieważ słów „krótko” i „zwięźle” nie ma w żadnym kenderskim słowniku, opowieść Tasslehoffa okazała się jak zwykle dość długa i skomplikowana, pełna dygresji i dodatków, a w pewnej chwili całkowicie ugrzęzła w bagnie słów, z którego trzeba ją było cierpliwie wydobywać. Goldmoon była jednak bardzo uważną słuchaczką. Usiadła obok kendera pośród rozrzuconych na podłodze poduszek i przez cały ten czas nie odezwała się ani słowem.

Gdy Tas opowiadał o tym, że widział ją na pierwszym pogrzebie Caramona w towarzystwie Riverwinda, że jej posiwiaty, przygarbiony mąż był dumnym wodzem zjednoczonych plemion z Równin, że towarzyszyli mu syn i córki, wnuki oraz prawnuki, z oczu Goldmoon ponownie popłynęły łzy. Płakała jednak bezgłośnie, ani na chwilę nie odrywając od kendera skupionego spojrzenia.

Wreszcie Tasslehoff umilkł, głównie dlatego, że głos odmówił mu posłuszeństwa. Dano mu szklankę wody i położono na poduszkach.

- I co sądzisz o jego opowieści, Pierwszy Mistrzu? - zapytał Palin.

- Czas, w którym Riverwind nie umarł - wyszeptała Goldmoon. - W którym zestarzeliliśmy się razem. Czy to możliwe?

- Użyłem urządzenia - odparł Palin. - Przeniosłem się w przeszłość, licząc na to, że znajdę

chwile, w której zamieniliśmy jedną przyszłość na drugą. Miałem nadzieję, że jeśli odszukam taki moment, może uda mi się odwrócić tę zmianę.

- To byłoby bardzo niebezpieczne - skarciła go ostro Goldmoon.

- Masz rację, ale to już i tak nie ma znaczenia, ponieważ nie udało mi się znaleźć takiego momentu - stwierdził Palin.

- I całe szczęście - zaczęła Goldmoon.

- Pierwszy Mistrzu - przerwał jej Palin. - Ja w ogóle nie znalazłem przeszłości.

- Jak to, nie znalazłeś?

- Cofnąłem się w czasie - zaczął mag - i zobaczyłem koniec Wojny Chaosu. Ujrzałem odejście bogów. Ale kiedy spróbowałem dotrzeć dalej, dostrzec początek wojny i wyda - rzenia, które nastąpiły przed nią, nie zobaczyłem nic poza bezkresną, czarną pustką, jakbym zagłądał do gigantycznej studni.

- Co to może znaczyć? - zapytała Goldmoon.

- Nie mam pojęcia, Pierwszy Mistrzu. - Palin popatrzył na Tasslehoffa. - Wiem tylko jedno: przed wielu laty Tasslehoff Burrfoot zginął. A przynajmniej miał zginąć. Mimo to, jak widzisz, nadal żyje.

- I dlatego chciałeś wysłać go na śmierć - wyszeptała Goldmoon, spoglądając ze smutkiem na Tasa.

- Być może się mylę. Być może nic by nie to zmieniło. Pierwszy przyznam, że nie rozumiem, na czym polega podróżowanie w czasie - rzekł ze smutkiem Palin. - Tylko jeden członek naszego zakonu to rozumie. Dalamar. Ale nikt nie wie, czy on zginął, czy żyje, a jeśli żyje, to jak go znaleźć.

- Dalamar! - Goldmoon sposepniała nagle. - Pamiętam, że kiedy usłyszałam o jego zniknięciu i zniszczeniu Wieży Wielkiej Magii, pomyślałam, że to cudownie, iż w tych złych czasach wreszcie wydarzyło się coś dobrego. Wiem, że wielu było takich, którzy lubili Dalamara i ufali mu. Na przykład Tanis i twój ojciec. Ja jednak zawsze, gdy tylko na niego spojrzałam, widziałam, że wędruje w cieniu i, co więcej, lubi cień. Owija się nim ciasno, by ukryć swe uczynki. Jestem przekonana, że Tanis i Caramon dali się mu oszukać. Osobiście mam nadzieję, że opuścił ten świat. Choć sytuacja jest zła, to gdyby był z nami, stałaby się jeszcze gorsza. Mam nadzieję - dodała ostrym tonem - że gdyby nagle wrócił, nie zechcesz mieć z nim nic wspólnego.

- Nie ma zbyt wielkich szans, aby Dalamar odegrał jakąś rolę w tej sprawie - odparł z niecierpliwością Palin. - Jeśli nawet żyje, przebywa w miejscu, gdzie raczej go nie znajdziemy. Pierwszy Mistrzu, to bardzo osobliwe, iż do wszystkich tych niezwykłych wydarzeń doszło w noc burzy.

- W tej burzy było słycać jakiś głos - stwierdziła z drzeniem Goldmoon. - Przerazał mnie,

choć nie rozumiałam słów. - Znowu popatrzyła na Tasslehoffa. - Pytanie brzmi, co mamy zrobić teraz?

- To już zależy od Tasa - odparł Palin. - Los świata jest w rękach kendera - dodał ponurym tonem.

Tas podniósł się z godnością, - Poważnie rozważę tę sprawę - oznajmił. - Decyzja nie będzie łatwa. Muszę wiele przemyśleć. Ale nim odejdę, żeby się zastanowić i pomóc Zgadywance zrobić mapę labiryntu żywopłotów, tak jak obiecałem, muszę powiedzieć jedno. Gdybyście od początku zostawili los świata w rękach kendera, zapewne nie wpakowalibyście się w całą tę kabałę.

Wymierzywszy Palinowi ten pożegnalny cios, Tasslehoff Burrfoot opuścił komnatę.

Zaśnij, mój miły, zaśnij na wieki

Minał z górą tydzień od chwili, gdy Mina otrzymała rozkazy wymarszu do Silvanesti. W tym czasie Silyanoshei został ukoronowany na króla śpiącego za ochronną tarczą królestwa, nieświadom nadciągającej zagłady.

Galdar poświęcił trzy dni na to, aby dobiec do Khur i przekazać rozkazy Miny generałowi Dogahowi. Następne trzy dni zajęła mu podróż powrotna. Wędrował trasą, którą dziewczyna pokazała mu na swej mapie, niecierpliwie pragnąc wrócić do niej i do żołnierzy. Łatwo mógł ich znaleźć. Na drodze znalazł pełno pozostawionych przez nich śladów: kolein, odcisków stóp, porzuconego ekwipunku. Jeśli on zdołał odszukać armię z taką łatwością, ogrom również się to uda.

Minotaur szedł z pochyloną głową, brnąc w zwałach błota. Deszcz zalewał mu oczy i skapywał z pyska. Padało już od dwóch dni, od chwili powrotu Galdara i nic nie zapowiadało zmiany pogody. Nie był to przy tym ciepły, letni deszczyk, lecz wściekła, niesiona wichrem ulewa, która wypełniała chłodem ducha i rzucała cień na duszę.

Żołnierze byli przemoczeni, zmarznięci i nieszczęśliwi. Trakt pokrywało błoto, tak śliskie, że wręcz uniemożliwiało utrzymanie się na nogach, albo tak lepkie, że niemal ściągało buty z nóg. Ciężko obciążone wozy grzęzły w błocku przynajmniej trzy razy dziennie i musieli wpychać drągi pod koła, żeby je wyciągnąć. Często potrzebna też była do tego siła Gal - dara. Plecy i ramiona minotaura były obolałe z wysiłku. Nieraz musiał unosić cały wóz, żeby oswobodzić koło.

Żołnierze szczerze znienawidzili deszcz, uważali go za wroga gorszego niż ogrowie. Któryś z nich poskarżył się, że dźwięk bębniących o jego hełm kropli przypomina nieustanne walenie w blaszany bębenek. Kapitan Samuval i jego łucznicy martwili się z kolei o pierzyska strzał, które zrobiły się tak mokre, że uniemożliwiało to celne strzelanie.

Mina rozkazała im rozpocząć marsz o świcie, choć świtu właściwie od kilku dni nie widzieli. Szli aż do chwili, gdy robiło się tak ciemno, że oficerowie bali się, że woźnice mogą po omacku zjechać z traktu. W lesie było tak mokro, że nawet najbardziej doświadczeni żołnierze nie potrafili rozpaść ogniska. Wszystko smakowało błotem. Spali w błocie, mieli błoto za poduszkę i deszcz za koc, a rano ponownie ruszali w drogę. Maszerowali z Miną ku chwale. Wszyscy w to niezachwianie wierzyli. Wszyscy o tym wiedzieli.

Jeśli wierzyć mistykom, nie mieli szans sforsować magicznej tarczy. Stanie się ona kowadłem, a posuwający się za nimi ogrowie będą młotem. Wszystkich żołnierzy czekała haniebna śmierć. Drwili sobie jednak z mistyków. Mina zlikwiduje tarczę, rozbije ją dotknięciem dłoni. Wierzyli w nią i dlatego za nią szli. Choć marsz był długi i żmudny, nikt nie zdezerterował.

Skarżyli się jednak - i to dobitnie - na błoto, deszcz, kiepskie jedzenie i brak snu. Ich narzekania stawały się coraz głośniejsze. Mina nie mogła ich nie usłyszeć.

- Chcę się dowiedzieć jednego - zażądał któryś z nich donośnym głosem, przebijającym się przez mlaskanie błota pod butami. - Jeśli Bóg, któremu służymy, chce, żebyśmy zwyciężyli, to czemu ten Bezimienny nie ześle nam słonecznej pogody i suchego traktu?

Galdar jak zwykle maszerował u boku Mino. Spojrzał na nią. Dziewczyna słyszała już przedtem narzekania i zawsze dotąd je ignorowała. Po raz pierwszy jednak ktoś się ośmielił skrytykować jej boga.

Ściągnęła wodze, zawróciła konia i popędziła wzdłuż kolumny, wypatrując człowieka, który powiedział te słowa. Żaden z towarzyszy go nie wskazał, lecz ona i tak go znalazła. Przeszła winowajcę spojrzeniem bursztynowych oczu.

- Poddowódca Paregin, zgadza się? - zapytała.

- Tak, Mino - odparł nieustępliwym tonem.

- Oberwałeś strzałą w pierś. Byłeś umierający. Przywróciłam ci życie - mówiła rozgniewana dziewczyna. Żołnierze nigdy jeszcze nie widzieli, jak się gniewa. Galdar zadrzał, przypominając sobie przerażającą burzę z piorunami, z której się zrodziła.

Twarz Paregina poczerwieniała ze wstydu. Mężczyzna wymamrotał coś w odpowiedzi, spuszczając wzrok.

- Wysłuchaj mnie, poddowódco - ciągnęła Mina zimnym, ostrym tonem. - Gdybyśmy maszerowali przy suchej pogodzie, w jasnych promieniach słońca, o twoją zbroję zamiast kropel deszczu uderzałyby lance ogrów. Ulewa jest zasłoną, która skrywa nas przed oczyma wroga. Deszcz zmywa wszystkie pozostawione przez nas ślady. Nie kwestionuj mądrości Boga, Paregin, zwłaszcza że własnej chyba nie masz zbyt wiele.

Twarz Paregina zbielała.

- Wybacz, Mino - wyszeptał pobladyłymi ustami. - Nie chciałem okazać braku szacunku. Czczę

Boga i ciebie. - Popatrzyl na nią z uwielbieniem. - Gdybym tylko miał szansę tego dowieść!

Twarz Mino złagodniała. Jej bursztynowe oczy zalśniły, tworząc plamę koloru pośród wszechobecnej szarości.

- Otrzymasz taką szansę, Paregin - zapowiedziała cicho. - Obiecuję ci to.

Zawróciła wierzchowca i pognęła z powrotem na początek kolumny, tryskając błotem spod kopyt rumaka. Żołnierze zwiesili głowy na deszczu, gotowi do wznowienia marszu.

- Mino! - dobiegł czyjś głos z tyłu kolumny. Jakaś ślizgająca się na błocie postać przemieszczała się pośpiesznie ku przodowi.

Dziewczyna zatrzymała wierzchowca i obejrzała się, aby sprawdzić, co się stało.

- To żołnierz z tylnej straży - zameldował Galdar.

- Mino! - zawołał zdyszany mężczyzna, zatrzymując się - Niebieskie smoki! - wysapał. - Nadlatują z północy. - Obejrzał się za siebie i zmarszczył brwi. - Przysięgam, Mino! Widziałem je...

- Tam! - zakrzyknął minotaur, wyciągając rękę.

Z chmur wynurzyło się pięć niebieskich smoków o lśniących od deszczu łuskach. Nierówna kolumna żołnierzy zatrzymywała się stopniowo. Wszyscy spoglądali z lękiem w górę.

Smoki były ogromne, piękne i przerażające. Ich mokre od deszczu łuski lśniły niczym lód pokrywający zamrożone jezioro pod czystym, zimowym niebem. Bez obaw mknęły z porywistym wichrem, niemal nie poruszając ogromnymi skrzydłami. Nie bały się piorunów, gdyż ich oddech był błyskawicą, mogącą obrócić w gruzy kamienną wieżę albo zabić stojącego na ziemi człowieka.

Mina nic nie mówiła, nie wydawała żadnych rozkazów. Uspokoila swego wierzchowca, który spłoszył się na widok smoków, i spoglądała na nie w milczeniu. Gdy niebieskie smoki podleciały bliżej, Galdar zauważył na ich grzbietach jeźdźców w czarnych zbrojach. Bestie przemknęły jedna za drugą nad kolumną maszerujących żołnierzy. Smoczy jeźdźcy i ich wierzchowce przyjrzeni się wszystkiemu uważnie, po czym niebieskie smoki zamachały skrzydłami, wzbiły się w górę i zniknęły w szarych chmurach.

Choć odleciały, ich obecność nadal dawała się odczuć. Ciężyla na sercach ludzi, odbierając im odwagę.

- Co tu się dzieje? - Kapitan Samuval zbliżył się do nich, grzęznąc w błocie. Na widok smoków jego łucznicy wydobyli swą broń i nałożyli strzały na cięciwy. - O co tu chodziło?

- To szpieg Targonne'a - warknął Galdar. - Na pewno już wie, że zmieniłaś jego rozkazy i wysłałaś generałowi Dogahowi własne, Mino. To zdrada. Każe cię poćwiartować, a twoją głowę nadzieje na pal.

- W takim razie dlaczego nas nie zaatakował? - zapytał kapitan Samuwał, spoglądając ponuro ku niebu. - Jego smoki mogłyby nas wszystkich usmażyć.

- Ale co by mu to dało? - odpowiedziała pytaniem Mina. - Zabicie nas nie przyniesie mu zysku. Zysk zapewni mu tylko nasz sukces. Jest krótkowzroczny, chciwy, zachłanny i interesowny. Ktoś taki jak Targonne nigdy w życiu nie był nikomu wierny i nie potrafi sobie wyobrazić, że inni mogliby dochować wierności. Ktoś, kto nie wierzy w nic poza brzękiem stalowych monet gromadzonych na stosie, nie jest w stanie zrozumieć wiary innych. Sądzi wszystkich według własnej miary. Dlatego nie potrafi pojąć, co tu się dzieje i w konsekwencji nie wie, jak sobie z tym poradzić. Dam mu to, czego pragnie. Nasze zwycięstwo pozwoli mu zdobyć bogactwa Silvanesti i łaskę Malystryx.

- Jesteś pewna, że zwyciężymy, Mino? - zapytał minotaur. - Nie chodzi o to, że w ciebie wątpię - dodał pośpiesznie. - Ale pięciuset żołnierzy przeciw całemu narodowi Silvanesti? A do tego nie przeszliśmy jeszcze przez ziemie ogrów.

- Oczywiście, że zwyciężymy, Galdarze - odparła Mina. - To zrządzenie Jedyne Boga.

Dziecko bitwy, dziecko wojny, dziecko śmierci pojechało na czoło kolumny. Żołnierze ruszyli za nim w padającym miarowo deszczu.

Armia Miny maszerowała na południe wzdłuż brzegów Thon-Thalasu. Wreszcie przestało padać i wróciło słońce. Żołnierze ucieszyli się z jego widoku, choć za ciepło i suche ubrania musieli zapłacić zdwojeniem patroli. Zapuscili się już głęboko na terytorium ogrów.

Ogrom zagrażali od południa przekłeci elfowie oraz Legion Steela, a od północy ich dawni sojusznicy. Przekonawszy się, że nie zdołają przegnać z północy Rycerzy Neraki, ogrowie przerzucili swe wojska na południe i skoncentrowali ataki na Legionie Steela, przekonani, że jest on słabszym wrogiem i w związku z tym łatwiej upadnie.

Mina codziennie wysyłała grupy zwiadowców. Te, które zapuszczały się najdalej, meldowały, że wielka armia ogrów zgromadziła się pod fortecą Legionu Steela, nieopodal granicy Silvanesti. Rycerze schronili się w forcie razem z armią elfów, którymi ponoć dowodziła czarna elfka Alhana Starbreeze, i przygotowywali się do odparcia ataku. Bitwa jeszcze się nie rozpoczęła. Ogrowie na coś czekali - być może na posiłki albo na korzystne znaki.

Mina co rano wysłuchiwała meldunków zwiadowców, a potem wytyczała marszrutę na kolejny dzień. Żołnierze pakowali ekwipunek. Skarżyli się jak zwykle, lecz odkąd pogoda się poprawiła, byli w lepszym nastroju. Śledzące ich niebieskie smoki trzymały się na dystans. Od czasu do czasu ktoś zauważał w oddali ciemne skrzydła albo blask słońca odbijający się w błękitnych łuskach, ale bestie nie podlatywały bliżej. Wszyscy spożywali skąpe śniadanie, czekając na rozkaz wymarszu.

- Przynosicie dobre wieści, panowie - oznajmiła zwiadowcom Mina. - Nie możemy jednak zaniedbać czujności. Jak daleko jeszcze do tarczy, Galdarze?

- Według meldunków zwiadowców dwa dni marszu, Mino - odparł.

Jej bursztynowe oczy wpatrywały się w dal ciągnącą się gdzieś za minotaurem i armią, za drzewami i rzeką, a wydawało się, że nawet za samym niebem.

- Otrzymaliśmy wezwanie, Galdarze. Czuję wielką niecierpliwość. Musimy dziś w nocy być na granicy Silvanesti.

Minotaur rozdziawił usta. Był wierny Minie. Oddałby za nią życie i uważałby taką śmierć za zaszczyt. Jej strategia, choć tak nieortodoksyjna, okazała się jednak skuteczna. Były jednak rzeczy, których nie potrafiła dokonać nawet Mina. Ani jej bóg.

- To niemożliwe, Mino - oznajmił bez ogródek. - Żołnierze i tak już maszerują dziesięć godzin dziennie. Są wyczerpani. Do tego wozy nie mogą się poruszać tak szybko. Tylko na nie spójrz. - Wskazał dłonią na obrazek nieopodal: kierowani przez kwatermistrza ludzie wykopywali właśnie jeden z wo - zów, zapadniętych nocą w błoto. - Będą gotowi do wymarszu najprędzej za godzinę. Żądasz od nas niemożliwego, Mino.

- Dla Jedynego Boga nic nie jest niemożliwe, Galdarze - odparła stanowczo dziewczyna. - Dziś w nocy będziemy obozowali pod tarczą. Przekonasz się. Co... co to za hałas?

Powietrze przeszył rozpaczliwy dźwięk rogu, dobiegający gdzieś z tyłu.

Długa linia żołnierzy ciągnęła się wzdłuż traktu, który omijał wzgórze, zakręcał, opadał w dolinę i wspinał się na następne wzgórze. Ludzie zerwali się, słysząc ten dźwięk i obejrżeli za siebie. Ci, którzy wygrzebywali wóz z błota, zaprzestali pracy.

Na wzgórzu pojawił się samotny zwiadowca, który pędził, co koń wyskoczy. Żołnierze usunęli mu się z drogi. Wydawało się, że przybysz o coś ich zapytał, gdyż wielu z nich wskazało na czoło kolumny. Zwiesił głowę, wbił ostrogi w boki wierzchowca i popędził naprzód.

Mina wyszła na trakt, aby poczekać na zwiadowcę. Gdy ten do niej dotarł, ściągnął wodze tak mocno, że koń stanął dęba.

- Mino! - wydyszał ciężko. - Ogrowie! Na wzgórzach za nami! Zbliżają się szybko!

- Ilu ich jest? - zapytała.

- Trudno to ocenić. Są szeroko rozciągnięci, nie tworzą kolumny ani żadnego szyku. Jest ich jednak mnóstwo. Stu, może więcej. Schodzą ze wzgórz.

- To na pewno grasanci - mruknął Galdar. - Zapewne usłyszeli o wielkiej bitwie na południu i postanowili zagarnąć część łupów.

- Gdy tylko zauważą nasz ślad, szybko się skupią przewidział kapitan Samuwał. - A zrobią to, gdy tylko dotrą do rzeki.

- Chyba już to zrobili - zauważył minotaur. Przeszywające wrzaski gniewu i radości przetoczyły się nad wzgórzami niczym głązy. W powietrzu poniosło się ochryple granie baranich

rogów. Garstka ogrów spostrzegła przeciwnika i wzywała swych pobratymców na bitwę.

Wiadomość przyniesiona przez zwiadowcę szerzyła się wśród żołnierzy Miny z szybkością błyskawicy. Ludzie zrywali się na nogi. Przytłaczające ich do tej pory zmęczenie zniknęło niczym suche liście w płomieniach. Ogrowie byli straszliwymi wrogami. Armiami złożonymi z potężnych, gwałtownych i okrutnych wojowników dowodzili ogrzy magowie, którzy mieli niezłe pojęcie o strategii i taktyce. Ogrzym grasantom podobne sprawy były jednak zupełnie obce.

Bandy ogrzych grasantów nie mają dowódców. Są oni wygnańcami, odrzuconymi nawet przez swe brutalne społeczeństwo. Tacy ogrowie są wyjątkowo niebezpieczni. Atakują nawet własnych pobratymców. Nie zwracają sobie głowy szykiem bojowym, lecz rzucają się do ataku, gdy tylko zobaczą nieprzyjaciela, ufając, że brutalna siła i zaciekłość zapewnią im zwycięstwo.

Ogrowie są nieustraszeni w walce i z uwagi na grubą, owłosioną skórę trudno ich zabić. Ból rozwściecza ich tylko, wprawia w jeszcze większy szal. Ogrzy grasanci nie znają słowa „litość” i gardzą słowem „poddanie się”, zarówno w odniesieniu do siebie, jak i do przeciwnika. Z reguły biorą tylko garstkę jeńców, po to, aby dostarczyli im wieczornej rozrywki.

Zdyscyplinowana, dobrze uzbrojona i zorganizowana armia jest w stanie odeprzeć atak ogrów. Nie mając dowódców, łatwo wpadają oni w pułapki i można ich unicestwić sprytnymi fortelami. Nie są dobrymi łucznikami, gdyż brak im cierpliwości do ćwiczeń niezbędnych do opanowania tej umiejętności. Używają ogromnych mieczy i toporów, którymi rąbią przeciwników na kawałki, albo włóczni, którymi dzięki silnym rękom mogą skutecznie ciskać na znaczną odległość.

Słyszając wściekłe wycie ogrów oraz dźwięki ich rogów, oficerowie Miny zaczęli wykrzykiwać rozkazy. Jej rycerze zawrócili wierzchowce, gotowi popędzić na spotkanie przeciwnika. Woźnice uderzali biczami, a konie pociągowe wyteżały mięśnie, prychając głośno.

- Przesuńcie te wozy do przodu! - rozkazał rykiem Galdar. - Piechota, ustaw się w linię w poprzek drogi, z opar - ciem o brzeg rzeki. Kapitanie Samuval, ustaw swoich ludzi za szeregiem piechoty.

- Nie - sprzeciwiła się Mina. Choć nie podnosiła głosu, wypowiedziane przez nią słowo zabrzmiało jak dźwięk trąby. Wszyscy stanęli jak wryci. Hałasy i krzyki ucichły. Mężczyźni zwrócili twarze w jej stronę. - Nie będziemy walczyć z ogrami. Uciekniemy przed nimi.

- Będą nas gonić, Mino - zaprotestował Samuval. Nie uda nam się ich prześcignąć. Musimy walczyć!

- Woźnice - zawołała dziewczyna, ignorując jego opinię - przetnijcie lejce!

- Mino! - wsparł sprzeciw Samuvala minotaur. - Nie możemy zostawić zapasów!

- Wozy spowolnią nasz marsz - skwitowała dziewczyna. - Lepiej niech spowalniają ogrów.

Galdar wytrzeszczył oczy. Z początku nie pojmował jej planu, lecz nagle wszystko zrozumiał.

- To może się udać - stwierdził, rozważając kolejne szczegóły.

- Na pewno się uda - oznajmił radośnie Samiwal. Zostawimy ogrom wozy, tak jak ktoś mógłby rzucić ochłap mięsa stadu ścigających go wygłodniałych wilków. Ogrzy grasanci nie oprą się takiej pokusie.

- Piechota, ustawić się w podwójną kolumnę i przygotować do wymarszu. Będziecie musieli biec - oznajmiła ludziom Mina - ale nie wpadajcie w panikę. Będziecie biegli aż do chwili, gdy zupełnie opadniecie z sił, a potem będziecie biegli jeszcze szybciej.

- Może smoki przyjdą nam z pomocą - zauważył Samuwal, zerkając ku niebu. - O ile jeszcze tam są.

- Są - warknął minotaur - ale nas nie uratują. Jeśli wszyscy zginiemy z rąk ogrów, Targonne zaoszczędzi na kosztach egzekucji.

- Nie wszyscy zginiemy - zapewniła krótko Mina. Przyprawdźcie tu poddowódcę Paregina.

- Jestem tutaj, Mino!

Oficer przepchał się między swoimi ludźmi, którzy pośpiesznie formowali szyk.

- Paregin, czy jesteś mi wierny?

- Tak, Mino - zapewnił stanowczo.

- Prosiłeś o szansę udowodnienia tej wierności.

- Tak, Mino - potwierdził, lecz tym razem jego głos się załamał.

- Ocaliłam ci życie - ciągnęła dziewczyna. Krzyki i wrzaski ogrów rozbrzmiewały coraz bliżej. Ludzie oglądali się niespokojnie za siebie. - I dlatego twoje życie należy do mnie.

- Tak, Mino - powtórzył.

- Poddowódcu Paregin, zostaniesz ze swoimi ludźmi bronić wozów. Zatrzymacie ogrów tak długo, jak to tylko możliwe, dając nam w ten sposób czas na ucieczkę.

Paregin przełknął ślinę.

- Tak, Mino - rzekł raz jeszcze, tym razem zupełnie bezdźwięcznym głosem.

- Będę się za ciebie modliła, Paregin - oznajmiła cicho Mina, wyciągając do niego rękę. - Za ciebie i za wszystkich, którzy z tobą zostaną. Jedyne Bóg błogosławi was i akceptuje waszą ofiarę. Zajmijcie pozycje.

Paregin ujął jej dłoń i przycisnął ją z szacunkiem do ust. Sprawiał wrażenie przepelnionego

uniesieniem, pogrążonego w zachwycie. Wróciwszy do żołnierzy, wydał im rozkazy podekscytowanym tonem, jakby właśnie otrzymali od Myny wspaniałą nagrodę. Galdar obserwował ich uważnie i zauważył, że ludzie Paregina bez oporów wykonują rozkazy, choć w praktyce oznaczały one dla nich wyrok śmierci, i nie myślą o ucieczce. Niektórzy wyglądali na oszołomionych, inni mieli zacięte twarze, wszyscy jednak byli zdeterminowani i nieustępliwi. Ustawili się między wozami pełnymi beczek z wołowiną i ale, worków mąki, narzędzi kowalskich, mieczy, tarcz, zbroi, namiotów i sznurów.

- Ogrowie pomyślą, że święta zimowe przysły w tym roku wcześniej - zauważył Samuval.

Galdar skinął głową, lecz nie skomentował jego wypowiedzi ani słowem. Cofnął się w myślach do Przesmyku Beckarda, przypomniał sobie, jak Mina kazała mu zapakować dodatkowe zapasy. Wzdłuż jego kręgosłupa przebiegł dreszcz. Futro mu się zjeżyło. Czy już wtedy wiedziała, co się stanie? Czy zesłano jej wiedzę o tym, co się wydarzy? Czy wszystko to przewidziała? Czy ich przyszłość była z góry określona? Czy postanowiła wysłać Paregina na śmierć już tego dnia, gdy uratowała mu życie? Minotaurem na moment owładnęła panika. Nagle zapragnął rzucić się do ucieczki, tylko po to, aby udowodnić sobie, że może to zrobić. Że nadal jest panem własnego losu i nie utonął jak owad w jej bursztynowych oczach.

- O zmierzchu dotrzemy do Silvanesti - zapowiedziała Mina.

Galdar spojrział na nią. Serce ścisnęło mu strach i bojaźń.

- Wydaj rozkaz wymarszu, Galdarze. Ja podyktuję tempo. Zsiadła z konia i wręczyła wodze jednemu ze swych rycerzy. Zajęła miejsce na czele kolumny i zawołała głosem słodkim i zimnym jak srebrny blask księżyca: - Na Silvanesti! Ku zwycięstwu!

Ruszyła naprzód szybkim marszem, stawiając długie kroki. Z początku nie wysilała się zbytnio, czekając aż jej mięśnie się rozgrzeją. Żołnierze słyszeli głosy nadciągających ogrów i nie potrzebowali dodatkowej zachęty, aby podążyć za nią.

Galdar mógł uciec między wzgórz. Mógł zgłosić się na ochotnika i zostać ze skazaną na zagładę tylną strażą. I mógł podążać za Miną aż po kres życia. Gdy ruszył za nią, nagrodziła go uśmiechem.

- Za Minę - krzyknął poddowódca Paregin. Stał obok pełnego zapasów wozu i słuchał bojowych okrzyków ogrów.

Ścisnął mocno w dłoni miecz, czekając na śmierć.

Wozy nie spowalniały już marszu armii Myny, która posuwała się naprzód w błyskawicznym tempie, poganiana krzykami i wyciem ogrów. Każdy z żołnierzy słyszał dobiegające z tyłu odgłosy walki, każdy wyobrażał sobie, co się tam dzieje i mógł na podstawie dźwięków odtworzyć przebieg bitwy. Wrzaski rozwścieczonych ogrów, krzyki umierających ludzi. Szalone wycie radości - to ogrowie odkryli wozy. Cisza. Grasanci rabowali wozy i rąbali na kawałki ciała zabitych wrogów.

Żołnierze biegli tak, jak zapowiedziała Mina. Biegli tak długo, aż opuściły ich siły, a potem kazała im biec jeszcze szybciej. Tych, którzy padli, zostawiano. Mina nikomu nie pozwalała udzielić im pomocy, co jeszcze bardziej skłaniało ludzi do poruszania obolałymi nogami. Gdy tylko któryś z nich pomyślał, że nie ma już sił, wystarczyło, że spojrzął na czoło kolumny, na szczupłą, wątłą dziewczynę zakutą w płytową zbroję i kolczugę. Mina szła pierwsza, ani na moment nie zwalniając, nie zatrzymując się ani nie oglądając za siebie, żeby sprawdzić, czy ktoś za nią idzie. Jej niezachwiana odwaga, nieposkromiony duch i wiara stały się sztandarem, za którym podążali żołnierze.

Zgodziła się tylko na krótki odpoczynek. Ludzie wypili na stojąco parę łyków wody. Nie pozwoliła im usiąść ani się położyć, w obawie, że mięśnie im zeszywnieją i nie będą mogli wznowić marszu. Tych, którzy osunęli się na ziemię, zostawiono. Jeśli odzyskają siły, będą mogli powlec się za nimi.

Cienie robiły się coraz dłuższe. Żołnierze nie przestawali biec. Z początku oficerowie nadawali forsowne tempo śpiewem, lecz wkrótce nikt nie miał już sił na nic poza oddychaniem. Z każdym krokiem zbliżali się jednak do miejsca przeznaczenia - tarczy, która osłaniała granice Silvanesti.

Minotaur zauważył z zaniepokojeniem, że Mina traci siły. Potknęła się kilkakrotnie, a potem upadła.

Podbiegł do niej.

- Nie - wydyszała, odtrącając jego dłoń. Wstała, przeszła chwiejnie kilka kroków i znowu się przewróciła.

- Mino - odezwał się Galdar - tu jest twój koń, Zimny Ogień. W każdej chwili możesz go dosiąść. To nie wstyd jechać konno.

- Moi żołnierze biegną - odparła słabym głosem. - Bę - de biegła razem z nimi. Nie mogę żądać od nich tego, czego sama nie potrafię dokonać!

Spróbowała się podnieść, lecz nie mogła się utrzymać na nogach. Z zaciętą twarzą zaczęła się czołgać na rękach i kolanach. Niektórzy żołnierze dopingowali ją głośnymi okrzykami, lecz wielu innych płakało.

Galdar uniósł dziewczynę w ramionach. Sprzeciwiła się i kazała, aby postawił ją na ziemi.

- Jeśli to zrobię, znowu się przewrócisz. To ty będziesz spowalniała nasz marsz, Mino - tłumaczył Galdar. - Żołnierze nie zgodzą się ciebie opuścić i nie dotrzemy o zmierzchu do Silvanesti. Wybór należy do ciebie.

- Masz rację - zgodziła się po chwili bolesnej walki z własną słabością. - Pojadę konno.

Pomógł jej dosiąść Zimnego Ognia. Osunęła się bezwładnie w siodło, tak zmęczona, że minotaur przez chwilę bał się, iż dziewczyna spadnie na ziemię. Potem zacisnęła zęby i

wyprostowała się.

Spojrzała na niego z góry z chłodnym błyskiem w bursztynowych oczach.

- Nigdy więcej nie sprzeciwiaj się moim rozkazom, Galdarze - ostrzegła go. - Martwy możesz służyć Jedynemu Bogu równie dobrze jak żywy.

- Tak jest, Mino - odparł cicho.

Ścisnęła wodze w dłoniach, zmuszając konia do cwału.

Przewidywania Mino okazały się słuszne. Jej armia przed zachodem słońca dotarła na lesiste tereny otaczające tarczę. Tu zatrzymamy się na noc - oznajmiła, zsuwając się z wyczerpanego rumaka.

- Co za choroba dotknęła to miejsce? - zapytał minotaur, spoglądając na uschnięte i usychające drzewa oraz na martwe zwierzęta leżące przy szlaku. - Czy jest przeklęte?

- W pewnym sensie. Znajdujemy się blisko tarczy - wyjaśniła Mina, przyglądając się z uwagą wszystkiemu, co ją otaczało. - Te zniszczenia, które widzisz, to skutek jej działania.

- Tarcza przynosi śmierć? - zapytał zaniepokojony minotaur.

- Wszystkiemu, co jej dotknie - potwierdziła dziewczyna.

- A my musimy się przez nią przedrzeć?

- Przez nianie można się przedrzeć - odparła spokojnie Mina. - Nie przebija jej żadna broń. Nie może jej rozbić żadna moc, nawet magia najpotężniejszych smoków. Elfowie pod wodzą swej królowej-wiedźmy atakowali ją przez wiele miesięcy, lecz bez żadnego rezultatu. Legion Steela rzucał przeciw niej swych rycerzy i również nic nie osiągnął.

- Popatrz. - Wyciągnęła rękę. - Tarcza leży bezpośrednio przed nami. Możesz ją zobaczyć, Galdarze. Za nią czeka na nas Silvanesti i zwycięstwo.

Minotaur przymrużył powieki. Czerwony blask zachodzącego słońca odbijał się w wodach Thon-Thalasu, zmieniając go w rzekę krwi. Z początku nic nie widział, lecz po chwili drzewa przed nim zafalowały, jakby odbijały się w zabarwionej posoką wodzie. Potarł oczy, myśląc, że to objaw zmęczenia. Zamrugnął powiekami i ponownie wpatrzył się przed siebie. Drzewa znowu zafalowały. Zdał sobie sprawę, że widzi zniekształcenia spowodowane przez magię tarczy.

Podszedł bliżej, ogarnięty fascynacją. Teraz, gdy wiedział, gdzie szukać tarczy, miał wrażenie, że dostrzegają samą. Wydawała się całkiem przezroczysta, lecz w tej przezroczystości było coś oleistego, jak w bańce mydlanej. Wszystko, co znajdowało się za barierą - drzewa, głązy, zarośla i trawa - wydawało się rozchwiane i niematerialne.

Zupełnie jak armia elfów - pomyślał i nagle uznał to za dobry znak. Nadal jednak musieli przedostać się przez tarczę.

Oficerowie rozkazali żołnierzom się zatrzymać. Wielu ludzi natychmiast padło na ziemię twarzami do przodu. Niektórzy dyszeli spazmatycznie, inni łkali z bólu wywołanego kurczami mięśni. Jeszcze inni leżeli zupełnie bez ruchu, jakby śmiertelna klątwa, która dotknęła okolicznych drzew, spadła również i na nich.

- Zważywszy wszystko razem - warknął pod nosem Galdar do kapitana Samuvala, który stał dysząc obok - gdybym miał wybór między rzuceniem się na tę tarczę i walką z ogrami, chyba wybrałbym ogrów. W ich przypadku przynajmniej wiemy, czego się spodziewać.

- Święta racja, przyjacielu - zgodził się kapitan Samuval, gdy już odzyskał nieco tchu w piersiach i był w stanie coś wysapać. - Tu jest naprawdę niesamowicie.

Wskazał głową w kierunku migotliwej bariery.

- Bez względu na to, co zrobimy, lepiej się pośpieszmy. Może udało się nam nieco zahamować pościg ogrów, ale wkrótce z pewnością nas dopadną, - Sądzę, że rano - zgodził się Galdar, osuwając się na ziemię. Połóż! się na plecach. Nigdy w życiu nie był taki zmęczony. - Znam ogrzych grasantów. Ograbienie wozów i wyrznięcie naszych ludzi zajmie im trochę czasu, ale wkrótce zaczną szukać nowej rozrywki i dalszych łupów. Idę o zakład, że już zmierzają naszym tropem.

- A my jesteśmy tak cholernie zmęczeni, że nigdzie nie uciekniemy, nawet gdybyśmy mieli dokąd pójść - dodał kapitan Samuval, kładąc się obok niego. - Nie wiem jak ty, ale ja nie mam nawet siły unieść ręki, aby odegnąć komara, nie mówiąc już o ataku na magiczną tarczę.

Zerknął z ukosa na Minę, która jako jedyna w całej armii nie usiadła. Stała, wpatrując się intensywnie w tarczę, a przynajmniej w miejsce, gdzie powinna się ona znajdować. Szybko zapadała noc i nie było już widać spowodowanego przez barierę zniekształcenia.

- Wydaje mi się, że to koniec, przyjacielu - rzekł cicho minotaurowi kapitan Samuval. - Nie zdołamy się przedrzeć przez tę magiczną tarczę. Rano dopadną nas ogrowie. Oni są z tyłu, tarcza z przodu, a my w środku. Cały ten szaleńczy bieg na nic się nam nie zdał.

Galdar nie odpowiedział. Nie opuściła go wiara, był jednak zbyt zmęczony, żeby się spierać. Mina miała plan. Nie zaprowadziłyby ich w ślepą uliczkę, w której wyróżną ich ogrowie.

Nie miał pojęcia, na czym ten plan mógłby polegać, ale poznał już Minę i moc jej Boga na tyle dobrze, że wierzył, iż dziewczyna jest w stanie dokonać niemożliwego.

Mina ruszyła ku tarczy, mijając szare, uschnięte drzewa. Wokół niej na ziemię spadały martwe gałęzie. Pod butami chrzęściły suche liście. Przypominający popiół pył pokrywał jej ramiona i ogoloną głowę perłowoszarą płaszczem. Dziewczyna szła przed siebie, aż wreszcie zatrzymała ją niewidzialna bariera.

Mina wyciągnęła rękę i naparła nią na tarczę. Galdarowi wydawało się, że niematerialna bańka mydlana musi ustąpić. Dziewczyna cofnęła szybko dłoń, jakby dotknęła ostu i się ukłuła. Galdar miał wrażenie, że po tarczy przebiegła drobna fala, mógł to jednak być jedynie wytwór jego

wyobraźni. Mina uniosła morgenstern i walnęła nim w tarczę. Broń wypadła jej z dłoni od siły uderzenia. Dziewczyna wzruszyła ramionami i schyliła się po oręż. Potwierdziwszy to, co wiedziała z raportów, wróciła przez las śmierci do swego oddziału.

- Co nam rozkażesz, Mino? - zapytał Galdar. Popatrzyła na swych żołnierzy, którzy leżeli na szarej ziemi niczym trupy.

- Ludzie sprawili się dobrze - stwierdziła. - Są wyczerpani. Rozbijemy tu obóz. Sądzę, że to wystarczająco blisko - dodała, spoglądając na tarczę. - Tak, to powinno wystarczyć.

Galdar nie zapytał: „Wystarczy do czego?”. Nie miał na to sił. Podniósł się z wysiłkiem.

- Pójdę wyznaczyć warty...

- Nie - sprzeciwiła się, kładąc dłoń na jego ramieniu. - Dzisiaj nie wystawimy wart. Wszyscy muszą się przespać.

- Nie wystawimy wart! - zdumiał się minotaur. Ależ, Mino, ścigają nas ogrowie...

- Dotrą tu rano - przerwała mu. - Ludzie powinni się najeść, jeśli są głodni, a potem niech idą spać.

Co mieliby zjeść? - zadał sobie pytanie Galdar. Ich prowiantem wypełnili sobie brzuchy ogrowie. Ci, którzy rozpo - częli szaloną ucieczkę obciążeni pakunkami, dawno już rzucili je na ziemię obok traktu. Wiedział jednak, że lepiej nie zadawać pytań.

Zwołał oficerów i przekazał im rozkazy Mino. Ku zaskoczeniu minotaura, specjalnie nie protestowano. Żołnierze byli zbyt zmęczeni. Nic ich już nie obchodziło. Jak zauważył jeden z nich, wystawienie wart nie dałoby im wiele. Jeśli przybędą ogrowie, wszyscy i tak wkrótce się obudzą. Obudzą się, aby zginąć.

Galdarowi burczało w brzuchu, lecz był zbyt zmęczony, aby iść poszukać czegoś do jedzenia, a z pewnością nie zamierzał jeść niczego, co rosło w przeklętym lesie. Zadał sobie pytanie, czy magia, która wyssała życie z drzew, zrobi z nimi to samo podczas nocy. Wyobraził sobie, że ogrowie zjawiają się rano i znajdują jedynie wysuszone trupy. Uśmiechnął się na tę myśl.

Noc była czarna jak śmierć. Zaplątane w czarne gałęzie szkieletowatych drzew gwiazdy wydawały się małe i wątle. Galdar był zbyt oglupiały ze zmęczenia, aby pamiętać, czy tej nocy ma wzejść księżyc. Miał nadzieję, że nie. Im mniej zobaczy z tego ohydneho lasu, tym lepiej. Idąc potykał się o śpiących. Kilku z nich jęknęło, a kilku zakłęto. Tylko to świadczyło, że jeszcze żyją.

Wrócił do miejsca, w którym zostawił dziewczynę, lecz już jej tam nie zastał. Nie potrafił wypatrzeć jej w ciemności i jego serce przeszył bezimienny strach, jaki czuje dziecko, gdy zostanie samo pośród nocy. Nie odważył się zawołać Mino po imieniu. Panująca tu cisza była ciszą świątyni, miała w sobie coś przerażającego i bał się ją zmać. Musiał jednak odnaleźć dziewczynę.

- Mino! - wysyczał przeraźliwym szeptem.

- Tu jestem, Galdarze - odpowiedziała.

Okrążył zagajnik martwych drzew i znalazł ją. Siedziała oparta o ułamany konar, który spadł z potężnego dębu. Jej blada twarz lśniła jaśniej niż księżyc. Zadał sobie pytanie, jak mógł jej nie zauważyć.

- Czterystu pięćdziesięciu żołnierzy, Mino - zameldował, chwiejąc się na nogach.

- Usiądź - rozkazała.

- Trzydziestu zostało z wozami. Dwudziestu dalszych padło na trakcie. Niektórzy z nich mogą nas jeszcze dogonić, jeśli wcześniej nie dopadną ich ogrowie.

Skinęła bezgłośnie głową. Galdar usiadł na ziemi. Wszystkie mięśnie go bolały. Jutro będzie sztywny i obolały. Nie tylko on.

- Wszyscy już śpią. Ziewnął szeroko.

- Ty też powinieneś się przespać, Galdarze.

- A co z tobą?

- Ja będę czuwała. Posiedzę tu chwilę. Niedługo. Nie martw się o mnie.

Położył się u jej stóp, wspierając głowę na stercie suchych liści, które chrzęściły przy każdym jego ruchu. Podczas tej piekielnej ucieczki był w stanie myśleć jedynie o błogosławionej nocy, która pozwoli mu się położyć, odpocząć, zasnąć. Rozprostował kończyny, zamknął oczy i zobaczył, że stoi na ścieżce, która ciągnęła się daleko w bezkres. Biegł i biegł, a bezkres ciągle przed nim uciekał. Ścieżka wiła się i pulsowała, aż wreszcie owinęła się wokół jego stóp niczym wąż. Potknął się i runął głową naprzód w rzekę krwi.

Obudził się nagle z ochryłym krzykiem.

- Co się stało?

Mina nadal siedziała na kłodzie. Nigdzie nie poszła.

- Ten cholerny bieg! - zaklął Galdar. - Widzę we śnie drogę. Nie mogę spać. Nic z tego nie będzie.

Nie stanowił wyjątku. Wszędzie słychać było głośnie dyszenie, nerwowe poruszenia, jęki, kasznięcia oraz szepty pełne strachu, rozpacz i poczucia zagubienia. Mina wsłuchała się w nie, potrząsnęła głową i westchnęła.

- Połóż się, Galdarze - poleciła. - Połóż się. Zaśpiewam ci kołysankę i wtedy zaśniesz.

- Mino... - Galdar chrząknął zażenowany. - Nie musisz tego robić. Nie jestem dzieckiem.

- Jesteś dzieckiem, Galdarze - rzekła cicho. - Wszyscy jesteśmy dziećmi. Dziećmi Jedyne-
Boga. Połóż się. Zamknij oczy.

Galdar wykonał polecenie. Położył się, zacisnął powieki i znowu ujrzał przed sobą drogę.
Biegł, uciekał przed śmiercią...

Mina zaczęła śpiewać. Jej głos był cichy, niewyszkolony i ochrypły, lecz mimo to była w nim
słodycz i jasność, która wnikała w głąb duszy.

Dzień już się skończył i w naszej mocy

Nie leży powstrzymanie nocy.

Kwiaty śpią i my zamknijmy oczy,

To dnia ostatnie już tchnienie.

Czarna noc wszędzie zaległa

Tam, gdzie gwiazd dusze odległych

Od świata, którym władają

Smutek, strach, śmierć i zniszczenie.

Zaśnij, mój miły, zaśnij na wieki.

Zaciśnij mocno obie powieki.

Nie bój się nocy czarnej opieki.

Zaśnij, mój miły, zaśnij na wieki.

Nasze dusze mrok wkrótce pochłonie,

Skryjemy się w jego zimnej toni.

W pustce Pani, która w dłoniach

Trzyma nitki naszych losów.

Wojownicy, śnijcie o ciemności,

Poczujcie dotyk słodkiej radości

Małżonki Nocy i jej miłości

do tych, którzy słuchają jej głosu.

Zaśnij, mój mity, zaśnij na wieki.

Zaciśnij mocno obie powieki.

Nie bój się nocy czarnej opieki.

Zaśnij, mój mify, zaśnij na wieki.

Zamknijmy oczy, oddech wstrzymajmy,

Wszyscy się woli jej dziś poddajmy

I swe słabości szybko wyznajmy,

Karku przed nią zginając.

Potęga ciszy niebo przesłania,

Nikt z nas nie zdoła pojąć otchłani.

Co wszystkie nasze dusze pochłania,

Kres strachom i smutkom dając.

Zaśnij, mój miły, zaśnij na wieki.

Zaciśnij mocno obie powieki.

Nie bój się nocy czarnej opieki.

Zaśnij, mój miły, zaśnij na wieki.

Galdar poczuł, że zapada w letarg, ospałość podobną do odczuwanej przez tych, którzy wykrwawiają się na śmierć. Jego kończyny zrobiły się ciężkie, podobnie jak całe ciało. Tak ciężkie, że miał wrażenie, iż zapada się w ziemię. Tonie w miękkiej glebie, popiele martwych roślin oraz w liściach, opadających na niego niczym ziemia rzucana na mogiłę.

Był spokojny. Nie znał strachu. Odplynęła od niego świadomość.

Krasnoludowie zwali tę pieśń Gamashinoch. Pieśnią Śmierci.

Smoczy jeźdźcy Targonne'a poderwali smoki do lotu z pierwszym brząskiem, mknąc nisko nad lasami ogrzej krainy Blóde. Wczoraj obserwowali z góry, jak mała armia ucieka przed ogrzymi grasantami. O ile wzrok ich nie mylił, żołnierze byli bliscy paniki. Porzucili swe tabory, zostawiając je napastnikom. Jeden z jeźdźców zauważył skwaszony, że Targonne nie ucieszy się na wiadomość, iż ekwipunek wart kilkaset sztuk stali zdobi teraz ciała ogrów.

Mizerna armia uciekała na oślep, zdołała jednak zachować szyk. Trasa ich ucieczki prowadziła donikąd. Żołnierze biegli prosto na magiczną tarczę otaczającą Silvanesti. Armia zatrzymała się przed nią na noc. Wszyscy byli doszczętnie wyczerpani i nie mogli już dalej biec, nawet gdyby mieli dokąd.

Doszczętnie obrabowanie taborów zajęło ogrzym grasantom parę godzin. Gdy nie zostało już nic do jedzenia i ukradli wszystko, co dawało się ukraść, ruszyli dalej na południe, podążając śladem znienawidzonych ludzi, których zapach wprowadzał ogrów w szal bitewny.

Smoczy jeźdźcy mogliby poradzić sobie z ogrami. Niebieskie smoki rozprawiłyby się z bandą grasantów bez większych trudności. Jeźdźcom wydano jednak rozkazy. Mieli obserwować zbuntowaną rycerkę i jej armię fanatyków. Nie wolno im było interweniować. Jeśli ogrowie zniszczą oddział mający dokonać inwazji na Silvanesti, nie będzie można winić o to Targonne'a. Pan Nocy wielokrotnie powtarzał Malys, że powinno się przegnać ogrów z Blóde, eksterminować ich jak kenderów. Być może następnym razem go posłucha.

- Tam są - odezwał się jeden z jeźdźców, gdy jego smok zataczał krąg nisko nad lasem. - Na Martwej Ziemi. W tym samym miejscu, w którym zostawiliśmy ich wczoraj. Nigdzie nie poszli. Może już nie żyją. Z pewnością na to wyglądają.

- Jeśli nawet żyją, to wkrótce zginą - stwierdził jego dowódca.

Ogrowie tworzyli czarną, zbitą masę, która poruszała się niczym szlam traktem biegnącym wzdłuż tego, co rycerz nazwał Martwą Ziemią, czyli szarej strefy śmierci wyznaczającej granicę tarczy, granicę Silvanesti.

Smoczy jeźdźcy przyglądali się temu z zainteresowaniem, z niecierpliwością oczekując bitwy, która pozwoli im zakończyć uciążliwe zadanie i wrócić do koszar w Khur. Spokojnie obserwowali wydarzenia.

- Widzicie to? - zapytał nagle jeden z nich, pochylając się do przodu.

- Zniżyć lot - rozkazał dowódca.

Smoki opuściły się nieco, poruszając łagodnie skrzydłami w przedświtowym wietrze. Jeźdźcy wytężali ze zdumieniem wzrok.

- Panowie - odezwał się po chwili dowódca, odrywając spojrzenie od niezwykłego widoku - sądzę, że powinniśmy polecieć do Jelek i osobiście zameldować o tym Targonne'owi. W przeciwnym razie może nam nie uwierzyć.

Galdara obudziło granie rogu. Minotaur zerwał się na nogi, nim jeszcze odzyskał w pełni świadomość. Poszukał dłonią rękojeści miecza.

- Ogrowie atakują! W szeregu zbiórka!

Samuwał zdzierał sobie głos, budząc kopniakami śpiących żołnierzy.

- Mino! - Galdar szukał wzrokiem dziewczyny, zdeterminowany jej bronić, a jeśli nie zdoła tego dokonać, zabić ją, aby nie wpadła żywcem w łapy ogrów. - Mino!

Znalazł ją w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Siedziała w rozwidleniu konaru uschłego dębu. Na jej kolanach spoczywał morgenstern.

- Mino - wołał Galdar, tratując szary popiół i zeschnięte liście - szybko! Możesz jeszcze mieć szansę ucieczki!

Spojrzała na niego i zaczęła się śmiać.

Przerażony tą reakcją minotaur wytrzeszczył oczy. Nigdy dotąd nie słyszał jej śmiechu. Brzmiał on słodko i radośnie, jak śmiech dziewczyny biegnącej na spotkanie z kochankiem. Mina wspięła się na pień martwego drzewa.

- Odłóżcie broń! - zawołała. - Ogrowie nic nam nie zrobią.

- Oszalała! - stwierdził Samuwał.

- Nie - zaprzeczył Galdar, wytrzeszczając ze zdumienia °czy. - Spójrz.

Ogrowie ustawili się w linię w odległości niespełna dzie - sięciu stóp od nich. Tańczyli dziko w szeregu. Wrzeszczeli, ryczeli, zgrzytali zębami, bełkotali i przeklinali. Znajdowali się tak blisko, że nozdrza minotaura marszczyły się od ich ohydny smrodu. Podskakiwali w górę, kopali nogami i uderzali pięściami, wymachiwali bronią w morderczym gniewie.

Morderczym, bezsilnym gniewie. Wróg był wyraźnie widoczny, lecz równie dobrze mógłby bawić pośród gwiazd. Drzewa stojące między Galdarem a ogrami migotały w bladym świetle poranka, falowały niczym śmiech Miny niosący się w szarym powietrzu świtu. Ogrowie walili głowami o tarczę, niewidzialną tarczę, magiczną tarczę. Nie byli w stanie jej sforsować.

Minotaur przyglądał się ogrom, chcąc się upewnić, że nie zdołają dosięgnąć jego ani jego towarzyszy. Wydawało mu się niemożliwe, by w końcu przebili się w jakiś sposób przez niezwykłą, niewidzialną barierę, ostatecznie jednak musiał przyznać, że to prawda. Liczni ogrowie odsunęli się od bariery, wyraźnie przerażeni jej magią. Inni po prostu zmęczeni się tłuczeniem głową o niewidzialną przeszkodę. Jeden po drugim odwracali się owłosionymi plecami do ludzkiej armii, którą widzieli, lecz nie mogli jej tknąć. Ich krzyki zaczęły cichnąć. Obsypując nieprzyjaciół na pożegnanie pogroźkami i nieprzystojnymi gestami, oddalili się i zniknęli w lesie.

- Sforsowaliśmy tarczę! - krzyknęła triumfalnie Mina. - Jesteście w Silvanesti i nic wam nie grozi! Ujrzyjcie moc Jedynego Boga!

Ludzie wytrzeszczali oczy, nie potrafiąc pojąć cudu, który był ich udziałem. Mrugali powiekami i rozdziawiali usta. Przypominali Galdarowi więźniów, którzy większą część życia spędzili w mrocznych celach i nagle wypuszczono ich w jasne światło słońca. Kilku krzyknęło, lecz niezbyt głośno, jakby bali się znać czar. Inni pocierali oczy, jeszcze inni wątpili, czy są przy zdrowych zmysłach, wszyscy jednak widzieli plecy ogrów - wycofujących się ogrów - i ten widok jednoznacznie świadczył, że żołnierze nie padli ofiarą halucynacji. Jeden po drugim padali na kolana przed Miną i wciskali twarze w szary popiół. Nie wykrzykiwali triumfalnie jej imienia, nie tym razem. Chwila była zbyt święta, zanadto wzniosła. Oddawali Minie hołd z bezgłosną czią i bojaźnią.

- Wstawajcie! - krzyknęła dziewczyna. - Łapcie za broń. Dzisiaj pomaszerujemy na Silvanost. I żadna moc na świecie nas nie powstrzyma!

Twarze.

Unosiły się nad nim twarze. Kołysały się na falującej tafli bólu. Gdy Gerard podpływał do powierzchni, wydawały się bardzo bliskie - niezwykle twarze, pozbawione wyrazu, trupy utopione w mrocznym morzu, które go pochłonięło. Pod powierzchnią ból był najgorszy, a do tego nie podobało mu się, gdy twarze bez twarzy znajdowały się zbyt blisko. Dlatego opadał z powrotem w ciemność. Jakaś część jego jaźni szeptała, że powinien zaprzestać walki, poddać się żywiołowi i również stać się jedną z tych twarzy.

Mógłby tak postąpić, gdyby nie silna dłoń, która ścisnęła go, gdy ból był najsilniejszy i nie pozwalała mu utonąć. Przyzwyczajony do posłuszeństwa Gerard robił to, co nakazał mu głos. Nie utonął, lecz unosił się w mrocznej wodzie, czepiając się trzymającej go pewnie ręki. W końcu dotarł na brzeg, wygramolił się z bólu, osunął na ziemię świadomości i zapadł w głęboki, spokojny sen.

Kiedy się obudził, był głodny i przyjemnie ospały. Zastanawiał się, gdzie jest, jak się tu znalazł i co się z nim stało. Twarze, które widział w malignie, stały się teraz prawdziwe, lecz ich widok bynajmniej nie przyniósł mu pocieszenia. Były to zimne, obojętne, pozbawione wyrazu twarze mężczyzn i kobiet, odzianych w długie czarne szaty ozdobione srebrnym obszyciem.

- Jak się czujesz? - zapytała jedna z kobiet, pochylając się nad nim i dotykając zimną ręką jego szyi, aby wyczuć tętno. Jej czarny rękaw opadł Gerardowi na twarz i lycerz zrozumiał, skąd wzięła się wizja mrocznych wód, w których zdawał się tonąć.

- Lepiej - odpowiedział ostrożnie. - Jestem głodny.

- To dobry znak. Tętno nadal masz słabe. Każę jednemu z akolitów przynieść ci trochę wołowego rosołu. Straciłeś wiele krwi i wołowina pozwoli ci nadrobić tę stratę.

Gerard rozejrzał się dookoła. Leżał w łóżku w wielkiej sali, w której stały też inne łóżka. Większość z nich była pusta. Po pomieszczeniu krzątały się inne odziane na czarno postacie. Miały na nogach pantofle i stąpały bezgłośnie. Powietrze przesyciła ostra woń ziół.

- Gdzie jestem? - zapytał zdziwiony Gerard. - Co się stało?

- Jesteś w szpitalu naszego zakonu, panie rycerzu - odparła uzdrowicielka. - W Qualinesti. Najwyraźniej wpadłeś w zasadzkę elfów. Nie wiem na ten temat nic więcej. - I nie obchodziło jej to, sądząc po zimnym wyrazie twarzy kobiety.

- Marszałek Medan znalazł cię i dostarczył tu przedwczoraj. Ocalił ci życie.

- Elfowie mnie zaatakowali? - zdumiał się Gerard.

- Nic więcej nie wiem - odparła uzdrowicielka. - Nie jesteś moim jedynym pacjentem. Musisz zapytać o to marszałka. Wkrótce tu przyjdzie. Przychodzi co rano, aby siedzieć u twego boku.

Gerard przypomniał sobie silną dłoń, mocny, rozkazujący głos, stanowczą obecność. Odwrócił się, powoli i boleśnie. Rany mocno mu przewiązano, a mięśnie miał słabe od leżenia w łożu. Ujrzał swą zbroję - swą czarną zbroję - którą wyczyszczono, wypolerowano i ustawiono na stojaku obok łoża.

Zamknął oczy z jękiem tak głośnym, że uzdrowicielka z pewnością pomyślała, iż doszło do nawrotu. Przypomniał sobie wszystko, a przynajmniej prawie wszystko, co się wyda - rzyło - jak walczył z dwoma Rycerzami Neraki, jak ugodziła go strzała, jak wyzwał do walki trzeciego rycerza...

Nie pamiętał jednak, aby zaatakowali go elfowie.

Pojawił się młody mężczyzna niosący tacę, na której przyniósł miskę rosolu, kromkę chleba oraz kubek.

- Czy mam ci pomóc, panie rycerzu? - zapytał uprzejmie. Gerard wyobraził sobie, że karmią go łyżeczką niczym dziecko.

- Nie - odparł. Zdołał jakoś usiąść, choć kosztowało go to sporo bólu i wysiłku.

Młodzieniec postawił tacę na jego kolanach i usiadł na krześle, aby obserwować, jak Gerard będzie jadł.

Rycerz umaczał chleb w rosoli i wypił czystą, chłodną wodę z kubka, zastanawiając się, w jaki sposób poznać prawdę.

- Jak rozumiem, jestem tu więźniem - rzekł do młodzieńca.

- Ależ nie, panie rycerzu! - akolita był wyraźnie zdumiony. - Dlaczego tak sądzisz? Wpadłeś w zasadzkę zastawioną przez bandę elfów! - Akolita spoglądał na Gerarda z wyraźnym podziwem. - Marszałek Medan opowiedział o rym wszystkim, gdy tylko cię tu dostarczył. Przyniósł cię osobiście. Pokrywała go twoja krew. Powiedział, że jesteś prawdziwym bohaterem i że mamy nie szczędzić wysiłków, aby otoczyć cię najlepszą możliwą opieką. Trudziło się nad tobą siedmiu czarnych mistyków. Ty więźniem?!

Młody mężczyzna roześmiał się, potrząsając głową.

Gerard odsunął od siebie talerz. Opuścił go apetyt. Wymamrotał, że czuje się słabszy, niż się spodziewał i opadł z powrotem na poduszki. Akolita poprawił mu bandaż, aby się upewnić, czy rany się nie otworzyły. Oznajmił, że są już prawie zagojone, po czym wyszedł, na pożegnanie mówiąc Gerardowi, że powinien się przespać.

Rycerz zamknął oczy, udając że śpi, ale sen nie chciał nadejść. Nie miał pojęcia, o co tu chodzi. Mógł jedynie podejrzewać, że Medan bawi się z nim w jakąś sadystyczną grę, która skończy się dla Gerarda torturami i śmiercią.

Gdy doszedł do tego wniosku, odzyskał spokój i zasnął.

__ Nie, nie budźcie go - rozległ się niski, znajomy głos.

„__ Chciałem tylko zobaczyć, jak się dziś czuje.

Gerard otworzył oczy. Przy łóżku stał mężczyzna w zbroi Rycerza Neraki, przepasany marszałkowską szarfą. Ukończył już pięćdziesiątkę. Twarz miał ogorzałą od słońca, pooraną głębokimi bruzdami, poważną i surową, lecz nie okrutną. To była twarz dowódcy, który potrafi wysyłać swych podkomendnych na śmierć, ale nie sprawiało mu to przyjemności.

Gerard natychmiast się zorientował, że to marszałek Medan.

Laurana mówiła o dowódcy czarnych rycerzy z pewną dozą niechętnego szacunku. Teraz Gerard domyślił się, dlaczego. Medan od trzydziestu lat władał wrogo nastawioną rasą i nie zakładał obozów śmierci, nie wznosił szubienic na rynkach, nie dopuszczał do palenia, rabowania ani bezmyślnego niszczenia elfich domów i sklepów. Pilnował, aby smoczyca płacono należną daninę. Opanował sztukę elfich rozgrywek politycznych i, według Laurany, radził sobie z nią biegle. Miał swoich szpiegów i informatorów. Brutalnie tłumił wszelkie przejawy buntu, lecz robił to po to, aby zachować porządek i stabilność. Krótko trzymał swoich żołnierzy, co stanowiło spory wyczyn w obecnych czasach, gdy Rycerze Neraki rekrutowali się spośród wyrzutków społecznych.

Gerard był zmuszony pożegnać się z myślą, że ten człowiek chce sobie urządzić jego kosztem rozrywkę, drwić z niego i z jego śmierci. W takim razie o co chodziło Medanowi? Skąd wzięła się ta opowieść o ataku elfów?

Usiadł na łóżku i zsalutował, najlepiej jak tylko mógł to zrobić, mając zabandażowaną pierś i rękę. Marszałek mógł być wrogiem, był jednak dowódcą i Gerard powinien mu okazać szacunek należny randze.

Medan odwzajemnił salut i nakazał rycerzowi położyć się z powrotem, żeby nie otworzyły mu się rany. Gerard ledwie go słyszał. Myślał o czymś innym. Cofnął się pamięcią do chwili ataku.

Marszałek nie bez powodu przygotował na nich zasadzkę.

Chciał pojmać Palina i zdobyć artefakt. A to znaczy, że świetnie wiedział, gdzie nas znaleźć - pomyślał rycerz. Ktoś mu powiedział, gdzie i kiedy będziemy.

Ktoś ich zdradził, ale kto? Któryś z domowników Laurany? Trudno było w to uwierzyć, lecz Gerard pomyślał o elfie, który poszedł na „polowanie” i nie wrócił. Może zabili go rycerze. A może nie.

Jego myśli ogarnął szalony zamęt. Co się stało z Palinem i kenderem? Czy udało im się uciec, czy również dostali się do niewoli?

- Jak się czujesz? - zapytał Medan, spoglądając z troską na Gerarda.

- Dziękuję, panie, już znacznie lepiej - odpowiedział młody rycerz. - Chcę ci powiedzieć, że nie ma sensu kontynuować tej maskarady. Być może robisz to z uwagi na moje zdrowie, ale ja wiem,

że jestem twoim jeńcem. Nie musisz mi uwierzyć, ale chcę, abys wiedział, że nie jestem szpiegiem. Jestem..

- Rycerzem solarnijskim - przerwał mu z uśmiechem Medan. - Tak, wiem o tym, sir... - przerwał.

- Jestem Gerard uth Mondar, panie - przedstawił się Gerard.

- A ja jestem marszałek Alexius Medan. Tak, sir Gerardzie, wiem, że jesteś Solamnijszym. - Medan przysunął sobie krzesło i usiadł obok łóżka Gerarda. - Wiem, że jesteś moim jeńcem, ale wolałbym, żebyś mówił ciszej. - Zerknął na czarnych mistyków, którzy krzatali się na drugim końcu sali. - Te dwa fakty pozostaną naszą małą tajemnicą.

- Panie?

Gerard rozdziawił usta z wrażenia. Nie mógłby być bardziej zdumiony, nawet gdyby smoczyca Beryl spadła nagle z nieba i wylądowała w jego zupie.

- Wysłuchaj mnie, sir Gerardzie - zaczął Medan, wspierając mocno dłoń na ramieniu Solamnijszaka. - Gdy cię pojmano, miałeś na sobie zbroję Rycerza Neraki. Utrzymujesz, że nie jesteś szpiegiem, lecz jak sądzisz, kto ci uwierzy? Nikt.

Czy wiesz, jaki los czeka cię jako szpiega? Będziesz przesłuchany przez ludzi, którzy są fachowcami od zmuszania innych do mówienia. Mamy tu, w Qualinesti, nowoczesny sprzęt: łoże tortur, koło, rozgrzane do czerwoności szczypce, łamacze kości. Mamy żelazną dziewicę z jej bolesnym, śmiertelnościami uściskiem. Jestem przekonany, że po paru tygodniach takich przesłuchań z radością powiedziałbyś swym dręczycielom wszystko, co wiesz, a także wiele rzeczy, których nie wiesz. Zrobiłbyś wszystko, aby położyć kres męczarniom.

Gerard otworzył usta, lecz Medan uściśnił boleśnie jego ramię, zmuszając go do milczenia.

- I co byś im zdradził? Opowiedziałbyś o królowej matce. O tym, że Laurana dała schronienie ludzkiemu magowi, który odkrył cenny magiczny artefakt. To dzięki jej interwencji ów mag i jego artefakt są obecnie poza zasięgiem Beryl.

Gerard westchnął z ulgą. Medan przyglądał mu się uważnie.

- Tak myślałem, że ucieszy cię ta wiadomość - stwierdził spokojnie. - Mag uciekł. Smoczyca Beryl nie udało się zdobyć magicznego artefaktu. Czeka cię śmierć. Przywitasz ją z radością, ale to nie uratuje Laurany.

Solamnijszyk słuchał go bez słowa. Szukał jakiegoś wyjścia z sieci logiki Medana, lecz nie potrafił go znaleźć. Chciałby uwierzyć, że potrafi wytrzymać wszelkie tortury i umrzeć, nie powiedziawszy słowa, nie miał jednak pewności. Słyszał o tym, że łoże tortur czyni z ofiary kalekę, gdyż wyrwane ze stawów kończyny nigdy nie wracają w pełni do zdrowia. Opowiadano mu też o innych męczarniach, którym poddawano więźniów. Przypomniawszy sobie powykręcane dłonie i zniekształcone palce Palina. Wyobraził sobie dłonie Laurany, białe, szczupłe, naznaczone

stwardnieniami w miejscach, w których ongiś trzymała miecz.

Gerard raz jeszcze zerknął na odzianych w czarne szaty mistyków, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Medana.

- Czego ode mnie żadasz, panie? - zapytał cicho.

- Nie będziesz zaprzeczał wymyślonej przeze mnie opowieści o walce z elfami. W nagrodę za ten bohaterski czyn zro - bię cię swym adiutantem. Potrzebuję kogoś, komu mógłbym zaufać - dodał z przekąsem marszałek. - Sądzę, że życie królowej matki jest zagrożone. Robię, co mogę, by ją osłaniać, ale to może nie wystarczyć. Potrzebny mi pomocnik, któremu będzie zależało na jej bezpieczeństwie tak samo jak mnie.

- Ale przecież sam ją szpiegujesz, panie - wskazał zdziwiony Gerard.

- Dla jej bezpieczeństwa - odparł Medan. - Zapewniam cię, że nie sprawia mi to przyjemności.

Gerard potrząsnął z niedowierzaniem głową. Znowu spojrzał na marszałka.

- Panie, oto moja odpowiedź. Proszę, abys wydobyl miecz i mnie zabil. Leżę w łóżu i nie jestem w stanie stawiać oporu. Z góry rozgrzeszam cię ze zbrodni morderstwa. Jeśli zginę, nasze problemy znajdą rozwiązanie.

Na posępnej twarzy Medana pojawił się uśmiech.

- Być może wcale nie tak wiele z nich, jak ci się zdaje. Odmawiam, oczywiście. Polubiłem cię, Solamniczku. Widoku walki, którą stoczyłeś, nie oddałbym za wszystkie klejnoty Qualinesti. Większość rycerzy, których znam, rzuciłaby broń i wzięła nogi za pas.

Twarz Medana sposepniała, a w jego głosie pojawiła się nuta goryczy.

- Dni chwały naszego zakonu dawno już minęły. Ongiś mieliśmy za wodza mężczyznę, który wiedział, co to honor i odwaga, syna smoczego władcy i Zeboim, bogini morza. A kto teraz nami dowodzi? - Medan wykrzywił z pogardą usta. - Liczykrupa. Człowiek, który zamiast miecza nosi u pasa mieszki. Ci, których robi rycerzami, nie zdobywają już tej pozycji dzięki odwadze w walce czy dzielnym czynom. Kupują ją za gotówkę.

Gerard pomyślał o swym ojcu i poczuł, że się czerwieni. Nie kupił sobie miejsca w rycerstwie. Przynajmniej to mógł sobie poczytać za zasługę. Niemniej jednak ojciec z pewnością kupował synowi najłatwiejsze przydziały.

- Solamniczcy wcale nie są lepsi - mruknął, spuszczył wzrok, aby wygładzić zmarszczki na przepoconym prześcieradle.

___ Naprawdę? Słyszę to z przykrością. - Medan wydawał się szczerze zawiedziony. - Być może w tych dniach końca ostatni bój stoczą ci, którzy wybiorą honor zamiast wybierać strony. Mam taką nadzieję - dodał cicho - gdyż obawiam się, że w przeciwnym razie wszyscy jesteśmy zgubieni.

— W dniach końca? - zapytał zaniepokojony Gerard. - Dlaczego tak mówisz, panie?

Medan rozejrzał się wokół. Mistycy odeszli. Zostali w sali sami.

- Beryl zaatakuje Qualinesti - oznajmił marszałek. Nie wiem, kiedy to się stanie, ale zbiera już armie. Gdy to zrobi, czeka mnie trudny wybór. - Przeszył Gerarda uważnym spojrzeniem. - Nie chcę, aby jednym z elementów tego wyboru była królowa matka. Potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać, żeby pomógł jej w ucieczce.

On jest zakochany w Lauranie! - zdał sobie ze zdumieniem sprawę Gerard. Nie powinien czuć się zaskoczony. On również trochę się w niej kochał. Każdy, kto ją spotkał, musiał być pod wrażeniem jej urody i gracji. Mimo to Solamniczycy wciąż się wahał.

- Czyżbym źle cię ocenił, sir Gerardzie? - zapytał Medan zimnym głosem. Wstał z krzesła. - Być może jesteś tak samo pozbawiony honoru, jak inni.

- Nie, panie - zapewnił z emfazą Solamniczycy. Choć wydawało się to dziwne, zależało mu na opinii marszałka. Włożyłem wiele pracy w to, by zostać rycerzem. Czytałem księgi o sztuce wojny. Uczyłem się strategii i taktyki. Brałem udział w turniejach, z nie najgorszymi wynikami. Zostałem rycerzem po to, aby bronić bezsilnych i znaleźć honor oraz chwałę w walce, a zamiast tego, z uwagi na wpływy mojego ojca... - Gerard przerwał na chwilę, zawstydzony...pilnowałem grobowca w Solące.

Medan spoglądał bez słowa na Solamniczycy, czekając na jego decyzję.

- Zgadzam się, panie - oznajmił w końcu Gerard. Nie wiem, co tobą kieruje, ale zrobię, co w mojej mocy, by pomóc Qualinesti i królowej matce - dokończył z naciskiem.

- Cieszę się - odparł marszałek. Skinął krótko głową, odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia, lecz zatrzymał się jeszcze i obejrzał przez ramię.

- Wstąpiłem do rycerstwa z tych samych powodów co ty, młody człowieku - rzekł. Ruszył ku drzwiom, stukając obcasami o podłogę i zamiatając płaszczem. - Jeśli uzdrowiciele orzekną, że czujesz się już dobrze, jutro przeniesiesz się do mojego domu.

Gerard opadł na łóżko.

Nie ufam mu, myślał. Nie pozwolę sobie wobec niego na zaufanie ani podziw. Z tą smoczą to mogło być kłamstwo, może jakiś podstęp. Nie wiem, co mógłby w ten sposób osiągnąć, ale muszę zachować czujność.

Przynajmniej dokonam czegoś więcej niż wypuszczenie na wolność cholernego kendera, który zdołał się zatrzasnąć w grobowcu, pomyślał na koniec z satysfakcją.

Medan opuścił szpital zadowolony z przebiegu rozmowy. Rzecz jasna, nie ufał Solamniczycowi. W dzisiejszych czasach nie można było ufać nikomu. Przez kilka najbliższych dni będzie go obserwował z uwagą. Zawsze będzie mógł skorzystać z jego propozycji i przeszyć go

mieczem. Przynajmniej nie mogę wątpić w jego odwagę i wierność wobec przyjaciół, pomyślał.

Marszałek skierował się w stronę domu Laurany. W Qualinesti o każdej porze roku było pięknie, najbardziej jednak lubił lato, porę festynów, z jego niezliczonymi kwiatami, których przepiękne wonie przesycały ciepłe powietrze, srebrnozielonymi liśćmi oraz cudownym śpiewem ptaków.

Nie śpieszyło mu się. Zatrzymywał się i zaglądał do otoczonych murami ogrodów, aby podziwiać jaskraweienne lilie, które unosiły ku słońcu pomarańczowe głowy. Przystanął w przejściu, chcąc popatrzeć na kaskadę białych kwiatuśzków, strąconych z krzewu śnieżkowca przez przelatującego rudzika.

Gdy spotkał elfa z Rodu Rzeźbiarzy Drzew, zatrzymał go, by pomówić o zarazie, która najwyraźniej dotknęła jeden z jego krzaków róży. Elf był wrogo nastawiony i nie krył, że rozmawia z Medanem jedynie dlatego, że jest do tego zmuszony. Marszałek przemawiał jednak uprzejmie i z szacunkiem, zadając inteligentne pytania. Stopniowo udało mu się pozyskać sympatię elfa, który na koniec obiecał, że przyjdzie do jego domu i zajmie się chorym krzakiem.

Marszałek dotarł wreszcie do domu Laurany i uderzył w srebrne dzwoneczki, z przyjemnością słuchając ich pieśni.

Drzwi otworzył mu elf, który uklonił się uprzejmie. Medan przyjrzał mu się z uwagą.

- Kelevandros, zgadza się? - zapytał.

- Tak, marszałku.

- Chcę się zobaczyć...

- Kto to, Kelevandrosie? - w korytarzu pojawiła się Laurana. - Ach, marszałek Medan. Witaj w moim domu. Wejdz, proszę. Czy mogę cię czymś poczęstować?

- Dziękuję, pani, ale nie mam czasu - odparł uprzejmie Medan. - Doszły do nas meldunki, że w lesie nieopodal grasuje banda buntowników. Jeden z moich ludzi został brutalnie zaatakowany. - Przyjrzał się jej z uwagą. - Buntownicy nie darzą miłością rodziny królewskiej, uważając ją za kolaborantów. Jeśli, jak mówiłaś, nie masz na nich żadnego wpływu...

- Wiodę ciche i spokojne życie, marszałku - odpowiedziała Laurana. - Nigdzie nie chodzę, pomijając wizyty u syna w pałacu. A mimo to ciągle spotykam się z podejrzeniami. Pierwsze miejsce w moim sercu zajmują miłość ojczyzny i wierność wobec mojego ludu.

- Zdaję sobie z tego sprawę, pani - odparł z chłodnym uśmieszkiem Medan. - Dla własnego bezpieczeństwa nie powinnaś opuszczać domu, dopóki nie uda się nam schwytać tych buntowników. Muszę cię prosić, byś ty i ci, którzy są bliscy twemu sercu, nigdzie się nie oddalali. Rzecz jasna, będzie ci wolno chodzić do pałacu, ale muszę ci zabronić odwiedzania innych miejsc w królestwie.

- Czy więc jestem więźniem we własnym domu, marszałku? - zapytała Laurana.

- To wyłącznie dla twego bezpieczeństwa, pani. - Medan przysunął do nosa obsypaną fioletowym kwieciem gałązkę i odetchnął słodką wonią. - Gratuluję tego pięknego krzaku bzu. Nigdy jeszcze nie widziałem, aby kwitł tak długo po końcu wiosny. Do widzenia, królowo matko.

- Do widzenia, marszałku Medan - odparła Laurana.

- Jakże nienawidzę tej gry - mruknął do siebie marszałek. Wracając samotnie do domu, czuł jeszcze zapach bzu.

- Jakże nienawidzę tej gry - rzekła Laurana, zatraskując drzwi. Wsparła o nie ozdobioną koroną złocistych włosów głowę.

Wysłuchała się w słodką, delikatną pieśń wodospadu, pozwalając, aby jego muzyka ukołysała ją, przywróciła nadzieję, którą zwykle czuła. Nie zamierzała ulegać rozpacz. Szła już kiedyś przez ciemność, najgłębszą ciemność na świecie. Stała twarzą w twarz ze straszliwą boginią Takhisis. Była świadkiem triumfu miłości nad mrokiem i wierzyła, że nawet po najciemniejszej nocy w końcu nastanie świt.

Trzymała się tej wiary przez całe pełne smutków i trudów życie, choć straciła syna wskutek politycznych machinacji własnych rodaków, a jej mąż, Tanis, zginął broniąc Wieży Wielkiego Klerysta przed czarnymi rycerzami, pchnięty mieczem w plecy. Czuła po nim żałobę i wniosła w swym sercu jego kaplicę, ale śmierć męża nie stała się kresem jej życia. Nie pochowała serca w jego grobie. Gdyby tak postąpiła, przekreśliłaby życie Tanisa, wszystko, co dokonał dobrego. Kontynuowała walkę w imię tych spraw, których przedtem bronili oboje.

Niektórzy tego nie pochwalali. Uważali, że powinna przywdziać czarne szaty i wycofać się ze świata. Oburzało ich, że Laurana śmieje się, uśmiecha i słucha z przyjemnością pieśni minstrelki.

- To takie smutne - powtarzali. - Śmierć twojego męża była zupełnie bezsensowna.

___ Powiedz mi, panie - pytała wtedy Laurana - powiedz mi, jaką śmierć uważasz za sensowną?

Gdy uśmiechała się do siebie, widząc ich zażenowanie, w głębi jej serca rozbrzmiewał śmiech Tanisa. Były chwile, niedługo po śmierci męża, gdy słyszała jego głos i czuła, że czuwa nad nią - nie po to, aby jej bronić, lecz by podtrzymać ją na duchu. Nie wyczuwała jednak jego obecności już od bardzo dawna. Doszła do wniosku, że przeszedł już do następnego etapu swej życiowej podróży. Ta myśl jej nie zasmucała. Spotka się z nim, gdy przyjdzie na nią kolej opuszczenia tego żywota. Odnajdą się, choćby nawet dzielili ich cała wieczność. Lecz tymczasem umarli jej nie potrzebowali. To żywym była potrzebna.

- Pani - odezwał się cicho Kelevandros - nie przejmuj się groźbami marszałka. Przechytrzymy go, tak jak zawsze.

Laurana uniosła z uśmiechem głowę.

- Masz rację. Całe szczęście, że wróciłeś ze swej wyprawy, Kelevandrosie. Medan mógłby zauważyć twoją nieobecność, a to skomplikowałoby sytuację. Od tej chwili musimy zachowywać

szczególną ostrożność. Gilthas melduje, że krasnoludzkie tunele są już prawie gotowe. Od dziś będziesz się nimi przemieszczał. Ta trasa jest dłuższa, ale za to bezpieczniejsza. Kalindasio! Nie powinieneś jeszcze wstawać z łoża!

Elf stał w drzwiach, chwiejąc się na nogach. Głowę spowijały mu bandaże. Był tak blady, że jego skóra wydawała się przezroczysta. Laurana widziała niebieskie żyłki na jego twarzy. Kelevandros pobiegł pomóc bratu. Objął go ramieniem i zaprowadził na sofę. Obchodził się z nim delikatnie, lecz nie przestawał besztuć go za to, że wstał z łoża i pani się o niego martwi.

- Co się ze mną stało? - zapytał oszołomiony Kalindasio.

- Nic nie pamiętasz? - zdziwiła się Laurana.

- Nic! - potwierdził, dotykając dłonią głowy.

- Kelevandrosie - rozkazała ostrym tonem Laurana idź do drzwi frontowych i sprawdź, czy marszałek Medan nie zapomniał odejść.

- Ptaki śpiewają na drzewach - zameldował po powrocie Kelevandros. - Pszczoły brzęczą wśród kwiatów. Nikogo tam nie ma.

- A teraz, Kalindasio - Laurana zwróciła się w stronę rannego - czy pamiętasz, jak zaprowadziłeś pana Palina, Gerarda i kendera na spotkanie z gryfem?

Elf zastanowił się nad tą kwestią.

- Niejasno, pani.

- Zaatakowano was, gdy byliście w głuszy - ciągnęła królowa matka, poprawiając bandaże na głowie młodego elfa.

- Bardzo się o ciebie martwiliśmy. Kiedy nie wracałeś, poprosiłam Lwicę, aby kazała swoim ludziom cię poszukać. Buntownicy znaleźli cię rannego w lesie. Przynieśli cię tu wczoraj. Dlaczego wstałeś? Czy czegoś potrzebujesz?

- Nie, pani, dziękuję - odrzekł Kalindasio. - Wybacz, że cię zaniepokoiłem. Usłyszałem głos marszałka i pomyślałem, że mogę być ci potrzebny. Wydawało mi się, że czuję się już dobrze i mogę wstać z łoża. Chyba się pomyliłem.

Kelevandros ułożył rannego brata w wygodniejszej pozycji, a Laurana nakryła go własnym szalem.

- Już wystarczająco wiele wycierpiałeś od Medana i jego ludzi - stwierdziła Laurana chłodnym, pełnym gniewu głosem. - Masz szczęście, że cię nie zabili!

- Nie musieli tego robić - zauważył z goryczą Kalindasio.

- Na pewno zaatakowali mnie od tyłu. Czy panu Palinowi i kenderowi udało się uciec z magicznym urządzeniem?

- Sądzymy, że tak. Buntownicy nie natrafili na żaden ślad po nich i nie dotarły też do nas meldunki o ich schwytaniu.

- A co z Solamniczkiem?

- Lwica melduje, że widziała ślady walki. Zginęło dwóch Rycerzy Neraki. Nie znaleźli ciała Gerarda, doszli więc do wniosku, że dostał się do niewoli. - Laurana westchnęła. - Jeśli to prawda, to niemal żałuję, że nie zginął. Buntownicy mają w armii swoich szpiegów, którzy próbują zdobyć jakieś informacje o nim. Wiemy, że nie przebywa w więzieniu, ale nic poza tym. Jeśli zaś chodzi o Palina, to Kelevandros przed chwilą wrócił ze spotkania z gryfami, które przyniosły nam wiadomość. Mam nadzieję, że pochodząca od niego.

___ Mam tu ten list, pani - odezwał się Kelevandros. Wyciągnął zwój z buta i wręczył go Lauranie.

___ Jesteś pewien, że dobrze się czujesz? - zapytała królowa matka Kalindasa. - Czy mają ci przynieść szklankę wina?

- Przeczytaj list, pani - odparł Kalindasa. - Mną się nie przejmuj.

Laurana raz jeszcze obrzuciła go niespokojnym spojrzeniem, po czym usiadła za biurkiem. Kelevandros zapalił świecę i postawił przed nią. Elfka rozwinęła zwój. Był pokryty inkaustem i pachniał lekko cytrynami. Napisane na nim słowa nie miały znaczenia. Dawny sąsiad opowiadał Lauranie o tegorocznych plonach, o tym, jak rosną jego dzieci i o pięknym koniu, którego nabył na jarmarku w Dzień Środka Roku. Pytał też o jej zdrowie i miał nadzieję, że wszystko u niej w porządku.

Laurana uniosła list nad płomieniem świecy, uważając, aby go nie przypalić. Na karcie powoli pojawiły się nowe litery, umieszczone między wierszami napisanymi inkaustem. Przesunęła kilkakrotnie papier nad świecą, aż wreszcie ukryty tekst stał się w pełni widoczny.

Położyła list na biurku i zaczęła go czytać po cichu. To nie było pismo Palina. Zdziwiona elfka zerknęła na dół karty, aby przeczytać podpis.

- Ach, Jenna - wyszeptała.

Czytała dalej, z każdą linijką zdumiewając się coraz bardziej.

- Co się stało, pani? - zapytał zaniepokojony Kalindasa.

- To dziwne - wyszeptała. - Bardzo dziwne. Nie mogę w to uwierzyć. Cofnął się w czasie i przekonał, że przeszłość już nie istnieje. Nie rozumiem tego.

- Tasslehoff uciekł - ciągnęła. Potrząsnęła z zafrasowaniem głową. - Tu się nie zjawił.

Czytała dalej. Bracia wymienili spojrzenia. Na gładkim czole kobiety pojawiła się ciemna bruzda. Laurana przeczytała cały zwój i wpatrywała się w niego jeszcze przez długi czas, jakby miała nadzieję, że wyczyta w nim coś innego, po czym położyła go powoli na biurku.

- Wygląda na to, że ktoś nas szpieguje - stwierdziła celowo spokojnym i obojętnym tonem. - Palina i Tasslehoffa ścigała smoczyca, jedna ze sług Beryl. Mag jest przekonany, że chodziło jej o artefakt. To znaczy, że Beryl zdaje sobie sprawę z jego istnienia i wie, gdzie można go znaleźć. Rycerze Neraki nie znaleźli was przypadkowo, Kalindasio. Wpadliście w zasadzkę.

- Szpieg! W naszym domu? Być może jeden z nas? To niemożliwe, pani - zapewnił z pasją Kelevandros.

- Wykluczone - zgodził się Kalindasio.

- Obyście mieli rację - rzekła z powagą Laurana. Elf, który zdradziłby swój lud... - Potrząsnęła ze zgrozą głową. Jej głos był pełen smutku. - Trudno uwierzyć, że może istnieć takie zło. Niemniej jednak, to już się zdarzało.

- Wiesz, że żaden z nas by cię nie zdradził - powtórzył z naciskiem Kalindasio.

Laurana westchnęła.

- Sama nie wiem, co myśleć. Pani Jenna sugeruje, że Rycerze Neraki mogą mieć mentalistę, który nauczył się czytać w naszych myślach. Cóż za straszne czasy nastały! Musimy czuwać nawet nad treścią własnych myśli!

Wsunęła list za złoty pas okalający jej talię.

- Kelevandrosie, przynieś mi trochę cytrynowego soku, a potem przygotuj Jasnoskrzydłą, żeby zaniósła polecenie gryfom.

Elf wykonał polecenie, oddalając się bez słowa. Przed wyjściem wymienił spojrzenia z bratem. Obaj zauważyli, że Laurana nie odpowiedziała na pytanie dotyczące Palina, lecz natychmiast zmieniła temat. Najwyraźniej nie ufała już nawet im. Na ich spokojne domostwo padł cień, który nieprędko miał zniknąć.

Napisana przez Lauranę odpowiedź była krótka.

Tasslehoffa tu nie ma. Będę go wypatrywała. Dziękuję za ostrzeżenie przed szpiegami. Podejmę niezbędne środki ostrożności.

Zwinęła ciasno zwój, aby zmieścił się do małej kryształowej tuby, którą przywiązywało się do nogi sokoła.

__ Wybacz, że ci przeszkadzam, pani - odezwał się Ka - lindas__ ale głowa boli mnie coraz bardziej. Kelevandros mówił mi, że uzdrowicielka wspominała o makowym soku. Chyba byłoby dobrze, gdyby brat mi go przyniósł.

__ Natychmiast pośle po uzdrowicielkę - powiedziała zaniepokojona Laurana. - Leż spokojnie, dopóki twój brat nie wróci i jej nie przyprowadzi.

Marszałek Medan wybrał się późnym wieczorem na spacer po ogrodzie. Lubił napawać się cudem nocnych kwiatów, które gardziły słońcem i otwierały się tylko przed bladym światłem księżyca. Był sam. Odesłał adiutanta, rozkazując mu, aby zabrał wszystkie swoje rzeczy. Jutro jego obowiązki przejmie Solamnijczyk.

Medan zatrzymał się, pragnąc podziwiać bladą orchideę, która zdawała się lśnić w blasku księżyca, gdy nagle usłyszał dobiegający z krzaków syczący głos.

- Marszałku! To ja!

- Doprawdy? - odparł Medan. - A ja myślałem, że to wąż. Jestem zmęczony. Wpełnij z powrotem pod kamień i nie wracaj do rana.

- Mam ważne informacje, które nie mogą czekać upierał się głos. - Informacje, które Beryl uzna za bardzo interesujące. Mag Palin Majere cofnął się w czasie za pomocą poszukiwanego urządzenia. To potężny magiczny artefakt, być może najpotężniejszy, jaki odkryto w dziejach świata.

- Być może - zgodził się obojętnie Medan. Nie żywił wielkiego poważania dla magii i magów. - I gdzie się obecnie znajduje ten potężny artefakt?

- Nie jestem pewien - odparł elf. - W liście do mojej pani Majere pisze, że kender uciekł z artefaktem. Jest przekonany, że złodziej udał się do Cytadeli Światła. Zamierza za nim podążyć, aby odzyskać urządzenie.

- Przynajmniej nie wrócił tutaj. - Medan odetchnął z ulgą. - Niech idzie, gdzie chce, razem ze swoim cholernym artefaktem.

- Ta informacja jest warta bardzo wiele - odezwał się elf.

- Otrzymasz zapłatę, ale rano - obiecał Medan. - A teraz idź już, bo twoja pani zauważy, że cię nie ma.

- Nie zauważy - w głosie elfa pobrzmiwało samozadowolenie. - Śpi mocno. Bardzo mocno. Dodałem do jej wieczornej herbaty makowego soku.

- Mówiłem ci, żebyś sobie poszedł - oznajmił zimno Medan. - Potrącę ci sztukę stali za każdą sekundę, którą spędzisz w mojej obecności. Jedną już straciłeś.

Usłyszał odgłos szybko oddalających się kroków. Odczekał jeszcze chwilę, aby się upewnić, że elf rzeczywiście odszedł. Księżyc skrył się za chmurą i w ogrodzie zapadła ciemność. Lśniaca blado orchidea zniknęła Medanowi z oczu.

Miał wrażenie, że to znak. Omen.

- To tylko kwestia czasu - powiedział do siebie. - Być może dni. Nie więcej. Dziś w nocy podjąłem decyzję. Wybrałem kurs. Teraz mogę tylko czekać.

Nie mogąc już dłużej radować się pięknem nocy, marszałek wrócił do domu. Musiał szukać drogi w ciemności, gdyż nie widział już ścieżki.

26

Gambit rycerza

Tego dnia Gerard miał się spotkać z marszałkiem Medanem i zostać zmuszonym do służenia dowódcy Rycerzy Neraki. Tego dnia Laurana miała się przekonać, że ktoś ją szpieguje, być może jeden z jej domowników. Tego dnia Tasslehoff miał zrozumieć, że trudno jest sprostać wyobrażeniom, które krążą o bohaterze po jego śmierci. Tego dnia armia Miny miała pomaszerować w głąb Silvanesti. Tego dnia Silvanoshei postanowił zagrać z kuzynem.

Był królem Silvanesti. Królem swego ludu, tak jak pięknie rzeźbiony i ozdobiony klejnotami kawałek alabastru był królem planszy do gry w xadrez. Głupim, nieudolnym królem, który mógł się przemieszczać tylko o jedno pole. Którego musieli chronić żołnierze i ministrowie. Nawet jego pionki miały do wykonania ważniejsze niż on zadania.

- Moja królowa bije twoją wieżę - oznajmił Kiryn, przesuwając zdobną figurę po zielono-białej marmurowej planszy.

- Twój król jest w potrzasku. Chyba wygrałem.

- Niech to szlag! Rzeczywiście. - Poirytowany Silvan odepchnął planszę, przewracając figury.

- Kiedyś grałem w xadrez naprawdę nieźle. Uczyła mnie matka. Czasami udawało mi się nawet pokonać Samara. Bez obrazy, kuzynie, ale jesteś znacznie gorszym graczem od niego.

- Pewnie masz rację - zgodził się Kiryn i opadł na podabę odszukać żołnierza piechoty, który uciekł z pola bitwy i skrył się pod łóżkiem. - Po prostu jesteś zaprzątnięty innymi sprawami i nie mogłeś się w pełni skupić na grze.

- Daj, ja to zrobię - odezwał się skruszony Silvan. To ja je rozsypałem.

- Dam sobie radę... - zaczął Kiryn.

- Nie, pozwól mi wreszcie zrobić coś pożytecznego! Silvan wszedł pod stół i po chwili wydobył stamtąd skoczka, czarodzieja, a po dłuższych poszukiwaniach również swego nieszczęsnego króla, który chciał uniknąć porażki, ukrywając się za zasłoną.

Podniósł wszystkie figury i ustawił je na planszy.

- Chcesz zagrać jeszcze raz? - zapytał Kiryn.

- Nie, mam już po dziurki w nosie tej gry! - warknął poirytowany Silvan.

Odszedł od stolika, kierując się ku oknu. Wyglądał przez nie przez parę chwil, po czym odwrócił się niespokojnie.

- Twierdzisz, że jestem zaprzątnięty innymi sprawami, kuzynie. Nie bardzo wiem, jakimi. Nie mam nic do roboty.

Silvan podszedł do drugiego stolika, na którym ustawiono tace z chłodzonymi owocami, orzechami i serem, a także karafkę wina. Łupał orzechy z taką zawziętością, jakby miał im coś za złe i wyszukiwał jądra między skorupami. - Chcesz trochę?

Kiryn potrząsnął przecząco głową. Silvan rzucił skorupy na stół i strząsnął okruchy z dłoni.

- Nie znoszę orzechów! - oznajmił, podchodząc z powrotem do okna. - Jak długo już jestem królem? - zapytał.

- Kilka tygodni, kuzynie...

- I co przez ten czas osiągnąłem?

- To dopiero początek, kuzynie...

- Nic - stwierdził z goryczą Silvan. - Nie osiągnąłem zupełnie nic. Nie pozwalają mi wychodzić z pałacu, żebym nie zaraził się tą wyniszczającą chorobą. Nie wolno mi rozmawiać z

poddany mi w obawie przed skrytobójcami. Podpisuję swym imieniem rozkazy i edykty, ale nigdy nie pozwala mi się ich czytać, żebym się nie przemęczył. Całą robotę wykonuje twój wuj.

__ I będzie to robił nadal, tak długo, jak długo mu na to pozwolisz - zauważył Kiryn. - On i Glaucous.

__ Glaucous! - powtórzył Silvan. Odwrócił się i popatrzył podejrzliwie na przyjaciela. - Ciągłe mnie przed nim ostrzegasz. Chcę ci powiedzieć, że gdyby nie Glaucous, nie wiedziałbym o tym, co dzieje się w moim królestwie nawet tej odrobiny, którą wiem teraz. Popatrz! Popatrz tam! - Silvan wskazał na okno. - To przykład tego, o czym mówię. Coś się dzieje. Coś się wydarzyło, ale czy się o tym dowiem? Dowiem się - dodał z goryczą - pod warunkiem, że zapytam o to służących!

Przez otaczający pałac wielki dziedziniec, pełen ogrodów i pasaży, biegł na łeb, na szyję mężczyzna odziany w strój kiratha. Te piękne ogrody były ongiś dla mieszkańców Silvanostu ulubionym miejscem spacerów, spotkań oraz pikników urządzanych na wielkich, zielonych trawnikach w cieniu wierzb. Kochankowie pływali po roziskrzonych strumieniach w ukształtowanych na podobieństwo łabędzi łodziach. Uczniowie siadali z mistrzami na trawie, aby prowadzić filozoficzne dysputy, które tak kochają elfowie.

Tak jednak było przed nadejściem do Silvanostu wyniszczającej choroby. Obecnie wielu elfów bało się wychodzić z domów i spotykać się w grupach, aby się nie zarazić. Ogrody ziały pustką, pomijając garstkę żołnierzy, którzy wracali z przepustek do koszar. Spoglądali oni ze zdumieniem na biegnącego kiratha, zatrzymywali się, aby go przepuścić. Nie zwracał na nich uwagi, cały czas gnając przed siebie. Wbiegł na szerokie marmurowe schody, które wiodły do pałacu i zniknął obserwowanym z oczu.

- Widzisz! Co ci przed chwilą mówiłem, Kirynie? Wydarzyło się coś ważnego - powiedział Silvan, przygryzając dolną wargę. - I czy posłaniec przyjdzie do mnie? Nie, popędzi prosto do twojego wuja. To ja jestem królem, nie generał Konnal!

Silvan odwrócił się od okna z ponurą miną.

- Staję się tym, czym najbardziej gardzę. Jak mój kuzyn Gilthas zamieniam się w marionetkę, której sznurki trzyma w ręku ktoś inny!

- Jeśli jesteś marionetką, to wyłącznie dlatego, że sam tego chcesz, Silvanie - rzekł śmiało Kiryn. - To twoja wina, nie mojego wuja! Nie okazałeś żadnego zainteresowania codziennymi sprawami królestwa. Mógłbyś przeczytać te edykty, ale byłeś zbyt zajęty uczeniem się najnowszych kroków tanecznych.

Silvan przeszył go gniewnym spojrzeniem.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić? Jestem twoim... - Powstrzymał się. Chciał powiedzieć: „twoim królem”, lecz zdał sobie sprawę, że w świetle ich niedawnej rozmowy zabrzmiałoby to śmiesznie.

Musiał również przyznać, że słowa Kiryna nie odbiegały wiele od prawdy. Silvan lubił bawić się w króla. Nosił na głowie koronę, lecz nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności. Zacerpnął głęboko tchu i wypuścił powietrze z płuc. Zachowywał się jak dziecko i traktowano go odpowiednio do tego. Ale z tym już koniec.

- Masz rację, kuzynie - rzekł spokojnym tonem. - Jeśli nawet twój wuj mnie nie szanuje, to cóż w tym dziwnego? Odkąd tu przybyłem, siedzę tylko w swojej komnacie, gram w rozmaite gry i zajadam słodycze. Na szacunek trzeba zasłużyć. Nie można go nikomu narzucić. Nie uczyniłem nic, co mogłoby zdobyć jego uznanie. Co dowiodłoby jemu i mojemu ludowi, że naprawdę jestem królem. Ale z tym już koniec. Od dzisiaj.

Silvan otworzył ogromne, dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do jego komnat. Zrobił to z taką siłą, że aż uderzyły o ściany. Ten dźwięk zaskoczył wartowników, którzy przysypiali na warcie, znudzeni spokojnym, sennym popołudniem. Obaj stanęli pośpiesznie na baczność, gdy Silvan wyszedł z komnaty i przeszedł między nimi.

- Wasza Królewska Mość! - zawołał jeden z nich. Dokąd idziesz? Wasza Królewska Mość, nie powinieneś opuszczać komnaty. Generał Konnal rozkazał... Wasza Królewska Mość...

Wartownik zorientował się, że przemawia do królewskich pleców.

Silvan zszedł pośpiesznie po długich i szerokich marmurowych schodach. Kiryn deptał mu po piętach, a za nim podążali wartownicy.

__ Silvanie! - zaapelował Kiryn, gdy już się z nim zrównał - Nie mówiłem, że musisz objąć przywództwo już w tej chwili. Musisz się jeszcze wiele nauczyć o Silvanesti i jego mieszkańcach. Nie mieszkałeś dotąd wśród nas i jesteś bardzo młody.

Silvan świetnie rozumiał intencje kuzyna. Nie zwracał na niego uwagi ani nie zwalniał kroku.

- Chodziło mi o to - nie ustępował Kiryn, podążając za Silvanem - że powinieneś okazywać więcej zainteresowania codziennymi sprawami królestwa, zadawać pytania. Odwiedzać mieszkańców w ich domach. Zobaczyć, jak żyjemy. Jest wśród nas wielu mędrców, którzy z chęcią pomogliby ci w nauce. Jednym z nich jest Rolan z kirathów. Czemu nie skorzystasz z jego rady? Przekonasz się, że jest znacznie mądrzejszy od Glaucosa, choć może mniej sympatyczny.

Silvan zacisnął usta i dalej szedł prosto przed siebie.

- Wiem, co robię - oznajmił.

- Aha, podobnie jak kiedyś twój dziadek Lorac. Wysłuchaj mnie, Silvanie - mówił z powagą Kiryn. - Nie popełniaj tego samego błędu. Przyczyną upadku twojego dziadka nie był smok Cyan Bloodbane. Były nimi duma i strach. Smok okazał się jedynie wcieleniem tych uczuć. Duma szeptała Loracowi, że jest mądrzejszy od mędrców. Duma podpowiadała mu, że może złamać prawa i zasady. Strach przekonał go, aby działał sam, nie przyjął niczyjej pomocy i nie słuchał niczyich rad.

Silvanoshei zatrzymał się.

- Kuzynie, całe życie słyszałem tę wersję opowieści o moim dziadku i wierzyłem w nią. Nauczono mnie wstydzić się za Loraca. Ostatnio jednak poznałem inną wersję, o której nikt nigdy nie wspominał, gdyż wszystkim najłatwiej było oskarżyć o spowodowanie kłopotów mojego dziadka. Silvanesti przeżyli Wojnę Lancy. Żyją po dziś dzień i to właśnie dzięki mojemu dziadkowi. Gdyby nie złożył siebie w ofierze, nie rozmawialibyśmy tu teraz o nim. Lorac był odpowiedzialny za swój lud i zgodził się przyjąć tę odpowiedzialność. Uratował elfów, a oni oczerniają go zamiast błogosławić!

- Kto ci to wszystko powiedział, kuzynie? - zapytał Kiryn.

Silvan nie widział powodu, aby odpowiadać na to pytanie. Odwrócił się na pięcie i ponownie ruszył przed siebie. Glaucous był znajomym jego dziadka. Bardzo bliskim znajomym. Któż mógłby znać prawdę lepiej od niego?

Kiryn domyślił się imienia, którego Silvan nie chciał wymówić. Szedł kilka kroków za swym królem i nie odzywał się już więcej.

Silvan i jego dziwnie dobrana eskorta składająca się z kuzyna i pobrzękujących zbrojami wartowników przemierzali szybko korytarze pałacu. Król mijał wspaniałe obrazy i piękne gobeliny, nawet nie spoglądając na nie. Kroczył z pośpiechem i determinacją, głośno stukając obcasami butów o posadzkę. Słudzy przyzwyczajeni do tego, że w tej części pałacu zawsze panuje cisza, zbiegali się tłumnie, aby zobaczyć, co się dzieje.

- Wasza Królewska Mość, Wasza Królewska Mość... - szeptali, kłaniając się w nerwowym zamieszaniu i spoglądając na siebie z ukosa, jakby chcieli powiedzieć: „Ptaszek uciekł z klatki. Królik wyrwał się z nory. Proszę, proszę. I nic w tym dziwnego. W końcu jest Caladonem”.

Silvanoshei opuścił królewskie komnaty, przechodząc do części publicznej. Kłębili się tu przynoszący różne wiadomości posłańcy, pełno też było panów i pań z Rodu Królewskiego, którzy stali w małych grupkach, pogrążeni w rozmowie, oraz urzędników, którzy śpieszyli się gdzieś, dźwigając pod pachami księgi albo trzymając w rękach zwoje. Tutaj właśnie biło prawdziwe serce królestwa. Tutaj załatwiano jego sprawy. Tutaj - w skrzydle pałacu położonym naprzeciwko królewskich komnat, w których mieszkał Silvan.

Dworzanie usłyszeli, że coś się dzieje, zatrzymali się i zwrócili w stronę, z której dobiegał hałas. Gdy ujrzeni, że to król, byli zdumieni. Tak zdumieni, że niektórzy z wielmożnych panów zapomnieli się pokłonić. Przypomnieli sobie o tym z opóźnieniem, jedynie dzięki temu, że oburzone żony wymierzyły im kuksańce w żebra.

Silvan natychmiast zauważył różnicę między obydwoma skrzydłami pałacu. Zacisnął usta. Zignorował dworaków i zbył skinieniem dłoni tych, którzy chcieli mu coś powiedzieć. Minął zakręt i dotarł do kolejnych dwuskrzydłowych drzwi. Tu również stali wartownicy, ci jednak nie drzemali, lecz byli czujni. Na widok króla natychmiast stanęli na baczność.

- Wasza Królewska Mość - odezwał się jeden z nich, próbując zastąpić mu drogę. - Wybacz

mi, ale generał Konnal powiedział, że nie wolno mu przeszkadzać.

Silvan zmierzył go przeciągłym spojrzeniem.

- Powiedz generałowi, że jego król przyszedł mu przeszkodzić.

Z satysfakcją obserwował walkę, która malowała się na twarzy wartownika. Konnal wydał mu rozkazy, lecz miał przed sobą króla. Musiał dokonać wyboru. Przyjrzał się jasnym oczom oraz zaciśniętym szczękom młodego monarchy i zobaczył w nich dziedzictwo tych, którzy od pokoleń władali Silvanesti. Wartownik nie był już młody. Być może służył pod rozkazami Loraca i rozpoznawał ów jasny ogień. Pokłonił się z szacunkiem i otworzył drzwi.

- Jego Królewska Mość - zapowiedział stanowczym tonem.

Zdumiony Konnal podniósł wzrok. Na twarzy Glaucosa w pierwszej chwili również malowało się zaskoczenie, lecz szybko ustąpiło ono skrywanej radości. Być może on również czekał na dzień, w którym lew zerwie się z łańcucha. Pokłonił się, obrzucając Silvana spojrzeniem, które niedwuznacznie mówiło: „Wybacz, Wasza Królewska Mość, ale muszę ustępować generałowi”.

- Wasza Królewska Mość, czemu zawdzięczamy ten za - szczyt? - zapytał Konnal, wyraźnie poirytowany, że mu przerwano. Z pewnością otrzymał jakieś bardzo niepokojące wieści, gdyż twarz miał zaczerwienioną, a brwi ściągnięte. Tylko dzięki świadomemu wysiłkowi zapanował nad sobą i zachował uprzejmość, a i tak głos miał zimny. Glaucoś również wydawał się czymś zaniepokojony. Twarz miał ponurą i wystraszoną.

Silvan nie odpowiedział na pytanie generała. Zwrócił się do kiratha, który natychmiast pokłonił mu się bardzo nisko.

- Przynosisz wieści? - zapytał niecierpliwie król.

- Tak, Wasza Królewska Mość - odpowiedział kirath.

- Wieści ważne dla królestwa?

Kirath zerknął ukradkiem na Konnala, który w odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Nadzwyczaj ważne, Wasza Królewska Mość.

- I nie przynosisz ich swemu królowi? - zakończył blady z gniewu Silvan.

- Wasza Królewska Mość - wtrącił generał - poinformowałbym cię o wszystkim we właściwym czasie. Sprawa jest nadzwyczaj poważna. Trzeba bezzwłocznie podjąć działania...

- I dlatego postanowiłeś zawiadomić mnie dopiero wtedy, gdy już je podejmiesz - przerwał mu Silvan. Ponownie spojrzał na kiratha. - Co to za wieści? Nie, nie patrz na niego! Powiedz mi! Jestem twoim królem!

- Oddział czarnych rycerzy zdołał się przedostać przez tarczę, Wasza Królewska Mość. Są już na terenie Silvanesti i maszerują na stolicę.

- Czarni rycerze? - zapytał zdumiony Silvan. - Ale w jaki sposób... Jesteś tego pewien?

- Tak, Wasza Królewska Mość - potwierdził kirath. Widziałem ich na własne oczy. Dotarły do nas meldunki o armii ogrów, która gromadzi się na zewnątrz tarczy. Postanowiliśmy zbadać te pogłoski i wtedy właśnie natrafiliśmy na oddział około czterystu ludzkich żołnierzy, którzy znajdują się wewnątrz tarczy. Ich oficerami są ci, których znamy jako czarnych rycerzy Takhisis. Rozpoznaliśmy ich zbroje. Maszeruje z nimi kompania łuczników, prawdopodobnie najemników. Mają w swym składzie minotaura, który jest zastępcą dowódcy. __ A kto jest dowódcą? - zapytał Silvan.

- To nie czas na... - zaczął Konnal.

__ Chcę znać wszystkie szczegóły - oznajmił zimno Silvan.

- Dowódca jest niezwykły, Wasza Królewska Mość odpowiedział kirath. - To ludzka kobieta. Samo w sobie nie byłoby to niczym zaskakującym, ale ona jest jeszcze dzieckiem, nawet według pojęć swej rasy. Nie może mieć więcej niż osiemnaście lat. Może nawet mniej. Mimo to jest już rycerzem i ich dowódcą. Nosi czarną zbroję, a żołnierze wykonują wszystkie jej rozkazy.

- To dziwne - przyznał Silvan, marszcząc brwi. - Trudno mi w to uwierzyć. Wiem, jak są zorganizowani czarni rycerze, którzy teraz nazywają się Rycerzami Neraki. Nigdy nie słyszałem, aby ktoś tak młody został rycerzem, a co dopiero oficerem.

Silvan przeniósł spojrzenie na Konnala.

- Co zamierzasz uczynić w sprawie tej groźby, generale?

- Natychmiast zmobilizujemy armię, Wasza Królewska Mość - odparł sztywno Konnal. - Wydałem już rozkazy. Kirathowie śledzą ruchy nieprzyjaciela. Pomaszerujemy mu na spotkanie, odeprzemy go i zniszczymy. Ten oddział składa się tylko z czterystu żołnierzy. Nie mają zapasów ani możliwości ich zdobycia. Są odcięci od swoich. Bitwa nie potrwa długo.

- Czy masz jakieś doświadczenie w walce z Rycerzami Neraki, generale Konnal? - zapytał Silvan.

Twarz Konnala pociemniała. Generał wydał lekceważąco usta.

- Nie, Wasza Królewska Mość. Nie mam.

- A czy masz jakieś doświadczenie w walce z jakimkolwiek wrogiem poza snem? - naciskał dalej Silvan.

Konnal był wściekły. Na jego policzkach pojawiły się dwie jaskrawoczerwone plamy. Zerwał się z krzesła i wałnął obiema dłońmi w biurko.

- Ty młody...

- Generale! - Glaucous wrócił z tajemniczej krainy, po której wędrowały jego myśli, aby pośpiesznie załagodzić sytuację. - On jest twoim królem.

Konnal mruknął coś, co brzmiało jak: „Nie moim”, powiedział to jednak pod nosem.

- Ja walczyłem przeciwko tym rycerzom, generale ciągnął Silvan. - Moi rodzice toczyli boje z czarnymi rycerzami w lasach wokół Qualinesti. Walczyłem też z ogrami i ludzkimi bandytami, a nawet z elfami, o czym zapewne ci wiadomo, generale.

Elfowie, z którymi walczyli, byli skrytobójcami wysłanymi przed wzniesieniem tarczy. Mieli oni zamordować Porthiosa i Alhanę, których uznano za czarnych elfów. Niewykluczone, że rozkaz wydał im generał Konnal.

- Choć osobiście nie brałem udziału w bitwach - kontynuował Silvan, chcąc być prawdomówny - byłem świadkiem wielu z nich. Ponadto uczestniczyłem również w spotkaniach, podczas których moi rodzice i inni oficerowie przygotowywali strategiczne plany.

- Ale mimo wysiłków twojego ojca czarnym rycerzom udało się podbić Qualinesti - zauważył zgryźliwie Konnal.

- To prawda, generale - przyznał z powagą Silvan. Dlatego właśnie muszę cię przestrzec przed niedocenianiem wroga. Zgadzam się z twoją decyzją. Wyślemy przeciwko nim nasze wojska. Chciałbym zobaczyć mapę tej okolicy.

- Wasza Królewska Mość... - zaczął niecierpliwie Konnal, ale Silvanoshei rozkładał już mapę na biurku.

- Gdzie są czarni rycerze, kirathu? - zapytał. Zapytany podszedł do mapy i wskazał na niej palcem miejsce, w którym znajdował się nieprzyjaciel.

- Jak widzisz, Wasza Królewska Mość, posuwali się wzdłuż brzegów Thon-Thalasu i przeszli przez tarczę w miejscu, w którym przecina ją rzeka. Z naszych meldunków wynika, że nadal trzymają się brzegów Thon-Thalasu. Nie mamy powodów, aby sądzić, że zboczą z tej trasy, która prowadzi prosto do Silvanostu.

Silvan przyjrzał się mapie.

- Zgadzam się z kirathem. Zapewne nie zejną z nadrzecznego traktu. Gdyby to zrobili, ryzykowaliby, że zabłądzą w nieznanym lesie. Wiedzą, że ich zauważyliśmy. Nie mają powodów, aby się ukrywać. Za to mają wszelkie powody do pośpiechu. Ich jedyną szansą jest zaatakować, zanim otrząśniemy się z szoku wywołanego tym, że przekroczyli barierę.

Mówiąc te słowa, spoglądał znacząco na Konnala. Generał milczał. Twarz miał zimną i twardą jak kamień.

- Sugeruję, że to... - Silvan dotknął palcem mapy...byłoby idealne miejsce na stoczenie bitwy. Wróg będzie schodził ze wzgórz, a nasze oddziały zaczekają na niego w tej dolinie. Nieprzyjaciel znajdzie się między rzeką a wzgórzami, co utrudni mu pełne rozwinięcie sił. Piechota uderzy na przeciwnika od przodu, a kompania konnicy będzie mogła go okrążyć i zaatakować z tyłu. Zaciśniemy powoli szczęki naszej armii... - Przesunął palec od piechoty na przedzie do konnicy z tyłu, kreśląc na mapie półokrąg. - ...i połkniemy ich.

Silvan uniósł wzrok. Konnal spoglądał z zaszępioną miną na mapę. Dłonie miał splecione za plecami.

- To dobry plan, Wasza Królewska Mość - rzekł Glaucous z uznaniem w głosie.

- Generale Konnal? - zapytał Silvan.

- To może się udać - przyznał z niechęcią generał.

- Obawiam się jedynie tego, że rycerze mogą się ukryć w głuszy - dodał Silvan. - Jeśli tak zrobią, trudno ich będzie tam wytropić.

- E, tam! Znajdziemy ich - zapewnił Konnal.

- Mam wrażenie, że twoje siły nie potrafią odszukać nawet wielkiego zielonego smoka - odparł Silvan. - Szukacie Cyana Bloodbane już od trzydziestu lat. Jeśli ta armia ludzi się rozproszy, będziemy jej szukać całe stulecie.

Glaucous parsknął śmiechem. Generał obrzucił go złowróbnym spojrzeniem.

- Nie widzę w tym nic zabawnego - oburzył się Konnal. - W jaki sposób to nasienie zła zdołało się przedostać przez twoją sławetną tarczę, Glaucousie? Potrafisz mi na to odpowiedzieć?

- Zapewniam, generale, że tego nie wiem - odrzekł czarodziej. Jego twarz ponownie spowił cień niepewności. - Przynajmniej do tej pory. Działa tu jakaś mroczna magia. Czuję jej woń.

- Ja czuję wyłącznie smród ludzi - oznajmił z goryczą Konnal.

- Sugeruję, abyśmy spróbowali schwytać żywcem tę niezwykłą kobietę-dziecko, która nimi dowodzi. Chciałbym z nią porozmawiać. Bardzo bym chciał - dodał Glaucous, marszcząc brwi.

- Zgadzam się z Glaucosem, generale. - Silvanoshei spojrzał na Konnala. - Wydaj niezbędne rozkazy. Będę towarzyszył naszej armii.

- To nie wchodzi w grę - rzucił krótko Konnal.

- Będę jej towarzyszył - powtórzył władczy tonem Silvan. Przeszył generała wyzywającym spojrzeniem, jakby chciał go sprowokować do okazania sprzeciwu. - Zrób wszystko, co konieczne, aby mi to umożliwić. Chcesz, żebym chował się pod łóżkiem, gdy moi żołnierze wyruszają bronić naszych domów?

Po chwili zastanowienia Konnal pokłonił się królowi z lodowatą miną.

- Proszę bardzo. Jeśli Wasza Królewska Mość nalega, zajmę się tym.

Silvan odwrócił się na pięcie i wyszedł z komnaty, zamiatając szatami podłogę. Kiryn przyjrzał się jeszcze Glaucousowi, po czym podążył za królem. Wartownicy zamknęli za nimi drzwi i wrócili na miejsce..

- Chciałbym się dowiedzieć, czemu zmieniłeś zdanie, generale - odezwał się cicho Glaucous.

- Bitwy są niebezpieczne - odparł Konnal ze wzruszeniem ramion. - Nigdy nie wiadomo, jak się potoczą. Nigdy nie wiadomo, kto może w nich zginąć. Gdyby Jego Królewskiej Mości coś się stało...

___ Zrobiłbyś z niego męczennika - przerwał mu Glau - cous. - Tak jak z jego rodziców. To ciebie obciążono by winą. Nie wątp w to ani przez moment. Nie powinieneś być mu na to pozwolić. - Mag spoważniał. Znowu wycofywał się w głąb siebie. - Mam przecucie, że jeśli weźmie udział w tej bitwie, wydarzy się coś strasznego.

- Być może nie zauważyłeś, że coś strasznego już się wydarzyło! - zreplikował gniewnie Konnal. - Twoja magia zamka, Glaucousie! Tak jak magia innych! Przyznaj to!

- Przemawia przez ciebie strach, przyjacielu - odparł czarodziej. - Rozumiem to i wybaczam ci, że wątpisz w moje magiczne zdolności. Tym razem ci wybaczam. Zastanów się nad tym, co powiedziałem - ciągnął łagodniejszym tonem. - Spróbuję wyperswadować Jego Królewskiej Mości wyjazd na wojnę. Jeśli mi się nie uda, pozwól mu na to, ale zadbaj o jego bezpieczeństwo.

- Idź już! - warknął Konnal. - Żaden czarodziej nie będzie mnie pouczał, co mam robić.

- Pójdę sobie - zgodził się Glaucous - ale zapamiętaj jedno, generale. Jestem ci potrzebny. To ja stoję między Silvanesti a światem. Jeśli mnie odrzucisz, wyrzekniesz się wszelkiej nadziei. Tylko ja mogę cię uratować.

Konnal milczał, wpatrując się w podłogę.

Dotknięcie umarłych

Tego samego wieczoru, gdy Silvanoshei przygotowywał się do wyruszenia na swą pierwszą bitwę, Goldmoon szykowała się do stoczenia innej walki. Po raz pierwszy od wielu tygodni poprosiła, aby do jej komnaty przyniesiono ręczne zwierciadło. Po raz pierwszy od czasu burzy spojrzała na własną twarz.

W młodości była próżną dziewczyną. Pobłogosławiono ją niezwykłą urodą. Jako jedyna kobieta w całym plemienu miała włosy przypominające błyszczący gobelin, utkany z jedwabnych nitek światła słońca i blasku księżyca. Była córką wodza i w związku z tym rozpieszczano ją i miała wygórowane zdanie o sobie. Młodzi wojownicy z plemienia ją uwielbiali. Bili się ze sobą o jej uśmiech. Wszyscy poza jednym.

Pewnego dnia spojrzała w oczy wysokiego wyrzutka, młodego pasterza imieniem Riverwind i zobaczyła siebie w ich zwierciadle. Dostrzegła własną próżność i samolubstwo. Zrozumiała, że w jego oczach jest brzydka. Zawładnęły nią wstyd i rozpacz. Chciała być piękna dla niego, dla Riverwinda.

I osiągnęła ten cel, lecz najpierw musieli przejść przez wiele prób, stawić bez cienia strachu czoło śmierci, obejmując się mocno. Dano jej laskę z błękitnego kryształu. Otrzymała moc przywrócenia światu uzdrawiającej miłości bogów.

Goldmoon i Riverwind doczekali się potomstwa. Starali się zjednoczyć skłócone plemiona

Równin. Znaleźli w życiu szczęście dzięki dzieciom i przyjaciołom, towarzyszom ich wędrówek. Cieszyli się na myśl, że zestarzeją się razem, razem udadzą na ostatni spoczynek, opuszczą tę płaszczyznę bytu i przejdą na następną, jakkolwiek mogła ona wyglądać. Nie bali się, gdyż wiedzieli, że będą razem.

Tak się jednak nie stało.

Gdy po Wojnie Chaosu bogowie odeszli, Goldmoon oddała się żałobie. Nie należała do tych, którzy im złorzeczyli. Rozumiała, na czym polegało ich poświęcenie. Tak przynajmniej się jej zdawało. Bogowie odeszli po to, aby Chaos odszedł razem z nimi, a na świecie zapanował pokój. Nie pojmowała tego, ale ufała bogom i dlatego robiła, co tylko w jej mocy, by sprzeciwić się gniewowi i goryczy, które zatrwały tak wiele umysłów.

W głębi serca żywiła przekonanie, że któregoś dnia bogowie wrócą. Ta wiara osłabła jednak z chwilą nadejścia monstrualnych smoków, które przyniosły do Ansalonu grozę i śmierć, a znikła całkowicie, kiedy Goldmoon dowiedziała się, że jej ukochany Riverwind i jedna z ich córek zostali zabici przez ohydny smoczyce Malys. Goldmoon również pragnęła umrzeć. Miała zamiar położyć kres swemu życiu, gdy nagle odwiedził ją duch Riverwinda, który powiedział jej, że musi zostać na świecie i kontynuować walkę o przywrócenie mu nadziei. Gdyby odeszła, nic nie mogłoby powstrzymać zwycięstwa ciemności.

Nie chciała słuchać jego słów, zgodziła się jednak.

I wynagrodzono ją za to. Po raz drugi otrzymała dar uzdrawiania. Nie było to błogosławieństwo bogów, lecz mistyczna moc serca, której sama nie rozumiała. Przyniosła ten dar innym i wspólnie zbudowali Cytadelę Światła, aby nauczyć wszystkich wykorzystywania tej mocy.

Goldmoon zestarzała się w Cytadeli. Raz jeszcze ujrzała ducha męża jako przystojnego młodzieńca. Choć trzymał w ryzach swą niecierpliwość, wiedziała, że pragnie jak najszybciej odejść i czeka tylko na to, aż i ona ukończy swą podróż.

Uniosła zwierciadło i przyjrzała się swej twarzy.

Starcze bruzdy zniknęły. Skórę miała gładką. Zapadnięte ongiś policzki wypełniły się, a blada cera nabrała różowego odcienia. Oczy zawsze miała jasne, lśniące niezłomną odwagą i nadzieją, dzięki nim swym oddanym zwolennikom wciąż wydawała się młoda. Usta, niedawno jeszcze wąskie i szare, stały się teraz pełne i nabrały koralowej barwy. Włosy były jedyną rzeczą, z której nadal czuła się dumna. Choć stały się srebrnobiałe, ciągle były gęste i bujne. Uniosła dłoń, by ich dotknąć, dłoń, która znowu stała się młoda, gładka i silna. Jej palce musnęły złote i srebrne nitki. Włosy Goldmoon nabrały jednak dziwnej szorstkości, nie były już takie gładkie jak kiedyś.

Natychmiast zrozumiała, dlaczego tak nienawidzi tego niechcianego, nieproszonego, niepożądanego daru. Twarz, którą widziała w zwierciadle, nie była jej twarzą, lecz wspomnieniem ojej twarzy, wspomnieniem, które nie należało do Goldmoon. Tak ją zapamiętał ktoś inny. Tak wyobrażał sobie jej oblicze. Było nieskazitelne, a twarz Goldmoon nigdy taka nie była.

To samo dotyczyło jej ciała. Młodsze, silne i pełne wigoru, o szczupłej talii i pełnych piersiach, nie było ciałem, które pamiętała. Ono również było nieskazitelne. Goldmoon nie знаła teraz bólu, nawet od złamanego paznokcia czy pęcherza na pięcie.

Jej stara dusza nie pasowała do tego młodego ciała. Jej stara dusza była lekka i ulotna, gotowa odlecieć w wieczność, zostawiając za sobą doczesne zmartwienia i troski. A teraz została uwięziona w klatce z krwi i kości, klatce, której wymagania musiała zaspokajać. Goldmoon nie rozumiała, jak i dlaczego się to stało. Nie potrafiła wymienić żadnych powodów. Wiedziała tylko, że przeraża ją twarz, którą widzi w zwierciadle.

Odłożyła je na toaletkę, lustrzaną powierzchnią do spodu, i westchnęła głęboko, gotowa opuścić to więzienie, z którego mogła się wydostać, choć to z tego drugiego rozpaczliwie pragnęła uciec.

Gdy Goldmoon zjawiała się w sali Wielkiego Audytorium, przywitały ją zdumienie i zachwyt. Tak jak się obawiała, uznano jej transformację za cud, dobroczynny i błogosławiony.

- Niech no tylko ta wieść się rozniesie! - szeptali jej uczniowie. - Niech no tylko wszyscy o tym usłyszą! Goldmoon zwyciężyła starość. Zwyciężyła śmierć! Wszyscy zbiegną się do Cytadeli!

Uczniowie i nauczyciele tłoczyli się wokół niej, wyciągając ręce, aby jej dotknąć. Padali na kolana i całowali jej dłoń. Błagali ją o błogosławieństwo i wstawali z klęczek w uniesieniu. Tylko nieliczni przyjrzeni się kobiecie na tyle uważnie, aby dostrzec ból w pięknej, młodszej twarzy, twarzy, którą poznawali raczej dzięki błyskowi w oczach niż jakimkolwiek podobieństwem do pełnego mądrości i zadowolenia oblicza kobiety, którą znali i otaczali czcią. A nawet ten błysk wydawał się niezdrowy, jakby zrodziła go gorączka.

Wieczór stanowił dla Goldmoon trudną przeprawę. Urządzono na jej cześć bankiet, zmuszono ją, aby zasiadła na honorowym miejscu. Miała wrażenie, że wszyscy się na nią gapią i rzeczywiście tak było. Tylko nieliczni zdołali oderwać od niej wzrok. Wpatrywali się w nią tak długo, aż wreszcie przychodziło im do głowy, że zachowują się nieuprzejmie i ostentacyjnie spoglądali w innym kierunku. Goldmoon nie wiedziała, co jest gorsze. Najadła się do syta. Miała znacznie lepszy apetyt niż dotąd. Jej niezwykle ciało domagało się wielkich ilości jedła, ale Goldmoon w ogóle nie czuła jego smaku. Po prostu dorzucała opału do ognia, który z pewnością miał ją wkrótce pochłonąć.

- Za kilka dni przyzwyczają się do mnie - powiedziała sobie z przygnębieniem. - Przestaną zauważać tę straszliwą zmianę, która we mnie zaszła. Aleja o niej nie zapomnę. Gdybym tylko mogła zrozumieć, dlaczego mi to uczyniono.

Po jej prawej stronie siedział Palin. Mag był jednak ponury i zasmucony. Jadł bez apetytu i w końcu odstawił większą część posiłku na bok. Pogrążył się w myślach i nie słuchał prowadzonych wokół rozmów. Podejrzewała, że odtwarza wciąż 51: w pamięci swą podróż w czasie, szukając czegoś, co pozwoliłoby mu zrozumieć jej niezwykle zakończenie.

Tasslehoff również wydawał się w złym humorze. Siedział obok Palina, który obserwował go uważnie. Kender kopał nogami krzesło i od czasu do czasu wzdychał rozpaczliwie. Większość

sztućców wylądowała już w jego kieszeniach, podobnie jak solniczka i pieprzniczka, lecz te pożyczki nie sprawiały mu radości. Wydawało się, że działa czysto odruchowo. Wyraźnie nie bawił się dobrze.

- Pomożesz mi jutro narysować mapę labiryntu żywopłotów? - zapytał jego sąsiad, gnom. - Wreszcie udało mi się znaleźć naukowe rozwiązanie tego problemu. Wymaga ono jednak pomocy drugiej osoby oraz pary skarpetek.

- Jutro? - zapytał kender.

- Tak, jutro - powtórzył gnom.

Tas popatrzył na Palina. Mag popatrzył na Tasa.

- Z chęcią ci pomogę - zapewnił kender i zsunął się z krzesła. - Chodź, Zgadywanka. Miałeś mi pokazać swój statek.

- Ach, mój statek. - Gnom wetknął sobie do kieszeni trochę chleba na później. - „Niezniszczalny XVIII”. Stoi przycumowany w porcie. Przynajmniej jeszcze niedawno stał. Nigdy nie zapomnę niespodzianki, jaka mnie spotkała, gdy wsiadłem na pokład jego poprzednika, „Niezniszczalnego XVII”, tylko po to, aby się przekonać, że jego nazwa jest tragicznie nietrafna. Niemniej jednak komitet dokonał radykalnych zmian w planie budowy i jestem przekonany...

Palin śledził wzrokiem oddalającego się Tasslehoffa.

- Musisz z nim porozmawiać, Goldmoon - powiedział cicho mag. - Przekonać go, żeby wrócił. - Wrócił po śmierć? Jak mogę tego żądać od Tasa? Albo od kogokolwiek?

- Wiem. - Palin westchnął i potarł skronie, jakby bolała go głowa. - Uwierz mi, Pierwszy Mistrzu, że chciałbym, aby istniał jakiś inny sposób. Wiem tylko tyle, że on powinien zginąć, ale żyje, a świat wypadł z przeznaczonego mu toru.

- Sam jednak przyznajesz, że nie wiesz, czy Tasslehoff, żywy bądź martwy, ma cokolwiek wspólnego z tym problemem.

- Nie rozumiesz, Pierwszy Mistrzu... - zaczął ze znużeniem w głosie Palin.

- Masz rację. Nie rozumiem. I w związku z tym co miałabym mu powiedzieć? - zapytała ostrym tonem. - Jak mogę udzielać komuś rad, jeśli nie mam pojęcia, co się dzieje? Potrząsnęła z desperacją głową. - Taką decyzję może podjąć tylko on. Nie będę się wtrącała.

Goldmoon dotknęła dłonią gładkiego policzka. Wyczuwała skórę pod palcami, lecz ta skóra nie czuła ich dotyku. Równie dobrze mogłaby głaskać woskową podobiznę.

Bankiet wreszcie się skończył. Goldmoon wstała i inni na znak szacunku uczynili to samo. Jeden z akolitów, pełen życia młodzieniec, wznosił radosny okrzyk. Inni go podchwycili i wkrótce wszyscy obecni klaskali i wrzeszczeli głośno.

Ten aplauz przeraził Goldmoon. Z początku panicznie pomyślała, że hałas przyciągnie do nich uwagę. Po chwili sama się tym zdumiała. Nawiedziło ją niezwykle uczucie, że są uwięzieni w Cytadeli i szuka ich coś złego. Owo wrażenie wkrótce ustąpiło, lecz krzyki nadal ją irytowały. Uniosła ręce, aby wszystkich uciszyć.

- Dziękuję, przyjaciele. Moi drodzy przyjaciele - zaczęła, oblizując sztywne, wysuszone wargi. - Proszę, abyście... abyście o mnie pamiętali, otoczyli mnie swą życzliwością. Chyba będzie mi potrzebna.

Zebrani popatrzyli na siebie z zakłopotanymi minami. Nie to spodziewali się usłyszeć. Chcieli, aby im opowiedziała o wspaniałym cudzie, którego dokonała, obiecała, że uczyni ten cud również dla nich. Odesłała ich skinieniem dłoni. Wszyscy opuścili salę, wracając do pracy albo nauki. Wychodząc, często oglądali się na nią i rozmawiali cicho.

- Wybacz, że ci przeszkadzam, Pierwszy Mistrzu - rzekła lady Camilla, podchodząc do niej. Spuściła wzrok, ze wszystkich sił starając się nie patrzeć na twarz Goldmoon. - Pacjen - ci w szpitalu nie mogą się doczekać twego powrotu. Zastanawiałam się czy, jeśli nie jesteś zbyt zmęczona, mogłabyś...

- Oczywiście - zgodziła się z chęcią Goldmoon, ciesząc się, że będzie miała coś do roboty. W pracy znajdzie zapomnienie. W ogóle nie czuła zmęczenia, czy raczej jej dziwne ciało go nie czuło.

- Palinie, czy zechcesz nam towarzyszyć? - zapytała.

- A po co? Wasi uzdrowiciele w niczym mi nie pomogą - warknął ze złością. - Wiem, bo już próbowali.

- Mówisz do Pierwszego Mistrza - skarciła go lady Camilla.

- Przepraszam, Pierwszy Mistrzu - rzekł Palin, kłaniając się niezbyt uniesienie. - Wybacz mi nieuprzejmość. Jestem straszliwie zmęczony. Nie spałem od bardzo dawna. Najpierw muszę znaleźć kendera, a potem udam się prosto do łóżka. Życzę ci dobrej nocy.

Pokłonił się, odwrócił i odszedł.

- Palinie! - zawołała Goldmoon, ale jej nie usłyszał albo zignorował.

Poszła z lady Camillą do szpitala, oddzielnego budynku wzniesionego na terenie Cytadeli. Noc była chłodna, niezwykle chłodna jak na tę porę roku. Goldmoon popatrzyła na gwiazdy i na błądy księżyc. Nigdy się do niego naprawdę nie przyzwyczaiła i jego widok nadal przyprawiał ją o niepokój. Dzisiejszej nocy gwiazdy wydawały się jej małe i odległe. Po raz pierwszy sięgnęła wzrokiem dalej, do leżącej za nimi ciemności, niezmierzonej i puste.

- Jakby nas otaczała - rzekła przerażona.

- Słucham, Pierwszy Mistrzu? - odezwała się lady Camilla. - Mówiłaś do mnie?

W pewnym punkcie swego życia obie kobiety były antagonistkami. Gdy Goldmoon postanowiła wznieść Cytadelę Światła na wyspie Schallsea, lady Camillą była temu przeciwna. Solamniczycy dochowali wierności dawnym bogom, którzy odeszli. Dlatego rycerka odnosiła się do tej nowej „mocy serca” podejrzliwie i z nieufnością. Potem jednak ujrzała na własne oczy niestrudzone wysiłki zgromadzonych w Cytadeli mistyków, którzy chcieli dać światu dobro, rozproszyć ciemność światłem. Zrodziły się w niej miłość i szacunek dla Goldmoon. Zwykła mawiać, że zrobiłaby wszystko dla Pierwszego Mistrza, i dowiodła prawdziwości tych słów, poświęcając przesadnie wiele czasu i pieniędzy na poszukiwania drogiego Goldmoon dziecka, które zaginęło przed trzema laty. Dziecka, którego imienia nikt nie wymieniał, aby nie zasmucać Pierwszego Mistrza.

Goldmoon często myślała o owym dziecku, zwłaszcza gdy szła brzegiem morza.

- To nic ważnego - odparła. - Wybacz mi, lady Camillo - dodała. - Wiem, że jestem dziś marną towarzyszką.

- Nieprawda, Pierwszy Mistrzu - zaprzeczyła rycerka. - Po prostu masz wiele na głowie.

Obie kobiety szły dalej w milczeniu.

Szpital, ulokowany w jednej z kryształowych kopuł, które stanowiły centralne budowle Cytadeli Światła, był wielką salą wypełnioną łózkami, stojącymi w równych szeregach po obu stronach. Powietrze przesyciła słodka woń ziół, a ich uzdrawiające działanie wspomagała również słodka muzyka. Uzdrowiciele pomagali tu chorym i rannym, używając mocy serca odkrytej przez Goldmoon, która po raz pierwszy użyła jej do uzdrowienia umierającego krasnoluda, Jaspera Fireforge'a.

Od tego czasu dokonała wielu cudów. Tak przynajmniej opowiadano. Uzdrawiała tych, dla których nie było już nadziei. Dotknięciem dłoni leczyła zdruzgotane ciała, przywracała życie sparaliżowanym kończynom i wzrok ślepcom. Jej cuda uzdrawiania były również niezwykle jak te, które czyniła jako kleryk Mishakal. Cieszyła się, że może ulżyć cierpieniu innych, lecz uzdrawianie nie dawało jej już tej radości, którą czuła, gdy to błogosławieństwo było darem bogini, gdy pracowała na spółkę z Mishakal.

Mniej więcej przed rokiem jej uzdrowicielskie moce zaczęły słabnąć. Z początku uważała, że to wina starości, lecz inni uzdrowiciele również odczuwali to samo.

- Czuję się tak, jakby ktoś rozwiesił zasłonę między mną a pacjentem - skarżył się pewien sfrustrowany młodzieniec.

- Próbuję ją odsunąć, aby dotrzeć do chorego, ale za nią leży następna i następna. Nie potrafię się już zbliżyć do pacjentów. Z całego Ansalonu napływały raporty szkolonych w Cytadeli mistrzów, którzy meldowali o tym samym przerażającym zjawisku. Niektórzy oskarżali smoki. Inni uważali, że to wina Rycerzy Neraki. Wkrótce jednak doszły ich pogłoski, że czarni mistycy również tracą moc.

Goldmoon zapytała swego doradcę, srebrnego smoka Zwierciadło, który był strażnikiem Cytadeli, czy uważa, że to wina Malys.

- Nie, Pierwszy Mistrzu, nie uważam - odparł. Rozmawiał z nią w swej ludzkiej postaci - przystojnego, srebrnowłosego młodzieńca. Widziała smutek i niepewność w jego oczach, skrywających mądrość stuleci. - Poczuję, że moja magiczna moc również zaczyna zanikać. Wśród smoczego rodu krążą pogłoski, że to samo dotyczy naszych wrogów.

- To znaczy, że przynajmniej wyniknie z tego coś dobrego - stwierdziła Goldmoon.

Zwierciadło zachował powagę.

- Obawiam się, że nie, Pierwszy Mistrzu. Tyran, który czuje, że jego moc słabnie, nie rozluźnia uścisku, lecz go wzmacnia.

Goldmoon zatrzymała się na progu szpitala. We wszystkich łózkach leżeli pacjenci. Niektórzy spali, inni rozmawiali cicho, a jeszcze inni czytali. Panowała tu atmosfera spokoju. Pozbawieni większej części swych mistycznych mocy uzdrowiciele zwrócili się ponownie ku ziołowym medykamentom, które stosowano w dniach po Katakлизmie. W powietrzu unosiła się woń szaławii i rozmarynu, rumianku i mięty. Słychać było cichą muzykę. Goldmoon poczuła wypełniającą pomieszczenie kojącą aurę i ulżyło jej trochę na sercu. Być może w tym miejscu uzdrowicielka również znajdzie uzdrowienie.

Zobaczywszy Goldmoon, jedna z mistrzów uzdrowicielskich ruszyła szybko w jej stronę. Przywitała ją spokojnie, aby nie niepokoić pacjentów demonstracją przesadnych emocji. Oświadczyła, że bardzo się cieszy z powrotu Pierwszego Mistrza, ani na moment nie spuszczać wzroku z odmienionej twarzy Goldmoon.

Ta z kolei powiedziała coś miłego i niewinnego, po czym odwróciła się od zdumionej kobiety i rozejrzała po sali. Zapytała o stan pacjentów.

- W szpitalu panuje dziś spokój, Pierwszy Mistrzu - odpowiedziała uzdrowicielka, prowadząc Goldmoon do sali. - Mamy wielu pacjentów, ale, na szczęście, tylko nieliczni dają nam powody do niepokoju. Mamy dziecko cierpiące na krup, rycerza, który złamał nogę podczas turnieju oraz młodego rybaka, uratowanego przed utonięciem. Reszta to rekonwalescenci.

- Jak się czuje sir Wilfer? - zapytała lady Camilla.

- Noga już się zrosła, pani - odpowiedziała uzdrowicielka - ale ciągle jest słaby. Upiera się, że chce już wyjść i nie potrafię go przekonać, że lepiej byłoby, gdyby został jeszcze kilka dni. Wiem, że bardzo się tu nudzi, ale może gdybyś...

- Porozmawiam z nim - zgodziła się lady Camilla. Szła wzdłuż szeregów łóżek. Większość pacjentów pochodziła spoza Cytadeli, z wiosek i miasteczek na Schallsea. Znali starą Goldmoon, która często odwiedzała ich w domach, tej młodej Goldmoon jednak nie poznawali. Większość uważała ją za kogoś obcego i nie zwracała na nią uwagi. Goldmoon cieszyła się z tego. Na przeciwległym końcu sali stała kołyska z niemowlęciem, przy którym czuwała matka. Chłopczyk kasłał i jęczał głośno. Buzię miał czerwoną od gorączki. Uzdrowiciele przygotowywali miskę ziół, które następnie mieli zalać gotującą wodą. Para zwiększy wilgotność płuc i ułatwi dziecku kaszel.

Goldmoon podeszła bliżej, pragnąc powiedzieć matce kilka słów pocieszenia.

Gdy się zbliżyła, dostrzegła, że nad niespokojnym dzieckiem pochyla się również inna postać. W pierwszej chwili pomyślała, że to jeden z uzdrowicieli. Nie poznawała twarzy, ale przecież nie odwiedzała chorych od wielu tygodni. Może to jakiś nowy uczeń...

Goldmoon zwolniła kroku. Zatrzymała się trzy kroki od chorego dziecka, łapiąc za drewniany słupek łoża, aby nie stracić równowagi.

To nie był uzdrowiciel. To nie był uczeń. To w ogóle nie był nikt żywy. Nad dzieckiem unosił się duch... duch młodej kobiety.

- Wybacz, Pierwszy Mistrzu - powiedziała uzdrowicielka. - Pójdę zobaczyć, czy mogę coś zrobić dla tego chorego dziecka.

Podeszła do kołyski i położyła dłonie na niemowlęciu, lecz w tej samej chwili uchwyciły je niematerialne dłonie ducha.

- Daj mi błogosławioną moc - rozległ się szept. - Muszę ją dostać, bo w przeciwnym razie pochłonie mnie pustka!

Dziecko rozkaszało się jeszcze bardziej. Matka pochylała się nad nim niespokojnie. Uzdrowicielka cofnęła dłonie, potrząsając z rezygnacją głową. Jej dotyk nie pomógł maleństwu. Całą energię ukradł duch.

- Powinien wdychać tę parę - rzekła kobieta zmęczonym, zrezygnowanym głosem. - To mu pomoże oczyścić płuca.

Duch kobiety oddalił się. Jego miejsce zajęły następne niematerialne postacie, które tłoczyły się wokół chorego dziecka. Ich płonące oczy wpatrywały się chciwie w uzdrowicielkę. Gdy ta przeszła do następnego łóżka, duchy podążyły za nią, czepiając się jej niczym nitki pajęczyny. Kiedy położyła ręce na kolejnym pacjencie, próbując go uzdrowić, umarli pochwycili je, krzyżąc i jęcząc.

- Moje! Moje! Daj tę moc mnie!

Goldmoon zachwiała się na nogach. Gdyby nie trzymała się słupka, z pewnością by się przewróciła. Zacisnęła mocno powieki w nadziei, że straszliwe zjawy znikną. Gdy jednak otworzyła oczy, ujrzała kolejne duchy. Wokół łóżek tłoczyły się i przepychały tłumy umarłych, a każdy z nich próbo - wał ukraść dla siebie błogosławioną, życiodajną moc, która płynęła od uzdrowicieli. Umarli pozostawali w nieustannym ruchu. Przepływali przez Goldmoon niczym potężna, wzburzona rzeka. Wszyscy zmierzali w tym samym kierunku - na północ. Tym, którzy gromadzili się wokół uzdrowicieli, nie pozwalano pozostać tam długo. Jakiś niesłyszalny głos nakazywał im odejść, jakaś niewidzialna dłoń wciągała ich z powrotem w nurt.

Rzeka umarłych zmieniła kurs, omywając Goldmoon. Duchy wyciągały ręce, aby jej dotknąć, błagały ją głuchym szeptem o błogosławieństwo.

- Nie! Zostawcie mnie! - krzyknęła, odsuwając się od nich trwożnie. - Nie mogę wam pomóc!

Niektórzy z umarłych popłynęli dalej, zawodząc z rozczarowania. Inne duchy otoczyły ją jednak ciasno. Ich oddech był zimny, oczy płonęły, słowa pełgały jak dym, a dotyk przywodził na myśl sypiący się na skórę popiół.

Ujrzała wokół siebie zdumione twarze. Twarze żywych.

- Uzdrowicielko! - zawołał ktoś. - Chodź tu szybko! Pierwszy Mistrz!

Kobieta zjawiała się natychmiast. Czyżby obraziła czymś Pierwszego Mistrza? Nie było to jej zamiarem.

Goldmoon odsunęła się od niej z przerażeniem na twarzy. Wokół kobiety tłoczyli się umarli, którzy czepiali się jej ramienia, szarpali za szaty, przepychali się ku niej, próbując złapać uzdrowicielkę za dłonie.

- Daj nam... - błagali swym straszliwym szeptem. Daj nam to, czego pragniemy... co musimy dostać...

- Pierwszy Mistrzu! - Donośny głos lady Camilli z łatwością przebił się przez syki duchów. Pobrmiewała w nim nuta paniki. - Pozwól nam ci pomóc! Powiedz nam, co się stało!

- Czy ich nie widzicie? - krzyknęła Goldmoon. Umarłych? - Wyciągnęła rękę. - Tam, wokół kołyski! Tam, obok uzdrowicielki. Tutaj, przede mną! To umarli kradną naszą moc. Czy ich nie widzicie?

Wokół niej rozległy się głosy żywych. Nie rozumiała ich, nie miały dla niej sensu. Jej własny głos ją zawiódł. Poczowała, że się przewraca i nie mogła nic na to poradzić.

Leżała w szpitalnym łóżu. Głosy nie milkły. Kiedy rozchyliła powieki, ujrzała wokół siebie twarze umarłych.

28

Edykt smoczycy

Generał Medan rzadko odwiedzał swą kwaterę główną w Qualinoście. Wzniesioną przez ludzi fortecę celowo uczyniono brzydką. Była przysadzista i kwadratowa, zbudowano ją z szarego piaskowca, miała zakratowane okna i masywne, okute żelazem drzwi. Zaplanowano ją w ten sposób, by stanowiła zniewagę dla elfów, przypominała im, kto jest tu panem. Żaden elf nie przychodził tu z własnej woli, choć wielu już widziało jej wnętrze, zwłaszcza położoną głęboko pod ziemią celę, do której trafiali, gdy nadszedł rozkaz, aby „wziąć ich na spytki”.

Marszałek Medan darzył ten budynek szczerą niechęcią, niemal tak samo silną jak eltbwie. Wolał załatwiać większość spraw w domu, gdzie miejscem jego pracy była cienista altanka, usiana plamkami słonecznego blasku. Wolał słuchać śpiewu skowronka niż wrzasków torturowanych, przedkładał zapach róż nad odór krwi.

Oslawionej celi nie używano ostatnio zbyt często. Elfowie podejrzani o to, że są buntownikami lub pozostają z nimi w zмовie, znikali niczym cienie, gdy słońce skryje się za chmurami, nim Rycerze Neraki zdążyli ich aresztować. Medan świetnie zdawał sobie sprawę, że dokądś uciekają, zapewne podziemnymi tunelami. W dawnych czasach, gdy dopiero zaczynał karierę gubernatora okupowanej krainy, przewróciłby Qualinost do góry nogami i na lewą stronę, drażyłby sprawę i zadawał pytania, sprowadziłby Rycerzy Ciernia, aby szukali magii, poddałby torturom setki elfów. Teraz jednak nie uczynił niczego w tym rodzaju. Cieszył się, że jego rycerze aresztowali tak niewielu. Znienawidził tortury i śmierć, tak samo jak pokochał Qualinesti.

A kochał ten kraj szczerze. Kochał jego piękno i spokój, który wił się meandrami przez ojczyznę elfów niczym lśniący strumień płynący przez jego ogród. Alexius Medan nie darzył jednak miłością samych elfów. Oni wykraczali poza jego pojmanie. Równie dobrze mógłby powiedzieć, że kocha słońce, gwiazdy czy księżyc. Podziwiał ich, tak jak się podziwiał piękną orchideę, nie mógł jednak ich kochać. Czasami zazdrościł im długiego życia, a czasami z tego samego powodu litował się nad nimi.

Gerard zdał sobie z czasem sprawę, że Medan nie kocha Laurany jako kobiety, lecz jako uosobienie wszystkiego, co było piękne w jego przybranej ojczyźnie.

Gdy Solamniczycy po raz pierwszy ujrzał wewnątrz domu marszałka, był zdumiony i oczarowany. Jego zdumienie wzrosło jeszcze, gdy marszałek oznajmił mu z dumą, że osobiście zaprojektował ten dom i otoczył go ogrodem, który odpowiadał jego gustom.

Elfowie nie czuliby się szczęśliwi w domu marszałka Medana, gdyż wydawał się im zbyt uporządkowany i regularny. Marszałek nie lubił elfiego zwyczaju używania żywych drzew jako ścian i pnączy w charakterze zasłon, nie chciał też, aby dach jego domu porastała zielona trawa. Elfowie lubili słyszeć nocą szepty i szelesty żywych ścian, natomiast Medan wolał, aby ściany pozwalały mu spać. Dom wzniesiono z grubo ciosanego kamienia. Marszałek dopilnował, aby przy jego budowie nie ścięto żywych drzew, co elfowie uważali za straszliwą zbrodnię.

Kamienne mury porastał bluszcz i powój. Budynek praktycznie niknął wśród kwiatów. Gerard nie potrafił uwierzyć, że podobne piękno żyje w duszy człowieka, który był zaprzysiężonym wyznawcą przykazań ciemności.

Solamniczycy przeniósł się tu wczoraj po południu. Na rozkaz Medana uzdrowiciele Rycerze Neraki połączyli swą słabnącą moc, aby przywrócić rannemu niemal całkowite zdrowie. Rany zagoiły się ze zdumiewającą szybkością. Gerard uśmiechnął się do siebie, wyobrażając sobie, jak by się rozgniewali, gdyby ktoś im powiedział, że poświęcili kurczące się zasoby energii na wyleczenie nieprzyjaciela.

Rycerz zajął jedno ze skrzydeł domu, które do tej pory stało puste, gdyż marszałek nie

pozwalając, aby jego adiutanci mieszkali razem z nim, od dnia, gdy jednego z nich przyłapano na oddawaniu moczu do stawu rybnego. Medan przeniósł winowajcę na najdalej położoną placówkę w całym elfim królestwie, zbudowaną na granicy pustkowia znanego jako Równiny Pyłu, licząc na to, że mógz prostaka eksploduje od upału.

Kwatera Gerarda okazała się wygodna, choć mała. Jego obowiązki, jak dotąd, nie należały do ciężkich. Marszałek Medan wstawał wcześniej rano. Gdy dzień był słoneczny, jadł śniadanie w ogrodzie, a kiedy padało, na wychodzącej na ogród werandzie. Gerard stał za krzesłem marszałka, nalewając mu herbaty i wysłuchując jego skarg na wrogów, których uważał za najbardziej nieubłaganych: mszyce, roztocza i koszówki. Solamniczycy załatwiał też korespondencję Medana, decydował, których gości do niego wpuścić i zanosił jego rozkazy do pogardzanej kwatery głównej. Urzędujący tam rycerze spoglądali na niego z zazdrością, rzucając grubiańskie uwagi o „karierowiczu”, „lizusie” i „dupolizie”.

Gerard z początku czuł się niepewnie. W krótkim czasie wydarzyło się bardzo wiele. Jeszcze przed pięcioma dniami był gościem w domu Laurany, a teraz stał się jeńcem Rycerzy Neraki, któremu pozwalano żyć, dopóki Medan będzie go uważał za użytecznego.

Postanowił, że zostanie u marszałka tylko na czas potrzebny, aby ustalić tożsamość osoby, która szpieguje królową matkę. Gdy już osiągnie ten cel, przekaże wiadomość Lauranie i podejmie próbę ucieczki. Po podjęciu tej decyzji uspokoił się i poczuł znacznie lepiej.

Gdy Medan zjadł kolację, wysyłał Gerarda do kwatery głównej po codzienne raporty i listę więźniów, czy raczej tych, którym udało się zbiec i byli teraz poszukiwani. Solamniczycy miał też odbierać listy przysyłane do Medana z innych części kontynentu. Marszałek powiedział mu, że z reguły nie ma ich zbyt wiele. Medan nie interesował się innymi częściami kontynentu i bardzo niewielu było tam takich, którzy interesowali się nim. Tego wieczoru przybyło jednak pismo, które ścisnął w pazurzystych łapach smokowiec, posłaniec Beryl.

Gerard słyszał o smokowcach, którzy zrodzili się przed laty z magicznie skażonych jaj dobrych smoków, lecz nigdy dotąd nie widział podobnej istoty. Ujrzawszy wielkiego baaza, doszedł do wniosku, że mógłby się świetnie obejść bez tego widoku.

Smokowiec stał na dwóch nogach, jak człowiek, lecz jego ciało pokrywała łuska. Dłonie miał wielkie, również pokryte łuską, a palce zakończone ostrymi pazurami. Twarz wyglądała jak oblicze jaszczurki albo węża. Szeroki uśmiech odsłaniał ostre kły oraz długi, wywieszony jęzor. Z pleców wyrastały mu krótkie, masywne skrzydła, którymi to istota wachlowała się nieustannie.

Smokowiec czekał na Gerarda w budynku kwatery głównej. Solamniczycy zauważył stwora, gdy tylko wszedł do środka. Mimo woli zatrzymał się w drzwiach, porażony odrazą. Inni przebywający w pomieszczeniu rycerze obserwowali go z niecierpliwymi uśmieszkami, które na widok jego zmieszania przerodziły się w pełne satysfakcji uśmiechy.

Zły na siebie Gerard wszedł zamaszystym krokiem do środka i przeszedł obok smokowca, który wstał, drapiąc pazurami po podłodze.

Dowodzący zmianą oficer wręczył Gerardowi dzienne raporty. Solamniczycy wziął je i odwrócił się w stronę wyjścia.

- To też jest dla marszałka - zatrzymał go oficer, wskazując palcem na smokowca, który uniósł głowę z szerokim uśmiechem. - Groul przyniósł pismo do niego.

Gerard wziął się w garść i podszedł do ohydny stwora z nonszalancją. Miał nadzieję, że innym wyda się ona bardziej przekonująca niż jemu samemu.

__ Jestem adiutantem marszałka. Daj mi ten list.

Groul trzasnął zębami i uniósł tubę ze zwojem. Nie podał jej jednak Gerardowi.

__ Rozkazano mi dostarczyć to marszałkowi osobiście - oznajmił.

Solamniczycy spodziewał się, że gad okaże się zaledwie rozumny i będzie przemawiał jakąś bełkotliwą gwarą albo w najlepszym razie łamaną mową powszechną. Nie oczekiwał, że stwór będzie tak elokwentny i, co za tym idzie, inteligentny. Był zmuszony zmienić plan postępowania ze smokowcem.

- Oddam list marszałkowi - zapewnił. - Ostatnio dokonano kilku zamachów na jego życie i dlatego marszałek nie dopuszcza do siebie obcych. Masz moje słowo honoru, że oddam mu ten list do rąk własnych.

- Honor! Oto, co myślę o twoim honorze. - Groul wysunął język, po czym cofnął go gwałtownie, opryskując Gerarda śliną. Potem podszedł bliżej, drapiąc pazurami podłogę. Posłuchaj, rycerzu - wysyczał. - Przysłała mnie tu czcigodna Beryllinthranox. Rozkazała mi wręczyć ten list marszałkowi Medanowi i poczekać na jego odpowiedź. To nadzwyczaj pilna sprawa. Zamierzam wykonać ten rozkaz. Zaprowadź mnie do marszałka.

Gerard mógłby spełnić żądanie smokowca, co zapewne zaoszczędziłoby mu mnóstwa kłopotów. Nie zrobił tego jednak i to z dwóch powodów. Po pierwsze, koniecznie chciał przeczytać list od smoczycy, zanim odda go Medanowi, a ten zamiar trudno zrealizować, gdy smokowiec ściska pismo w pazurzastych łapach. Drugi powód był bardziej skomplikowany. Gerard nie bardzo sam to rozumiał, lecz nie podobała mu się myśl, że ten odrażający stwór wejdzie do domu marszałka, rozorze pazurami ziemię, zniszczy klomby, strąca rośliny i porozbija ogonem meble, zaglądając we wszystkie dziury i plamiąc podłogę śliną skapującą z rozciągniętej w szyderczym uśmiechu paszczy.

Groul trzymał zwój w prawej łapie, a jego miecz wisiał u lewego biodra, co znaczyło, że stwór jest praworęczny. Na to przynajmniej liczył Gerard, choć zawsze istniała możliwość, że te istoty równie biegle władają obiema rękami. Solamniczycy postanowił, że jeśli wyjdzie z życiem z tego incydentu, postara się dowiedzieć czegoś więcej o tej strasznej rasie. Potem wyciągnął miecz w przesadnie zamaszystym geście i skoczył na smokowca.

Zaskoczony Groul zareagował instynktownie. Upuścił tubę na podłogę i sięgnął prawą ręką po miecz. Gerard odwrócił się na pięcie, pochylił i podniósł tubę. Prostując się, uderzył barkiem i

ramieniem w brzuch smokowca. Cios był wsparty całym ciężarem zakutego w zbroję ciała i Groul runął na podłogę z brzękiem upuszczonego miecza. Zatrzepotał szaleńczo skrzydłami i zamachał rękami, bezskutecznie usiłując zachować równowagę. Grzmotnął o ławę, roztrzaskując ją.

Kilka ran Gerarda otworzyło się na skutek nagłego ruchu i ataku na smokowca. Solamniczcyk wessał powietrze w płuca, wpatrywał się przez chwilę groźnie w leżące na podłodze stworzenie, po czym odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia, tłumiąc impuls każący mu sprawdzić, czy zrobił sobie poważniejszą krzywdę.

Słyszając stukot pazurów i szpetne przekleństwa, Gerard odwrócił się błyskawicznie z mieczem w rękę, zamierzając zakończyć walkę, gdyby smokowiec z niej nie zrezygnował. Ku zdumieniu Solamniczcyka, trzech Rycerze Neraki również dobyli mieczy i zagrodzili Groulowi drogę.

- Adiutant marszałka ma rację - oznajmił jeden z nich, starszy mężczyzna, który służył w Qualinesti od wielu lat i nawet ożenił się z elfką. - Słyszeliśmy o tobie różne historie, Groul. Może Beryl rzeczywiście rozkazała ci załatwić tę sprawę osobiście z marszałkiem, tak jak mówisz. A może rozkazała ci załatwić naszego marszałka. Radzę ci, żebyś usiadł na tym, co zostało z naszej ławy i zaczekał. Jeśli marszałek zechce się z tobą zobaczyć, sam tu przyjdzie.

Groul zawahał się, łypiąc złowrogo na rycerzy. Dwaj strażnicy również wyciągnęli miecze i przyłączyli się do oficerów. Smokowiec zaklął i schował miecz z głośnym warknięciem. Potem wymamrotał coś o tym, że potrzebuje świeżego powietrza, podszedł do okna i zaczął przez nie wyglądać.

__ Idź już - powiedział rycerz do Gerarda. - Będziemy mieli na niego oko.

- Tak jest. Dziękuję wam.

Rycerz odchrząknął i wrócił do swoich obowiązków.

Gerard pośpiesznie opuścił kwaterę główną. Ulica, przy której stał budynek, była pusta. Elfowie nigdy nie pojawiali się tu z własnej woli. Większość żołnierzy albo była na służbie, albo właśnie zakończyła służbę i spała.

Gerard opuścił ulicę i znalazł się we właściwym mieście, czy raczej na przedmieściach. Otaczali go teraz mieszkańcy Qualinostu, a z tym wiązało się inne niebezpieczeństwo. Medan poradził mu, aby włożył napierśnik oraz hełm i udał się do kwatery głównej przed zapadnięciem zmroku. Widział wokół siebie piękne twarze i oczy w kształcie migdałów, które spoglądały na niego z nieskrywaną, zapiekłą nienawiścią. Inni elfowie celowo odwracali wzrok, nie chcąc sobie psuć pięknego letniego wieczoru widokiem brzydkiego ludzkiego oblicza.

Gerard również zdawał sobie sprawę, że jego widok stanowi tu dysonans. Ciało rycerza wydawało się masywne i niezdarne w porównaniu ze smukłymi, delikatnie zbudowanymi tubylcami, a włosy o, rzadko widywanej u elfów, barwie słomy zapewne uważano za wybryk natury. Jego naznaczona bliznami twarz o grubych rysach, brzydka nawet według ludzkich standardów, elfom z pewnością wydawała się ohydna.

Solamnińczyk rozumiał, dlaczego niektórzy ludzie nienawidzili elfów. Sam czuł się gorszy od nich pod każdym względem: wyglądu, kultury, mądrości, wychowania. Niektórzy ludzie mogli się poczuć lepsi od elfów jedynie podbijając ich, podporządkowując sobie, torturując i zabijając.

Skręcił w drogę prowadzącą do domu Medana. Część jego jaźni westchnęła z żalu, gdy zostawił za sobą ulice, przy których mieszkali i pracowali elfowie, jakby obudziła się z pięknego snu i wróciła do ponurej rzeczywistości. Inna część poczuła jednak ulgę. Nie musiał już nieustannie oglądać się za siebie, żeby sprawdzić, czy ktoś nie skrada się za nim ze sztyletem w ręce.

Od stojącego na uboczu domu marszałka dzieliła go jakaś mila drogi. Ścieżka wiła się między jaskrawymi osikami i topolami oraz szumiącymi wierzbami. Konary drzew sięgały nad szemrzący strumyk. Dzień był piękny, a niezwykle niska jak na tę porę roku temperatura stanowiła zapowiedź wczesnej jesieni. Gdy Gerard dotarł do połowy drogi, rozejrzał się uważnie, aby sprawdzić, czy nikt nie idzie. Wytężył słuch, chcąc się upewnić, czy nigdzie nie słychać kroków. Gdy nic nie usłyszał ani nikogo nie zobaczył, opuścił ścieżkę i podszedł do strumienia. Przykucnął na brzegu, jakby chciał się napić wody, i przyjrzał się tubie ze zwojem.

Była zapieczętowana lakiem, ale z tym łatwo mógł sobie poradzić. Wyjął nóż i położył go na płaskim kamieniu, nadal gorącym od popołudniowego słońca. Gdy metal już się nagrzał, Gerard wsunął ostrożnie ostrze pod pieczęć. Udało mu się zdjąć lak, nie naruszając go. Położył pieczęć na kawałku kory, żeby nic się jej nie stało. Potem przyjrzał się uważnie tubie i zaczął ją otwierać. Zawahał się jednak.

Zamierzał przeczytać list przeznaczony dla swego dowódcy. Co prawda, Medan był nieprzyjacielem i nie był właściwie dowódcą Gerarda, ale trzymał w ręku prywatny list, przeznaczony wyłącznie dla marszałka. Nikt, kto wiedział, co to honor, nigdy nie przeczytałby czyjejś korespondencji. Z pewnością żaden solamnijski rycerz nie upadłby tak nisko. Reguła nie pozwalała na korzystanie z usług szpiegów, uważając to na „niehonorowe i zdradzieckie”. W pamięci Gerarda szczególnie utkwił jeden akapit: Niektórzy powiadają, że szpiegzy są użyteczni, albowiem informacje, które zdobywają podłymi i podstępными metodami, mogą nas zaprowadzić do zwycięstwa. My, rycerze, odpowiadamy, że zwycięstwo uzyskane w taki sposób nie jest żadnym zwycięstwem, lecz ostateczną klęską, jeśli bowiem wyrzeknie - my się zasad honoru, o które walczymy, w czym będziemy lepsi Od naszych wrogów?

__ No właśnie, w czym? - zadał sobie pytanie Gerard, trzymając w ręku zamkniętą ciągle tubę.
- Pewnie w niczym.

Zdjął szybkim ruchem pokrywę, rozejrzał się po raz ostatni po lesie, wyjął list, rozwinął go i zaczął czytać.

Nagle ogarnęła go słabość. Jego ciało wypełnił chłód. Gerard osunął się na brzeg strumienia i czytał dalej, pełen niedowierzania. Kiedy skończył, zastanowił się, co robić dalej. W pierwszym odruchu chciał spalić straszliwy list, aby nigdy nie dotarł do adresata. Nie odważył się jednak tego zrobić. Zbyt wielu świadków widziało, jak go zabiera. Potem pomyślał o spaleniu go i zastąpieniu innym, lecz natychmiast zapomniał o tym szalonym pomycie. Nie miał papieru, pióra ani inkaustu. Niewykluczone też, że Medan znał charakter pisma skryby, który napisał ten list na rozkaz smoczycy.

Nie, doszedł do wniosku zrozpaczony Solamniczcyk, nie miał innego wyjścia jak doręczyć list. Gdyby postąpił inaczej, naraziłby się na niebezpieczeństwo, a możliwe, że jedynie on mógł pokrzyżować złowrogi plan smoczycy.

Medan będzie się zastanawiał, co się z nim stało. Gerard już w tej chwili poświęcił na swe codzienne zadanie więcej czasu niż zwykle. Zwinął pośpiesznie list, wetknął go do tuby, zamknął ją ostrożnie pieczęcią i sprawdził, czy ta trzyma się mocno. Wsadził ohydny dokument za pas, nie chcąc dotykać go częściej niż było to konieczne, i ruszył biegiem do domu marszałka.

Medan spacerował po ogrodzie, chcąc zażyć trochę ruchu po wieczornym posiłku. Usłyszawszy zbliżające się kroki, marszałek rozejrzał się wokół.

- Ach, Gerard. Spóźniłeś się. Zacząłem się już zastanawiać, czy coś ci się nie stało. - Przyjrzał się z uwagą ramieniu młodszego mężczyzny. - Rzeczywiście się stało. Jesteś ranny.

Solamniczcyk zerknął na rękaw koszuli i zobaczył, że jest wilgotny od krwi. Tak przejął się listem, że zapomniał o swych ranach i walce ze smokowcem.

- W kwaterze głównej doszło do konfliktu - wyjaśnił, wiedząc, że Medan z pewnością i tak dowie się, co się stało. - Tu są dzisiejsze raporty. - Położył je na stole stojącym pod drucianą ramą, porośniętą cierpliwie pielęgnowaną przez Medana winną latoroślą, która tworzyła zieloną, ulistnioną altanę.

- A to jest pismo od smoczycy Beryl.

Medan wziął je w ręce z grymasem na twarzy. Nie otworzył go natychmiast. Znacznie bardziej interesowała go informacja o walce.

- Co to był za konflikt, sir Gerardzie?

- Smokowiec, który przyniósł pismo, upierał się, że musi ci je doręczyć osobiście. Twoi rycerze nie uważali tego za konieczne. Nakazali mu zaczekać w kwaterze na twą odpowiedź.

- Sądzę, że to twoja robota, sir Gerardzie - stwierdził z uśmiechem Medan. - Postąpiłeś słusznie. Nie ufam Groulowi. Kto wie, jakie myśli lęgną się w tym jego jaszczurczym mózgu? Trzeba na niego uważać.

Marszałek spojrział na tubę. Gerard zasalutował i zaczął się oddalać.

- Nie, nie. Równie dobrze możesz zaczekać. Będę musiał napisać brudnopis odpowiedzi...

Umilkł, czytając list.

Gerard, który znał każdą jego linijkę, gdyż wszystkie wypaliły się w jego mózgu, mógł śledzić postępy lektury Medana, obserwując wyraz jego twarzy. Marszałek zacisnął usta. Mięśnie jego szczęk uwydatniły się wyraźnie. Gdyby Medan wyglądał na zadowolonego, Solamniczcyk był zdecydowany go zabić, bez względu na konsekwencje.

Medan nie był jednak zadowolony. Nawet w najmniejszym stopniu. Jego twarz straciła kolory, nabierając szarżółtawego odcienia. Marszałek skończył lekturę i przeczytał list po raz drugi, powoli i z namysłem. Potem zaklął, zmiął papier w dłoni i rzucił go na chodnik.

Skrzyżował ramiona na piersi i odwrócił się plecami do Gerarda., wpatrując się z posępną miną w dal. Minęła chwila, nim zdołał wziąć się w garść. Gerard czekał bez słowa. Być może najrozsądniej byłoby się ulotnić, lecz rozpaczliwie pragnął się dowiedzieć, co zamierza uczynić Medan.

Wreszcie marszałek się odwrócił. Spojrzał na zgnieciony list, po czym uniósł wzrok ku Gerardowi.

__ Przeczytaj to - rozkazał.

__ Marszałku - zaprotestował Solamnińczyk, rumieniąc się - List nie jest przeznaczony dla...

- Przeczytaj to, do cholery! - krzyknął Medan. - To już w niczym nie zaszkodzi - dodał, uspokajając się z trudem. __ Muszę się zastanowić, co robić, jakiej odpowiedzi udzielić smoczycy i w jaki sposób ją sformułować. Ostrożnie - napomniął sam siebie szeptem. - Muszę postępować ostrożnie, bo inaczej wszystko będzie stracone!

Gerard podniósł list i wygładził go.

- Przeczytaj to na głos - rozkazał Medan. - Być może oczy mnie mylą. Być może nie zrozumiałem któregoś fragmentu.

Jego głos był pełen ironii.

Gerard pomiął formalny wstęp i przeszedł do meritum tekstu.

- Ktoś, kto sprzyja moim interesom - czytał - zwrócił moją uwagę na fakt, że wyjęty spod prawa czarodziej Palin Majere odkrył nadzwyczaj cenny i cudowny magiczny artefakt w chwili, gdy przebywał nielegalnie na moim terytorium.

W związku z tym uważam ów artefakt za swoją własność.

Informatorzy donoszą mi też, że Palin Majere i kender uciekli z artefaktem do Cytadeli Światła. Daję elfiemu królowi Gilthasowi trzy dni na odzyskanie artefaktu i pojmanie przestępców, którzy go ukradli, oraz następane trzy dni na dostarczenie ich do mnie.

Na dodatek ma mi też przysłać głowę elfiej kobiety Lauranalanthalas, która ukrywała czarodzieja i kendera w swym domu i która pomogła im w ucieczce.

Jeśli po sześciu dniach głowa tej zdrajczynie, artefakt oraz ci, którzy go ukradli, nie znajdą się w moich rękach, wydam rozkaz zniszczenia Qualinesti. Wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci z

tego zdradzieckiego narodu poniosą śmierć od miecza bądź w promieniach. Nikt nie ocaleje. Jeśli zaś chodzi o tych w Cytadeli Światła, którzy odważyli się ukrywać wspomnianych przestępców, ich również zniszczę, puszcę Cytadelę z dymem i odnajdę magiczny artefakt pośród kości i popiołów.

Gerard cieszył się, że raz już czytał ten list. Gdyby nie był przygotowany, z pewnością nie zdołałby zachować podobnego spokoju. I tak głos uwiązł mu w gardle i rycerz musiał zamaskować emocje nagłym atakiem kaszlu. Skończył czytać, uniósł wzrok i zauważył, że Medan obserwuje go uważnie.

- I co o tym sądzisz? - zapytał marszałek. Gerard odchrząknął.

- Sądzę, że to bezczelność, iż smoczyca wydaje ci rozkazy, panie. Rycerze Neraki nie są jej prywatną armią.

Ponura mina marszałka złagodniała nieco. Prawie się uśmiechnął.

- To wspaniały argument, Gerardzie. Gdybyż tylko był prawdziwy! Niestety, Naczelne Dowództwo już od lat pełza na brzuchach przed wielkimi smokami.

- Z pewnością nie mówi poważnie, panie - rzekł ostrożnie Gerard. - Nie zrobiłaby tego. Nie zgładziłaby całej rasy...

- Zrobiłaby to i zrobi - odparł posępnym tonem Medan. - Spójrz tylko, co zrobiła w Kenderówku. Zabiła tysiące tych małych szkodników. Co prawda, to niewielka strata, ale to dowodzi, że jest gotowa spełnić swą groźbę.

Gerard słyszał, jak rycerze solamnijscy wyrażali podobną opinię na temat rzezi kenderów. Przypomniawszy sobie, jak śmiał się razem z nimi. Znał takich rycerzy solamnijskich, którzy nie przejęliby się zbyt, gdyby elfowie zniknęli z tego świata. Uważamy się za znacznie lepszych, bardziej moralnych i honorowych niż czarni rycerze - powiedział sobie - a w rzeczywistości różnimy się od nich jedynie kolorem zbroi. Czy są one srebrne, czy czarne, skrywają pod sobą takie same uprzedzenia, nietolerancję i ignorancję. Solamnijszyk zawstydzony głęboko.

Medan zaczął spacerować w tę i z powrotem po chodniku.

- Cholerni elfowie! Tyle lat trudzę się, aby ich uratować i wszystko to na nic! Cholerna królowa matka! Gdyby tylko chciała mnie wysłuchać! Ale nie, musiała utrzymywać konszachty z buntownikami. I co z tego wynikło? Skazała na zagładę siebie i cały swój lud. Chyba że...

Zatrzymał się z dłońmi splecionymi za plecami i pogрузzył się w myślach. Spowijały go luźne szaty elfiej roboty, elfiego kroju i elfiego modelu. Obsyty jedwabną wstążką rąbek muskał jego stopy. Gerard milczał. On również zatopił się w myślach. Panował w nich nielichy zamęt. Solamnijszyk wściekał się na smoczycę, która pragnęła unicestwić elfów, oraz na siebie i swój rodzaj za to, że przez tyle lat nie uczynili nic, aby ją powstrzymać.

Medan uniósł głowę. Podjął decyzję.

- Ten dzień nadszedł szybciej niż się spodziewałem. Nie przyłożę ręki do eksterminacji całego narodu. Nie mam oporów przed zabijaniem wojowników w walce, ale nie zamierzam mordować bezbronnych cywilów. To byłby szczyt tchórzostwa. Taka niczym nieusprawiedliwiona rzeź stanowiłaby złamanie przysięgi, którą złożyłem, gdy zostałem rycerzem. Być może uda się powstrzymać smoczycę. Będzie mi jednak potrzebna twoja pomoc.

- Możesz na nią liczyć, panie - zapewnił Gerard.

- Będziesz musiał mi zaufać - dodał marszałek.

- I ty mnie również, panie - zauważył z uśmiechem Solamniczycy.

Medan skinął głową. Był człowiekiem czynu i szybko podejmował decyzje. Nie marnując czasu na dalsze rozmowy, usiadł za stolikiem i sięgnął po pióro oraz inkaust.

- Musimy grać na czas - stwierdził, pisząc coś pośpiesznie. - Dostarczysz moją odpowiedź smokowcowi Groulowi, ale on nie może dotrzeć do smoczycy. Zrozumiałeś?

- Tak jest - odparł Gerard.

Medan skończył pisać. Posypał papier piaskiem, żeby inkaust wysechł, zwinął list i wręczył go Gerardowi.

- Włóż go do tej samej tuby. Nie ma potrzeby jej pieczętować. List mówi, że jestem posłusznym sługą Czcigodnej i uczynię wszystko, co mi rozkaże. - Medan wstał. - Gdy już wykonasz to zadanie, udaj się prosto do Pałacu Królewskiego. Rozkażę strażom, żeby cię wpuściły. Musimy się śpieszyć. Beryl to zdradziecka diablica i nie wolno jej ufać. Być może już zaczęła działać.

- Tak jest - odparł Gerard. - Gdzie będziesz, panie? Gdzie będę mógł cię znaleźć?

- Idę aresztować królową matkę - odparł z ponurym uśmiechem Medan.

Marszałek Medan szedł przecinając ogród ścieżką, która wiodła do skromnej rezydencji Laurany. Zapadła noc. Wziął ze sobą pochodnię, aby oświetlała mu drogę. Jej płomień przypalał zwisające z góry kwiaty. Liście kurczyły się i czerniały. W ogień wpadały też owady. Słyszał ich skwierczenie.

Marszałek nie miał na sobie elfich szat. Przywdział pełną, ceremonialną zbroję. Kelevandros, który otworzył mu drzwi, natychmiast zauważył tę zmianę. Obrzucił gościa nieufnym spojrzeniem.

- Witaj, marszałku Medan. Wejdz, proszę. Poinformuję panią, że ma gościa. Przyjmie cię w arboretum, tak jak zawsze.

- Wolę zostać tutaj - odparł marszałek. - Powiedz swej pani, żeby przyszła jak najszybciej. Powiedz jej też dodał ochryplym głosem - żeby ubrała się na podróż. Będzie jej potrzebny płaszcz.

Noc jest chłodna. I niech się pośpieszy.

- Będzie chciała się dowiedzieć, dlaczego. Kelevandros zawahał się. Medan popchnął go tak mocno, że elf się zatoczył.

- Idź po swoją panią - rozkazał.

- Na podróż? - zapytała zdumiona Laurana. Siedziała w arboretum, udając, że słucha Kalindasa, który czytał na głos starożytny elfi tekst. W rzeczywistości jednak nie docierało do niej ani słowo. - Dokąd zamierza mnie zabrać?

Kelevandros potrząsnął głową.

- Marszałek nie chciał mi tego powiedzieć, pani. Zachowuje się bardzo dziwnie.

- To mi się nie podoba, pani - stwierdził Kalindas, odkładając księgę. - Najpierw uwięził cię w twym własnym domu, a teraz to. Nie powinnaś nigdzie z nim iść.

- Zgadzam się z bratem, pani - dodał Kelevandros. Powiem mu, że nie czujesz się dobrze, a potem zrobimy to, o czym mówiliśmy wcześniej. Uciekniesz tunelami pod osłoną nocy.

- Nie - odparła z determinacją w głosie Laurana. Chcecie, żebym uciekła w bezpieczne miejsce, podczas gdy mój lud będzie zmuszony zostać? Przynieście mi płaszcz...

- Pani - odważył się sprzeciwić Kelevandros. - Proszę...

- Przynieście mi płaszcz - powtórzyła Laurana łagodnym, lecz nieustępliwym tonem, który nie pozwalał na dalsze dyskusje.

Kelevandros pokłonił się bez słowa. Kalindas poszedł po płaszcz, a jego brat wrócił z królową matką do drzwi frontowych, gdzie czekał marszałek Medan.

Wyprostował się na jej widok.

- Lauranalanthalas z rodu Solostranów - oznajmił oficjalnym tonem. - Jesteś aresztowana. Musisz pójść ze mną, nie stawiając oporu.

- Doprawdy? - zapytała. - A o co jestem oskarżona? Czy w ogóle postawiono mi jakieś zarzuty? - zapytała. Odwróciła się, aby Kalindas zarzucił jej płaszcz na ramiona.

Elf chciał to zrobić, lecz Medan wyjął płaszcz z jego rąk i zarzucił go z poważną miną na ramiona Laurany.

- Zarzutów jest wiele, pani. Ukrywanie ludzkiego czarodzieja poszukiwanego przez Szare Szaty, zatajenie wiedzy o cennym magicznym artefakcie, który posiadał czarodziej, choć prawo mówi, że wszystkie magiczne artefakty znajdujące się w Qualinesti należy wydać smoczycy. Pomoc wyjętemu spod prawa czarodziejowi w ucieczce z Qualinesti z artefaktem.

- Rozumiem - rzekła Laurana.

- Próbowałem cię ostrzegać, pani, ale nie chciałaś mnie słuchać - stwierdził Medan.

- To prawda, próbowałeś, marszałku, i jestem ci za to wdzięczna. - Laurana zapięła ozdobioną klejnotami zapinką płaszcz pod szyją. Jej dłonie były spokojne, w ogóle nie drżały. - I co się ma ze mną stać, marszałku Medan?

- Rozkazano mi cię stracić, pani. Mam wysłać twoją głowę smoczycy.

Kalindas wciągnął głośno powietrze. Kelevandros krzyknął ochryple i skoczył na Medana, próbując złapać go za gardło gołymi rękami.

- Przestań, Kelevandrosie - rozkazała Laurana, rzucając się między elfa a marszałka. - To nic nie da! Skończ z tym szaleństwem!

Kelevandros odsunął się zdyszany. Wpatrywał się z nienawiścią w Medana. Kalindas ujął brata pod ramię, lecz ten odrzucił go gniewnie.

- Chodź, pani - rzekł marszałek Medan, służąc Lauranie ramieniem. Pochodnia zaskwierczała i buchnęła dymem. Wiszące nad drzwiami orchidee poczerniały w płomieniach.

Laurana wsparła dłoń na ramieniu marszałka. Obejrzała się na obu braci, którzy stali z pobielalymi twarzami, patrząc niemo, jak prowadzą ją na śmierć.

Który z nich? - zapytała siebie z sercem wypełnionym rozpaczą. - Który?

Letni poranek w Silvanesti okazał się niezwykle chłodny.

- Świetny dzień na bitwę, panowie - oznajmiła swym oficerom Mina.

Galdar i pozostali odpowiedzieli okrzykiem, od którego zachwiały się drzewa rosnące nad rzeką, a liście osik zadrżały gwałtownie.

- Niech elfowie również tak zadrżą na widok naszej odwagi - powiedział kapitan Samuval. - Czekajcie nas dzisiaj wielkie zwycięstwo, Mino! Nie możemy przegrać!

- Wprost przeciwnie - odparła chłodno Mina. - Dzisiaj właśnie przegramy.

Rycerze i oficerowie popatrzyli na nią bez wyrazu. Widzieli, jak dokonywała cudu za cudem, aż wreszcie jej cuda ułożyły się w stos niczym garnki w szafce dobrej gospodyni. Myśl, że mogłyby stamtąd wypaść i rozbić się z trzaskiem na podłodze, wydawała się czymś niewiarygodnym i katastrofalnym. Dlatego w to nie uwierzyli.

- To był żart - zapewnił Galdar, próbując zbyć jej słowa śmiechem.

Mina potrząsnęła przecząco głową.

- Dzisiaj przegramy bitwę. Próbie podda nas armia tysiąca elfich wojowników. Nieprzyjacieli ma z górą dwukrotną przewagę liczebną. Nie możemy wygrać.

Rycerze i oficerowie popatrzyli niespokojnie na siebie. Potem skierowali pełne zwątpienia spojrzenia na Minę.

- Choć jednak przegramy dzisiaj bitwę, ta porażka da nam zwycięstwo w wojnie - ciągnęła dziewczyna, uśmiechając się lekko. Jej bursztynowe oczy rozświetlał niesamowity ogień. Odbite w nich twarze zdawały się lśnić niczym maleńkie gwiazdy. - Ale tylko pod warunkiem, że bez sprzeciwów wykonacie wszystkie moje rozkazy.

Mężczyźni uspokoili się i odprężyli.

- Zrobimy to, Mino - krzyknęło kilku. Reszta poparła ich głośnie aplauzem.

Dziewczyna już się nie uśmiechała. Bursztynowy blask jej oczu zalał jej ludzi i zastygł wokół nich, unieruchamiając ich skutecznie.

- Wykonacie moje rozkazy, chociaż nie będziecie ich rozumieli. Wykonacie je, mimo że nie będą się wam podobały. Przysięgniecie mi to na kolanach, przysięgniecie na Bezimiennego Boga, który jest świadkiem waszej przysięgi i wyrze straszliwą zemstę na każdym, który ją złamie. Czy przysięgacie?

Rycerze opadli na kolana, otaczając ją półkolem. Wydobyli miecze i ujęli je za klingi, tuż poniżej rękojeści. Potem unieśli je ku Minie. Klęczący kapitan Samuval pochylił głowę. Tylko Galdar stał. Mina skierowała na niego spojrzenie bursztynowych oczu.

- Galdarze, wynik tej bitwy zależy w pierwszej kolejności od ciebie. Jeśli mnie nie posłuchasz, jeśli nie posłuchasz Boga, który oddał ci rękę, wszyscy będziemy zgubieni. Wszyscy, ale zwłaszcza ty.

- Jak będzie brzmiał twój rozkaz, Mino? - zapytał ochryple Galdar. - Pozwól, abym najpierw się o tym dowiedział.

- Nie, Galdarze - odparła łagodnie. - Albo mi ufasz, albo nie. Albo pokładasz wiarę w Bogu, albo nie. Co wybierasz?

Minotaur opadł powoli na kolana. Wsunął niespiesznie miecz z pochwy i uniósł go, tak jak inni. Trzymał go w ręce, którą oddał mu Bóg.

.__ Przysięgam, Mino! - rzekł.

Reszta powtórzyła chórem. - Przysięgam!

Bitwę miano stoczyć na rozległym polu położonym na brzegach Thon-Thalasu. Miękkie, skórzane buty elfich żołnierzy deptały delikatne źdźbła pszenicy. Elfi łucznicy zajęli stanowiska pośród wysokiej, zielonej kukurydzy. Generał Konnal rozbił namiot dowodzenia w sadzie brzoskwińowym. Skrzydła wielkiego wiatraka obracały się niestrudzenie, poskrzypując na wietrze, niosącym ze sobą posmak jesiennych zniw.

Na tym polu również miały się odbyć zniwa, straszliwe zniwa śmierci młodych wojowników. Gdy bitwa się skończy, woda płynąca u stóp wiatraka nabierze czerwonej barwy.

Pole leżało na drodze maszerującego na Silvanost nieprzyjaciela. Elfowie zamierzali zatrzymać tu armię ciemności, nim dotrze ona do serca królestwa. Silvanesti byli oburzeni, źli i wściekli. Od wielu stuleci żaden wróg nie postawił stopy na ich świętej ziemi. Jedyne nieprzyjaciela, z którym musieli walczyć, wypaczony sen Loraca, stworzyli sami.

Zawiodła ich cudowna magiczna tarcza. Nie wiedzieli, jak i dlaczego zawiodła, lecz większość elfów była przekonana, że stało się tak na skutek machinacji Rycerzy Neraki.

- Dlatego, generale - mówił Glaucous - jest nadzwyczaj ważne, abyśmy pojмали żywcem ich dowódcę. Przyrowadź mi tę dziewczynę, abym mógł ją przesłuchać. Dowiem się od niej, w jaki sposób udało się jej zwyciężyć magię tarczy.

- Dlaczego uważasz, że ci to powie? - zainteresował się Konnal, poirytowany na czarodzieja, który wciąż zawracał mu głowę tą samą kwestią.

- Może nie chceć tego zrobić, ale nie będzie miała wyboru - zapewnił Glaucous. - Użyję wobec niej testu prawdy.

Obaj przebywali w namiocie dowodzenia. Wczesnym rankiem spotkali się z oficerami i Silvan przedstawił im swą strategię. Oficerowie zgodzili się, że plan jest dobry. Potem Konnal rozkazał im rozmieścić oddziały. Nadeszły meldunki, że nieprzyjaciel jest już tylko pięć mil od nich. Według

zwiadowców. Rycerze Neraki zatrzymali się, aby wdziąć zbroje. Nie ulegało wątpliwości, że przygotowują się do bitwy.

- Nie mogę poświęcić żołnierzy, którzy może będą potrzebni gdzie indziej, aby pojмали pojedynczego oficera, Glauconie - odparł generał, zapisując wydane przez siebie rozkazy w wielkiej księdze. - Jeśli dziewczyna dostanie się do niewoli podczas bitwy, to świetnie. Jeśli nie...

Wzruszył ramionami i pisał dalej.

- Ja podejmę się ją pojmać, generale - zaproponował Silvan.

- W żadnym wypadku, Wasza Królewska Mość - zaprotestował pośpiesznie Glaucon.

- Daj mi mały oddział konnych wojowników - nalegał Silvan, zatrzymując się obok generała. - Okrążymy flankę nieprzyjaciela i zajdziemy go od tyłu. Zaczekamy, aż bitwa rozgorzeje na dobre, a potem uformujemy klin, przebijemy się przez linie wroga, załatwimy strażników tej dziewczyny, pojmiemy ją i uciekniemy z jeńcem na naszą stronę.

Konnal podniósł wzrok znad księgi.

- Sam powiedziałaś, Glauconie, że powinniśmy się dowiedzieć, w jaki sposób te niegodziwe diabły przedostały się przez tarczę. Uważam, że plan Jego Królewskiej Mości jest dobry.

- Jego Królewskiej Mości groziłoby zbyt wielkie niebezpieczeństwo - sprzeciwił się Glaucon.

- Przydzielę mu żołnierzy z mojej osobistej straży - zapowiedział Konnal. - Nic mu się nie stanie.

- Lepiej, żeby tak było - ostrzegł go cicho Glaucon. Konnal zignorował swego doradcę. Podszedł do mapy, wpatrzył się w nią i dotknął palcem pewnego punktu.

- Przypuszczam, że nieprzyjacielski dowódca zajmie pozycję na tym wzniesieniu. Tu właśnie powinieneś szukać tej dziewczyny i jej strażników. Możesz okrążyć pole bitwy, przejeżdżając przez ten gaj. Wyłosisz się z niego w tym punkcie. Znajdziesz się tuż obok nich. Będziesz miał po swojej stronie zaskoczenie. Powinno ci się udać uderzyć, nim zdadzą sobie sprawę z twojej obecności. Czy Wasza Królewska Mość się zgadza?

- To znakomity plan, generale - odparł z entuzjazmem Silvan.

Miał przywdziąć nową, pięknie wykonaną zbroję. Na jej napierśniku widniała dwunastoramienna gwiazda, a hełm ukształtowano na podobieństwo dwóch łabędzich skrzydeł, wykutych z lśniącej stali. Miał też nowy miecz i teraz już umiał się nim posługiwać, gdyż od chwili przybycia do Silvanostu codziennie spędzał wiele godzin na ćwiczeniach pod kierownictwem znakomitego elfiego szermierza, który wyrażał się z wielkim uznaniem o czynionych przez Jego Królewską Mość postępach. Silvan czuł się niepokonany. Zwycięstwo będzie dziś należało do elfów i był zdecydowany również odegrać chwalebny rolę, która na pokolenia zapewni mu miejsce w

opowieściach i pieśniach.

Podeksytowany młodzieniec poszedł się przygotować do bitwy.

Glaucous został jeszcze w namiocie.

Konnal wrócił do pracy. Mag nie odzywał się ani słowem, ale generał wyczuwał jego obecność, tak jak wyczuwa się głodne spojrzenie obserwatora ukrytego w ciemnym lesie.

- Idź już. Mam wiele pracy.

- Idę, idę. Chciałem ci tylko przypomnieć to, co powiedziałem wcześniej. Królowi nic nie może się stać.

Konnal uniósł z westchnieniem wzrok.

- Jeśli coś mu się stanie, to nie z mojej winy. Nie jestem ogrem, który zabija swych współbraci. Wczorajsze słowa wypowiedziałem w pośpiechu, bez zastanowienia. Rozkażę strażnikom czuwać nad nim tak, jakby był moim synem.

- Znakomicie, generale. - Glaucous uśmiechnął się szeroko. - To dla mnie wielka ulga. Wszystkie moje nadzieje odnośnie tej krainy i jej mieszkańców opierają się na nim. Silvanoshei Caladon musi żyć i władać Silvanesti przez wiele lat, tak jak jego dziadek przed nim.

- Jesteś pewien, że nie zmienisz zdania i nie pojedziesz z nami, Kirynie? To będzie bitwa, pamięć o której przetrwa pokolenia!

Silvan wiercił się niecierpliwie pod dotykiem giermka, który próbował dociągnąć rzemienie pysznej zbroi króla, co okazało się niełatwym zadaniem. Skóra była nowa i sztywna, dlatego rzemienie nie chciały się naciągnąć. Dodatkowe utrudnienie stanowił fakt, że Silvan przez cały czas się poruszał.

- Gdyby Wasza Królewska Mość mógł na chwilę stanąć spokojnie! - błagał poirytowany giermek.

- Przepraszam - powiedział Silvan i znieruchomiał, przynajmniej na kilka sekund. Potem odwrócił głowę, aby spojrzeć na Kiryna, który siedział na łóżku, obserwując te przygotowania. - Mogę pożyczyć ci zbroję. Mam drugą.

Kiryn potrząsnął głową.

- Wuj wyznaczył mi inne zadanie. Mam przynosić listy i wiadomości między oficerami. Będę musiał przemieszczać się szybko i nie mogę nosić zbroi.

Zagrała trąbka. Podeksytowany Silvan poderwał się tak gwałtownie, że zmarnował dobry kwadrans roboty.

- Widać już nieprzyjaciela! Śpiesz się, niezdaro! Giermek wciągnął powietrze przez zęby, nie odzywając się ani słowem. Kiryn pośpieszył mu z pomocą i we dwójkę zdołali przygotować króla do bitwy.

- Uściskałbym cię na szczęście, kuzynie, ale potem przez cały tydzień miałbym siniaki - rzekł Kiryn. - Ale i tak życzę ci szczęścia - dodał poważniejszym tonem, ściskając dłoń Silvana - choć sądzę, że nie będziesz go potrzebował.

Silvan również spoważniał na chwilę.

- Samar zwykł mawiać, że w bitwach wszystko się może zdarzyć. Odwaga jednego żołnierza może przynieść zwycięstwo. Tchórzostwo drugiego może spowodować klęskę. Tego właśnie obawiam się najbardziej, kuzynie. Bardziej niż śmierci. Tego, że okażę się tchórzem i ucieknę z pola walki. Widziałem już takie wypadki. Widziałem, jak wartościowi, odważni mężczyźni padali na kolana, drżeli i płakali niczym małe dzieci.

— Masz w żyłach odwagę matki oraz hart ducha ojca - uspokajał go Kiryn. - Nie przyniesiesz wstydu pamięci o nich. >jie zawstydzisz swego ludu. Nie sprawisz zawodu samemu sobie.

Silvan zaczerpnął w płuca głęboki haust przesyconego wonią kwiatów powietrza, a potem wypuścił je powoli. Spływający z nieba blask słońca przypominał ciepły miód. Silvanosheia ze wszystkich stron otaczały znajome dźwięki i zapachy, odgłosy bitwy i wojny, woń skóry i potu. To były dźwięki i zapachy, wśród których się urodził. Z czasem je znienawidził, lecz teraz, o dziwo, było mu ich brak. Jego placem zabaw stało się pole bitwy, a kołyską namiot dowodzenia. Zdał sobie sprawę, że tutaj czuje się bardziej u siebie niż w swym pięknym zamku.

Uśmiechnął się ze smutkiem i wyszedł z namiotu. Jego srebrno-złota zbroja lśniła jaskrawo. Przywitały go entuzjastyczne okrzyki żołnierzy.

Plan bitwy dla obu stron wyglądał prosto. Elfowie ustawili się w szeregi, z łucznikami z tyłu. Armia Rycerzy Neraki rozciągnęła swe znacznie cieńsze linie między drzewami na niewysokim wzgórzu, w nadziei, że skłoni elfów do lekkomyślnej szarży pod górę.

Konnał był stanowczo za sprytny, aby dać się na to nabrać. Jego żołnierzom mogło brakować cierpliwości, lecz on miał jej pod dostatkiem i trzymał ich mocno w garści. Miał czas, tyle czasu, ile tylko potrzebował. To Rycerze Neraki musieli się śpieszyć, gdyż brakowało im zaopatrzenia.

Parę godzin po południu ze wzgórz dobiegł donośny dźwięk trąby. Elfowie złapali za broń. Armia ciemności zbiegła na dół, rzucając obelgi pod adresem nieprzyjaciół. Strzały wystrzelone przez łuczników obu armii pomknęły pod niebo, tworząc baldachim śmierci nad głowami żołnierzy, którzy starli się ze sobą z głośnym chrzęstem.

Gdy zaczęła się bitwa, Silvan popędził ze swą konną eskortą do lasu rosnącego na zachód od pola walki. Ich mały od - działek okrążył pod osłoną drzew skrzydło elfiej armii, przedostał się poza linie nieprzyjaciela i pomknął wzdłuż nich. Nikt ich nie zauważył i nie podniósł alarmu. Walczący widzieli jedynie wrogów, których mieli przed sobą. Gdy znaleźli się nieopodal skraju pola, Silvan

uniósł rękę, nakazując jeźdźcom się zatrzymać. Następnie podjechał ostrożnie do granicy lasu, zabierając ze sobą dowódcę strażników generała. Obaj spojrzeli na pole bitwy.

- Wyślij naprzód zwiadowców - rozkazał Silvan. - Niech wróca, gdy tylko zlokalizują nieprzyjacielskiego dowódcę.

Zwiadowcy ruszyli przed siebie, przemykając się między drzewami. Silvan czekał cierpliwie, obserwując przebieg starcia.

Obie armie zwały się już ze sobą w krwawym uścisku. Toczono walkę wręcz, a łucznicy stali się praktycznie bezużyteczni. W pierwszej chwili Silvan nie potrafił nic wyczytać z tego chaosu, lecz po paru chwilach zaczął odnosić wrażenie, że elfia armia zyskuje przewagę.

- Już odnieśliśmy chwalebne zwycięstwo - radował się dowódca strażników. - Ta hołota się wycofuje.

- Masz rację - przyznał Silvan. Nagle zmarszczył brwi.

- Wasza Królewska Mość nie jest zadowolony. Miażdżymy to ludzkie robactwo!

- Tak by się wydawało - stwierdził Silvan - ale jeśli przyjrzy się uważniej, dowódco, zauważysz, że nieprzyjaciel nie ucieka w panice. Faktycznie się cofa, ale jego ruchy są wykalkulowane i zdyscyplinowane. Widzisz, jak utrzymują szyk? Widzisz, jak miejsce tych, którzy padli, zajmują następni? Za to nasi żołnierze wpadli w amok! - dokończył z niesmakiem.

Widząc, że nieprzyjaciel się cofa, elfowie złamali szyk i rzucili się nań w morderczym szale, nie zważając na krzyki dowódców. Dźwięki trąb obu stron przebijały się przez wrzaski rannych i konających, tocząc własną bitwę. Silvan zauważył, że czarni rycerze z uwagą słuchają swoich sygnałów i bezzwłocznie reagują na głośno wykrzykiwane rozkazy, podczas gdy opętani szalem bojowym elfowie są głusi na wszystko.

- Niemniej jednak mamy tak wielką przewagę liczebną, że nie możemy przegrać tej bitwy - ciągnął Silvan. - Chyba żebyśmy zwrócili swe miecze przeciwko sobie samym. Po powrocie zamienię kilka słów z generałem Konnałem. Samar nigdy nie tolerowałby podobnego niedyscyplinowania.

- Wasza Królewska Mość! - Jeden ze zwiadowców wrócił, pędząc pełnym cwałem. - Zlokalizowaliśmy oficerów!

Silvan odwrócił głowę swego wierzchowca i pognął za zwiadowcą. Po krótkiej drodze przez las natrafili na drugiego zwiadowcę, który został tu, aby obserwować nieprzyjaciela.

- Są tam, Wasza Królewska Mość - oznajmił, wyciągając rękę. - Na tym wzniesieniu. Łatwo ich zauważyć.

Była to prawda. Na wzgórzu stał ogromny minotaur, pierwszy, jakiego Silvan w życiu zobaczył. Miał na sobie ceremonialny strój Rycerzy Neraki. U jego biodra wisiał potężny miecz.

Minotaur z uwagą przypatrywał się przebiegowi bitwy. To samo robiło dwunastu innych rycerzy, którzy siedzieli na koniach. Obok nich stał chorąży, trzymający w ręku sztandar, który mógł ongiś być biały, lecz obecnie miał brudny, brązowa woczerwony kolor, jakby umaczano go we krwi. Nieopodal czekał adiutant, trzymający za wodze wspaniałego, czerwonego rumaka.

- Z pewnością dowódcą jest minotaur - stwierdził Silvan. - Wprowadzono nas w błąd.

- Nie, Wasza Królewska Mość - zaprzeczył zwiadowca. - Spójrz. Tam, za minotaurem. To jest dowódca. Ma szarfę krwawego koloru.

Silvan z początku jej nie widział, lecz nagle minotaur odszedł na bok, aby naradzić się z innym rycerzem. Na małym wzniesieniu z tyłu stała szczupła, delikatna ludzka kobieta. Trzymała hełm pod pachą i wpatrywała się jak urzeczona w walczących. U jej pasa wisiał morgenstern.

- To jest ich dowódca? - zapytał zdumiony Silvan. Wydaje się za młoda, żeby iść na pierwszy bal, a co dopiero mówić o prowadzeniu doświadczonych żołnierzy do boju.

Kobieta zwróciła ku niemu twarz, jakby go usłyszała, choć nie było to możliwe, gdyż dzieliło ich dobre czterdzieści jar - dów. Silvan odniósł nagle wrażenie, że on również jest odsłonięty przed jej spojrzeniem. Cofnął się pośpiesznie w głęboki cień między rosnącymi gęsto drzewami.

Patrzyła w jego kierunku przez długi czas i Silvan był pewien, że go zauważyła. Miał już rozkazać swym żołnierzom ruszyć do ataku, lecz nagle dziewczyna odwróciła głowę. Najwyraźniej powiedziała coś do minotaura, gdyż ten przerwał rozmowę i podszedł do niej. Nawet z tej odległości Silvan widział, że minotaur odnosi się do niej z najwyższym szacunkiem, a nawet czcią. Wysłuchał z uwagą jej rozkazów, obejrzał się przez ramię, spoglądając na bitwę, i skinął rogatą głową.

Potem minotaur odwrócił się i skinieniem dłoni wezwał konnych rycerzy. Ryknął głośno i pobiegł ku tyłom swych linii. Rycerze popędzili za nim. Silvan nie miał pojęcia, dlaczego to zrobili. Być może miał być to kontratak.

- To nasza szansa, Wasza Królewska Mość! - odezwał się podekscytowany dowódca. - Została sama.

Ten niewiarygodny uśmiech fortuny wzbudził podejrzliwość Silvana. Król elfów zawahał się, obawiając pułapki.

- Wasza Królewska Mość! - nalegał dowódca. - Na co czekasz?

Silvan przyglądał się uważnie okolicy wzgórze, lecz nigdzie nie zauważył ukrytych żołnierzy. Konni rycerze nieprzyjaciela oddalali się od swego dowódcy.

Silvan spiął konia i ruszył cwałem naprzód. Żołnierze popędzili za nim. Mknęli szybko jak strzała, a Silvan był jej srebrnym grotem, wycelowanym prosto w serce nieprzyjaciela. Nim ktokolwiek zdążył ich zauważyć, pokonali już połowę drogi. Dziewczyna cały czas wpatrywała się w swoje oddziały. To jej chorąży ich zauważył. Krzyknął głośno, wyciągając rękę. Czerwony koń uniósł łeb i wydał z siebie rzenie głośne jak dźwięk trąb.

Słyszac ten dzwiek, minotaur zatrzymal sie i odwrócił.

Silvan obserwowal go kacikiem oka. Wbil ostrogi w konskie boki, zmuszajac wierzchowca do jeszcze szybszego cwalu. Szalony ped budzil w nim ekstaze. Silvan byl dobrym jezdzc - cem i przescignal swych straznikow. Znajdowal sie juz niedaleko od celu. Dziewczyna z pewnoscia slyszala tetent kopyt, nie odwracala jednak glowy.

Nad polem bitwy zabrzmial straszliwy, potezny ryk. Ryk zalu, gniewu i furii. Ryk tak przerazajacy, ze zoladek Silvana skurczyl sie nagle, a na jego czoło wystapily kropelki potu. Obejrzal sie i zobaczyl gnajacego w jego strone minotaura, który unosił ogromny miecz, gotowy przeciac go wpół. Silvan zazgrzytal zebami, ponownie popedzajac konia. Jesli zdazy zlapan dzwicznę, bedzie mogl jej uzyc jako tarczy i zakladniczki.

Minotaur okazal sie nadzwyczaj szybki. Choc biegł na piechote, a Silvan jechal konno, wydawalo sie, ze zdola go dogonic, nim elf dotrze do nieprzyjacielskiego dowodcy. Silvan spojrzal na dziewczynę. Wydawalo sie, ze nadal go nie zauwazyła. Sprawiala wrazenie nieswiadomej grozacego jej niebezpieczenstwa. Wbila spojrzenie w minotaura.

- Galdarze - zawolala pieknym i czystym, dziwnie glębokim głosem. - Pamietaj o swej przysiedze.

Jej głos przebil sie przez krzyki, wrzaski oraz szczek stali. Podzialal na minotaura jak włócznia wbita w serce. Istota przerwala szalona szarze i spojrzala na dziewczynę z blaganem w oczach.

Ta jednak najwyraźniej nie ustapila. Uniosla wzrok ku niebu. Minotaur raz jeszcze zawyl z wscieklosci i wbil miecz w pole kukurydzy z taka sila, ze klinga zaglebila sie do polowy w ziemi.

Silvan wjezdzal juz na zbocze. Dziewczyna wreszcie oderwala wzrok od nieba i spojrzala na elfa.

Bursztynowe oczy. Silvan nigdy w zyciu takich nie widzial. Nie odpychaly go jednak, ale przyciagaly. Pedzil w strone dziewczyny, nie widzac nic poza jej oczyma. Mial wrazenie, ze wjezdza prosto w nie.

Zlapan morgenstern i uniosla go w dloni, czekajac na napastnika bez sladu strachu.

Silvan wjechal na wzgorze i znalazl sie juz obok dziewczyny. Zamachnela sie na niego morgensternem, lecz z latwoscia odbil cios kopniakiem. Drugim kopnięciem wytracil jej broń z reki. Dziewczyna zatoczyła sie do tyłu. Stracila rownowage i runela ciezko na ziemie. Otoczyli jajego straznicy, którzy zabili tez chorazego i spröbowali zlapan wierzchowca, lecz zwierze bronilo sie zaciekle, mlöcąc kopytami. Kon wyrwal sie napastnikom i pocwalowal ku liniom Rycerzy Neraki, jakby chcial sie przylaczyć do bitwy bez jezdzca.

Ogluszona dziewczyna lezala na ziemi, czerwona od krwi. Silvan nie wiedzial jednak, czy jest to jej krew, czy tez pochodzi ona od chorazego, który lezal obok zdekapitowany.

Ze złością rozkazał swym strażnikom odsunąć się, obawiając się, że ich wierzchowce ją stratują. Zsunął się z siodła, podbiegł do dziewczyny i uniósł ją w ramionach. Jęknęła, trzepocząc powiekami. Znowu mógł oddychać. Żyła.

- Wezmę ją, Wasza Królewska Mość - zaproponował dowódca przydzielonego mu oddziału.

Silvan nie chciał jej oddać. Posadził dziewczynę na siodle, wspiął się na nie z tyłu i objął ją mocno jedną ręką, drugą trzymając wodze. Jej głowa wspierała się o jego srebrny napierśnik. Nigdy w życiu nie widział twarzy, która byłaby tak delikatna, tak wspaniale uformowana, tak piękna. Obejmował dziewczynę czule i niespokojnie.

- Jedziemy! - rozkazał i ruszył w stronę lasu, szybko, ale nie tak szybko, by ryzykować, że zrobi jej krzywdę.

Po drodze minął minotaura, który nadal klęczał przy wbitym w ziemię mieczu, pochylając z żalu rogatą głowę.

- Co to ma znaczyć? - zapytał gniewnie, gdy kilku elfów pomknęło w tamtą stronę, unosząc miecze. - On już nie jest groźny. Zostawcie go.

- Jest minotaurem, Wasza Królewska Mość - sprzeciwił się dowódca strażników. - Oni zawsze są groźni.

- Chcecie go zabić, mimo że jest bezbronny i nie stawia oporu? - zapytał ostrym tonem Silvan.

- On w podobnej sytuacji zarznąłby nas bez skrupułów - zauważył z zawziętością w głosie dowódca.

- Czyli że zniżamy się do poziomu bestii - rzekł zimno Silvan. - Powiedziałem, zostawcie go, dowódco. Osiągnęliśmy cel. Uciekajmy stąd, nim wróg nas zaleje.

Faktycznie wydawało się to prawdopodobne. Armia Rycerzy Neraki cofała się szybko. Ich odwrót był jednak uporządkowany. Nie złamali szyku. Silvan i jego rycerze oddalili się cwałem z pola bitwy. Król elfów dumnie ścisnął w ramionach swego jeńca.

Skryli się w cieniu drzew. Dziewczyna poruszyła się, jęknęła i rozchyliła powieki.

Silvan spojrzał w jej oczy i ze wszystkich stron otoczył go bursztyn.

Dziewczyna okazała się potulnym jeńcem. Nie sprawiała kłopotów, akceptowała swój los bez słowa skargi. Gdy wrócili do obozu, nie pozwoliła, by Silvan jej pomógł. Zsunęła się wdzięcznie z konia i nie sprzeciwiała się, gdy elfowie skuli kajdanami jej ręce i nogi. Potem zaprowadzono ją do namiotu, gdzie nie miała nic poza siennikiem i kocem.

Silvan podążył za nią. Nie był w stanie się z nią rozstać.

- Jesteś ranna? Czy mam przysłać ci uzdrowicieli? Potrząsnęła przecząco głową. Nie odezwała

się dotąd do nikogo ani słowem. Nie chciała też jedzenia i picia.

Silvan stał u wejścia do więziennego namiotu. Czuł się bezradny i głupi w swej królewskiej zbroi. Natomiast dziewczyna, choć okrwawiona i skuta łańcuchami, była spokojna i opanowana. Siedziała na kocu ze skrzyżowanymi nogami i wpatrywała się w ciemność. Silvan wyszedł z namiotu z niepokojącym wrażeniem, że to on został wzięty do niewoli.

- Gdzie jest Glaucous? - zapytał. - Chciał ją przesłuchać.

Nikt jednak nie wiedział, gdzie się podział mag. Nie widziano go od początku bitwy.

- Zawiadomcie mnie, kiedy przyjdzie to zrobić - rozkazał Silvan i poszedł do namiotu zdjąć zbroję. Tym razem stał zupełnie nieruchomo, gdy giermek rozpiął sprzączki i uwalniał go od kolejnych elementów pancerza.

- Gratulacje, kuzynie! - Kiryn wszedł do namiotu, pochylając się pod podniesioną połą. - Zostałeś bohaterem! Wychodzi na to, że jednak nie będę musiał pisać pieśni o tobie. Twoi poddani już ją śpiewają! - Czekał na śmiech Silvana. Gdy go nie usłyszał, przyjrzał się uważniej królowi. - Kuzynie? Co się stało? Nie wyglądasz dobrze. Czy jesteś ranny?

- Widziałeś ją, Kirynie? - zapytał Silvan. - Idź już! - krzyknął poirytowany na giermka. - Zostaw mnie. Sam sobie poradzę.

Giermek pokłonił się i wyszedł. Silvan usiadł w jednym bucie na łóżku.

- Czy widziałem tę dziewczynę? Tylko przelotnie - odparł Kiryn. - Dlaczego pytasz?

- I co o niej sądzisz?

- Jest pierwszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem. Wcale nie jest taka brzydka, jak mi mówiono. Niemniej jednak wydała mi się bardzo dziwna. Oszałamiająca. Niesamowita. - Kiryn nie krył konsternacji. - I czy ludzkie kobiety mają teraz w zwyczaju golić głowy?

- Co takiego? Ach, nie. Może to zwyczaj Rycerzy Neraki. - Silvan siedział z butem w dłoniach. Wpatrywał się w ciemność i widział bursztynowe oczy. - Mnie wydała się piękna. To najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem.

Kiryn usiadł obok kuzyna.

- Silvanie, ona jest naszym nieprzyjacielem. Z jej powodu na zboczonym krwią polu leżą setki martwych i konających elfów.

- Wiem. Wiem! - krzyknął Silvan, wstając. Cisnął but w kąt. Usiadł i zaczął ze złością ściągać drugi. - Nie odzywa się do mnie ani słowem. Nie chce mi powiedzieć, jak się nazywa. Tylko patrzy na mnie tymi dziwnymi oczyma.

- Wasza Królewska Mość - w wejściu pojawił się oficer. - Generał Konnal prosił, abym cię

poinformował, że zwycięstwo należy do nas.

Silvan nie odpowiedział. Przestał się szarpać z butem i ponownie wpatrzył w ciemny kąt namiotu.

Kiryn wstał i wyszedł na zewnątrz.

__ Jego Królewska Mość jest zmęczony - oznajmił. - Z pewnością raduje się z naszego triumfu.

__ W takim razie jest wyjątkiem - zauważył z przekąsem oficer.

Elfowie zwyciężyli, ale niewielu z nich czuło radość. Zatrzymali marsz nieprzyjaciela, zmusili go do odwrotu, nie pozwolili dotrzeć do Silvanostu, ale go nie zniszczyli. Na polu bitwy znaleźli trzydziestu poległych ludzi, a nie czterystu, jak się spodziewali. Winą za to obciążono niezwykłą mgłę, która nadpłynęła z rzeki, zimną, wilgotną, szarą mgłę, która unosiła się nisko nad ziemią, kłębiącą się i gęstą, która ukryła przed nimi zarówno nieprzyjaciół, jak i towarzyszy. Przeciwnik po prostu zniknął w tej mgłę, jakby nagle pochłonęła go zbroczona krwią ziemia.

- Zapewne tak właśnie się stało - oznajmił swym żołnierzom generał Konnal. - Byli z góry przygotowani do ucieczki. Wycofali się, a gdy nadeszła mgła, czmychnęli do swej kryjówki. A teraz kryją się w jaskiniach gdzieś w okolicy.

- A po co, generale? - zapytał zniecierpliwiony Silvan. Król czuł się poirytowany i wyprowadzony z równowagi.

Wyszedł z namiotu, który nagle wydał mu się ciasny, i poszedł się naradzić z oficerami. Wszyscy wychwalali jego odwagę. Niewątpliwie był on bohaterem dnia. Przyznawał to nawet generał Konnal. Silvanowi nie zależało na ich pochwałach. Co chwila spoglądał w stronę namiotu, w którym uwięziono dziewczynę.

- Ludzie nie mają żywności ani zapasów - ciągnął. - I nie mają gdzie ich zdobyć. Są odcięci od świata. Wiedzą, że stracili szansę zdobycia Silvanostu. Z pewnością spróbują wycofać się ku granicy.

- Wiedzą, że jeśli spróbują to zrobić, odetniemy im drogę - stwierdził Konnal. - Masz jednak rację, Wasza Królewska Mość. Nie mogą pozostawać w ukryciu bez końca. Prędzej czy później będą musieli je opuścić. Chciałbym tylko wiedzieć, co planują - dodał cicho, zwracając się raczej do siebie niż do kogokolwiek innego. - Bo to, że był w tym jakiś plan, jest tak samo pewne, jak to, że żyję i oddycham.

Jego oficerowie wysuwali najrozmaitsze teorie: ludzie wpadli w panikę i rozpierzchli się na cztery wiatry; ludzie zeszli pod ziemię w nadziei, że znajdą tunele, które pozwolą im wrócić na północ; i tak dalej, i tak dalej. Każda hipoteza miała przeciwników i wśród elfów rozgorzały dyskusje. Silvan zmęczył się tą debatą i wyszedł z namiotu.

- Jest ktoś, kto to wie - powiedział sobie - i z pewnością zdradzi mi odpowiedź. Musi się do mnie odezwać!

Ruszył z determinacją w stronę jej namiotu, mijając ogniska, przy których niepokieszeni elfowie wspominali bitwę. Żołnierze byli rozgoryczeni i rozczarowani, gdyż nie udało im się unicestwić znieawidzonego wroga. Zarzekali się, że po świcie zajrzą pod każdy kamień, aby znaleźć tchórzliwych ludzi, którzy uciekli, gdy tylko stało się jasne, że klęska jest nieuchronna. Przysięgli, że zabiją wszystkich.

Silvan przekonał się, że nie tylko on interesuje się jeńcem. U wejścia do namiotu stał Glaucous, który domagał się od wartownika wpuszczenia do środka. Król chciał już do niego podejść, gdy zdał sobie sprawę, że Glaucous go nie zauważył.

Silvan nagle zainteresował się tym, jakie pytania zada mag dziewczynie. Okrążył namiot i podszedł do niego od tyłu. Noc była ciemna. Z tej strony namiotu nie znalazł wartowników. Podkraść się blisko, poruszając się tak cicho, jak tylko potrafił. Starał się nawet nie oddychać.

W namiocie zapłonęła ustawiona na ziemi świeca, której blask oświetlił dwie sylwetki: dziewczynę o ogolonej głowie i długiej, pełnej gracji szyi oraz wysokiego, stojącego prosto elfa, którego białe szaty wydawały się czarne w tym świetle. Oboje przez długą chwilę wpatrywali się w siebie bez słowa, aż nagle Glaucous się wzdrygnął. Odsunął się od niej trwożnie, choć nic mu nie zrobiła, nie poruszyła się, nie uniosła nawet dłoni ani nie odezwała się ni słowem.

- Kim jesteś? - zapytał z bojaźnią w głosie.

- Nazywam się Mina - odpowiedziała.

- Ja jestem...

- Nie musisz mi tego mówić - przerwała mu. - Wiem jak się nazywasz.

- Skąd? - zapytał zdumiony. - To niemożliwe. Nigdy mnie nie widziałaś.

- A mimo to wiem - odparła spokojnie. Glaucous odzyskał panowanie nad sobą.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie, więdźmo. Jak ci się udało przedostać przez moją tarczę? Jaka to była magia? Jakich czarów użyłaś?

- To nie była magia - odparła. - To nie były czary. Bóg wyciągnął rękę i unióśł tarczę.

- Jaką rękę? - zawołał gniewnie Glaucous, sądząc, że dziewczyna z niego drwi. - Jaki bóg? Nie ma żadnych bogów! Bogowie odeszli!

- Jest Jedyny Bóg - oznajmiła Mina.

- I jak brzmi jego imię?

- Bóg nie ma imienia. Nie potrzebuje go. Jest Jedynym Bogiem. Prawdziwym Bogiem.

- Kłamiesz! Powiesz mi wszystko, czego chcę się dowiedzieć.

Glaucous uniósł rękę. Silvan spodziewał się, że mag użyje testu prawdy, tak jak zrobiono to w jego przypadku.

- Czujesz, że twoje gardło się zaciska - mówił Glaucous. - Próbujesz wciągnąć powietrze w płuca, lecz nadaremnie. Zaczynasz się dusić.

- To nie jest test prawdy - mruknął pod nosem Silvan. - Co on robi?

- Twoje płuca płoną i wydaje ci się, że za chwilę eksplodują - ciągnął Glaucous. - Magia się zaciska, wciąż zaciska, a ty tracisz przytomność. Położę kres twojej udręce, gdy zgodzisz się powiedzieć mi prawdę.

Zaczął śpiewać jakieś dziwne słowa, których Silvan nie rozumiał. Wyglądało to na magiczne zaklęcie. Młodzieniec obawiał się o bezpieczeństwo Myny. Był gotowy pośpieszyć jej z pomocą, rozdrzeć tkaninę namiotu gołymi rękami, gdyby musiał się do niej dostać.

Mina siedziała spokojnie na sienniku. Nie dyszała. Nie dławiła się. W dalszym ciągu oddychała normalnie.

Glaucous przestał śpiewać i spojrzał na nią zdumiony.

- Oparłaś się mi! W jaki sposób?

- Twoja magia na mnie nie działa - wyjaśniła Mina ze wzruszeniem ramion. Łańcuchy zadźwięczały niczym srebrne dzwoneczki. Popatrzyła na niego. - Wiem, kim jesteś. Znam prawdę.

Glaucous przyglądał się jej w milczeniu. Choć Silvan widział jedynie jego niewyraźną sylwetkę, czuł, że mag jest wściekły i że się boi. Czarownik wyszedł nagle z namiotu.

Zakłopotany, ale i zafascynowany Silvan podkradł się do wejścia. Zaczekał chwilę w ciemności, aż zauważył, że Glaucous wchodzi do namiotu generała Konnala, po czym podszedł do wartownika.

- Chcę porozmawiać z więźniem - oznajmił.

- Tak, Wasza Królewska Mość.

Wartownik pokłonił się i ruszył za królem do środka.

- Sam - dodał Silvan. - Pozwalam ci odejść. Wartownik nawet nie drgnął.

- Nic mi nie grozi. Ona jest skuta łańcuchami! Idź zjeść kolację. Ja postoję na straży zamiast ciebie.

- Wasza Królewska Mość, wydano mi rozkazy...

- Odwołuję je! - krzyknął gniewnie Silvan, myśląc, że prezentuje się tym bursztynowym oczom w bardzo marnym świetle. - Idź i zabierz ze sobą kolegę.

Wartownik wahał się jeszcze przez chwilę, lecz król wydał mu rozkaz i nie ważył się go nie posłuchać. Obaj elfi żołnierze oddalili się w stronę płonących ognisk. Silvan wszedł do namiotu i przyjrzał się uwięzionej. Otoczył go ciepły i płynny bursztyn jej oczu.

- Chciałem się dowiedzieć, czy... czy dobrze cię traktują...?

Cóż za głupie pytanie! - pomyślał Silvan, gdy słowa wypadały z jego ust.

- Dziękuję, Silvanosheiu Caladon - rzekła dziewczyna. __Niczego nie potrzebuję. Opiekuje się mną mój Bóg.

- Wiesz, kim jestem? - zdziwił się Silvan.

- Oczywiście. Jesteś Silvanoshei, syn Alhany Starbreeze, córki Loraca Caladona, i Porthiosa z rodu Solostaranów.

- A ty jesteś...

- Mina.

- Po prostu Mina?

Wzruszyła ramionami i łańcuchy znowu zadźwięczały niczym dzwoneczki.

- Po prostu Mina.

Otoczający Silvana bursztyn zaczął krzepnąć. Młodzieńcowi trudno było oddychać, jakby to on padł ofiarą duszącego zaklęcia Glaucosa. Podeszedł do dziewczyny i opadł przed nią na jedno kolano, chcąc spojrzeć jej prosto w oczy.

- Wspominałaś o swoim bogu. Chciałem zadać ci pytanie. Jeśli Rycerze Neraki służą owemu bogu, to muszę przyjąć założenie, że on jest zły. Dlaczego ktoś tak młody i piękny kroczy ścieżką ciemności?

Mina uśmiechnęła się do niego z wyrozumiałością i litością, z jaką traktuje się ślepych i słabych na umyśle.

- Nie ma dobra ani zła. Nie ma światła ani ciemności. Jest tylko jedno. Jedyna prawda. Wszystko inne jest fałszem.

- Ale wasz bóg musi być zły - nie ustępował Silvan. - W przeciwnym razie, po co mielibyście nas atakować? Miłujemy pokój. Nie uczyniliśmy nic, co mogłoby sprowokować tę wojnę. A mimo to moi rodacy leżą teraz martwi na polu bitwy, zabici przez nieprzyjaciół.

- Nie przybywam tu dla podboju - oznajmiła Mina. Przybywam, aby was uwolnić, uratować ciebie i twój lud. Jeśli niektórzy zginą, to tylko po to, aby inni mogli żyć. Umarli rozumieją ich ofiarę.

- Umarli być może rozumieją - stwierdził Silvan z prze - kąsem, kręcąc ze zdziwieniem głową - ale przyznaję, że ja nie rozumiem. Jak ty, ludzka kobieta, możesz w pojedynkę uratować cały elfi naród?

Mina przez długą chwilę siedziała w zupełnym bezruchu, tak głębokim, że jej łańcuchy w ogóle nie d/więczały. Odwróciła od Silvana spojrzenie bursztynowych oczu i wpatrzyła się w płomień świecy. Młodzieńcowi wystarczyło, że może być z nią i na nią patrzeć. Cieszyłby się, gdyby mógł tak siedzieć całą noc, być może nawet całe życie. Nigdy nie widział ludzkiej kobiety o tak delikatnych rysach i strukturze kostnej, o tak gładkiej skórze. Każdy jej ruch był płynny i pełen wdzięku. Jego wzrok wciąż przyciągała wygolona czaszka. Jej kształt był idealny, a gładką skórę porastał lśniący czerwono-awo meszek, który w dotyku z pewnością był miękki jak puch...

- Pozwolono mi zdradzić ci pewną tajemnicę, Silvanosheiu - rzekła wreszcie.

Pograżony w podziwianiu dziewczyny Silvan poderwał się nagle na dźwięk jej głosu.

- Kto ci na to pozwolił?

- Musisz przysiąc, że nikomu jej nie zdradzisz.

- Przysięgam - powiedział Silvan.

- Naprawdę przysiąc - naciskała Mina.

- Przysięgam na grób mojej matki.

- Tej przysięgi nie mogę przyjąć - stwierdziła dziewczyna. - Twoja matka żyje.

- Słucham? - Silvan odsunął się od niej zdumiony. - Co powiedziałaś'?

- Twoja matka żyje i twój ojciec też. Ogrowie nie zabili twojej matki i jej zwolenników, tak jak się obawiałaś. Uratował ich Legion Steela. Ale historia twoich rodziców już się skończyła. Należą do przeszłości. Twoja historia dopiero się zaczyna, Silvanosheiu Caladon.

Mina wyciągnęła rękę. Łańcuchy zadźwięczały jak dzwony przy ołtarzu. Dotknęła policzka Silvana i nacisnęła nań lekko, przysuwając młodzieńca ku sobie.

___ Przysięgnij na Jedyne Prawdziwego Boga, że nikomu nie zdradzisz tego, co ci za chwilę powiem.

___ Ale ja nie wierzę w tego boga.

Silvan zachwiał się nagle. Dotyk Miny był jak błyskawica, która uderzyła tuż obok niego, aż włoski na jego karku i ramionach stanęły dęba, a krew wypełniły impulsy pożądania.

- Jedyne Bóg wierzy w ciebie, Silvanosheiu - oznajmiła Mina. - I tylko to się liczy. Jedyne Bóg przyjmie twoją przysięgę.

- W takim razie przysięgam na... Jedyne Boga. Czuł się nieswojo, wypowiadając te słowa i składając tę przysięgę. Nie wierzył, nawet w najmniejszym stopniu, lecz mimo to odniósł dziwne, niepokojące wrażenie, że jakaś nieśmiertelna dłoń zanotowała jego przysięgę i że będzie musiał jej dotrzymać.

- W jaki sposób przekroczyłeś tarczę? - zapytała Mina.

- Glaucous uniósł ją, żeby... - zaczął Silvan, przerwał jednak, gdy zobaczył jej uśmiech. - Czy ten Bóg uniósł ją dla mnie, tak jak powiedziałaś Glaucousowi?

- Powiedziałam mu to, co chciał usłyszeć. To nie ty przekroczyłeś tarczę, lecz tarcza pochwyciła cię, gdy byłeś bezbronny.

- Tak, rozumiem, co mówisz. - Silvan cofnął się pamięcią do nocy burzy. - Byłem nieprzytomny. Zemdlałem po jednej stronie tarczy, a kiedy się ocknąłem, byłem po drugiej. Przebywałem w tym samym miejscu. To tarcza się przesunęła, żeby mnie objąć! Oczywiście. Tak właśnie brzmi wyjaśnienie!

- Tarcza opiera się wszelkim atakom, ale próbuje objąć osłoną bezbronych. Tak mi przynajmniej powiedziano. Ja i moi żołnierze zasnęliśmy, a kiedy spaliśmy, tarcza przesunęła się nad nami.

- Ale tarcza ma chronić elfów - sprzeciwił się Silvan. - Jak mogła przepuścić naszych wrogów?

- Tarcza wcale was nie chroni - zaprzeczyła Mina. Nie dopuszcza do was tych, którzy pragną wam pomóc. Praw - da brzmi tak, że jest waszym więzieniem. I nie tylko więzieniem, lecz również katem.

Silvan odsunął się od jej dotyku. Bliskos'ć dziewczyny zbijała go z tropu, utrudniała myślenie.

- Jak to?

- Wasz lud wymiera na wyniszczającą chorobę - wyjaśniła. - Codziennie jej ofiarą pada wielu elfów. Niektórzy sądzą, że to tarcza jest przyczyną owej choroby. To w części prawda. Nie wiedzą jednak, że to energia życiowa elfów jest wykorzystywana do podtrzymywania tarczy. To życie twojego ludu umożliwia jej istnienie. Tarcza jest więzieniem, a wkrótce stanie się waszym grobowcem.

Silvan odsunął się w kierunku wyjścia z namiotu.

- Nie wierzę w to.

- Mam dowód - zapewniła Mina. - Moje słowa są prawdą. Przysięgam na mego Boga.

- W takim razie przedstaw mi ten dowód, Mino - nalegał Silvan. - Pozwól, abym go rozważył.
- Powiem ci to, Silvanosheiu, i to z chęcią. Po to właśnie przysłał mnie tu mój Bóg. Glaucous...
- Wasza Królewska Mość - dobiegł od wejścia stanowczy głos.

Silvan zaklął pod nosem i odwrócił się błyskawicznie.

- Pamiętaj, ani słowem! - ostrzegła go Mina.

Król odsunął drżącą dłonią połę namiotu i zobaczył generała Konnal, któremu towarzyszyło dwóch wartowników.

- Wasza Królewska Mość - powtórzył generał Konnal protekcyjnym tonem, który tak irytował Silvana - nawet królowi nie wolno odesłać wartowników, którzy strzegą tak ważnego i niebezpiecznego więźnia. Wasza Królewska Mość naraża się na niebezpieczeństwo, a tego nie można tolerować. Stań na posterunku - rozkazał żołnierzowi.

Elfi wartownik zajął pozycję przed namiotem.

Silvan miał na końcu języka słowa wyjaśnienia, lecz nie był w stanie wypowiedzieć żadnego z nich. Mógłby oznajmić, że chciał wydobyć z uwięzionej informacji dotyczące tarczy, lecz byto to niebezpiecznie bliskie tajemnicy Miny i obawiał się że nie może wspomnieć o jednym, nie ujawniając jednocześnie drugiego.

__ Odprawdę Wasza Królewską Mość do namiotu - oznajmił Konnal. - Nawet bohaterowie potrzebują snu.

Silvan zachował milczenie. Miał nadzieję, że świadczy ono o urażonej godności i źle zrozumianych intencjach. Podążał za generałem, mijając ogniska, którym pozwolono wygasnąć. Ci elfowie, którzy nie wyruszyli na poszukiwania ludzi, owinęli się kocami i zasnęli. Uzdrowiciele zajmowali się rannymi, starając się ulżyć ich cierpieniom. W obozie panowały spokój i cisza.

- Dobranoc, generale - rzekł zimno młodzieniec. - Życzę ci radości z dzisiejszego zwycięstwa.

Ruszył w stronę swego namiotu.

- Radzę, aby Wasza Królewska Mość poszedł prosto do łóżka - powiedział generał. - Jutro będziesz musiał być wypoczęty, aby przewodniczyć egzekucji.

- Co takiego? - wydyszał Silvan. Przytrzymał się słupa namiotowego, aby się nie przewrócić. - Jakiej egzekucji? Kto ma być stracony?

- Jutro w południe, gdy wspaniałe słońce będzie stało wysoko na niebie, aby być naszym świadkiem, stracimy ludzką kobietę - zapowiedział Konnal. Mówiąc to nie patrzył na króla, lecz wpatrywał się prosto w noc. - Tak zalecił Glaucous i tym razem się z nim zgadzam.

- Glaucous! - powtórzył Silvan.

Przypomniawszy sobie strach, który wyczuł w magu podczas jego rozmowy z Miną. Dziewczyna chciała powiedzieć Silvanowi coś o Glaucousie w chwili, gdy im przerwano.

- Nie możecie jej zabić!.- oznajmił stanowczo Silvan. - Nie zrobicie tego. Zabraniam wam.

- Obawiam się, że Wasza Królewska Mość nie ma w tej sprawie prawa głosu - wyjaśnił mu Konnal. - Głowy rodów zawiadomiono o zaistniałej sytuacji. Odbyło się głosowanie i wynik był jednomyślny.

- Jak ma być zabita? - zapytał Silvan.

Konnal w uspokajającym geście położył rękę na ramieniu króla.

- Wiem, że to nieprzyjemne zadanie, Wasza Królewska Mość. Nie będziesz musiał tego obserwować. Wystarczy, że powiesz kilka słów, a potem wycofasz się do namiotu. Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji.

- Odpowiedz mi, do cholery! - krzyknął Silvan, strącając jego dłoń.

Twarz Konnala stężała.

- Ludzka kobieta zostanie zaprowadzona na pole zbroczone krwią naszego ludu. Przywiążemy ją do pala. Wybierzemy siedmiu naszych najlepszych łuczników. Gdy słońce będzie wisiało prosto nad naszymi głowami, łucznicy przeszyją jej ciało siedmioma strzałami.

Silvan przestał widzieć generała, gdyż całą jego jaźń wypełnił biały, oślepiający gniew. Zaciśnął pięść, wbijając paznokcie w ciało. Ból pomógł mu zapanować nad głosem.

- Dlaczego Glaucous uważa, że ona musi umrzeć?

- Jego rozumowanie jest przekonujące. Dopóki będzie żyła, ludzie pozostaną w tej okolicy, licząc na to, że ją uratują. Po jej egzekucji utracą wszelką nadzieję. Ulegną demoralizacji. Łatwiej będzie ich zlokalizować i zniszczyć.

Silvan poczuł, że dopadły go nudności. Bał się, że zaraz zwymiotuje, zdołał jednak wysunąć jeszcze jeden argument.

- My, elfowie, czcimy życie. Nasze prawo zabrania odbierania życia elfom, bez względu na to, jak straszliwą zbrodnię popełnili. Istnieją elfi skrytobójcy, ale oni działają poza prawem.

- Nie pozbawimy życia elfa, lecz człowieka - odparł Konnal. - Dobranoc, Wasza Królewska Mość. Przed świtem przyślę po ciebie gońca.

Silvan wszedł do namiotu i zasunął za sobą połę. Wewnątrz czekali na niego służący.

- Zostawcie mnie samego - warknął poirytowany. Służący bezzwłocznie wyszli.

Silvan rzucił się na łóżko, lecz zerwał się z niego niemal natychmiast. Usiadł na krześle i wpatrzył się ponuro w ciemność. Nie mógł dopuścić do śmierci dziewczyny. Kochał ją. Uwielbiał. Pokochał ją już w chwili, gdy zobaczył, jak stoi nieustraszona pośród swych żołnierzy. Spadł ze skały zdrowego rozsądku i runął w przepaść miłości, aby rozbić się na jej ostrych głazach, które kaleczyły i przeszywały jego ciało. Radował się tym bólem i pragnął go więcej.

W jego umyśle zarysował się pewien plan. To, co chciał uczynić, było złe. Mógł narazić swych poddanych na niebezpieczeństwo, ale - przekonywał sam siebie - to, co oni zamierzali uczynić, było jeszcze gorsze od jego postępków. Można powiedzieć, że uratuje ich przed nimi samymi.

Silvan dał generałowi czas na powrót do namiotu, a potem owinął się ciemnym płaszczem. Wsunął za cholewę buta długi, ostry nóż. Wyrzwał z namiotu, aby się upewnić, że w pobliżu nikogo nie ma. Następnie wyszedł i przekradł się bezgłośnie przez pograżony we śnie obóz.

Przed namiotem Mino stali dwaj czujni wartownicy. Silvan nie zbliżał się do nich. Okrążył namiot i podszedł do niego od tyłu, w miejscu, gdzie wcześniej podsłuchiwał Glaucousa. Ponownie rozejrzał się z uwagą. Od lasu dzieliło go zaledwie kilka kroków. Dotrą do niego z łatwością. Znajdzie jaskinię i ukryje w niej Minę. Będzie mógł odwiedzać ją w nocy, przynosić jej jedzenie, wodę i swą miłość...

Silvan wyjął nóż i dotknął jego sztychem tkaniny namiotu. Pracując cicho i ostrożnie, wyciął w niej otwór tuż nad ziemią i wczółgał się przezeń do środka.

Świeca jeszcze się paliła. Silvan uważał, by nie przesłonić jej swym ciałem, gdyż wartownicy mogliby zauważyć jego cień.

Mina zasnęła na sienniku. Leżała na boku z nogami podciągniętymi ku brodzie, a dłońmi - nadal zakutymi w kajdanki - skulonymi przy piersi. Wydawała się bardzo krucha. Spała spokojnie, jakby nic jej się nie śniło. Oddychała miarowo przez nos i rozchylone lekko usta.

Silvan zatkał jej usta dłonią, aby nie krzyknęła z zaskoczenia.

- Mino! - wyszeptał nerwowo. - Mino. Otworzyła oczy. Nie wydała żadnego dźwięku. Bursztynowe oczy spojrzały na Silvana, świadome jego obecności i miejsca, w którym się znajdowali.

- Nie bój się - powiedział, lecz w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że dziewczyna nigdy dotąd nie okazała strachu. Ta chwila nie była wyjątkiem. - Przyszedłem cię uwolnić. - Starał się przemawiać spokojnie, lecz jego głos drżał, podobnie jak jego dłonie. - Możemy uciec do lasu, wychodząc przez tylną ścianę namiotu. Ale najpierw musimy zdjąć te kajdanki.

Cofnął dłoń.

- Zawołaj wartownika. On ma klucz. Powiedz, że jesteś chora. Ja schowam się w cieniu i...

Mina dotknęła palcami jego ust, powstrzymując dalsze słowa.

- Nie - sprzeciwiła się. - Jestem ci za to wdzięczna, ale nigdzie nie ucieknę.

- Co to było? - zapytał jeden z wartowników swego towarzysza. - Czy coś słyszałeś?

- To chyba w namiocie.

Silvan uniósł nóż. Mina powstrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu. Zaczęła śpiewać:

Zaśnij, mój miły, zaśnij na wieki,

Zaciśnij mocno obie powieki.

Nie bój się nocy czarnej opieki.

Zaśnij, mój miły, zaśnij na wieki.

Głosy wartowników umilkły.

- Gotowe - oznajmiła Silvanowi. - Zasnęli. Możemy rozmawiać bez obaw.

- Zasnęli...

Młodzieniec uniósł połę namiotu. Wartownicy nadal stali na posterunku, lecz głowy mieli pochylone, wsparte podbródkami o pierś, a oczy zamknięte.

___ Jesteś czarodziejką? - zapytał, z powrotem do niej podchodząc.

- Nie, po prostu wiernym wyznawcą - odparła. - Dary, które otrzymałam, pochodzą od mojego Boga.

- Niech twój Bóg cię teraz uratuje. Śpiesz się, Mino! Tędy. Niedaleko jest ścieżka, która biegnie przez...

Silvan umilkł. Dziewczyna potrząsała przecząco głową.

- Mino - ciągnął zdesperowany - musimy uciekać! Dziś w południe mają cię stracić. Gdy słońce osiągnie najwyższy punkt na niebie. Glaucoś ich przekonał. On się ciebie boi, Mino.

- Ma powody - oznajmiła stanowczo.

- Dlaczego, Mino? - zapytał Silvan. - Chciałaś mi coś o nim powiedzieć. Co to jest?

- Tylko to, że nie jest tym, kim się wydaje, a twój lud umiera z powodu jego magii. Powiedz mi... - dotknęła lekko jego policzka - ...czy pragniesz ukarać Glaucosa? Ujawnić jego zamiary swemu ludowi i w ten sposób zdemaskować jego morderczy plan?

- Tak, oczywiście, ale...

- W takim razie zrób tak, jak ci każe - poleciła Mina. - Wykonaj dokładnie moje wskazówki. Moje życie zależy od ciebie. Jeśli mnie zawiedziesz...

- Nie zawiodę cię, Mino - wyszeptał Silvan. Ujął jej dłoń i przycisnął ją do ust. - Jestem na twoje rozkazy.

- Przyjdiesz na moją egzekucję... Psst! Nic nie mów. Obiecałeś. Nie zapomnij zabrać broni. Stań u boku Glaucosa. Zabierz ze sobą jak najwięcej swoich strażników. Czy to zrobisz?

- Tak, ale co potem? Czy będę musiał patrzeć na twoją śmierć?

- Będziesz wiedział, co i kiedy zrobić. Możesz być tego pewien. Jedyne Bóg jest z nami. Musisz już iść, Silvanie. Generał wyśle kogoś do twego namiotu, żeby cię sprawdzić. Nie może się dowiedzieć, że z niego wychodziłeś.

Silvan miał wrażenie, że opuszczając Minę, wyrzeknie się części samego siebie. Wyciągnął dłoń i przebiegł palcami po jej głowie, czując ciepło skóry, miękkość porastającego ją puszkę oraz twardość ukrytej pod spodem czaszki. Dziewczyna siedziała zupełnie nieruchomo. Nie cieszyła się z jego dotyku, lecz również nie odsunęła się od niego.

- Jak wyglądały twoje włosy, Mino?

- Były koloru płomienia, długie i gęste. Ich pasma owijały się wokół palców i chwyciły za serce jak dłoń niemowlęcia.

- Na pewno były piękne - stwierdził Silvan. - Czy straciłaś je z powodu gorączki?

- Ścięłam je - odparła. - Wzięłam nóż i ścięłam je jak najkrócej.

- Dlaczego? - zapytał przerażony.

- Tego zażądał ode mnie mój Bóg. Za bardzo dbałam o własny wygląd - wyjaśniła. - Chciałam, żeby mnie pieszczono, podziwiano, kochano. Włosy były źródłem mojej dumy, łechtały moją próżność. Poświęciłam je, aby dowieść swej wiary. Teraz tylko Jego kocham. Tylko Jemu jestem wierna. Zostaw mnie już, Silvanie.

Elf wstał i niechętnie podszedł do tylnej ściany namiotu.

- Ja kocham tylko ciebie, Mino - rzekł cicho.

- To nie mnie kochasz, lecz Boga, który jest we mnie - odpowiedziała.

Silvan nie pamiętał chwili opuszczania namiotu. Nagle zorientował się, że stoi sam w ciemności.

Nad polem bitwy w Silvanesti zapadła noc, która spowiła przygotowywane do uroczystego pochówku ciała poległych. Ta sama noc opadła całunem na Qualinost, stolicę elfów Qualinesti.

Noc przynosiła ze sobą zapowiedź zagłady. Tak przynajmniej myślał Gerard. Szedł ulicami elfiej stolicy z dłonią na rękojeści miecza, uważnie wypatrując błysku stali w każdym mrocznym kącie, każdych ciemnych drzwiach. Przeszedł na drugą stronę ulicy, chcąc ominąć wylot zaułka. Przyglądał się zasłonom okien na piętrze, aby się upewnić, że żadna z nich nie zakołysała się nagle, jakby stał za nią łucznik, gotowy wypuścić skrytobójczą strzałę.

Cały czas zdawał sobie sprawę, że śledzą go liczne spojrzenia. W pewnej chwili poczucie zagrożenia stało się tak silne, że Gerard wyciągnął miecz i odwrócił się błyskawicznie, aby obronić się przed nożem wbitym w plecy. Nie zobaczył nikogo, miał jednak pewność, że ktoś tam był, ktoś, kto być może przestraszył się ciężkiej bojowej zbroi rycerza oraz jego lśniącego miecza.

Gerard nie mógł odetchnąć z ulgą, gdy wreszcie dotarł do kwatery głównej Rycerzy Neraki. Niebezpieczeństwo nie czaiło się już za jego plecami. Było w środku.

Dyżur w budynku pełnił tylko jeden oficer, a smokowiec spał na podłodze.

- To jest odpowiedź od marszałka Medana dla Beryl. __oznajmił Gerard, salutując.

- Najwyższy czas! - mruknął oficer. - Nie uwierzyłbyś, jak głośno chrapie to cholerstwo!

Gerard podszedł do smokowca, który miotał się przez sen, wydając dziwne, gardłowe dźwięki.

- Groul - powiedział Solamniczycy. Wyciągnął rękę i potrząsnął śpiącą istotą.

Odpowiedziały mu syk, warknięcie, łopot skrzydeł i zgrzyt pazurów. Pazurzaste łapy sięgnęły ku jego gardłu.

- Hej! - zawołał Gerard, odpierając atak smokowca. Uspokój się, dobra?

Groul łypnął na niego zezowatymi, jaszczurczymi ślepiami. Cofnął się, odsuwając dłoń od szyi rycerza.

- Przepraszam - mruknął. - Zaskoczyłeś mnie. Ślady pozostawione przez jego pazury paliły boleśnie Gerarda.

- To moja wina - oznajmił sztywno rycerz. - Nie trzeba było budzić cię tak gwałtownie. - Podsunął smokowcowi tubę. - Tu jest odpowiedź marszałka.

Groul przyjął ją i sprawdził, czy pieczęć jest nienaruszona. Usatysfakcjonowany, wsunął tubę za pas uprząży, odwrócił się i ruszył z głośnym chrząknięciem ku drzwiom. Gerard zauważył, że stworzenie nie nosi zbroi. Pomyślał z przygnębieniem, że smokowcy jej nie potrzebują. Wystarczającą osłonę zapewniała im gruba łuska.

Solamnijczyk zaczerpnął głęboko powietrza w płuca, wypuścił je powoli i podążył za smokowcem.

Groul odwrócił się.

- Co robisz, Nerakańczyku?

- Znajdujesz się we wrogim kraju i zapadła już noc. Rozkazano mi odprowadzić cię bezpiecznie do granicy - oznajmił Gerard.

- Ty masz mnie chronić? - Groul wydał z siebie bulgoczący dźwięk, który mógł być śmiechem. - Też coś! Wra - caj do miękkiego łóżeczka, Nerakańczyku. Nic mi nie grozi, potrafię sobie poradzić z elfią hołotą.

___ Wydano mi rozkazy - upierał się Gerard. - Jeśli coś ci się stanie, marszałek Medan uczyni mnie to samo.

W jaszczurzych oczach Groula błysnął gniew.

- Mam coś, co może skrócić nam podróż - dodał Solamnijczyk. Rozchylił poły płaszcza, odsłaniając manierkę, którą miał u pasa.

- Co jest w tej manierce, Nerakańczyku? - zapytał Groul, pokazując między ostrymi zębami język.

- Krasnoludzka gorzałka - odpowiedział rycerz. - Dar od marszałka. Prosił, żebyśmy po przekroczeniu granicy wypili w jego imieniu za upadek elfów.

To położyło kres sprzeciwom Groula. Smokowiec i rycerz ruszyli razem cichymi ulicami Qualinostu. Gerard ponownie wyczuwał śledzące ich spojrzenia, lecz nikt ich nie zaatakował. Nie czuł się tym zdziwiony. Baaz był bardzo groźnym przeciwnikiem.

Gdy opuścili miasto, Groul wybrał jedną z głównych ścieżek prowadzących do lasu. Potem jednak, nagle i niespodziewanie, skręcił w gąszcz, ruszając trasą, którą zapewne znali tylko smokowcy. Sądząc z tego, jak szybko stworzenie przemieszczało się przez zarośla, doskonale widziało w ciemności. Księżyc był już blisko nowiu, ale drogę oświetlały im gwiazdy oraz odległe światła Qualinostu. Rosło tu pełno krzewów i pnączy i dźwigającemu ciężką zbroję Gerardowi trudno było posuwać się naprzód. Gdy poprosił smokowca o postój, nie potrzebował udawać zmęczenia.

- Nie musimy się od razu zabijać - wydyszał. - Może tak byśmy chwilkę odpoczęli?

- Ludzie! - zadrwił Groul. Nawet się nie zdyszał, lecz mimo to przystanął i obejrzał się na rycerza, czy raczej na manierkę. - No, ale od tego chodzenia zaschło mi w gębie. Z chęcią bym się napił.

Gerard zawahał się.

- Rozkazano mi...

- Niech Otchłań pochłonie twoje rozkazy! - warknął Groul.

- Ale pewnie mały łyeczek nie zaszkodzi - zgodził się Gerard, wyjmując manierkę. Wyciągnął korek i powąchał zawartość. Ciężka, ostra, piżmowa woń krasnoludzkiej gorzałki paliła jego nozdrza. Prychnął i odsunął manierkę na długość wyciągniętej ręki. - Dobry rocznik - orzekł, czując, że oczy zachodzą mu łzami.

Smokowiec złapał manierkę i uniósł ją do ust. Pociągnął długi łyk i westchnął z zadowoleniem, opuszczając rękę.

- Bardzo dobry - zgodził się ochryplym głosem i beknął głośno.

- Twoje zdrowie - powiedział Gerard, unosząc manierkę do ust. Zatkanął wylot językiem, udając, że pociągnął łyk. - No dobrze - dodał tonem sugerującym niechęć. - Na razie wystarczy. Musimy ruszać w drogę.

- Nie tak szybko! - Groul złapał manierkę, wyciągnął korek i wyrzucił go. - Siadaj, Nerakańczyku.

- Ale twoja misja...

- Beryl nigdzie nie ucieknie - stwierdził Groul, siadając pod drzewem. - Nie ma żadnej różnicy, czy dostanie ten list jutro, czy za rok. Jej działania przeciw elfom już się rozpoczęły.

Serce Gerarda zabiło gwałtownie.

- Jak to? - zapytał, starając się, aby jego głos zabrzmiał obojętnie. Usiadł obok smokowca i sięgnął po manierkę.

Groul oddał mu jaz widoczną niechęcią. Cały czas wpatrywał się w Gerarda, żałując mu każdej wypitej kropli. Złapał naczynie, gdy tylko rycerz oderwał je od ust.

Alkohol z głośnym bulgotaniem popłynął do gardła smokowca. Gerard zdał sobie z niepokojem sprawę, że stwor może wypić bardzo wiele. Zastanawiał się, czy jedna manierka wystarczy.

Groul westchnął, beknął i otarł usta grzbietem pazurzastej dłoni.

__ Mówiłeś o Beryl - przypomniał mu Gerard.

__ Ach, tak! - Groul uniósł manierkę ku księżycowi. - Zdrowie mojej pani smoczycy, pięknej Beryl. I śmierć elfom.

Pociągnął kolejny łyk. Gerard ponownie udał, że pije.

__ Tak - zgodził się Gerard. - Marszałek mi o tym mó - wił. Dała elfom sześć dni.

__Ha, ha! Sześć dni! - Groul roześmiał się gardłowo. - Elfowie nie mają nawet sześciu minut! Armia Beryl zapewne właśnie przekracza granicę! To potężna armia, największa, jaką widziano na Ansalonie od czasów Wojny Chaosu. Smokowcy, goblinowie, hobgoblinowie, ogrowie, ludzcy poborowi. Uderzymy na Qualinost z zewnątrz, a Rycerze Neraki zaatakują miasto od środka. Qualinesti znajdą się między ogniem a wodą i nie będą mieli dokąd uciec. Wreszcie dożyję dnia, gdy nikt z tej spiczastouchej hołoty nie pozostanie przy życiu.

Gerard poczuł nagły ucisk w żołądku. Armia Beryl przekroczyła granice! Być może dzielił ją tylko dzień marszu od Qualinostu!

- A czy Beryl przybędzie osobiście, aby zapewnić sobie zwycięstwo? - zapytał, mając nadzieję, że smokowiec uzna drżenie w jego głosie za efekt działania palącego trunku.

- Nie, nie. - Groul zachichotał. - Zostawi elfów nam. Poleciała do Schallsea, zniszczyć tak zwaną Cytadelę Światła i złapać jakiegoś nędznego maga. No, Nerakańczyku, przestań tak tulić tę manierkę!

Gerard zacisnął dłoń na rękojeści noża. Powoli i bezgłośnie wyciągnął go z pochwy u pasa. Zaczekał, aż Groul po raz kolejny uniesie manierkę, która była już prawie pusta. Smokowiec odchylił głowę do tyłu, aby wysączyć ostatnią kropelkę.

Gerard z całej siły wbił mu nóż między żebra, licząc na to, że trafi w serce.

Z pewnością by mu się to udało, gdyby zaatakował człowieka, lecz najwyraźniej smokowcy mieli serce w innym miejscu. Niewykluczone też, że te stwory w ogóle nie miały serc. Gerarda nie zdziwiłoby to w najmniejszym stopniu.

Zdając sobie sprawę, że cios nie okazał się śmiertelny, Gerard wyszarpnął okrwawiony nóż. Zerwał się na nogi, wyciągając miecz.

Groul był ranny, ale nie śmiertelnie. Stęknął z bólu, lecz to sieknięcie natychmiast przerodziło się w ryk wściekłości. Wyjść z furii, rzucił się do szarży. Pazurzasta dłoń sięgnęła po miecz. Smokowiec zamachnął się szaleńczo, chcąc zdekapitować przeciwnika.

Gerard sparował uderzenie i zdołał wytrącić miecz z dłoni Groula. Oręż wpadł w krzaki u stóp Solamnijczyka, który rozpaczliwie odkopnął go na bok w tej samej chwili, gdy smokowiec pochylił się, aby podnieść broń. Rycerz kopnął przeciwnika obutą nogą w podbródek. Baaz zatoczył się do tyłu, ale nie padł na ziemię.

Groul wyciągnął zakrzywiony sztylet i skoczył w górę, wykorzystując skrzydła, aby wznieść się ponad Gerarda. Potem runął na rycerza, wymachując nożem.

Ciężar smokowca połączony z impetem uderzenia zwały Solamnijczyka z nóg. Człowiek runął ciężko na leśną ściółkę, padając na plecy. Groul przygniótł go swym ciałem. Warczący, zaśliniony smokowiec usiłował przebić go sztyletem. Jego skrzydła tłukły szaleńczo, uderzając Gerarda po twarzy i wzbijając w górę piasek, który go oślepił. Ogarnięty paniką Solamnijczyk walczył jak

desperat. Uderzał w smokowca swym nożem, jednocześnie starając się pochwycić jego szyję.

Obaj przeciwnicy tarzali się po piasku. Gerard kilkakrotnie poczuł, że jego nóż wbił się w ciało smokowca. Zalewała go krew, lecz nie potrafił określić, który z nich krwawi. Groul uparcie nie chciał umrzeć, a Solamniczka opuszczały już siły. Kontynuować walkę pozwalała mu tylko pompowana strachem adrenalina, której poziom stopniowo opadał.

Wtem Groul zakrzuszył się. Z ust popłynęła mu krew, która chlusnęła na twarz Gerarda, oślepiając go. Smokowiec zeszywniał, warknął z wściekłością, wstał z przeciwnika i uniósł nóż. Ten jednak wypadł mu z dłoni. Groul zważył się z powrotem na Solamniczka, lecz tym razem już się nie poruszył. Był martwy.

Gerard zaczekał chwilę, aby wypuścić z płuc drżące westchnienie ulgi. Ta zwłoka omal go nie zgubiła. Poniewczasie przypomniał sobie ostrzeżenie Medana. Martwy smokowiec był tak samo niebezpieczny jak żywy. Nim rycerz zdążył zrzucić z siebie ścierwo, ciało baaza zamieniło się w lity kamień. Gerard czuł się tak, jakby przygniatał go ciężar grobowca. Skamieniały trup wciskał go w ziemię. Solamniczka nie mógł oddychać i dusił się stopniowo. Próbował zrzucić z siebie zwłoki, lecz okazały się zbyt ciężkie. Zdołał zaczerpnąć z wysiłkiem tchu, przygotowując się do wykorzystania całej energii, która mu pozostała.

I nagle kamienny posąg rozsypał się w proch.

Gerard podniósł się chwiejnie i oparł o pień drzewa. Otarł z oczu krew Groula, splunął i zwymiotował, aż wreszcie przeczyścił sobie usta. Odpoczywał przez kilka chwil, czekając, aż serce przestanie wyrwać mu się spod zbroi, a szal bitewny opadnie i nie będzie mącił jasności spojrzenia. Kiedy już widział wyraźnie, przeszukał uprząż smokowca, znalazł tubę i zabrał ją.

Spojrzał po raz ostatni na stertę pyłu, w którą zamienił się Groul, a potem - nie przestając spluwać, aby uwolnić się od ohydneho posmaku w ustach - odwrócił się i powłókł przez ciemność ku migotliwym światłom Qualinostu. Światłom, które zaczęły już blednąć w świetle nadchodzącego świtu.

Blask słoneczny wpadał do środka przez kryształowe okna pałacu Mówcy Słońca. Skąpany w słonecznym świetle Gilthas pochylał się nad swą pracą. Układał następny poemat, tym razem opowiadający o przygodach jego ojca podczas Wojny Lancy. W dziele tym znajdowały się również zaszyfrowane komunikaty dla dwóch elfich rodzin, które podejrzewano o sympatyzowanie z buntownikami.

Niemal już ukończył poemat i zamierzał wysłać Plancheta, aby zaniósł go tym, którzy interesowali się literacką działalnością króla, gdy nagle nerwowo zadygotał. Palce, w których trzymał gęsie pióro, zadrżały. Zrobił plamę na rękopisie i pośpiesznie odłożył pióro. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

- Wasza Królewska Mość! - zawołał zaniepokojony Planchet. - Co się stało? Czy źle się czujesz?

Zaprzestał przeglądania papierów króla i podbiegł do niego.

- Wasza Królewska Mość? - powtórzył nerwowo.

- Właśnie nawiedziło mnie dziwne uczucie - oznajmił cichym głosem Gilthas. - Wszystkie włosy mi się zjeżozwierzyły.

- Zjeżozwierzyły, Wasza Królewska Mość? - zdziwił się Planchet.

- To takie ludzkie powiedzenie, przyjacielu - wyjaśnił z uśmiechem Gilthas. - Nigdy go nie słyszałeś? Mój ojciec często tak mawiał. Tak się mówi, kiedy z jakiegoś niewyjaśnionego powodu twoje ciało przeszywa dreszcz, a włosy zaczynają się unosić. Tak właśnie poczułem się przed chwilą. Co jeszcze dziwniejsze, ujrzałem przed oczyma twarz mojego kuzyna Silvanosheia! Widziałem go bardzo wyraźnie, równie wyraźnie, jak widzę ciebie.

- Silvanoshei nie żyje, Wasza Królewska Mość - przypomniał mu Planchet. - Zabili go ogrowie. Być może to właśnie był powód?

- No, nie wiem - zastanawiał się Gilthas. - Zapewniam cię, że mój kuzyn nie wyglądał na martwego. Miał na sobie srebrną zbroję, taką jaką noszą wojownicy Silvanesti. Widziałem dym i krew, wokół niego szalała bitwa, ale jemu nic się nie stało. Zatrzymał się na krawędzi przepaści i wyciągnąłem do niego dłoń, ale nie wiem, czy chciałem mu pomóc, czy zepchnąć go w dół.

- Mam nadzieję, że to pierwsze, Wasza Królewska Mość - rzekł lekko zszokowany Planchet.

- Ja również mam taką nadzieję - Gilthas zmarszczył brwi i potrząsnął głową. - Pamiętam, że byłem wściekły i czegoś się bałem. To dziwne. - Wzruszył ramionami. - Tak czy inaczej, wizja minęła.

- Wasza Królewska Mość na pewno zapadł w drzemkę. Masz za mało snu...

Planchet umilkł nagle. Skinął na Gilthasa, aby ten zachował milczenie, podkraść się do drzwi i przyłożyć do nich ucho.

__ Ktoś idzie, Wasza Królewska Mość - zameldował w mowie powszechniej.

__ Tak wczesnym rankiem? Nie spodziewam się żadnych gości. Mam nadzieję, że to nie Palthainon - dodał Gilthas. - Muszę skończyć ten poemat. Powiedz mu, że nie wolno mi przeszkadzać.

- Wpuśćcie mnie! - zawołał za drzwiami jakiś elf, zwracając się do wartowników. Jego głos brzmiał spokojnie, lecz wyczuwało się w nim nutę napięcia i lęku. - Przynoszę wiadomość dla króla od jego matki.

Jeden ze strażników zapukał głośno. Planchet rzucił ostrzegawcze spojrzenie w kierunku Gilthasa, który opadł na krzesło i znowu zaczął pisać.

- Schowaj te łachy! - wyszeptał nerwowo, wskazując palcem na podróżny strój, który leżał na

kufrze, przygotowany do kolejnego nocnego wypadu. Planchet zganiał ubranie z powrotem do kufra. Następnie zamknął go na klucz, który wrzucił do wielkiego wazonu ze świeżo ściętymi różami. Dopiero potem poszedł otworzyć drzwi.

Gilthas bawił się gęsim piórem z zadumaną miną. Rozparł się wygodnie na krześle, wsparł stopy na poduszce i muskał usta koniuszkiem gęsiego pióra, wpatrując się w sufit.

- Goniec Kelevandros - zapowiedział wartownik - do Jego Królewskiej Mości.

- Wpuść go - rzekł ospałym głosem Gilthas. Kelevandros wpadł do komnaty. Był odziany w płaszcz z kapturem, który zakrywał mu twarz. Planchet zatrzasnął za nim drzwi. Przybysz zdjął kaptur. Twarz miał śmiertelnie bladą.

Gilthas mimo woli wstał z krzesła.

- Co...

- Wasza Królewska Mość nie powinien się ekscytować - skarcił go Planchet, spoglądając znacząco na drzwi, aby mu Przypomnieć, że wartownicy mogą podsłuchiwać.

- Co się stało, Kelevandrosie? - zapytał niemrawo Gilthas. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

- Wasza Królewska Mość! - zaczął Kelevandros cichym, drżącym głosem. - Aresztowano królową matkę!

- Aresztowano? - powtórzył zdumiony Gilthas. - Kto to zrobił? Kto by się ośmielił? I dlaczego? Pod jakimi zarzutami?

- Marszałek Medan, Wasza Królewska Mość - Kelevandros przełknął ślinę. - Nie wiem, jak to powiedzieć...

- Gadaj wreszcie! - warknął Gilthas.

- Ostatniej nocy marszałek Medan przyszedł aresztować twoją czcigodną matkę. Smoczyca Beryl rozkazała mu... rozkazała mu ją stracić.

Gilthas wytrzeszczył tylko oczy. Krew odpłynęła mu z twarzy, jakby ktoś poderżnął mu gardło nożem. Był tak blady i roztrzęsiony, że Planchet opuścił swój posterunek pod drzwiami, podbiegł do króla i położył mu dłoń na ramieniu.

- Próbowałem go powstrzymać, Wasza Królewska Mość - ciągnął strapiony Kelevandros. - Nie udało mi się.

- Ostatniej nocy! - krzyknął zrozpaczony Gilthas. Czemu nie przyszedłeś do mnie od razu?

- Próbowałem, Wasza Królewska Mość - wyjaśnił Kelevandros - ale strażnicy nie chcieli mnie

wpuścić do pałacu. Mówili, że to z rozkazu Palthainona.

- Dokąd Medan zabrał królową matkę? - zapytał Planchet. - O co jest oskarżona?

- O ukrywanie czarodzieja Palina i pozwolenie mu na ucieczkę z magicznym artefaktem przyniesionym przez kendera. Nie wiem, dokąd Medan zabrał moją panią. Najpierw udałem się do kwatery głównej rycerzy, ale jeśli nawet tam ją przetrzymują, nikt nie chciał mi tego powiedzieć. Kazałem swym podkomendnym szukać jej całą noc. Jeśli się czegoś dowiedzą, mają o tym zameldować Kalindasowi, który zaproponował, że zostanie w domu na wypadek, gdyby dotarły tam jakieś wieści. W końcu jeden z wartowników, który sprzyja na - szej sprawie, zgodził się mnie wpuścić. Przyszedłem prosto do ciebie. To znaczy, że o niczym nie słyszałeś?

- O niczym - potwierdził Gilthas. Te słowa wypadły z jego poblądłych ust zupełnie bezdźwięczne.

- Chyba zaraz się czegoś dowiemy - wtrącił Planchet, strzygąc uchem. - Słyszę na schodach ciężkie kroki Medana. Trzęsie się od nich cały dom. Idzie szybko.

Usłyszeli tupnięcie wartowników, którzy stanęli na baczność, łoskot ich włóczni, uderzających o podłogę. Jeden z nich zaczął pukać do drzwi, lecz nie zdążył skończyć. Medan otworzył drzwi i wszedł do komnaty. Towarzyszył mu jeden z jego osobistych strażników, odziany w czarną skórzaną zbroję, z głową przysłoniętą hełmem.

- Wasza Królewska Mość...

Gilthas zerwał się błyskawicznie z krzesła i pokonał w dwóch susach odległość dzielącą go od marszałka. Złapał zdumionego Medana za gardło i cisnął nim o ścianę, a Planchet w tej samej chwili zaatakował jego strażnika, wykręcił mu rękę za plecami i przystawił nóż do ucha.

- Co zrobiłeś z moją matką? - zapytał Gilthas twardym, nieustępliwym głosem. - Gadaj! - Zacisnął dłoń na gardle Medana. - Gadaj!

Marszałek dał się całkowicie zaskoczyć nagłym atakiem króla. Nie mógł się ruszyć. Dłonie młodego elfa były bardzo silne, wydawało się też, że Gilthas świetnie wie, co robi.

Marszałek bynajmniej się nie bał. Trzymał dłoń na rękojeści sztyletu i mógł go w każdej chwili zatopić w królewskim brzuchu. Nie po to jednak tu przybył.

Przez długi czas wpatrywał się w Gilthasa bez słowa, po czym wykrztusił ze ściśniętego gardła: - Albo szczenię nagle zmieniło się w wilka, albo mam do czynienia ze znakomitym aktorem.

Medan zwrócił uwagę na zarys zaciśniętych szczęk i twardy, wprawny uścisk dłoni.

- Podejrzewam, że raczej to drugie - wydyszał.

- Moja matka, marszałku! - warknął Gilthas przez zaciśnięte zęby. - Gdzie ona jest?

- Jestem tutaj, Gilthasie - odpowiedziała Laurana. Jej głos niósł się echem pod hełmem Rycerza Neraki.

- Królowo matko! - wydyszał Planchet. Wypuścił nóż z ręki i opadł na kolana. - Wybacz mi! Nie miałem pojęcia...

- Bo nie miałeś go mieć, Planchet - odparła Laurana, zdejmując hełm. - Puść marszałka, Gilthasie. Nic mi nie grozi. Przynajmniej na razie. Jestem tak bezpieczna, jak to tylko możliwe w obecnej sytuacji.

Gilthas puścił Medana, który odsunął się od ściany, masując obolałe gardło.

- Matko, czy jesteś ranna? - zapytał Gilthas. - Czy cię skrzywdził? Jeśli tak, to przysięgam...

- Nie, synu, nie! - zapewniła Laurana. - Marszałek traktował mnie z najwyższym szacunkiem. A nawet z wielką uprzejmością. Zatrzymałam się na noc w jego domu, a rankiem wyposażył mnie w to przebranie. Obawia się, że mojemu życiu może zagrażać niebezpieczeństwo. Aresztował mnie dla mojego własnego bezpieczeństwa.

Gilthas zmarszczył brwi, jakby trudno mu było w to uwierzyć.

- Usiądź, matko. Wyglądasz na zmęczoną. Planchet, przynieś mojej matce trochę wina.

Sługa udał się po wino, a marszałek podszedł do drzwi i otworzył je szeroko. Wartownicy stanęli na baczność.

- Żołnierze, w mieście odkryto obecność oddziałów buntowników. Życie Jego Królewskiej Mości jest w niebezpieczeństwie. Oczyszćcie pałac. Odeślijcie służbę do domu. Wszystkich. Nikomu nie wolno zostać w pałacu, rozumiano? Chcę, żeby przy każdym wejścia stały warty. Nie wpuszczajcie nikogo poza moim adiutantem. Gdy tylko się zjawi, przyślijcie go do królewskich komnat. Jazda!

Wartownicy odeszli. Wkrótce rozległy się ich donośne głosy, nakazujące wszystkim opuszczenie pałacu. Słysząc też było protesty zdziwionych bądź skonsternowanych służących.

Był wczesny poranek, śniadanie już przygotowano, lecz jeszcze go nie podano, trzeba było również pozamiatać podłogi. Wartownicy byli jednak nieustępliwi. Zgiełk wciąż się nasilał. Z dołu dobiegały donośne głosy przerażonej służby i krzyk nadmiernie podekscytowanej pokojówki. Wartownicy wyprowadzili wszystkich na zewnątrz i zajęli pozycje pod drzwiami, tak jak im rozkazano.

Po kilku chwilach w pałacu zapadła niezwykła, nienaturalna cisza.

Medan wrócił do komnaty.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał, zauważywszy, że Kelevandros szykuje się do wyjścia.

- Muszę zawiadomić o wszystkim brata, panie - odparł sługa Laurany. - Straszliwie się zamartwia...

- O niczym go nie zawiadomisz. Ani jego, ani nikogo innego. Siadaj i bądź cicho.

Laurana uniosła nagle wzrok i spojrzała badawczo na Kelevandrosa. Elf zerknął na nią niepewnie i wykonał rozkaz marszałka.

Medan zostawił drzwi otwarte.

- Chcę słyszeć, co się będzie działo na zewnątrz. Dobrze się czujesz, pani?

- Dobrze, marszałku. Dziękuję. Wypijesz ze mną kielich wina?

- Jeśli Jego Królewska Mość pozwoli. Marszałek skłonił się lekko.

- Planchet - odezwał się Gilthas - nalej marszałkowi trochę wina.

Król nadal stał opiekuńczo u boku matki, łypiąc spode łba na marszałka.

Medan uniósł kielich w toaście.

- Gratuluję, Wasza Królewska Mość. Po raz pierwszy w życiu dałem się nabrać. Ta maska słabego, niezdecydowanego miłośnika poezji przekonała mnie w zupełności. Od dawna już zadawałem sobie pytanie, dlaczego tak wiele naszych najlepszych planów pali na panewce. Jestem przekonany, że wreszcie poznałem odpowiedź. Twoje zdrowie, Wasza Królewska Mość.

Medan wypił wino. Gilthas odwrócił się do niego plecami.

- Matko, co tu się dzieje?

- Usiądź, Gilthasie. Wszystko ci opowiem - odparła Laurana. - Albo, jeszcze lepiej, możesz sam to przeczytać.

Spojrzała na Medana. Marszałek sięgnął pod zbroję i wyciągnął przysłany przez smoczycę list. Wręczył go królowi nie kryjąc swego świeżo nabytego szacunku.

Gilthas podszedł do okna, rozwinął zwój, uniósł go pod blednące światło słońca i przeczytał, powoli i uważnie.

- Z pewnością nie zamierza tego zrobić - stwierdził z napięciem w głosie.

- Zamierza - zapewnił go złowrogim tonem Medan. - Zapomnij o wszelkich wątpliwościach, Wasza Królewska Mość. Beryl od dawna już szukała pretekstu, który pozwoliłby jej zniszczyć Qualinesti. Ataki buntowników stają się coraz zuchwalsze. Beryl podejrzewa elfów o ukrywanie przed nią wieży w Wayreth. Pechowy fakt, że Palin Majere ukrywał się w domu królowej matki, potwierdził tylko podejrzenia smoczycy, która jest przekonana, że elfowie i czarodzieje uknuli

spisek, aby ją ograbić z magii.

- Płacimy jej daninę - zaczął Gilthas.

- E, tam! Na co jej pieniądze? Nałożyła na was daninę tylko dlatego, że cieszy ją myśl, iż utrudniła wam życie. To magii pożąda, magii dawnego świata, magii bogów. Wielka szkoda, że to cholerne urządzenie w ogóle trafiło do waszego kraju. Wielka szkoda, że postanowiłaś je przede mną ukryć, pani - skarcił surowym tonem Lauranę. - Gdybyś mi je oddała, można by uniknąć tej tragedii.

Laurana pociągnęła łyk wina, nie odzywając się ani słowem. Medan wzruszył ramionami.

- Nie ma co płakać nad rozlanym ale, jak to mówią. Teraz musicie odzyskać urządzenie. Musicie, pani - powtórzył - Zrobiłem, co tylko mogłem, żeby zyskać na czasie, ale udało mi się przeciągnąć sprawę zaledwie o kilka dni. Wyślij swojego gryfa do Cytadeli i rozkaż Palinowi Majere wydać urządzenie wraz z kenderem, który je przyniósł. Osobiście dostarczę je smoczycy i może uda mi się powstrzymać zagładę, która wisi nad nami...

__ Nad nami! - krzyknął rozgniewany Gilthas. - To ty trzymasz w dłoni katowski topór, marszałku! On wisi nad naszymi głowami, nie nad twoją!

- Wybacz, Wasza Królewska Mość - rzekł Medan z głębokim ukłonem. - Mieszkam w tej krainie tak długo, że zacząłem ją uważać za własny dom.

- Jesteś tu najeźdźcą - stwierdził Gilthas, wypowiadając każde słowo oddzielnie, tonem pełnym gorzkiej emfazy. - Jesteś naszym panem. Naszym nadzorcą. Qualinesti nigdy nie będzie twoim domem.

- Pewnie masz rację, Wasza Królewska Mość - przyznał Medan po chwili milczenia. - Chciałbym jednak, abyś wziął pod uwagę fakt, że odprowadziłem twoją matkę do pałacu, mimo że mogłem ją zaprowadzić do kata. Ostrzegłem was przed zamiarami smoczycy, choć mogłem zgonić więźniów na plac targowy, aby posłużyli jako cele dla moich łuczników.

- I ile ma nas kosztować ta szczodrość? - zapytał zimno Gilthas. - Jakiej ceny żądasz za życie nas wszystkich?

Medan uśmiechnął się lekko.

- Chciałbym umrzeć we własnym ogrodzie, Wasza Królewska Mość. Ze starości, jeśli to tylko możliwe.

- Nie ufaj mu, Wasza Królewska Mość - ostrzegł cicho Gilthasa Planchet, nalewając mu wina.

- Nie ma obaw - odparł król, ściskając między palcami cienką nóżkę kielicha.

- A teraz, pani, nie mamy wiele czasu - ciągnął marszakk. - Tu jest papier i inkaust. Napisz list do Palina Majere.

- Nie, marszałku - odmówiła stanowczo Laurana. Przemyślałam tę sprawę bardzo poważnie. Beryl nie może dostać tego urządzenia. Prędzej umrę sto razy, niż oddam je temu Potworowi.

- Jesteś gotowa umrzeć sto razy, pani, ale co z tysiącami śmierci? - zapytał złowrogim tonem Medan. - Co z twoim ludem? Czy poświęcisz go po to, aby uratować jakąś czarodziejską zabawkę?

Laurana pobladła, lecz nie ustąpiła.

- To nie jest zabawka, marszałku Medan. Jeśli Palin ma rację, to jeden z najpotężniejszych magicznych artefaktów, jakie kiedykolwiek powstały. Prędzej pozwolę, aby całe Qualinesti strawiły płomienie, niż oddam go Beryl.

- Powiedz mi więc, jaka jest natura tego artefaktu - zażądał Medan.

- Nie mogę tego zrobić, marszałku - odparła Laurana. - Wystarczająco źle się stało, że Beryl wie o jego istnieniu.

Nie dostarczę jej dalszych informacji. - Uniosła ze spokojem niebieskie oczy, aby napotkać jego poirytowane spojrzenie. - Widzisz, marszałku, mam powody sądzić, że w moim domu jest szpieg.

Twarz Medana poczerwieniała. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, zmienił jednak zdanie i zwrócił się pośpiesznie w stronę króla.

- Wasza Królewska Mość. A co ty powiesz na ten temat?

- Zgadzam się z matką. Mówiła mi o tym urządzeniu, opisała jego moce. Nie oddam go smoczycy.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co robisz? Skazujesz własną matkę na śmierć. Żaden magiczny artefakt nie jest tego wart - oburzył się Medan.

- Ten jest, marszałku - zapewniła Laurana. - Musisz mi zaufać.

Medan wbił w nią ponury wzrok. Napotkała jego spojrzenie i nie wzdrygnęła się przed nim.

- Cicho! - ostrzegł ich Planchet. - Ktoś idzie.

Na schodach rozległy się czyjeś pośpieszne kroki. Przybysz wspinał się po dwa stopnie.

- To mój adiutant - oznajmił Medan.

- Czy można mu zaufać? - zaniepokoiła się Laurana. Marszałek uśmiechnął się z przekąsem.

— Oceń to sama, pani.

Rycerz wszedł do komnaty. Jego czarną zbroję pokrywały krew i szary pył. Stał przez chwilę z

pochyloną głową, oddychając ciężko, jakby wspinaczka na schody zużyła ostatnie zasoby jego energii. Wreszcie uniósł głowę i podsunął Medanowi trzymany w ręce zwój.

- Mam go, marszałku. Groul nie żyje.

- Dobra robota, sir Gerardzie - pochwalił go marszałek, biorąc w rękę list. Popatrzył na ślady krwi na zbroi rycerza. - Jesteś ranny? - zapytał.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, panie - odpowiedział Gerard z grymasem cierpienia na twarzy. - W moim ciele nie ma ani jednego kawałeczka, który by mnie nie bolał. Jeśli jednak nawet zostałem ranny, to chyba niezbyt poważnie, bo w przeciwnym razie leżałbym już martwy na ulicy.

Laurana wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

- Królowo matko - przywitał ją z ukłonem Gerard. Chciała coś powiedzieć, lecz powstrzymała się, spoglądając na Medana.

- Nie sędzę, byśmy już się kiedyś spotkali, panie rycerzu - odparła chłodno.

Okrwawiona twarz Gerarda rozciągnęła się w bladym uśmiechu.

- Dziękuję, pani, że próbujesz mnie osłaniać, ale marszałek wie, że jestem rycerzem solamnijskim. W gruncie rzeczy jestem jeńcem.

- Rycerzem solamnijskim? - powtórzył zdumiony Gilthas.

- r To ten, o którym ci mówiłam - wyjaśniła Laurana. - Rycerz, który towarzyszył Palinowi i kenderowi.

- Rozumiem. To dlatego jesteś jeńcem marszałka. Czy to °n cię tak urządził? - zapytał z gniewem Gilthas.

- Nie, Wasza Królewska Mość - odpowiedział Gerard. - To smokowiec mnie tak urządził. Posłaniec Beryl, czy raczej jej były posłaniec.

Usiadł na krześle i zamknął z westchnieniem oczy.

- Nalejcie mu trochę wina - rozkazał Medan. - Smoczyca nie otrzyma już żadnych informacji z Qualinesti - dodał z satysfakcją. - Beryl zaczeka przynajmniej dzień na wiadomość ode mnie. Gdy się jej nie doczeka, będzie zmuszona wysłać następnego posłańca. Zyskaliśmy choć trochę na czasie.

Podał Gerardowi kielich wina.

- Nie, panie - zaprzeczył Solamnijszyk. Wziął w rękę kielich, ale nie wypił wina. - Nie zyskaliśmy. Smoczyca nas oszukała. Wojska Beryl już wymaszerowały. Według obliczeń Groula mogą już nawet przekraczać granicę. Na Qualinesti maszeruje największa armia od czasów Wojny Chaosu.

W komnacie zapadła śmiertelna cisza. Wszyscy słuchali tych słów bez ruchu. Nikt nie patrzył nikomu w oczy. Nikt nie chciał ujrzeć odbicia własnego strachu.

Marszałek Medan uśmiechnął się ze smutkiem i potrząsnął z rezygnacją głową.

- Wygląda na to, że jednak nie umrę ze starości stwierdził i nalał sobie kolejny kielich wina.

Błada rzeka umarłych

Tej samej nocy Goldmoon opuściła szpital, ignorując błagania uzdrowicieli i lady Camilli.

- Czuję się dobrze - oznajmiła, nie pozwalając zatrzymać się w łóżku. - Potrzebuję tylko odpoczynku, a tu go z pewnością nie znajdę!

Nie pośród umarłych.

Przemierzyła szybkim krokiem skąpane w jasnym świetle ogrody i dziedzińce Cytadeli. Nie spoglądała w lewo ani w prawo. Nie odpowiadała na pozdrowienia. Wbiła wzrok w ścieżkę przed sobą. Gdyby przesunęła spojrzenie w inne miejsce, zobaczyłaby ich. Podążali za nią.

Słyszała ich błagalne szepty. Czowała ich dotyk na dłoniach i twarzy, delikatny jak dotyk płatków róży. Spowijali ją niczym jedwabne chusteczki. Bała się, że jeśli na nich spojrzy, zobaczy Riverwinda. Potem pomyślała, że być może właśnie dlatego jego duch do niej nie przyszedł. Być może zgubił się w tej rzece i dał się jej unieść. Być może nigdy już go nie odnajdzie.

Dotarła do Wielkiego Audytorium i weszła szybko po dłuższych schodach wiodących do jej komnat. Po raz pierwszy błogosławiła swe niezwykle, młode ciało, które nie tylko było szybkie, lecz również ochoczo podejmowało się wysiłku, do którego je zmuszała. Zapędzona w ślepy zaułek Goldmoon zwróciła się w stronę umarłych.

- A kysz. Nic dla was nie mam.

Umarli podeszli bliżej: bardzo stary mężczyzna, złodziej, wojownik, kalekie dziecko. Wszyscy wyglądali jak wyciągający ręce żebracy. Nagle zniknęli, jakby jakiś głos kazał im odejść. Nie był to jednak jej głos.

Goldmoon zatrzasnęła za sobą drzwi.

W swej komnacie mogła być sama, naprawdę sama. Nie było tu umarłych. Być może, gdy nie chciała dać im tego, czego pragnęli, oddalili się w poszukiwaniu innej ofiary. Oparła się o drzwi, porażona swą wizją. Stojąc w ciemności, widziała oczyma wyobraźni, jak umarli wysysają z jej wyznawców życiodajną moc. To dlatego uzdrawianie na całym świecie stawało się coraz trudniejsze. Umarli okradali żywych. Ale dlaczego? Po co im była mistyczna moc? Jaka siła narzucała im swą wolę? Dokąd zmierzali tak niecierpliwie?

- I dlaczego było mi dane ich zobaczyć? - wyszeptała. Ktoś zapukał do drzwi. Zignorowała to i upewniła się, czy są zamknięte na klucz. Pukanie powtórzyło się. Wołały ją głosy. Głosy żywych. Gdy nie odpowiadała, pojawiła się w nich nuta zdziwienia. Słyszała, jak zastanawiają się, co robić.

- Idźcie sobie! - zawołała wreszcie znużonym tonem. - Idźcie sobie i zostawcie mnie w spokoju.

Po pewnym czasie żywi odeszli, podobnie jak umarli, i została sama.

Goldmoon przeszła na drugą stronę komnaty i zatrzymała się przed wielkim oknem, które wychodziło na morze. Otworzyła okiennice.

Bliski nowiu księżyc oświetlał ocean bladym blaskiem. Morze wyglądało osobliwie, jego powierzchnię pokrywała jakaś oleista błonka. Tafla wody pod nią wydawała się gładka i spokojna. W powietrzu unosił się wstrętny zapach, być może pochodzący od pływającego po wodzie oleju. Noc była pogodna. Gwiazdy świeciły jasno. Niebo było puste.

Na morze wypływały statki, czarne sylwetki na skąpanej w blasku księżyca wodzie. Pachniało sztormem. Doświadczeni marynarze potrafili czytać podobne znaki i wypływali na otwarte wody. Tam będą znacznie bezpieczniejsi niż przy brzegu gdzie fale mogły rozbić ich statki o doki portu lub skały wybrzeża. Goldmoon obserwowała ich przez okno. Żaglowce wyglądały jak dziecinne zabawki sunące po ciemnym zwierciadle.

Nad oceanem mknęli umarli.

Goldmoon osunęła się na kolana. Wsparła dłonie o okienną ramę, położyła głowę na dłoniach i obserwowała wędrujących za morze umarłych. Księżyc skrył się za horyzontem, utonął w ciemnych głębinach. Na niebie lśniły zimne, posępne gwiazdy, które odbijały się w wodzie tak nieruchomej, że Goldmoon nie potrafiła określić, gdzie kończy się niebo, a zaczyna morze. Drobne fale pluskały o brzeg ze smętną niecierpliwością niczym chore, niespokojne dziecko, które próbuje przyciągnąć czyjąś uwagę. Umarli sunęli bladym strumieniem na północ, nie zwracając uwagi na nic poza głosem, który słyszeli tylko oni.

Nie tylko oni.

Goldmoon usłyszała pieśń. Głos, który ją śpiewał, był przejmujący, przeniknął do głębi duszy kobiety.

- Znajdziesz go - zapewniał. - On mi służy. Będziecie razem.

Goldmoon przykucnęła z pochyloną głową. Zadrżała ze strachu, bojaźni i uniesienia, które wyrwało z jej gardła krzyk tęsknoty, sprawiło, że wyciągnęła błagalnie ręce do tego, kto śpiewał tę pieśń, tak jak umarli wyciągali ręce do niej. Całą noc spędziła na kolanach. Jej dusza słuchała pieśni z dreszczem, który był zarazem bólem i przyjemnością. Goldmoon obserwowała umarłych, którzy wędrowali na północ, słuchając zewu, a małe fale na morzu trzymały się brzegu tak długo, jak tylko mogły, a potem się cofały, zostawiając po sobie gładki, pusty piasek.

Nadszedł świt. Z oleistej wody wysliznęło się słońce. Wydawało się, że je również pokrywa taka sama błonka. Jego żółty blask nabrał zielonkawego połysku. Powietrze było brudne i gorące. Z ledwością mogła nim oddychać. Na niebie nie widziała ani jednej chmurki.

Goldmoon wstała z klęczek. Mięśnie miała sztywne i obolałe od siedzenia w niewygodnej pozycji, lecz gdy zaczęła się ruszać, rozgrzały się i odzyskały giętkość. Wybrała ciężki, gruby płaszcz i owinęła się nim, choć mimo wczesnego ranka panował już upał.

Otworzyła drzwi i zobaczyła, że stoi przed nimi Palin, który uniósł rękę, gotowy zapukać.

- Pierwszy Mistrzu - powiedział. - Wszyscy się niepokoiiliśmy...

Otaczali go umarli. Szarpali rękawy jego szaty. Przyciskali usta do jego połamanych palców, ich wystrzępione dłonie czepiały się magicznego pierścienia, który miał na palcu, starając się go ściągać. Sądząc z tego, jak sfrustrowani zawodzili, ich wysiłki nie przynosiły rezultatu.

- Co się stało? - Mag przerwał w pół słowa, przerażony wyrazem jej twarzy. - O co chodzi, Pierwszy Mistrzu? Czemu tak na mnie patrzysz?

Odepchnęła go z drogi z taką siłą, że aż zatoczył się do tyłu. Potem złapała za poły swych białych szat i zbiegła ze schodów. Płaszcz powiewał za nią. Wpadła do sali, zaskakując mistrzów i uczniów. Wołali ją niektórzy z nich za nią pobiegli. Strażnicy gapili się na nią bezradnie. Goldmoon nadal biegła przed siebie, ignorując ich wszystkich.

Mijała kryształowe kopuły, ogrody i fontanny, labirynt żywopłotów i srebrne schody, rycerzy i strażników, gości, uczniów i umarłych. Biegła w stronę portu. Ku gładkiemu morzu.

Tas i gnom rysowali mapę labiryntu żywopłotów. Tym razem ich wysiłki przyniosły sukces, który trzeba uważać za pierwszy w długiej, niesławnej historii gnomiej nauki.

- Jak myślisz, czy zbliżamy się do celu? - zapytał Tasslehoff. - Pytam, bo chyba już całkiem straciłem czucie w lewej stopie.

- Stój spokojnie! - rozkazał Zgadywanka. - Nie ruszaj się. Już niedługo. Niech szlag trafi ten wiatr - dodał z irytacją. - Mógłby wreszcie się uspokoić. Ciągle zwiewa mi mapę.

Tasslehoff starał się wykonać rozkaz gнома, choć pozostawanie w bezruchu było wyjątkowo trudne. Stał na ścieżce w samym środku labiryntu, chwiejąc się niepewnie na lewej nodze. Prawą trzymał wysoko uniesioną w bardzo niewygodnej pozycji. Jego stopę łączyła z gałęzią krzaka rosnącego u wejścia do labiryntu nitka z prawej skarpetki. Ta skurczyła się już wyraźnie. Jej kremowa nitka biegła w dal, niknąc za zakrętem.

Stworzony przez gнома plan zakładający wykorzystanie skarpetek okazał się znakomity, choć Zgadywanka użalał się w duchu nad faktem, że metoda, która pozwoli mu w końcu sporządzić mapę labiryntu żywopłotów, nie wymaga guzików, przekładni, kołowrotek, wałów i kół, które tak wielką radość sprawiają naukowemu umysłowi.

Myśl, że będzie musiał opisać cudowny mechanizm, który umożliwił mu spełnienie życiowego zadania, jako „dwie skarpetki, wełniane”, była dla gнома straszliwym ciosem. Całą noc zastanawiał się nad jakimś sposobem, który pozwoliłby mu wykorzystać moc pary. Dzięki temu zaprojektował rakiety śnieżne, które nie tylko umożliwiały poruszanie się z niezwykłą szybkością, lecz również ogrzewały nogi, lecz ani o krok nie zbliżył się do spełnienia swego życiowego zadania.

W końcu Zgadywanka został zmuszony do wprowadzenia w życie swego pierwotnego planu. Przyszło mu do głowy, że składając finalny raport, będzie mógł nieco upiększyć relację.

Zaczęli jeszcze przed świtem. Zgadywanka ustawił Tasa u wejścia do labiryntu, przywiązał nitkę skarpetki kendera do gałęzi i kazał mu ruszyć naprzód. Skarpetka pruła się pięknie, zostawiając za Tasem ślad kremowej barwy. Gdy tylko Tassehoff skręcił w niewłaściwą stronę i natrafił na ślepą uliczkę, zawracał, zwijając nitkę, i szedł dalej, aż do chwili, gdy natrafił na właściwą trasę, prowadzącą w głąb labiryntu.

Kiedy znaleźli właściwą alejkę, Zgadywanka padał na brzuch i zaznaczał ją na mapie. W ten sposób udało mu się posunąć dalej niż kiedykolwiek dotąd. Gnom żywił głębokie przekonanie, że do zmięzchu uda mu się sporządzić kompletną mapę całego labiryntu, pod warunkiem, że Tassehoffowi nie skończą się skarpetki.

Jeśli zaś chodzi o kendera, to wydawał się w pełni tak wesoły i uradowany, jak można się spodziewać po kimś, kto stanął u progu wspaniałego naukowego odkrycia. Gdy wsadzał rękę do kieszeni, zawsze wyczuwał tam ostre klejnoty i zimną, twardą powierzchnię urządzenia do podróżowania w czasie. Zrodziło się w nim podejrzenie, że artefakt celowo zatruwa mu życie, materializując się w miejscach i w kieszeniach, gdzie przed dziesięcioma minutami z pewnością go nie było. Gdziekolwiek wetknął ręce, zawsze dźgało go albo gniołło to piekielne urządzenie.

A gdy to robiło, Tassehoff czuł się tak, jakby dźgał go albo kłuł kościsty palec Fizbana, przypominający mu o obietnicy powrotu.

Rzecz jasna, kenderzy tradycyjnie uważali obietnice za równie wiążące jak jedwabna nić babiego lata - zdolna zatrzymać motyla, ale raczej nic większego. W normalnej sytuacji każdego, kto polegałby na obietnicy kendera, uważano by za zbikowanego, niezrównoważonego, nieudolnego i po prostu durnego. Wszystkie te określenia znakomicie pasowały do Fizbana. Tassehoff nie przejmowałby się tym, że złamał obietnicę, której nigdy nie zamierzał dotrzymać, o czym - jak przypuszczał - Fizban świetnie wiedział, gdyby nie to, co opowiedział mu Palin o jego, Tassehoffa, pogrzebie.

Wygłoszona wówczas mowa zdawała się sugerować, że Fizban liczył na to, iż Tassehoff dotrzyma obietnicy. Liczył na to dlatego, że Tas nie był zwykłym kenderem. Był kenderem dzielnym, odważnym i - cóż za straszliwe słowo - honorowym.

Tassehoff przyjrzał się honorowi z góry i z dołu. Przyjrzał mu się od środka i z boków. Nigdzie jednak nie natrafił na nic niejednoznacznego. Honorowe osoby dotrzymywały obietnic. Nawet straszliwych obietnic, które znaczyły, że dana osoba będzie musiała cofnąć się w czasie i dać się rozdeptać olbrzymowi, co z pewnością zabije ją na śmierć.

- Tak jest! Mam to! - zawołał radośnie gnom. - Możesz opuścić stopę. A teraz skacz przed siebie, za ten zakręt. \V prawo. Nie, w lewo. Nie, w prawo...

Tasslehoff skakał, czując, jak skarpetka pruje się na jego nodze. Minął zakręt i ujrzał przed sobą schody. Kręte schody, całe zrobione ze srebra. Srebrne kręte schody pośrodku labiryntu żywopłotów.

- Udało się nam! - wykrzyknął w ekstazie gnom.

- Naprawdę? - zapytał Tasslehoff, gapiąc się na schody. - A co nam się właściwie udało?

- Dotarliśmy do centrum labiryntu żywopłotów! Gnom podskakiwał jak szalony, chlustając inkaustem na cztery wiatry.

- Jakie one są piękne! - zawołał Tasslehoff i ruszył ku srebrnym schodom.

- Stój! Za szybko prujesz! - zawołał gnom. - Musimy jeszcze zrobić mapę wyjścia.

W tej właśnie chwili skarpetka spruła się do końca. Schody zaintrygowały kendera tak bardzo, że nawet tego nie zauważył. Wydawało się, że wyrastają znikąd. Nie miały żadnych podpór, lecz po prostu wisały w powietrzu, lśniące i płynne niczym rtęć. Kręciły się nieustannie wokół siebie, wiodąc wciąż w górę. Tas zatrzymał się pod nimi i uniósł głowę, aby spojrzeć na ich szczyt.

Spoglądał i spoglądał, ale widział jedynie błękitne niebo, które zdawało się ciągnąć bez końca, zupełnie jak piękny, pogodny letni dzień, który jest tak piękny i pogodny, że chce się, by trwał bez końca. Mimo to niebo zdawało się mówić, że noc musi w końcu nadejść, bo inaczej jutro nie będzie dnia. I że noc ma również swoje błogosławieństwa, swoje piękno.

Tasslehoff zaczął się wdrapywać na srebrne schody.

Podążający kilka kroków za kenderem Zgadywanka zrobił to samo.

- Dziwna konstrukcja - zauważył. - Nie ma podpór, rozpór, nitów ani tralek. Nie ma poręczy. To niebezpieczne. - Pokonawszy jakieś dwadzieścia stopni, gnom zatrzymał się i rozejrzał wokół. - Ojej, ale widok. Widzę port...

I nagle wydał z siebie krzyk tak przeraźliwy, że można by go wziąć za oznajmiający południe gwizdek, który w Górze Nieważne rozbrzmiewa zwykle gdzieś około trzeciej nad ranem.

- Mój statek!

Zgadywanka odrzucił mapy, rozlał inkaust. Zbiegł ze schodów, powiewając rzadkimi, rozwichrzonymi włosami. Przewrócił się o skarpetkę Tasslehoffa, połączoną nitką z wyjściem z labiryntu, podniósł się i pobiegł dalej z prędkością, której zapewne trudno byłoby dorównać producentom parowych, napędzanych tłokami rakiet śnieżnych.

- Stój, złodzieju! - ryczał gnom. - To mój statek! Tasslehoff spojrział w dół, aby zobaczyć, co to

za rwetes.

Zobaczył, że to gnom i przestał się przejmować sprawą. Gnomowie zawsze łatwo się ekscytowali.

Kender usiadł na schodach, wsparł mały, spiczasty podbródek na dłoni i zaczął rozmyślać o obietnicach.

Palin próbował dogonić Goldmoon, ale kurcz w nodze zmusił go do zatrzymania się. Mag sapnął ciężko, rozmasował bolącą nogę i potem, gdy już mógł iść, pokuśtykał schodami w dół. W sali panowało straszliwe zamieszanie. Goldmoon przemknęła przez nią jak szalona i wybiegła na zewnątrz, nim ktokolwiek zdążył ją zatrzymać. Mistrzowie i uzdrowiciele byli tak zaskoczeni, że dopiero poniewczasie przyszło im do głowy, że powinni ją ścigać. Uciekinierka zdążyła tymczasem zniknąć. Szukając jej, przewrócili całą Cytadelę do góry nogami.

Palin zachował dla siebie to, co usłyszał od Goldmoon. Wszyscy i tak już szeptali o niej nerwowo. Jej szalone słowa o umarłych karmiących się jego mocą przekonałyby ich tylko - tak jak przekonały jego - że Pierwszy Mistrz stracił rozum pod wpływem swej zdumiewającej transformacji. Wciąż widział grozę na twarzy kobiety, czuł potężny cios, po którym osunął się na ścianę. Zaproponował, że poszuka uciekinierki, ale lady Camilla odpowiedziała mu bez ogródek, że jej rycerze i strażnicy Cytadeli zajęli się już tym zadaniem i że potrafią sobie poradzić.

Nie wiedząc, co jeszcze mógłby zrobić, wrócił na swe pokoje, mówiąc lady Camilli, aby nie zapomniiała zawiadomić go o powrocie Pierwszego Mistrza.

- Tymczasem - powiedział do siebie z westchnieniem - najlepiej będzie, jeśli opuszczę Schallsea. Wszystko zepsułem. Tas nie chce się do mnie zbliżyć i nie mogę mieć o to do niego pretensji. A dla Goldmoon jestem tylko dodatkowym brzemieniem. Być może to ja wpędziłem ją w szaleństwo!

Gościnny apartament w Cytadeli okazał się dość obszerny. Ulokowano go na pierwszym piętrze. Składał się z niewielkiej sypialni, gabinetu oraz salonu. Jedną ze ścian gabinetu wykonano z kryształu. Wychodziła ona na zachód, dając wspaniały widok na niebo i morze. Mag czuł się bardzo zmęczony, lecz był zbyt podenerwowany i niespokojny, aby zasnąć. Poszedł do salonu, żeby popatrzeć na morze. Woda wyglądała jak zielone zwierciadło, w którym odbijało się niebo. Gdyby nie szarozielona linia horyzontu, Palin nie zdołałby stwierdzić, gdzie kończy się ocean, a zaczyna firmament. Ten widok wzbudził w nim dziwny niepokój.

Mag wyszedł z salonu. Wrócił do gabinetu i usiadł za biurkiem. Pomyślał, że napisze list do Jenny. Wziął w rękę pióro, lecz słowa kłębiły się w jego umyśle, wyprane z sensu. Potarł szczypiące oczy. Nie spał całą noc. Gdy tylko zaczynał zapadać w drzemkę, wydawało mu się, że słyszy wzywający go głos. Budził się wtedy nagle, aby się przekonać, że w sypialni nikogo nie ma.

Opuścił głowę, wspierając ją na ramionach. Zamknął oczy. Zalało go gładkie kryształowe morze. Jego wody były ciepłe i ciemne.

- Palinie! - rozległ się głuchy, szepczący głos. - Palinie! Zbudź się!

- Jeszcze chwileczkę, ojciec - odpowiedział Palin, któremu śniło się, że znowu jest dzieckiem. - Zejdę...

Stał nad nim Caramon. Miał masywne ciało i wielkie serce tak jak wtedy, gdy Palin widział go po raz ostatni, ale wydawał się ulotny i niematerialny, niczym dym dogasającego ogniska. Jego ojciec nie był sam. Otaczały go duchy, które wyciągały chciwie ręce w stronę maga.

- Ojciec! - krzyknął Palin. Uniósł gwałtownie głowę, wytrzeszczając oczy ze zdumienia. Nie mógł wydusić z siebie nic więcej. Gapił się z rozdziawionymi ustami na otaczające go fantasmagoryczne kształty, które sprawiały wrażenie, że próbują go pochwycić.

- Idźcie stąd! - zawołał Caramon budzącym grozę szeptem. Omiótł złowrogim spojrzeniem duchy, które cofnęły się, lecz nie uciekły daleko. Nie odrywały od Palina wygłodniałych oczu.

- Ojciec - powiedział Palin, czy raczej próbował powiedzieć, gdyż w gardle zaschło mu tak bardzo, że czuł, jak słowa rozdzierają mu ciało. - Ojciec, co...

- Szukałem ciebie! - mówił z desperacją w głosie Caramon. - Wysłuchaj mnie! Raistlina tu nie ma! Nie mogę go znaleźć! Coś jest nie w porządku...

W gabinecie pojawiły się kolejne duchy, które otoczyły Caramona ze wszystkich stron. Nie mogły się zatrzymać, pozostawać dłużej w jednym miejscu. Próbowaly unieść ze sobą ojca Palina, tak jak ogarnięty paniką tłum porywa swych członków ku zagładzie.

Wyteżając wszystkie siły, Caramon wyrwał się z szalonego nurtu i skoczył w stronę syna.

- Palinie! - krzyknął głosem, w którym nie było głosu. - Nie zabijaj Tasa! On...

Caramon nagle zniknął. Efemeryczne postacie tańczyły jeszcze przez chwilę, po czym rozpadły się na małe obłoczki, jakby ktoś rozproszył dym ręką. Potem obłoczki uniósł mrozący duszę chłodem wichur.

- Ojciec? Nic nie rozumiem! Ojciec!

Palina obudziło brzmienie własnego głosu. Mag usiadł rap - townie i wciągnął powietrze w płuca, jakby oblano go zimną wodą. Rozejrzał się wokół gorączkowo jak szaleniec.

- Ojciec!

Gabinet był pusty. Przez otwarte okno do środka wpadał blask słońca. Panował upał, a w powietrzu unosił się jakiś zaduch.

- To był sen - wyszeptał oszołomiony mag. Niemniej jednak wydawał się on bardzo realny. Gdy Palin przypomniał sobie umarłych, którzy tłoczyli się wokół niego, załała go groza. Włoski na ramionach i karku stanęły mu dęba. Miał wrażenie, że nadal czuje szarpiące go za ubranie dłonie

umarłych, wciąż słyszy ich błagalne szepty. Otarł twarz dłonią, jakby wszedł po ciemku na pajęczynę. Tak, jak mówiła Goldmoon...

- Nonsens - powiedział głośno do siebie, chcąc po wszystkich tych straszliwych szeptach usłyszeć żywy głos. - Podsunęła mi tę myśl, to wszystko. Nic dziwnego, że śnią mi się koszmary. Dziś wypiję przed snem eliksir nasenny.

Ktoś szarpnął za klamkę, próbując otworzyć drzwi, ale przekonał się, że są zamknięte na klucz. Serce podeszło Palinowi do gardła.

Potem rozległ się metaliczny zgrzyt - dźwięk otwieranego wytrychem zamka.

To nie były duchy. Tylko kender.

Palin wstał z westchnieniem i poszedł otworzyć drzwi.

- Dzień dobry, Tas - powiedział.

- Uch, cześć - odparł Tasslehoff. Zgięty wpół kender trzymał w ręku wytrych i wpatrywał się z uwagą w miejsce, gdzie przed chwilą był zamek. Potem wyprostował się i schował narzędzie do przedniej kieszeni.

- Pomyślałem sobie, że pewnie śpisz. Nie chciałem cię budzić. Masz może coś do jedzenia?

Kender wszedł do środka, czując się jak u siebie w domu.

- Posłuchaj, Tas - odezwał się Palin, starając się zachować cierpliwość. - To nie jest odpowiednia chwila. Jestem bardzo zmęczony. Nie spałem dobrze...

- Ja też nie - oznajmił Tas, wchodząc do salonu i sadowiając się na krześle. - Pewnie nie masz nic do jedzenia. Nie szkodzi. Właściwie nie jestem głodny.

Kender siedział bez słowa, wymachując nogami. Patrzył na niebo i morze. Milczał przez kilka dobrych minut.

Palin zdał sobie sprawę, że to bardzo niezwykle zjawisko. Przysunął sobie drugie krzesło i usiadł obok gościa.

- O co chodzi, Tas? - zapytał delikatnym tonem.

- Postanowiłem wrócić - odpowiedział kender. Nie spojrzał na maga, lecz nadał wpatrywał się w puste niebo. Złożyłem obietnicę. Nigdy przedtem się nad tym nie zastanawiałem, ale obietnica to nie jest coś, co składa się ustami. Składa się ją w sercu. Jeśli ktoś łamie obietnicę, w jego sercu pojawia się szczelina, aż wreszcie całe robi się popękane. Myślę, że już lepiej jest dać się rozdeptać olbrzymowi.

- Jesteś bardzo mądry, Tas - rzekł zawstydzony mag. - Znacznie mądrzejszy ode mnie.

Przerwał na chwilę. Znowu usłyszał głos ojca: „Nie zabijaj Tasa!”. Wizja była realna, znacznie bardziej realna niż jakikolwiek sen. Mag uczy się ufać swym instyktom, słuchać wewnętrznych głosów serca i duszy, te głosy przemawiają bowiem w języku magii. Palin zadał sobie pytanie, czy ów sen nie mógł być takim wewnętrznym głosem, ostrzegającym go, aby się nie śpieszył, nie podejmował żadnych drastycznych działań, dokładniej zbadał sprawę.

- Tas - rzekł z namysłem mag. - Zmieniłem zdanie. Nie chcę, żebyś wracał. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Kender poderwał się nagle.

- Co? Nie muszę ginąć? Czy to prawda? Mówisz szczerze?

- Powiedziałem tylko, że na razie nie musisz wracać - uściślił Palin. - Rzecz jasna, prędzej czy później będziesz musiał to zrobić.

Podkscytowany kender nie słuchał jego słów. Biegał po komnacie, sypiąc na wszystkie strony zawartością kieszeni.

- To cudownie! Czy możemy pożeglować łodzią, tak jak Goldmoon?

- Goldmoon odpłynęła łodzią? - zdumiał się Palin.

- Tak - potwierdził radośnie Tas. - Z gnomem. Tak mi się przynajmniej zdaje, że Zgadywanka ją dogonił. Płynął okrutnie szybko. Nie miałem pojęcia, że gnomowie potrafią tak dobrze pływać.

- Jest obłąkana - powiedział do siebie Palin. Ruszył ku drzwiom. - Trzeba zawiadomić strażników. Ktoś musi ją uratować.

- Och, popłynęli za nimi - poinformował go od niechcienia Tas. - Ale nie sądzę, żeby ich znaleźli. Rozumiesz, Zgadywanka opowiadał mi, że „Zniszczalny” potrafi zanurzać się pod wodę jak delfin. To łódź podmorsk... głębokomorsk... jak ją tam zwał. Łódź, która pływa pod wodą. Zgadywanka pokazał mi ją dziś w nocy. Wyglądała zupełnie jak wielka stalowa ryba. Hej, ciekawe, czy można ją stąd zobaczyć?

Tas podbiegł do okna i przycisnął nos do kryształu, wypatrując łodzi. Zdumiony, skonsternowany Palin zapomniał o niezwykłej wizji. Żył bardzo gorącą nadzieją, że była to jedynie kolejna opowieść Tasslehoffa i że Goldmoon nie odpłynęła nigdzie w gnomim ustrojstwie.

Chciał już zejść na dół, aby dowiedzieć się prawdy, gdy jednak ruszył ku drzwiom, poranną ciszę zmaćcił dźwięk trąby. Rozległo się też głośnie, natarczywe bicie w dzwony. W korytarzu słychać było głosy dopytujące się, co się dzieje. Inne im odpowiadały i brzmiała w nich panika.

- Co się stało? - zapytał Tas, nie przerywając wyglądania przez okno.

- Wzywają wszystkich do broni - wyjaśnił Palin. Ciekawe dlaczego...

- Może to ma coś wspólnego z tymi smokami - zasugerował Tas, wyciągając rękę i wskazując coś w powietrzu.

W stronę Cytadeli mknęły skrzydlate sylwetki, czarne na tle porannego nieba. Jedna z nich, lecąca pośrodku, była większa od pozostałych, tak wielka, że wydawało się, iż to słońce odbijające się w jej łuskach nadaje niebu zielonkawą barwę. Palin przyjrzał się jej uważnie, po czym skrył się przerażony w cieniu pośrodku komnaty, jakby czerwone ślepia smoczyca mogły go wypatrzeć nawet na tę odległość.

- To Beryl! - zawołał ze ściśniętym gardłem. - Beryl i jej sługi!

Tas wybałuszył ze zdumienia oczy.

- Myślałem, że to dlatego, iż dowiedziałem się, że nie muszę wracać, znowu poczułem w brzuchu te dziwne poruszenia. Ale to klątwa, prawda? - Popatrzył na Palina. - Po co tu przyleciała?

Celne pytanie. Rzecz jasna, Beryl mogła postanowić zaatakować Cytadelę po prostu dlatego, że miała taki kaprys, Palin jednak w to wątpił. Cytadela Światła leżała na terytorium Khellendrosa, niebieskiego smoka, który władał tą częścią świata. Beryl nie odważyłaby się wtargnąć na jego teren, chyba że miała bardzo ważny powód. Domyślał się, co to mógł być za powód.

- Chodzi jej o urządzenie - stwierdził Palin.

- Magiczne urządzenie? - zapytał Tasslehoff, wyciągając artefakt z kieszeni. - Brr! - Otarł dłonią twarz. Chyba macie tu pajaki. Ciągłe czuję pajęczynę. - Ścisnął mocno w dłoniach urządzenie. - Czy smoczyca potrafi je wywęszyć, Palinie? Skąd wie, że tu jesteśmy?

- Nie mam pojęcia - odparł z przygnębieniem Palin. Wyraźnie dostrzegał implikacje tej sytuacji. - To nieważne.

- Wyciągnął rękę. - Daj mi urządzenie.

- Co chcesz z nim zrobić? - zapytał Tas z wahaniem w głosie. Nadal nie do końca ufał magowi.

- Musimy stąd uciekać - wyjaśnił Palin. - Nie można pozwolić, żeby Beryl zdobyła urządzenie.

Czarodziej potrafił sobie wyobrazić, czego smoczyca mogłaby dokonać z jego pomocą. Magia tego artefaktu mogłaby ją uczynić niekwestionowaną władczynią całego Ansalonu. Beryl mogłaby cofnąć się w czasie do dowolnego punktu i zmienić bieg wydarzeń, tak by każda bitwa zakończyła się jej zwycięstwem. A nawet gdyby nie potrafiła tego dokonać, mogłaby wykorzystać urządzenie do przenoszenia swego opasłego cielecia - ska w dowolne miejsce na całym świecie. Nikt nie byłby przed nią bezpieczny.

- Daj mi urządzenie - powtórzył niecierpliwie Palin, wyciągając rękę. - Musimy stąd zwiewać. Szybko, Tas!

- Weźmiesz mnie ze sobą? - zapytał kender, nadal nie oddając mu urządzenia.

- Wezmę! - obiecał mag, niemal krzyżąc. Chciał dodać, że nie mają wiele czasu, ale czas był jedyną rzeczą, której im nie brakowało. - Tylko... daj mi urządzenie.

Tas wręczył mu artefakt.

- Dokąd się udamy? - zapytał z zainteresowaniem. Celne pytanie. W całym tym zamieszaniu Palin nie zdążył się zastanowić nad tą ważną kwestią.

- Do Solące - odparł. - Wrócimy do Solące. Zawiadomimy rycerzy. Solamnijscy rycerze z garnizonu mają srebrne smoki. Mogą przyjść z pomocą mieszkańcom Cytadeli.

Smoki znajdowały się teraz bliżej, znacznie bliżej. Blask słońca odbijał się w zielonych i czerwonych łuskach. Szerokie skrzydła szybujących nad wodą smoków rzucały cienie na oleistą powierzchnię. Zza drzwi dobiegało bicie w dzwony, nakazujące wszystkim poszukać schronienia, uciec do lasu albo między wzgórz. Zabrzmiały trąby, wzywające do broni. Słychać było tupot nóg, szcęk stali, głosy wykrzykujące zwięzłe rozkazy.

Trzymał urządzenie w rękach. Magia ogrzała go i uspokoiła niczym łyk dobrej brandy. Zamknął oczy i przywołał z pamięci słowa zaklęcia oraz kolejność manipulacji urządzeniem.

- Trzymaj się blisko mnie! - rozkazał Tasowi. Kender posłusznie złapał za rękawy szaty Palina. Mag zaczął recytować zaklęcie: - „Twój czas należy do ciebie...” Spróbował obrócić ozdobioną klejnotami powierzchnię wisiorka ku górze, lecz coś nie działało jak trzeba. Mechanizm się zaciął. Palin użył nieco większej siły i osiągnął pożądaną rezultat.

- „Choć podróżujesz przezeń...” Palin przesunął tarczę z prawej ku lewej. Poczuł, że coś zazgrzytało, lecz tarcza się przesunęła.

- „Przestwórz jego widzisz...” Teraz rewers powinien się otworzyć, formując dwie połączone prętami kule. Co jednak dziwne, tylna tarcza odpadła całkowicie i zleciała z brzękiem na podłogę.

- Ojej - powiedział Tas, spoglądając na sferyczny element, który toczył się po posadzce niczym oszalały bąk. Czy chciałeś, żeby to się wydarzyło?

- Nie! - wydyszał Palin. Trzymał w dłoniach pojedynczą kulę, z której końca sterczał osamotniony pręt. Mag spoglądał z przerażeniem na odłączoną część.

- Daj mi, ja to naprawię!

Tas podniósł element z podłogi.

- Dawaj to! - Palin wyrwał mu tarczę z rąk. Przyjrzał się jej bezradnie. Spróbował wsunąć w nią pręt, lecz nie było tam żadnego otworu. Przed jego oczyma uformowała się oślepiająca mgiełka strachu i frustracji.

Powtórzył ten sam wiersz, nerwowym, pełnym paniki głosem: - „Przestwórz jego widzisz...” Potrząsnął kulą i prętem, a także tarczą.

- Działaj! - rozkazał w gniewie i desperacji. - Działaj, do cholery!

Łańcuch wypadł z urzędnika, wysuwając się z palców próbującego go złapać Palina. Leżał na podłodze niczym błyszczący, srebrny wąż. Pręt oddzielił się od kuli. Klejnoty zamigotały w świetle słońca. A potem w komnacie zrobiło się ciemno, blask klejnotów zniknął. Skrzydła smoków przesłoniły słońce.

Palin Majere stał w komnacie Cytadeli Światła, trzymając w okaleczonych dłoniach resztki urzędnika do podróżowania w czasie.

Goldmoon powiedziała mu: „Umarli karmią się twoją mocą!”.

Zobaczył ojca, ujrzał płynącą wokół niego rzekę umarłych. To był sen. Nie, nie sen. To rzeczywistość była snem. To właśnie próbowała mu przekazać Goldmoon.

- To dlatego magia słabnie! To dlatego moje zaklęcia nie działają jak trzeba! Umarli wysysają ze mnie magiczną moc. Otaczają mnie ze wszystkich stron. Dotykają mnie ich dłonie, ich usta...

Czuł ich. Ich dotyk był jak muskająca skórę pajęczyna. Albo skrzydełka owadów, takie, jakie czuł w domu Laurany. Tak wiele stało się nagle jasne. Utrata magii. To nie on stracił moc. To umarli ją z niego wyskali.

- No cóż - odezwał się Tas. - Przynajmniej smoczyca nie dostanie artefaktu.

- To prawda - zgodził się cicho Palin. - Za to dostanie nas.

Choć nie widział umarłych, czuł, że są wszędzie wokół i karmią się jego mocą.

Egzekucja

Obok łóżka Silvana stała odmierzająca upływ czasu świeca. Młodzieniec leżał na brzuchu, patrząc jak godziny mijają wraz z topniejącym woskiem. Wyznaczające je kreski znikwały jedna po drugiej, aż wreszcie została tylko ostatnia. Świeca miała się palić dwanaście godzin. Silvan zapalił ją o północy i płomień pożarł już jedenaście godzin. Zbliżało się południe, pora egzekucji Miny.

Zdmuchnął świecę. Wstał i przywdział najpiękniejsze szaty, które zamierzał włożyć na triumfalny powrót do Silvanostu. Kubrak z miękkiej, perłowoszarej tkaniny wyszyto nicią z ciągniętego srebra. Spodnie i buty były szare, a u nadgarstków i szyi strój ozdobiły białe koronki.

- Wasza Królewska Mość? - dobiegł z zewnątrz namiotu jakiś głos. - Mówi Kiryn. Czy mogę wejść?

- Jeśli chcesz - odparł krótko Silvan. - Ale nikt oprócz ciebie.

- Byłem tu wcześniej - oznajmił Kiryn, uchylając poły namiotu - ale mi nie odpowiedziałeś. Na pewno spałeś.

- Nie zamknąłem oczu nawet na chwilę - zaprzeczył zimno Silvan, poprawiając kołnierz.

Kiryn milczał przez chwilę, wyraźnie skrepowany.

- Jadłeś śniadanie? - zapytał wreszcie.

Silvan obrzucił go spojrzeniem, które każdy inny przyjąłby jak cios. Nie raczył odpowiedzieć.

- Wiem, co czujesz, kuzynie - mówił Kiryn. - Ten czyn, który planują popełnić, jest monstrualny. Po prostu monstrualny. Próbowałem przekonać wuja i pozostałych, aż gardło mnie rozboleło, ale nie zważają na moje słowa. Glaucous podsycia ich strach. Obżerają się grozą.

- A ty nie uczestniczysz w tej uczcie? - zapytał Silvan, odwracając się ku niemu.

- Nie, kuzynie! Oczywiście, że nie! - zawołał zdumiony Kiryn. - Naprawdę sądziłeś, że byłbym do tego zdolny? To morderstwo. Zwyczajne morderstwo. Nazywają to „egzekucją”, próbują upiększyć swój czyn, nadać mu pozory prawomocności, ale nie zdołają zamaskować paskudnej prawdy. Nie dbam o to, czy ta ludzka kobieta jest najgorszą, najbardziej odrażającą i niebezpieczną osobą, jaka kiedykolwiek żyła. Jej krew na zawsze skala ziemię, na którą spadnie, i ta skaza będzie się wśród nas szerzyć na sposób zarazy.

Kiryn ściszył głos. Wyjrzał ostrożnie na zewnątrz.

- Kuzynie, Glaucous już w tej chwili mówi, że wśród naszego ludu są zdrajcy, wspomina, że niektórym elfom należy wymierzyć taką samą karę. Mój wuj i głowy rodów byli przerażeni i bez namysłu odrzucili ten pomysł, ale obawiam się, że wkrótce przestaną się obżerać strachem i zaczną się pożerać nawzajem.

- Glaucous - powtórzył cicho Silvan. Mógłby powiedzieć coś więcej, ale pamiętał o obietnicy, którą złożył Minie.

- Podaj mi napierśnik, dobrze, kuzynie? I miecz. Pomożesz mi z nimi, zgoda?

- Mogę zawołać służących - zaproponował Kiryn.

- Nie. Nie chcę ich widzieć. - Silvan zacisnął pięść. - Gdyby któryś z nich powiedział o niej coś obraźliwego, mógłbym... zrobić coś, czego bym potem żałował.

Kiryn pomógł mu dopiąć skórzane sprzączki.

- Słyszałem, że jest bardzo piękna. Jak na ludzką kobietę - zauważył.

Silvan przeszył kuzyna ostrym, podejrzliwym spojrzeniem. Kiryn nie podniósł wzroku, zajęty pracą. Mruczał coś pod no - sem, udając, że szarpie się z opornym paskiem. Silvan uspokoił się.

- To najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem, Kirynie! Jest taka krucha i delikatna. I jej oczy! Nigdy nie widziałem takich oczu!

- Niemniej jednak jest Rycerzem Neraki, kuzynie - skarcił go delikatnie Kiryn. - Jedną z tych, którzy poprzysięgli nas zniszczyć.

- To pomyłka! - krzyknął Silvan, przechodząc w mgnieniu oka z lodu do ognia. - Jestem tego pewien! Rycerze rzucili na nią zaklęcie albo... albo trzymają jej rodzinę jako zakładników albo... może być mnóstwo powodów! Przybyła tu po to, żeby nas uratować.

- I przyprowadziła ze sobą oddział uzbrojonych żołnierzy - zauważył z przekąsem Kiryn.

- Przekonasz się, kuzynie - zapowiedział Silvan. - Przekonasz się, że mam rację. Udowodnię ci to. - Odwrócił się w stronę Kiryna. - Czy wiesz, co zrobiłem? Nocą poszedłem ją uwolnić! Naprawdę! Wyciąłem dziurę w jej namiocie. Byłem gotowy zdjąć z niej łańcuchy. Ale ona nie chciała uciekać.

- Co takiego? - wydyszał przerażony Kiryn. - Kuzynie...

- Mniejsza z tym - przerwał mu Silvan, odwracając się. Ogień zgasł, ponownie ustępując miejsca lodowi. - Nie chcę o tym rozmawiać. Nie powinienem był ci o tym mówić. Nie jesteś lepszy od pozostałych. Idź już! Zostaw mnie samego.

Kiryn doszedł do wniosku, że najlepiej będzie posłuchać króla. Ujął w rękę połę namiotu i zaczął wychodzić, lecz nagle Silvan złapał go mocno za ramię.

- Czy teraz pobiegiesz do Konnala i powtórzysz mu wszystko, co ci powiedziałem? Bo jeśli tak...

- Nie zrobię tego, kuzynie - zapewnił cicho Kiryn. Zachowam w tajemnicy wszystko, co od ciebie usłyszałem. Nie musisz mi grozić.

Silvan zawstydział się. Wymamrotał coś pod nosem, puścił rękaw Kiryna i odwrócił się do niego plecami.

Zmartwiony, zasmucony i pełen obaw zarówno o swego kuzyna, jak i o swój lud, Kiryn stał przed wejściem do namiotu, zastanawiając się, co teraz zrobić. Nie ufał tej ludzkiej dziewczynie. Nie wiedział wiele o Rycerzach Neraki, nie wątpił jednak, że nie awansowaliby do stopnia dowódcy kogoś, kto służył im niechętnie lub pod przymusem. A choć żaden elf nigdy nie mówił nic dobrego o ludziach, elfi żołnierze z niechęcią przyznawali, że nieprzyjaciel wykazał się wielką walecznością i dyscypliną. Nawet generał Konnal, który gardził wszystkimi ludźmi, potwierdził, że ci żołnierze walczyli dobrze i choć zostali zmuszeni do odwrotu, zachowali zwarty szyk. Przeszli za dziewczyną przez tarczę, wkraczając do dobrze bronionego królestwa, mimo że z pewnością wiedzieli, że znajdują w nim śmierć. Nie, oni nie służyli niechętnemu, zdradzieckiemu dowódcy.

To nie na dziewczynę rzucono zaklęcie. To ona zaczarowała Silvana, który najwyraźniej się w niej zakochał. Był w wieku, w którym w elfich mężczyznach zaczyna się budzić namiętność, są oni wtedy zakochani w samej idei miłości. W którym uwielbienie dla drugiej osoby może działać jak alkohol. Kocham kochać moją ukochaną - tak brzmiała pierwsza linijka popularnej elfiej piosenki. Wielka szkoda, że tych dwoje się spotkało, że los dosłownie rzucił ludzką dziewczynę o egzotycznej urodzie w ramiona młodego króla.

Silvan coś knuł. Kiryn nie miał pojęcia, co to takiego, lecz jego serce wypełniła rozpacz. Lubił kuzyna. Uważał, że Silvanoshei ma zadatki na dobrego króla. To szaleństwo z pewnością jednak go zgubi. Fakt, że próbował uwolnić dziewczynę, ich śmiertelnego wroga, wystarczyłoby, aby uznano go za zdrajcę, gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział. Głowy rodów nigdy by mu tego nie wybaczyły. Uznano by go za „czarnego elfa” i skazano na wygnanie, tak jak jego rodziców. Generał Konnal potrzebował tylko pretekstu.

Kiryn ani przez chwilę nie rozważał możliwości złamania przysięgi, którą złożył królowi. Nikomu nie powie o tym, co usłyszał od Silvana. Wolałby jednak, żeby król o tym nie wspomniał. Zastanawiał się z przygnębieniem, co też planuje jego kuzyn, zadawał sobie pytanie, w jaki sposób może powstrzymać Silvanosheia przed jakimś głupim, lekkomyślnym, impulsywnym postępkim, który przywiódłby go do zguby. Jedyne, co mógł uczynić, to trzymać się blisko kuzyna i w razie potrzeby go powstrzymać.

Słońce zawisło pionowo nad ich głowami. Jego oko spoglądało w dół przez szarawą zasłonę tarczy, jakby czuło się poirytowane, że bariera zasłania mu widok. Załzawione oko spoglądało na zakrwawione pole, na którym wkrótce znowu miano rozlać krew. Jego jasne spojrzenie padało na siewców śmierci, którzy zamiast nasion rzucali w ziemię ciała. Thon-Thalas był wczoraj czerwony od krwi. Nikt nie mógłby pić jego wody.

Elfowie znaleźli w lesie zwalone drzewo, z którego można było zrobić pal. Rzeźbiarze drzew ukształtowali pień, czyniąc go gładkim, mocnym i prostym. Potem wbito pal głęboko w ziemię, żeby się nie przewrócił.

Na pole wyszedł generał Konnal w towarzystwie Glaucosa. Włożył zbroję, a u boku miał miecz. Jego twarz zastygła w surowym grymasie. Za to oblicze Glaucosa wypełniała triumfalna radość. Oficerowie ustawili elfią armię w równe szeregi i kazali żołnierzom stanąć na baczność. Linie zbrojnych otaczały pole, tworząc barierę chroniącą przed ludźmi, którym mogła przyjść do głowy próba odbicia ich dowódcy. Zebrały się też głowy rodów. Ranni, którzy zdołali zwlec się z łózek, również ustawili się w rzędach.

Kiryn zajął pozycję obok wuja. Młodzieniec wyglądał tak źle, że Konnal poradził mu cicho, aby wracał do namiotu. Kiryn jednak potrzęsął głową i został na miejscu.

Do plutonu egzekucyjnego wybrano siedmiu łuczników, którzy ustawili się w szeregu jakieś dwadzieścia kroków od pala. Nałożyli strzały na cięciwy i unieśli łuki.

Zabrzmiała trąba, oznajmiająca przybycie Jego Królewskiej Mości, Mówcy Gwiazd.

Silvanoshei przyszedł sam, bez eskorty. Twarz miał niezwykle bladą, tak bladą, że głowy rozszeptwały do siebie, iż Jego Królewska Mość odniósł w bitwie poważną ranę i stracił mnóstwo krwi.

Silvan zatrzymał się na granicy pola. Spojrzał na rozmieszczone wokół wojska, popatrzył na pal, zerknął na głowy rodów, a na koniec skierował wzrok na Konnała i Glaucosa. Przeznaczone dla króla krzesło ustawiono z boku, w bezpiecznej odległości od drogi, którą skazana miała podążać na egzekucję. Silvan spojrzął tylko na krzesło, minął je i zajął miejsce obok generała Konnała, między nim a Glauousem.

Konnal nie był z tego zadowolony.

- Przygotowaliśmy krzesło dla Waszej Królewskiej Mości. W bezpiecznym miejscu.

- Będę stał u twego boku, generale - odparł Silvan, spoglądając mu prosto w oczy. - Nie potrafię sobie wyobrazić bezpieczniejszego miejsca. Czyż nie mam racji?

Generał zaczerwienił się, wyraźnie zmieszany. Zerknął z ukosa na Glaucosa, który wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Nie trać czasu na spory. Co to ma za znaczenie?”.

- Przeprowadźcie skazaną! - rozkazał Konnal. Silvan zeszywniał, trzymając dłoń na rękojeści miecza. Jego twarz nic nie wyrażała, nie zdradzając, co myśli ani co czuje.

Skazaną eskortowało sześciu elfich strażników. Ich nagie miecze lśniły w blasku słońca. Wszyscy byli wysocy i mieli na sobie zbroje płytowe. Dziewczynę ubrano w białe, niczym nie ozdobione giezło, które wyglądało jak dziecięca nocna koszula. Ręce i nogi skazanej skuto kajdanami. Wydawała się mała i bezbronna, krucha i delikatna niczym dziecko otoczone przez dorosłych. Okrutnych dorosłych.

Wśród niektórych głów rodów poniósł się szept, szept litości i trwogi, szept zwątpienia. To miał być ten straszliwy dowódca! To dziewczątka! To dziecko! Na ten dźwięk odpowiedział jednak groźny pomruk żołnierzy. Jest człowiekiem. Jest naszym wrogiem.

Konnal odwrócił głowę i ugasił trwogę oraz gniew jednym złowrogim spojrzeniem.

- Przeprowadźcie do mnie skazaną - rozkazał. - Niech pozna zarzuty, za które czeka ją śmierć.

Eskortowana przez strażników dziewczyna szła powoli, gdyż kostki miała skute, lecz mimo to zachowywała królewską postawę. Plecy miała wyprostowane, głowę uniesioną, a usta rozciągnięte w dziwnym, spokojnym uśmiechu. Za to pilnujący jej żołnierze czuli się wyraźnie nieswojo. Ona lekko stąpała po ziemi, jakby prawie wcale jej nie dotykała, natomiast oni wlekli się po stratowanym polu bitwy, jakby wspinali się pod stromą górę. Gdy wreszcie przyprowadzili uwięzioną do generała, byli zdyszani i zmęczeni. Co chwila spoglądali nerwowo na skazaną, która nie patrzyła na nich w ogóle.

Mina nie patrzyła również na Silvanosheia, który wpatrywał się w nią całym sercem i całą duszą, pragnąc, aby dała mu znak, gotów stanąć do walki z całą elfią armią, jeśli tylko dziewczyna wyda mu taki rozkaz. Mina skierowała bursztynowe oczy na Konnała. Choć generał przez chwilę

opierał się jej spojrzeniu, okazał się bezradny i dołączył do innych uwięzionych w złotej żywicy owadów.

Konnal zaczął wygłaszać mowę, tłumacząc, dlaczego koniecznie trzeba złamać elfie zwyczaję i odebrać tej osobie najcenniejszy dar, jaki otrzymała - życie. Był dobrym mówcą i wysunął wiele przekonujących argumentów. Mowa mogłaby wywrzeć lepsze wrażenie, gdyby wygłosił ją wcześniej, nim elfowie mieli okazję zobaczyć skazaną. Teraz jednak Konnal wydawał się brutalnym ojcem, który wymierza przesadnie okrutną karę bezbronnemu dziecku. Konnal zdał sobie sprawę, że traci słuchaczy. Wielu zgromadzonych kręciło się niespokojnie, ponownie rozważając werdykt. Generał postanowił zakończyć raptownie przemówienie.

- Skazana, podaj swe imię! - warknął w mowie powszechniej. Jego nienaturalnie donośny głos odbił się echem od stoków gór.

- Jestem Mina - odpowiedziała dziewczyna głosem chłodnym jak wody skalanego krwią Thon-Thalasu i podobnie jak one niosącym posmak żelaza.

- Nazwisko? - zapytał. - Trzeba je zapisać.

- Używam tylko imienia Mina - odparła.

- Mino - oświadczył pełnym surowości tonem generał Konnal. - Wkroczyłaś zbrojnie do naszego kraju, mimo że niczym cię nie sprowokowaliśmy, gdyż jesteśmy miłującym pokój ludem. Ponieważ nasze narody nie wypowiedziały sobie oficjalnie wojny, był to akt czystego bandytyzmu i uważamy cię za wyjętą spod prawa morderczynię. W związku z tym skazujemy cię na śmierć. Czy masz coś do powiedzenia w sprawie tych zarzutów?

- Mam - rzekła z powagą Mina. - Nie przybyłam tu po to, aby toczyć wojnę z ludem Silvanesti. Przybyłam go uratować.

Konnal roześmiał się z gniewem i goryczą.

- Wiemy, jak wygląda „ratunek” w rozumieniu Rycerzy Neraki. To nic innego jak podbój i zniewolenie.

- Przybyłam was uratować - powtórzyła Mina cichym, spokojnym głosem - i zrobię to.

- Ona z ciebie drwi, generale - wyszeptał nerwowo Glaucous do ucha Konnala. - Kończ z tym!

Konnal nie przejął się słowami doradcy. Wzruszył tylko ramionami i odsunął się od niego o krok.

- Mam jeszcze jedno pytanie, skazana - kontynuował pompatycznym tonem. - Odpowiedź nie uratuje cię przed śmiercią, ale jeśli okażesz się chętna do współpracy, strzały mogą być nieco celniejsze i pomkną nieco szybciej. Jak udało się wam przedostać przez tarczę?

- Z chęcią ci to wyjaśnię - odparła natychmiast Mina. - Bóg, któremu służę, Jedyne Prawdziwy

Bóg świata i wszystkich zamieszkujących go ludów, sięgnął ręką z niebios i uniósł tarczę, abym mogła wejść do waszego kraju razem z tymi, którzy mi towarzyszą.

Od elfa do elfa przemknął szept przypominający lodowaty wiatr pojawiający się z nienacką w letni dzień. Wszyscy powtarzali sobie jej słowa, choć nie było to konieczne. Każdy słyszał ją wyraźnie.

- Mówisz nieprawdę, skazana! - zawołał Konnal głuchym, pełnym wściekłości głosem. - Bogowie odeszli i nigdy już nie wrócą.

- Ostrzegałem cię - wtrącił z westchnieniem Glaucous. Mag spoglądał z niepokojem na Minę. - Każ ją stracić! Na tychmiast!

- To nie ja tutaj mówię nieprawdę - oznajmiła Mina. - To nie ja dzisiaj umrę. To nie na mnie będzie wykonany wyrok. Wysłuchajcie słów Jedynego Prawdziwego Boga.

Odwróciła się i spojrzała prosto na Glaucosa.

- Kierowany chciwością i ambicją wszedłeś w znowę z moimi wrogami, aby ograbić mnie z tego, co prawnie należy do mnie. Karą za niewierność jest śmierć.

Mina wzniosła dłonie ku niebu. Choć nie było na nim nawet chmurki, skuwające jej ręce okowy pękły nagle jak uderzone piorunem i spadły z brzękiem na ziemię. Łańcuchy roztopiły się i zniknęły. Uwolniona od nich Mina wskazała palcem na pierś Glaucosa.

- Twój czar utracił moc! Iluzja się rozproszyła! Nie zdołasz już dłużej ukrywać swego ciała na czarodziejskiej płaszczyźnie, podczas gdy twoja dusza chodzi po ziemi w innej postaci. Niech elfowie cię ujrzą, Cyanie Bloodbane. Niech ujrzą swojego „zbawcę”.

Na piersi elfa znanego jako Glaucous rozblęsnęło światło. Mag krzyknął z bólu i złapał za czarodziejski amulet, lecz srebrny łańcuch, na którym był on zawieszony, pękł, a wraz z nim uległo zniszczeniu rzucone przez amulet zaklęcie.

Elfowie ujrzeli przed sobą zdumiewający widok. Postać Glaucosa zaczęła nagle rosnąć. W jedno uderzenie serca jego elfie ciało stało się ogromne i ohydnie zniekształcone. Elfowi wyrosły zielone skrzydła. Wykrzywione w grymasie nienawiści usta przesłoniła zielona łuska, która pokryła również wydłużający się szybko nos. Z coraz dłuższych szczęk wyrosły kły, które zahamowały strumień szpetnych przekleństw płynących z ust Glaucosa, zamieniając słowa w toksyczne opary. Ręce maga zamieniły się w zakończone ostrymi szponami łapy, a jego nogi stały się tylnymi łapami. Były silne i muskularne. Długi ogon wygiął się, gotowy uderzyć ze śmiercionośną siłą bicia albo atakującego węża.

- Cyan! - krzyczeli przerażeni elfowie. - Cyan! Cyan!

Nikt się nie poruszył. Nikt nie mógł się poruszyć. Smoczy strach sparaliżował ich kończyny, zmroził dłonie i serca, pochwycił ich i zaczął nimi potrząsać, tak jak wilk potrząsa królikiem, aby złamać mu kręgosłup.

Niemniej jednak Cyan Bloodbane nie był jeszcze w pełni obecny. Jego dusza i ciało nadal łączyły się ze sobą. Dopóki trwała transformacja, był narażony na atak i wiedział o tym. Potrzebował kilku sekund, aby stać się całością i, chcąc je uzyskać, posłużył się smoczym strachem, który sparaliżował elfów. Niektórzy z nich wpadli w szal, porażeni lękiem i rozpaczą. Generał Konnal, oszołomiony widokiem zagłady, którą sam ściągnął na swój lud, wyglądał jak porażony piorunem. Spróbował wyciągnąć miecz, lecz prawa dłoń nie chciała go słuchać.

Cyan zignorował generała. Z tym nędznikiem policzy się później. Skoncentrował swą furję na jedynej prawdziwej groźbie. Na istocie, która go zdemaskowała. Istocie, której w jakiś sposób udało się złamać potężny czar amuletu, pozwalający duszy i ciału istnieć oddzielnie. Smok otrzymał go w podarunku od swego dawnego pana, osławionego czarodzieja Raistlina Majere.

Mina drżała, porażona smoczym strachem. Nawet jej wiara nie stanowiła przed nim wystarczającej ochrony. Dziewczyna stała u pala zupełnie bezbronna, bezsilna. Z paszczy Cyana buchnęły trujące opary, które jednak były jeszcze słabe, podobnie jak ogromne szczęki smoka. Śmiercionośny gaz miał unieruchomić maleńką śmiertelniczkę, gdy zaś po chwili szczęki staną się wystarczająco silne, wyrwą serce z piersi Miny i odgryzą jej głowę.

Silyana również poraził smoczy strach - strach i zdumienie, groza i przerażająca świadomość: oto Cyan Bloodbane, smok, który był przekleństwem jego dziadka, stał się teraz przekleństwem wnuka. Młodzieniec zadrżał na myśl, co mógłby uczynić na żądanie Glaucosa, gdyby Mina nie otworzyła jego oczu na prawdę.

Mina! Odwrócił się w jej stronę i zobaczył, że zachwiała się na nogach, chwyciła za gardło i padła bez czucia na ziemię przed smokiem, który szeroko otworzył zaślinioną paszczę.

Żyły Silvana wypełniła obawa o Minę, silniejsza i potężniejsza od smoczego strachu. Elf wyciągnął miecz i stanął przed dziewczyną, własnym ciałem osłaniając ją przed atakującym potworem.

Cyan nie chciał, aby ten Caladon zginął tak szybko. Cieszył się z góry na myśl, że będzie go dręczył długie lata, tak jak dręczył jego dziadka. Cóż za rozczarowanie. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Tchnął na elfa trującym gazem.

Silvan rozkastał się i zakrztusił. Opary przyprawiły go o mdłości. Czuł, że w nich tonie. Słabnąc, zdołał jeszcze ciąć szaleńczo mieczem w ohydny łeb.

Klinga wbiła się w miękkie ciało tuż poniżej szczęki. Rana nie była zbyt poważna, lecz smok poczuł ból. Cyan uniósł głowę, wyrrywając wbity w szczękę miecz z bezwładnej dłoni Silvana. Potem smok potrząsnął łbem, siejąc na wszystkie strony kropelkami krwi. Miecz również poszybował gdzieś na bok.

Smok zjednoczył się już. Był potężny. Był wściekły. W jego brzuchu buzowała nienawiść do elfów. Zamierzał wypuścić na nich swą truciznę i patrzeć, jak dławią się, ginąc w męczarniach. Rozpostarł skrzydła i zerwał się do lotu.

- Patrzcie na mnie! - ryknął. - Patrzcie na mnie, Silvanesti! Patrzcie na moją moc i potęgę!
Patrzcie na swą zagładę!

Generał Konnal nagle zrozumiał, na jak szeroką skalę było zakrojone oszustwo Glaucousa. Dał się wykorzystać smokowi. Stał się pionkiem Cyana Bloodbane, tak samo jak elf, którym gardził, Lorac Caladon. W ostatnich chwilach swego życia Konnal pojął prawdę. Tarcza nie osłaniała elfów, lecz zabijała ich. Wypełniła go groza na myśl o straszliwym losie, który mimo woli zgotował swemu ludowi. Generał uniósł wzrok i uj - rżał zielonego smoka, który stał się jego zgubą. Otworzył usta, chcąc wydać rozkaz ataku, lecz w tej samej chwili serce, pełne gniewu i poczucia winy, pękło mu w piersi. Zwalił się na twarz.

Kiryn podbiegł do wuja, ale Konnal już nie żył.

Smok wzbił się wyżej. Zataczał kręgi, poruszając potężnymi skrzydłami i pozwalając, aby smoczy strach opadł na elfów niczym gęsta, oślepiająca mgła.

Silvan, który widział coraz słabiej, osunął się na ziemię obok Miny. Nawet konając, wciąż próbował osłonić ją własnym ciałem.

- Mino - wyszeptał ostatnie słowa, jakie miał w życiu wypowiedzieć - kocham cię.

Zemdlał. Zamknęła się nad nim ciemność.

Mina usłyszała jego słowa. Otworzyła bursztynowe oczy i zobaczyła, że Silvan leży obok niej. Oczy miał zamknięte, nie oddychał. Rozejrzała się wokół i zobaczyła krążącego nad polem bitwy smoka, szykującego się do ataku. Elfowie byli bezradni. Sparaliżował ich smoczy strach, który wił się we wnętrzościach i ścisnął serca, aż wreszcie nie mogli oddychać, ruszać się ani myśleć o czymkolwiek poza nadchodzącym bólem i grozą. Elfi łucznicy spoglądali na krążącą w górze śmierć. Ich strzały były nałożone na cięciwy i gotowe do wypuszczenia, lecz ich dłonie drżały i ledwie mogli utrzymać w nich broń.

Generał leżał martwy na ziemi.

Mina nachyliła się nad Silvanosheiem i pocałowała go.

- Nie możesz umrzeć! - wyszeptała. - Potrzebuję cię! Zaczął oddychać, ale się nie poruszył.

- Łucznicy, Silvanosheiu! - krzyknęła. - Powiedz im, żeby strzelali! Jesteś ich królem! Ciebie posłuchają.

Potrząsnęła nim.

- Silvanosheiu!

Elf poruszył się z głośnym jękiem. Uchylił powieki, lecz Minie zaczynało już brakować czasu. Zerwała się nagle.

- Łucznicy! - krzyknęła w bezbłędnym języku silvanesti. - Sagasto! Strzelajcie! Strzelajcie!

To wezwanie przebiło się przez zasłonę smoczego strachu spowijającą jednego z łuczników. Elf nie wiedział, od kogo pochodziło. Usłyszał tylko to jedno słowo, które wbiło się w jego mózg z siłą żelaznego gwoźdź. Uniósł łuk i wycelował w smoka.

- Sagasto! - krzyczała Mina. - Zabijcie go! On was zdradził!

Drugi łucznik usłyszał te słowa i wykonał rozkaz, a po nim zrobił to trzeci i czwarty. Wszyscy wypuścili strzały i w tej samej chwili uwolnili się od smoczego strachu. Teraz widzieli w Cynie tylko wroga, który był śmiertelny. Szybko sięgnęli po strzały. Pierwsze z nich, wystrzelone drżącymi jeszcze dłońmi, nie okazały się zbyt celne, lecz cel był tak ogromny, że nawet najgorzej wymierzony strzał musiał w coś trafić. Dwie strzały zrobiły dziury w smoczych skrzydłach. Jedna trafiła w uderzający niczym bicz ogon. Jedna odbiła się od zielonych łusek na piersi i spadła na ziemię.

Gdy już elfowie uwolnili się od smoczego strachu, nie mogli mu ulec po raz drugi. Łucznicy celowali teraz w podatne na atak części smoczego ciała: w miękką, nieosłoniętą łuskami skórę między przednimi nogami, blisko serca. W stawy łączące skrzydła z tułowiem. W oczy.

Inni elfowie również unosili już głowy. Najpierw dziesiątki, a potem setki otrząsnęły się ze smoczego strachu, złapały za łuki i strzały, za włócznie i lance, i przyłączyły się do bitwy. Wrzaski przerażenia ustąpiły miejsca krzykom uniesienia. Wreszcie mogli stanąć do walki z wrogiem, który przyniósł ich ojczyźnie i ich ludowi rozpacz, zagładę oraz śmierć. Niebo było ciemne od strzał i lejącej się na ziemię smoczjej krwi.

Oszalały z bólu Cyan Bloodbane popełnił błąd. Nie wycofał się z walki. Nawet w tej chwili, choć został poważnie ranny, mógł jeszcze odlecieć do jednego ze swych licznych legowisk, aby tam wylizać się z ran. Nie potrafił jednak uwierzyć, że maleńcy elfowie, którzy tak długo byli poddani jego wo - li, mogą odebrać mu życie. Wystarczy jedno wielkie tchnienie trucizny, żeby się z nimi policzyć. Jeden oddech załatwi sprawę.

Cyan wciągnął i wypuścił powietrze, ale zamiast śmiertelnej chmury dał z siebie zwykłe westchnienie. Trujący gaz okazał się zaledwie mgiełką, która szybko rozproszyła się na porannym wietrzyku. Następny oddech przerodził się w rżenie. Smok czuł, że strzały wbijają mu się w trzewia. Wyczuwał ich groty niebezpiecznie blisko serca. Czuł, że dziurawią mu płuca. Spróbował uciekać, lecz było już na to za późno. Nie miał szans umknąć przed swymi prześladowcami. Podarte, podziurawione skrzydła nie mogły utrzymać go w powietrzu, nie zdołał zachować wysokości.

Przetoczył się na grzbiet. Spadał i nie był w stanie powstrzymać tego upadku. Gdy runął na ziemię, zdał sobie w ostatnim momencie gorzkiej rozpaczki sprawę, że, miotając się w konwulsjach, odleciał znad pola bitwy, gdzie jego ciało przynajmniej zmiażdżyłoby pod sobą wielu elfów. Znajdował się nad lasem, nad drzewami.

Cyan Bloodbane wydał z siebie ostatni, wyzywający ryk wściekłości i runął na drzewa Silvanesti, które udręczył i wypaczył podczas snu. Drzewa czekały już na niego. Osiki i dęby, cyprysy i sosny, stały prosto jak odważni pikinierzy. Nie złamały się pod ciężarem swego wroga,

lecz wytrzymały uderzenie. Przebiły łuski Cyana Bloodbane, wbiły się w jego ciało, przeszły je swymi połamanymi konarami. Drzewa Silvanesti w końcu wywarły zemstę.

Silvanoshei otworzył oczy i zobaczył, że Mina stoi nad nim, osłaniając go swym ciałem. Podźwignął się ciężko, wciąż oszołomiony. Chwiał się na nogach, ale z każdą chwilą czuł się coraz lepiej. Mina obserwowała przebieg walki ze smokiem, patrząc z pozbawioną wyrazu twarzą, jak strzały, które miały przesyć jej ciało, wbijają się w jej wroga.

Silvan niemal nie zauważył walki. Myślał tylko o Minie. Widział wyłącznie ją.

- Przyprowadziłaś mnie z powrotem spod bram śmierci - wyszeptał z wysiłkiem. Gardło nadal go bolało, podrażnione gazem. - Byłem umierający, już właściwie umarłem. Czułem, jak moja dusza opuszcza ciało. Widziałem własne ciało leżące na ziemi. A potem zobaczyłem, jak mnie pocałowałaś. Pocałowałaś mnie i nie mogłem cię opuścić! Dlatego żyję!

- To Jedyne Bóg zwrócił ci życie, Silvanosheiu - poprawiła go ze spokojem Mina. - Jesteś mu jeszcze do czegoś potrzebny w tym życiu.

- Nie, to byłaś ty - upierał się Silvan. - Ty przywróciłaś mnie do życia! Dlatego, że mnie kochasz! Moje życie należy do ciebie, Mino. Moje życie i moje serce.

Dziewczyna uśmiechnęła się, lecz nie spuszczała spojrzenia z pola walki.

- Spójrz, Silvanosheiu - odezwała się, wyciągając rękę.

- Dzisiaj pokonałeś swego najstraszliwszego wroga, Cyana Bloodbane, który posadził cię na tronie, sądząc, że jesteś równie słaby, jak twój dziadek. Udowodniłeś mu, że się mylił.

- To tobie zawdzięczamy zwycięstwo, Mino - sprzeciwił się rozradowany Silvan. - To ty wydałaś rozkaz strzelania. Słyszałem twój głos, przebijający się przez ciemność.

- Jeszcze nie odnieśliśmy zwycięstwa - zaprzeczyła dziewczyna. Jej oczy spoglądały gdzieś w dal. - Jeszcze nie. Walka nie jest skończona. Twojemu ludowi nadal zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo. Cyan Bloodbane zginie, ale stworzona przez niego tarcza przetrwa.

Silvan ledwie słyszał jej głos, gdyż zagłuszały go radosne krzyki elfów oraz wściekłe wycie śmiertelnie ранego smoka. Objął ramieniem szczupłą talię dziewczyny i przyciągnął ją do siebie, by lepiej rozumieć jej słowa.

- Powiedz mi to jeszcze raz, Mino - poprosił. - Powtórz mi to, co mówiłaś wcześniej o tarczy.

- Nie powiem ci nic ponadto, co usłyszałeś od Cyana Bloodbane - rzekła Mina. - On wykorzystał przeciwko elfom ich strach przed światem. Wydaje im się, że tarcza daje osłonę, ale w rzeczywistości ich zabija. Jej magia karmi się siłą życiową elfów. Dopóki tarcza pozostanie na miejscu, elfowie będą umierać, aż wreszcie nie pozostanie już nikt, kogo mogłaby osłaniać. W ten oto sposób Cyan Bloodbane zamierzał zgładzić was wszystkich. Cały ten czas śmiał się z twoich rodaków, gdyż wydawało im się, że są bezpieczni, choć w rzeczywistości sami siebie niszczyli.

- Jeśli to prawda, tarczę trzeba unicestwić - zauważył trzeźwo Silvan. - Wątpię jednak, czy nawet nasi najsilniejsi czarodzieje zdołają skruszyć jej potężną magię.

- Nie potrzebujesz czarodziejów, Silvanie. Jesteś wnukiem Loraca Caladona. Możesz zakończyć to, co zaczął twój dziadek. Dysponujesz mocą zniszczenia tarczy. Chodź ze mną.

- Mina wyciągnęła do niego rękę. - Pokażę ci, co musisz zrobić.

Silvan ujął drobnokościstą, delikatną dłoń dziewczyny. Przysunął się do niej i spojrzał jej w oczy. Zobaczył w nich siebie, lśniącego w bursztynie.

- Musisz mnie pocałować - zażądała, rozchylając usta. Posłuchał jej bezzwłocznie. Dotknął ustami jej ust i poczuł smak słodczy, której pragnął.

Niedaleko od nich Kiryn pełnił straż nad ciałem wuja. Widział, jak padł Silvanoshei. Wiedział, że jego kuzyn nie żyje. Nikt nie mógł ujść z życiem z trującego oddechu smoka. Opłakiwał ich obu, kuzyna i wuja. Obaj dali się omamić Glaucousowi i obaj słono za to zapłacili. Młody elf uklęknął przy zwłokach, czekając na śmierć - aż smok pozabija ich wszystkich.

Nagle ze zdumieniem ujrzał, że ludzka dziewczyna, Mina, unosi głowę, a potem wstaje z ziemi. Była w pełni sprawna i przytomna. Wydawało się, że trucizna w niczym jej nie zaszkodziła. Spojrzała na leżącego obok Silvanosheia. Pocałowała jego martwe wargi i - ku zdumieniu i zaniepokojeniu Kiryna - jego kuzyn zaczął oddychać.

Potem Kiryn przyglądał się, jak Mina budzi ducha walki w elfich łucznikach. Usłyszał, jak krzyczy w języku elfów, rozkazując im strzelać. Zobaczył, że jego rodacy przychodzą do siebie i stają do walki z wrogiem. Był świadkiem śmierci smoka.

Na wszystko to patrzył z bezbrzezną radością, od której oczy zachodziły mu łzami, lecz w jego sercu zalął się niepokój.

Dlaczego ta ludzka kobieta to uczyniła? Jakie były jej motywy? Czemu jednego dnia spokojnie przyglądała się, jak jej żołnierze zabijają elfów, a następnego próbowała ich ratować?

Ujrzał, że Mina objęła Silvana. Pragnął podbiec do nich i wyrwać kuzyna z jej objęć. Chciał nim potrząsnąć, wbić mu do głowy odrobinę rozsądku. Ale Silvan by go nie wysłuchał.

Czemu zresztą miałby to zrobić? - zadał sobie pytanie Kiryn.

Elf czuł się zbity z tropu, oszołomiony straszliwymi wydarzeniami, do których dziś doszło. Czemu Silvan miałby wysłuchać ostrzeżeń kuzyna, gdy jedynym dowodem, jaki mógł mu przedstawić, był mroczny cień, który padał na jego duszę za każdym razem, gdy spojrzał na Minę?

Kiryn oderwał od nich spojrzenie. Opuścił rękę i delikatnym ruchem zamknął wujowi powieki. Jako siostrzeniec miał obowiązki wobec umarłego.

- Chodź ze mną, Silvanie - nalegała Mina, muskając jego policzek miękkimi wargami. - Zrób to

dla swojego ludu.

- Robię to dla ciebie, Mino - wyszeptał młodzieniec. Zamknął oczy i ponownie dotknął ustami jej warg.

Pocałunek Miny był słodki jak miód, lecz niósł ze sobą również ból. Silvan upajał się słodyczą, ale w tej samej chwili wzdrygnął się przed palącym ukłuciem. Dziewczyna ciągnęła go w ciemność, mroczną niczym chmura burzowa. Jej pocałunek był jak błyskawica. Oślepił go i cisnął w przepaść. Silvan nie mógł powstrzymać upadku. Uderzył o skały, poczuł, że pękają mu kości. Ból ogarnął całe jego ciało. Był przerażający, lecz zarazem dawał ekstazę. Silvan tak bardzo pragnął, aby ból wreszcie się skończył, że z radością przywitałby śmierć. Ale pragnął też, aby trwał po wieki wieków.

Odsunęła od niego usta i czar prysnął.

Silvan otworzył oczy, jakby powrócił z martwych. Zdumiał się na widok słońca, krwawoczerwonego słońca wieczoru. Przecież, gdy ją pocałował, było południe. Najwyraźniej upłynęło wiele godzin, gdzie jednak się podziały? Zgubił je w Minie, zapomniał w niej. Wszędzie wokół panowała cisza. Smok zniknął. Nigdzie nie było widać armii ani jego kuzyna. Silvan powoli uświadomił sobie, że nie stoi już na polu bitwy. Był w ogrodzie, ogrodzie, który niejasno poznawał w dogasającym świetle zmierzchu.

Znam to miejsce, pomyślał oszołomiony. Wydaje mi się znajome. Ale gdzie właściwie jestem? I jak tu się znalazłem? Mino! Mino!

Na chwilę zawładnęła nim panika. Myślał, że stracił Minę.

I nagle poczuł, że uścisnęła jego dłoń. Westchnął głęboko i odwzajemnił jej uścisk.

Jestem w Ogrodzie Astarin - pojął nagle. - Ogrodzie pałacowym. Ogrodzie, na który wychodzi okno mojej sypialni. Byłem tu raz i to było okropne. Ciarki przebiegały mi po skórze na widok tego miejsca. O, martwa roślina. A tam druga i trzecia. Drzewo usycha na moich oczach, jego liście kurczą się, jakby cierpiały ból, szarzeją i spadają. W tym ogrodzie rosną jeszcze żywe rośliny jedynie dzięki temu, że pałacowi ogrodnicy i rzeźbiarze drzew zastępują te, które uschły, nowymi, przyniesionymi ze swych własnych ogrodów. Ale przynieść do tego ogrodu coś żywego znaczy skazać to na śmierć.

W całym ogrodzie przetrwało tylko jedno żywe drzewo. To, które rośnie w samym jego sercu. Zwią je Drzewem Tarczy, ponieważ kiedyś otaczała je świetlista tarcza, przez którą nic nie mogło się przedostać. Glaucous zapewniał, że to magia drzewa podtrzymuje tarczę. Tak jest w rzeczywistości, ale korzenie tego drzewa nie czerpią pokarmu z gleby, lecz sięgają do serc wszystkich elfów w Silvanesti.

Czuł, jak te korzenie wiją się wewnątrz jego ciała.

Silvanoshei ujął dłoń Miny i poprowadził dziewczynę przez umierający ogród ku rosnącemu w

jego centrum drzewu. Drze - wo Tarczy żyło. Drzewo Tarczy czuło się świetnie. Drzewo Tarczy miało zdrowe liście, zielone jak łuska zielonego smoka. Drzewo Tarczy miało pień koloru krwi. Gdy na nie patrzyli, wydawało im się, że sączy się z niego krew. Jego konary wiły się niczym węże.

Muszę wykorzenić to drzewo. Jestem wnukiem Loraca. Muszę wyrwać jego korzenie z serc mojego ludu i w ten sposób go uwolnić. Ale brzydzę się dotyku tej złowrogiej rośliny. Pójdę po topór i ją zetnę.

Choćbyś nawet ściał je sto razy, to za każdym razem odrośnie - wyszeptał do niego jakiś głos.

Cyan Bloodbane nie żyje. Po jego śmierci drzewo też umrze. To on podtrzymywał je przy życiu.

Ty podtrzymujesz je przy życiu. Mina nie odzywała się ani słowem, ale trzymała dłoń na jego sercu. Ty i twój lud. Nie czujesz, jak jego korzenie poruszają się w twym wnętrzu, karmią się twą siłą, wysysają z ciebie życie?

Silvan poczuł, że coś ściska jego serce, nie wiedział jednak, czy to zło drzewa, czy dłoń Miny.

Uścisnął mocno rękę dziewczyny i pocałował ją. Potem zostawił Minę na ścieżce, pośród usychających roślin i podszedł do żywego drzewa. Natychmiast wyczuło ono niebezpieczeństwo. Wokół kostek Silvana oplotły się szare pnącza. Suche gałęzie posypały się na niego, uderzając go w plecy i bark. Odkopnął pnącza i zrzucił z siebie gałęzie.

W miarę, jak zbliżał się do drzewa, ogarniała go coraz większa słabość. Drzewo próbowało go zabić, tak jak zabiło bardzo wielu przed nim. Jego sok był czerwony od krwi rodaków Silvana. Każdy błyszczący liść był duszą zamordowanego elfa.

Drzewo, acz wysokie, pień miało cienki. Silvan mógł z łatwością objąć je dłońmi. Czuł się osłabiony i chwiał się na nogach na skutek działania trucizny. Zastanawiał się, czy będzie miał siłę wyrwać je z ziemi.

Masz taką siłę. Ty jeden.

Silvan zacisnął dłonie wokół pnia, który wił się w jego uścisku niczym wąż. Elf zadrzał pod wpływem tego straszliwego wrażenia.

Zwolnił uścisk i cofnął się. Jeśli tarcza zniknie, nic nie będzie chroniło kraju przed atakiem, pomyślał w nagłym ataku wątpliwości.

Sihanesti przez stulecia skutecznie bronili jego odważni i sprawni wojownicy. Dni chwały powrócą. Dni, gdy świat szanował elfów, poważał i bał się ich. Będiesz królem potężnego państwa, potężnego ludu.

Będę królem, powtórzył w myślach Silvan. Mina zobaczy, że jestem potężny i szlachetny i wtedy mnie pokocha.

Zaparł się mocno nogami o ziemię, złapał wijący się pień i pociągnął mocno, czerpiąc siłę ze swego podniecenia i miłości, ze swych ambicji i marzeń.

Jeden z korzeni pękł. Być może ten, który sięgał do serca Silvana, gdyż siła jego mięśni i woli zwiększyła się nagle. Ciągnął i szarpał, wyężając mięśnie ramion. Poczł, że kolejne korzenie pękają i wzmocił wysiłki w dwójnasób.

- Dla Miny! - wysapał pod nosem.

Korzenie puściły tak nagle, że Silvan przewrócił się na plecy. Drzewo zwałiło się na niego. Nic mu się nie stało, ale liście, gałęzie i konary całkowicie zasłaniały widok.

Wyczołgał się spod drzewa, rozwścieczony myślą, że z pewnością wygląda jak głupiec. Twarz miał czerwoną z triumfu i jednocześnie zawstyżenia. Wytarł dłonie z ziemi i błota.

Słońce grzało mu twarz. Silvan spojrział na nie i zobaczył jego gniewny czerwony ogień. Słonecznych promieni nie przesłaniała już mglista zasłona, nie osłabiała ich migotliwa aura. Przekonał się, że nie jest w stanie patrzeć prosto na gorejące słońce, ani nawet skierować wzroku w jego pobliże. Oczy bolały go od tego widoku. Usunął mruganiem łzy. Kiedy zacisnął powieki, tam gdzie przed chwilą było słońce, widział czarną plamę.

- Mino! - zawołał, osłaniając oczy dłonią, aby ją wypatrzeć. - Popatrz, Mino! Twój Bóg miał rację. Tarcza zniknęła!

Silvan doczłapał jakoś do ścieżki. Nadal nie widział wyraźnie.

- Mino? - krzyknął. - Mino?

Wołał i wołał. Nie przestawał wołać, gdy słońce zniknęło z nieba i nastala ciemność. Wykrzykiwał jej imię, aż wreszcie stracił głos, a wtedy zaczął je szeptać.

- Mino!

Nikt mu nie odpowiadał.

Z miłości do Miny

Galdar nie zmrużył oka od dnia bitwy. Stał na warcie przez całą noc, ukryty na samej granicy cienia jednej z jaskiń, w których ukrywała się resztką rycerzy Miny. Nie zgodził się nikomu odstąpić tej służby, którą sam sobie narzucił, choć kilku ochotników chciało go zmienić. Zbywał ich propozycje potrząsaniem rogatej głowy i odsyłał wszystkich po kolei, aż wreszcie przestali przychodzić.

Żołnierze, którzy wyszli cało z bitwy, schronili się w jaskiniach, zmęczeni i wystraszeni. Nie mówili wiele. Ranni robili, co tylko mogli, aby stłumić krzyki i jęki, w obawie, że hałas przyciągnie nieprzyjaciela. Większość z nich szeptała tylko imię, jej imię, dziwiąc się, dlaczego nie przychodzi ich pocieszyć. Ci, którzy już nie żyli, skonali z jej imieniem na ustach.

Galdar nie wypatrywał nieprzyjaciela. Ten obowiązek przypadł innym. Wartownicy przycupnęli w gęstych zaroślach, aby mieć oko na elfich zwiadowców, którzy mogliby odkryć ich kryjówkę. Wczesnym rankiem dwóm się to udało, lecz wartownicy załatwili się z nimi szybko i cicho, łamiąc im karki i wrzucając ciała do wartkiego, głębokiego Thon-Thalasu.

Galdar był wściekły, gdy się dowiedział, że jego podkomendni pojмали elfów żywcem i dopiero potem ich zabili.

- Chciałem ich przesłuchać, wy dumie! - zawołał gniewnie, unosząc rękę, aby uderzyć jednego z żołnierzy.

- Uspokój się, Galdarze - skarcił go Samuval, kładąc dłoń na porośniętym futrem ramieniu minotaura. - Co by nam dało poddanie elfów torturom? Nic byśmy z nich nie wyciągnęli, a ich krzyki byłoby słyszeć całe mile stąd.

- Powiedzieliby mi, co z nią zrobili - stwierdził Galdar. Opuścił rękę, lecz nadal spoglądał wściekle spode łba na żołnierzy, którzy wycofali się pośpiesznie. - Powiedzieliby mi, gdzie ją przetrzymują. Już ja bym się o to postarał.

Zacisnął i otworzył pięść.

- Mina rozkazała, żebyśmy nie brali jeńców, Galdarze. Powiedziała, że mamy natychmiast zabijać wszystkich pojmanyh elfów. Przysięgłeś słuchać jej rozkazów. Czy chcesz złamać przysięgę? - zapytał Samuval.

- Dotrzymam jej - warknął Galdar, wracając na posterunek. - Obiecałem to Minie i nie złamię obietnicy. Czyż wczoraj jej nie dotrzymałem? Stałem spokojnie i przyglądałem się, jak Minę bierze do niewoli ten sukinsyn, król elfów. Pojmał ją żywcem jej najgorszy wróg. Zabrał ją ze sobą w triumfie i jaki los ją czeka? Szyderstwa, niewola, tortury i śmierć. Obiecałem Minie, że nie będę się

wtrącał i dotrzymałem słowa. Ale teraz tego żałuję - zakończył i zaklął z goryczą.

- Pamiętaj, co ci powiedziała, przyjacielu - rzekł cicho Samuval. - Przypomnij sobie jej słowa. „Będą sądzili, że jestem ich jeńcem. Ale to ja wezmę ich do niewoli. Wszystkich, co do jednego.” Pamiętaj, co nam powiedziała i nie trać wiary.

Galdar przez cały ranek stał u wejścia do jaskini. Widział, jak słońce osiąga zenit, jak jego gniewne spojrzenie pada przez tarczę, i zazdrościł mu wściekle, gdyż słońce widziało Minę, a on nie.

Obserwował ze zdumieniem walkę z zielonym smokiem, widział jak z nieba pada deszcz krwi i zielonych łusek. Galdar nie darzył miłością smoków, nawet tych, które walczyły po jego stronie. Jak mówiło stare porzekadło minotaurów, wywodzące się jeszcze z czasów ich wielkiego bohatera, Każę, smoki znały tylko jedną stronę - swoją własną. Galdar usłyszał śmiertelny ryk bestii, a potem poczuł, jak ziemia zatrzęsała się od jej upadku. Zastanawiał się, co ten omen dla nich znaczy. Co znaczy dla Miny.

Kapitan Samuval przyglądał się walce razem z minotaurem. Przyniósł Galdarowi coś do jedzenia - złapanego w jaskini szczura - oraz do picia. Minotaur wypił wodę, ale nie chciał jeść szczurzego mięsa. Mieli za mało żywności i inni potrzebowali jej bardziej od niego. Kapitan Samuval wzruszył ramionami i sam zjadł szczura. Galdar nadal stał na straży.

Mijały godziny. Ranni jęczeli cicho i równie cicho umierali. Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi - krwawoczerwone słońce przesłonięte mglistą kurtyną. Było szkaradnie zniekształcone. Galdar nigdy w życiu takiego nie widział. Odwrócił od niego wzrok. Nie podobał mu się widok słońca oglądanego przez tarczę. Zastanawiał się, jak mogą go znieść elfowie.

Mimo woli zamknął oczy. Przysypiał stojąc, lecz nagle tuż obok zabrzmiał głos kapitana Samuvala. Minotaur miał wrażenie, że eksplodował on nad nim niczym kula ognista.

- Spójrz na to!

Galdar otworzył nagle oczy i machinalnie sięgnął po miecz.

- Co się stało?

- Słońce! - zawołał kapitan Samuval. - Nie, nie patrz na nie, bo cię oślepi! - Osłonił oczy dłonią, aby przyjrzeć się słońcu. - Cholera!

Galdar spojrzał na niebo. Blask był tak jasny, że oczy zaszły mu łzami. Musiał pośpiesznie odwrócić wzrok. Otarł łzy z pyska i przymrużył powieki. Słońce wypaliło mgłę. Jego jasne, gorejące promienie padały na świat, jakby narodziło się dopiero przed chwilą i radowało się swą mocą. Na wpół oślepiiony minotaur spuścił wzrok.

Stała przed nim Mina, skąpana w krwawym blasku nowo narodzonego słońca.

Galdar chciał już krzyknąć z radości, ale dziewczyna dotknęła palcem ust, sugerując, aby zachował ciszę. Minotaur zadowolili się szerokim uśmiechem. Nie powiedział, że cieszy z jej

widoku. Zapowiedziała, że do nich wróci i nie chciał, aby pomyślała, iż wątpił w jej słowa. Właściwie w nie wcale nie wątpił. Nie w głębi serca. Wskazał kciukiem na horyzont.

- Co się stało? - zapytał.

- Tarcza przestała istnieć - odpowiedziała Mina. Była blada i zmęczona. Wręcz padała z nóg. Wyciągnęła rękę i Galdar poczuł się zaszczycony, mogąc posłużyć jej ramieniem. Czar został złamany. Generał Dogah właśnie w tej chwili przekracza granice Silvanesti, wiodąc wiele tysięcy żołnierzy.

Mina weszła do jaskini, wspierając się na silnym ramieniu minotaura. Żołnierze chcieli przywitać ją radosnym okrzykiem, lecz gestem nakazała im milczenie.

Wszyscy zgromadzili się wokół niej, wyciągając ręce, aby jej dotknąć. Choć czuła się zmęczona, powiedziała parę słów do każdego z nich, zwracając się do wszystkich po imieniu. Nie chciała jeść, pić ani odpoczywać, dopóki nie odwiedzi rannych i nie poprosi Boga, aby ich uzdrowił. Odmówiła też modlitwę nad każdym z poległych, pochylając głowę i ściskając w dłoniach ich zimne ręce.

Dopiero potem napiła się trochę wody i zgodziła się usiąść. Następnie wezwała swych rycerzy i oficerów na naradę wojenną.

- Będziemy musieli się ukrywać jeszcze tylko przez krótki czas - oznajmiła im. - Planuję połączyć się z armią generała Dogaha i razem z nią zdobyć Silvanost.

- A kiedy ona tu przybędzie? - zapytał Samuyal.

- Wojska Dogaha będą w stanie posuwać się szybko - stwierdziła Mina. - Nie natkną się na opór. Oddziały elfów wycofano z granicy, aby stoczyły bitwę z nami. Ich armię ogarnął chaos. Ich generał nie żyje. Tarcza przestała istnieć.

- Jak to się stało, Mino? - zapytał Galdar. Inni powtórzyli to pytanie pełnymi zdumienia głosami. - W jaki sposób udało ci się zniszczyć tarczę?

- Powiedziałam królowi prawdę - wyjaśniła Mina. Wy tłumaczyłam mu, że tarcza zabija elfów. Ich władca zniszczył ją osobiście.

Rycerze wybuchnęli śmiechem, radując się tym paradoksem. Byli w znakomitym nastroju. Na duchu podniósł ich powrót Mino oraz cudowne zniknięcie magicznej tarczy, która przez tak długi czas nie pozwalała im zaatakować nieprzyjaciela.

Galdar zwrócił się w stronę Mino, chcąc jej zadać kolejne pytanie, lecz zauważył, że dziewczyna zasnęła. Uniósł ją delikatnie w ramionach - była lekka jak dziecko - i zaniósł na posłanie, które sam dla niej przygotował: koc rozpostarty na suchych sosnowych igłach we wnęce w skalnej ścianie. Ułożył ją na nim i nakrył drugim kocem. Ani na moment nie otworzyła oczu.

Minotaur usiadł obok niej, wsparty szerokimi plecami o skałę, aby czuwać nad jej snem.

Kapitan Samuval przyszedł dotrzymać mu towarzystwa. Ponownie poczęstował go szczurzym mięsem i tym razem Galdar nie odmówił.

- Dlaczego ten ich król miałby zniszczyć tarczę? - zastanawiał się minotaur, miażdżąc między zębami szczura razem z kośćmi. - Czemu miałby pozbawić elfów jedynej osłony? To nie ma sensu. Elfowie są podstępni. To może być pułapka.

- To nie jest pułapka - zapewnił Samuval. Zwinął koc w rulon, wsadził go sobie pod głowę i położył się na zimnej skale. - Zobaczysz, przyjacielu. Za tydzień będziemy razem spacerować ulicami Silvanostu.

- Ale dlaczego miałby zrobić coś takiego? - nie ustępował Galdar.

- A jak ci się zdaje? - zapytał Samuval, ziewając tak szeroko, że szczęki trzasnęły mu głośno. - Widziałeś, jak na nią patrzył. Widziałeś, jak wzięła go do niewoli. To proste. Zrobił to z miłości do Miny.

Galdar również się położył. Zastanowił się nad tą odpowiedzią i doszedł do wniosku, że jego towarzysz ma rację. Nim zasnął, wyszeptał w ciemności jeszcze raz te słowa: - Z miłości do Miny.

Epilog

Daleko od miejsca, w którym spała strzeżona przez swych żołnierzy Mina, Gilthas spoglądał z okna Wieży Mówcy Słońca na słońce, które wznosiło się coraz wyżej na niebie. Wyobraził sobie, że jego promienie złocą włącznie armii Beryl, która przekraczała właśnie granice Qualinesti. Solamniczycy, Gerard, zasugerował mu pewien desperacki plan. Teraz Gerard i marszałek Medan czekali, aż Gilthas podejmie decyzję. Decyzja ta mogła albo ocalić jego lud, albo doprowadzić do jego całkowitej zagłady. Musiał ją podjąć Gilthas, ponieważ to on był królem. Mógł jednak jeszcze chwilę zaczekać. Poświęcił tę chwilę na obserwację słońca, oświetlającego zielone liście drzew jego ojczyzny.

Na Schallsea Tasslehoff i Palin obserwowali zbliżającą się Beryl oraz jej sługi. Słyszeli dźwięk trąb, a także krzyki przerażonych mieszkańców Cytadeli. Wielu z nich wzywało Goldmoon, ta jednak była daleko. Fragmenty roztrzaskanego urządzenia do podróżowania w czasie leżały na podłodze. Rzucany przez smocze skrzydła cień stłumił blask klejnotów.

Goldmoon nie widziała słońca. Nie widziała smoków. Znajdowała się w głębinach oceanu i spowijała ją ciemność. Zlany potem gnom wyrzekał głośno i biegał to tu, to tam, wycierając wodę, ścierając z podłogi olej, kręcąc korbami i poruszając miechami. Goldmoon nie poświęcała mu najmniejszej uwagi. Pochłonął ją mrok. Wędrowała na północ, razem z rzeką umarłych.

Silvanoshei stał samotnie w Ogrodzie Astarin, obok ginącego Drzewa Tarczy, którego korzenie marniały w gorejącym blasku nowo narodzonego słońca.

Generał Dogah, który czekał na granicach Silvanesti ze swą armią Rycerzy Neraki, patrzył na słońce wynurzające się z poczwarki zniszczonej tarczy. Następnego ranka, gdy świeciło już jasno na niebie, wydał swym żołnierzom rozkaz wymarszu.